

Przerażająca... złożone i omylne postacie oraz nieustająca akcja..
– „Booklist”

Sandrone DAZIERI

Anioł śmierci



Sandrone
DAZIERI
**Anioł
śmierci**

Z języka włoskiego przełożyła
Aneta Banasik



Książka ukazała się poprzednio w 2019 roku pod tytułem Anioł.

L'Angelo

Copyright © 2016 Sandrone Dazieri

Copyright © 2019, 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2019 for the Polish translation by Aneta Banasik

(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bogusława Wójcikowska

Korekta: Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-8230-325-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym.

Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2022

TEGO AUTORA:

Zabić ojca

Mojej matce

I am an antichrist
I am an anarchist
Don't know what I want
But I know how to get it
I wanna destroy passerby
SEX PISTOLS

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I
Midnight Special

Wcześniej

DWAJ WIĘŹNIOWIE, KTÓRZY zostali w celi, rozmawiają po cichu. Pierwszy z nich pracował w fabryce butów. Po pijanemu zabił człowieka. Drugi był policjantem, który doniósł na przełożonego. Zasnęli w więzieniu, a obudzili się w Puszcze.

Robotnik z fabryki butów śpi niemal cały dzień, policjant nie śpi prawie wcale. Kiedy obaj czuwają, rozmawiają, żeby nie dopuszczać do siebie głosów, które są coraz głośniejsze, teraz krzyczą już przez cały czas. Czasami pojawiają się też kolory, tak jaskrawe, że ich oślepiają. To rezultat pigulek, które muszą codziennie przyjmować, i kasku, który zakładają im na głowy i który sprawia, że wiją się jak robaki na rozgrzanej patelni.

Ojciec robotnika z fabryki butów w czasie wojny trafił do więzienia w swoim mieście. W podziemiach znajdowało się pomieszczenie, gdzie kazali im stać nieruchomo na wąskiej desce, a jeśli się poruszyłeś, wpadałeś do lodowatej wody. Drugie było takie małe, że więźniowie mogli tam przebywać jedynie w skulonej pozycji. Nikt nie wie, ilu ludzi torturowano w podziemiach budynku, nikt nie wie, ilu tam zamordowano. Mówi się, że tysiące.

Ale Puszcza jest gorsza. Jeśli miałeś szczęście, mogłeś wrócić do domu z tamtej zabytkowej kamienicy. Ranny, zgwałcony, lecz żywy, tak jak ojciec robotnika z fabryki butów.

W Puszcze możesz jedynie czekać na śmierć.

Puszcza nie jest kamienicą, nie jest nawet więzieniem. To cementowy sześcian pozbawiony okien. Słoneczne światło prześwituje przez kraty nad ich głowami z podwórza, które tacy jak oni będą mogli zobaczyć tylko jeden raz, ostatni. Bo kiedy wyprowadzają cię na powietrze, to oznacza, że jesteś już bardzo chory. Bo zaatakowałeś strażnika albo zabiłeś towarzysza z celi. Bo się okaleczyłeś albo zacząłeś zjadać własne odchody. Bo przestałeś reagować na terapię i stałeś się bezużyteczny.

Policjant i robotnik z fabryki butów nie dotarli do tego punktu, chociaż wiedzą, że niewiele im brakuje. Złamano ich, doprowadzono do tego, że prosili i błagali, lecz jeszcze do końca się nie poddali. I kiedy przybyła Dziewczyna, próbowali ją chronić.

Dziewczyna może mieć trzynaście lat, a nawet trochę mniej. Od kiedy przeniesiono ją do ich celi, nie powiedziała ani jednego słowa. Przyglądała im się

tylko oczami, które mają kolor kobaltu i przy ogolonej na tyso głowie sprawiają wrażenie ogromnych.

Nie nawiązuje kontaktu, pozostaje zamknięta w swoim świecie. Policjant i robotnik z fabryki butów nic o niej nie wiedzą, znają jedynie przypuszczenia krążące po korytarzach Puszki. Wystarczy umieścić więźniów w najlepiej strzeżonym i najokrutniejszym z miejsc, podzielić ich, zakuć w kajdanki, wyrwać języki, a i tak znajdą sposób, żeby się porozumieć. Uderzają w ściany, wystukując wiadomości w alfabecie Morse'a, szepczą pod prysznicem, przesyłają sobie bileciki w jedzeniu lub w wiadrach na odchody.

Ktoś powiedział, że trafiła do Puszki wraz z całą rodziną i jako jedyna przeżyła. Ktoś inny twierdził, że to Cyganka, która zawsze żyła na ulicy. Dziewczyna nie zamierza jednak wyjawić prawdy. Nieufna, siedzi w kącie i śledzi ich ruchy. Załatwia swoje potrzeby do wiadra, bierze przysługujące jej jedzenie i wodę, wszystko bez słowa.

Nikt nie zna jej imienia.

Wyprowadzono ją z celi trzy razy. Po dwóch pierwszych wróciła z zakrwawionymi ustami i w podartym ubraniu. Dwaj mężczyźni, którym zdawało się, że nic już nie czują, płakali na jej widok. Umyli ją i zmusili do jedzenia.

Kiedy nadszedł trzeci raz, policjant i robotnik z fabryki butów zrozumieli, że to koniec. Gdy strażnicy przychodzą, aby wyprowadzić cię na dziedziniec, zmienia się odgłos ich kroków, zmienia się zachowanie. Stają się uprzejmi, spokojni, nie chcą cię denerwować. Pozwalają zabrać koc i śmierdzący środkiem do dezynfekcji cynowy talerz, który wkrótce zostanie przydzielony następnemu więźniowi, i prowadzą cię na górę.

Kiedy drzwi się otworzyły, obaj próbowali wstać, aby ją zasłonić, i zdawało się, że Dziewczyna po raz pierwszy zdała sobie sprawę z obecności dwóch mężczyzn, z którymi prawie od miesiąca dzieliła celę. Pokręciła przecząco głową, po czym wolnym krokiem ruszyła za strażnikami.

Robotnik z fabryki butów oraz policjant zamarli w oczekiwaniu na warkot furgonetki wywożącej ciało z podwórza po ciosie tasaka, ponieważ to rzeźnicze narzędzie udziela ci błogosławieństwa na ostatnią drogę. Trwa ona zresztą bardzo krótko i kończy się za murami, na ośnieżonym, pustym polu. Opowiadał o tym jeden z więźniów należący do grupy, która zajmuje się grzebaniem ciał. Powiedział,

że jest ich pod ziemią już co najmniej setka i nie mają twarzy ani dłoni: Puszka nie chce, aby można je było zidentyfikować, gdyby jakimś cudem zostały odnalezione. Niedługo potem więzień pracujący jako grabarz przekłuł sobie gwoździem uszy, bo nie mógł dłużej wytrzymać dręczących go głosów. On też odbył już swoją ostatnią podróż.

Minęło dwadzieścia minut, a tymczasem robotnik z fabryki butów i policjant ciągle jeszcze nie słyszeli dźwięku starego diesla, który skrzypiąc, wprawia pojazd w ruch. Nad ich głowami słychać było głosy, z sąsiednich cel dobiegały krzyki, poza tym panowała absolutna cisza.

Nagle drzwi do celi otworzyły się gwałtownie. To nie strażnik ani jeden z badających ich regularnie lekarzy.

To Dziewczyna.

Jej piżama pokryta jest krwią, taką samą plamę ma również na czole. Zdaje się nie zwracać na to uwagi. W ręku trzyma wielki pęk kluczy należący do strażnika, który wyprowadził ją z celi. Klucze też są ubrudzone krwią.

– Czas się zbierać – mówi.

W tej samej chwili ryk syreny rozdziera powietrze.

ŚMIERĆ PRZYBYŁA DO Rzymu za dziesięć dwunasta w nocy pociągiem InterCity, który wyruszył z Mediolanu. Wjechał na stację Termini i zatrzymał się na peronie numer siedem, wyrzucił z siebie około pięćdziesięciu pasażerów z niewielkimi bagażami i zmęczonymi twarzami, którzy podzielili się, podążając na ostatni kurs metra i w kierunku postoju taksówek, po czym wyłączył światła. Tylko z wagonu pierwszej klasy nikt nie wyszedł, a pneumatyczne drzwi pozostały zamknięte. Zaspany kierownik pociągu odblokował je z zewnątrz i wspiął się po schodkach, żeby sprawdzić, czy nie znajdzie tam jakiegoś śpiącego pasażera.

To był zły pomysł.

Jego zniknięcie zauważył po dwudziestu minutach funkcjonariusz policji kolejowej, który czekał nań w barze u Marokańczyków, gdzie po zakończeniu zmiany spotykali się na piwie. Nie byli co prawda przyjaciółmi, ale z racji tego, że codziennie mijali się na peronach, odkryli, że coś ich łączy, na przykład to, że kibicowali tej samej drużynie piłkarskiej i lubili kobiety o pokaźnych siedzeniach. Policjant wsiadł do wagonu i znalazł swojego kumpla od kieliszka skulonego w korytarzu, z szeroko otwartymi oczami i zaciśniętymi na szyi rękami, jakby próbował sam się udusić.

Z jego ust trysnęła strużka krwi, pozostawiając ślad na antypoślizgowym dywaniku. Funkcjonariusz pomyślał, że nigdy nie widział bardziej martwego trupa, ale mimo to dotknął jego szyi w poszukiwaniu pulsu, chociaż wiedział, że go nie wyczuje. *Prawdopodobnie zawał* – pomyślał. Mógłby sprawdzić cały wagon, ale postanowił zastosować się do zasad i uniknąć nieprzyjemności. Wrócił więc na peron i zadzwonił do centrali, żeby przysłali kogoś z policji sądowej i zawiadomili dyżurującego sędziego śledczego. Dlatego też nie zobaczył tego, co znajdowało się w dalszej części wagonu. Wystarczyło, aby wyciągnął rękę i otworzył drzwi z matowego szkła, a odmieniłby los zarówno swój, jak i tych, którzy przyszli po nim, ale nawet przez myśl mu to nie przeszło.

Inspekcję przeprowadziła zastępca komendanta trzeciej sekcji w Squadra Mobile, którą wszyscy poza policjantami nazywają wydziałem zabójstw. Była to kobieta, która wróciła na służbę po długiej rekonwalescencji i ciągu nieszczęśliwych zdarzeń – mówiono o nich na okrągło we wszystkich programach typu talk-show w ciągu ostatnich miesięcy. Nazywała się Colomba Caselli. Po jakimś czasie ktoś uznał jej pojawienie się na miejscu zbrodni za szczęśliwy zbieg okoliczności.

Jej opinia na ten temat była zgoła odmienna.

COLOMBA DOTARŁA NA dworzec Termini służbowym samochodem o godzinie dwudziestej czwartej czterdzieści pięć. Za kierownicą siedział posterunkowy Massimo Alberti: lat dwadzieścia siedem, jasne włosy i piegowata twarz, która będzie wyglądała młodo nawet w podeszłym wieku.

Natomiast Colomba miała trzydzieści trzy lata zgodnie z metryką i nieco więcej w zielonych oczach, zmieniających odcień zależnie od humoru właścicielki. Czarne włosy nosiła gładko upięte na karku i takie uczesanie jeszcze bardziej podkreślało jej wystające kości policzkowe, wskazujące na orientalne pochodzenie któregoś z dalekich przodków. Wsiadła z radiowozu i skierowała się na peron, przy którym stał pociąg z Mediolanu. Znajdowali się tam już czterej funkcjonariusze policji kolejowej; dwaj siedzieli w dwuosobowym elektrycznym samochodzie używanym na terenie stacji, a pozostali stali obok zderzaka. Wszyscy byli młodzi i palili papierosy. Niedaleko jakiś wścibski przechodzień robił zdjęcia komórką, a dziesięcioosobowa grupka składająca się z pracowników odpowiedzialnych za utrzymanie czystości oraz ratowników medycznych wymieniała po cichu uwagi.

Colomba pokazała legitymację i się przedstawiła. Jeden z funkcjonariuszy, który zapamiętał ją z mediów, uśmiechnął się głupkowato. Udała, że tego nie zauważa.

– Który wagon? – rzuciła bez wstępów.

– Pierwszy – odpowiedział najwyższy rangą, podczas gdy pozostali stanęli za nim, traktując go jak żywą tarczę.

Colomba zajrzała przez okna, ale w ciemnościach niczego nie zauważyła.

– Kto z was wszedł do środka?

Mężczyźni popatrzyli na siebie z zakłopotaniem.

– Jeden z kolegów, który już skończył zmianę – wyjaśnił ten sam, co poprzednio.

– Niczego nie dotykał, tylko patrzył. Tak samo jak my tutaj z zewnątrz – dodał inny.

Colomba pokręciła głową z rozdrażnieniem. Trup oznaczał bezsenną noc spędzoną na oczekiwaniu, aż sędzia śledczy i lekarz medycyny sądowej zakończą procedurę, oraz stosy dokumentów i raportów do wypełnienia. Nic dziwnego, że policjant się ulotnił. Mogła poskarżyć się u jego przełożonych, ale ona również nie przepadała za marnowaniem czasu.

– Wiecie, kim jest denat? – zapytała, wkładając gumowe rękawiczki i niebieskie plastikowe woreczki na buty.

– Nazywa się Giovanni Morgan, należy do obsługi pociągu – powiedział mężczyzna najwyższy rangą.

– Zawiadomiliście rodzinę?

Znowu niepewne spojrzenia.

– Okej, nie było pytania – Colomba skinęła na Albertiego. – Przynies mi latarkę z samochodu.

Chłopak wykonał polecenie i wrócił z czarną metalową latarką Maglite półmetrowej długości, która w razie potrzeby świetnie sprawdzała się jako pałka przy tłumieniu zamieszek.

– Mam pani towarzyszyć?

– Nie, zaczekaj tu i nie pozwalaj zbliżyć się niepowołanym osobom.

Colomba przez radio zawiadomiła centralę o rozpoczęciu inspekcji, po czym podobnie jak mężczyzna, który pojawił się w wagonie wcześniej, sprawdziła puls na szyi kierownika pociągu i podobnie jak on nie wyczuła znaku życia: skóra denata była śliska i zimna. Właśnie pytała w centrali, czy lekarz i sędzia śledczy już jadą na miejsce, gdy zdała sobie sprawę z dziwnego dźwięku, który jej towarzyszył. Wstrzymując oddech, zrozumiała, że chodzi o dzwonki około sześciu telefonów, które wypełniały wagon kakofonią melodyjek i wibracji. Dźwięki dochodziły zza drzwi prowadzących do luksusowego przedziału pierwszej klasy, w którym fotele pokryte są prawdziwą skórą, a posiłki firmowane nazwiskiem jednego z występujących w telewizji szefów kuchni.

Przez mleczną szybę Colomba dostrzegła zielonkawą poświatę wyświetlaczy, które pulsując, rzucały długie cienie. To niemożliwe, aby aż

tylu pasażerów zapomniało o telefonach, a jedyne wyjaśnienie, jakie wpadło jej do głowy, wydawało się zbyt potworne, żeby przyjąć je za prawdę.

Niestety, tak właśnie było i Colomba przekonała się o tym, gdy wyważywszy przesuwane drzwi, poczuła zapach krwi i odchodów.

Wszyscy pasażerowie luksusowego wagonu pierwszej klasy nie żyli.

COLOMBA SKIEROWAŁA SNOP światła w głąb przedziału, oświetlając zwłoki około sześćdziesięcioletniego pasażera w szarym garniturze, który leżał na podłodze z dłońmi między udami i odchyloną do tyłu głową. Krew, która wytrysnęła mu z gardła, pokryła jego twarz, tworząc coś na kształt makabrycznej maski. *Co tu się, kurwa, stało?* pomyślała.

Weszła powoli do środka, uważając, aby niczego nie nadepnąć. Za pierwszym trupem w poprzek przejścia leżał młody mężczyzna w rozpiętej koszuli i białych dopasowanych spodniach wypełnionych odchodami. Szklanka, która potoczyła się obok jego twarzy, ubrudzona była krwią kapiącą mu z nosa.

Po lewej stronie na swoim miejscu siedział staruszek przygwożdżony własną laską, której nasadka wbiła mu się w podbródek. Na kolanach w mieszaninie krwi i zaschniętych wymiocin pływała sztuczna szczeka. Dalej znajdowali się dwaj Azjaci w uniformach pracowników restauracji. Jeden opierał się na wysuniętym stoliku, a drugi na kolanach kobiety w garsonce i butach na wysokich obcasach. Ona też była martwa.

Colomba poczuła ucisk w płucach i zaczerpnęła powietrza. Teraz, gdy zaczęła się już przyzwyczajać do panującego w przedziale fetoru, wyczuła w nim dziwną, słodkawą nutę, której nie potrafiła dokładnie określić. Przypomniały jej się czasy dzieciństwa, kiedy matka próbowała piec ciasta i regularnie przypalała je w piekarniku.

Przeszła na drugi koniec wagonu. Jeszcze jeden pasażer, tym razem około czterdziestoletni mężczyzna, spoczywał na podłodze w pozycji Supermana, z zaciśniętą pięścią prawej dłoni wysuniętą do góry i lewą ręką ułożoną wzdłuż ciała. Colomba minęła ciało i zajrzała do toalety, gdzie znalazła zwłoki mężczyzny w pomarańczowym uniformie porządkowego i kobiety. Leżeli skuleni na podłodze ze splecionymi nogami. Upadając, kobieta musiała uderzyć głową o umywalkę, ponieważ jej brzeg wybrudzony był krwią i włosami. W tym momencie odezwała się krótkofalówka.

– Pani kolega prosi o pozwolenie wejścia do wagonu – zaskrzeczał głos z centrali.

– Nie pozwalam, zaraz się z nim skontaktuję, kończę – odpowiedziała, starając się zachować zimną krew, po czym zadzwoniła z komórki do Albertiego.

– Co się dzieje?

– *Dottoressa*^[1]... Jestem tu z ludźmi, którzy czekają na krewnych... twierdzą, że jechali tym pociągiem.

– Poczekaj.

Colomba otworzyła drzwi prowadzące do dalszej części pociągu i rzuciła okiem na wagon pierwszej klasy. Był pusty podobnie jak pozostałe. Dla pewności doszła do końca pociągu i dopiero wtedy zawróciła.

– Czy jechali w luksusowym wagonie?

– Tak, *dottoressa*.

– Odejdź na bok, tak żeby cię nie słyszeli.

Alberti wykonał polecenie i stanął przy pojeździe elektrycznym.

– Co się stało?

– Wszyscy nie żyją. Wszyscy pasażerowie z luksusowego wagonu pierwszej klasy.

– O kurwa. Jak do tego doszło?

Serce Colomby przestało na chwilę bić. Wcześniej poruszała się jak w transie, ale teraz zdała sobie sprawę, że ci nieszczęśnicy nie mieli na ciele żadnych śladów przemocy, oczywiście poza staruszką przygwożdżonym laską. *Powinnam była uciekać, jak tylko zobaczyłam zwłoki kierownika pociągu.*

Chociaż i tak byłoby pewnie za późno.

– *Dottoressa*... słyszy mnie pani? – Alberti zaniepokoił się panującą po drugiej stronie ciszą.

Colomba otrząsnęła się z zamyślenia.

– Nie wiem, co ich zabiło, ale musiało to być coś, co zjedli, lub skażone powietrze.

– O mój Boże... – Policjant był bliski paniki.

– Uspokój się, masz teraz ważne zadanie. Nie możesz wpuścić nikogo do pociągu. Nawet techników ani sędziego śledczego. Dopóki nie przyjedzie oddział z NBC^[2], nikt nie może tu wejść. Gdyby ktoś się opierał, możesz go aresztować albo zastrzelić, ale za żadne skarby nie pozwól mu wejść.

Colomba czuła, jak zimny pot spływa jej po plecach. *Jeśli to wąglík, to już po mnie*, pomyślała. *A jeśli gaz VX, to mam jeszcze szansę.*

– I jeszcze jedno. Musisz odnaleźć funkcjonariusza, który odkrył pierwsze ciało. Poproś o adres jego kolegów z pracy, bo trzeba go natychmiast odizolować. Również pozostali muszą zostać poddani kwarantannie, zwłaszcza jeśli podawali sobie ręce, papierosy i tak dalej. To dotyczy także krewnych, którzy przyszli na dworzec. Jeśli mieli z wami jakikolwiek kontakt fizyczny, musisz ich zatrzymać.

– Powiedzieć im prawdę?

– Nawet o tym nie myśl. Zawiadom centralę, żeby przygotowali listę wszystkich pracowników obsługi pociągu, którzy mogli mieć kontakt z pasażerami. Ale najpierw niech przyślą jednostkę do walki z bronią biologiczną i chemiczną. Zadzwoń z komórki, nie używaj krótkofalówki, bo wybuchnie panika. Rozumiesz?

– A pani?

– Popełniłam głupi błąd. Trucizna może jeszcze działać i teraz ja mogę być źródłem zakażenia. Muszę zostać w pociągu, jeśli nie chcę ryzykować, że ktoś zachoruje. Wszystko jasne?

– Tak – potwierdził Alberti łamiącym się głosem.

Colomba przerwała połączenie. Wróciła na korytarz, którym weszła do przedziału i zamknęła drzwi, blokując je dźwignią bezpieczeństwa. Wybrała sobie miejsce w wagonie pierwszej klasy, która w porównaniu z luksusowym przedziałem wyglądała bardzo skromnie, i postanowiła poczekać na wiadomość, czy przeżyje.

FUNKCJONARIUSZE SPECJALNYCH JEDNOSTEK straży pożarnej w kombinezonach z tyveku i z respiratorami na twarzach zastosowali protokół przygotowany na przypadek zagrożenia nuklearnego, bakteriologicznego i chemicznego. Przejęli całkowitą kontrolę nad zagrożonym terenem, otaczając go taśmą i przykrywając pociąg plastikowymi hermetycznymi pokrowcami. Jedynie przy wejściu do pierwszego wagonu utworzyli niewielką przestrzeń z dostępem powietrza.

Colomba siedziała w pociągu i czekała na rozwój wypadków, z niepokojem poszukując u siebie objawów skażenia. Węzły chłonne nie wyglądały na powiększone, nie pociła się bardziej niż zwykle i nie miała dreszczy, ale nie wiedziała przecież, ile czasu potrzebuje wirus lub trucizna, aby się uaktywnić. Po dwóch godzinach tej paranoi, kiedy smród i gorąco stały się nie do wytrzymania, do wagonu weszło dwóch żołnierzy w hermetycznych kombinezonach. Pierwszy niósł zapasowy uniform, drugi wymierzył w nią swój karabin szturmowy.

– Proszę założyć ręce za głowę – odezwał się stłumionym przez respirator głosem.

Colomba wykonała rozkaz.

– Jestem zastępcą komendanta wydziału zabójstw, moje nazwisko Caselli. To ja wszczęłam alarm.

– Proszę się nie ruszać – ciągnął uzbrojony żołnierz, a jego kolega pomimo grubych rękawic przeszukiwał ją pewnymi ruchami. Zabrał jej służbowy pistolet i nóż sprężynowy, które włożył do plastikowego woreczka z hermetycznym zamknięciem i przekazał żołnierzowi stojącemu na schodkach pociągu. Wziął z jego rąk większy worek i podał go Colombie.

– Proszę się rozebrać i włożyć ubrania do worka. Potem proszę założyć kombinezon.

– Przy was? – zapytała Colomba. – Ani mi się śni.

– Jeśli się pani nie zgodzi, mamy rozkaz strzelać. Proszę nas nie zmuszać.

Colomba zamknęła na chwilę oczy i pomyślała, że są gorsze rzeczy niż publiczne rozbieranie. Na przykład śmierć przez udławienie wymiotowaną krwią lub kulka w tył głowy. Wskazała palcem kamerę bojową umieszczoną na hełmie żołnierza z karabinem.

– Dobra, ale wyłącz to. Nie mam zamiaru trafić goła do Internetu, obojętnie, czy będę żywa, czy martwa.

Żołnierz zasłonił ręką obiektyw.

– Proszę się pospieszyć.

Colomba rozebrała się szybko, doskonale zdając sobie sprawę, że mężczyźni się jej przyglądają. W ubraniu umięśnione uda i plecy czyniły ją potężniejszą, niż była w rzeczywistości, ale nago w pełni demonstrowała doskonale proporcje kobiety, która przez całe życie dbała o formę. Założyła ciężki uniform, a żołnierze pomogli jej z respiratorem.

Chociaż doskonale nurkowała, to jednak maska potęgująca w uszach dźwięk oddechu sprawiła, że poczuła się osaczona. Znowu pojawił się znajomy ucisk w płucach, ale teraz był już bardzo słaby i szybko zniknął. Żołnierze wypchnęli ją na zewnątrz i odprowadzili wzdłuż taśmy oddzielającej pociąg, który zapakowany w plandeki był niczym jedno z dzieł Christa.

Sytuacja na stacji przypominała Apokalipsę.

O czwartej rano na dworcu oświetlonym blaskiem reflektorów wojskowych było jasno jak w dzień. Kręcili się tam jedynie żołnierze, karabinierzy, policjanci, strażacy i jacyś funkcjonariusze ubrani po cywilnemu. Żadnego hałasu przyjeżdżających i odjeżdżających pociągów, żadnych komunikatów podawanych przez megafony, żadnych rozmów pasażerów przez komórki. Słyszeć było jedynie głuche echo stukających głańców, które odbijało się od sklepienia, przerywane głośnymi rozkazami oficerów i wyciem syren radiowozów.

Żołnierze odeskortowali Colombę do kampera stojącego na środku hali biletowej, gdzie znajdowało się mobilne laboratorium. Lekarz wojskowy pobrał jej krew i płyny ustrojowe, używając gumowej opaski, którą miała na ramieniu. Wykonał również zastrzyk, który sprawił, że poczuła w ustach kwaśny smak.

Nikt się do niej nie odzywał. Nikt nie odpowiadał na żadne pytania i nikt nie brał pod uwagę próśb, nawet tych najbardziej podstawowych. Po półgodzinie takiego traktowania Colomba straciła cierpliwość i odepchnęła lekarza, przypierając go do ściany kampera.

– Chcę wiedzieć, co mi jest, rozumiesz? Muszę się dowiedzieć, czego się nawdychałam! – Jej oczy przypominały teraz dwa szmaragdy.

Dwaj żołnierze unieruchomili Colombę, przyciskając ją do podłogi z rękami na plecach.

– Żądam odpowiedzi! – krzyknęła ponownie. – Nie jestem waszym więźniem! Jestem oficerem policji, do jasnej cholery!

Lekarz się podniósł. Pod kapturem okulary zsunęły mu się z nosa.

– Wszystko w porządku – mruknął. – Możemy panią wypuścić.

– Nie mogliście mi tego wcześniej powiedzieć!

Żołnierze zwolnili uścisk, a ona wstała, wymierzając temu, którego miała pod ręką, solidnego kuksańca w żołądek.

– Co z moimi współpracownikami?

Lekarz próbował założyć okulary, nie zdejmując rękawic, i skończyło się na tym, że prawie wybił sobie oko oprawką.

– Wszyscy mają się dobrze. Daję słowo.

Colomba zdjęła kask. O Boże, jak wspaniale smakowało powietrze wolne od własnego potu! Pięć minut później zwrócono jej ubranie i mogła znowu poczuć się człowiekiem, a nie kawałkiem mięsa, z którego pobierano próbki. Głowa pękała jej z bólu, ale przeżyła, a jeszcze kilka godzin temu nie było to wcale takie pewne. W międzyczasie na dworcu wyłączono reflektory wojskowe, ale ciągle jeszcze panowała surrealistyczna atmosfera oblężenia. Ciała włożono do białych wodoszczelnych worków i ułożono w rzędzie na peronie. Dwóch brakowało, bo trafiły już do jednego z kamperów, gdzie poddawano je koniecznym analizom.

Odpowiedzialny za operację Marco Santini oderwał się od grupki funkcjonariuszy stojących w pobliżu wejścia na stację metra i podszedł do Colomby, utykając na lewą nogę. Był wysoki, miał orli nos i cienkie wąsy przypominające stalowe nitki. Nosił zniszczony prochowiec i kaszkiet

w irlandzkim stylu, które nadawały mu wygląd emeryta. Dopiero spoglądając z bliska w jego twarz, nabierało się pewności, że to niebezpieczny sukinsyn.

– Jak się czujesz, Caselli?

– Lekarz powiedział, że wszystko w porządku, ale muszę to jeszcze przemyśleć.

– Mam coś dla ciebie – Santini podał jej woreczek z bronią, którą jej wcześniej odebrano. – Nie wiedziałem, że latasz po mieście z nożem sprężynowym.

– To talizman – wyjaśniła, chowając go w kieszeni kurtki. – Tylko że skuteczniejszy niż czterolistna koniczyna, zwłaszcza jeśli ktoś zaczyna się przystawiać.

– To nie do końca zgodne z regulaminem.

– Masz jakiś problem?

– Nie, dopóki nie wbijesz mi go w plecy, to nie.

Colomba przypięła kaburę z berettą do pasa. Na co dzień nosiła ją z tyłu na plecach, żeby jak najmniej rzucała się w oczy. Największy problem był latem.

– Są jakieś szanse, że chodzi o wypadek? Na przykład o ulotnienie się zabójczej substancji chemicznej czy coś w tym rodzaju?

– Niestety, nie – Santini spojrzał jej w oczy. – ISIS już przyznało się do zamachu.

NA WIDEO, KTÓRE sprawiało wrażenie, jakby zostało nagrane za pomocą komórki, widać było dwóch mężczyzn średniego wzrostu w dżinsach i ciemnych koszulkach. Nosili czarne kaptury i okulary przeciwsłoneczne. Dość ciemny odcień skóry ramion mógł wskazywać na bliskowschodnie pochodzenie. Obaj byli młodzi, przed trzydziestką, i na odkrytych częściach ciała nie mieli żadnych tatuaży ani blizn.

Za nimi wisiało prześcieradło uniemożliwiające obserwację całego pomieszczenia.

Obaj mężczyźni po kolei podziękowali swojemu Bogu, po czym przekazali uroczyste pozdrowienie kalifowi Abu Bakr al-Baghdadiemu, irakijskiemu przywódcy ISIS. W rękach trzymali kartki i odczytywali z nich komunikat, od czasu do czasu spoglądając w obiektyw. Mówili po włosku.

– Jesteśmy żołnierzami Państwa Islamskiego – zaczął stojący po lewej stronie ekranu. – To my zaatakowaliśmy pociąg niedostępny dla naszych braci emigrantów, wożący bogaczy, którzy finansują wojnę przeciw prawdziwej wierze.

Potem włączył się mężczyzna z prawej strony. Miał głęboki głos z wyraźnym rzymskim akcentem.

– Nigdy nie zaprzestaniemy atakować was w czasie podróży, w drodze do pracy i kiedy śpicie w waszych domach. Nasze działania są zgodne z prawem Koranu. Wy walczycie z wyznawcami prawdziwej wiary, trzymacie ich w więzieniach, bombardujecie ich miasta, my uderzamy w was.

Mężczyzna z lewej ciągnął:

– Za pozwoleniem Allaha zdobędziemy Rzym, zniszczymy wasze krzyże, a z waszych kobiet zrobimy niewolnice. Nawet w waszych sypialniach nie możecie czuć się bezpieczni.

– Mamy zakryte twarze, aby znowu uderzyć, i będziemy walczyć, aż zginiemy męczeńską śmiercią – zakończył mężczyzna po prawej.

Potem zapadła grobowa cisza i film się urwał. Pokazano go na ciekłokrystalicznym ekranie w poczekalni dla *frequent traveler* na dworcu Termini, której strzegli żołnierze z oddziałów specjalnych w kominiarkach i z karabinami szturmowymi. W pomieszczeniu zastawionym sofami o falistych kształtach kłębiło się około pięćdziesięciu oficerów należących do różnych formacji wojskowych i policyjnych. Kiedy rozbłysły światła, zaczęli mówić jeden przez drugiego i generał karabinierów, przewodniczący zebraniu, musiał prosić o ciszę.

– Proszę mówić po kolei.

– Czy mamy do czynienia z większą grupą czy tylko z tą dwójką? – zapytał jeden z oficerów policji.

– Na tę chwilę obie hipotezy są prawdopodobne – oświadczył generał. – Jak doskonale wiecie, obecnie każdy szaleniec, który chce wyładować swój gniew, może się ogłosić żołnierzem kalifatu. Niemniej jednak obecny zamach wymagał zaawansowanych przygotowań oraz materiałów, których zdobycie nie jest łatwe. Stąd wniosek, że powiązania z oddziałami ISIS są możliwe.

Colomba, która stała z boku, opierając się o ścianę z matowego szkła, podniosła rękę.

– Czy w pociągu przewożono coś, co uzasadniałoby atak?

Niektórzy z funkcjonariuszy na jej widok zaczęli trącać się łokciami, ale generał nawet okiem nie mrugnął.

– Nie, proszę pani. Nic nam o tym nie wiadomo. Ale śledztwo dopiero się rozpoczęło. – Powiódł wzrokiem po obecnych. – Na Wiminale zebrał się właśnie sztab kryzysowy pod przewodnictwem premiera i ministra spraw wewnętrznych. Muszę państwa poinformować, że stopień zagrożenia został podwyższony na Alpha 1, a to oznacza możliwość kolejnych ataków terrorystycznych. Wszystkie jednostki policji i służb specjalnych postawione zostały w stan gotowości. Przestrzeń powietrzna nad Rzymem to teraz No Fly Zone, a w całym kraju wstrzymano ruch samolotowy. Dworzec Termini pozostanie zamknięty aż do odwołania, podobnie jak metro, sprawdzane właśnie przez saperów.

Po tych słowach zaległa cisza, w czasie której obecni próbowali zmierzyć się z powagą sytuacji. Włochy zmieniły się w teren działań wojennych.

– Jakiej broni użyli terroryści? – zapytał ten sam oficer policji.

Generał skinął na kobietę w ciemnej garsonce. Była to Roberta Bartone z laboratorium medycyny sądowej w Mediolanie, dla przyjaciół Bart. Colomba znała jej zasługi, ale nie spodziewała się jej tutaj.

– Bardzo proszę, *dottoressa* – zachęcił ją generał. – *Dottoressa* Bartone z Labanof nadzoruje badania ciał ofiar.

Bart zajęła miejsce za kontuarem służącym jako podium i podłączyła laptopa do ciekłokrystalicznego ekranu.

– Chciałabym państwa ostrzec, że niektóre zdjęcia są dość drastyczne.

Nacisnęła spację i na ekranie pojawił się obraz przedstawiający pojemnik na spray owinięty grubą taśmą do pakowania. Z cewki cylindra wystawały dwa przewody elektryczne połączone z zegarem na baterie.

Zrobiło się niewielkie zamieszanie, bo uczestnicy spotkania przepychali się, żeby lepiej zobaczyć zdjęcie. Ktoś z tyłu zaczął protestować, że nic nie widzi.

– Podczas przeszukania – zaczęła Bart – saperzy znaleźli litrową butlę na sprężone powietrze podłączoną do systemu klimatyzacji. – Na kolejnej fotografii widniał otwarty panel na ścianie pociągu, w środku znajdowały się przewody elektryczne i gumowe rurki. – O dwudziestej trzeciej trzydzięci pięć zawór elektromagnetyczny otworzył cewkę butli i wypełniający ją gaz przedostał się do luksusowego przedziału pierwszej klasy. Zawór został uruchomiony za pomocą francuskiej komórki Nokia 105 jednorazowego użytku, która z dużym prawdopodobieństwem otrzymała sygnał od takiego samego telefonu. Policjanci z wydziału do walki z przestępczością internetową już to sprawdzają.

Bart kliknęła i na ekranie pojawił się obraz wnętrza przedziału od strony drzwi, przez które wcześniej weszła Colomba. Ciała leżące najbliżej były bardzo wyraźne. Bart przewinęła zdjęcia przedstawiające denatów. Słysząc było pomruki.

– Gaz spowodował niemalże natychmiastową śmierć, przedostając się do płuc i wywołując konwulsje, rozluźnienie zwieraczy i wewnętrzne krwotoki.

Kliknięcie. Fotografia przedstawiała staruszkę z laską.

– Mimo że wygląda to na atak, mamy tu do czynienia z samookaleczeniem spowodowanym konwulsjami *in limine mortis*. Biorąc pod uwagę wygląd ciał oraz szybkość zgonu, funkcjonariusze NBC wskazywali początkowo na gaz VX lub sarin. To dlatego zastosowano procedury nakazujące całkowitą izolację skażonej powierzchni. Po przybyciu na miejsce zdarzenia dokonałam wstępnych oględzin ciał i zauważyłam przedwczesne, jasnoczerwone plamy pośmiertne.

Kliknięcie. Różowa plama na gołych plecach jednego z denatów leżącego na stole autopsyjnym.

– Moją uwagę zwrócił nienaturalnie błyszczący i jasny kolor krwi.

Kliknięcie. Plama krwi na jednym z foteli.

Jeden z policjantów wyszedł pośpiesznie przez automatyczne drzwi, zakrywając usta dłonią.

– Te cechy sprawiły, że pomyślałam o innej substancji – ciągnęła Bart – można powiedzieć bardziej powszechniej, i moja hipoteza okazała się słuszna, co potwierdzają rezultaty badań próbek. – Przerwała na chwilę. – Cyjanek – dodała na koniec lekko drżącym głosem.

Kliknięcie. Schemat cząsteczki chemicznej.

– Kwas cyjanowodorowy w postaci gazu – wyjaśniła stanowczym tonem. – Jak państwo wiedzą, cyjanek podnosi poziom żelaza w komórkach i uniemożliwia oddychanie. Ofiary umierają w konwulsjach, ponieważ czerwone krwinki przestają dostarczać tlen do tkanek. Człowiek się dusi, mimo że nie przestaje oddychać. Tlen pozostaje we krwi, która z tego powodu zmienia kolor.

Kliknięcie. Okno w luksusowym przedziale pierwszej klasy.

– Gaz ulotnił się przez drzwi wagonu i szczeliny w oknach, a proces ten przyspieszyły ruch pociągu oraz różnica ciśnień w tunelach.

Kliknięcie. Martwy kierownik pociągu.

– Niestety, koncentracja substancji trujących była jeszcze na tyle wysoka, że kierownik pociągu po otwarciu drzwi przyjął dawkę, która okazała się śmiertelna. Na szczęście pozostały gaz rozproszył się w powietrzu, chociaż funkcjonariusz Polfer, który jako pierwszy dokonał inspekcji, nawdychał się go w takiej ilości, że ma problemy z oddychaniem. Upadł w drodze do domu i został przewieziony do szpitala, gdzie ustalono, że nie grozi mu już żadne niebezpieczeństwo.

Z sali dobiegły kolejne pomruki. Bart przerwała wyjaśnienia, a generał karabinierów ponownie poprosił o ciszę. W tym samym czasie Colomba zastanawiała się, jak zemścić się na leniwym koledze z policji kolejowej.

– Niemniej jednak – dodała Bart – wszyscy, którzy mieli jakąkolwiek styczność z ciałami lub weszli do pociągu, zostali poddani działaniom profilaktycznym. Podano im cyanokit i oprócz lekkich mdłości i bólu głowy nic im nie grozi.

– Dlaczego gaz rozprzestrzenił się jedynie w pierwszym wagonie? – zapytał generał po zapoznaniu się z dokumentacją zdjęciową.

– Bo mieliśmy szczęście.

Kliknięcie. Na fotografii podsumowującej cały materiał widniała gmatwanina przewodów i Colomba odniosła wrażenie, że zostały one narysowane długopisem na kartce papieru, co zresztą mogło być prawdą.

– Proszę zwrócić uwagę na czerwone zakreślenie. W tym miejscu znajduje się urządzenie odpowiedzialne za przepływ powietrza między luksusowym przedziałem a pozostałymi. – Bart wskazała długopisem na nieco mniejsze kółko. – Pojemnik z gazem został podłączony dokładnie tutaj, na górze, w odległości pięciu centymetrów od węzła klimatyzacyjnego. Gdyby zamachowcy umieścili zbiornik poniżej, gaz przedostałby się do wszystkich wagonów, jak również do kabiny maszynisty. Liczba ofiar śmiertelnych byłaby wtedy znacznie większa.

Zebrani zadawali kolejne pytania, ale nasilający się ból głowy zmusił Colombę do opuszczenia sali. Chciała zaczerpnąć świeżego powietrza.

Maurizio Curcio przyłączył się do niej po kilku sekundach i zapalił papierosa. Był komendantem sekcji Mobile i od kiedy Colomba wróciła do

służby, a było to przed siedmioma miesiącami, łączyły ich serdeczne stosunki.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Niedawno zgolił wąsy i Colomba jeszcze nie zdołała się do tego przyzwyczaić. Uniesiona górna warga nadawała jego twarzy ironiczny, niemal złośliwy wygląd.

– Jestem tylko trochę przymulona. Uda nam się odkryć miejsce pochodzenia cyjanku?

– Zdaniem naszej pani doktor nie będzie to łatwe. Mamy do czynienia z produktem domowej roboty, wytworzonym z powszechnie dostępnych roślin, takich jak na przykład lauro coś tam.

– Laurowiśnia – poprawiła go Colomba, bo kiedy pracowała w Palermo, było to jedyne drzewko, któremu udało się przeżyć w jej ogródku. – To znaczy, że ISIS ma swoje laboratorium we Włoszech.

– Albo dobrze zaopatrzonego magazyn. A najprawdopodobniej i jedno, i drugie. Prawda jest taka, że nic nie wiemy. – Wyrzucił niedopałek do przepelnionej popielniczki. – Poza tym, że prędzej czy później coś takiego musiało się wydarzyć.

– Mogło być gorzej.

– Jasne, tylko że nie wiemy, co te sukinsyny teraz planują, i musimy ich dopaść, zanim uderzą ponownie. Idź do domu i odpocznij trochę, bo inaczej za chwilę będę musiał zbierać cię z ziemi.

– To nie czas na odpoczynek, *dottore*.

– No to przynajmniej weź prysznic. Wiem, że to niezbyt grzecznie z mojej strony, ale śmierdzisz jak piłkarska szatnia po meczu.

Colomba się zaczerwieniła.

– Zobaczymy się w biurze.

Pożegnała się pospiesznie z Bart, która objęła ją serdecznie, zasypując zarzutami w stylu „czemu się nie odzywasz”, po czym poprosiła o odwiezienie do domu. Jako kierowca trafił jej się starszy policjant przed emeryturą, który wyjawiał jej swoje obawy związane z wybuchem trzeciej wojny światowej, podczas gdy ona wpatrywała się w mijane ulice nieruchomym wzrokiem utkwionym w oknie radiowozu. Kiedy oczy

zamykały jej się ze znużenia, pojawiały się obrazy przedstawiające wykrzywione twarze otrutych pasażerów, a zapach środków dezynfekcyjnych, którymi przesiąkło jej ubranie, zmieniał się w fetor gówna i krwi unoszący się w wagonie. Zaraz potem pojawiła się jeszcze dawniejsza woń, przywodząca na myśl spalone, porozrywane wybuchem C-4 ciała w paryskiej restauracji, gdzie omal nie straciła życia. Nazywała to wydarzenie katastrofą.

Widziała starszą kobietę, której ciało wybucha i uderza w siedzących przy sąsiednich stolikach gości; młodego małżonka, który paląc się, wylatuje przez okno. W pewnym momencie rzeczywiście musiała się zdrzemnąć, bo obudził ją dźwięk własnego głosu i nieprzyjemne uczucie w gardle towarzyszące wysiłkowi przy mówieniu. Chyba naprawdę coś powiedziała, ponieważ kierowca przyglądał się jej kątem oka, a na jego twarzy malował się niepokój.

Chwiejąc się, weszła do domu. Jej mieszkanie mieściło się w starej kamienicy nad Tybrem, niedaleko Watykanu. Dwa pokoje umeblowała sprzętami pochodzącymi z targów staroci i meblami z Ikei. Colomba mieszkała tam już prawie cztery lata, a mimo to mieszkanie sprawiało wrażenie bezosobowego i mało uczęszczanego, pomijając część salonu, gdzie stał fotel z czerwonej skóry otoczony stosami starych książek, sprzedawanych na straganach. Kupowała je na kilogramy, mieszając kieszonkowe wydania klasyki i romansidła zapomnianych autorów. Lubiła niespodzianki i różnorodność, a biorąc pod uwagę niewielki wydatek, bez żalu wyrzucała je do śmieci po kilku stronach, jeśli nie znajdowała tego, czego szukała. Obecnie brnęła powoli przez *Uwodziciela* Maupassanta, a egzemplarz był w tak złym stanie, że czasami strony wypadały, gdy je odwracała.

Weszła pod prysznic, a niedługo potem, kiedy już owinęła się szlafrokiem w japońskim stylu, zadzwonił Enrico Malatesta, analityk finansowy i jej były narzeczony. Byli razem aż do czasu, gdy Colomba trafiła do szpitala po wybuchu w Paryżu, dręczona poczuciem winy i atakami paniki. Wtedy Enrico zniknął, a kilka miesięcy temu znowu się

pojawił, wykorzystując banalne wytłumaczenie, że znalazł w szufladzie stare zdjęcie, tak jak w piosence grupy Pretenders.

Mówił, że za nią tęskni, ale prawdopodobnie szukał jej towarzystwa, bo nie wiodło mu się w nowych związkach. Colomba nie miała dość siły, by posłać go do wszystkich diabłów. Kiedyś go kochała i było im bardzo dobrze w łóżku, a wspomnienie satysfakcjonującego seksu powstrzymywało ją przed natychmiastowym odłożeniem słuchawki.

– Przeczytałem informację o zamachu – odezwał się Enrico.

Dźwięki w tle świadczyły, że jest w parku, prawdopodobnie w Villa Pamphili. Lubił biegać wcześniej rano, oboje to lubili.

– W Internecie napisali, że ty też tam byłeś.

– Skoro tak napisali, to musi być prawda.

– Przestań się wygłupiać. Byłeś tam czy nie?

Colomba wyszła z łazienki i usiadła na skraju łóżka, które przyciągało ją w tej chwili niczym magnes.

– Byłam.

– Myślałem, że piorun nie uderza dwa razy w to samo drzewo.

– Ale jesteś delikatny... Niestety, muszę cię rozczarować. W mojej pracy łatwo zmienić się w piorunochron. – *Niektórzy mają do tego predyspozycje*, pomyślała.

– Jak było?

– Dzwonisz po pikantne szczegóły?

– Wiesz przecież, że bardzo je lubię – powiedział wesołym tonem.

Próbujesz go sprowokować? – zapytała się w duchu Colomba, naśladowując sposób mówienia matki. *Co ci strzeliło do głowy?*

– Nie mam ci nic do powiedzenia – ucięła. – Kilka martwych osób i nic poza tym.

– Podobno jakaś organizacja już przyznała się do zamachu?

– Tak mówią.

– Użyli gazu?

– Tak. – Colomba nie zdołała się opanować i dodała pod wpływem impulsu: – Ja też znalazłam się w strefie zagrożenia. Może nawet znikoma dawka przedostała się do mojego organizmu.

– Żartujesz...

– Nie.

– Jak się teraz czujesz? – Jego głos przybrał cieplejszą barwę i brzmiał szczerze, ale Colomba zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę się o nią martwi, czy to tylko jedna z jego gier.

Postanowiła mu uwierzyć i opadła na łóżko, a jej szlafrok rozchylił się, ukazując gołe uda. Nagle poczuła przyływ palącego pożądania do swego eksnarzeczonego i włożyła rękę między nogi.

– Wszystko w porządku, nie martw się – powiedziała.

Co ty wyprawiasz? Już zapomniałaś, że rozmawiasz z dupkiem, który zostawił cię, kiedy leżałaś w szpitalu? Nie, nie zapomniała, problem w tym, że zostały również inne wspomnienia.

– Jak mam się nie martwić? Przecież to naturalne. Jesteś w domu? Wpadnę do ciebie przed pracą.

Tak, przyjdź.

– Nie, muszę wyjść, zobaczymy się innym razem.

Nie słuchaj tego i przyjdź.

– Będę u ciebie za pięć minut – powtórzył Enrico, wyczuwając, że opór Colomby słabnie.

Tak, przyjdź. I to zaraz, pomyślała.

– Nie, właśnie wychodzę – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Zachowujesz się jak jakaś puszczalska, upomniała samą siebie. I to w takim momencie. Łóżko i podniecenie sprawiły, że się odprężyła, bezwolnie zamknęła oczy i osunęła się delikatnie w czarną dziurę.

Godzinę później obudził ją dzwonek telefonu stacjonarnego, którego z początku nie rozpoznała, tak rzadko go używała. Po omacku sięgnęła po słuchawkę, która omal nie wypadła jej ze zdrtwiałej dłoni. Usłyszała głos sekretarza komendanta Curcia nakazujący, żeby natychmiast wróciła do biura, bo rozpoczyna się oblawa.

WYDZIAŁ ZABÓJSTW POLICJI mieścił się na piątym piętrze byłego klasztoru Dominikanów przy via San Vitale, w budynku komendy głównej, dwa kroki od ruin Fori Imperiali. Colomba udała się do biura pieszo, aby się całkiem rozbudzić; droga prowadziła przez centrum starego miasta, między innymi przez plac Trevi. W każdy normalny dzień o wpół do jedenastej rano wokół fontanny Berniniego kręciły się liczne grupki turystów, a tymczasem zauważyła jedynie kilka osób, które wcale nie wyglądały na zachwycone. Histeria wywołana groźbą zamachu bombowego, zalecenie unikania zatłoczonych miejsc, pomyślała, chociaż żadnej bomby na razie nie znaleźli. Po pięciu minutach przekroczyła bramę z napisem SUB LEGE LIBERTAS i wspięła się na piąte piętro, gdzie mieściły się biura dziewięciu sekcji Mobile, a dziewięćdziesięciu funkcjonariuszy miało do dyspozycji dziewiętnaście pokoi, dwie toalety, salę konferencyjną, ksero i dwie drukarki (jedna od dłuższego czasu była zepsuta) oraz poczekalnię dla gości i celę. Z powodu stanu zagrożenia cofnięto przepustki i zawieszono system zmianowy, więc na korytarzach było więcej pracowników niż zwykle. Poważne miny i ponure spojrzenia, włączone radia i telewizory.

Niektórzy koledzy już wiedzieli o jej nieszczęśliwej przygodzie i próbowali ją zagadywać, lecz Colomba wyminęła ich bez słowa i weszła do przepelnionej i dusznej sali konferencyjnej, gdzie wraz z trzydziestoma innymi policjantami o zmęczonych twarzach wysłuchiwała zarządzeń ministra spraw wewnętrznych. Ciągłe jeszcze nie ustalono tożsamości zamachowców i wydano polecenie, aby wszyscy zajęli się zbieraniem informacji na temat ekstremistów islamskich oraz sympatyków ISIS przebywających na terytorium Włoch. W prostych słowach nakazywano zaglądać pod kamienie z nadzieją, że znajdzie się pod nimi coś użytecznego.

– Operacja nosi kryptonim Sito – poinformował Curcio, odwracając się w stronę starej mapy Rzymu zawieszanej na ścianie obok jeszcze bardziej zniszczonej mapy Włoch posklejanej taśmą. – I w najbliższych godzinach

obejmie swoim zasięgiem największe włoskie miasta. Rzym został podzielony między nas, karabinierów i Zielone Berety^[3]. My dzisiaj musimy zająć się Centocelle, Ostią, Casiliną i Torre Angela.

Były to peryferia, gdzie kwitły drobna przestępczość i handel narkotykami. Za plecami Colomby ktoś skomentował po cichu:

– Że też nigdy nam się nie trafi via del Corso^[4]...

– Na czele każdej grupy – ciągnął Curcio – stanie oficer, który dobierze sobie trzech funkcjonariuszy z własnej sekcji. Dostanie wsparcie drogówki i oddziałów specjalnych oraz mediatorów kulturowych. Poszczególne grupy będą dowodzone przez członka z grupy zadaniowej utworzonej w Wiminale, aby ułatwić koordynację akcji. Nie zwracajcie uwagi na stopnie i lata służby, bo to oni są odpowiedzialni za całą operację i mają zielone światło od tajnych służb. Macie jakieś pytania?

Nikt nie przedstawił żadnych sensownych obiekcji, a Colomba dostała przydział do Centocelle, dzielnicy leżącej we wschodniej części miasta, bo znała działające tam centrum kultury odwiedzane przez muzułmanów. Jeden z członków udusił żonę i to właśnie Colomba zakuła go w kajdanki niedługo po tym, jak wróciła na służbę.

– Wszystko, co znajdziemy, może się przydać – powiedział Santini, kiedy Colomba przysłała do jego gabinetu po ostatnie dyspozycje.

Policjant siedział za biurkiem z lewą nogą na blacie. Rok wcześniej musiał poddać się operacji, w czasie której umieszczono mu w tętnicy kawałek plastiku, i teraz noga była sprawna zaledwie w połowie, ale za to bolała dwa razy mocniej, niż się spodziewał. A może i trzy razy.

– Nawet jeśli znajdziesz tylko przeterminowane pozwolenie na pobyt, to aresztuj wszystkich i zamknij lokal.

– Idziemy dolać oliwy do ognia – zauważyła Colomba. – Niezły syf.

– Tak jest nasz świat zorganizowany, Caselli. Chcesz się sprzeciwić przełożonym? – zapytał z wyraźną ironią w głosie.

Colomba prychnęła z niecierpliwością.

– Jeszcze jakieś wskazówki, szefie?

Santini włożył do ust papierosa. Zarówno latem, jak i zimą palił zawsze przy otwartym oknie.

– Obowiązkowa kamizelka dla wszystkich, rozumiano? I nie rób głupstw jak zwykle.

Colomba opuściła biuro, wzięła z szafy kamizelkę kuloodporną i poszła do sali konferencyjnej po swoich Trzech Muszkieterów, którzy na jej widok skoczyli na równe nogi. Byli to: Alberti, inspektor Claudio Esposito – łysy mężczyzna o posturze rugbisty, zawieszony już w przeszłości dwukrotnie z powodu stosowania przemocy fizycznej względem podejrzanych i kolegów, oraz zastępca komisarza Alfonso Guarnieri – dryblas z bródką, uroczy niczym ból zębów. Przewisko dla grupy wymyślił Alberti, ale nikt go nie używał. Colomba pomyślała, że odpowiedniejsze dla tej grupy byłoby coś w rodzaju: Trzej Frajerzy, zważywszy, że bez niej tkwiliby za biurkiem i przeglądali dokumenty w oczekiwaniu na emeryturę.

W drodze do Centocelle usiadła na tylnym siedzeniu i zaczęła czytać dotyczące śledztwa nowe informacje, które kazała wydrukować przed wyjazdem w teren. Denat w szarym garniturze nazywał się Adriano Main i był anesteziologiem z polikliniki Gemelli, a także członkiem komitetu naukowego kliniki Villa Regina w Mediolanie. Niedawno skończył sześćdziesiąt dwa lata i wracał do domu po przeprowadzeniu skomplikowanej operacji.

Natomiast modnie ubrany młody mężczyzna, Marcello Perrucca, był właścicielem dyskoteki Gold na Appia Antica oraz kilku innych nocnych lokali, miał trzydzieści lat i musiał skorzystać z pociągu, bo stracił prawo jazdy.

Kobieta nosząca buty na wysokich obcasach, pięćdziesięcioletnia Paola Vetri, była znaną w świecie show-biznesu rzeczniczką prasową i swego czasu współpracowała z takimi sławami jak Robert De Niro i Leonardo Di Caprio. To jej śmierć wywołała największą sensację.

Staruszek z laską w gardle nazywał się Dario Ballardini, miał siedemdziesiąt dwa lata i był kiedyś przedsiębiorcą z branży meblowej. Przed kryzysem sprzedał wszystko Chińczykom i korzystał z uroków bycia emerytem. Jechał do Rzymu w odwiedziny do córki i wybrał ostatni pociąg, bo cierpiał na bezsenność, a pewnie i dlatego, że sprawiało mu też przyjemność zwracanie głowy rodzinie. Trzydziestodziewięcioletnia

Orsola Merli, żona rzymskiego biznesmena z branży budowlanej, wracała właśnie do domu. Kilka godzin wcześniej popsuł jej się samochód i musiała przesiąść się na pociąg. To jej ciało znaleziono w toalecie.

Mężczyzna w pozie Supermana nazywał się Roberto Coppola i miał trzydzieści osiem lat. Był najsłynniejszym visual merchandiserem w Mediolanie; jechał do Rzymu, aby przygotować otwarcie nowego luksusowego francuskiego butików przy via del Babuino.

Pozostałe cztery ofiary zamachu nie były już tak wysoko postawione: dwaj stewardzi, czyli ci, którzy parzą kawę w pociągach, pochodzili z Pakistanu. Jamiluddin Kureishi, trzydzieści lat i włoskie obywatelstwo, oraz Hanif Aali, trzydzieści dwa lata i pozwolenie na pobyt. Służby specjalne zajęły się sprawdzaniem ich ewentualnych powiązań z islamskim terroryzmem, ale na razie niczego nie znalazły. Przedostatnie ciało należało do odpowiedzialnego za utrzymanie porządku Fabrizia Ponzia, lat dwadzieścia dziewięć, a ostatnie do kierownika pociągu, który jako pierwszy otworzył drzwi luksusowego przedziału i którego tożsamość Colomba poznała już wcześniej na dworcu.

Dzięki komunikatom nadawanym przez telewizję i pomocy ze strony kolei państwowych udało się ustalić dane prawie wszystkich pasażerów feralnego pociągu. Sprawdzono szczegółowo ich zeznania, jednak bez rezultatu. Na szczęście żadna z tych osób nie zatrula się gazem, chociaż zanim to potwierdzono, nie obyło się bez paniki i obłędzenia pogotowia.

Policjanci przeglądali tysiące godzin nagrań zarejestrowanych przez kamery zainstalowane w okolicach dworca centralnego w Mediolanie i w pobliżu Termini, z nadzieją na znalezienie śladów zamachowców, którzy podłożyli bombę w pociągu, lecz na razie ta żmudna praca nie przynosiła spodziewanych rezultatów. W zamian za to w całym kraju ciągle rosła liczba wszelkiej maści mitomanów i fałszywych alarmów.

W związku z zaistniałą sytuacją Ministerstwo Spraw Wewnętrznych powołało do życia zespół sędziów, który miał kontrolować grupę operacyjną kierowaną przez tajne służby. Łańcuszek osób legitymujących się prawem do wydawania rozkazów niebezpiecznie się wydłużał

i Colombie przemknęło przez głowę pytanie, kto będzie podejmował najważniejsze decyzje. Pewnie nikt, typowy *italian style*.

Ku zaskoczeniu Colomby w zespole sędziowskim zasiadała również Angela Spinelli, z którą policjantka miała już okazję współpracować w przeszłości w związku ze sprawą ciał zatopionych w jeziorze. Kolejne wspomnienie, którego wolałaby nie mieć, a które dopadło ją znienacka, jak tylko zapadła w płytki sen pod wpływem ruchu samochodu. Obudził ją delikatny dotyk Albertiego, który z zakłopotaniem trącał ją w ramię.

– *Dottoressa*, jesteśmy na miejscu.

Wyprostowała się niechętnie, czując, że głowa ciąży jej jak dojrzały arbuz.

– Dziękuję.

Siedzący za kierownicą Esposito wyjął spod kołnierzyka koszuli złoty krzyżyk i umieścił go na swojej kamizelce w rozmiarze XL.

– To dla ochrony – oświadczył.

– Schowaj to, nie jesteśmy Inkwizycją – upomniała go Colomba.

Mężczyzna z niechęcią wypełnił polecenie, chowając krzyżyk z powrotem na owłosionej piersi – włosy miał wszędzie, tylko nie na głowie.

– Jeśli interesuje panią moje zdanie, *dottoressa*, to czasami Inkwizycja by się przydała. Podobnie jak precyzyjny sierpowy w twarz.

– Nie interesuje jej twoja opinia, Claudio – włączył się Guarnieri. – Powinieneś się już zorientować.

– W porządku, ale potem nie płaczcie, jak traficie do piekła – mruknął Esposito, parkując radiowóz.

MECZET W CENTOCELLE MIEŚCIŁ SIĘ w dwupiętrowym starym warsztacie samochodowym, o czym świadczył szyld z napisem Auto coś tam, pokryty napisami w językach arabskim i włoskim. Budynek znajdował się w ślepych zaułku, który zamykało ogrodzenie oddzielające ulicę od opuszczonego terenu zawałonego odpadkami i zepsutym sprzętem gospodarstwa domowego, gdzie nocami można było spotkać spragnione seksu pary i handlarzy narkotyków.

Colomba i Trzej Muszkieterowie dotarli na miejsce o dwunastej, zastając tam dziesiątki wozów opancerzonych należących do jednostek szybkiego reagowania oraz samochody policji. Na ulicy stały trzy rzędy funkcjonariuszy w mundurach szturmowych, a między nimi i wejściem do meczetu setka Arabów wykrzykiwała slogany w ojczystym języku. Wśród tłumu były również dzieci.

Policjant po cywilnemu dyskutował z manifestantami. Był to inspektor Carmine Infanti z trzeciej sekcji i Colomba natychmiast zrozumiała, że trafił do grupy operacyjnej. Z jej punktu widzenia nie była to dobra wiadomość, bo uważała Infantiego za durnia.

– Powtarzam wam, że macie się zaraz cofnąć! – wrzeszczał cały czerwony na twarzy.

– My nie mamy żadnych powiązań z kalifatem – oświadczył po włosku mężczyzna w brązowym garniturze. – Spotykamy się tylko we własnym gronie. A wy zachowujecie się jak gestapo, nazistowska policja.

– Spokojnie, przyjacielu, my tylko wykonujemy nasze zadania. Odsuń się i każ odejść reszcie!

– To niesprawiedliwe! To jest nasze miejsce modlitwy! – protestował dalej Arab.

Odezwały się kolejne głosy poparcia, a potem tłum zaczął znowu skandować swoje hasła.

– Nic mnie nie obchodzi. Macie dziesięć sekund, żeby się odsunąć, inaczej my to zrobimy. Jasne?

Infanti podniósł głos, wypowiadając ostatnie zdanie, i grupa szybkiego reagowania uniosła tarcze i ruszyła w stronę manifestantów. Colomba instynktownie zagroziła im drogę, zwracając się do najstarszego stopniem funkcjonariusza:

– Spokojnie. Nie trzeba.

Dowódca oddziałów szturmowych przyjrzał się najpierw legitymacji, a potem właścicielce.

– Nie pani wydaje tu rozkazy – stwierdził.

To prawda. Poza tym postępuję dokładnie odwrotnie, niż powinnam.

– Nazwisko?

– Inspektor Antioco Enea... *dottoressa*.

– Postaram się wyrażać jasno, inspektorze Antioco. Jeśli niepotrzebnie użyjesz broni, będziesz miał kłopoty. Zrozumiano?

Antioco zaczerwienił się ze złości po same uszy, ale zatrzymał swoich ludzi. *No to mam kolejnego fana w klubie tych, którym nadepnęłam na odcisk*, pomyślała Colomba.

Potem rozkazała Trzem Muszkieterom, aby zostali przy oddziałach, a sama podeszła do Infantiego.

– Cześć, Carmine.

– *Dottoressa Caselli?* – powiedział i skrzywił się, jakby miał w ustach kawałek cytryny, na dodatek zgnilej.

Kiedyś byli na ty, ale te czasy bezpowrotnie minęły. Odeszli kilka kroków dalej, żeby nie przekrzykiwać demonstrujących ludzi.

– Co pani tu robi?

– Wsparcie. Co się dzieje?

– Przecież widać, nie chcą nas wpuścić do meczetu. Muszę wydać rozkaz załadowania broni.

– Gdzie jest mediator kulturowy?

– Jest ich za mało. Działamy w wyjątkowych okolicznościach, *dottoressa*. Zamierzam dostać się do środka i przykro mi, jeśli komuś stanie się krzywda.

– Daj mi pięć minut.

Nie czekając na odpowiedź, Colomba zbliżyła się do tłumu i stanęła w odległości metra od pierwszego rzędu manifestantów, po czym zwróciła się do mężczyzny w brązowym garniturze.

– Zawołaj imama.

– Nie ma tu żadnego imama.

Colomba postąpiła krok w jego stronę i wskazała mu palcem w twarz.

– Przestań udawać Greka i rusz się czym prędzej, chyba widzisz, że staram się zapobiec najgorszemu. Rafik mnie zna.

Mężczyzna powiedział coś po arabsku do stojących najbliżej ludzi, po czym zniknął w meczecie. Po kilku minutach tłum się rozstał, tworząc korytarz, przez który kroczył stary człowiek w kufi na głowie i w długiej

białej szacie falującej na wietrze. Nosił siwą brodę i okulary w masywnej oprawce. Poruszał się powoli, jakby spacerował po plaży.

– *Dottoressa Caselli* – przywitał się po włosku, stając przed Colombą.

Nie patrzył na jej twarz, nigdy tego nie robił, mając do czynienia z kobietami bez zasłony.

– Witam, imamie Rafik.

– Tutaj nie ma terrorystów. ISIS jest także naszym wrogiem.

– Musimy sprawdzić, przecież imam wie, jakie są procedury.

– To ich musi pani przekonać – wskazał na demonstrantów. – Ja nie jestem ich przywódcą, ale duchowym przewodnikiem.

Colomba popatrzyła na stojące w zwartym szyku oddziały szybkiego reagowania. Za nimi pojawili się już antyterrorysty w kominiarkach z pistoletami maszynowymi w rękach.

– Widzi ich pan? Ja też nie jestem ich dowódcą i ledwo udało mi się ich powstrzymać. Chyba pan nie chce, aby któremuś z pana wiernych stała się krzywda. Bardzo proszę. Przecież tu są dzieci.

Imam wpatrywał się w sobie tylko znany punkt za lewym uchem Colomby.

– Nie mamy nic wspólnego z zamachem na pociąg. Allah jest miłosierny i potępia zabijanie niewinnych ludzi.

– Wierzę panu, ale muszę sprawdzić meczet.

Imam spojrzał na nią kątem oka – na więcej nie mógł sobie pozwolić – po czym skinął na znak zgody.

Colomba wróciła do Infantiego, który z ponurą miną palił papierosa.

– Ustąpili. Imam nas oprowadzi.

– Najwyższy czas – mruknął z niechęcią.

– Ja też wchodzę – zastrzegła Colomba. – Imam mnie zna, a ja znam to miejsce.

– Mógłbym panią poprosić o opuszczenie miejsca akcji, zdaje sobie pani z tego sprawę, prawda?

– Jak chcesz.

Infanti nie chciał. Chociaż zważywszy na dalszy rozwój wypadków, tak byłoby lepiej.

NAJPIERW DO MECZETU weszli antyterrorysty, potem Infanti, Colomba i Trzej Muszkieterowie, natomiast funkcjonariusze z oddziałów szturmowych zostali na zewnątrz i zajęli się sprawdzaniem manifestantów. Wnętrze przypominało bar bez alkoholu, unosił się tam zapach orientalnych przypraw i środków czyszczących. Dostrzegli kilka drewnianych stolików oraz kontuar, na którym stały w rzędzie szklanki, butelki z wodą i wielki srebrny czajnik do parzenia herbaty. Ściany zdobiły zdjęcia arabskich przywódców oraz flaga z półksiężycem. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, dopóki nie zażądali otwarcia drzwi prowadzących do podziemnej siłowni. Imam zagroził im drogę.

– Musicie zdjąć buty – powiedział.

– Słucham? – Infanti nie wierzył własnym uszom.

– To jest meczet. Wchodzi się tam boso.

– Tego już za wiele. – Infanti popchnął duchownego, który z premedytacją rzucił się na podłogę, niczym symulujący piłkarz, wrzeszcząc przy tym, jakby go ze skóry obdzierano.

– Przestań, kanalio! – zdenerwował się Infanti. – Nawet cię nie dotknąłem!

Imam krzyknął jeszcze głośniejszym głosem.

Zanim Colomba zdołała go uspokoić, z zewnątrz dotarła do nich mieszanina arabskich i włoskich okrzyków oraz głuchoe odgłosy uderzeń.

Podbiegła do okna, aby zobaczyć, co się dzieje. Kilku dziesięciu wiernych próbowało wdrzeć się do środka, a funkcjonariusze z oddziałów szturmowych zagrządzali im drogę, broniąc się pałkami i zasłaniając tarczami. Pewien młody Arab padł na kolana, trzymając się za głowę, krew ciekła mu przez palce. Coraz więcej ludzi leżało na ziemi, osłaniając sobie twarze i nogi rękami, a tymczasem skupieni w grupach policjanci pałowali ich i kopali. Z tyłu ktoś zaczął rzucać szklane butelki, które rozbiły się o kaski. Antioco dał rozkaz do natarcia, na ulicy się zakotłowało, a ranni ludzie krzyczeli z bólu.

Colomba wróciła biegiem do imama, któremu założono plastikowe kajdanki. Mężczyzna opierał się o ścianę i sprawiał wrażenie, jakby ledwo trzymał się na nogach. Jeden z antyterrorystów próbował ją zatrzymać, ale wyminęła go zwodem.

– Niech ich pan powstrzyma – zwróciła się do imama.

– Bez butów – powtórzył duchowny.

– Chce zostać męczennikiem – odezwał się Guarneri.

– Przestań dolewać oliwy do ognia – uciszyła go Colomba, podnosząc głos, bo panujący na zewnątrz zgiełk zagłuszał jej słowa.

Infanti bezskutecznie starał się otworzyć drzwi do siłowni. Były zamknięte, a poza tym metalowe, co uniemożliwiało ich wyważenie.

– Gdzie jest klucz? – zapytał imama, ale ten nie raczył nawet podnieść wzroku, modląc się po cichu.

– Wyciągnijcie zamek – powiedział z irytacją do antyterrorystów, a jeden z nich poprosił przez krótkofalówkę o odpowiedni sprzęt.

Dobiegające z zewnątrz krzyki nasilały się z każdą chwilą. Siły porządkowe użyły właśnie gazu łzawiącego i ostry zapach przedostał się do środka, szczypiąc w oczy.

Nagle Colomba wpadła na pewien pomysł i przywołała do siebie Muszkieterów.

– Idźcie do samochodu po ochraniacze na buty.

Guarneri zrozumiał, co ma na myśli, i mruknął z niechęcią:

– Trzeba go powiesić za brodę, a nie wysyłać nas po ochraniacze.

– Nie wymądrzaj się, Guarneri. I uważajcie na siebie. – Skronie Colomby pulsowały na skutek przeszywającego bólu głowy.

Trzej Muszkieterowie przecisnęli się przez tłum i wrócili po kilku minutach. Alberti miał naderwany rękaw kamizelki.

– Co tak długo?

– Wie pani, co się tam dzieje, *dottoressa*? – zapytał Guarneri, dysząc ciężko.

Colomba wyrwała z jego rąk pudełko i podeszła do imama, machając mu przed nosem swoją zdobyczą.

– Widzi pan? Założymy ochraniacze i niczego nie pobrudzimy.

Imam popatrzył nieufnie na plastikowe woreczki.

– Na pewno są czyste?

– Niech pan nie nadużywa mojej cierpliwości, bo tylko ja nie chcę porozwalać tu wszystkiego dynamitem.

Colomba chwyciła go za ramię i pociągnęła w stronę drzwi. Jeden z antyterrorystów ruszył za nimi, podczas gdy cała reszta, z Infantim na czele, przyglądała się całej scenie z niedowierzaniem.

– Teraz pańska kolej – powiedziała Colomba, otwierając drzwi na oścież.

Do pomieszczenia natychmiast wdarły się opary gazu łzawiącego i krzyki, chociaż widoczność ograniczał ostatni rząd oddziałów szturmowych. Na ich widok Antioco odsunął od ucha krótkofalówkę.

– Co się dzieje?

– Powstrzymaj na chwilę swoich ludzi – poprosiła Colomba, po czym klepnęła imama w ramię. – Teraz.

– Najpierw kajdanki.

Colomba wzniosła oczy ku niebu i uwolniła go przy użyciu noża sprężynowego.

– Proszę, gotowe.

Imam pomasował sobie przeguby, a potem wzniosł w górę ramiona i zwrócił się do wiernych tłoczących się przed policyjnymi tarczami. Zgiełk ucichł natychmiast i na ulicy zaległa grobowa cisza. Duchowny przemawiał teraz spokojnym tonem, uciszając władczy gestem pytania padające z grupy demonstrantów. Wreszcie tłum przestał napierać na funkcjonariuszy.

– Zachowujcie się przyzwoicie – rzuciła Colomba w stronę dowódcy, po czym pociągnęła imama do środka i zamknęła drzwi.

– Podoba mi się pani styl, *dottoressa* – powiedział stojący na progu antyterrorysta. Sprawiał wrażenie, jakby dobrze się bawił.

Colomba widziała tylko jego niebieskie oczy w kominiarce, ale miał sympatyczny głos. Uśmiechnęła się.

– Spróbujmy zakończyć tę akcję bez stosowania przemocy.

– Powiadomię kolegów, że łom nie będzie już potrzebny.

Colomba spojrzała na imama.

– Nie będzie potrzebny, prawda?

W odpowiedzi mężczyzna wyjął z szuflady kontuaru klucz i otworzył drzwi prowadzące do podziemi.

Policjanci zeszli na dół w tym samym szyku: najpierw antyterrorysta, pozostali za nim, i znaleźli się w dużej prostokątnej sali z małymi oknami umieszczonymi na poziomie chodnika. Podłoga została wykonana z kruchego cementu, a temperatura w pomieszczeniu była pięć stopni niższa niż na górze, dało się też wyczuć wyraźny zapach potu i wilgoci. Wzdłuż jednej ze ścian ułożono dywaniki do modlitwy, a na drugiej namalowano łuk ozdobiony miniaturowymi kwiatkami i liśćmi – mihrāb, wskazujący kierunek do Mekki. Pokój był pusty.

– Widzicie? Nikogo tu nie ma – powiedział imam.

– Przeszukać pomieszczenie – rozkazał Infanti coraz bardziej wściekły. Funkcjonariusze zabrali się do przesuwania mebli i dywaników.

– Wiem, że pogardza pani naszą religią – powiedział imam do Colomby, a ona wzruszyła tylko ramionami.

– Nie mam uprzedzeń. To raczej wy je macie w stosunku do kobiet, jeśli się nie mylę.

– „Każda nieczysta kobieta zostanie rozdeptana jak nawóz na drodze”.

– No właśnie.

Imam się uśmiechnął.

– To cytat z Biblii, *dottoressa*, księga Syracydesa. Każda religia ma swoich fanatyków. Nawet takich, którzy w nic nie wierzą, jakkolwiek by to dziwnie brzmiało.

Colomba nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Spodobałby się pan jednemu z moich przyjaciół. On też zawsze musi wiedzieć wszystko lepiej niż inni.

– Wszystko w porządku – odezwał się sympatyczny antyterrorysta. – Nikogo tu nie ma.

Infanti podszedł do imama.

– Wiesz, że mogę kazać zamknąć wasz meczet? – warknął.

– Allah jest doskonały i w swej niezmierzonej mądrości znajdzie dla nas inne miejsce.

Infanti pokręcił z obrzydzeniem głową i skinął na policjantów, aby opuścili pomieszczenie. Colomba zatrzymała kolegę.

– Wszystko dobrze się skończyło, a to chyba najważniejsze, nie?

– Może dla pani dobrze. Publicznie mnie pani upokorzyła, żeby obronić tę zgrają.

– Nikogo nie broniłam.

Infanti zapalił papierosa.

– Zmieniła się pani, *dottoressa*.

– Co ma pan na myśli?

– Historię z Ojcem. Ona źle na panią wpłynęła i teraz nie myśli pani już jak ktoś z nas.

Colomba była zbyt zmęczona, aby dyskutować.

– Chodźmy stąd – powiedziała.

Infanti zgasił papierosa na ścianie i rzucił niedopałek na środek sali, uśmiechając się z pogardą.

– Jasne. Czuć tu starym capem.

Colomba, patrząc na niedopałek, zawstydziała się za zachowanie kolegi, ale w tym momencie jej wzrok padł na szare ślady na podłodze. Pochyliła się, aby lepiej się im przyjrzeć.

– Infanti... – zawołała, nie odrywając wzroku od odcisków.

– Niech pani każe posprzątać swojemu przyjacielowi imamowi, *dottoressa*.

– Nie wygłupiaj się – wskazała na podłogę. – Co ci to przypomina?

Infanti spojrzał pod światło.

– Ślady stóp?

– Butów.

– Co?

– Kto może tu chodzić w butach? – zapytała Colomba.

Infanti ruszył po śladach i dotarł do ściany, na której wisiał stary szwedzki obraz – jedyna pozostałość po poprzednich właścicielach tego miejsca.

– Co za niespodzianka – zauważył, wyciągając rękę w stronę obrazu, tam, gdzie ściana wydawała się gładza niż gdzie indziej.

Colomba za późno domyśliła się, co kolega zamierza zrobić. Krzyknęła, aby go powstrzymać, ale on już oparł dłoń na murze. Rozległ się metaliczny dźwięk i kawałek ściany obrócił się na zawiasach, ukazując niewielką niszę, w której coś się poruszyło.

– Carmine! Uciekaj!

Policjant nie zdążył ruszyć się z miejsca. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był oślepiający błysk karabinu kaliber 12.

INFANTI ZOSTAŁ POSTRZELONY przy użyciu amunicji wykorzystywanej w polowaniach na dziki. Każdy ładunek zawiera dziewięć pocisków zdolnych przebić trzy drewniane deski ułożone jedna na drugiej, tworząc otwór o szerokości talerza.

Trzy pociski chybiły celu, a cztery następne utkwiły w kamizelce, wydzielając energię kinetyczną, która odrzuciła Infantiego pół metra do tyłu. Ostatnie dwie kule przeszły ciało. Pierwsza trafiła w lewy policzek, niszcząc mu trzy zęby i kawałek języka. Druga przez nieosłoniętą kamizelką szczelinę uszkodziła ramię i zatrzymała się w kości obojczyka. Inspektor stracił przytomność i upadł na podłogę, znacząc ją śladami czerwonych kropli.

Colomba rozpaczliwe próbowała wyjąć z kabury pistolet, który jak na złość wymykał się z ręki. Padły kolejne strzały, tym razem w jej kierunku, i usłyszała brzęczenie pocisków tuż przy swojej głowie. Kule utkwiły w ścianie, a na ziemię posypał się tynk. Ruszyła biegiem w stronę jednej z trzech kolumn wznoszących się na środku sali, a huk wystrzałów odbijał się echem od ścian ze zbrojonego betonu. W tej samej chwili z niszy wyszedł, krzycząc, młody, na oko dwudziestoletni Arab w białym podkoszulku i postrzępionych dżinsach. Pusta przestrzeń między ścianami służyła kiedyś jako kolektor ściekowy, miała metr szerokości i metr głębokości. Mężczyzna znalazł tam schronienie, kiedy policja otaczała budynek. Ponownie załadował magazynek. Colomba znajdowała się na linii strzału, była roztrzęsiona, głowa pękała jej od huku pocisków i nie mogła dobrze wymierzyć. Ciągle jeszcze znajdowała się zbyt daleko od kolumny, żeby się ukryć, a reagowała zbyt wolno, aby strzelać. Czuli się jak owad uwięziony w miodzie – ociężały i widoczny jak na dłoni. Mimo dzielącej ich odległości lufa karabinu wydawała jej się ogromna. Czarne słońce, które za chwilę ją spali i pochłonie.

Które ją zabije.

O mój Boże.

Nagle ogarnęła ją absolutna pewność, że nie wyjdzie z tego cało. Zginie w tym pozbawionym światła pomieszczeniu, gdzie śmierdzi potem i prochem; zginie, bo rzuciła się bezmyślnie głową w dół w sytuację, której nie rozumiała. Lawinowy upadek rozpoczął się od wypełnionego trupami pociągu.

Podczas gdy Colomba próbowała unieść pistolet, który zdawał się ciężać ku ziemi niczym przyciągany magnesem, zauważyła, jak palce przeciwnika zaciskają się na spuście. Zdawało jej się, że słyszy trzask bezpiecznika, który przekazuje siłę na kurek, potem na iglicę i wreszcie na spłonkę. Poczowała zapalający się proch i wirujący pod powłoką naboju gaz w postaci maleńkiego, płomienistego obłoku. Potem lufa karabinu zniknęła, przesłonięta jakimś cieniem – to imam, krzycząc, wznosił w górę ramiona.

Colomba nigdy nie miała się dowiedzieć, jakie słowa wypowiedział duchowny – zrozumiała jedynie *lā*, czyli arabskie „nie” – ponieważ w tym momencie gaz wypchnął z lufy pociski, kierując je w stronę ciała imama z podwójną prędkością dźwięku. W przeciwieństwie do niej imam nie miał na sobie kamizelki, jedyną jego obroną była wiara, która niestety nie zdołała go ocalić. Przynajmniej nie przed złem tego świata. Dziewięć kul przeszło na wylot jego pierś i brzuch i wydostało się na zewnątrz przez plecy. Jeszcze przed momentem Colomba miała przed sobą żywego człowieka, a teraz tylko rozpadający się i tryskający krwią kawałek mięsa.

W końcu udało jej się zapanować nad swoim pistoletem i złożyć się do strzału. Jej palec wskazujący poruszał się z taką szybkością, że dwanaście wystrzałów połączyło się w jedną przedłużoną eksplozję. Colomba zaczęła krzyczeć już w czasie oddawania strzałów i krzyczała dalej, kiedy chłopak z bronią, ugodzony w pierś i w twarz, zachwiał się i przechylił do tyłu, by zaraz upaść na ścianę. Towarzyszył temu dźwięk, jaki wydają mokre szmaty spadające na podłogę. Przez moment opierał się o mur, a potem zaczął się osuwać wstrząsany konwulsjami. Jego mózg został podziurawiony kulami, ale organizm nadal reagował na imperatyw nakazujący walkę o życie i próbował uciekać. Colomba cały czas naciskała spust, chociaż w magazynku nie było już pocisków, nie odrywając

jednocześnie wzroku od ciała, które składało się w harmonijkę, jakby nagle zostało pozbawione kości, jakby stało się pokrowcem o kształtach ludzkiego ciała, z którego wypuszczono właśnie powietrze.

Przestała krzyczeć i zmusiła się do zapanowania nad sobą przynajmniej na tyle, aby móc wymienić magazynek na zapasowy, przez cały czas pilnie obserwując otwór za szwedzkim obrazem w obawie, że wyskoczą z niego kolejni uzbrojeni napastnicy. Nic się nie wydarzyło, chociaż kątem oka Colomba zauważyła, jak przestrzeń wokół niej się zmienia. Kiedy skupiała wzrok na jednym punkcie, wszystko było w porządku, lecz już milimetr dalej siłownia wypełniała się ruchomymi cieniami, płomieniami, niemyym krzykiem, stolikami szybującymi w powietrzu niczym frisbee.

Poczuła, że brakuje jej powietrza, i opadła na kolana. Zaczęła uderzać pięścią w cementową posadzkę, aż ból jak zwykle pokonał koszmar, który uważała już za należący do przeszłości.

Z oczami pełnymi łez ruszyła na czworakach w kierunku Infantiego i przyłożyła palce do jego śliskiej od krwi szyi, aby sprawdzić puls. Był słaby, lecz na szczęście regularny, tylko lewa część twarzy policjanta przypominała mielone mięso. Colomba powstrzymała mdłości i wyjęła z kieszeni chusteczki higieniczne, które przytknęła do rany, by zatamować krwotok.

Na schodach zabrzmiały kroki i Colomba uniosła pistolet. Po chwili zobaczyła Esposita i Albertiego.

– *Dottoressa!* – zawołał Esposito. – Niech pani nie strzela.

Colomba opuściła broń.

– Wezwijcie pogotowie.

– Co tu się stało? – zapytał Esposito.

Colomba cały czas zajmowała się raną Infantiego.

– W niszy w ścianie ukrywał się uzbrojony mężczyzna. Wezwij wreszcie tę cholerną karetkę.

– Tu nie ma zasięgu. Krótkofalówka nie działa – powiedział Alberti i rozplakał się jak dziecko.

Esposito wymierzył mu siarczysty policzek.

– Weź się w garść, chłopcze! Leć na górę i zawołaj ratowników medycznych, znajdziesz ich za oddziałami szturmowymi. Ruszaj się!

Alberti pobiegł w kierunku schodów, a Esposito pochylił się nad imamem.

– On jeszcze żyje.

– Zmień mnie – powiedziała Colomba.

Esposito zajął jej miejsce przy rannym, a ona wstała i wtedy zdała sobie sprawę, że całą rękę aż do łokcia ma pobrudzoną krwią. *Nie marudź, to mogła być twoja krew*, pomyślała. Miała nieregularny oddech i cała się trzęsła. Ta sytuacja była jak koszmar z przeszłości. Podobnie jak pociąg i Paryż.

Przecież tak naprawdę znowu zabiła człowieka.

Imam trzymał się za podziurawiony kulami brzuch, mruczając modlitwę. Głos miał bardzo słaby, kałuża krwi na podłodze pod jego ciałem stawała się coraz większa.

– Pomoc już nadchodzi – odezwała się Colomba.

Duchowny spojrział na nią przytomnie i przerwał modlitwę.

– Omar był dobrym chłopcem. Po prostu się bał – powiedział cicho.

– Co za Omar?

– Omar Hossein... ten chłopak, który do mnie strzelał.

– Czy miał coś wspólnego z zamachem w pociągu?

Imam wrócił do modlitwy i teraz szybciej wypowiadał słowa, jakby zdając sobie sprawę z uciekającego czasu. Colomba potrząsnęła nim i powtórzyła pytanie. Poczula w dłoniach wątłe ciało i kruche kości.

– Nie. Był dobrym muzułmaninem, ale wiedział, że mu nie uwierzycie... Bo znał... tych z nagrania.

Colomba poczuła rosnącą adrenalinę.

– Kim oni są?

Wzrok imama zrobił się matowy.

– To przestępcy... udają... jedno wielkie oszustwo – wyszeptał.

Colomba potrząsnęła nim delikatnie.

– Bardzo proszę mi powiedzieć, kim oni są.

– Nie wiem. Niech mi pani pozwoli odejść w spokoju – poprosił i zaczął się modlić po arabsku.

Colomba zrozumiała wreszcie, że nie powinna nalegać. Ujęła w swoje dłonie lepką od krwi rękę imama i uścisnęła.

– Dziękuję za ocalenie życia.

Duchowny po raz pierwszy i ostatni w życiu spojrział jej prosto w twarz, a potem po raz pierwszy i ostatni obdarzył ją uśmiechem, ukazując czerwone od krwi zęby.

– To nie ja, to dzieło wszechmogącego Allaha, któremu chwała na wieki. On ma jakieś plany w związku z panią, chociaż pani nie zdaje sobie z tego sprawy. – Po tych słowach żuchwa mu opadła i skonał.

Colomba podniosła się jak lunatyczka i rozejrzała dookoła po siłowni zmienionej w rzeźnię; spojrziała na Esposita uciskającego ranę Infantiego z akompaniamentem przekleństw i słów mających dodać rannemu otuchy. Dwa trupy, jeden ciężko ranny, krew, smród. *Gdybyś została na zewnątrz, to może wcale by do tego nie doszło*, pomyślała. Unoszący się w powietrzu proch szczypał ją w skórę.

Dwaj ratownicy medyczni zeszli po schodach ze złożonymi noszami, a za nimi pojawili się funkcjonariusze policji. Odsunęli Esposita i zajęli się rannym, nakładając mu na twarz maskę tlenową.

W sali pojawili się też trzej antyterrorysty, wśród których był ten sympatyczny oraz Antioco, dowódca oddziałów szturmowych.

– O kurwa – zawołał, ledwie wszedł. – Co tu się stało?

– Będziemy potrzebowali wsparcia – stwierdził sympatyczny antyterrorysta. – Na górze ciągle przybywa ludzi.

– Było słychać strzały?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie. Zbyt duży hałas. Poza tym siłownia jest dobrze izolowana.

Napływali wciąż nowi umundurowani funkcjonariusze, rozmawiali i pokrzykiwali, zatrzymywali się obok ciał i przepychali na schodach. Colomba klasnęła dwa razy w dłonie, prosząc o uwagę.

– Posłuchajcie! Nie informujcie ludzi o śmierci imama, jasne? Powiedzcie, że pomaga nam przesłuchiwać podejrzanego.

– Czemu mamy opowiadać pierdoły? – zapytał Antioco.

– Muszę ci tłumaczyć?

Mężczyzna otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

– Zawiadomcie centralę – ciągnęła Colomba. – Niech przyślą sędziego śledczego, ale uważajcie na słowa, jasne?

– Pani tu dowodzi? – zapytał sympatyczny antyterrorysta.

– Już niedługo, ale do tej pory róbcie, co mówię.

Colomba miała nadzieję, że ton jej głosu brzmi na tyle stanowczo, by nie można się było zorientować, jaki jest jej prawdziwy stan.

– Tak jest!

Colomba odwróciła kamizelkę na lewą stronę i założyła: wyglądała okropnie, ale przynajmniej nie było widać śladów krwi. Wbiegła po schodach i stanęła w drzwiach. Za kordonem funkcjonariuszy z oddziałów szturmowych stała grupa około pięćdziesięciu imigrantów, a nieco dalej młodzi włoscy anarchiści z jakiejś organizacji społecznej machali transparentem. Na szczęście dzieci zniknęły.

– Cały czas przyłączają się nowi – poinformował jeden z antyterrorystów. – Ale zachowują się spokojnie.

Guarneri podszedł do niej, minawszy uzbrojonych policjantów.

– Wszystko w porządku, *dottoressa*? – zapytał z przejętą miną.

– Nikt cię o niczym nie poinformował?

– Nie...

W tym momencie pojawili się ratownicy medyczni z noszami, na których umieszczono Infantiego. Guarneri otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Co...

– Doszło do wymiany ognia, a imam znalazł się na linii strzału. Manifestanci nie mogą się o tym dowiedzieć.

– Ktoś z naszych go zastrzelił?

– Nie, ale spróbuj im to wyjaśnić.

Ratownicy przeszli z noszami wśród tłumu i wtedy okrzyki zaczęły przybierać na sile, zlewając się w jeden, coraz wyraźniejszy. Po chwili

demonstranci powtarzali rytmicznie jedno słowo.

Rafik. Rafik. Rafik.

Colomba usłyszała w głowie głos imama. *To jedno wielkie oszustwo.*

Rafik. Rafik. Rafik.

– Wszyscy widzieli, jak wszedł do środka, ale nikt nie widział, jak wychodzi – zauważył Guarneri. – Niedługo zacznie się tu niezły bajzel.

– Już się zaczął – odpowiedziała Colomba, myśląc o uścisku dłoni imama.

– Co robimy?

Zapomnij o wszystkim, pomyślała Colomba. *Idź do domu.* Tylko że żyła i miała dług do spłacenia.

– Muszę cię o coś prosić. Niech to zostanie między nami. To wbrew przepisom, ale biorę na siebie całą odpowiedzialność, w porządku?

– Według rozkazu, *dottoressa*. Mówię to w imieniu całej naszej grupy.

Colomba zaczerpnęła powietrza. Miała jeszcze czas, żeby się wycofać. A jednak tego nie zrobiła.

– Musicie znaleźć pewnego człowieka – powiedziała. – Nazywa się Dante Torre.

ROZDZIAŁ II
Back on the Chain Gang

Wcześniej – 1987

MĘŻCZYŻNA, KTÓRY BYŁ policjantem, ogląda reportaż na ekranie małego telewizora w kuchni. To przenośny biało-czarny odbiornik z dwiema wystającymi antenami i za każdym razem, gdy pod zaniechanym budynkiem w Połtawie przejeżdża ciężarówka, obraz zaczyna migotać. Nawet wtedy mężczyzna rozpoznaje ulice prowadzące do Puszki, na filmie nakręconym kamerą z lecącego helikoptera. Dostrzega w oddali mury, na chwilę przed tym, jak słup czarnego dymu zasłania widoczność i transmisja zostaje przerwana. To zwykły przypadek, myśli. Nieszczęście spotęgowane ludzką głupotą. Nikt nie zaplanowałby takiej masakry, nie z premedytacją.

Myśl jest na tyle bulwersująca, że mężczyzna, który był policjantem, ponownie słyszy głosy i widzi tańczące kolorowe figury geometryczne. Zamyka oczy i zatyka sobie uszy rękami. Wie, że to niczego nie zmieni, ale sam gest przynosi mu niewielką ulgę. Światło i dźwięki, szepty, oślepiające kolory, strzępy wspomnień i obrazy nigdy niewidzianych miejsc wirują jak szalone w jego głowie. Oddycha ciężko. Osuwa się na kolana, obejmując głowę rękami.

W tej pozycji zastaje go Dziewczyna.

– Wstań – mówi, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Mroczki przed oczami stają się mniej wyraźne, głosy cichną tak jak zwykle, gdy Dziewczyna jest z nim. Mężczyzna, który był policjantem, wstaje i się uśmiecha, Dziewczyna nie odwzajemnia uśmiechu, nigdy tego nie robi. Przygląda mu się tylko swoimi ogromnymi oczyma. Włosy jej odrosły i teraz otaczają bladą twarz o bezkrwistych ustach.

– Masz, jedz – mówi, podając mu papierową torbę.

Wewnątrz jest chleb, dwie puszki mięsa i kilka zwiędłych jabłek.

– A ty? – pyta mężczyzna.

Ona wzrusza ramionami. Nie jest głodna. Nigdy nie jest głodna.

– Widziałem wybuch w telewizji. Te wszystkie trupy...

– Nie myśl o tym – powiedziała z kamiennym wyrazem twarzy. Zdjęła płaszcz, ukazując szczupłą, mocną sylwetkę, która wygląda jak wykonana z żelaza. Od czasów Puszki wcale się nie zmieniła, tylko włosy jej urosły. Zachowała taki sam androgyniczny wygląd, tę samą sztywną postawę. I ciągle niewiele mówi, tylko to,

co naprawdę konieczne. Kiedy robotnik z fabryki butów poderżnął sobie gardło, skwitowała to stwierdzeniem, że nie wszystkim ptaszkom udaje się przeżyć po ucieczce z klatki.

– Tobie się uda – dodała. – Jesteś mi potrzebny.

Dziewczyna kładzie płaszcz na poręczy krzesła, złożywszy go przedtem starannie, po czym sięga po stojącą na podłodze skrzynkę z narzędziami i kładzie ją na stole. Przygląda się zawartości i precyzyjnym, a zarazem delikatnym ruchem chwyta obcęgi. Policjant czuje nieprzyjemny skurcz w żołądku i smak chleba staje się kwaśny. Nic nie mówi i uważa się za tchórza, ale wie, że i tak nie udałoby mu się jej powstrzymać. Poza tym potrzebują pieniędzy, a praca, którą Dziewczyna znalazła, to jedyne zajęcie odpowiednie dla dwojga zbiegów takich jak oni.

Dziewczyna otwiera drzwi do komórki i jej postać odbija się na twarzy zamkniętego tam mężczyzny. Siedzi w samych majtkach na krześle, przywiązany taśmą klejącą. Również usta ma oklejone taśmą, która ciasno okręca się wokół szyi. Jego jedno oko jest czerwoną dziurą wypełnioną zakrzepłą krwią, z drugiego, szeroko otwartego, wyziera przerażenie. Pęcherz opróżnia się pod wpływem skurczu i mężczyzna moczy majtki.

Dziewczyna nie zwraca uwagi na smród moczu i potu, chwyta jego lewą rękę. Związany mężczyzna próbuje bezskutecznie odsunąć ramię. Jęczy coś niezrozumiale. Były policjant, który siedzi w kuchni, domyśla się, co ofiara chce powiedzieć. Chce poznać powód, dowiedzieć się, czego od niego oczekują.

– Za wcześnie na pytania – wyjaśniła Dziewczyna byłemu policjantowi. – Nie jest jeszcze gotów na udzielenie odpowiedzi.

– Mnie się wydaje, że już od dawna jest gotowy. Nie mogłabyś przynajmniej spróbować?

– Za wcześnie.

Dziewczyna nigdy nie zmienia tonu głosu, nawet kiedy rozmawia z policjantem. Nawet wtedy, gdy musi mu tłumaczyć takie oczywistości jak metody złamania człowieka.

Były policjant nie wie, gdzie ona się tego nauczyła, podobnie jak nie wie, w jaki sposób udało jej się przeżyć egzekucję w Puszcze i go uwolnić. Po prostu jej się udało i koniec, a byłemu policjantowi nie pozostaje nic innego, jak tylko jej ufać. Musi być posłuszny i liczyć na jej wielkoduszność.

Dziewczyna ujmuje mały palec lewej ręki związanego mężczyzny i wkłada go w obcęgi. On jęczy jeszcze głośniejsze. Prosi o litość, wydając nieartykułowane dźwięki. Dziewczyna powoli kręci głową.

– Za wcześnie – mówi.

Bez ostrzeżenia zaciska szczęki narzędzia i przygotowuje się na długą noc.

FACET BYŁ KRETYNEM. Ubierał się jak kretyn – nosił mokasyny na bose stopy i podwinięte spodnie, miał twarz kretyna (w dodatku opalonego) i jakby tego było mało, mówił jak kretyn. Dante Torre powstrzymał się od komentarza i udając entuzjazm, wszedł za nim przez bramę wejściową uniwersytetu Sapienza. Wielki fronton budynku powstałego w latach trzydziestych XX wieku skrywał o wiele starsze zabudowania, w których mieściły się poszczególne wydziały. Wstrzymał oddech, dopóki nie wyszli na wewnętrzny dziedziniec i nie zobaczył nad głową czystego nieba. Odetchnął z ulgą tak głośno, że kretyn, alias docent Francesco Degli Uberti z katedry historii współczesnej, odwrócił się w jego stronę.

– Wszystko w porządku, panie Torre?

– Oczywiście. Co pan powiedział, profesorze?

– Studenci bardzo się cieszą na spotkanie z panem.

Grupka młodych ludzi zmierzała właśnie w ich kierunku, śmiejąc się i popychając nawzajem. Dante ustawił się profilem i podniósł w górę ramiona, unikając tym sposobem kontaktu. Niestety, z teczki, którą miał przy sobie, na bruk posypały się kartki i długopisy. Kretyn pochylił się, aby mu pomóc.

– Zaraz to pozbieramy.

Dante szybko chwycił pierwszą kartkę, nie dając profesorowi możliwości zerknięcia na zawartość.

– Proszę się nie kłopotać, poradzę sobie.

– Ależ to żaden kłopot.

– Sam sobie poradzę – powtórzył Dante stanowczo.

Mężczyzna wyprostował się natychmiast.

– Przepraszam.

Dante zmusił się do uśmiechu.

– To dlatego... że mam swój sposób... porządkowania rzeczy – wymyślił na poczekaniu usprawiedliwienie. *O Boże, czuję się naprawdę parszywie.*

Całą noc przewracał się z boku na bok, rozmyślając o spotkaniu. Wstawał co dwadzieścia minut, a to żeby napić się kawy, wódki, wody, a to

żeby wziąć tabletkę lub zapalić papierosa. Zdołał zasnąć dopiero o świcie i śniło mu się, że przebywa w grocie, która z każdą chwilą staje się coraz mniejsza: szedł do przodu, dopóki sklepienie nie obniżyło się tak bardzo, że uniemożliwiło dalszą wędrówkę. W rzeczywistości nigdy by się na coś takiego nie zdobył, nawet gdyby podano mu środki na uspokojenie. Kiedy postanowił zawrócić, zauważył, że wejście zostało zatarasowane ogromną skalną ścianą. Jednocześnie usłyszał echo głosu Ojca rozkazującego mu, żeby uciął sobie złą rękę, i obudził się, wymiotując kwaśnym strumieniem, który śmierdział alkoholem.

Mogło być gorzej, pomyślał, paląc w łóżku papierosa, mógł zwymiotować i się nie obudzić, i udławić się we śnie jak John Belushi. Tymczasem zdjął pościel i próbował zaprać ślady w łazience hotelowego apartamentu. Nie chciał, aby pokojówka zobaczyła, co się stało, ale rezultat był oplakany. Wywiesił mokrą i śmierdzącą pościel na balkon w nadziei, że jednak wyschnie. Na szczęście słońce świeciło mocno, Dante czuł jego oślepiający blask mimo założonych lustrzanek.

Tymczasem kretyn zadał mu jakieś pytanie i czekał na odpowiedź. Dante odszukał w pamięci ostatnie słowa: wykształcenie. *O kurwa, co za nuda.*

– Nie skończyłem nawet liceum – powiedział.

– Naprawdę? Słuchając pana, nigdy bym się nie domyślił. Chodzi mi o to, że sprawia pan wrażenie osoby o wiele staranniej wykształconej – uściślił.

Dante nie przestawał się rozglądać, mierząc wzrokiem powierzchnię dziedzińca, szerokość wejścia i wyjść bezpieczeństwa. Mury wydawały się stać zbyt blisko siebie, a dobiegający z budynków hałas uważał za zbyt przenikliwy. Pocił się obficie, o czym świadczyła wilgotna bielizna.

– Uczyłem się sam, poza systemem.

– Domyślam się, że miało to związek z porwaniem, prawda?

Domyślam się, że miało to związek z porwaniem – przedrzeźniał go w myślach Dante. *A według ciebie z czym? Kretyn.*

– Tak, kiedy uciekłem, miałem już prawie osiemnaście lat i musiałem nadrobić szkołę podstawową i gimnazjum. Nie było to wcale łatwe, bo

byłem jedyny w swoim rodzaju: ani dziecko, ani stary analfabeta.

– Ma pan na myśli ucieczkę z silosu, w którym zamknął pana Ojciec?

– Właśnie. Natomiast dla pana praca naukowa to tradycja rodzinna, mam rację?

Kretyn się uśmiechnął.

– Mój wujek jest dziekanem wydziału nauk politycznych, natomiast mój ojciec wykłada w Lozannie. Domyślił się pan, słysząc moje nazwisko?

Nie, ale domyślałem się, że bez protekcji sprzątałbyś kible, a nie zajmował stanowisko docenta.

– Tak. To słynne nazwisko – potwierdził głośno z przyklejonym do ust uśmiechem.

Miał ochotę uciec, czuł, jak strużki potu spływają mu po łydkach. Chciał tylko, żeby profesor tego nie zauważył. Włożył czarne ubranie, bo czarny kolor ukrywa mokre plamy. Poza tym na głowie miał białą panamę, a na nogach parę clippersów z metalowymi blaszkami na czubkach. Ten strój i jasne, opadające na kark włosy sprawiały, że przypominał nieco Davida Bowiego z czasów *Let's Dance*. Był tylko trochę wyższy i szczuplejszy.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział kretyn, wskazując miejsce, gdzie ustawiono w rzędach około pięćdziesięciu krzeseł naprzeciwko stołu z mikrofonem.

Za biurkiem stała tablica z przyczepionymi kartkami papieru, jedna z tych, które przypominają wielkie notesy, wyposażona dodatkowo w zwisający na sznurku granatowy mazak.

– Jak pan sobie życzył, urządziliśmy spotkanie na wolnym powietrzu. Mamy nadzieję, że ktoś się pojawi, zważywszy na to, co się wydarzyło...

– Jesteśmy dość daleko od dworca – zauważył sucho Dante.

– Co nie znaczy, że ci szaleńcy skończyli podkładać bomby.

– To prawda, każde miejsce jest dobre, nie?

Kretyn nie znalazł sensownej odpowiedzi i postanowił zmienić temat.

– Jaki schemat lekcji pan wybrał?

– Ja... chciałbym zacząć od omówienia niektórych historycznych już i najbardziej kontrowersyjnych przypadków – mruknął Dante, improwizując na poczekaniu.

– Punkt kluczowy w teorii spisku – powiedział Uberti.

– Jak również we wszystkich popularnych legendach – przerwał, bo dwaj studenci usiedli w trzecim rzędzie i machali do następnych, którzy właśnie się zbliżali.

Naprawdę ktoś przyszedł mnie posłuchać. Na samą myśl o tym Dante zamarł, unieruchomiony na środku dziedzińca, a nogi ciążyły mu, jakby były z cementu.

– I co dalej? – ponaglił go kretyn.

– Muszę skorzystać z toalety.

– To tam. – Kretyn wskazał na wejście do głównego budynku.

Dante odniósł wrażenie, że ma przed sobą wejście do tunelu z ostatniego snu, paszczę gotową w jednej chwili go pożreć.

– Chciałbym tylko trochę wody.

– Jest tam też automat.

Dante spojrzał mężczyźnie w oczy i wydało mu się, że wyraźnie widział w nich słowo KRETYN.

– Cierpię na klaustrofobię. To dlatego poprosiłem o możliwość przeprowadzenia wykładu na wolnym powietrzu.

Kretyn degli Uberti uśmiechnął się przepaszająco.

– Tak, oczywiście. Przepraszam. Myślałem, że na krótkich odcinkach...

– Zależy od sytuacji. Teraz nie.

Jeden z psychiatrów, który leczył Dantego w młodości, nauczył go określania intensywności objawów w skali od jednego do dziesięciu i teraz jego termometr wewnętrzny oscylował wokół siódmej kreski. Niewiele brakuje, a będzie musiał wrócić do domu. W międzyczasie pojawiło się kolejnych ośmioro studentów. Wcześniej pomyślał, że jeśli słuchaczy będzie mniej niż dziesięciu, to zrezygnuje z wykładu. Tymczasem wyznaczona liczba została przekroczona.

– Jeszcze raz przepraszam. Zaraz przyniosę panu wodę. Niegazowana?

– Wystarczy, że będzie mokra.

Kretyn żywo ruszył w stronę budynku, a Dante natychmiast zanurzył dłoń w teczce i wyjął listek pregabaliny, przeciwbólowego leku o silnym działaniu uspokajającym. Najczęściej używają go cukrzycy, ale Dante

odkrył, że i na niego działa idealnie w kryzysowych sytuacjach. Przy połykaniu tabletek trzeba dość długo czekać na efekt, więc Dante schował się za kolumną, otworzył dwie kapsułki i wciągnął proszek, udając, że się drapie. Przez naczynka włoskowate w nosie lek przedostanie się szybciej do krwi i zacznie działać w ciągu kilku minut.

– Panie Torre? – usłyszał za sobą młodzieńczy głos.

Dante otarł nos mankietem. *Przysięgam, że to nie kokaina* – odwrócił się i zobaczył przed sobą dwoje uśmiechniętych studentów, dziewczynę i chłopaka, oboje nie mieli więcej niż po dwadzieścia lat. On miał przeciętne rysy twarzy i pochylone plecy kujona, ona była całkiem ładna, w różowej koszulce uwydatniającej biust w rozmiarze D. Dante musiał się bardzo starać, aby nie przesunąć wzrokiem poniżej jej szyi, ściskając szybko dłonie obojga i wycierając sobie po kryjomu rękę o spodnie. Nienawidził, kiedy ktoś obcy go dotykał. Zresztą bardzo często podobnie reagował też na kontakt fizyczny ze znajomymi.

– Przyszliśmy na pański wykład – odezwał się chłopak.

– Jesteśmy przekonani, że będzie bardzo interesujący – dodała dziewczyna.

– Dziękuję. – Dante nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć.

Dziewczyna uśmiechnęła się uwodzicielsko.

– Dużo czytaliśmy o pańskiej sprawie.

– Wierzcie tylko w pozytywne informacje.

– Te złe są o wiele bardziej interesujące – powiedziała dziewczyna i zaśmiała się cicho. – Czy to prawda, że prawie nie wychodzi pan z domu?

Ej, dziewczyno, jesteś o połowę młodsza ode mnie. Nie każ mi się czuć jak śliniący się staruszek, pomyślał Dante.

– To lekka przesada – skłamał.

– Mieszka pan w hotelu?

– To prawda.

Przynajmniej na razie. Powinien opuścić pokój w ciągu najbliższych dwóch tygodni albo uregulować zaległe rachunki. Obie możliwości zdawały mu się równie niewykonalne. Musiał już zrezygnować z hotelowej pralni i teraz korzystał z samoobsługowej, która mieściła się w okolicy

i rujnowała mu koszule. Ta, którą właśnie nosił, miała wielkie jasne plamy w miejscach, gdzie proszek nie do końca się spłukał, na szczęście pod marynarką nie było tego widać.

Chłopak, stając pomiędzy nimi, włączył się do rozmowy.

– Uważamy, że postąpił pan bardzo odważnie, przeciwstawiając się siłom o nieograniczonych wpływach, aby odkryć prawdę na temat własnego porwania.

Siły o nieograniczonych wpływach? Co ty bredzisz? Zanim zdołał zareagować, dziewczyna odwróciła się w stronę przyjaciółki, która machała do niej, siedząc już na krześle.

– Idę zająć miejsca – rzuciła i zniknęła.

Chłopiec został sam z jej kurtką w ręce i niepewnym uśmiechem.

Dantemu zrobiło się go żal.

– Nie masz u niej szans. Zdajesz sobie z tego sprawę, co?

– Proszę?

– Ona nie bierze cię pod uwagę jako potencjalnego partnera seksualnego. Może poświęca ci trochę czasu z litości, ale na twoim miejscu spróbowałbym z kimś innym.

Chłopiec zaśmiał się nieszczерze.

– Myli się pan, naprawdę. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Nie uda ci się oszukać oszusta, mały.

– Nosisz za nią kurtkę, jakby to była stuła królowej, chodzisz za nią krok w krok, a kiedy jej dotykasz, źrenice ci się rozszerzają. Kiedy ze mną szczebiotała, rzucałeś mi nienawistne spojrzenia i w końcu się między nas wepchnąłeś. Rozumiem, że zawróciła ci w głowie, ale to zwykła spryciara.

– Nieprawda – wybełkotał student, który nie umiał już dalej zaprzeczać.

– Podwozisz ją, kiedy pada? Odrabiasz za nią zadania domowe?

Wysyłasz jej w nocy esemesy z serduszkami?

Chłopak nie odpowiedział.

– Ona tego nie robi, a nawet opowiada ci o tych, którzy jej się podobają. Udaje, że nie zdaje sobie sprawy, że przez nią cierpisz, ale uwierz mi, wie o tym doskonale i plotkuje na twój temat z przyjaciółkami. Z pewnością nazywa cię „najlepszym przyjacielem” albo jakoś podobnie, bardziej na

czasie. Jest niezłą manipulatką i dopóki będzie w stanie, będzie tobą kręcić. Może za kilka lat zrozumie, że to nie w porządku, chociaż założę się, że raczej tak się nie stanie.

Teraz chłopak miał już łzy w oczach.

– To nie tak, pan się myli.

– Założę się, że to ty podarowałeś jej łańcuszek, który ma na szyi. Założę się, że znalezienie odpowiedniego zajęło ci sporo czasu. Nie chciałeś, żeby przekaz był zbyt jednoznaczny, a zarazem miałaś nadzieję, że ona zrozumie ukryte znaczenie. Tymczasem ona nosi go tylko wtedy, kiedy jest z tobą, a potem chowa go pod bluzkę, bo się wstydzi. – Dante zapalił papierosa. – Dam ci radę, uciekaj. To twoja jedyna szansa. Może wtedy zaczniesz cię szukać.

– Ale z pana kanalia – powiedział chłopak i odwrócił się na pięcie. – A tutaj nie wolno palić!

– Przecież jesteśmy na zewnątrz.

– Nie szkodzi, to jest uniwersytet, a nie jakiś *freak show*! – Powiedziawszy to, student oddalił się marszowym krokiem, a Dante tylko pokręcił głową.

Zrobiłem, co mogłem, ale to nie ma sensu. Zakochane serce nie chce słuchać głosu rozumu. On sam też przez to przeszedł i to więcej razy, niż chciałby przyznać.

W tej chwili kretyn wrócił z butelką wody i kubkiem z kawą. Podał mu napoje.

– Tu nie wolno...

– Palić, tak wiem, już mi powiedziano. – Dante zaciągnął się po raz ostatni i wrzucił niedopałek do kratki ściekowej.

– Pasywne palenie...

– Rozumiem.

– Rozmawiał pan już ze studentami?

– Tak. – Dante wypił łyk wody, przetykając gęstą, słodkawą grudkę, która utkwiała mu w gardle. Pregabalina już zaczynała działać. – Taka przyjacielska pogawędka.

Zauważył z daleka, że dziewczyna i chłopak kłócą się głośno, ale nie mógł rozróżnić poszczególnych słów. Utkwił wzrok w kubku. Brązowa ciecz nie była dla niego kawą, lecz jej niewydarzoną namiastką. Co uzyskasz, kiedy doprowadzisz do wrzenia mieloną kawę i pozwolisz, aby aromat wyparował wraz z nagrzanym powietrzem, a potem ponownie rozpuścisz proszek w wodzie, nie dbając o właściwą temperaturę? Zwykle pomyje, o czym świadczył również zapach. Dante powąchał płyn i natychmiast wyczuł śladowe ilości stęchłej, zjełczalej juty, plastiku, a nawet posmak oleju samochodowego. Nawet gdyby to były ostatnie krople na pustyni, nie odważyłby się ich wypić.

– Wypiłem już dzisiaj kawę – powiedział.

Tak naprawdę to wypił już dziesięć, a do wieczora z pewnością podwoi tę liczbę.

Kretyn wskazał na pozajmowane krzesła. Prawie nie było wolnych miejsc i ludzie stali również w krużgankach.

– Chyba możemy zaczynać. Z mojej strony tylko dwa słowa wprowadzenia. Chciałbym przypomnieć o tragedii.

Dzisiaj się już nie wywinę, pomyślał Dante.

– Dziękuję.

Kretyn degli Uberti przez dziesięć minut rozprawiał o ofiarach z pociągu i o potrzebie jedności w obliczu terroryzmu, a wyrażał się takim namiętnym stylem, że Dantego przez cały czas przenikały dreszcze. Kiedy przyszedł jego kolej, przez chwilę stał bez słowa. Miał przed sobą pary oczu, które wpatrywały się w niego i wyglądały, jakby tylko czekały, aby go wessać. Ilu studentów przyszło tutaj, bo naprawdę chciało posłuchać, co ma do powiedzenia, a ilu miało po prostu nadzieję, że wyskoczy z czymś nietypowym, jak głosiła poprzedzająca go fama? Kusilo go, żeby uciec z wiatrem, wyłączyć telefon i nie odpowiadać na maile od tych, których obraziłoby takie zachowanie. Kiedyś tak właśnie by postąpił, kiedyś nie stanąłby za biurkiem, szukając odpowiednich słów. Ale teraz nie miał wyjścia.

Dante odetchnął głęboko i powietrze, wypełniając mu płuca, wyrwało go z odrętwienia. Szmery na sali ucichły.

– Witam wszystkich i dziękuję za przybycie. Proszę, abyście w czasie naszego spotkania zapomnieli na chwilę o ostatniej tragedii i uwolnili myśli, w przeciwnym razie będziemy rozmawiać tylko o pociągu. Czy ktoś z was może podać definicję teorii spiskowej? Nikt? Jeśli mi nie pomożecie, to wykład potrwa dłużej...

Świetny żart, tylko tak dalej, skarcił się w myślach.

Ktoś roześmiał się z uprzejmości i napięta atmosfera nieco się rozluźniła.

– W porządku, ja to zrobię. Teoria spiskowa jest jak plaster, bo zakrywa ranę w opisie świata, w którym żyjemy. Podoba się wam? Jasne, to głównie warta bzdura, którą wymyśliłem na poczekaniu.

Tym razem ktoś zaśmiał się szczerze, mocne słowo zawsze działa.

Dante już z większą pewnością ciągnął wątek.

– Teorie spiskowe są niezdarną próbą podania społeczeństwu odpowiedzi, które złagodzą nieco niepokój w obliczu niewyjaśnionych lub destrukcyjnych wydarzeń. Wydarzeń, na które jesteśmy zupełnie nieprzygotowani, jak 11 września lub pociąg z ubiegłej nocy, które przynoszą cierpienie, jak śmierć znanej osoby, lub pozwalają nam marzyć o lepszym świecie, jak na przykład przypuszczenie, że istnieją samochody na wodę mineralną, niedopuszczane do ruchu przez lobby naftowe. Teorie spiskowe bardzo rzadko przynoszą wiarygodne wyjaśnienia, ale mają tę zaletę, że ukazują, jeśli takie istnieją, nieścisłości w oficjalnych wersjach, kunsztownie przygotowanych w celu ukrycia kłamstw i nadużyć. Jednak nie zawsze. Czasami mamy do czynienia ze zwykłymi bredniami, jak w przypadku przekonania o rozpylanych substancjach chemicznych, niemniej jednak dość często...

Dante nabierał pewności, zdając sobie sprawę, że publiczność słucha go z zainteresowaniem i nie koncentruje się już na obserwacji jego zmasakrowanej ręki ukrytej w czarnej rękawiczce, dłoni, którą kaleczył sobie na rozkaz Ojca w rytm wymierzanych razów.

Pod koniec wykładu wyciągnął asa z rękawa i narysował na tablicy karykatury Elvisa i JFK. Chociaż nie miał profesjonalnego przygotowania,

posługiwał się wprawna kreską, świadcząca o dobrej technice, i kiedy skończył, rozległy się brawa.

– Na pewno wiecie – zaczął, wskazując karykatury – o związku Elvisa ze śmiercią Kennedy’ego?

Na sali rozległ się śmiech.

– Nie, nie, wcale nie żartuję. Jak wszystkie teorie spiskowe, również ta opiera się po części na prawdziwych lub prawdopodobnych faktach. Prawdą jest, że Elvis miał romans z aktorką Ann-Margret, którą poznał na planie filmu *Viva Las Vegas*. Faktem jest, że Ann-Margret była przyjaciółką Marilyn Monroe, jak i to, że Marilyn Monroe przed śmiercią miała romans z prezydentem Kennedym. Faktem jest, że Elvis w ostatnich latach życia miał obsesję na punkcie komunistycznego zagrożenia i że osobisty lekarz Kennedy’ego Max Jacobson kontaktował się z Elvisem, ponieważ dostarczał obu amfetaminę i środki pobudzające, co zapewniło mu przydomek „doktor Feelgood”. – Dante zakończył wątek z uśmiechem: – Teraz nie ma już na zawołanie takich dobrych lekarzy.

Słyszając śmiech wśród publiczności, Dante przywołał na twarz swój charakterystyczny grymas zadowolenia. Przyjemność płynąca z akceptacji publiczności walczyła z jego wręcz patologiczną nieśmiałością.

– Jak zauważyliście, między dwiema osobistościami mamy siatkę połączeń, ale żeby mogła pojawić się teoria spiskowa, potrzebne są dodatkowe elementy. Na przykład efektowna śmierć w dziwnych okolicznościach, tak jak w przypadku Kennedy’ego. Czy Oswald był w stanie strzelić trzy razy i dwukrotnie trafić prezydenta znajdującego się w jadącym samochodzie? Dlaczego pod pokojem Kennedy’ego w szpitalu postawiono uzbrojonego strażnika, który nie chciał wpuścić do rannego nawet żony? Czy naprawdę mózg Kennedy’ego roztrzaskała siła pocisku, czy też został usunięty później? Jak to możliwe, że Jack Ruby zdołał zbliżyć się do Oswalda i zastrzelić go mimo policyjnej ochrony? Mogę ciągnąć dalej.

Dante wypił łyk wody z butelki, którą trzymał w ręce.

– Ale nawet to nie wystarczyłoby do stworzenia legendy, gdyby sam Kennedy nie był uwielbiany i znany na całym świecie, uważany niemalże

za świętego. Podobnie zresztą jak Elvis. – Wskazał karykatury okaleczoną ręką. – Dodajmy teraz szczegóły, które co prawda nie zostały nigdy udowodnione, ale nie udało się też ich obalić. Elvis dysponował jedną z nielicznych kopii filmu Zaprudera, na którym widać zabójstwo prezydenta, i ciągle go oglądał. Jeden z ochroniarzy Elvisa należał do tajnych służb. Jeden z kochanków Ann-Margret pracował dla KGB... Tym sposobem mamy już wszystkie składniki do przygotowania tortu. – Dante się uśmiechnął. – No to teraz weźmy się do roboty. Elvis dowiaduje się od swojego lekarza, będącego w bliskich stosunkach z Kennedym, że prezydent zlecił zamordowanie Marilyn przy użyciu czopków barbituranowych. Zwierza się Ann-Margret, która nakłania go do pomszczenia przyjaciółki. Elvis uruchamia swoje kontakty w CIA i w mafii z Los Angeles, które z radością godzą się mu pomóc. Zgodnie z drugim wariantem Ann-Margret pod wpływem kochanka z KGB godzi się nakłonić Elvisa do zbrodni i to właśnie on pociąga za spust karabinu.

Tym razem wśród publiczności rozległ się głośny śmiech i Dante musiał odczekać, aż nieco ucichnie.

– To oczywiście zwykła bajka, która powstała po to, abyśmy mogli zapanować nad przerażeniem w obliczu nieprawdopodobnego zdarzenia. Podobnie było po samobójstwie Marilyn, którą wszyscy uważali za symbol seksu i szczęśliwą kobietę, oraz po śmierci Elvisa, najśłynniejszego piosenkarza na świecie. Na temat jego śmierci krążą, jak doskonale wiecie, różne teorie. Najpopularniejsza głosi oczywiście, że Elvis ciągle żyje i przebywa w jakimś domu opieki dla uboższych artystów. Joe Lansdale napisał o tym powieść. Ale jest także inna, według której został zamordowany przez zazdrosnego o sukces Johna Lennona. Nie przejmujcie się, pomścił go Michael Jackson. A później ktoś pomścił również Lennona, na razie jeszcze nie wiem kto.

Znowu śmiech i oklaski. Zadowolony Dante poprosił o pytania i jako pierwsza podniosła rękę studentka z burzą rudych włosów.

– Panie profesorze, biorąc pod uwagę to, co pan powiedział...

– Nie jestem profesorem, tylko znawcą tematu – wygłosił z patosem wyuczoną kwestię. Dziewczyna była niczego sobie.

– Przepraszam. Biorąc pod uwagę to, co pan powiedział, również udział CIA w pańskim porwaniu należy uznać za teorię spiskową. Nie ma dowodów, które by to potwierdzały.

Dante spodziewał się tego pytania, bo prędzej czy później zawsze padało.

– Faktem jest, że tak naprawdę nie nazywam się Dante Torre, tylko Ojciec, trzymając mnie w odosobnieniu, wymazał z mojej pamięci wszystkie wspomnienia z przeszłości i zastąpił je nowymi. Nie mam nawet pewności, czy rzeczywiście urodziłem się w Cremonie. Faktem jest, że Ojciec miał powiązania z armią oraz sponsorów, których nie udało się ustalić. Faktem jest, że policja nie zdołała ustalić tożsamości współnika Ojca, znanego pod pseudonimem Niemiec i przebywającego obecnie w więzieniu. Prawdą jest też to, że CIA powołała do życia program MKULTRA dotyczący modyfikacji świadomości w trakcie doświadczeń na ludziach. Cała reszta to moje przypuszczenia.

– Był pan dzieckiem, które na kilka lat trafiło w ręce szaleńca – powiedział jeden ze studentów. – Czy to niewystarczające wyjaśnienie?

– Według mnie nie. Wiele razy o tym mówiłem publicznie, ale niczego to nie zmieniło.

– Projekt MKULTRA zakończono w latach siedemdziesiątych – dodała ruda studentka. – A poza tym nigdy nie działał we Włoszech. Trudno uwierzyć, że Ojciec był z nimi w zмовie.

– Tak wynika z dostępnych informacji. Tylko czy naprawdę wiemy już wszystko na ten temat? W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku dyrektor CIA Helms wydał rozkaz zniszczenia całej dokumentacji dotyczącej programu MKULTRA. Nasze informacje pochodzą więc z niewielu ocalałych druków oraz z zeznań świadków. Jedyne niewielka część przedostała się do opinii publicznej.

– Niemniej jednak nigdy nie znalazł pan konkretnych dowodów, a prowadzący śledztwo w sprawie Ojca musieli zamknąć sprawę – stwierdził kolejny student.

Dante uniósł w górę ramiona na znak, że się poddaje.

– Już dobrze. Ma pan rację. I właśnie w tym tkwi problem. – Skrzywił się w autoironicznym uśmiechu. – Dotyczy to zarówno mojego porwania, jak i zabójstwa Kennedy’ego: skoro nie ma dowodów, to nie ma o czym mówić. Dzisiaj starałem się was przekonać, że nie chodzi o to, aby wierzyć we wszystko lub nie wierzyć w nic, ważne jest, żeby nie ustawać w zadawaniu pytań. Kiedy dostajecie ładnie opakowane wyjaśnienie, otwórzcie pudełko i zajrzyjcie do środka. Nie ma znaczenia, czy autorem prawdy jest polityk, gazeta, policjant, czy ktoś taki jak ja. Starajcie się sprawdzić jego wersję. Szukajcie odpowiedzi na wasze pytania. Tak jak to robiliśmy dzisiaj w czasie naszego spotkania.

Ostatnie zdanie miało wywołać aplauz i rzeczywiście pojawiły się gromkie oklaski, oznaczające koniec wykładu. Dante zatrzymał się w rogu dziedzińca, żartując ze studentami, którzy podchodzili uścisnąć mu dłoń lub poprosić o autograf, a on podpisywał, udając, że nie sprawia mu to przyjemności. Kretyn degli Uberti również podszedł z blankietem, na którym widniało wynagrodzenie. Kropla w morzu, powinien raczej skupić się na poszukiwaniach zaginionych szczeniaków. Podczas gdy Dante rozmyślał o dobrej kawie, a za taką uważał jedynie własnoręcznie przygotowaną mieszankę, jego wzrok zatrzymał się na trzech mężczyznach przekraczających właśnie bramę. Jednego z nich znał. Był to Alberti, którego poznał jeszcze jako żółtodzioba prowadzącego radiowóz. Pozostali dwaj musieli więc należeć do tego samego oddziału. Oddziału Colomby.

Na myśl o niej Dante poczuł jak zwykle mieszaninę sprzecznych uczuć, ale przybrał obojętny wyraz twarzy, kiedy policjanci stanęli naprzeciwko.

– Powiniennem zadzwonić do mojego adwokata? – zapytał.

– Proszę się nie denerwować, panie Torre – odezwał się Alberti, wyciągając rękę na powitanie. – Jak się pan ma?

Dante popatrzył na dłoń, ale nie zrobił nic, żeby ją ująć.

– Nie mam najmniejszego zamiaru wam pomagać, niezależnie od sprawy, z jaką przychodzicie.

– *Dottoressa* Caselli potrzebuje pańskiej pomocy – powiedział Alberti.

Dante zmusił się do zachowania kamiennej twarzy.

– Jako policjantka?

– No, tak.

– To nie dla mnie, więc jeśli nie macie nic przeciwko temu...

Schylił się po leżący na ławce telefon, który odłożył na czas rozdawania autografów, i zamierzał odejść, ale Esposito okazał się szybszy. Chwyił komórkę Dantego i pomachał mu nią przed nosem.

– Przykro mi. Albo pan do niej zadzwoni, albo użyję pana nosa, żeby wybrać numer.

Dante spojrzał na niego z pogardą.

– Teraz przyjmują do policji nawet goryle?

Guarneri złapał kolegę za ramię.

– Proszę mu wybaczyć, panie Torre, nie miał okazji pobierać nauk u sióstr jak ja. Niemniej jednak sprawa jest pilna.

Dante zdał sobie sprawę, że trzech policjanci są nie tylko wyczerpani i przygniecenii jakąś trudną, nieprzyjemną sprawą, lecz również bardzo przejęci. Niechęć Dantego od razu zmieniła się w ciekawość. Nie zważając na zakaz, zapalił papierosa.

– Najpierw musicie mi wszystko opowiedzieć – zażądał.

DWIE GODZINY PO strzelaninie okolice meczetu w Centocelle zostały szczelnie otoczone przez kordony oddziałów policji szturmowej, a wozy opancerzone zamknęły wylot ulicy. Około stu manifestantów zgromadziło się na chodniku po drugiej stronie, mniej więcej dziesięciu trafiło do szpitala, pięćdziesięciu zakuto w kajdanki, a kilkunastoosobowe grupki włóczyły się po dzielnicy, podpalając pojemniki na śmieci i wybijając szyby w oknach wystawowych. Colomba nie wiedziała, od kogo wyciekła prawda o śmierci imama – mógł to zrobić każdy biorący udział w akcji funkcjonariusz lub ratownik medyczny – niemniej wiadomość wybuchła niczym bomba, wywołując krzyki i płacz wśród demonstrantów.

I przemoc.

Zamieszki rozpoczęły się niespodziewanie i Colomba, jak zresztą wszyscy obecni na miejscu policjanci, zmuszona była odeprzeć atak w kasku na głowie i z pałką w ręku. Nie robiła tego od wielu lat, od czasów kiedy zaczynała pracę w policji i dbała o porządek na stadionach, stawiając czoła agresywnym kibicom, którzy nacierali w wojskowym szyku, uzbrojeni w łomy i koktajle Mołotowa. W tamtych czasach nie miała skrupułów, rozwalając głowy, ale teraz znajdowała się naprzeciw zdesperowanych osób, które uważały, że to policja jest winna zbrodni i nikt nie poniesie za nią odpowiedzialności. Sytuacja była bardzo trudna.

Kiedy tłum odstąpił, Colomba była złana potem, a w ręku dzierżyła zakrwawioną pałkę. Odrzuciła broń i schroniła się w pobliskim barze, gdzie wysłuchiwała wiadomości ze starego radioodbiornika. Zamieszki wybuchły nie tylko w Centocelle, ale również w innych włoskich miastach, gdzie policja wtargnęła do meczetów i centrów kultury islamskiej. Rannych już nawet nie liczone, a liczba aresztowanych wzrosła do dwucyfrowej. Samozwańcze patrole obywateli uznające się za obrońców ojczyzny ścigały wszystkich, którzy nie mieli białej skóry, a uchodźcy barykadowali się i gromadzili łomy i kije, myśląc o samoobronie. Colomba stwierdziła, że jeśli celem zamachowców było wywołanie wojny domowej, to prawie im się udało i ponownie odczuła brak Alfreda Roverego. Był jej

szefem w wydziale do walki z przestępczością zorganizowaną przed Curciem i dysponował rzadką umiejętnością tworzenia porządku z chaosu, a poza tym dawał jej poczucie bezpieczeństwa w najtrudniejszych momentach. Żałowała, że Rovere zginął z rąk Ojca i że przed śmiercią posłużył się nią, żeby skłonić do współpracy Dantego. Podjął słuszną decyzję? Cel uświęcił środki? Colomba ciągle jeszcze miała wątpliwości. Taki jest problem ze zmarłymi: nie można popatrzeć im w oczy i poprosić o wyjaśnienie. Można tylko starać się odnaleźć wewnętrzny spokój, a Colomba nigdy nie była w tym dobra.

Miała coraz większą ochotę na coś mocniejszego albo chociażby na słowo pociechy, gdy członkowie sztabu generalnego policji z sędzią śledczą Spinelli na czele minęli kordony zabezpieczające. Colomba zamierzała podejść i się przywitać, ale znajdujący się w grupie nowo przybyłych Santini bez słowa pociągnął ją na zaplecze, między skrzynki z napojami oraz puszki z arabskim jedzeniem. Zamknął drzwi i oparł się o nie, jakby chciał uniemożliwić jej ucieczkę.

– Mówiłem ci, żebyś nie narobiła głupstw! – wrzasnął z wściekłością, a jego twarz przybrała purpurowy odcień.

Colomba stanęła naprzeciw, przyjmując wyzywającą postawę. W pomieszczeniu unosiły się pyłki kolendry i glutaminianu, które kojarzyły jej się z prochem.

– A co głupiego niby zrobiłam?

– Jeszcze się pytasz? Potraktowałam Infantiego jak półgłówka i przejęłam dowództwo nad oddziałami szturmowymi! – Santini przesunął dłoń po najbliższym stole, zrzucając na podłogę stary kalkulator, którego wieczko otworzyło się, a baterie potoczyły po podłodze. – Dzięki twojej genialnej interwencji Infanti ma teraz dziurę w twarzy, a w meczecie zostały dwa trupy, których bez użycia siły nie jesteśmy w stanie wynieść!

Colomba straciła cierpliwość. Jeszcze chwilę wcześniej obserwowała rysę na kaflach, a teraz trzymała Santiniego za kołnierz kurtki.

– Tak! – krzyknęła mu w twarz. – Mamy dwa trupy, a jednym z nich mogłam być ja!

– Zabierz łapy!

Colomba nie posłuchała, nie przestając krzyczeć na cały głos.

– Zabiłam człowieka, rozumiesz? Zastrzeliłam dwudziestoletniego chłopaka. A ty przychodzisz tu i się na mnie wyżywasz! Czy naprawdę aż taka z ciebie skończona świnią?

Santini odepchnął ją na stos kartonów z makaronem.

– Zabierz ręce! – powtórzył chłodno. – I nie krzycz. Ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy, to żeby inni dowiedzieli się, że ci odbiło.

Colomba wyskoczyła jak sprężyna, gotowa do ataku, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Wpatrywała się w Santiniego, zaciskając pięści i dysząc ciężko przez zaciśnięte zęby.

– W piwnicy ukrywał się przestępca z bronią. Czy to moja wina?

– Wiesz, dlaczego się ukrywał? – wyskandował Santini, jakby zwracał się do upośledzonej. – Bo miał na koncie uprawomocniony wyrok za handel narkotykami sprzed sześciu lat! Gdybyś nie wsadzała nosa w nie swoje sprawy, to Hossein pozostałby na wolności i być może znowu by coś przeszkrobał, ale nie strzelałby do Infantiego ani do imama. I teraz nie musielibyśmy tłumić zamieszek.

– W całych Włoszech doszło do starć z policją – sprostowała Colomba. – To akcja Sito podgrzała atmosferę, a nie ja.

Santini prychnął z niechęcią.

– Przestań! Jak chcesz zbawiać świat, to zostań misjonarką. W policji są zasady.

– Jakbyś ty zawsze przestrzegał reguł – mruknęła, podczas gdy gniew zaczął ustępować poczuciu winy.

– Od czasu gdy przenieśli mnie z powrotem do wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną, staram się dobrze wypełniać obowiązki, Caselli. Uczę się na błędach. – Santini zapalił papierosa. – A ty nic, tylko popełniasz błąd za błędem. – Wypuścił dym nosem i Colombie przyszedł na myśl smok z bajki. Taki kościsty, z wąsami. – Można wiedzieć, co się z tobą dzieje? Zawsze byłaś jak kolec w dupie, ale dawniej wiedziałaś, jak daleko możesz się posunąć, w przeciwnym razie nie zrobiłabyś kariery. A teraz zachowujesz się jak policjant z dowcipów.

Colomba poczuła, że się czerwieni, i to jeszcze bardziej ją zdenerwowało.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Ostatnia rzecz: nikt nie będzie chciał wziąć odpowiedzialności za to, co się stało, a już na pewno nie ci, którzy nas tu wysłali. Śmierć Hosseina nikogo nie obchodzi, ale zabójstwo imama może spowodować zatarg dyplomatyczny ze społecznością muzułmańską. Gdyby Infanti nie został postrzelony, cała wina spadłaby na niego, ale teraz zrobią wszystko, żeby przedstawić go jako ofiarę, a nie zwykłego idiotę.

– A mnie przypadnie rola kozła ofiarnego.

– No właśnie. Dlatego uważaj, co powiesz śledczej Spinelli. Jeśli nie możesz udowodnić, że Hossein z imamem prowadzili świętą wojnę i zaatakowali cię w imieniu kalifatu, lepiej udawaj, że byłeś w szoku i niczego nie pamiętasz.

– Po prostu powiem prawdę. – Colomba przygryzła dolną wargę, słysząc w głowie słowa imama: „To wszystko jedno wielkie oszustwo”. – Skąd mamy pewność, że zamach na pociąg ma związek z islamskim terroryzmem?

– Przecież widziałaś nagranie.

– Każdy może ogłosić się wojownikiem islamu, choć to wcale nie musi być prawda.

– Błagam cię, nie wyskakuj mi tu z jakimiś dziwnymi teoriami – powiedział poirytowany Santini. – Saperzy znaleźli kolejne trzy bomby gazowe w innych pociągach. Kto według ciebie mógłby zrobić coś takiego, jeśli nie ten cholerny ISIS?

– Dlaczego nikogo nie zabili? – ciągnęła Colomba.

– Ponieważ wstrzymaliśmy na czas ruch kolejowy. Wszystko wskazuje na to, że bomby umieszczono ubiegłej nocy, kiedy wagony stały na stacji w Mediolanie, chociaż na razie to tylko hipoteza.

– Kamery coś zarejestrowały?

– Nie. Ochrona na dworcach jest jak durszlak z wielkimi dziurami, co najwyżej radzą sobie z kloszardami. Nie rozumiem, dlaczego podważasz założenie o zorganizowaniu zamachu przez ISIS?

Zanim zdołała wymyślić jakąś sensowną odpowiedź, na wyświetlaczu komórki pojawiła się żółta ikonka Snapchatu sygnalizująca przychodzące połączenie. Tylko jedna osoba, którą znała, używała tej aplikacji, ta sama, która zainstalowała ją w jej telefonie, twierdząc, że szyfruje rozmowy. Z tego powodu był to ulubiony komunikator handlarzy narkotyków i uprawiających sexting nastolatków.

– To prywatna rozmowa – powiedziała do Santiniego. – Mógłbyś zostawić mnie na chwilę samą?

Santini rozłożył ręce.

– Proszę bardzo, nie ma problemu! – prychnął obrażony. – Tylko pamiętaj o tym, co ci powiedziałem.

Policjant wyszedł, a Colomba dopiero teraz zrozumiała, że naprawdę się o nią martwi, ukrywając to pod grubiańskim zachowaniem. Nie spodziewała się tego i potrzebowała czasu, by otrząsnąć się z zaskoczenia. Zamknęła drzwi i usiadła na skrzynce z napojami z Lidla.

– Dziękuję, że dzwonisz, Dante – powiedziała do słuchawki.

– Twoi ludzie nie dali mi wyboru – odpowiedział chłodno. – Następnym razem sama do mnie zadzwoń.

– Odbierzesz?

– Tego nie mogę zagwarantować.

– A więc rozumiesz, dlaczego musiałam ich wysłać.

Na chwilę zapadła krępująca cisza.

– Dobrze się czujesz? – zapytał w końcu Dante, przypomniawszy sobie o dobrych manierach.

Nie.

– Tak, tak, wszystko w porządku. Potrzebuję twojej pomocy.

Dante oparł się o maskę radiowozu, którym przyjechali Trzej Muszkieterowie. Zaparkowali na jednej z ulic kampusu uniwersyteckiego i teraz stali kilka metrów dalej i przyglądali się przechodzącym studentkom, dając im punkty na podstawie rozmiaru biustu.

– Już się domyśliłem, CC – potwierdził Dante, nazywając ją pieszczotliwym anagramem. Wyszło mu to tak jakoś naturalnie, ale po drugiej stronie słuchawki odpowiedziała mu nieprzyjemna cisza.

– Widziałeś wideo, na którym terroryści przyznają się do zamachu na pociąg? – zapytała w końcu Colomba.

– Nie miałem czasu.

– W takim razie jesteś chyba jedyny w promieniu tysiąca kilometrów. Możesz to zrobić teraz?

– W tej chwili?

– Tak.

– Powiesz mi dlaczego?

– Wiesz już o imamie, prawda?

– Tak.

– Powiedział mi coś, co mnie zaniepokoiło. Nic więcej. Proszę cię, obejrzyj nagranie, a potem do mnie zadzwoń.

Dante parsknął z niecierpliwością.

– Do usług – rzucił z przekąsem i zakończył rozmowę.

Colomba usłyszała pukanie do drzwi i zawołała, że można wejść. Jeden z policjantów przyszedł z wiadomością, że sędzia Spinelli chce się z nią widzieć. Colomba poprosiła o kilka minut zwłoki, a łzy, które zasychały na jej policzkach, były wystarczającym usprawiedliwieniem.

W tym samym czasie Dante skrzyżował nogi, usiadł w pozycji lotosu i włączył tablet, który wyciągnął z teczki.

– A ten co robi? – zdziwił się Esposito, odrywając na chwilę wzrok od studentek. – Czy to jakiś rytuał voodoo?

– Ciii. Daj mu spokój, on pracuje – wyjaśnił Alberti, który był wielkim fanem Dantego.

Dante założył słuchawki i włączył nagranie. Już po kilku sekundach zrozumiał, dlaczego Colomba poprosiła go o opinię, a po minucie pożałował swojej zgody. Obejrzał wideo dwa razy w normalnym trybie i potem jeszcze raz w zwolnionym tempie i bez dźwięku.

– Jaki jest twój werdykt? – zapytała bez wstępów Colomba, kiedy do niej zadzwonił.

– To tylko wstępna analiza... poza tym obraz nie jest najlepszej jakości... Colomba poczuła, że zaczyna brakować jej powietrza.

– No już, wyrzuć to z siebie.

– Dobra. Jest w tym nagraniu coś dziwnego.

Colomba odetchnęła głęboko. *A jednak!* – pomyślała.

– Co takiego?

– Ci dwaj mówią źle po arabsku, świadczy o tym wymowa nazwisk ich rzekomych świątłych mocodawców. Paznokcie, odciski i kształt dłoni przywodzą na myśl ciężką pracę fizyczną. Nie sędzę, aby mieli wystarczającą wiedzę do wyprodukowania bomb gazowych.

– Może ktoś im je przekazał?

– Zostały wyprodukowane metodą chałupniczą, dlatego uważam, że zrobiono to u nas. Gdyby kupili je na czarnym rynku, wybraliby pewnie coś silniejszego i łatwiejszego w obsłudze, na przykład sarin lub C4.

– Bart też tak mówi. To ona zajmowała się denatami z pociągu.

– W takim razie nie ma wątpliwości. – Dante darzył Bart ogromnym szacunkiem. – Nie są wykształceni i mają niewielkie dochody, co można wywnioskować na podstawie tanich ubrań i rozwieszonego prześcieradła podłego gatunku. Ta charakterystyka pasuje do większości męczenników i kamikadze. Ale nie do uśpionych komórek, których celem jest prowadzenie długotrwałej działalności operacyjnej, i dlatego ich członkowie bardzo często wywodzą się z elit. Jest wśród nich wielu inżynierów i prawie wszyscy mają wyższe wykształcenie. A ci szmaciarze z nagrania to zwykle mięso armatnie.

– To znaczy, że działają na zlecenie jakiegoś szefa, który dostarczył im bomby i poinstruował, jak mają się zachowywać?

– To właśnie jest najdziwniejsze. Dlaczego przywódca powierzył im zadanie realizacji nagrania, zamiast zająć się tym osobiście? Testamenty męczenników to jedno, a manifest programowy to coś zupełnie innego. Z reguły przygotowują je właśnie przywódcy. No i jest jeszcze jedna sprawa, najważniejsza – dodał Dante ostrożnie, chociaż taki sposób wypowiedzi nie bardzo do niego pasował. – Każda religia ma swoje charakterystyczne gesty, wśród których najczęstsze to pokłony i czołobitność. Jest to część składowa zachowania muzułmanów; ich modlitwa składa się z serii dokładnie określonych ruchów, tworzących rak'ah. Wierni wstają, siadają na piętach, wykonują pokłony...

– Dante, bardzo cię proszę, trochę mi się spieszy...

– Okej. Osoba wierząca, kiedy się modli, reaguje niemalże automatycznie i takie wyuczone ruchy możemy zauważyć również w sytuacjach niezwiązanych z kontekstem religijnym. Kiedy katolik wypowiada słowa „błagam cię”, zdarza się, że składa jednocześnie dłonie jak do modlitwy. Kiedy muzułmanin mówi o Najwyższym, pochyla się instynktownie mniej lub bardziej, w zależności od intensywności własnej wiary, mam tu na myśli również ledwo zauważalne ruchy. – Dante zapalił papierosa, odpalając go od poprzedniego. – Mężczyźni na wideo wychwalają Allaha, proroka i kalifa, stojąc sztywno, jakby kij połknęli. Nie widać nawet najdrobniejszego, instynktownego gestu. Są fałszywi jak pieniądze z gry Monopol. Nie wiem, dlaczego szef ich wybrał, ale na pewno nie z powodu głębokiej wiary. Co z kolei każe mi wątpić również w jego religijność.

– Może dopiero ostatnio się zradyzalizowali? Tak jak ten facet z Nicei.

– On użył ciężarówki, a nie bomby gazowej. To poważna różnica, jeśli chodzi o przygotowanie zamachu.

Colomba przymknęła oczy.

– Według imama to jedno wielkie oszustwo.

– Chyba że powiedział tak, bo kogoś krył.

– Tuż przed śmiercią? Powiedział, że Hossein, chłopak... – przerwała, nie będąc w stanie wykrztusić z siebie tego słowa.

– Który zginął – dokończył za nią Dante, wyczuwając jej zmieszanie. – To nie twoja wina, żeby wszystko było jasne.

– Dzięki za wyrozumiałość – przerwała mu Colomba. – Imam powiedział, że Hossein był przerażony, bo ich znał i obawiał się, że zostanie w to wplątany.

– Przyjmijmy, że to prawda. Po co mieliby zabijać tych ludzi? Nie ma wątpliwości, że mają bliskowschodnie korzenie, w jakim celu mieliby prowokować polowanie na Arabów?

– Nie mam pojęcia... Po świecie łązi pełno świrów – stwierdziła Colomba.

– Około siedemdziesięciu procent światowej populacji stanowią pomyleńcy, a część z nich nosi nawet mundury.

Colomba policzyła w myślach do dziesięciu, zanim odpowiedziała. Uznała, że nie czas na kłótnie.

– Dante...

– Nie miałem na myśli ciebie. Porozmawiaj z sędzią śledczym i powiedz mu wszystko, co wiesz. Jeśli będzie trzeba, to powtórzę dokładnie moje spostrzeżenia.

– To się na nic nie przyda, Dante. Masz bardzo złą sławę wśród przedstawicieli sił porządkowych. Nie wzięliby pod uwagę twojego zdania, nawet gdybyś im powiedział, która jest godzina.

– W przeszłości udowodniłem, że jestem wiarygodny – zauważył Dante.

– Tak, ale to było, zanim oskarżyłeś rząd i inne instytucje, że mają w swych szeregach szpiegów z CIA.

– Źle mnie zrozumiano. – Wywiad, który ukazał się w jednym z najpopularniejszych dzienników, wzbudził sporą sensację oraz serię interpelacji poselskich, które nie przyniosły jednak oczekiwanych odpowiedzi. – Przynajmniej częściowo.

– Poza tym ja też mam teraz problemy z wiarygodnością.

– Przecież jesteś pupilką szefa.

Colomba policzyła do dwudziestu.

– Nie, Dante, nie jestem niczyją pupilką. Powrót do służby nie był dla mnie łatwy, a wielu moich kolegów wcale nie jest zadowolonych z takiego obrotu sprawy.

– Zdaje mi się, że cię ostrzegałem, nie?

– Daj spokój, proszę cię. Nie mam ochoty na kłótnie. To nie jest odpowiedni moment.

Dante odprężył się nieco.

– Masz rację, przepraszam. Może jednak cię wysłuchają, jeśli będziesz nalegać?

– Z biegiem czasu pewnie tak, ale nie mam pojęcia, jak długo to może potrwać. Teoretycznie śledztwo w sprawie zamachu leży w kompetencji

grupy do zadań specjalnych, która musi wydać zgodę na rozpoczęcie poszczególnych akcji. Wyobrażasz sobie, że łatwo będzie przekonać te zakute łby ze służb specjalnych, że się mylą? A sędzia śledczy nie podejmie żadnej decyzji bez konsultacji z nimi.

– Trudna sprawa – zgodził się Dante.

– W dodatku jeśli się mylimy, to nie tylko ja wyjdę na głupka, ale cała moja jednostka z szefem na czele.

– Jasne, rozumiem. Tylko że nie widzę problemu. Przecież prędzej czy później znajdziecie tych dwóch typków z nagrania. Macie do dyspozycji z pół tysiąca funkcjonariuszy.

– Kiedy przyjmujemy błędne założenia na początku śledztwa, to tracimy potem mnóstwo czasu – powiedziała Colomba. – Jeśli ci dwaj naprawdę nie mają nic wspólnego z terroryzmem islamskim, to zanim ich zidentyfikujemy, zdążą już uciec, gdzie pieprz rośnie. Albo zamordują następne osoby. Muszę mieć jakiś niezbity dowód, żeby porozmawiać z sędzią śledczym.

– Życzę szczęścia!

– Ja nie mogę się stąd ruszyć.

Dante zrozumiał w lot, o co zaraz poprosi go Colomba, i poczuł palącą potrzebę wypicia drinka, a najlepiej od razu dwóch lub trzech.

– CC... naprawdę chcesz, żebym się bawił w policjanta?

– Nie, proszę cię tylko, żebyś zrobił to, co umiesz najlepiej: znalazł dwie osoby.

– Ja szukam zaginionych ludzi, a nie terrorystów.

– Tylko ty możesz ich odnaleźć na podstawie tych kilku informacji, którymi dysponujemy.

– Próbujesz przekupić mnie komplementem?

– Może trochę – przyznała Colomba. – Uwierz mi, jeśli zdecydowałam się zwrócić właśnie do ciebie, po tym, w jaki sposób się rozstaliśmy, to znaczy, że jesteś moją ostatnią deską ratunku.

Dante zaśmiał się i rozluźnił jeszcze bardziej.

– Niezbyt udane pochlebstwo.

– No to powiem ci jeszcze, że jesteś też moim pierwszym wyborem. Czasami oba wyznaczniki idą ze sobą w parze.

Dante zastanowił się przez chwilę miotany sprzecznymi uczuciami.

– Mógłbym przyrzeć się znajomym Hosseina... – powiedział niechętnie. – Zacznę od tych, którzy w tej chwili znajdują się poza kręgiem zainteresowania twoich kolegów, czyli od umiarkowanych muzułmanów i niewierzących. Sądzę, że obaj podejrzani wychowali się w Rzymie, świadczy o tym ich akcent. Ale z całą pewnością będę mógł to stwierdzić tylko podczas osobistego spotkania. Co się tyczy dowodów, to zobaczymy... może w międzyczasie coś się pojawi.

– Okej, dziękuję. Naprawdę.

– Dobrze już, dobrze. Jak się zorganizujemy?

– Moja grupa zostanie z tobą, chłopcy pomogą ci w zbieraniu informacji i zadbają o twoje bezpieczeństwo, ale jak tylko sytuacja zacznie się komplikować, wycofujesz się, jasne? Nie chcę cię narażać.

Dante kątem oka spojrzał na Trzech Muszkieterów: ciamajda nadrabiająca miną i czekająca na okazję, żeby się wykazać, typ w depresji, no i ten trzeci, którego świerzbią ręce. *A przed nimi kto mnie obroni?* – pomyślał.

– Skoro nie ma innego wyjścia... chociaż wolałbym pracować z tobą.

– Teraz chyba nie bardzo bym ci się przydała – powiedziała Colomba, ocierając łzy. – Niedawno znowu miałam kryzys.

Słyszając, jak jej głos załamuje się od płaczu, Dante nie był dłużej w stanie udawać obojętności.

– Miałaś atak paniki? – zapytał z przejęciem.

– Tak, po raz pierwszy od śmierci Ojca. Myślałam, że już wyzdrowiałam, a tymczasem znowu nie mogłam oddychać i męczyły mnie te same halucynacje.

Dante nie powiedział głośno tego, co sobie pomyślał: że nie można wyzdrowieć, bo kiedy szkoda została wyrządzona i otworzyła się szczelina, nie ma sposobu, aby ją ponownie załatać. Przynajmniej tak się rzecz miała w jego przypadku – już na zawsze pozostanie wybrakowanym towarem.

– Wycofaj się póki czas, CC. Pamiętaj, że żyjesz na kredyt, skorzystaj z szansy.

– Nie mogę. Dobrze wiem, jak bym się czuła, gdybym teraz zrezygnowała i coś się wydarzyło – wyszeptala. A potem dodała głośniejszym głosem: – Daj mi Esposito, przekażę mu instrukcje.

– Powiedz mu przy okazji, żeby nie strzelał do wszystkiego, co się rusza, bardzo cię proszę.

– Daj mi go.

Dante podał telefon policjantowi, po czym płożył się na masce i zaczął kontemplować błękitne niebo. *Jak to możliwe, że zawsze daję się zrobić?* – pomyślał. Oczywiście chodziło o pytanie retoryczne, na które świetnie znał odpowiedź.

Po rozmowie z Colombą Trzej Muszkieterowie dyskutowali zawzięcie przez jakieś dziesięć minut, a potem stanęli w zwartym szyku przed Dantem.

– Proszę nie myśleć, że panu nie ufamy – zaczął Guarneri – ale nie możemy pojąć, w jaki sposób może nam pan pomóc. Specjaliści przez całą noc analizowali nagranie, któremu pan poświęcił zaledwie pięć minut.

– *Dottoressa Caselli* nic wam nie powiedziała? Jestem czarodziejem.

Trzej mężczyźni patrzyli na niego z kamiennym wyrazem twarzy. *Co za niewdzięczna publiczność*, pomyślał Dante.

– Jestem świetny w identyfikacji osób i w odnajdywaniu zaginionych.

– Nawet ja to wiem – odezwał się Esposito. – Ale teraz mamy dwóch facetów w kominiarkach na amatorskim wideo... Czy to jednak nie za trudne zadanie?

– Wyjawię wam sekret, jestem kiepski w rozpoznawaniu twarzy. Mam problemy z ich zapamiętywaniem. – Nie była to prawda, przynajmniej od czasu, kiedy osiągnął wiek dojrzały, lecz taka wersja brzmiała zdecydowanie ciekawiej. – Wiecie, że jako dziecko zostałem porwany, nie? Przez trzynaście lat miałem kontakt jedynie z moim porywaczem, z Ojcem, który zawsze miał zakrytą twarz. Musiałem więc nauczyć się rozpoznawać jego humor z mowy ciała i z czasem niezłe się wyćwiczyłem. Teraz widzę nawet to, czego inni nie dostrzegają.

– Na przykład? – nie ustępował Esposito.

– Ma pan węża na szyi.

– Bzdura.

– No pewnie, ale instynktownie chciał pan sprawdzić. Pańska świadomość zablokowała gest, zanim zdołał go pan wykonać, chroniąc pana przed kompromitacją, niemniej jednak ciało ma swój własny system składający się z tysięcy kilometrów komórek nerwowych. Ruchy i postawa kształtują się pod wpływem takich czynników jak wychowanie, środowisko, wiek, a mimo to są wyjątkowe, tak samo jak odciski palców. Jeśli jutro spotkam pana w kominiarce, to i tak pana rozpoznam. Także dlatego, że grając w piłkę nożną, uszkodził pan sobie łękotkę.

Esposito otworzył usta ze zdumienia.

– Skąd pan wie?

– Wystarczy popatrzeć, jak pan chodzi. A co do piłki nożnej... no cóż, nie wygląda pan na amatora gimnastyki artystycznej.

Esposito wybuchnął śmiechem i zwrócił się do Albertiego.

– Czy on zawsze tak się zachowuje?

– Zawsze – odpowiedział z dumą chłopak, bo to on z całej trójki znał Dantego najlepiej.

– Okej. Mamy trzy, najwyżej cztery godziny, zanim *dottor* Santini zorientuje się, że nie ma nas tam, gdzie powinniśmy być, i każe nam wracać do bazy – powiedział Guarneri. – Wystarczy panu czasu na cud?

Chyba żartujesz? – chciał odpowiedzieć Dante, ale przecież stał przed swoją publicznością i nie mógł jej rozczarować.

– No to patrzcie i ucicie się – rzucił wyzywająco.

NASTĘPNĄ GODZINĘ DANTE spędził w radiowozie Trzech Muszkieterów, było to jedyne zamknięte miejsce, które tolerował. Ale pod warunkiem, że pojazd się nie poruszał. Zdrową ręką uderzał niecierpliwie w klawiaturę, przeklinając wolne połączenie z Internetem przez komórkę. Rozwalił się na tylnym siedzeniu, jedną stopę w wykończonym metalową blaszką clipperze oparł na zagłówku przedniego fotela, a drugą na szybie.

Palił jednego papierosa za drugim, nie zważając na gęsty dym wypełniający wnętrze auta i wyciskający łzy z oczu. Serfował po sieci, sprawdzając kilka nazwisk przekazanych mu przez Trzech Muszkieterów. Pochodziły z zebranych informacji na temat znajomych i wspólników Hosseina z czasów, gdy próbował zarabiać na życie, handlując narkotykami, jeszcze zanim na nowo odkrył religię i zbliżył się do środowiska związanego z meczetem w Centocelle.

Żaden z nich nie przypominał osobników z nagrania. Dante skupił się więc na samym Hosseinie, wykorzystując wszystkie mniej legalne oprogramowania, które miał na zaszyfrowanej części twardego dysku.

Jako pierwszy etap wybrał Facebook – światową książkę telefoniczną. Ponieważ żaden z sześćdziesięciu przyjaciół zabitego nie miał postury odpowiadającej dwóm samozwańczym dżihadystom, zaczął przeglądać i czytać pobieżnie wszystkie wpisy, które Hossein zamieszczał na swojej stronie. Żadnej golizny, żadnych sprośnych żartów, żadnych gier, żadnej próby kontaktu ze stronami pornograficznymi lub portalami randkowymi. Tylko zdjęcia przyjaciół, którzy nie robili nic gorszego niż palenie fajki wodnej czy pływanie, i zasłoniętych kobiet wyglądających na zaawansowane wiekiem krewne. Były konie w galopie. Kwiaty. Zachody słońca. Meczety. Wersety z Koranu, te zupełnie neutralne, które w żaden sposób nie nawołują do karania niewiernych.

Pod opublikowanymi postami Dante zauważył wiadomości wymieniane z kuzynem dwa lata wcześniej. Kuzyn pytał Hosseina między innymi o powód, dla którego nie uaktualnia już swojej strony internetowej i skopiował nawet właściwy link. Dante natychmiast wrzucił go do

wyszukiwarki i dotarł do strony, która wcześniej nie pojawiła się na ekranie. Była to prywatna strona wypełniona reklamami, nieużywana od trzech lat, gdzie widniały kolejne zdjęcia koni i zachodów słońca oraz sura z Koranu głosząca podziw dla cudów natury. Nic ważnego, trzeba szukać dalej.

Alberti otworzył drzwi od strony kierowcy i natychmiast otoczyła go chmura dymu. Pomachał dłonią, aby oczyścić powietrze, i usiadł za kierownicą.

– Wszystko w porządku, panie Torre?

Dante spojrział na niego ze złością.

– Wyciągnąłeś najkrótszą zapalną?

– Proszę?

Dante wzniósł oczy ku niebu i wyjaśnił tonem, którego używa się w rozmowach z dziećmi.

– Twei kumple przysłali cię na kontrolę?

– Ależ skąd, co też przyszło panu do głowy – skłamał Alberti. – Jestem ciekawy, co pan robi.

– Szukam osób, z którymi Hossein spotykał się w przeszłości. Przewaga Internetu polega na tym, że przechowuje wszystkie informacje.

– Być może wcale nie chodzi o przyjaciół?

– Według słów imama wypowiedzianych przed śmiercią Hossein rozpoznał ich na filmie. Skoro mu się to udało, to znaczy, że bardzo dobrze ich znał.

– Chyba że miał pańskie zdolności.

– W czasie mojej nieobecności zrobiłeś postępy.

Pięgi na policzkach Albertiego stały się wyraźniejsze.

– Znalazł pan coś?

Dante odwrócił ekran i pokazał mu stronę internetową, którą właśnie przeglądał.

– Wiesz, co to są kody źródłowe?

– Instrukcje do tworzenia strony w Internecie nadające jej formę, kolor i tak dalej.

Dante ponownie przytaknął z uznaniem.

– Zbierasz dzisiaj dużo punktów. Kody źródłowe zawierają też dodatkowe informacje, które pozostają w ukryciu. Na przykład nazwisko twórcy, program, przy użyciu którego stworzono stronę...

– Czy znalazł pan coś użytecznego dla nas?

Dantemu rozbłysły oczy.

– Mam stary adres mailowy Hosseina, ale operator już dawno zniknął z sieci. Nie mogę sprawdzić zawartości skrzynki, bo to zadanie dla jednostki do walki z cyberprzestępczością, ale wrzucę go do wyszukiwarki i zobaczymy. A nuż wyskoczy jakiś użytkownik.

Jeden z jego nie do końca legalnych programów umożliwiał mu sprawdzanie wszystkich portali społecznościowych równocześnie, nawet tych polikwidowanych lub uśpionych.

Odpowiedź nadeszła po kilku sekundach i sprawiła im niezłą niespodziankę.

– Myspace, kto by pomyślał – powiedział Dante.

Był to jeden z pierwszych serwisów społecznościowych w sieci, używany przez najbardziej zatwardziały pasjonatów muzyki.

– Co za zbieg okoliczności – odezwał się Alberti. – Ja też jestem na Myspace.

Dante podał mu tablet.

– Zaloguj się przez swoje konto, przynajmniej nie będę musiał tworzyć nowego i ręka mi odpocznie.

Alberti wykonał polecenie. Jego strona nazywała się Rookie Blue i zawierała setkę kawałków, które komponował po nocach. Ciągle jeszcze się łudził, że praca w policji to tylko etap przejściowy, a prędyj czy później zajmie się robieniem muzyki na pełny etat. Chciał komponować, ale nie występować na scenie, gdzie czuł się skępowany. Kliknął na jeden z linków i wewnątrz radiowozu załala muzyka elektroniczna.

– Podoba się panu?

Dante uznał, że jest okropna.

– Nie powinniśmy się pospieszyć?

– Możemy zostawić ją jako podkład?

– Nie.

Alberti wyłączył utwór i wszedł na stronę Hosseina.

– Nie był na niej od czterech lat – przeczytał.

Mniej więcej od czasu, kiedy zrobił sobie zdjęcie w berecie Black Panther, które ciągle zdobi stronę, pomyślał Dante.

– To jego dawne życie.

– Dlaczego tego nie skasował? – zastanowił się Alberti.

– Prawdopodobnie całkiem o niej zapomniał. Podał nieaktualnego e-maila, więc nie dostawał wiadomości z serwisu. Jest coś jeszcze?

– Zobaczymy... – Alberti zaczął przeglądać stronę, a Dante wyciągnął się wygodniej i zapalił ostatniego papierosa z paczki: posiadanie asystenta miało swoje zalety. – Oprócz zdjęcia Hossein zamieścił trzy *mix dance*, chce pan posłuchać?

– Nigdy w życiu.

– Ma w kontaktach różnych didżejów. Arabowie, Amerykanie... mam ich sprawdzić?

– Tylko w ostateczności. Czy są jacyś Włosi albo rezydenci?

– Eee... trzej lub czterej.

– Zaczynij od nich.

– Dwóch znam. Nie należą do czołówki, ale są niezli. Chce pan...

– Nie. Co dalej?

– Jeden to zwykły amator. Nie zamieścił ani jednego nagrania. Jest tylko jakieś wideo z ubiegłego roku. Mieszka w Rzymie.

– Sprawdzamy – polecił Dante i się wyprostował.

Alberti włączył wideo. Nagrano je komórką, a jakość obrazu świadczyła o tym, że autorowi trzęsła się ręka. Około dziesięciu osób kiwało się w rytm muzyki techno podczas imprezy zorganizowanej w prywatnym mieszkaniu. Na oko dwudziestoletni, szczupły chłopak ze słuchawkami didżeja na uszach i butelką piwa w ręce kołysał się przed obiektywem i nie wyglądał wcale *halal*^[5]. Dante obejrzał nagranie na zwolnionych obrotach, koncentrując uwagę na ruchach rąk i głowy chłopaka.

– To może być on – stwierdził na koniec.

Alberti podskoczył na swoim siedzeniu i uderzył głową w dach.

– Mówi to pan tak spokojnie?

– Powiedziałem przecież, że to tylko przypuszczenie. Spróbujcie go zidentyfikować.

Alberti pospiesznie wysiadł z samochodu i zaraz potem Trzej Muszkieterowie przykleili się do telefonów, prosząc o przysługę bliższych i dalszych znajomych. W ten sposób odkryli, że bujający się didżej, który na stronie podawał się za Mustę, to w rzeczywistości Mohammed Faouzi, syn Hamzy Faouziego i Marii Addoloraty Piombini, obywatel włoski, urodzony w Rzymie przed dwudziestu pięciu laty. Był notowany za udział w bójce pod wpływem alkoholu, posiadanie i handel narkotykami oraz za umieszczenie swojego artystycznego pseudonimu na budynku urzędu miejskiego. Nie było żadnego podejrzenia o związki z grupami przestępczymi czy tym bardziej z islamskimi terrorystami.

Dante przeglądał na tablecie nadesłane zdjęcia.

– Czy teraz jest pan pewien? – zapytał Esposito.

– Wiem tyle samo, co wcześniej.

Dzięki informacji z opieki społecznej dowiedzieli się, gdzie Musta pracował, a z wydziału antynarkotykowego dostali wiadomość, gdzie został przyłapany na sprzedaży haszyszu. W obu przypadkach wskazano na peryferyjną dzielnicę Malavoglia. Wszyscy czterej zapakowali się do radiowozu i przejechali przez miasto na włączonej syrenie i z otwartymi oknami, żeby Dantemu nie brakowało powietrza, mimo że pogoda się pogarszała. On tymczasem siedział z zamkniętymi oczami, zacisnąwszy palce na pasie bezpieczeństwa, i jęczał, jak tylko przekraczali czterdziestkę. Zmuszał towarzyszy podróży do zatrzymywania się co kilka kilometrów pod pretekstem rozprostowania nóg. W chwilach, gdy czuł się nieco lepiej, przeglądał informacje na portalach społecznościowych i ogarniały go coraz większe wątpliwości, czy Musta jest w stanie choćby pomyśleć o zamordowaniu kogokolwiek. Co prawda nie potrafił powiedzieć, co mu chodziło po głowie, zwłaszcza na podstawie zdjęcia zamieszczonego na Facebooku, ale nie mógł wyobrazić sobie tego chłopaka, jak naciska pilota uruchamiającego bombę z cyjankiem.

– Pasuje do profilu terrorysty? – zapytał Guarneri, jakby usłyszał jego myśli. – Czy raczej wygląda na nadużywającego alkoholu handlarza

narkotyków?

– Nie byłby pierwszym cudownie nawróconym – odpowiedział Dante, chociaż miał wrażenie, że Musta absolutnie nie mieści się w tej kategorii, a poza tym nie znalazł żadnych przesłanek, że ma do czynienia z osobą niezrównoważoną. Mimo to wykluczał pomyłkę. Sposób, w jaki chłopak poruszał szyją i kształt ramion były identyczne jak te, które dostrzegł na wideo u drobniejszego terrorysty, tego, który mówił gorzej po arabsku.

Wyprawa do agencji kurierskiej, gdzie Musta pracował jako tragarz, i do baru pełnego emigrantów, w którym został zatrzymany z haszyszem, nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Podając się za przyjaciela, Alberti dzięki swojej buźce nastolatka dowiedział się bez wzbudzania podejrzeń, że Musta nie pokazuje się w barze od dwóch dni. Pozostało więc mieszkanie, którym był lokal w komunalnym bloku na dwieście rodzin przypominającym ul. Większość mieszkających tam osób nie miała prawa do zajmowania tych pomieszczeń. Musta mieszkał z bratem, Mariem Nassimem, oraz z matką, urzędniczką w firmie produkującej maszyny poligraficzne. Ojciec wrócił do Maroka, kiedy Musta był dzieckiem, i więcej się nie pokazał.

Policjanci zaparkowali niedaleko budynku wyglądającego jak odrapane cementowe wzgórze spalone przez słońce. Przy zastawionym rowerami wejściu, w oczekiwaniu na kolację, bawiły się dzieci różnych narodowości, czyniąc piekielny hałas. Na tej samej ulicy stało jeszcze sześć prawie identycznych bloków, zbudowanych wzdłuż pokrytych chaszczami nieużytków, a w promieniu kilometra nie widać było żadnego sklepu ani baru. Ten widok przypominał Dantemu *Ucieczkę z Nowego Jorku* domowej produkcji.

Esposito wziął go pod ramię i odciągnął na bok.

– Chcę, żebyśmy się teraz dobrze zrozumieli. Faouzi może być uzbrojony i dlatego musimy być ostrożni. Zrozumiano?

Dante przytaknął.

– Tu mieszkają przede wszystkim czarnuchy i cygany, a oni z reguły nie mieszają się w nie swoje sprawy, dopóki im się to opłaca. Ale ktoś może zadzwonić na policję, jak się wędzemy do mieszkania, wyrażam się jasno?

– Chce pan wiedzieć, czy warto ryzykować, tak?

– Jeśli Faouzi to mężczyzna z nagrania, nikt nam nie będzie truł dupy, ale jak się mylimy, to możemy mieć problemy.

Dante się zawahał. Mógł teraz zatrzymać to szaleństwo i oszczędzić wszystkim kupy kłopotów. Tylko że był zbyt dumny, aby się wycofać, po tym jak zgodził się pomóc.

– Jestem pewien na dziewięćdziesiąt procent – oświadczył. – Gdybym był nieomylny, byłbym jednym z najbogatszych ludzi na świecie.

Esposito zrobił rozbawioną minę.

– Krążą słuchy, że każe pan sobie słono płacić za swoje konsultacje.

– Niewystarczająco – zaprzeczył Dante i nie dodał, że od miesiąca nie przyjmuje zleceń.

Esposito zapalił papierosa i poczęstował rozmówcę, nie spuszczać oczu z drzwi wejściowych do budynku. W tym momencie Dante dostrzegł w nim cień mężczyzny, jakim policjant był w młodości, zanim przytłoczyły go własne błędy.

– Co zrobimy, jeśli nie zastaniemy go w domu?

– Wpakujemy się w niezłe gówno, chyba że znajdziemy w mieszkaniu coś podejrzanego.

– Na przykład pojemnik z cyjankiem?

– Byłoby idealnie.

Esposito podszedł do kolegów, a Alberti wypytał dzieci i dowiedział się, które mieszkanie należy do Faouziego.

– Dwunaste piętro, pierwsze drzwi za windą.

Esposito wyjął pistolet z kabury, odblokował go i włożył do zewnętrznej kieszeni kurtki.

– Idziemy.

Guarneri i Alberti poszli w jego ślady i załadowali broń, a Dante zauważył, że chłopakowi trzęsą się ręce.

– Bez kamizelek? – zapytał Alberti.

– Chcesz, żeby nas wyeliminowali, zanim dotrzemy do drzwi? – obruszył się Esposito.

– A jak nasz przyjaciel czeka na nas z kałasznikowem? – rzucił Guarneri.

– No właśnie, jak zobaczy kamizelki, będzie mierzył w głowę.

– Ja zakładam – zdecydował Alberti, kierując się w stronę radiowozu, a wtedy dwaj pozostali przestali się wahać i zrobili to samo.

Guarneri i Esposito weszli do budynku, a Dante chwycił Albertiego za ramię.

– Jesteś pewien, że chcesz tam iść? Przecież już sporo przeszedłeś.

Alberti się skrzywił.

– Właśnie dlatego. Chcę zobaczyć, jak to się skończy – powiedział, znikając na klatce schodowej.

A ja nie, pomyślał Dante.

Miał wyraźne przeczucie, że rezultat wcale mu się nie spodoba.

TRZEJ MUSZKIETEROWIE WJECHALI windą na jedenaste piętro i ostatni bieg schodów pokonali na piechotę, najciszej jak to możliwe. Na korytarzu nie było bawiących się dzieci, z mieszkań dochodziły odgłosy włączonych telewizorów i sprzętu audio, które wibrowały, odbijając się od ścian, a wszędzie unosiły się zapachy jedzenia.

Na podeście Esposito wyciągnął pistolet i trzymając go oburącz, wymierzył w drzwi, podczas gdy Alberti ubezpieczał Guarneriego, który silnym kopniakiem wyważył zamek. Drzwi otworzyły się w akompaniamencie łoskotu łamanego drewna. Odzyskawszy równowagę, Guarneri wbiegł do środka z bronią w rękę, a za nim podążali pozostali, krzycząc, aby wszyscy obecni w mieszkaniu wyszli z podniesionymi rękami. Z pokoju wytoczył się dwudziestoletni rastafarianin w bokserkach i koszulce, który ważył dwa razy tyle, co podejrzany z wideo. Otaczała go chmura haszyszowego dymu.

– Eee... – zdołał wydusić z siebie, zanim Esposito powalił go precyzyjnym ciosem na podłogę.

MINĘŁO DZIESIĘĆ MINUT od rozpoczęcia akcji. Dante czekał przy wejściu ze ściśniętym żołądkiem. Wreszcie usłyszał otwierające się drzwi i zobaczył Albertiego wychodzącego na zewnątrz. Policjant zdjął już kamizelkę kuloodporną.

– Nie było go w domu – oświadczył.
 – Tyle wysiłku na nic. Podejrzane pojemniki?
 – Na razie nic, jest tylko brat, który twierdzi, że nic nie wie. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał nam pan pomóc w przesłuchaniu. Czas nagli.

Dante spojrzał na pogrążoną w półcieniu klatkę schodową, która przypominała mu wielką gębę gotową go pożreć. *O Jezu, miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie*, pomyślał.

- Będziesz musiał zapalić wszystkie światła.
- W mieszkaniu?
- W całym bloku. I wejdziemy po schodach.

– Na dwunaste piętro?

– Jeśli uważasz, że dam się zamknąć w metalowym pudełku zawieszonym na kablu, to muszę wyprowadzić cię z błędu. – Dante wyjął z opakowania dwie tabletki xanaksu i rozkruszył je przy użyciu dwóch monet, po czym wciągnął proszek przez nos, podczas gdy zbulwersowany Alberti śledził jego poczynania. – Tak szybciej działa – wyjaśnił policjantowi.

– Skoro pan tak twierdzi... – Chłopak nie wyglądał na przekonanego.

Lekarstwo zaczęło działać i jego efekt uderzył Dantego jak obuchem, kiedy znajdowali się na pierwszym piętrze. Poczował, jak otacza go ołowiany skafander, a myśli zwalniają obroty. Poruszanie nogami stało się niezwykle trudne i Alberti musiał go ciągnąć i pchać przez kolejne dwadzieścia biegów schodów, słuchając, jak mruczy coś pod nosem, brnąc w górę z zamkniętymi oczami.

Kiedy zmęczeni dotarli do mieszkania Faouziego, wydało im się, że przeszło przez nie tornado. Był to dwupokojowy lokal o powierzchni pięćdziesięciu metrów kwadratowych ze ścianami ozdobionymi obrazami z pchlego targu i fotografiami. Wszędzie wałały się ubrania, książki i powywracane meble.

– Co tak długo? – przywitał ich Esposito, jak tylko przekroczyli próg. Właśnie rozpruwał obicie kanapy przy użyciu kuchennego noża. On i Guarneri też zdążyli już zdjąć kamizelki, które porzucili na stosie rozmontowanych sprzętów. Mario Nassim, brat Musty, leżał na korytarzu z rękami wykręconymi do tyłu i zakutymi w kajdanki, a z nosa sączyła mu się krew. Na skórze miał tatuaże świadczące o przynależności do gangu, które w więzieniu przysporzyłyby mu niezłych kłopotów.

Dante rozejrzał się wokoło z nadzieją, że to przyjęte leki wywołują halucynacje. Wszedł do pokoju braci, który wyglądał jak śmietnik. Wokół pełno było porozpruwanych materacy, podartych komiksów, części sprzętów gimnastycznych porozrzucanych po podłodze obok płyt DVD, maskotek i resztek jedzenia. Zniszczona konsola Play Station 3 przestała działać.

– Zawsze w ten sposób przeszukujecie mieszkania? – wydukał z trudnością, bo język miał twardy jak kołek.

Guarneri wyrwał właśnie ostatnią szufladę z szafki.

– Tylko wtedy, gdy nam się spieszy. Jakiś problem?

Dante miał ich sporo, a najwięcej z sobą samym.

– Znaleźliście coś?

– Tylko kurz i bakterie.

Esposito z ponurą miną wszedł do pokoju.

– U mnie to samo, a to znaczy, że nasz przyjaciel musi nam pomóc. – Policjant pochylił się nad leżącym na podłodze chłopakiem, który przypominał stu pięćdziesięciokilowe salami. Bokserki osunęły mu się do pół tyłka, ukazując dwa ogromne, owłosione pośladki. – Mario, jesteś muzułmaninem?

– Wyglądam jak Hare Krysna? – zareagował chłopak.

Esposito zdzielił go dłonią w kark.

– Nie udawaj cwaniaka i odpowiadaj! Jesteś muzułmaninem?

– Tak.

– Co masz do powiedzenia o twoich kumplach, którzy zamordowali pasażerów pociągu?

– To nie są moi przyjaciele.

– A twój brat? On też jest muzułmaninem?

– Czasami się modli.

– Gdzie on teraz jest?

– Już mówiłem, że nie wiem. Wszedł do pracy i jeszcze nie wrócił.

– W pracy się nie pojawił, spryciarzu.

– Nic mi nie mówił.

Esposito podniósł się i skinął na Guarneriego.

– Pomóż mi go przenieść do łazienki.

Oczy chłopca rozszerzyły się ze strachu.

– Co chcecie mi zrobić?

– Umyjemy cię. Może zrobisz się biały.

Esposito uniósł go za ramiona, a Guarneri za nogi. Mario Nassim próbował się wyrwać, ale Esposito uderzył go łokciem w żołądek, blokując

mu oddech. Chłopak zwałby się na ziemię, gdyby Guarneri go nie podtrzymał.

– Jak się będziesz szamotał, to tylko pogorszysz sprawę – ostrzegł go.

Jakaś część Dantego starała się zrozumieć sytuację. Jeśli brat terrorysty nie chce współpracować, to w najlepszym razie może się spodziewać szorstkiego traktowania. Ale to była tylko niewiele znacząca część Dantego.

– Zostawcie go – powiedział.

– Proszę się nie wtrącać, to nasza robota – wyjaśnił Esposito.

– Powiedziałem, żebyście go zostawili w spokoju. Ja nie żartuję.

Esposito puścił chłopaka i skoczył w stronę Dantego.

– Ten gnój niedługo się dowie, że przeszukaliśmy mu mieszkanie. Albo zrobimy wszystko, żeby go natychmiast aresztować, albo możemy się z nim pożegnać na zawsze.

Dante schował ręce do kieszeni, aby ukryć drżenie.

– Ma pan rację, ale nie mogę się zgodzić na takie metody.

– Jak się panu nasze metody nie podobają, to może pan wracać, skąd pan przyszedł.

Dante zrozumiał, że należy zmienić taktykę, i zwrócił się bezpośrednio do zatrzymanego.

– Panie Faouzi, znam świetnego, zdecydowanego adwokata. Pomogę panu złożyć skargę za znęcanie się i będę pańskim świadkiem. – Spojrzał na policjantów. Guarneri i Alberti wyglądali na zmieszanych, Esposito zrobił się cały fioletowy ze złości. – Trzech przeciwko dwóm. Ciągle jeszcze macie przewagę, ale według mnie wyjaśnimy sprawę w sądzie – zakończył.

– Zwariował pan? – oburzył się Guarneri.

– Tak, już dawno. Nie mam zamiaru pozwalać na waterboarding^[6] czy innego rodzaju tortury. Skoro nie rozumie pan moich racji, szkoda czasu na wyjaśnienia.

– Chyba ma rację... – odezwał się nieśmiało Alberti.

Esposito uciszył go kuksańcem w bok.

– Nie masz prawa do głosowania, żółtodziobie. Już i tak mi się dzisiaj naraziłeś – ryknął. Potem zbliżył się do Dantego. – *Dottoressa* bardzo pana

szanuje, Torre, ale teraz ryzykuje pan własną skórą.

– Daj spokój, Esposito, nie przeginaj – mruknął Guarneri.

Dante dał mu znak, żeby się nie mieszał. Nie potrzebował obrońcy.

– Chce pan mnie zabić na miejscu, inspektorze Esposito?

– Co on, kurwa, gada?

Dante zdjął rękawiczkę ze zmasakrowanej dłoni i policjant skrzywił się z obrzydzeniem.

– Przez trzynaście lat mojego życia byłem torturowany. Cierpiałem gorąco i zimno, brakowało mi jedzenia i wody, zostałem okaleczony. Jeśli chce pan powstrzymać, będzie pan musiał użyć przemocy. Jest pan gotowy?

– Nie rozumie pan, że jeśli nie znajdziemy podejrzanego, zwałą na nas całą winę? – zapytał zbity z tropu policjant.

– Rozumiem. I dlatego potrzebuję dziesięciu minut sam na sam z jego bratem.

Mówiąc to, Dante się zastanawiał, czy wytrzyma tak długo. W czterech ścianach małego mieszkania czuł, że się dusi, chociaż starał się patrzeć cały czas na niebo, którego skrawek widać było przez otwarte okno.

– Ma pan zamiar zastosować swoje sztuczki? – zapytał Guarneri.

– Nie zajmuję się wyciąganiem królików z kapelusza. Ale skoro to pana uspokoi, to tak.

– No to do roboty – warknął Esposito i odwrócił się na pięcie.

Pozostali poszli w jego ślady; ostatni oddalił się Alberti, mrugając porozumiewawczo. Dante pochylił się nad chłopakiem i pomógł mu wstać, a potem usiąść na stelażu łóżka. Przysiadł obok i poczęstował go papierosem.

– Zabawa w dobrego i złego policjanta, co? – zauważył Mario.

– Nie jestem gliną, ale mniej więcej o to chodzi. – Dante zapalił dwa papierosy.

– Moja matka dostanie szału, jak zobaczy, że rozwaliliście jej chatę.

– Przykro mi. – Głos Dantego brzmiał szczerze. – Niestety, twój brat wpakował się w kłopoty.

– Co zrobił?

– A jak ci się wydaje?

Głos Maria podwyższył się o oktawę.

– Pociąg?

– Wszystko na to wskazuje.

– Mój brat nie jest terrorystą. Nawet bić się nie umie, a co dopiero zabijać ludzi.

– Kiedy go ostatni raz widziałeś?

– Dzisiaj, wcześniej rano. Oglądaliśmy w telewizji relację z zamachu. Mama jeszcze spała.

– Jak się zachowywał?

– Nie wiem... był chyba zmartwiony. I przestraszony. A potem zaczął pić. – Chłopak pochylił się w stronę Dantego. – On nie miał pojęcia o zamachu! Przysięgam!

Dante uważnie obserwował swojego rozmówcę i w końcu uznał, że mówi prawdę. *Niezły burdel*, pomyślał.

– Poczekaj tutaj.

– A dokąd miałbym pójść? – zapytał ze smutkiem w głosie Mario.

Dante dołączył do Trzech Muszkieterów, którzy właśnie kończyli przeszukiwać kuchnię.

– Przyznał się? – zapytał z ironią Esposito. – Wyciągnął spod łóżka jeszcze ciepłą bombę?

– Muszę porozmawiać z Colombą. Co u niej?

– Nic nowego – powiedział Alberti.

– Powinniśmy się pośpieszyć – ponaglił ich Guarneri. – Dzwonili z centrali, musimy wracać i złożyć zeznania na temat ostatnich wydarzeń.

– Ile mamy czasu?

– Próbowałem się targować. Nie więcej niż dwie godziny.

Wszystko się komplikuje, pomyślał Dante, kierując się w stronę małego balkonu, na który wychodziło się przez łazienkę. Świeże powietrze dobrze mu zrobiło, ale unikał patrzenia w dół – cierpiał na lęk wysokości. Zadzwoił, używając swojej ulubionej aplikacji, i po kilku sygnałach usłyszał głos Colomby.

Znajdowała się na schodach prowadzących do siłowni w towarzystwie sędzi śledczej Spinelli i techników laboratoryjnych, którzy mieli zrekonstruować przebieg strzelaniny.

– Powiedz mi, że coś znalazłeś, bardzo cię proszę.

– CC, sądzę, że znalazłem jednego z chłopaków, który jest na wideo.

Colomba słuchała z zapartym tchem. Nie wierzyła, że Dante może dokonać cudu, przynajmniej nie w tak krótkim czasie.

– Jesteś pewien?

– Skoro dzwonię...

– Kim on jest?

– Nazywa się Musta Faouzi, ma dwadzieścia pięć lat i nie wygląda ani na szaleńca, ani na fundamentalistę. Ma jakieś drobne przestępstwa na koncie.

Colomba, przeskakując po dwa schody, dotarła do bezalkoholowego baru na piętrze. Była bardzo przejęta tym, co usłyszała.

– Widziałam ludzi, którzy byli poza wszelkimi podejrzeniami, a robili okropne rzeczy, Dante.

– Nie znaleźliśmy śladów religijnej obsesji, jego relacje z matką i bratem są normalne, pije i pali haszysz jak wielu młodych chłopców. Coś mi tu nie pasuje, CC.

W pewnym momencie Colomba przestała słuchać.

– Przeszukaliście jego mieszkanie? – zapytała o wiele spokojniejszym tonem.

– Tak.

– Dlaczego mnie nie powiadomiłeś o waszych planach?

– Zleciłeś mi to zadanie i staram się je wykonać najlepiej, jak umiem – odpowiedział opryskliwie Dante, bo poczuł się dotknięty jej nieufnością.

Colomba otarła pot z twarzy.

– Porozmawiam z sędzią w sprawie wydania listu gończego.

– Bez żadnych dowodów? Sama mówiłaś, że ci nie uwierzą.

Colomba ścisnęła telefon tak mocno, że usłyszała skrzypnięcie.

– Myślałam, że wycofasz się przy pierwszej nadarzającej się okazji. Co ci się stało? Stałeś się nagle wzorowym obywatelem? – Natychmiast

pożałowała tych słów. Przecież to ona poprosiła go o pomoc. –
Przepraszam.

– Nie szkodzi. Rozumiem, że jesteś bardzo przejęta tą całą sprawą. Daj mi jeszcze trochę czasu, spróbuję się czegoś dowiedzieć, zanim całkiem się poddam.

Dante, od momentu w którym zaczął rozmowę z bratem Musty, czuł narastający, dziwny niepokój, jakiego doświadczał zawsze w obliczu tajemnicy, która odsłaniała mu się przed oczami. Dostrzegał coś niepokojącego skrytego wśród cieni, coś, co jednocześnie go pociągało i przerażało.

– Twoi ludzie muszą stawić się w centrali za dwie godziny. O tyle cię proszę. Przecież i tak zajęłoby ci znacznie więcej czasu przekonanie tych palantów, którzy wydają ci rozkazy.

Spinelli wybrała sobie właśnie tę chwilę, aby pojawić się na szczycie schodów w całym swoim majestacie dojrzałej matrony.

– *Dottoressa*, możemy kontynuować? – zwróciła się do Colomby.

Policjantka szybko dokonała w myślach analizy sytuacji.

– Dobra, ale żadnych dodatkowych przeszukań beze mnie, zrozumiano? Dwie godziny, potem się wycofujecie – powiedziała po cichu i wyłączyła telefon, kiedy Dante jeszcze się żegnał.

Podeszła do sędzi śledczej, która usiadła przy jednym ze stolików, odsyłając najpierw do swoich zadań dwóch funkcjonariuszy z oddziałów specjalnych.

OPARŁY SIĘ O BALUSTRADĘ z zamkniętymi oczami, Dante zapalił kolejnego papierosa. *Dwie godziny to trochę za mało*, pomyślał. Ale jeśli nie myli się co do Musty, możliwe, że tyle czasu wystarczy, a nawet okaże się za dużo. Wiadomo, że małe rybki zawsze kończą na patelni.

PIĘCIOLETNI SYNEK SĄSIADÓW ostrzegł Mustę. Czekał na niego przy wjeździe do podziemnych garaży, bawiąc się plastikową komórką. Musta zaparkował skuter i założył łańcuch, a wtedy mały wymamrotał coś, co brzmiało jak „panowie”.

– Co tam mruyczysz, zasańcu? – zapytał Musta, starając się wrócić do rzeczywistości. Był tak przerażony, że nie potrafił logicznie myśleć.

– Panowie cię szukają.

Musta poczuł w ustach kwaśny posmak piwa.

– Jacy panowie? – wykrztusił.

– Nie wiem. Mają na brzuchach takie coś.

Chłopczyk opisał ubranie i Musta zrozumiał, że chodzi o kamizelki kuloodporne.

– Jeszcze tu są?

– Nie wiem.

– Nie mów nikomu, że mnie widziałeś – przykazał małemu Musta, po czym wrócił, skąd przyszedł. Z tą różnicą, że wracał pieszo. Skuter był zarejestrowany na matkę, ale miał tablicę rejestracyjną.

Biegając przez podwórze, czekał na serię strzałów, która położy kres jego cierpieniom. Nic się jednak nie wydarzyło i wkrótce znalazł się na ulicy. Próbował przekonać sam siebie, że dzieciak wszystko sobie wymyślił, ale dobrze wiedział, że to nieprawda.

Policja go szuka. Sprawdził się najgorszy scenariusz.

Allahumma inni ‘a’ udhu bika mina lkhubthi wa lkhaba’ith. Niech mnie Allah chroni od spraw nieczystych. Kiedy był mały, ojciec nauczył go tego zdania, kładąc mu je wypowiadać przed wejściem do publicznej toalety, ale Musta uznał, że w tym momencie bardziej mu się przyda. Chociaż było już za późno.

Bo już dopuścił się nieczystego uczynku.

Musta z ciężkim sercem wyrzucił komórkę, po czym naciągnął na głowę kaptur i ruszył ulicą prowadzącą między blokami na drugą stronę dzielnicy. Myślał o swoim ojcu, mimo że nie miał pojęcia, gdzie ten drań

się podziwia, o jego niezachwianej pewności co do sądu ostatecznego, o tym, że chciałby tak jak on wierzyć w najwyższy byt zdolny go ocalić. Rankiem próbował nawet się pomodlić, ale wykonywane gesty wydały mu się obce i bezosobowe. Nie przypominał swojego brata, który przestrzegał nawet ramadanu. Pragnął wybaczenia, ale nie wierzył, że je otrzyma.

Musta przemierzał mniej uczęszczane ulice, unikając wzroku napotkanych osób, aż wreszcie dotarł do Dinozaurów. Oczywiście nie chodziło o prawdziwe dinozaury, chociaż Musta i jego przyjaciele tak je nazywali. Były to ogromne szkielety dwóch bloków, których budowę rozpoczęto przed kilku laty i nigdy nie ukończono. Wiezorami chodziło się tam z dziewczynami, które godziły się na wykonywanie ręcznej roboty, a ci, którzy mieli szczęście, mogli liczyć nawet na prawdziwy stosunek. Niedaleko mieszkał Farid.

Przyjaciół.

Mężczyzna, który wciągnął go w ten koszmar.

Mieszkał w lokalu, w którym kiedyś znajdował się sklep z wyposażeniem łazienek, ale po śmierci właściciela popadł w ruinę i Farid zajął to pomieszczenie. Wstawił tam kanapę z Ikei z trzeszczącymi sprężynami, stary telewizor i radio z odtwarzaczem płyt CD, który ciągle się blokował.

– Kupię sobie nowe meble i sprzęt – powiedział dwa dni temu. – Będę miał sześćdziesięciocalowy telewizor z wygiętym ekranem, widziałem taki w supermarkecie Trony, i bezprzewodowe głośniki połączone z Internetem.

– Nie masz Internetu w mieszkaniu – zauważył wtedy Musta.

Farid mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Założę sobie, jak tylko dostanę kasę za robotę.

Robota. No właśnie. „To tylko nagranie”, powiedział Farid. Dobra zabawa. Niezły żart.

Czy to możliwe, że nie wyczuł szwindla? *Co powie matka, jak się o wszystkim dowie?* – pomyślał. *Co powiedzą znajomi?* Wiedział, że niektórzy uznają go za bohatera, a tymczasem był tylko matołem, który musi źle skończyć.

Allahumma inni 'a' udhu bika mina lkhubthi wa lkhaba'ith.

Budynek, w którym dawniej mieścił się sklep z wyposażeniem łazienek, zbudowano w latach sześćdziesiątych. Jego mury zniszczone zostały przez wilgoć. Mała brama wejściowa pokryta graffiti wychodziła na plac. Musta przeszedł przez stare drewniane drzwi znajdujące się obok zamazanego na czarno okna wystawowego i ruszył przez cementową sień, prowadzącą na wewnętrzne podwórze. W połowie korytarza były tylne drzwi do sklepu, teraz stanowiące jedyne wejście, gdyż Farid zalutował kratę od ulicy.

Musta zapukał. Mrok dodawał mu pewności, gdyż żaden z nielicznych sąsiadów nie mógł go zauważyć, zwłaszcza że żarówki na korytarzu dawno się przepaliły. Wewnątrz nic się nie poruszyło i chłopak przesunął się nieco, aby zajrzeć przez okienko. Co prawda szyba była matowa, ale już dawno odkrył, że jak się ją przetarło śliną, to można było dostrzec jak przez judasza, co się dzieje w środku. W świetle zachodzącego słońca, które sączyło się przez zaciemnione okno wystawowe, nie zauważył nikogo. Potem przyciskając nos do szyby, żeby poszerzyć kąt widzenia, zobaczył głowę Farida wystającą ponad oparcie starego biurowego fotela, ciężkiego jak z ołowiu, który razem przytaszczyli ze śmietnika. Teraz krzesło stało odwrócone do ściany, jakby Farid został ukarany i postawiony do kąta. Niemożliwe, żeby nie słyszał pukania.

Ty skurwysynu, pomyślał. Chcesz mnie zostawić samego w tym gównie. Strach zaczął ustępować pod wpływem złości i Musta wpadł do środka, zamykając za sobą drzwi. Farid się nie poruszył, wpatrzony nadal w przeciwległą ścianę.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? Czemu się nie odzywasz? – zapytał wściekły Musta.

Głowa Farida lekko zadrżała, ale była to jedyna reakcja. Musta zaniepokoił się, że przyjaciel jest zbyt naćpany, żeby odpowiedzieć, i podszedłszy bliżej, popchnął oparcie fotela.

– Zdajesz sobie sprawę, że policja nas znalazła! Powiedz coś, do jasnej cholery!

Krzesło się odwróciło i Musta znalazł się twarzą w twarz z Faridem, który płakał jak dziecko, a usta miał wykrzywione w grymasie przerażenia.

– Przepraszam... ja nie chciałem... przepraszam – wyjąkał, krztusząc się.

Siedział przywiązany taśmą klejącą do podłokietników.

Zanim Musta zdążył zareagować, ktoś chwycił go od tyłu za gardło i unieruchomił, ściskając mocno.

– Dobrze zrobiłeś, że wpadłeś. Oszczędziłeś mi czasu – usłyszał kobiecy szept, po czym przeszywający ból wypełnił mu czaszkę.

Kiedy wszystko wokół pogrążyło się w ciemnościach, pomyślał tylko, że nie zdąży już pożegnać się ze swoim bratem.

MARIO NIE CHCIAŁ obejrzeć nagrania do końca. Odwrócił wzrok od tabletu.

– Niech pan to wyłączy, bardzo proszę – mruknął.

– Ten po lewej to twój brat, jak się już zresztą domyśliłeś – powiedział Dante, nie wyłączając filmu.

Kończył się nie tylko czas Musty, lecz również jego. Czoło pokrywały mu krople potu i miał wrażenie, że ściany się wokół niego zamykają.

– Nie wierzę. Na pewno można to jakoś wyjaśnić.

– Tylko Musta jest w stanie to zrobić. Dlatego musimy go odnaleźć.

Głos chłopaka znowu stał się piskliwy, jak za każdym razem, gdy emocje brały górę.

– Chcecie go zabić.

– Jeśli się podda, włos mu z głowy nie spadnie.

– Tacy jak my zawsze marnie kończą... I nikogo to nie obchodzi. Dzisiaj zastrzelili już imama.

To dlatego tutaj jesteśmy, mój drogi, pomyślał Dante. Wyłączył wideo i zmusił Maria, żeby popatrzył mu w oczy, unosząc delikatnie jego podbródek.

– Mario, przyrzekam ci, że zrobię wszystko, żeby pomóc twojemu bratu, ale najpierw ty musisz pomóc mnie.

Zdawało się, że chłopak chce coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zacisnął usta i spuścił głowę.

– Powiedz mi cokolwiek, co mogłoby się przydać. Bardzo cię proszę.

Mario skierował wzrok w kierunku otwartego na oścież okna, przez które widać było las anten na dachu sąsiedniego bloku. Ta szybka, mimowolna wskazówka wystarczyła Dantemu, który od razu zawołał Albertiego.

– Proszę cię, sprawdź to okno – zwrócił się do policjanta.

– Guarneri już sprawdzał.

– Nie od środka, tylko na zewnątrz.

Alberti zeszywniał.

– A jak spadnę?

– Wtedy poproszę twoich kolegów. Przynajmniej jeden z waszej trójki powinien dobrze się wspinać.

Alberti jakoś sobie poradził. Najpierw wychylił się jak najdalej, uchwycyony kaloryfera, ale niczego nie znalazł, dopóki Dante nie zmusił go do wspięcia się na parapet. Jedna z cementowych płytek pokrywających zewnętrzną ścianę była obluzowana, a pod nią znajdowała się foliowa torebka z trawką i zwinięty plik banknotów po pięćdziesiąt euro. Po przeliczeniu okazało się, że było równe dwa tysiące.

Alberti zważył w ręce zawartość woreczka.

– Mniej więcej dziesięć gramów. Wystarczy, żeby wsadzić cię do kicia – powiedział do Maria.

– Daj mi to na chwilę – wtrącił się Dante.

Alberti podał mu torebkę, a wtedy Dante wyrzucił ją przez okno.

– Ej! – krzyknął oburzony policjant.

– Co za głupie prawo, które zabrania spożywania zieleniny – stwierdził Dante. – Tymczasem ja i Mario próbujemy wam pomóc. Prawda?

Chłopak przytaknął bez większego przekonania.

– Do użytku osobistego – mruknął.

– A pieniądze? – naskoczył na niego Alberti. – Też do użytku osobistego?

– Nie są moje. Należą do Musty.

– Zarobił na rozprowadzaniu narkotyków.

– Nie.

Dante przyglądał mu się uważnie. *Mówi prawdę*, zawyrokował.

– Ze swoich zarobków nie mógł tego odłożyć – stwierdził Dante

– Trafiła mu się dodatkowa fucha – wyznał niechętnie Mario.

Prawda.

– Co za fucha?

– Nie wiem. Nic nie chciał powiedzieć.

Prawda.

– Wiesz, kto mu zaproponował robotę?

– Nie.

– Kłamiesz – wysapał Dante, któremu zaczynało brakować tlenu. – Dobrze znasz tego człowieka, tylko nie chcesz podać mi jego nazwiska, bo to twój kumpel albo się boisz wpakować brata w jeszcze poważniejsze kłopoty – ciągnął, nie spuszczać wzroku z chłopaka. – No to zagrajmy w zgadywanke. Nie musisz podawać mi jego imienia. Wystarczy, że o nim pomyślisz.

– Ale ja nie wiem...

– Ciii – przerwał mu Dante. – Tylko pomyśl. Wiem, że właśnie to zrobiłeś. No to teraz posłuchaj. Jego imię zaczyna się na A? Na B? – Dante kontynuował, aż doszedł do litery F. Wtedy się zatrzymał. – Dobra, zaczyna się na F. Sprawdź, czy jest ktoś taki wśród znajomych Musty – polecił Albertiemu, który stał obok i słuchał jak urzeczony.

Również Guarneri, który obserwował ich z korytarza, wyglądał na zachwyconego. Wydawało mu się, że patrzy na zaklinacza węży przy pracy.

– Nie musicie sprawdzać – poddał się Mario. – Nazywa się Farid, ale nie jest moim przyjacielem.

– Nie lubisz go, co?

– Mój brat uważa go za boga, a to zwykły kretyn. – Chłopak potrząsnął głową, falując dreadami. – Napakował mu do głowy różnych głupot. Wcześniej Musta nie pił i nie jadł wieprzowiny. A teraz ma to gdzieś.

– Ten Farid to niezły aparat.

– No właśnie, ale Musta przysięgał, że robota jest czysta.

Prawda. A przynajmniej on jest o tym przekonany, pomyślał Dante.

– Masz jego zdjęcie? – zapytał.

– W komórce. Załatwili mi ją jego kumple.

Dante kazał go rozkuć i oddać mu telefon. Tym razem żaden z policjantów nie zaprotestował, dając tym samym do zrozumienia, że niebezpieczeństwo tortur zostało oddalone.

Mario przejrzał szybko selfie i wybrał jedno, na którym był z bratem, a między nimi ulokował się jeszcze jeden facet: kręcone włosy, jasne oczy, skóra ciemniejsza niż u Musty, kilka centymetrów i lat więcej.

Normalnie Dante przeskakiwałby po dwa schody, żeby jak najszybciej znaleźć się na dworze, spieszyłby się, ryzykując potknięciem, i ze łzami

w oczach złorzeczyłby każdemu stopniowi z osobna. Normalnie Dante już po pięciu minutach leżałby na wysuszonej trawie pod blokiem z twarzą zwróconą w ciemne niebo. Ale przez chwilę poczuł silne napięcie, które zagłuszyło nieprzyjemne wrażenia i strach.

Farid był drugim mężczyzną z nagrania.

COLOMBA Z NIECIERPLIWOŚCIĄ CZEKAŁA, aż Angela Spinelli zapisze wszystko w notesie wiecznym piórem. Sędzia śledcza robiła to z przesadną, denerwującą dokładnością, pochyliwszy głowę otoczoną białoniebieskimi włosami nad blatem barowego stolika.

– Chyba już wszystko pani powiedziałam – odezwała się Colomba.

Spinelli oparła się na krzesło tak mocno, że aż zatrzeszczało.

– Jest jedno pytanie, które chciałam pani zadać od chwili, gdy wróciła pani do służby. Nie łączy się ono bezpośrednio ze śledztwem, ale zależy mi, żeby jak najlepiej zrozumieć sytuację.

Tylko się spiesz, bo mam kupę roboty. Colomba nie mogła przestać myśleć o Dantem i Trzech Muszkieterach; niepokoiła się o to, co może im wpaść do głowy.

– Oczywiście, słucham panią.

– Dlaczego ciągle jest pani na służbie?

Colomba próbowała zachować nieprzeniknioną twarz.

– Zrezygnowałam z wolnego dnia.

– Niech pani nie udaje Greka, jestem dużo starsza od pani.

– To moja praca, mamy sytuację kryzysową, co jeszcze można dodać?

– Coś by się chyba znalazło. Jako pierwsza dokonała pani wizji lokalnej w pociągu pełnym trupów, gdzie ryzykowała pani zatrucie gazem, a potem zamiast wziąć wolne i odpocząć, natychmiast wróciła pani do pracy. To chyba lekka przesada?

– Chce mi pani powiedzieć, że jestem pracoholiczką?

– Nie całkiem. – Spinelli wykręciła się od konkretnej odpowiedzi. – Nie po raz pierwszy użyła pani broni, prawda?

– Zgadza się.

– W ilu wymianach ognia brała pani udział, zanim przeniesiono panią do Rzymu?

Colomba zacisnęła zęby.

– Tylko w jednej. Strzelałam do złodzieja, kiedy pracowałam w wydziale antynarkotykowym w Palermo.

– Potem w ciągu roku była pani świadkiem dwóch zamachów bombowych, w czasie jednego z nich zginął szef pani jednostki, *dottor Rovere*, a w trakcie strzelaniny, która wywiązała się przy uwolnieniu Dantego Torre, zginęli dwaj przestępcy, a ich wspólnik został ranny. No i dzisiaj znowu mamy ofiary.

Oczy Colomby zrobiły się ciemne jak woda w moczarach.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Miała pani przykre doświadczenia zarówno przed sprawą Ojca, jak i po niej. Policjantka, którą była pani kiedyś, musi dopasować się do obecnej sytuacji. Sądzę, że nikt nie jest w stanie wyjść bez szwanku z takich opresji. Zostają po tym urazy, które pani zdaje się lekceważyć.

– Niczego nie lekceważę. Po prostu nic nie zakłóca mi zdolności logicznego myślenia. Poddałam się wszystkim badaniom i zostałam uznana za w pełni zdolną do służby.

– Pozbawienie życia drugiego człowieka jest zawsze traumatycznym przeżyciem, którego nie sposób opisać. Rzymska policja ma do dyspozycji świetnych psychologów, ale pani nigdy nie chciała skorzystać z ich pomocy.

Żeby wszyscy koledzy uznali mnie za wariatkę? Tylko tego by brakowało.

– Nie potrzebuję pomocy.

Spinelli skrzywiła się na znak, że ma całkiem inną opinię na ten temat.

– Wie pani, skąd zastrzelony mężczyzna miał broń, *dottorressa*?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła Colombę.

– Nie.

– Około sześciu miesięcy temu jeden z wiernych uczęszczających do tego meczetu zamordował żonę. Przyznał się do winy, został osądzony w przyspieszonym trybie i skazany za zabójstwo z premedytacją. To był jego karabin, miał na niego pozwolenie.

Colomba aż podskoczyła.

– To ja go aresztowałam. Nie wiedziałam...

– Brała pani udział w przeszukaniu mieszkania mordercy? – przerwała jej sędzia śledcza.

– Tak. Nie znaleźliśmy żadnej broni, w przeciwnym razie byśmy ją zarekwirowali.

– Oczywiście. Ukryto ją w schowku w meczecie i przeleżała tam aż do dzisiaj. Czy zarządziła pani poszukiwania?

Colomba próbowała sobie przypomnieć, czy to zrobiła. Mężczyzna udusił żonę i być może wcale nie przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić, czy posiadał broń.

– Nie pamiętam, musiałabym zajrzeć do raportów.

– Przecież minęło zaledwie sześć miesięcy.

– Powiedziałam już, że nie pamiętam! – Colomba podniosła głos i zaraz tego pożałowała, próbując się uspokoić. – To było zaraz po moim powrocie do służby, to był... – zająknęła się.

– Trudny okres?

Colomba wbiła paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni. Kłótnia z przedstawicielką wymiaru sprawiedliwości była ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała.

– Potrzebowałam czasu na ponowną aklimatyzację.

– I może właśnie dlatego popełniła pani błąd? Bo się pani aklimatyzowała?

– Nie mogę tego wykluczyć – powiedziała Colomba. – Nie byłby to mój pierwszy błąd i z pewnością też nie ostatni. Ale jeśli chodzi o dzisiejszą akcję, to nie mam sobie nic do zarzucenia.

Spinelli patrzyła jej w oczy przez dłuższą chwilę, po czym zakręciła pióro.

– Zobaczmy się jutro w prokuraturze. Każę przygotować pani zeznania, żeby mogła je pani podpisać.

– Kiedy będę mogła wrócić do służby?

– Nie wcześniej, nim śledztwo się zakończy, przykro mi. Może pani wykorzystać ten czas na zastanowienie się nad możliwością zmiany obowiązków. W policji są też stanowiska, które nie wymagają stosowania przemocy.

Colomba poczuła, jak czerwienią się jej policzki.

– Chce mnie pani zamknąć w archiwum?

Spinelli się uśmiechnęła, ale Colombie wcale się ten uśmiech nie spodobał.

– Proszę jedynie, żeby się pani zastanowiła. Ma pani czas przynajmniej do momentu podjęcia decyzji przez sędziego prowadzącego postępowanie wstępne. – Spinelli wstała i podała jej rękę. – Proszę odpocząć.

Spieprzaj, pomyślała Colomba. Nic jednak nie powiedziała, tylko uściśniła kobiecie dłoń i odczekała, aż wraz ze swoją eskortą opuści budynek, do którego właśnie wchodziła grupa ubranych po europejsku Arabów. Podążali za komendantem policji jak pisklęta za kwoką. Zeszli po schodach prowadzących do meczetu i zaciekawiona Colomba ruszyła za nimi, zatrzymując się na progu byłej siłowni. Komendant zaczął opisywać im przebieg wypadków, a jego głos odbijał się od cementowego sklepienia. Arabowie potakiwali bez słowa.

Colomba odwróciła się z zamiarem opuszczenia budynku, ale wpadła na kolegę w ciemnogrnatowym, bojowym mundurze, który pojawił się w drzwiach. Mężczyzna był dobrze zbudowany, pod czterdziestkę, a jego twarz mogłaby posłużyć za reklamę maszynek do golenia.

– Przepraszam – powiedziała, próbując go ominąć.

– Jak się masz?

Dopiero na dźwięk jego głosu Colomba zdała sobie sprawę, że to sympatyczny komandos bez kominiarki i kamizelki. Zatrzymała się zaskoczona.

– Nie poznałam cię – wyznała.

– No jasne, właśnie po to zakładamy kominiarki. Teraz jestem już po służbie, to znaczy prawie. A tak przy okazji – wyciągnął rękę – komisarz Leo Bonaccorso. Ty jesteś Colomba, zgadza się?

– Tak. Ciebie też przesłuchiwali?

– Jeden z asystentów Spinelli właśnie się odczepił.

– Powiedziałeś mu, że zrobiłam głupstwo?

– Nie, powiedziałem, że dostrzegłaś coś, co nam umknęło. – Leo pokręcił głową. – Nie wiem, jak to się mogło stać. Przecież mamy doświadczenie w odnajdowaniu mafiosów, którzy ukrywają się w najbardziej niesamowitych miejscach.

Colomba wzruszyła ramionami.

– Po bossach można się tego spodziewać, a w takim miejscu nie za bardzo.

Skrytka już tutaj była, kiedy ostatni raz przeszukiwałam lokal. Kolejny błąd, którym mnie obciążą. Wskazała na wycieczkę Arabów.

– Kim oni są?

– Delegacja przedstawicieli umiarkowanego islamu z całej prowincji – odpowiedział Leo.

– Operacja: nic nie ukrywamy...

– To także z korzyścią dla ciebie, w ten sposób rozumieją, że nie miałas wyjścia.

Colomba opuściła głowę i nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy, którą przerwał Leo.

– Chciałaś rozmawiać z technikami?

– Już z nimi rozmawiałam, chciałam tylko... dowiedzieć się, co się dzieje. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Muszę już iść.

– Dasz mi swoją wizytówkę? Chciałbym do ciebie zadzwonić i zapytać, jak się czujesz.

– Zapomniałam zabrać. Przepraszam, ale teraz muszę...

Leo kiwnął potakująco głową i usunął się z przejścia. Colomba wymknęła się z budynku i udało jej się nawet nie wpaść po drodze na Santiniego, który krążył po pomieszczeniach z ponurą miną. Dopiero na ulicy przypomniała sobie, że służbowy radiowóz wzięli Trzej Muszkieterowie. Wołała nie prosić o podwiezienie żadnego z kolegów, ruszyła więc pieszo w stronę głównej ulicy, omijając ostrożnie grupy dziennikarzy i demonstrantów. Na szczęście było już ciemno, poza tym nie bardzo przypominała policjantkę ze zdjęć pokazywanych zwykle w wiadomościach, ale nigdy nic nie wiadomo. Kiedy oddalała się z miejsca zdarzenia, zadzwonił Dante przez Snapchata.

– Co nowego? – zapytała bez wstępów.

– Już mówię. Chłopak zdołał się nam wymknąć w ostatnim momencie. Sąsiedzi powiedzieli, że jakąś godzinę temu zostawił skuter w garażu, niestety, w mieszkaniu się nie pokazał. Chyba się zorientował, że na niego

czekamy. I zanim zaczniesz na mnie wrzeszczeć za to, że weszliśmy tam bez pozwolenia, pamiętaj, że nie było czasu na urządzenie zasadzki.

– Wiem. Masz pomysł, gdzie się teraz ukrywa?

– Sprawdzimy mieszkanie przyjaciela.

– Którego przyjaciela?

– Powiedzmy, że chodzi o najlepszego kumpla. Tego, który wciągnął go do tajemniczej roboty, mającej według mnie jakiś związek z pociągiem.

Colomba poczuła, jak uginają się pod nią nogi.

– Jesteś pewien?

– Na razie to jestem pewien tylko tego, że chce mi się rzygać, kiedy Alberti prowadzi samochód.

– Nic beze mnie nie róbcie – przerwała dyskusję Colomba. – I podaj mi adres, gdzie się spotkamy.

– Wyślę ci zdjęcie.

Podczas gdy Trzej Muszkieterowie zarzucali go pytaniami, protestując przy tym zawzięcie, Dante napisał sobie adres na dłoni, strzelił fotkę i wysłał Colombie. Nie miał pewności, czy ktoś podsłuchuje ich rozmowy, ale biorąc pod uwagę liczbę popełnianych zbrodni, postanowił zachować ostrożność.

Zauważywszy postać żółtego duszka tańczącego na wyświetlaczu, Colomba otworzyła zdjęcie i podała adres kierowcy taksówki, którą cudem udało jej się złapać. Niedługo później wiadomość sama się skasowała, bo Dante dodał czasową opcję autodestrukcji. Colomba poczuła się jak w jednej z części *Mission Impossible*, chociaż nie podzielała tej pasji Dantego. Prawdę powiedziawszy, nie rozumiała także wielu innych jego zachowań.

Adres zaprowadził ją na plac pełen zamkniętych sklepików, na środku którego wznosiła się najbrzydsza fontanna, jaką kiedykolwiek widziała. Basen wypełniony był śmieciami, a murek pokryty wulgarnymi napisami oraz symbolami miejscowych subkultur. Oświetlająca placów samotna latarnia zdawała się rzeźbić ostatkiem sił. Muszkieterowie czekali w jednej z bocznych uliczek przy pojemnikach na śmieci, obok baru z zamkniętą

żaluzją, a ich żarzące się papierosy przypominały świetliki. Podeszła do kolegów.

– Jak się przedstawia sytuacja? – zapytała.

Policjanci poinformowali ją o postępach w śledztwie, skupiając się na Faridzie, którego tożsamość udało im się ustalić. Nazywał się Youssef. Urodził się w Tunisie i w wieku czterech lat przybył z rodziną do Włoch, gdzie po jakimś czasie otrzymał obywatelstwo. Był notowany za nielegalne posiadanie broni, oszustwo, kradzież i gwałt, za który dostał sześć lat więzienia, lecz wyrok jeszcze się nie uprawomocnił. Ponadto lista obejmowała wykaz dorywczych zajęć i oskarżeń o drobne oszustwa. Jak na niespełna trzydziestoletniego mężczyznę był to dość imponujący dorobek.

– Mieszka tam – powiedział Esposito, wskazując na jeden z zamkniętych sklepów pod arkadami. – Urządził sobie nielegalne lokum, tylko nie wiemy, czy teraz jest w domu.

– Żaluzja jest zamknięta na stałe – oświadczył Guarneri.

– Zaraz za bramą budynku znajduje się tylne wejście – dodał Alberti. – Z tamtej strony nikt nas nie zauważy, no i nie będą mieli jak uciec.

Colomba jeszcze przez chwilę obserwowała sklep. Zasłonięte szczelnie okno wystawowe bardzo ją niepokoiło.

– Gdzie jest Dante? – zapytała w końcu.

Esposito wskazał radiowóz zaparkowany w odległości dziesięciu metrów. Colomba podeszła do samochodu i zajrzała do środka. Dante siedział z tyłu pochylony nad tabletem i przeglądał zdjęcia i informacje o zamachach, przesuwał nerwowo palcami zdrowej ręki po ekranie. Jednocześnie rozmawiał wesoło z grubasem przebranym za rapera, którego przykuto kajdankami do kierownicy. Colomba domyśliła się, że ma przed sobą brata poszukiwanego chłopaka. Dante był chudszy i bardziej zmęczony niż w czasie ich ostatniego spotkania, ale wzrok miał ciągle tak samo gorączkowy jak dawniej.

OSTATNI RAZ WIDZIELI się w lutym w apartamencie pięciogwiazdkowego hotelu Impero, który znajduje się w centrum i kosztuje fortunę. Dante się tam zatrzymał, a Colomba przyniosła mu wyniki testów DNA rodziców

i krewnych zaginionych we Włoszech dzieci. Niestety, rezultaty okazały się rozczarowujące, ponieważ żadna próbka nie pasowała do DNA Dantego.

– Nie przejmuj się tak – próbowała go pocieszać – może twoi rodzice zgłosili zaginięcie, ale zmarli, zanim zaczęto wykonywać badania. Od twojego porwania minęło trzydzieści pięć lat, mogli przecież nie mieć żyjących krewnych. Sprawdzę, czy zostały jakieś informacje w starych dokumentach i raportach.

Dante nawet na nią nie spojrzał. Skulił się na kanapie stojącej obok zimnego kominka i w skórzanej kurtce oraz glanach wyglądał jak wyrośnięty punk. Podczas kolacji nie tknął niczego prócz wina i prawie się nie odzywał.

– Możesz sprawdzać, ile chcesz, ale to i tak niczego nie zmieni – odpowiedział ponuro, nie odrywając oczu od nieba widocznego za oknem. Czasami dusił się również w tym pomieszczeniu pełnym przeszklonych ścian i okien dachowych. – Nigdy nie dowiem się, kim jestem – oświadczył. – Ojciec wykonał kawał dobrej roboty, aby zatrzeć ślady mojego pochodzenia. Dość dobrej, jeśli wziąć pod uwagę, że ja żyję, a on nie.

– Nie przyszło ci do głowy, że nie jesteś Włochem? – zapytała Colomba.

– Kiedy mój brat do mnie zadzwonił, to nie zauważyłem u niego obcego akcentu. A przecież potrafię je rozpoznawać, nawet te bardzo lekkie i nawet wtedy, gdy ktoś mówi tak bardzo cicho, jak on.

Colomba stłumiła rozdrażnienie, słysząc, że Dante po raz kolejny używa tego samego argumentu. Wspomniana rozmowa miała miejsce zaraz po zakończeniu śledztwa w sprawie Ojca i została wykonana z publicznego aparatu. Nie można było w żaden sposób ustalić, kto dzwonił, a więc Colomba i sędzia śledczy doszli do wniosku, że był to po prostu głupi żart. Tylko Dante uważał inaczej.

– Pamiętaj, że mówisz o akcencie mężczyzny, którego słyszałeś przez dwie minuty przez telefon, w dodatku jeden jedyny raz.

– To był mój brat. Tylko on może mi wszystko wyjaśnić – odpowiedział Dante z wzrokiem utkwionym w próżnię.

– To było zaraz po śmierci Ojca, a ty sam też ryzykowałeś życiem – przypomniała mu Colomba. – Uwierzyłbyś mu, nawet gdyby ci powiedział,

że jest Świętym Mikołajem.

– Nie jestem taki łatwowierny.

– No to wyjaśnij mi, dlaczego zadzwonił dopiero po tylu latach. I w dodatku nic ci nie powiedział poza tym, kim jest i jak bardzo się cieszy, że ciągle żyjesz.

– Chciał mnie ostrzec.

– Przed czym?

– Nie wiem.

– Może wcale nie masz brata.

– On nie kłamał, umiem rozpoznać oszustwo.

– Przestań! Nie jesteś nieomylny! Czasami jesteś tak uparty, że nie chcesz słuchać racjonalnych argumentów.

– I często mam rację. Powiedziałbym nawet, że prawie zawsze w porównaniu z moimi rozmówcami.

– Łącznie ze mną – wtrąciła Colomba, zachowując cierpliwość.

Dante patrzył na nią z typowym grymasem, w którym tym razem nie było radości, a jedynie okrucieństwo.

– Przede wszystkim w porównaniu z tobą, CC.

Colomba bardzo się starała nie wpaść w złość. Dante był jedną z najinteligentniejszych osób, jakie знаła, ale z drugiej strony prawie zawsze znajdował się na skraju załamania nerwowego. Nie zdecydowała się go dotknąć, wiedząc, że tego nie lubi, i skupiła się na współczującym tonie głosu.

– Dante, wiem, że nie jest ci łatwo – powiedziała.

– Nie jest mi łatwo? Uratowaliśmy dziesięciu chłopców, których przez lata przetrzymywano w kontenerach! Pod moimi drzwiami powinna ustawiać się kolejka chętnych, żeby pomóc mi odkryć, kim jestem. A tymczasem pojawiają się tylko ci, którzy chcą, żebym odnalazł im zaginionego kotka. Nie mogą nawet wrócić do siebie.

– Chciałbyś być traktowany jak bohater?

– Czemu nie? Przecież sobie zasłużyliśmy.

– Byliśmy bohaterami przez cały miesiąc. Mało ci?

W tamtym czasie komórka Colomby nie przestawała dzwonić. Zawieszona policjantka, która ocaliła dzieci, była pożądanym gościem wszystkich stacji telewizyjnych. Ona jednak ciągle odmawiała, podobnie jak nie przyjmowała kawy, którą nieznajomi proponowali jej w barze, czy rabatów w sklepie. Chciała o wszystkim zapomnieć i żyć własnym życiem. Wtedy zrozumiała też, że Dante reaguje inaczej i nie potrafi zamknąć za sobą drzwi.

– Ja nie wiem, co mam robić w życiu, CC. Nie mam pojęcia, dlaczego mój brat się więcej nie odezwał, nie wiem, dlaczego moje DNA nie pasuje do danych żadnego z zaginionych chłopców. Wiem tylko, że to nie przypadek. Ktoś ciągle zaciera ślady Ojca.

Zdenerwowana Colomba skoczyła na równe nogi, łamiąc obcas w bucie ze swojej jedynej eleganckiej pary, którą posiadała i z uporem wkładała, kiedy Dante zapraszał ją na kolację do swojego hotelu.

– Dante, nie znaleźliśmy nic, co potwierdzałoby twoje tezy. Absolutnie nic! Zostałeś porwany w latach siedemdziesiątych, po co ktoś miałby to trzymać w tajemnicy jeszcze teraz?

– No to powiedz mi, dlaczego do tej pory nikt nie przyznał się do zamordowania Jimmy'ego Hoffy? Minęło już czterdzieści lat, a jego ciała wciąż nie odnaleziono. A samolot, który rozbił się w okolicy miasteczka Ustica? Kto go zestrzelił? Dlaczego opinia publiczna nie została o tym poinformowana? – replikował Dante ze złością.

– To całkiem inne sprawy.

– Jasne, bo tylko ta jedna dotyczy mnie bezpośrednio. – Dante patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, jaki miał w chwili, gdy zamierzał nafaszerować się jakimiś środkami, które pozwalały mu przespać całą noc lub wprost przeciwnie, pobudzały go do działania. – Nie wiem, dlaczego to robią i czemu moja tożsamość jest taka ważna. Wiem tylko, że mam rację. Tylko że na razie nie potrafię tego udowodnić.

– A może po prostu chciałbyś, żeby to była prawda?

– Po co? Żeby nadać sens tej całej sprawie związanej z moim porwaniem?

– No właśnie.

Dante pokręcił głową.

– Amatorska psychologia za dwa grosze. Prawda jest taka, że zgodziłabyś się ze mną, gdybyś tak się nie rwała do ponownego wskoczenia w mundur.

O *kurwa*, *on wie*, pomyślała Colomba.

– Kto ci o tym powiedział?

Dante wykonał lekceważący gest okaleczoną ręką.

– Myślisz, że potrzebuję wyjaśnień? Podpowiem ci, co mnie oświeciło: twoje aperitify z Curciem stały się zbyt częste jak na mój gust. Kiedy miałaś zamiar mi powiedzieć, że wracasz do służby?

– Dzisiaj, zanim zauważyłam, że jesteś w paskudnym humorze.

– Nie powiedziałaś, bo wiesz, że nie popieram tej decyzji.

– Dante, to jest moje pieprzone życie! Nie potrzebuję twojej zgody! – wybuchła Colomba, nie umiejąc powstrzymać irytacji. Za jej zdenerwowaniem kryło się jednak poczucie winy. Dobrze wiedziała, że przyjaciel uzna jej decyzję za zdradę. – A co według ciebie mam robić? Zajmować się domem?

– Będziesz wykonywać rozkazy tych, którzy chcieli zamieść wszystko pod dywan.

– To nie są te same osoby.

– Mówię o tych na górze, decydenci są skorumpowani i nietykalni.

– Nie ma żadnej góry, Dante.

Mężczyzna wstał, żeby przygotować sobie espresso. Miał swój rytuał: mielił w ręcznym młynku ściśle określoną liczbę ziaren, za każdym razem czyścił ekspres. Zamawiał kawę na całym świecie, a mieszkania i hotele, w których pomieszkiwał, pachniały niczym prażalnie.

– Kiedy wbrew całemu światu upierałem się, że Ojciec żyje, ciągle musiałem wysłuchiwać, że jestem paranoikiem.

– Nawet paranoicy czasami mają rację.

Dante zacisnął zęby.

– Wolisz wierzyć, że wszystko jest w porządku, żebyś nie musiała zastanawiać się nad sensem swojej pracy – powiedział z nietypową dla siebie złośliwością. – Jesteś tak samo tępą jak wszyscy gliniarze.

Colomba wzięła swój złamany obcas i wyszła z hotelu. Potem już z samochodu wyrzuciła buty do pierwszego napotkanego po drodze pojemnika na śmieci i prowadziła na bosaka. W następnych dniach wymienili przepaszające esemesy, ale żadne nie było w stanie przełamać dzielącej ich bariery. Poza tym Colomba miała wtedy inne problemy, związane z powrotem do pracy i zachowaniem kolegów, którym musiała stawiać czoła.

Czuła się jak ktoś, kto pokonał śmiertelną chorobę i wrócił między ludzi, którzy w międzyczasie zdążyli już odbyć żałobę. Bardzo często cierpiąc z powodu samotności, miała ochotę zadzwonić do Dantego albo wpaść do niego do hotelu, ale potem rezygnowała w obawie, że on tego nie zrozumie. Tak mijały miesiące, a rany ropywały coraz bardziej.

DANTE DOSTRZEGLĘ JĄ przez okno i wyskoczył z radiowozu jak na sprężynie. Wydawało mu się, że dawne urazy zniknęły w jednej chwili.

– CC! – zawołał. – Włosy ci urosły... i przybrałaś nieco na wadze... kilo, półtora?

– Wydaje ci się... to przez ubrania – skłamała. Od kiedy wróciła na służbę, jadła różne paskudztwa. – A ty jesteś chudy jak szczapa.

– Żyję sztuką i miłością. Obejmujemy się czy podamy sobie ręce na powitanie? A może piącha w nos?

Colomba bez namysłu wzięła go w ramiona i odniosła wrażenie, jakby ścisnęła przewód elektryczny.

– Miło cię widzieć – mruknęła.

Dante poczuł, jakby nagle powietrze stało się lżejsze, jakby ktoś poluzował niedostrzegalne imadło, które ścisnęło go w ostatnich miesiącach.

– Mnie też. Tęskniłem za tobą – dodał szczerze.

Colomba nie zdołała wydusić z siebie podobnego wyznania.

– Co tam oglądasz? – zapytała w zamian.

– Trochę informacji na temat międzynarodowego terroryzmu. Niewiele wiem na ten temat. Powiedzieli ci, że nagranie to jest zwykły kolaż? – ciągnął podekscytowany.

– Co to jest kolaż?

– Mieszanina komunikatów o zamachach i testamentów męczenników z ostatnich lat. Są też fragmenty z materiałów propagandowych ISIS, na przykład to zdanie o kobietach i krzyżach.

– Skopiowali to?

– Możliwe, że ktoś dokładnie zadbał o każdy szczegół, żeby wszystko wyglądało wiarygodnie. W ten sposób zdołał ukryć swoje prawdziwe intencje.

– Trzymajmy się faktów, Dante. Jesteśmy tutaj, żeby aresztować dwóch morderców. Potem będą musieli nam powiedzieć, dlaczego nagrali wideo i do jakiego stopnia są zamieszani w zamach na pociąg.

– Okej. Jesteś gotowa na kolejne nielegalne przeszukanie?

Colomba przygryzła dolną wargę.

– Obawiam się, że nic z tego.

– Dlaczego? – zdziwił się Dante.

– Nie wiem, jak wygląda sytuacja wewnątrz sklepu. Ci dwaj mogą być uzbrojeni i, nie daj Boże, zaczną strzelać. Musimy wezwać antyterrorystów.

– W ten sposób stracimy okazję, żeby przesłuchać podejrzanych.

– Wystarczy mi, że trafią do więzienia. Przecież jesteśmy pewni, że to oni, nie?

– CC... pozwól mi chociaż sprawdzić, czy droga wolna.

– Co masz na myśli?

Zamiast odpowiedzieć, Dante zapukał w okno od strony kierowcy. Mario opuścił szybę.

– Czy Farid ma komputer?

– Tak. Ściąga filmy i gra w *World of Warcraft*.

– Czyli ma Internet.

– Kradnie wi-fi sąsiadom.

– Dziękuję. Podaj mi tablet.

Chłopak posłusznie wypełnił polecenie.

– Powiesz mi wreszcie, co ci chodzi po głowie? – powtórzyła zniecierpliwiona policjantka.

Dante skrzywił się po swoimu.
– To ci się nie spodoba.

NIE DO KOŃCA legalne oprogramowanie, za pomocą którego Dante przeczesywał Internet, pochodziło ze sprawdzonego źródła o imieniu Santiago. W swoim poprzednim życiu Santiago należał do południowoamerykańskiego gangu Cuchillos, bandy związanej z włoskim odgałęzieniem niechlubnej Mara Salvatrucha. Sprzedawał narkotyki, używał noża i broni palnej, dwa razy trafił do więzienia, raz za handel, a raz za zabójstwo. Za drugim razem to właśnie Dante wyciągnął go z kłopotów, podstawiając świadków, którzy zeznali na jego korzyść, i tym sposobem zapewnił sobie różne przysługi.

W swoim nowym życiu prawie trzydziestoletni Santiago nie handlował już kokainą, lecz z pomocą garstki najbardziej zaufanych współników – informacjami. Nie ograniczał się jedynie do kradzieży danych, czasami inni przestępcy zlecali mu zabezpieczenie komputera czy telefonu przed podsłuchem, ale większość czasu spędzał na łamaniu haseł dostępu bez pozostawiania śladów.

Kiedy Dante wysłał mu wiadomość, Santiago odpowiedział natychmiast, używając zabezpieczonego połączenia na Skype. Dante odebrał na swoim tablecie, korzystając z tego samego bezprzewodowego Internetu co Youssef. Żeby złapać sygnał, musiał zbliżyć się do sklepu, na szczęście ciemności chroniły go przed zdemaskowaniem.

– Co jest, *hermano*^[7]? Czemu ci się tak spieszy? – zapytał ponuro Santiago po pojawieniu się na ekranie. Mówił z wyraźnym, chociaż sztucznym, południowoamerykańskim akcentem. Jego dziadkowie pochodzili z Kolumbii, ale Santiago urodził się i wychował w Rzymie, tak jak i jego rodzice. Dante zauważył w tle dwóch jego kumpli palących z plastikowej butelki jakąś mlecznobiałą substancję, najprawdopodobniej bazę. Mężczyźni mieli wyraźne tatuaże i kurtki pokryte groźnymi napisami, a oświetlała ich girlanda różnokolorowych świateł. Siedzieli na dachu budynku, w którym Santiago mieszkał, a także urządził sobie coś na kształt biura wyposażonego w satelitarne połączenie internetowe. Na

schodach i podestach stali na straży mali chłopcy w niewielkich grupach. Kiedy pojawiała się policja, natychmiast ostrzegali Santiaga i jego towarzyszy, którzy w mgnieniu oka ukrywali cały sprzęt.

– Potrzebuję szybkiej przysługi – powiedział po cichu Dante do mikrofonu. – Nie zawracałbym ci głowy, gdyby nie chodziło o naprawdę ważną sprawę.

– Dobrze znam twoje ważne sprawy. *No gracias, amigo*^[8].

– Zajmie ci to dziesięć minut. Możesz sprawdzić połączenie internetowe, z którego teraz korzystam?

Santiago postukał przez chwilę w klawiaturę.

– Zrobione. Wi-fi dom. – Była to nazwa użytkownika sąsiada Youssefa, bo korzystali z jego Internetu.

– Czy poza mną jeszcze jakieś komputery używają tego połączenia? Nie jestem w stanie tego sprawdzić. Udało mi się zdobyć hasło, ale na tym moje umiejętności się kończą, nie jestem taki dobry jak ty.

– Niewielu może mi dorównać, *hermano* – oświadczył udobruchany Santiago. Przez kilka sekund uderzał szybko w klawiaturę, a odgłos ten przypominał Dantemu serię z karabinu maszynowego. – Stary Mac o nazwie „dom” i PC „Naga”.

– Ten drugi – powiedział Dante ze stuprocentową pewnością. Naga to rasa elfów z gry *World of Warcraft*. – Podłącz się do niego i aktywuj kamerę. Muszę się rozejrzeć.

– Po co?

– Pomagam CC – wyjaśnił Dante.

– Ciągłe ze sobą rozmawiacie?

– Tak, od niedawna.

Santiago się zawahał.

– Ostatnim razem, kiedy jej pomogłem, trafiłem do kicia.

– Tym razem nic nie ryzykujesz, obiecuję – zapewnił Dante z nadzieją, że okaże się to prawdą.

Santiago zabrał się do pracy. Najpierw odkrył hasło dostępu do komputera Naga, zainstalował na nim RAT, czyli oprogramowanie pozwalające mu modyfikować system operacyjny, potem wyłączył diodę,

która sygnalizuje aktywną kamerę, i wreszcie uruchomił urządzenie. Dziesięć minut później kursor na tablecie Dantego zaczął się poruszać, ekran podzielił się na dwie części i na jednej z nich pojawił się obraz wnętrza sklepu, w którym mieszkał Youssef.

– Twój milusiński zrobił to, co powinien? – zapytała Colomba, stając za plecami Dantego.

– On nie jest żadnym moim milusińskim...

– Wiesz, że nie chcę mieć z tym recydywistą nic wspólnego? No więc? Dante odwrócił ekran w stronę Colomby.

– Za ciemno – zauważyła policjantka. Widać było jedynie czarny prostokąt, bo słabe światło latarni nie przenikało przez pomalowaną żaluzję.

– Poczekajmy, aż przejedzie jakiś samochód – zdecydował Dante.

Minęło dobrych dziesięć minut, zanim pojawiło się pierwsze auto i mijając rondo, oświetliło reflektorami sklep, a potem poczekali na kolejnych dziesięć samochodów, bo Dante nie był zadowolony z wyniku. W każdym przypadku kamera przekazywała błysk, który oświetlał sporą część pomieszczenia. Dante zapisał najwyraźniejsze zdjęcie i jeszcze bardziej je rozjaśnił. Teraz można już było dostrzec fotel, nogi łóżka i na środku pokoju coś, co wyglądało na dwa białe plastikowe pojemniki. Nic się nie poruszało, ale na lewym podłokietniku fotela majaczył zarys dłoni. Nie ona jednak przyciągnęła uwagę Colomby, lecz właśnie te beczki, w które postukała paznokciem.

– Widzisz je?

– Pojemniki?

– W środku może być gaz.

– Nawet jeśli tak jest, to przecież są zamknięte, nie? W przeciwnym razie już by się ulotnił.

– Może Youssef zaminował wejście?

– Nie ma przewodów.

– Nie widzimy przewodów, a to nie to samo. – Colomba odwróciła się w stronę Trzech Muszkieterów. – Zawiadomcie centralę, żeby przysłali

oddział NBC i antyterrorystów. Mamy podejrzany budynek do zabezpieczenia.

– Wycofujemy się bez sprawdzenia, *dottoressa*? – zapytał Esposito.

– Nie mamy wyjścia. Jeśli coś znajdziemy, powiem, że to wasza zasługa.

– Jeśli... – mruknął rozczarowany Alberti, widząc, jak jego marzenia o sławie rozplývają się we mgle. A byli już tak blisko...

– Przykro mi, chłopcy. Dobrze się spisaliście, jestem z was dumna – powiedziała Colomba.

Dante wziął ją pod ramię i odciągnął kilka metrów dalej od pozostałych.

– Z kim rozmawiałaś? Z Curciem? Z Santinim?

Colomba prychnęła z niecierpliwością.

– Nie czytaj mi w myślach, dobrze wiesz, że tego nie znoszę.

– Nie robię tego umyślnie. A więc z kim?

– Z sędzią śledczą Angelą Spinelli – odpowiedziała niechętnie Colomba. – Wypomniała mi moje błędy i nie mam zamiaru popełnić kolejnego. Zginęło już wystarczająco wielu ludzi.

– Tam w środku jest odpowiedź, dlaczego tak się stało – wskazał na cień dłoni na podłokietniku. – Ten człowiek może nam wszystko wyjaśnić. Jak pojawią się ci z oddziałów specjalnych, to wpakują mu kulkę w łeb i będzie po wszystkim.

– Przykro mi, Dante.

– To ty mnie wpłatałaś w tę sprawę! A teraz chcesz mnie wykluczyć!

Colomba udała, że nie słyszy, i podeszła do kolegów, a Dante posmutniał i stracił rezon. Nie udało mu się jej przekonać, bo była bardzo zmęczona oraz zbyt ciężko jej poczuć winy za ostatnie śmiertelne ofiary. Ale on nie zamierzał rezygnować, nie po tym, jak znalazł się tak blisko rozwiązania.

Podszedł do radiowozu i otworzył drzwi od strony kierowcy. Mario spojrzał na niego z rezygnacją.

– Co teraz będzie?

– Wsiadaj – zarządził Dante i uwolnił go z kajdanek wyprostowanym spinaczem.

Całe życie trenował, więc zajęło mu to zaledwie kilka sekund. *Wyswobodzić się i uciec*. Nawet z zawiązanymi oczami umiał otwierać zamki i kłódki i gdyby nie cierpiał na klaustrofobię, mógłby występować u iluzjonisty Houdiniego.

Chłopak rozmasował sobie przeguby i potarł bolący nos, który spuchł i przybrał kolor bakłażana.

– Dziękuję.

Dante poklepał go po plecach.

– Proszę cię, nie oddalaj się. Nie chciałbym, żeby te trzy patałachy zaczęły do ciebie strzelać.

– Wie pan, kogo się najbardziej boję? Kobiety. Ten łysy bije, ale ona...

– Masz rację, ja też się jej czasami boję, na przykład dzisiaj. No już, ruszaj się.

Mario wysiadł, a Dante zajął jego miejsce. Do tej pory nikt nie zwracał na niego uwagi, ponieważ policjanci żywo o czymś dyskutowali, ale jak tylko uruchomił silnik wyciągniętym z kieszeni kluczykiem, Colomba natychmiast ruszyła biegiem w stronę samochodu.

Dante zatrzasnął drzwi i wykonał pierwszy manewr.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – krzyknęła Colomba.

– Przepraszam, CC – wysapał Dante i wcisnął gaz do dechy.

Colomba musiała puścić klamkę, żeby nie wpaść pod koła i z przerażeniem zobaczyła, że radiowóz zmierza prosto w żaluzję zasłaniającą sklep, w którym mieszkał Youssef.

– O kurwa! Nie!

Dante siedział za kierownicą aż do końca, do chwili, gdy samochód uderzył w żaluzję antywłamaniową. Marzył, żeby wyskoczyć z auta w biegu jak Bruce Willis, ale był tak przerażony, że nie odważył się nawet spróbować. Na wpół przytomny osunął się na sąsiednie siedzenie, zasłaniając głowę ramionami. Żaluzja była stara i zardzewiała, więc kiedy auto uderzyło w nią z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę, wgięła się do środka i wybiła znajdujące się z tyłu okno, a potem uderzyła rykoszetem w przednią szybę samochodu, rozbijając ją w drobny mak. Radiowóz wjechał do połowy do sklepu i przewrócił biblioteczkę

wypełnioną płytami DVD, która runęła na komputer umożliwiający im wcześniej rozpoznanie terenu. Monitor zwał się na podłogę. Dante przyjął uderzenie poduszki powietrznej, posypały się na niego odłamki szkła, a kawałek żelaza wielkości kostki mydła uderzył go w głowę, przecinając skórę.

Otworzył drzwi i osunął się na ziemię, ale silne ramiona Colomby natychmiast uniosły go w górę. Trzej Muszkietierowie mierzyli z pistoletów w głąb pomieszczenia, gotowi do oddania strzału na wypadek najmniejszego ruchu. Colomba nie miała takiej możliwości, bo zarekwirovano jej służbową broń.

– Co ci przyszło do głowy! – W jej zielonych oczach strach mieszał się ze złością.

– Wzięłem na siebie odpowiedzialność, czego ty nie miałaś odwagi zrobić – wyszeptał Dante, starając się nie ruszać przeciętą i obolałą dolną wargą.

– Jesteś teraz odpowiedzialny za wszystkich, także za mieszkańców kamienicy.

– Nic się nie stało, widzisz? – odpowiedział Dante, po czym wszedł do sklepu po rozbitym szkle, nie zważając na wycelowane pistolety.

W nozdrza uderzyła go jakaś chemiczna woń i zaniepokoił się, że mógł popełnić błąd i spowodować wybuch gazu, który zniszczy całą dzielnicę, ale szybko zorientował się, że to zapach kwasu, a nie cyjanku.

Dante wstrzymał oddech i mimo że krwawił, przeszedł przez pokój i podbiegł do fotela, który widział przez Skype'a. Siedzący w nim mężczyzna wyglądał, jakby zasnął z głową na łokciach opartych na małym owalnym stoliku z drewna. Dante się zatrzymał.

Za późno.

Colomba ponownie musiała go podtrzymać.

– Wyjdź stąd – powiedziała, popychając go w stronę wybitego okna, podczas gdy Trzej Muszkietierowie wzywali siedzącego w fotelu człowieka do podniesienia rąk i ukłęknięcia na podłodze. Dante wybiegł z pomieszczenia, aby zaczerpnąć powietrza, a Colomba zrobiła jeszcze jeden krok w stronę nieruchomego mężczyzny. Położyła mu dłoń na

ramieniu i to wystarczyło, aby ciało osunęło się na ziemię. Upadając na plecy, pociągnęło za sobą miskę z kwasem, który zaskwierczał w kontakcie z podłogą.

W świetle latarni Colomba i Trzej Muszkieterowie zobaczyli, że mężczyzna nie ma twarzy.

PRZED SKLEPEM ZGROMADZIŁ się niewielki tłum zwabiony trzaskiem spowodowanym przez uderzenie samochodu w żaluzję. Niektórzy ludzie próbowali zajrzeć do środka, mimo że Alberti, krzycząc, dwoił się i troił, żeby ich powstrzymać. Colomba i pozostali dwaj policjanci zatrzymali się w pobliżu zwłok, starając się nie zniszczyć śladów i nie wejść w kałużę kwasu, który pozbawił mężczyznę skóry na twarzy, odsłaniając kości czaszki. Okropne wrażenie robiły oczy, które zmieniły się w coś, co przypominało jajecznicę.

– Zmarł całkiem niedawno – powiedział Esposito, który miał w tej materii największe doświadczenie. – Najwyżej dwie godziny temu.

– Golił się w kwasie? – zapytał Guarneri.

– Depilacja permanentna, powinieneś spróbować.

Colomba wróciła do Dantego, który stał na miękkich nogach na chodniku przed sklepem, opierając się o mur, i wycierał krwawiącą ranę na głowie chusteczką higieniczną. Jego elegancki garnitur był porozrywany w kilku miejscach, a kapelusz panama pokrywał kurz.

– Który to? – zapytała.

– Właściciel mieszkania, Farid Youssef – stwierdził Dante z przekonaniem. – Terrorysta zginął w trakcie przygotowywania nowej porcji gazu. Hip, hip, hurra! – dodał z sarkazmem.

– Nie możemy wykluczyć takiej możliwości.

– Nie zgadzam się. To jest morderstwo, CC.

– Może współnik postanowił się go pozbyć?

– Albo czeka go taki sam koniec. Pozwól mi się rozejrzeć na miejscu zbrodni. Może uda nam się ocalić życie temu idiocie.

– Zajmie się tym grupa operacyjna.

– Sama mi mówiłaś, że jeśli przyjmie się błędną hipotezę na początku śledztwa, to potrwa ono znacznie dłużej. Czy twoi genialni koledzy w ogóle wezmą pod uwagę możliwość, że Musta jest w niebezpieczeństwie? Czy raczej poczekają, aż ktoś znajdzie go nieżywego w jakimś rowie z Koranem w ręku?

– Jeszcze ci mało? Kiedy się wreszcie uspokoisz? Czego ty chcesz? – zdenerwowała się Colomba.

Dante zatamował chusteczką krew płynącą z pękniętej wargi.

– Prawdy. Musta może mi ją wyjawić, jeśli wcześniej nie umrze. Pozwól mi spróbować, przecież nie masz nic do stracenia. I tak narobiliśmy niezłego bigosu, nie?

Colomba wahała się przez dłuższą chwilę, chociaż wiedziała, że i tak niczego już nie zmieni. Rozumowaniu Dantego nie można było odmówić logiki, chociaż na pozór wydawało się niedorzeczne.

– Już niedługo będą tu wszystkie jednostki. Uważaj, żeby nie nakryli cię w środku.

Dante zrobił głęboki wdech i pobiegł w stronę sklepu, mijając Albertiego i Guarneriego, którzy próbowali go zatrzymać. Rozejrzał się szybko po całym pomieszczeniu i natychmiast zauważył egzemplarz Koranu leżący na półce. Była to jedyna książka w pokoju i całkiem nie pasowała do tego, czego się dowiedział o Youssefie, pomyślał zatem o tajemniczej ręce, która przygotowała tę scenę. Należały do niej również dwa plastikowe pojemniki z substancją chemiczną, która z pewnością służy do produkcji śmiertelnego gazu. Doskonała symulacja, nikt poza nim nie będzie miał wątpliwości.

Podszedł do trupa. Nie chcąc dotykać go gołymi rękami, wyjął parę jednorazowych rękawiczek z kartonowego pudełka, które leżało na podłodze. Kiedy to robił, poczuł delikatny zapach. Powąchał pudełko z bliska, pachniało pomarańczami i suchymi liśćmi. Substancja chemiczna? Jak na zwykły kosmetyk, zapach wydał mu się zbyt syntetyczny. Miał pewność, że nic innego w pomieszczeniu nie miało takiego zapachu. Chociaż palił jak smok, miał niezwykle czuły węch.

Złorzeczając na brak czasu, założył lateksowe rękawiczki i zaczął przeszukiwać denata. Nie znalazł co prawda nic użytecznego, ale jeden z palców w rękawiczce przyczepił się lekko do nadgarstka zmarłego. Dante powtórzył gest, który spowodował ciche cmoknięcie.

Klej. Taśma klejąca.

Przywiązali go do fotela, a potem uwolnili i zamordowali, zważywszy na postawę i brak innych śladów. Ten, kto to zrobił, znał się na rzeczy.

Dante ponownie rozejrzał się dookoła, słysząc dobiegające z oddali dźwięki syreny. W kącie pokoju leżały zwinięte takie same rękawiczki, jakie miał na rękach. Na końcach palców widniały wyraźnie ciemne plamy. Powąchał również te. Wyczuł pomarańczę, a pod nią inną, ostrzejszą woń.

– Dante, wylaż! – krzyknęła Colomba, która z ulicy zauważyła już migające światła kogutów.

Mężczyzna złapał jedną rękawiczkę i schował do kieszeni, po czym biegiem opuścił sklep. Zrobił to w momencie, gdy ogłuszający dźwięk policyjnych syren zawładnął okolicą. Mario stał na skraju chodnika i przebierał nogami, jakby zamierzał uciec. Z ciężkim sercem Dante pokręcił przecząco głową. *Nie mogę ci tego oszczędzić, przykro mi.* Chłopak uspokoił się nieco i oparł o ścianę budynku.

– Znalazłeś coś? – zapytała Colomba, obserwując zbliżające się radiowozy.

Dante pokazał jej rękawiczkę.

– Tylko to.

Colomba się przeraziła.

– Zatarłeś ślady?

– Wjechałem samochodem na miejsce zbrodni, nie pamiętasz? W każdym razie wziąłem tylko jedną. I niczego nie zniszczyłem, bo użyłem tego – powiedział, unosząc do góry okaleczoną rękę w czarnej skórce. – Jak chcesz, to potem możesz ją podrzucić z powrotem.

– Wiedziałam, że nie powinnam się zgodzić, żebyś tam wszedł...

– Widzisz plamy? – przerwał jej Dante. – Olej samochodowy, który prawdopodobnie pochodzi spod paznokci użytkownika. Musta ma skuter, więc bardzo łatwo mógł się pobrudzić smarem. Założę się, że w środku są jego odciski palców.

– Czyli to on zamordował przyjaciela.

– Psychopata najpierw zakłada rękawiczki, żeby popełnić zbrodnię, a potem zostawia je metr od ciała?

– Nie byłby pierwszy – zauważyła Colomba.

– CC... wiem jedno: Musta przyszedł tu po tym, jak uciekł z domowego garażu, i ktoś go uprowadził. I właśnie tego tajemniczego osobnika powinniśmy się obawiać.

W CAŁKOWITYCH CIEMNOŚCIACH MUSTA powoli odzyskiwał przytomność. Bolały go plecy i chciał się przeciągnąć, a wtedy odkrył, że nie może się ruszać. Przywiązano go w pozycji pionowej taśmą klejącą do cementowej belki tak szczelnie, że przypominał kokon. Słyszał w oddali odgłosy jadących samochodów stłumione przez coś, co boleśnie uciskało mu twarz. Po chwili domyślił się, że to kask motocyklowy założony na odwrót, dlatego nic nie widzi.

Wpadł w panikę i zaczął krzyczeć i wić się, lecz gąbczaste, śmierdzące potem obicie tłumilo jego głos. Próbując rozerwać taśmę, wyginał się i poruszał gwałtownie z wbitymi w gąbkę zębami. Mimo że napinał wszystkie mięśnie, jedynym rezultatem, jaki uzyskał, był chrzęst żeber. Szamotał się aż do chwili, gdy zabrakło mu powietrza. Nie pozostało mu nic innego, jak się uspokoić. Zamknięty w kasku płakał cicho, połykając łzy.

Nagle poczuł czyjąś dłoń na ramieniu.

– Spokojnie. Nic ci nie grozi – usłyszał ten sam kobiecy głos, który towarzyszył mu, kiedy tracił przytomność. Był przeraźliwie chłodny i opanowany.

– Proszę cię, uwolnij mnie – odezwał się błagalnym tonem. – Duszę się.

– Jesteś po prostu rozgorączkowany. Oddychaj miarowo, a zobaczysz, że poczujesz się lepiej.

Musta ponownie próbował krzyknąć, lecz z jego ust wydobył się tylko cichy skowyt. Za zamkniętymi powiekami zaczęły wirować błyszczące kule, znak niedotlenienia organizmu.

– Umieram – jęknął.

Głos wyszeptał mu prosto do ucha:

– Oddychaj. Powoli – rozkazał.

Musta zrozumiał, że lepiej posłuchać polecenia, i spróbował oddychać tak, jak nauczył go trener judo w czasie dwóch lekcji, na których był obecny. Wdech nosem i wydech ustami. Wkrótce zauważył, że im wolniej wydycha, tym lepiej gąbka w kasku przepuszcza powietrze. Całkowicie skoncentrował się na tej czynności.

Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Jednocześnie myślał o głosie i w końcu zrozumiał, co – oprócz lodowatego tonu – uderzyło go w nim najbardziej: absolutny brak jakiegokolwiek akcentu. Obracając się w środowisku osób należących do różnych narodowości zmuszonych do posługiwania się włoskim, Musta słyszał wszystkie możliwe naleciałości, dialekty i żargony z całego świata. Tymczasem kobieta, która go porwała, posługiwała się językiem literackim jak spikerka telewizyjna. Dziwne były tylko przerwy pomiędzy poszczególnymi słowami, tak jakby nad każdym z nich dokładnie się zastanawiała. Wreszcie doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nie jest Włoszką, chociaż w jego sytuacji nie miało to żadnego znaczenia.

– Widzisz, już lepiej – odezwała się kobieta. Jej paznokcie przesunęły się wzdłuż przedramienia Musty, bawiły się skórą na grzbiecie dłoni.

Chłopak poczuł gęsią skórę.

– Bardzo proszę nie robić mi krzywdy – wydusił z siebie.

– Oddychaj i tyle. Nic nie mów.

Wdech, wydech.

Wdech, wydech.

– Przykro mi, że cię to spotyka, Musta – powiedziała kobieta. – Nie było cię w planie.

Wdech.

Wydech.

– Wiesz, kim jestem?

Musta pokręcił głową.

Wdech.

Wydech...

Nagle jej paznokcie wbiły się w ciało Musty z taką siłą, że przecięły skórę. Krzyknął z bólu.

– Zastanów się. Wiem, że mnie widziałeś.

– Nie!

Kolejne ukłucie. Tym razem Musta odniósł wrażenie, że paznokcie dotarły aż do kości. Zakłócony rytm oddechu sprawił, że pozbawione tlenu

płuca skurczyły się aż do chwili, gdy powietrze ponownie utorowało sobie do nich drogę.

– Przysięgam, że nie! Zostaw mnie!

– A ja cię widziałam.

Paznokcie kobiety uderzały teraz w kask, by po chwili ześlizgnąć się z niego, zatrzymując się na szyi więźnia. Mimo że Musta zawzięcie potrząsał głową, nie udało mu się ich pozbyć. Poczul opuszek palca na jabłku Adama i tchawica została zablokowana. Nie miał pojęcia, jak kobieta zdołała tego dokonać w tak delikatny sposób, ale dopływ powietrza został odcięty. Musta wił się przez chwilę jak epileptyk, oczywiście nic mu to nie dało, aż wreszcie dźwięki ucichły, a ciało stało się wiotkie. Właśnie wtedy w ciemnościach zamigotało wspomnienie, które przyjęło kształt wizji. On i Farid znajdują się w dzielnicy Testaccio i piją na ogromnym dziedzińcu dawnej rzeźni miejskiej, która teraz zapełniła się restauracjami i barami.

Rozłożyli się na skrawku trawy z plastikową reklamówką pełną butelek. Kiedy opróżnili już połowę, Farid wstał.

– Poczekaj, muszę się odlać – powiedział i zniknął za krzakami.

Podchmielony Musta odprowadził go wzrokiem aż do głównego wejścia. Zachowanie kumpla zdziwiło go do tego stopnia, że postanowił go śledzić bardziej dla zabawy niż z ciekawości. Wyszedłszy na ulicę, zobaczył Farida pochylonego przy okienku czarnego hummera. Musta uwielbiał te bestie i miał nadzieję, że pewnego dnia będzie miał dość pieniędzy, żeby kupić sobie takie auto, choćby używane. Trzy tony i trzysta koni mechanicznych pod maską. To wystarczało, żeby mu stwardniał. Wyobrażał sobie, że wciska gaz do dechy – pewnie wrażenie było podobne jak przy prowadzeniu czołgu – a z głośników włączonych na cały regulator dobiega muzyka Pitbulla lub Eminema. Potem zatrzymuje się na światłach i rzuca ogniste spojrzenie dziewczynie, która zatrzymała się obok w zwykłym aucie osobowym. W jego wyobraźni dziewczyna porzuca swojego wraka i wsiada do jeepa, a potem jadą razem aż do Dinozaurów. Natomiast tego wieczoru sen został gwałtownie przerwany, ponieważ Farid, odwracając się, odkrył jego obecność, a hummer odjechał z piskiem opon. Jednak w ostatniej chwili kobieta siedząca za kierownicą spojrzała

w jego stronę. Miała pospolitą owalną twarz, o bardzo bladej karnacji, tylko jej oczy lśniły w świetle latarni jak dwa kawałki metalu. Musta poczuł, jak penetrują jego mózg, jak czytają mu w myślach i odkrywają wszystko – zarówno to, co dobre, jak i to, co złe. Jakkolwiek dziwnie mogło to zabrzmieć, nagle ogarnęła go wyraźna pewność, że jeśli coś jej się nie spodoba, to kobieta wrzuci bieg i skieruje pojazd wprost na niego, miażdżąc go jak karalucha. Bez litości i bez wyrzutów sumienia. Potem wrócił Farid.

– Kto to był? – zapytał go Musta.

– Nikt, zgubiła się i pytała o drogę – odpowiedział przyjaciel.

Musta domyślił się, że coś jest nie tak, ale był zbyt wstawiony, żeby się nad tym zastanawiać. Potem wrócili do swoich butelek i więcej już nie poruszali tego tematu.

Teraz Musta przytaknął z zapalem, wykorzystując wszystkie siły, jakie mu jeszcze zostały. Kobieta cofnęła palec, a on znowu mógł oddychać. Powietrze. Cudowne powietrze.

– Przypomniałeś sobie – powiedziała kobieta.

– To ty byłaś wtedy w hummerze – potwierdził szybko. – To ty kupiłaś nasze nagranie. *I zamordowałaś ludzi w pociągu*, pomyślał, ale nie miał odwagi wypowiedzieć tego na głos.

– Z kim rozmawiałeś o wideo?

– Z nikim.

– Nawet z bratem? Nie każ mi go o to pytać.

– Nie. Nigdy nic mu nie mówię.

– Tu obok twojego ucha jest mały otwór. – Musta usłyszał bębnienie o kask. – Mogę z niego skorzystać. Wyobraź sobie, jak ci się będzie oddychało w kasku wypełnionym piaskiem. Albo insektami.

– Tylko nie to, proszę – wyjąkał. – Z nikim o tym nie rozmawiałem. Przysięgam!

Głos umilkł. Musta słyszał tylko regularny, spokojny oddech, taki jaki powinien być jego własny.

Wdech.

Wydech.

Musta poczuł, jak coś zimnego pieści mu ramię. Tym razem to nie były paznokcie, lecz ostrze noża.

– Przysięgam – powtórzył.

Czuł, że zaczyna brakować mu powietrza, i skupił się na oddychaniu.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Powietrze miało zapach potu i krwi. Głos zamilkł na dobre.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Jeśli się domyśli, że się boję, zabije mnie, pomyślał. Jak wilk.

Wdech.

Wydech.

Ostrze zatrzymało się na nadgarstku.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Wydech.

Ostrze nacisnęło na skórę i na jej powierzchni pojawiła się kropla krwi.

Wdech. Wydech. Wdech. Wy...

Musta poczuł ucisk i rozdarcie. *Przecięła mi żyły*, pomyślał, ale kiedy napiął mięśnie, jego ramię poruszyło się i oderwało od kolumny. Taśma klejąca się przerwała.

Ostrze noża przesunęło się wzdłuż ciała Musty i uwolniło go z więzów. Chłopak nie zdołał się powstrzymać i chwyciwszy kask, zdjął go z głowy. Oczy cały czas miał jednak zamknięte.

– Spójrz na mnie – rozkazała kobieta.

– Nie. Nie chcę – wydusił, chociaż zęby szczękały mu z przerażenia. – Jeśli cię nie zobaczę, nie będziesz musiała mnie zabijać.

Głos zbliżył się do jego ucha. Musta ponownie poczuł zapach pomarańczy i domyślił się, że pochodzi od kobiety.

– Spójrz na mnie natychmiast, inaczej wykroję ci powieki – szepnęła. – To bardzo bolesne.

Musta zrozumiał, że nie ma wyjścia, i wykonał polecenie. Przez chwilę miał wrażenie, że zasnął i męczy go koszmar: oblicze, które obserwowało go z odległości jednego metra nie należało do istoty ludzkiej. Było pozbawione rysów, blade i ozdobione parą oczu nieokreślonego koloru. Przypominało twarz ożywionego manekina.

Kobieta zrobiła krok w tył i stanęła w świetle lampy turystycznej, która oświetlała pomieszczenie o ścianach z surowego cementu. Dopiero wtedy Musta pojął, że patrzy na gumową maskę w cielistym kolorze, która szczelnie opina twarz jego porywaczki, pozostawiając jedynie wolną szczelinę na oczy. W miejscu ust znajdował się okrągły otwór zakryty kratką. Prawda okazała się jeszcze okropniejsza niż wcześniejsze fantazje. Zaczął się zastanawiać, co też się kryje pod maską i jaka straszna musi to być deformacja.

Musta widział kiedyś podobną maskę na twarzy dziewczyny, którą zazdrosny chłopak oblał benzyną, ale ta była znacznie grubsza i bardziej matowa, dlatego doskonale skrywała wszystkie potencjalne blizny. Również dłonie pokryte były lateksowymi bandażami, spod których wystawały długie paznokcie pomalowane na żółto.

– Co ci się stało? – wykrztusił Musta.

Kobieta zbliżyła twarz do jego i wtedy znowu poczuł znajomą woń pomarańczy.

– Lepiej, żebyś nie wiedział – rzekła.

Kiedy mówiła, maska marszczyła się lekko wokół ust, lecz nie można było w żaden sposób odgadnąć wyrazu jej twarzy.

– Przepraszam – wycofał się natychmiast.

Nadal stał w pobliżu kolumny, nie wiedząc, co ze sobą począć. Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby zaatakować zamaskowaną kobietę. Nie zrobiliby tego, nawet gdyby nie trzymała w ręce myśliwskiego noża, za pomocą którego go uwolniła. Musta wiedział, że w starciu z nią nie miałby najmniejszych szans. Podpowiadał mu to instynkt, wyostrzony w trakcie niezliczonych ulicznych bójek. Rozejrzał się dookoła. Oprócz nich i sterty

śmiesi pomieszczenie było puste i przypominało część powstającej konstrukcji. Kawałek księżycy zaglądał przez otwór okienny.

– Naprawdę należysz do ISIS?

– Nie – odparła. – Ale Farid był przekonany, że tak. W nagrodę chciał, żebym pomogła mu się przedostać do Emiratów Arabskich i domagał się seksualnej niewolnicy.

– Nie wierzę...

– Źle robisz, bo ja nigdy nie kłamię. A on tak. Wiesz, dlaczego cię w to wciągnął?

– Nie.

– Bo potrzebował kozła ofiarnego na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. – Kobieta przechyliła głowę na bok jak drapieżnik obserwujący swoją ofiarę. – Nie był twoim prawdziwym przyjacielem.

– Jak to: nie był? – wydukał Musta.

– Zabiłam go – przyznała kobieta spokojnym, beznamiętnym głosem.

Musta poczuł, że zbiera mu się na wymioty, i skulił się, chwytając się za brzuch.

– O mój Boże.

Kobieta złapała go za ramię i bez najmniejszego wysiłku przywróciła do pozycji pionowej.

– Jak to możliwe, że policja zjawiała się tak szybko?

– Nie mam pojęcia. Wiem, że byli w moim mieszkaniu.

Wyglądało na to, że zamaskowana kobieta po raz pierwszy się zawahała.

– Jesteś pewien, że nikomu nie opowiadałeś o nagraniu?

– Na sto procent. Proszę cię, nie rób mi krzywdy.

– Zgoda. Nie zrobię ci krzywdy. Twoje przybycie było niezaplanowane, ale mogę cię wykorzystać.

Kobieta zbliżyła swoją plastikową twarz do twarzy Musty i wbiła weń otwory zastępujące oczy. Chłopak stał jak zahipnotyzowany, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

– Mam dla ciebie zadanie – powiedziała wreszcie.

CURCIO PROWADZIŁ RADIOWÓZ, a Santini siedział na miejscu pasażera. Jeździli po ulicach nocnego Rzymu, aby porozmawiać, nie narażając się na niedyskrecję. Santini był zdenerwowany, a Curcio wściekły, więc prowadził, aby rozładować napięcie.

– Mówiłem ci, żebyś miał ją na oku – powtórzył. – Chyba dostatecznie jasno się wyraziłem.

– Robiłem, co mogłem, Maurizio – tłumaczył się Santini. Kiedy byli sami, mówili sobie na „ty”, pomimo różnicy w stopniach służbowych. – Ale dobrze wiesz, jaka jest Caselli. Przypomnij sobie, ile razy musiałem interweniować, od kiedy wróciła do służby.

– Plotki mnie nie interesują – uciął krótko Curcio.

– Nie chodzi o plotki. Trudno jej utrzymać dobre relacje z kolegami i zawsze postępuje według własnego widzimisię. Chodzi swoimi ścieżkami i od razu się wścieka, jak coś nie idzie po jej myśli. Zapytaj jej współpracowników, jak im się z nią układa. Zapytaj na przykład Infantiego.

– Nie powinienem tego mówić, ale Infanti to kretyn.

– I dlatego włączyliśmy go do grupy do zadań specjalnych, nie? Żeby nie musiał podejmować decyzji, a tylko wypełniał rozkazy. Ale nawet tego nie potrafi.

Curcio pokręcił głową. Chciał stanąć w obronie kolegi, lecz nic sensownego nie przychodziło mu do głowy.

– A tak przy okazji, jak on się czuje?

– Jeszcze go operują. Jak dobrze pójdzie, to straci tylko lewe oko i słuch w lewym uchu. Biedny dureń.

Curcio nie skomentował i jeszcze mocniej nacisnął gaz.

– Czy mogę tym razem nie zważać na dyplomację? – zapytał Santini.

– Tym razem? – zdziwił się Curcio z ironią. – Ty nawet nie wiesz, gdzie szukać dyplomacji.

– Ale przynajmniej się staram.

– Tak, to trzeba ci przyznać. – Curcio uśmiechnął się wbrew sobie. – No więc?

– Co nas to obchodzi, w jaki sposób Caselli zdobyła informacje? Wystarczy, że je zdobyła. Pochwalmy ją i sprawa skończona!

Curcio ogłuszył klaksonem nieostrożnego przechodnia, który przestraszony wrócił na chodnik, podczas gdy radiowóz przemknął o włos od niego.

– Gdyby to ode mnie zależało... Obawiam się, że tym razem nie pozwolą mi wszystkiego zamieść pod dywan. Zwłaszcza że chodzi o Colombę.

Santini odwinął cukierka, którego znalazł w schowku, i zaczął ssać, przesuając go językiem w stronę policzka. Po chwili wypluł landrynkę do popielniczki, bo czuć ją było stęchlizną.

– Jakie tam śmieci... W końcu liczą się rezultaty.

– Spróbuj spojrzeć na sprawę z punktu widzenia służb bezpieczeństwa. Colomba zaangażowała się w śledztwo dotyczące podejrzanych o terroryzm i nie raczyła się z nimi nawet skonsultować. Po prostu ich pominęła. Co ty byś zrobił, kiedy pracowałeś jeszcze dla SIC, gdybyśmy cię wykluczyli ze śledztwa?

– Wszcząlbym raban – przyznał Santini.

– No właśnie. Oni też rozpowiadają na prawo i lewo, że nie daliśmy im możliwości wykorzystania środków, którymi dysponuje wywiad... że pozwoliliśmy uciec współnikom... Poza tym są ofiary.

– Gdyby udało im się przeprowadzić kolejny zamach, mielibyśmy znacznie więcej ofiar.

– To prawda, ale teraz to nie ma znaczenia. No i jest jeszcze prokuratura. Połowa z nich uważa Colombę za nieprzyjaciela od czasu, gdy w ubiegłym roku uciekła przed aresztowaniem, a teraz druga połowa przyznaje jej rację, że postanowiła działać bez upoważnienia. Mogła przynajmniej porozmawiać szczerze ze Spinelli...

– Chyba że naprawdę nic jeszcze nie wiedziała, kiedy poddano ją przesłuchaniu – powiedział Santini ze świadomością, że kłamie.

– Nie opowiadaj bzdur – oburzył się Curcio, przejeżdżając przez skrzyżowanie, które uznawano za niewidzialną granicę gorszego świata.

Policjanci z drogówki kierowali w tym miejscu ruchem: jeden z nich dał im znak lizakiem, że mogą jechać, i zachwiał się uderzony silnym prądem powietrza.

– Skoro nie akceptujesz jej metod, to dlaczego nalegałeś, żeby wróciła do służby? – zapytał Santini.

– Bo Rovere bardzo ją popierał i czułem się w moralnym obowiązku.

– Na koniec on też stracił głowę – zauważył ponuro Santini.

Nie był co prawda przyjacielem Roverego, ale go szanował.

Curcio westchnął.

– No właśnie. – Na chwilę w aucie zaległa cisza, tylko syrena wyla zawzięcie na dachu. – Colomba jest dobrą policjantką – oświadczył Curcio i dodał: – Po tym, co się jej przydarzyło, zasłużyła na drugą szansę.

– A na trzecią?

Curcio nie odpowiedział, zredukował bieg i zaparkował na obrzeżach placu z okropną fontanną. Były tam już radiowozy i wozy opancerzone, przenośne laboratorium NBC i grupa antyterrorystów, którzy zabezpieczali okolicę. Przyjechała też karetka pogotowia i żołnierze z oddziałów specjalnych w kombinezonach izolacyjnych. Colomba i Dante siedzieli na chodniku kilka metrów dalej. Widząc ich, Santini wpadł w furję.

– Wciągnęłaś w to także tego wariata? Coraz lepiej...

– Idź do środka. Ja zaraz do ciebie dołączę – rozkazał Curcio.

– Tak jest!

Komendant podszedł do Colomby i Dantego, który pozdrowił go, salutując.

– Kapitanie, mój kapitanie! – powiedział mężczyzna.

Ze spuchniętą wargą i zakrwawioną głową wyglądał jak bohater filmu *Stowarzyszenie Umarłych Poetów* w wersji zombie.

Curcio się uśmiechnął z przymusem.

– Dzień dobry, panie Torre. Dawno się nie widzieliśmy. Czemu jeszcze pana nie opatrzyli?

– Boję się igieł.

Colomba zerwała się na równe nogi.

– *Dottore...*

Curcio podał jej rękę.

– Colomba, niedługo znajdziemy się w cyklonie gówna, więc żądam całkowitej współpracy. Jak pani tu trafiła?

– Moi koledzy samodzielnie zebrali informacje, kiedy byłam w meczecie, i powiadomili mnie telefonicznie.

– Proszę o wybaczenie, ale pani koledzy samodzielnie to nawet do toalety nie chodzą.

W tym momencie włączył się Dante.

– To moje dzieło. Gdy się dowiedziałem, że Colomba jest zamieszana w tę sprawę, zebrałem informacje o chłopaku, który zginął w meczecie. Policjanci chcieli sprawdzić, czy sobie wszystkiego nie wymyśliłem.

Curcio spojrział na Colombę z miną człowieka, który nie wierzy własnym uszom, a ona wzruszyła ramionami, próbując ukryć zakłopotanie.

– Potwierdzam.

– Rozumiem. – Curcio zaczął się zastanawiać, czy ta naciągana historia może zdać egzamin. Ze względu na Colombę nie miałby nic przeciwko temu. – Chcę dostać dokładny raport – powiedział. – I od tej chwili proszę pamiętać, że jest pani zawieszona w obowiązkach. Wszystko jasne?

– Tak jest, *dottore*.

– Poczekajcie tutaj na sędziego śledczego. Oboje. Powtórzcie to samo, co mi przed chwilą powiedzieliście. Ze szczegółami, jeśli to możliwe. Mam nadzieję, że wyraziłem się dostatecznie jasno.

– Dziękuję – powiedziała Colomba, zrozumiawszy aluzję.

Curcio dołączył do Santiniego i razem podeszli do szefa techników stojącego w grupie antyterrorystów. Colomba z przykrością zauważyła, że nie było wśród nich jej sympatycznego znajomego.

– Mówiłam ci, żebyś się ulotnił, kiedy miałeś jeszcze okazję. Teraz będziesz musiał poddać się całej tej nudnej procedurze – powiedziała do Dantego, kiedy zostali sami.

– Nie mam zamiaru na nikogo czekać. Jak tylko twój szef spuści nas z oka, wymkniemy się po angielsku.

– Dante... wiem, że to ja poprosiłam cię o pomoc, ale robisz wszystko, żeby mnie wkurzyć.

– Chcę odnaleźć Mustę. Twoi koledzy – wskazał na policjantów krążących po miejscu zbrodni – nawet z mapą nie znajdą swoich tyłków. A czas nagli.

– Już o tym rozmawialiśmy Dante, nie ma mowy.

– Jasne, pamiętam. Nie przekonałaś mnie. Chyba jedynie do tego, że boisz się odpowiedzi.

– Opowiadasz głupoty – oburzyła się Colomba.

– Wcale nie. Twoje życie opiera się na jednoznacznej wizji świata. Na wyraźnym podziale na dobrych i złych. Oczywiście nawet wśród dobrych trafi się od czasu do czasu jakieś zgniłe jabłko, jakiś niekompetentny nieudacznik, ale w ostatecznym rozrachunku wszyscy działają na rzecz prawdy i sprawiedliwości. Nie ma tajemnic, dwuznaczności, ukrytych intencji...

– Spisków... – dodała, czując w sobie lodowaty chłód.

– Raczej spektakli, CC. Bierzemy udział w wielkim przedstawieniu, które reżyseruje ktoś inny. Musimy dogrzebać się do prawdy, która kryje się za grą aktorów. Na ile kłamstw i zaniechań natknęłaś się w swojej karierze? Ile razy przekonałaś się, że interesy twoich przełożonych nie idą w parze z interesami wymiaru sprawiedliwości? Jak często kłamali, a nikt się nie sprzeciwił?

Zbyt często, pomyślała Colomba, ale nie powiedziała tego na głos. Nie chciała polewać benzyną apokaliptycznej wizji Dantego.

– Zaczyna mnie boleć głowa, daj spokój. – Była to zresztą szczerą prawdą, Colomba czuła, jak pulsują jej skronie. Ile godzin jest już na nogach? Nawet nie pamiętała. – Choćbym chciała szukać Musty, to nie wiedziałabym, od czego zacząć.

– A ja tak.

– Co masz na myśli?

– Wszystko ci wyjaśnię pod warunkiem, że zwiniemy się stąd od razu, zanim nas zatrzymają. W przeciwnym razie idę sam.

Colomba wstała.

– Przysięgam, że jak mnie aresztują, ty mi za to zapłacisz. Poczekaj tu – rzuciła i ruszyła w stronę Albertiego, który wraz z innymi policjantami pilnował na ulicy zebranego tłumu. Skinęła na niego i zatrzymała się za rogiem. – Potrzebuję twojej broni – powiedziała, gdy oboje znaleźli się poza zasięgiem wzroku.

Alberti się zaczerwienił.

– *Dottoressa...* przecież wie pani, że nie mogę.

– Powiesz, że chciałam ją zobaczyć pod jakimś pretekstem, na przykład że chciałam sprawdzić, czy jest dobrze wyczyszczona, i potem ją sobie zatrzymałam. To na wypadek, gdybym musiała jej użyć, ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. W przeciwnym razie oddam ci pistolet i nikt się o niczym nie dowie. – Colomba nie dodała, że zupełnie nie wierzy w taki rozwój wypadków.

– A co mam powiedzieć, jak mnie zapytają, dlaczego pani nie zatrzymałam?

– Bo jestem twoją przełożoną. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Biorę całą winę na siebie, tobie nic nie grozi.

– Powie mi pani, co pani zamierza?

– Nie.

Alberti zdawał sobie sprawę, że bez pomocy Colomby nie miałby szans na pracę w wydziale dochodzeniowo-śledczym, i szybko podjął decyzję. Wyjął pistolet z kabury i podał przełożonej.

– Niech pani na siebie uważa.

Colomba sprawdziła magazynek i zabezpieczenie, po czym włożyła pistolet do kabury.

– Dziękuję.

Przywołała gestem Dantego i razem przeszli przez zarośniętą łąkę aż do szkieletów Dinozaurów. Wtedy telefon Colomby zaczął wibrować, a na wyświetlaczu ukazał się numer Esposita. Policjantka wyłączyła komórkę.

– Szukają nas? – zapytał Dante.

– No pewnie. Wyjmij baterię – zarządziła, robiąc to samo. – Nie chcę, żeby nas zlokalizowali.

Dante pokazał jej swojego iPhone'a.

– Niestety, to niemożliwe. – Wyjął kartę i zniszczył telefon, uderzając w niego metalowym wykończeniem buta. – Ta praca zaczyna mnie za dużo kosztować – oświadczył i wyrzucił urządzenie do kosza na śmieci.

– Gdybyś się tak nie upierał, wszystko już dawno by się skończyło – przypomniała mu Colomba.

Obok przemknęły dwa radiowozy. Dante i Colomba odwrócili się, udając zajętych rozmową, i szli dalej ulicą, przy której stały stare bloki komunalne oraz budynki opuszczonych zakładów.

– Powiesz mi wreszcie, jak zamierzasz znaleźć Faouziego? – zapytała Colomba.

– Santiago podłączył się do komputera Youssefa i zrobił kopię twardego dysku. Technicy policyjni robią to samo, zobaczymy, kto pierwszy dotrze do celu.

– Nie mamy pewności, że na twardym dysku znajdują się użyteczne informacje... – wątpiła Colomba.

– Zaufaj mi.

– Dlaczego?

Zapalił papierosa z paczki, którą wyzebrał od Guarneriego.

– Musimy znaleźć kiosk.

– Odpowiedz mi.

Dante zaczął poruszać papierosem jak dyrektor orkiestry batutą.

– Ten, kto stoi za tym atakiem, doskonale wszystko przygotował. Pozbył się świadków i wyeliminował nieściskości. Nagranie z przyznaniem się do winy, pojemniki, pieniądze w mieszkaniu Musty...

– Co do tego się zgadzamy. Pod warunkiem, że masz rację.

– Jestem tego pewien od chwili, gdy zobaczyłem ciało. Każdy ruch tej dwójki musi być na tyle jasny, by nie zostawiać miejsca na wysuwanie żadnych teorii poza tymi z obszaru fantastyki. A to oznacza, że gdzieś znajduje się wyjaśnienie aktualnych działań Musty, a komputer to urządzenie, którym można łatwo manipulować, sama widziałas.

– Nawet jeśli wykluczyłeś taką możliwość, to przecież Musta może być po prostu winny. Technicy znaleźli jego odciski palców. – Colomba zdążyła

odłożyć na miejsce zabraną przez Dantego rękawiczkę przed otoczeniem sklepu przez policję.

– Gdyby oddalił się z domu z własnej woli, ostrzegłby brata przed niepożądanymi gośćmi. Wyraźnie widać, że są ze sobą zżyci.

– Skąd wiesz, że tego nie zrobił?

– Bo twoi koledzy mają jego komórkę i nikt na nią nie dzwonił – wyjaśnił Dante. – Gdyby morderca Youssefa chciał zamordować też Mustę, zrobiłby to na miejscu. Branie zakładnika niesie ze sobą spore ryzyko.

– Przyjmując, że twoje założenia są słuszne, jest tylko jeden powód, dla którego morderca go porwał – powiedziała Colomba. – Bo jeszcze go potrzebuje.

MUSTA OBIEMA RĘKAMI kurczowo uczeplił się pasów bezpieczeństwa, gdy hummer przyspieszał na światłach. Minęli skrzyżowanie w momencie, kiedy włączyło się czerwone i kobieta z plastikową twarzą wjechała na obwodnicę. Wszystko robiła ze stoickim spokojem. Wydawało się, że nic nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi. Przed wyjściem włożyła na głowę podrabianą czapkę z logo Nowego Jorku i lustrzane okulary. Postronni obserwatorzy nie zdołaliby się domyślić, że nosi maskę.

Musta miał mdłości i pocił się jak mysz.

– Dlaczego? – wykrztusił, bo zaschło mu w ustach.

Kobieta spojrzała na niego z ukosa i chłopak natychmiast odwrócił wzrok.

– Co dlaczego?

– Dlaczego pani to robi... – Musta wahał się użyć bardziej jednoznacznych słów. – Skoro nie jest pani z ISIS, to dlaczego morduje pani ludzi?

– Bo muszę.

– Co to znaczy? Przecież nikt pani nie zmusza. Może pani przestać, kiedy tylko pani zechce.

– Naprawdę sądzisz, że decydujesz o swoim losie? To nieprawda. I mnie też to dotyczy.

– Dziwne rzeczy pani opowiada.

– Nie jestem dobra w udzielaniu wyjaśnień. Już i tak za dużo gadam.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Musta czuł się coraz gorzej. Mdlilo go coraz bardziej, ale kiedy otworzył usta, zamiast wymiocin wydobył się z nich histeryczny śmiech, który po chwili przekształcił się w nienaturalny chichot. Śmiał się, pochylając się do przodu, i nie był w stanie przestać. Kobieta w masce zdawała się tego nie zauważać.

Hummer zaczął zwalniać i po chwili zatrzymał się na skraju opustoszałej ulicy. W dali majaczyły szare kontury hal fabrycznych.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała kobieta, po czym odblokowała drzwi i wysiadła z samochodu.

Z zewnątrz doleciał słaby zapach deszczu i wiatru. Musta, któremu atak wesołości już dawno przeszedł, pomyślał o ucieczce, ale wiedział, że nie jest w stanie się na to porwać. Był osłabiony, nieobecny myślą i obojętny na wszystko, co wkrótce miało się wydarzyć. Stanął na popękany asfalcie i dołączył do stojącej obok bagażnika kobiety. Minął ich tir, wprawiając w drżenie powierzchnię drogi i unosząc za sobą kłęby kurzu.

– To ten budynek – powiedziała kobieta, wskazując na koniec ulicy. – Nie mogę podjechać bliżej. – Otworzyła bagażnik. – Masz tu wszystko, czego ci potrzeba.

Na widok zawartości bagażnika nienaturalny spokój Musty ulotnił się w jednej chwili.

– Nie mogę – powiedział.

Kobieta zdjęła ciemne okulary i końcami palców uniosła w górę podbródek Musty, zmuszając go do spojrzenia jej w oczy. Wyglądały jak ze szkła, przypominały oczy wypchanych zwierząt.

– Wykonasz zadanie. Tak jak ci kazałam.

– Źle się czuję. O Boże... za chwilę zemdleję – skarżył się Musta, czując, jak świat wiruje wokoło.

– Ciii – szepnęła, nie odrywając od niego wzroku. – Zaraz ci przejdzie.

Musta skoncentrował się na jej oczach i nagle wszystko się zmieniło. Jej głos rozbrzmiewał mu w głowie z siłą starych organów. Wibrowały setki piszczałek. I wtedy Musta również zaczął poruszać się w rytm otaczającego go uniwersum. Poczuł, że jest związany na wieczność z zamaskowaną kobietą, a to, co ma zrobić, jest nieuniknione i wspaniałe. Nic już nie miało znaczenia, wszystko było jedynie cieniem, który zaraz zniknie bez śladu i bez bólu. *To, co gąsienica uważa za koniec świata, cały świat uznaje za motyla.* Przyszła mu na myśl przeczytana gdzieś myśl chińskiego filozofa i uznał, że doskonale pasuje do obecnej sytuacji. Strach zniknął i Musta poczuł dziwną euforię, jakby właśnie pozbył się ciężaru, który towarzyszył mu przez całe życie.

– Odradzasz się na nowo – powiedziała kobieta.

Musta energicznie pokiwał głową. Nie mógł się doczekać.

– Dziękuję ci, dziękuję – powiedział ze łzami w oczach. Nie potrafił opanować wzruszenia. – Powiesz mi teraz, kim jesteś?

Kobieta pomogła mu założyć sprzęt, po czym pochyliła się i zaczęła szeptać coś na ucho słodkim głosem. Jest posłuszny i zasłużył na nagrodę.

Wyjawiała mu swoje imię.

SANTIAGO ZNALAZŁ DANTEGO i Colombę w chińskim barze, gdzie się przyczaili. Nacisnął klakson i wszyscy obecni odwrócili się, żeby spojrzeć na wytatuowanego młodzieńca, który siedział za kierownicą pomarańczowego bmw 330d z białymi felgami. Towarzyszyła mu bardzo szczupła dziewczyna w legginsach, z wygolonymi od spodu włosami, które z czubka głowy opadały do ramion. Miała na imię Luna i niedawno osiągnęła pełnoletność. Była prostytutką.

Santiago i Luna objęli Dantego i pocałowali go w policzki, po czym usiedli przy stoliku i zamówili piwo i wino musujące.

– Ty płacisz, ma się rozumieć – zwrócił się Santiago do Dantego.

Chłopak był przystojny, miał cynamonową karnację, a jego zadbane wygląd wyraźnie kontrastował z tatuażami i agresywnymi symbolami na kurtce. Nosił buty w złotym kolorze.

– Jak się masz, CC?

– To nie jest moje imię – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora.

– Mój *amigo* twierdzi inaczej.

– On może. Ty nie. Jasne?

– Ma coś do mnie? – zapytał Santiago Dantego.

– Nie przejmuj się. Zawiesili ją, więc nie może cię aresztować.

– Co takiego zrobiła? – Luna po raz pierwszy otworzyła usta. Miała dziecinny głos.

Colomba z brzękiem odstawiła filiżankę z cappuccino na stół.

– Zajmij się swoimi sprawami. Santiago, masz wszystko?

Chłopak podał Lunie sto euro.

– Idź i zagraj sobie w wideopokera.

Dziewczyna zmarszczyła nosek.

– Nie lubię grać w pokera.

– No to nie graj, tylko sobie popatrz, *comprende*^[9]? – dodał Santiago szorstkim tonem.

Luna szybko wzięła pieniądze i zniknęła.

Colomba wpatrywała się w niego drapieżnym wzrokiem. Jej oczy przybrały ciemnozielony odcień.

– Stosujesz wobec niej rękoczynny?

Santiago się roześmiał.

– Dniem i nocą. Kiedy nie ma nikogo, kto by zapłacił. – Colomba nie spuszczała z niego oczu i chłopak przestał się śmiać. – Nigdy jej nie uderzyłem. Nigdy.

– Świetnie. Tak trzymaj.

Santiago położył na stole torbę i wyjął laptopa, który sprawiał wrażenie, że trzyma się w całości dzięki poślinionej taśmie klejącej. Był to komputer z drugiej ręki, którego nie żał by mu było się pozbyć w razie konieczności.

– Nie wiem, po co tu przyszedłem, skoro traktujesz mnie jak gówno. Po tym, co się zdarzyło w czasie naszego ostatniego spotkania, powinienem trzymać się od ciebie z daleka.

– Jak już tu jesteś, to przestań marudzić – powiedziała Colomba.

Santiago zwrócił się do Dantego, wskazując Colombę ruchem głowy.

– Nie mówiłem? Ona myśli, że jestem jej niewolnikiem. No dobra, sprawdziłem już twardego dysk. Znalazłem zdjęcia kamikadze ściągnięte z sieci oraz mapy stacji w Rzymie i Mediolanie.

– Coś jeszcze? – zapytał Dante.

Santiago wpisał bardzo długie hasło i wygaszacz ekranu z tygrysem ustąpił miejsca liście dokumentów.

– Zdjęcia pociągów. Połączenia ze stronami na temat dżihadu. Instrukcje dotyczące produkcji bomb domowej roboty... Takich rzeczy są w Internecie całe tony.

– Nie skasował listy odwiedzanych stron?

– Nie. Nie używał również VPN ani żadnej innej funkcji, które zapewniają anonimowość. Bardzo głupio z jego strony.

– Albo bardzo sprytnie. Masz coś jeszcze?

Santiago uśmiechnął się z przekąsem.

– Ładne nagranie, na którym widać, jak rozwalasz żaluzję. Nie wyłączyłeś kamery. Chcesz zobaczyć?

– Może później.

– I są jeszcze dwa maile po arabsku.

– Youssef nie mówił po arabsku – zauważył Dante.

– Chyba się nauczył, *hermano*, bo znalazłem je w jego poczcie. Zdaje się, że dotyczą jego zeszłorocznej podróży do Libii. Ale nie mam pewności, wiesz, jakie są te automatyczne tłumaczenia.

– Mógłbyś sprawdzić, czy maile są autentyczne, czy może ktoś je podrzucił? – zapytała Colomba.

– Trzeba dotrzeć do serwera, z którego wiadomości zostały wysłane, i mieć nadzieję, że zachowała się informacja na temat logowania, ale minął prawie rok... – Santiago wzruszył ramionami.

– Czy szukał jeszcze czegoś oprócz ciekawostek o pociągach?

– Tak. – Santiago pokazał im mapę jednej z dzielnic Rzymu. – Tiburtina Valley.

– Co to jest? – zapytał Dante.

Colomba się zdziwiła.

– Wschodnia dzielnica miasta, w której znajdują się liczne firmy informatyczne i laboratoria. Jak to możliwe, że o tym nie słyszałeś?

– Nie jestem taksówkarzem – odpowiedział Dante. – Szukał konkretnej ulicy?

– Nie – odparł Santiago.

– No to chyba musimy tam pojechać, żeby się rozejrzeć.

– Jak myślisz, co Musta ma zamiar robić w Tiburtina Valley? – zaniepokoiła się Colomba.

– On nic, ale osoba, która go porwała, mogła zaplanować kolejny zamach. Jak sama nie chcesz tam jechać, to możesz zawiadomić jednostkę operacyjną. Myślę, że za jakieś dwa tygodnie zaczną skłaniać się do tego, żeby nam uwierzyć.

Colomba westchnęła i podniosła się z krzesła.

– Będzie nam potrzebny twój samochód – powiedziała do Santiaga.

COLOMBA TAK MOCNO zaciskała dłonie na kierownicy, że knykcie zrobiły się białe, tak samo jak u Dantego, który ścisnął klamkę drzwi samochodowych.

– Wszystko w porządku, CC? – zapytał, kiedy zatrzymali się na światłach i mógł wreszcie otworzyć oczy. Na jego czole perliły się krople potu.

– Mam przy sobie pistolet kolegi, szuka mnie policja i prowadzę samochód należący do handlarza narkotyków. Tak, wszystko w porządku.

– „Wykonujemy misję zleconą przez Boga” – powiedział Dante.

– Co ty pleciesz?

– Nie oglądałaś filmu *Blues Brothers*?

– Ci ubrani na czarno? Nie.

– „Ci ubrani na czarno...”. CC, musisz koniecznie liznąć trochę kultury.

Colomba parsknęła z niechęcią i ruszyła z piskiem opon, wciskając Dantego w fotel. Wyglądał teraz jak astronauta w momencie startu rakiety. Próbował skupić się na obrazach spokojnego morza oraz szumie wiatru w koronach drzew, ale jego wewnętrzny termometr osiągnął tak wysoki poziom, że w głowie zadzwieczał mu dzwonek alarmowy. Nie dawał o sobie znać aż do chwili, gdy Colomba zwolniła na ostatnim, pełnym dziur odcinku ulicy Affile, równoległej do via Tiburtina. Powierzchnia drogi prowadzącej do centrum przemysłowego naznaczona była śladami wyżłobionymi przez koła ciężarówek.

– W okolicy znajdują się siedziby setek firm, nie biorąc pod uwagę domów prywatnych, barów i sklepów.

– Masz jakiś policyjny pomysł na zawężenie obszaru poszukiwań?

Colomba zaczęła się zastanawiać, prowadząc powoli i rozglądając się wokół z nadzieją, że zobaczy gdzieś sylwetkę Musty.

– Być może – powiedziała. – Muszę wykonać kilka telefonów.

Włożyła baterię do komórki i zadzwoniła najpierw na centralę policji, a potem do karabinierów. Przedstawiła się i podała stopień służbowy, ale

nie wyjawiała, dlaczego pyta, czy nie mieli żadnych zgłoszeń z Tiburtiny. Kiedy skończyła, nacisnęła mocniej gaz.

– Dziesięć minut temu w firmie elektronicznej CRT włączył się alarm. Co prawda zaraz go wyłączono, ale chyba warto to sprawdzić.

Colomba dwukrotnie przejechała na czerwonym świetle i w ciągu pięciu minut dotarli na via Cerchiara, szeroką ulicę biegnącą przez środek dzielnicy, w której znajdowały się budynki mieszkalne, lokale o wątpliwej reputacji, fabryki oraz nieużytki. Siedziba firmy CRT mieściła się pod numerem 200, w biało-czarnym jednopiętrowym budynku na planie prostokąta, otoczonym żywopłotem i niskimi zielonymi bramami. W czasie jazdy Dante próbował skontaktować się z centralą firmy, używając telefonu Colomby, ale usłyszał jedynie muzykę i dwujęzyczny komunikat informujący, że biura są zamknięte.

Zaparkowali przed wejściem, po czym Colomba zadzwoniła do prywatnej firmy ochroniarskiej, której numer znajdował się na jednej z bram. Powiedziała, że jest z policji, i poprosiła, aby połączyli ją z kierownikiem.

– Wiem o alarmie, ale zaraz go wyłączono, czasami zdarzają się pomyłki – wyjaśnił mężczyzna.

– Kto jest teraz w budynku?

– Mój człowiek z nocnej zmiany oraz pan Cohen z sekretarką. Robią inwentaryzację. Mówili, że zajmie im to sporo czasu, więc chyba jeszcze tam są.

– Kim jest Cohen? – zapytała Colomba, bo zaniepokoiło ją nazwisko żydowskiego pochodzenia.

To były ulubione ofiary islamskich terrorystów, pomijając oczywiście samych muzułmanów.

– Dyrektorem.

– Okej, proszę zadzwonić do swojego pracownika i natychmiast powiadomić mnie, co się dzieje – powiedziała Colomba i się rozłączyła. Mężczyzna oddzwonił po dwóch minutach, a w jego głosie dało się wyczuć niepokój. – Strażnik nie odpowiada. Może krótkofalówka nie działa? Cohen też nie odbiera komórki. Zaraz tam kogoś wyślę.

– Nie, niech pan nic nie robi i poczeka na instrukcje ode mnie. – Colomba zakończyła rozmowę i sięgnęła po pistolet Albertiego. Odbezpieczyła broń, włożyła nabój do lufy, po czym schowała pistolet do kieszeni kurtki.

– Nie wiemy, co się tam dzieje – powiedział zaniepokojony Dante.

– Właśnie dlatego muszę tam wejść. – Podała mu telefon. – Zadzwoń do Santiniego albo do Curcia. Do kogoś, kogo znasz. Powiedz, żeby przysłali tu antyterrorystów.

Colomba wysiadła, a Dante w pośpiechu zrobił to samo, zagradzając jej drogę.

– Boje się, CC. Nie idź tam.

– Przecież to ty mnie tu zaciągnąłeś – powiedziała Colomba. Jej głos brzmiał chrapliwie pod wpływem mieszanki zmęczenia i adrenaliny.

– Zmieniłem zdanie.

– Ja też. Zdecydowałam, że wchodzę. Miałeś rację, chcę poznać odpowiedzi.

Dante spojrział na budynek i oblizał suche wargi. Okna przypominały mu złośliwe oczy.

– Idę z tobą.

– Nie. Tylko byś mi przeszkadzał. Zrób to, o co cię prosiłam.

Dante przyglądał się, jak bezskutecznie próbuje otworzyć bramę, a potem zręcznie przeskakuje przez nią na drugą stronę, by po chwili zniknąć w ciemnościach.

Poczuł się tak, jakby wysłał ją na rzeź.

COLOMBA RUSZYŁA BETONOWĄ ścieżką oświetloną małymi odblaskowymi znakami, z uwagą przysłuchując się, czy z prostokątnych krzaków rosnących w ogródku nie dobiegają podejrzone dźwięki. Niczego nie zauważyła i popchnęła główne drzwi prowadzące do pustej recepcji, oświetlonej wiszącymi na suficie neonówkami, które rzucały na podłogę długie cienie. W pomieszczeniu rządził niepodzielnie ogromny biało-czerwony kontuar ozdobiony logo firmy. Nigdzie nie było żadnego pracownika, jedynie ciemna kurtka wisiała na oparciu krzesła, a na blacie stał jeszcze ciepły termos z kawą. Po drugiej stronie sali były bramka i czytnik kart magnetycznych pracowników.

Za kontuarem umieszczono zdjęcie układu hydraulicznego, które zakrywało całą ścianę. Monitor przekazujący obrazy z kamer znajdujących się w różnych częściach budynku podzielony był na sześć kwadratów. Wszystkie korytarze ziały pustką, ale na podłodze jednego z nich Colomba zauważyła szeroką, ciemną smugę, która znikwała za kolumną. Informacja na ekranie wskazywała na pierwsze piętro.

Colomba przeskoczyła przez bramkę i ominąwszy windę, wbiegła po schodach na piętro. Kierując się strzałką z napisem „Dyrekcja i administracja”, dotarła na korytarz, który widziała wcześniej na ekranie monitora. Ciemny ślad z nagrania okazał się w rzeczywistości czerwoną smugą świeżej krwi. Colomba uspokoiła oddech i wyjęła broń. Ruszyła śladami krwi i za kolumną znalazła zwłoki siwego mężczyzny w mundurze strażnika. Zadano mu kilka ciosów nożem. Poderżnięte gardło wyglądało jak szeroko otwarte usta. Obok ciała leżał pilot do alarmu, który ktoś zdążył wyłączyć. *Przebacz mi, że nie zdążyłam na czas, pomyślała, walcząc z nudnościami. Przykucnęła na chwilę, ściskając się za brzuch i zmuszając do odzyskania kontroli nad własnym ciałem. Już niedługo wszystko się skończy. W taki czy inny sposób.*

Wtedy usłyszała kobiecy lament, a zaraz po nim męski szept. Trzymając pistolet w obu dłoniach na wysokości twarzy, postępowwała ostrożnie w kierunku, z którego dochodziły głosy. Dźwięki doprowadziły ją

pod drzwi z napisem „Dyrekcja”. Z pomieszczenia ponownie dobiegły jęki i próbujący je uciszyć szept. Colomba powoli otworzyła drzwi, chowając się za ścianą.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, były kolejne zwłoki. Korpulentny mężczyzna w czarnym garniturze leżał w kałuży krwi z twarzą zwróconą ku podłodze. Po drugiej stronie pokoju, u stóp młodego, mniej więcej dwudziestoletniego Marokańczyka klęczała kobieta w garsonce i butach na wysokich obcasach. Na mokrej od łez twarzy malowało się przerażenie. Musta przyłożył jej nóż do szyi. Ubranie i twarz miał pokryte śladami krwi, a kręcone włosy były posklejane i kapiała z nich woda.

Colomba weszła, celując w niego pistoletem.

– Policja – zawołała. – Zostaw ją!

Sekretarka krzyknęła. Musta nawet się nie poruszył.

– Nie – powiedział spokojnym, chociaż stłumionym głosem. – Nie pozwolę jej odejść.

– Proszę... – odezwała się sekretarka.

Chłopak zatkał jej usta tą samą dłonią, w której trzymał nóż, i na bluzkę kobiety spadły krople krwi.

– Ciii – powiedział.

– Masz na imię Musta, prawda? – zapytała Colomba. Nie widziała lewej ręki chłopaka, bo ta kryła się za plecami sekretarki.

Musta przytaknął z przesadnym zaangażowaniem i kolejne czerwone krople spadły na parkiet.

Jest pijany albo naćpany, pomyślała Colomba.

– Nie zamierzam cię zastrzelić, Musta. Spróbujmy się dogadać, żebyśmy mogli wszyscy wyjść z tego cało, okej?

Musta się uśmiechnął.

– Widzisz ciało pana Cohena na podłodze?

– Tak, widzę – odpowiedziała, nie opuszczając ani wzroku, ani broni.

– No właśnie. Dla niego jest już za późno.

– Ale nie dla tej kobiety. Co ona ci zrobiła?

– Nic. Nie powinno jej tutaj wcale być. – Odprężony wyraz twarzy Musty na chwilę zniknął, a zastąpiła go zatroskana mina. Potem chłopak

znowu się uśmiechnął. – Niestety, jest inaczej.

– Zostaw ją – powtórzyła Colomba.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo mam zadanie. Bardzo ważne zadanie. – Musta uśmiechał się, jakby chodziło o dobry żart, ale w tym uśmiechu było coś dziwnego.

Odepchnął sekretarkę, która upadając, podparła się na dłoniach, po czym uniósł lewą rękę. W zaciśniętej pięści trzymał jakiś przedmiot połączony przewodem elektrycznym, który zniknął w jego dżinsowej kurtce. Musta rozchylił poły ubrania i pokazał szeroki pas, do którego przymocowano dwa metalowe pojemniki wielkości kostek mydła. Od jednego z nich prowadził czarny przewód, znikający w zaciśniętej dłoni chłopaka.

– Wiesz, co to jest? – zapytał.

Colomba poczuła ucisk w płucach.

– Bomba.

– Wystarczy nacisnąć. Ty, sekretarko, nie próbuj uciekać, bo wszyscy wylecimy w powietrze. I ty też, po... – Zaciął się, nie mogąc dokończyć słowa – policjantko.

Kobieta doczołgała się do ściany i zakryła sobie twarz rękami. Colomba wciąż celowała w głowę Musty. Uda jej się go zabić, zanim on uruchomi detonator? Wystarczy nawet skurcz, aby nacisnąć przycisk. Tymczasem w zachowaniu Musty coś się zmieniło. Trząsł się cały, a poprzedni uśmiech przekształcił się w nieprzyjemny grymas.

– Nie rób głupstw, proszę cię – powiedziała Colomba. – Powiedz mi, czego żadasz...

– Już powinienem – zaciął się ponownie – to zrobić. Powinienem wysadzić się w powietrze, jak tylko wszedłem do tego biu... biu... biura. – Wskazał nożem na sekretarkę. – Zawahałem się przez nią... Miało jej tu wcale nie być. Czy strażnik nie żyje?

– Tak. – Colomba czuła ból w plecach i ramionach. Nie mogła spuścić głowy Musty z celownika.

– Wiesz, czy... on miał dzieci... wnuki?

– Nie wiem, ale to bardzo prawdopodobne.

– Kiedy spotkamy się tam, na górze, poproszę go o wybaczenie.

Colomba zauważyła, że szczęki Musty się zacisnęły i zrozumiała, że jest gotowy na męczeńską śmierć.

– Poczekaj, proszę. Tylko minutę.

– To potrwa tylko chwilę. Potem wszystkim nam będzie lepiej. Zaufaj mi. Ja... chcę po prostu odpocząć.

– Nie masz pojęcia, co będzie potem. – Colomba odkaszlnęła, aby ukryć przerażenie w swoim głosie. – Ja już przez to przeszłam. Pewnego razu znalazłam się w restauracji, gdzie podłożono bombę. Ładunek był silniejszy niż twój.

– I przeżyłaś?

– Miałam szczęście, tak jak ci wszyscy, którzy zginęli na miejscu. – Colomba próbowała nawiązać z Mustą kontakt wzrokowy, ale on bez przerwy przenosił spojrzenie z jednego miejsca na drugie. – A pozostali... Przeżył człowiek, który znajdował się w pobliżu bomby. Stracił ręce i nogi. Ktoś inny zmarł po kilkunastu minutach. Miał dziurę w miejscu brzucha. To wcale nie skończy się tak szybko, jak myślisz. Będziesz cierpieł. Wszyscy będziemy cierpieć. I po co? Przecież wiem, że nie jesteś terrorystą.

Chłopak wreszcie spojrzał na nią. Miał oczy pełne łez.

– Nie byłem – szepnął.

– Możemy znaleźć rozwiązanie.

– Za późno! Dałem słowo! – Musta rzucił nóż na podłogę i otarł łzy. – Jeśli tego nie zrobię, ona... mnie znajdzie. I zmieni moje życie w piekło.

Potem wypowiedział jakieś zdanie po arabsku, ale Colomba nie zrozumiała.

– Będziemy cię chronić – powiedziała.

– Nie dasz rady.

Teraz Musta już nie ukrywał płaczu. Jego głos się zmienił, tracąc senną nutę. Teraz przypominał głos małego dziecka.

– Musta, proszę cię... zostaw ten detonator. – Opuściła pistolet, ryzykując, że wypadnie jej ze spoconych dłoni. – Nie zastrzelę cię, obiecuję.

Chłopak patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem i Colomba się przestraszyła, że to koniec.

– Pomyśl o Mariu. Twój brat nie może się doczekać, kiedy będzie mógł cię objąć.

Musta się zawahał, a jego wzrok stał się trzeźwiejszy.

– Mario... Robię to również dla niego... Nie chcę, żeby ona zaczęła go szukać.

– Będziemy chronić was obu – zapewniła pospiesznie Colomba. – Nikt nie zrobi wam krzywdy.

– To niemożliwe – powiedział Musta, ale ręka, w której trzymał detonator, wyraźnie zadrżała.

– Możemy chociaż spróbować. Co masz do stracenia? Pozwól sobie pomóc. Zaufaj mi.

Chłopak znieruchomiał na moment, a Colombie pot zasłonił widok do tego stopnia, że nie mogła już precyzyjnie wycelować. Wreszcie Musta rozluźnił zaciśniętą pięść, z której wypadł mały pilot. Colomba krzyknęła ze strachu, ale przymocowane do kabla zapłonowego urządzenie zatrzymało się w powietrzu.

– Nie krzycz, bardzo cię proszę – odezwał się Musta.

– Tak, tak. Przepraszam – powiedziała Colomba ze ściśniętym sercem. – Zaskoczyłeś mnie.

Tymczasem sekretarka skorzystała z roztargnienia Musty i na czworakach uciekła z pokoju, wydając przy tym zwierzęce odgłosy, które cichły, w miarę jak się oddalała. Został po niej tylko jeden but z zerwanym paskiem.

– Podejdź tu, Musta. Pokaż mi ładunek, który masz na sobie. Trzymaj ręce z dala od ciała, dobrze?

Chłopak uniósł ramiona i postąpił krok w kierunku policjantki.

– Ja nie chciałem... To było jak sen... Może ciągle jeszcze trwa?

– Chodź tu powoli. Już niewiele brakuje. Opowiedz mi o kobiecie, która cię tu przysłała.

Musta zaczął coś mruzczyć pod nosem.

– *Allahumma inni ‘a’ udhu bika mina lkhubthi wa lkhaba’ith. Allahumma inni ‘a’ udhu bika mina lkhubthi wa lkhaba’ith.*

– Co mówisz? – zapytała Colomba.

– To modlitwa. Powinienem się częściej modlić. Wtedy trzymałaby się ode mnie z daleka. – Zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Teraz dzielił ich niecały metr. – Ona nie jest kobietą.

Colomba przełożyła pistolet do lewej ręki, a prawą wyciągnęła, żeby chwycić wiszący pilot. Całą swoją uwagę skupiła na tym kołyszącym się przedmiocie, chociaż wiedziała, że powinna dalej mówić, żeby nie stracić z chłopakiem kontaktu.

– Kim w takim razie jest?

Musta spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami. Jego źrenice były niemal niewidoczne.

– Aniołem – odpowiedział.

Jakby na potwierdzenie jego słów szyba w oknie rozleciała się na kawałki, a świszczący pocisk przeleciał przez pomieszczenie z ogromną prędkością i trafił w głowę Musty, która w tym samym momencie eksplodowała.

Colomba zmieniła się w słup soli, obserwując ciało, które osuwało się na podłogę. Tryskająca krew pobrudziła jej twarz. Policjantka splunęła i upadła na kolana. W takiej pozycji znaleźli ją antyterrorysty z oddziału, który wpadł do budynku z bronią gotową do strzału. Funkcjonariusze powalili Colombę na ziemię, rozbroili i zakuli w kajdanki, a potem sprawdzili dokładnie miejsce zdarzenia. Minęło kilka minut, zanim ktoś postanowił zobaczyć, jak ona się czuje. Zrobił to Leo Bonaccorso, sympatyczny komandos, który zdjąwszy kominiarkę, pochylił się nad nią, po czym natychmiast wezwał pomoc.

Colomba przestała oddychać.

ATAK PANIKI BYŁ jednym z najsilniejszych, jaki jej się ostatnio przytrafił, a sytuację pogarszało to, że zakuto ją w kajdanki właśnie wtedy, gdy płuca rozpaczliwie domagały się powietrza. Leo pomógł jej wstać i oswobodził jej dłonie, a wtedy Colomba zaczęła uderzać pięściami w ścianę, raniąc sobie knykcie aż do krwi. Po chwili mogła już normalnie oddychać. Funkcjonariusze wyprowadzili ją na zewnątrz, gdzie oparła się o mur, żeby dojść do siebie. Siedziba firmy otoczona była policyjnymi radiowozami i terenówkami. Zabronili jej się oddalać i tym razem zabrzmiało to na tyle poważnie, że Colomba postanowiła spokojnie poczekać, aż ktoś się nią zajmie. Po kilku minutach pojawił się Leo z papierosem w ustach i kominiarką na czubku głowy. Włożył jej do ręki wizytówkę ozdobioną herbem Republiki Włoskiej.

– Daj mi znać, jak się czujesz. Mówię serio.

– Gdzie jest Dante? – zapytała, z trudem wypowiadając słowa.

– Twój przyjaciel? Został zatrzymany.

– On nie znosi zamkniętych pomieszczeń – szepnęła.

– Nie martw się, nikt go nie skrzywdzi. Teraz powinnaś pomyśleć o sobie. – Odwrócił się, ale Colomba zatrzymała go, nie wypuszczając z palców wizytówki.

– Jak wam się udało tak szybko dotrzeć na miejsce?

– Dostaliśmy anonimowe zgłoszenie. Z publicznego telefonu znajdującego się w tej okolicy. Zauważono, że ktoś wchodzi na teren firmy.

– Kto dzwonił? Mężczyzna czy kobieta?

– Czy to ma znaczenie?

– Dla mnie tak.

– Kobieta.

Colomba kiwnęła potakująco głową.

– Dziękuję.

– Nie zgub mojego numeru, okej? – dodał Leo i wrócił do swoich obowiązków.

Colomba schowała wizytówkę do kieszeni. Musiała odczekać jeszcze pół godziny, zanim wsadzono ją do służbowego samochodu i przewieziono do prokuratury.

Na swoje szczęście była tak zmęczona, że to, co nastąpiło w ciągu kolejnych dwudziestu czterech godzin, nie do końca do niej docierało. Chwile przytomności przeplatały się z dłuższymi okresami letargu, który kasował większą część wspomnień. Często mówiła prawdę, czasami kłamała, żeby ochronić swoich podwładnych i Dantego, przytaczając konsekwentnie wersję, którą przyjęli przed obłączonym sklepem. Pozwolono jej się przespać na kanapie w biurze wydziału, ale męczyły ją koszmary. Marzyła o prysznicu i o swoim łóżku, ale powrót do domu był niemożliwy przynajmniej do czasu, kiedy nie wyduszą z niej wszystkiego, co wie.

Ponowne przesłuchanie, któremu poddała ją sędzia śledcza Spinelli, wcale nie było najgorsze. Colomba niewiele powiedziała, a wspierał ją w tym adwokat z urzędu, przysłany przez związki zawodowe. Jakoś wytrzymała także nocny *debriefing*^[10] z udziałem przedstawiciela służb specjalnych, który sprawiał wrażenie, jakby chciał ją pobić za każdą udzieloną odpowiedź. Najgorsze okazało się spotkanie z Curciem, który na twarzy miał wypisane rozczarowanie. Była szósta po południu następnego dnia po śmierci Musty, chociaż Colomba straciła wtedy poczucie czasu. Curcio nie zmienił koszuli od ich poprzedniego spotkania i nie ogolił się: biały zarost na policzkach bardzo go postarzał.

– Skoro wiedziała pani, gdzie znajduje się Faouzi, dlaczego nic mi pani nie powiedziała? – zapytał.

– Jak już wyjaśniłam pani sędzi, nie miałam o niczym pojęcia. To Dante miał intuicję.

– Po raz kolejny? Co za przypadek – powiedział Curcio lodowatym tonem.

Colomba zwilżyła językiem spierzchnięte wargi i zaczęła improwizować.

– Zanim wjechał radiowozem do sklepu i zniszczył komputer, zobaczył na ekranie mapę Rzymu. Miejsce było jednak na tyle niesprecyzowane, że

postanowiliśmy to sprawdzić przed wszczęciem alarmu.

– Zdaje sobie pani sprawę, jak to wygląda, Colombo?

Jasne, że tak, pomyślała. *Po prostu kanał*. Tylko że prawda była jeszcze mniej prawdopodobna.

– Przepraszam, mogłabym prosić o kawę? Głowa mi pęka.

Curcio kazał przynieść jej kawę i paczkowany rogalik, którego nie raczyła nawet otworzyć.

– To nie jest przesłuchanie, Colombo. Chciałbym tylko zrozumieć, co panią kierowało w momencie, kiedy zdecydowała się pani mnie okłamać – powiedział z rezygnacją.

Colomba bawiła się foliowym opakowaniem rogalika.

– Uwierzyłby mi pan, gdybym powiedziała, że zgodnie z moimi podejrzeniami Faouzi i Youssef są tylko kozłami ofiarnymi?

– Kto za nimi stoi?

Anioł.

– Faouzi przed śmiercią opowiedział mi o pewnej kobiecie. Bardzo się jej bał.

– Może chodziło o ich kontakt z Państwem Islamskim?

– Oni wcale nie należeli do ISIS.

Curcio starał się opanować, żeby nie bluzgnąć przekleństwami.

– Colombo... obecnie przynależność do ISIS jest tylko kwestią formalności. Wystarczy się zadeklarować, to działa jak franczyza terroryzmu. Jeśli uda ci się potem coś zorganizować, to ktoś się do ciebie przyzna. Nie ma znaczenia, czy to byli dwaj szaleńcy, czy fanatycy religijni. Faouzi zostawił swoje odciski palców na miejscu zamordowania współnika, a w jego mieszkaniu znaleźliśmy pieniądze niewiadomego pochodzenia. Myśli pani, że ktoś spreparował te dowody?

Słuchając szefa, Colomba zrozumiała, że jest w błędzie. Wszystko to, w co dotychczas wierzyła, nagle w obliczu suchych faktów wydało jej się absurdem.

– Nie wiem.

– Ja uważam za bardziej prawdopodobne, że terrorysta zabił swojego przyjaciela, a potem strażnika i właściciela firmy żydowskiego

pochodzenia, który zresztą mógł być właściwym celem. I to on obwiązał się ładunkiem wybuchowym, do którego użycia na szczęście nie doszło również dzięki pani interwencji.

– Faouzi został do tego zmuszony. Powiedział mi to, zanim antyterrorysty go zastrzelili.

– Przez tajemniczą kobietę, która istniała być może jedynie w jego głowie.

– Albo przez kobietę, która zadzwoniła na policję dwie minuty po tym, jak pojawiło się jego zdjęcie z listem gończym – powiedziała Colomba.

– Zdarza się, *dottoressa*. Podobnie jak to, że czasem jakiś policjant wpada w panikę i przestaje odróżniać rzeczywistość od fikcji. – Curcio pokręcił głową. – To moja wina, że wysłałem panią na pierwszy ogień. Popełniłem błąd i biorę na siebie odpowiedzialność.

– Wywiad uważa mnie za zdrajczynię, a według pana straciłam rozum – powiedziała Colomba bezbarwnym głosem. Kolor jej oczu przypominał teraz dno butelki. – Nikt nie dostrzega, że po prostu wykonywałam swoje obowiązki.

Curcio pogładził nieistniejące wąsy.

– Wystąpiłem o pochwałę dla członków pani oddziału. Jeśli doszło do nadużyć, oni nie mają z tym nic wspólnego.

– Chodzi o to, żeby zrzucić winę na mnie?

– Została pani zawieszona w obowiązkach i na pani życzenie zmieniono kwalifikację na urlop zdrowotny. W swoim raporcie zaznaczam, że cierpi pani na niezdiagnozowany syndrom pourazowy, który nasilił się po wymianie ognia z Hosseinim w meczecie.

Colomba zacisnęła zęby.

– Dziękuję za troskę, ale z moją głową wszystko w porządku.

Curcio westchnął głęboko.

– Colombo, czy zdaje sobie pani sprawę, że to jedyna możliwość, aby nie trafiła pani do aresztu?

– Do aresztu? A za co? Za to, że znalazłam dwóch terrorystów?

– Farid Youssef został zamordowany najwyżej na godzinę przed waszym przybyciem. Jest pani pewna, że gdyby przekazała pani posiadane

informacje grupie do zadań specjalnych, nie pojawiłaby się na miejscu wcześniej?

– Jestem pewna.

– Nie ma pani sobie nic do zarzucenia również w kwestii śmierci dyrektora CRT?

– Nie.

– W porządku. Niestety, sędzia śledcza Spinelli ma wątpliwości. Gdyby sekretarka nie wyszła z tego cało, Spinelli już wystawiłaby nakaz tymczasowego zatrzymania na pani nazwisko. A wie pani, co jest najgorsze? Utrzymuje pani, że podejmując wszystkie te działania, chciała pani zyskać na czasie, tymczasem ja uważam, że powód jest zupełnie inny.

Colomba milczała; była tak wyczerpana, że nie mogła ubrać w słowa własnych myśli.

– Pani nie ufa siłom porządkowym, bo Torre namącił pani w głowie.

– To nieprawda – mruknęła Colomba, świadoma, że przynajmniej po części kłamie.

– Niech pani teraz nic nie robi. Sześć miesięcy urlopu, potem stan pani zdrowia zostanie poddany ocenie i zostanie pani przeniesiona.

– Przeniesiona...

– To jedyne wyjście, Colombo.

Pomimo zmęczenia w tym momencie Colomba zdała sobie sprawę, że jej kariera właśnie się skończyła. Nawet jeśli wróci do służby ziści się wizja Spinelli, która widziała ją za biurkiem, zajęta na przykład stawianiem pieczętek w paszportach. Albo skończy w jakimś centrum szkoleniowym, gdzie będzie uczyła pingwiny, jak się zdejmują odciski palców.

– Colomba... – Usłyszawszy głos Curcia, zdała sobie sprawę, że pogrążona we własnych myślach nie dostrzegła wyciągniętej na pożegnanie dłoni szefa. Uścisnęli sobie ręce w pośpiechu, jakby nieśmiało. – Zanim pójdzie pani do domu, proszę wstąpić do działu kadr i załatwić tę sprawę. Dokumenty są już przygotowane. I proszę oddać odznakę – dodał na koniec komendant.

– Boi się pan, że mogłabym jej nieodpowiednio użyć?

– Powiedzmy, że wolę uniknąć ryzyka.

Colomba położyła odznakę na stole. Nie rzuciła nią o ścianę i nie trzasnęła drzwiami, kiedy opuszczała pokój, chociaż sporo ją to kosztowało.

W PRZYPADKU DANTEGO SPRAWY potoczyły się o wiele spokojniej. Został co prawda przesłuchany przez sędziego śledczego i przez funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa, ale dzięki pomocy jego adwokata i przyjaciela Roberta Minutilla wszyscy traktowali go uprzejmie i przeznaczili dla niego jeden z balkonów, aby nie musiał przebywać w zamkniętym pomieszczeniu.

Pomimo zmęczenia udało mu się umieścić w raporcie wersję, która oczyszczała z zarzutów zarówno jego samego, jak i Colombę, chociaż nikt z obecnych w nią nie uwierzył. Minutillo zaś gwałtownie protestował przeciw zatrzymaniu swojego klienta, który „wypełnił jedynie obywatelski obowiązek”. O trzeciej w nocy Dante został zwolniony i odwieziony do hotelu. Przespał się trochę, po czym kupił nowy telefon i udał się do komendy, żeby dowiedzieć się, co się stało z Colombą. Tak długo wrzeszczał na wartownika, aż wreszcie pojawili się Esposito z Guarnerim i zaprowadzili go na wewnętrzny dziedziniec, do stolika, przy którym stały wypełnione niedopałkami popielniczki. Czekał tam przez dłuższy czas, a dwaj Muszkietierowie zmieniali się, żeby mieć go na oku.

– Co z Colombą? – zapytał Dante, kiedy wreszcie pod wieczór dwaj policjanci mogli poświęcić mu trochę czasu. – Zwolnią ją z pracy?

– Nie mogą, chyba że została by skazana – powiedział Esposito.

– Szkoda, bo marnuje się tutaj.

Esposito poczęstował się papierosem z paczki Dantego.

– Naprawdę sądzi pan, że te dwa skurwiele były niewinne?

– Jeden był gwałcicielem, a drugi zabił dwie osoby, więc trudno mówić o niewinności. Ale nie byli terrorystami. Ktoś ich wykorzystał.

– Doszedł pan do takich wniosków, wykorzystując swoje paranormalne zdolności?

– Tylko dzięki dogłębnej znajomości rodzaju ludzkiego.

Guarneri pokręcił głową.

– Przyznaję, że jest pan dobry w... jak to się nazywa?

– Synergologia.

– Tylko że ludzie nie zachowują się zgodnie z przyjętym schematem. Są nieprzewidywalni.

– Nie do końca. – Na twarzy Dantego pojawił się charakterystyczny grymas. – Moja skuteczność wynosi około dziewięćdziesięciu procent.

– Nieźle!

Dante wzruszył ramionami.

– Mogę wam to udowodnić.

– Pokaże nam pan jedną ze swoich sztuczek? – zapytał Guarneri z błyskiem w oku.

– Macie karty?

– Chyba jest gdzieś talia z tej puli, którą amerykańscy żołnierze rozprawdzali w Iraku – powiedział Esposito.

– Świetnie się nada.

Esposito zniknął i wrócił po dziesięciu minutach z talią nierozpakowanych jeszcze kart do pokera.

– Musiałem przewrócić do góry nogami całą szufladę. Przy okazji znalazłem klucze do mieszkania, a byłem święcie przekonany, że je zgubiłem.

– No widzi pan? Już się na coś przydałem. – Dante rozerwał plastikowe opakowanie, wysypując karty na stół. – Nieużywane. Bardzo dobrze.

– Oryginalne, nie żadne tam włoskie podróbki – powiedział z dumą Esposito. – Niech je pan dobrze traktuje.

– Czemu nie sprzedał ich pan na eBayu? Nieźle by pan zarobił. Ile dostaje na miesiąc inspektor policji?

– Nie powiemy, żeby oszczędzić panu łez – powiedział Guarneri.

Dante zdjął rękawiczkę z okaleczonej dłoni.

– Będę potrzebował obu rąk. Chyba już zdążyliście się przyzwyczaić, co?

– Nie ma problemu. – Guarneri zrobił to, czego zaniechał w mieszkaniu Musty, czyli przyjrzał się okaleczonej dłoni Dantego.

Odkrył, że nie brakowało palców, jak przypuszczał, tylko były skurczone i wykrzywione, o połowę mniejsze niż u drugiej ręki. Jedyne kciuk i palec wskazujący były w miarę rozwinięte, chociaż pozbawione

paznokci i Dante mógł nimi poruszać. Grzbiet dłoni pokrywała gęsta siatka blizn.

Guarneri potrząsnął głową.

– Przepraszam za to pytanie, ale dlaczego Ojciec bił pana tylko w lewą dłoń?

– Bo jestem praworęczny, więc była mi mniej potrzebna. Poza tym on osobiście nigdy mnie nie uderzył. – Dante obiema rękami wybrał dwie karty: pikowego asa z podobizną Saddama Husajna oraz asa trefl z Kusajjem Husajnem, drugim synem przywódcy, zajmującym stanowisko szefa służby bezpieczeństwa. – Przydałaby się jakaś piękna kobieta, ale chyba musimy się zadowolić tymi brodacami – rzekł, wybierając królową kier, alias Barzan al-Ghafur Sulayman Majid, który swego czasu stał na czele gwardii republikańskiej. – Makabryczna sytuacja, wszyscy trzej nie żyją. Nie żebym ich żałował.

– Mówił pan, że Ojciec się nad panem znęcał. – Esposito wrócił do poprzedniego tematu.

– Kazał mi się samodzielnie karać za pomocą kija. On nigdy mnie nie dotknął. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo moje wspomnienia z silosu są nieco pomieszane. – Ułożył trzy karty w jednym rzędzie i zapalił papierosa. – Możemy zaczynać.

Esposito uśmiechnął się z przekąsem.

– Chyba nie chce nas pan zabawiać grą w trzy karty?

– Jak najbardziej. Tu mamy asy, a tu jest króóólowa – zawołał, naśladując targowego oszusta. Przykrył karty dłońmi, po czym zaczął zręcznie przekładać je z jednej ręki do drugiej. – Który z was chce spróbować?

– Ja – zgłosił się Esposito i dotknął środkowej karty. Okazała się tą właściwą. – Naprawdę myśli pan, że zdoła mnie pan oszukać?

– To był test, teraz zabawimy się na poważnie – powiedział Dante, mieszając karty znacznie szybciej.

Pomimo zdeformowanej ręki radził sobie doskonale. Tymczasem Esposito zauważył smugę popiołu na brzegu karty z królową. Dante miał w ustach papierosa i trochę popiołu spadło na kartę.

– Musimy wyznaczyć pulę.
– Dziesięć euro? – Guarnieri dobrze się bawił.
– Żartuje pan? Nie jestem bogaty, ale tak nisko jeszcze nie upadłem. –
Uśmiechnął się. – Środki pobudzające zarekwirowane na granicy?

– I tak jest pan już dość podekscytowany – zauważył Esposito. Ślad popiołu był niemalże niedostrzegalny, ale z jego perspektywy ciągle zauważalny. – Zagramy o pytanie?

Dante rozłożył karty.

– Jakie pytanie?

– Jeśli wskażę właściwą kartę, będzie pan musiał szczerze odpowiedzieć.

– Interesujące. Dobrze. Gdzie jest królowa?

– Pierwsza po lewej.

Dante odwrócił kartę i okazało się, że przegrał. Zrobił zakłopotaną minę.

– Jak pan to zrobił?

Esposito uśmiechnął się triumfalnie.

– Nie ma pan pojęcia, ilu karcianych oszustów zatrzymałem.

– No to teraz pytanie.

– Co jest między panem a *dottoressą* Caselli?

– Ale z ciebie perfidna bestia, Esposito – zawołał ze śmiechem Guarnieri.

– Umowa to umowa. – Dante podrapał się po głowie zdrową ręką. – Nic. Można powiedzieć, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Chociaż w ostatnim czasie niezbyt często się widzimy.

– Mówi pan prawdę?

– Jestem człowiekiem honoru. Rewanż. – Jeszcze szybciej potasował karty. – Wybrał pan ciekawe pytanie. Interesuje się pan swoją przełożoną?

– Ej, kolego, jestem żonaty – zaprzeczył speszony Esposito.

– I byłby pan pierwszym, który złamie przysięgę wierności małżeńskiej – powiedział Dante z ironią. – Pańska kolej.

Esposito skupił się na poszukiwaniu pobrudzonego brzegu.

– Jeszcze raz po lewej.

Wygrał po raz kolejny. Załamany Dante pokręcił głową.

– Co się ze mną dzieje... Robię z siebie pośmiewisko. Może powinienem wybrać jakąś inną grę.

– Przyszło mi na myśl jeszcze jedno pytanie.

– W porządku.

– Co to za historia z krewnym, który do pana wydzwania? Wiem, że *dottoressa* Caselli kazała go szukać.

– Jakiś facet zadzwonił do mnie kilka miesięcy temu, mówiąc, że jest moim bratem. Sprawiał wrażenie, jakby znał moją prawdziwą tożsamość. Przez jakiś czas łudziłem się, że to prawda. Miałem taką nadzieję – wyjaśnił Dante spokojnie.

– I co? – zapytał Guarneri.

Dante zachował nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Wszystko wskazuje na to, że po raz kolejny ktoś mnie oszukuje. Pomyliłem się. Tak jak teraz, wybierając grę w trzy karty.

Esposito się uśmiechnął.

– Obiecywał pan, że udowodni mi swoje zdolności w rozpoznawaniu i wyjaśnianiu ludzkich intencji. A tymczasem na razie nic z tego.

Dante jeszcze raz szybko potasował karty i rozłożył je na stoliku. Ta z brudną krawędzią wylądowała w środku.

– Dajmy sobie spokój. Takie łatwe wygrywanie to żadna przyjemność – powiedział Esposito.

– Możemy podnieść stawkę. Sto euro.

Esposito uśmiechnął się chciwie.

– Będzie pan musiał zapłacić.

– Jeśli przegram.

– Guarneri, jesteś świadkiem – powiedział Esposito, odwracając środkową kartę. Był to Saddam Husajn, as pik. – Jak to możliwe, do cholery...

– Niech pan sprawdzi pozostałe.

Esposito wykonał polecenie. Na żadnej z kart nie było królowej.

– Dałeś się nabrać – powiedział Guarneri, zwijając się ze śmiechu.

Dante pokazał mu kartę ukrytą pod rękawiczką, która leżała na skraju stolika.

– Usunąłem popiół z właściwej karty i pobrudziłem inną. Od samego początku nie chodziło o przypadek.

– To zwykle oszustwo! – zdenerwował się Esposito.

– A gra znaczonymi kartami nie jest oszustwem? – zapytał Dante, zapalając kolejnego papierosa. – Chciał pan się popisać, ale ponieważ peszy pana moja ręka, nie dość uważnie śledził pan moje ruchy. Przyjął pan, że nie jestem zbyt zręczny, a ja to wykorzystałem. – Na potwierdzenie swoich słów Dante w mgnieniu oka otworzył okaleczoną dłoń wachlarz z kart, po czym założył rękawiczkę. – Widzi pan? Ludzie są o wiele bardziej przewidywalni, niż im się wydaje. Stosunkowo łatwo jest przewidzieć ich reakcje.

– Przecież i pan jest człowiekiem – rzucił Esposito poirytowanym tonem.

– Nie zawsze się tak czuję. – Dante ułożył talię w stos i oddał ją policjantowi. – Sto euro, *please*.

– Jeszcze czego.

– To też przewidziałem... Co się dzieje? – zaniepokoił się, widząc funkcjonariusza, który podszedł i zaczął coś szeptać inspektorowi na ucho.

– *Dottoressa* właśnie wychodzi.

Dante skoczył na równe nogi.

– Mogę z nią porozmawiać?

– Bardzo proszę.

Dante pobiegł w kierunku drzwi. Po chwili zobaczył wychodzącą Colombę, która pozdrawiała właśnie gestem strażnika. Ciągle miała na sobie ubrania z poprzedniego dnia i zrozumiał, że nie pozwolono jej wcześniej pójść do domu i odpocząć. Prawie na siebie wpadli.

– Dante... co ty tu robisz?

– Czekam na ciebie. Jak cię traktowali? Dali ci coś do zjedzenia?

– Wszystko w porządku, jestem tylko bardzo zmęczona. Chcę iść do domu – powiedziała bezbarwnym głosem.

Dante szedł tyłem, żeby patrzeć jej w oczy.

– Powiedz mi tylko, kiedy się zobaczymy. Przecież wiesz, że trzeba działać, póki ślady są świeże.

Colomba przystanęła.

– O czym ty mówisz?

– O śledztwie. Przegraliśmy bitwę, ale nie wojnę.

– Całkiem ci odbiło? Nie prowadzimy żadnego śledztwa, rozumiesz?!

– A kobieta anioł? Pozwolimy jej swobodnie latać po mieście? Żeby mogła dalej bez przeszkód mordować?

– Przekazali ci informacje z mojego przesłuchania?

– Zapytali mnie o zdanie. Powiedziałem, że moim zdaniem kobieta anioł istnieje.

– Gratulacje.

– CC... to bardzo poważna sprawa. Twój przełożeni są zbyt tępi, żeby to zrozumieć. Albo skorumpowani. Ale ty nie jesteś taka jak oni.

– Niestety, bo tak byłoby dla mnie lepiej. – Colomba odsunęła go i ruszyła przed siebie. – Teraz idę spać. Porozmawiamy o tym innym razem.

Zniknęła za rogiem, zostawiając na środku dziedzińca Dantego, który drżał ze współczucia i rozczarowania. Podszedł do niego Guarneri.

– Wszystko w porządku?

Dante otrząsnął się z zamyślenia.

– Oczywiście. Colomba powiedziała, że mogę się zwrócić do pana z prośbą o pomoc – skłamał na poczekaniu.

– Słucham?

– Moje pytanie jest bardzo łatwe. Kto zajmuje się ciałem Musty?

DANTE WYSIADŁ Z TAKSÓWKI na placu Verano, niedaleko cmentarza w stylu napoleońskim, pełnego grobów szacownych obywateli.

Kostnica mieściła się w starym budynku, który niedawno został zamknięty na jakiś czas, ponieważ nie spełniał warunków sanitarnych. Bezpośrednim powodem był nadmiar ciał przechowywanych na korytarzach, a także liczne zwłoki, o które przez lata nikt się nie upomniał. Obecnie kostnica działała nieco lepiej, ale i tak była posępnym i odpychającym miejscem. Dante zatelefonował i po kilku minutach w drzwiach pojawiła się Bart w poplamionym białym fartuchu.

– Witaj, mistrzu! – przywitał ją mężczyzna.

– Daj spokój – odpowiedziała Bart. – Powiedz lepiej, co cię tu sprowadza?

– Chciałbym z tobą porozmawiać o sekcji, którą ostatnio przeprowadziłaś. Chodzi o chłopaka, któremu rozwalili głowę.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie umiesz kłamać. To zaleta, uwierz mi.

Bart rozejrzała się dookoła.

– Dante, wiesz, że cię lubię, ale nie mogę udzielić ci informacji związanych z toczącym się śledztwem. Zwłaszcza że jesteś w tę sprawę zamieszany.

– A gdybym ci powiedział, że sprawca zamachu ciągle przebywa na wolności?

– Poradziłabym ci, żebyś porozmawiał z psychiatrą.

Dante wzniósł oczy ku niebu. Zapadał zmierzch i w górze kłębiły się czarne chmury. A może je sobie po prostu wyobraził.

– Bart, Colomba ma kłopoty – powiedział.

– Według ciebie mogą jej pomóc wyniki sekcji? Jakim cudem?

– Im więcej wiemy, tym lepiej możemy przygotować jej obronę. Na przykład udowodnić, że działała zgodnie z zasadami...

Dante czuł się okropnie, powołując się na przyjaciółkę bez jej wiedzy, ale zdawał sobie sprawę, że w ten sposób Bart da się łatwiej przekonać.

I rzeczywiście, kobieta ponownie rozejrzała się dookoła, po czym westchnęła głęboko.

– Wejź do środka.

– Nie dam rady, jestem zbyt zmęczony.

Mówił prawdę, termometr wewnętrzny określający stopień natężenia jego fobii wskazywał siódemkę. Był to zbyt wysoki poziom, żeby mógł pozwolić sobie na wycieczkę do nieznanego budynku.

– Możemy się przynajmniej przejść?

– Jak najbardziej.

– Poczekaj chwilę, pójde się przebrać i pożegnaj współpracowników.

Bart wróciła po dziesięciu minutach w dżinsach i kurtce, po czym skierowali się w stronę bazyliki Świętego Wawrzyńca i jego słynnego pomnika z brązu. Zatrzymali się na schodach kościoła i Dante zapalił papierosy, podając jednego kobiecie.

– Miło zapalić w towarzystwie – powiedział. – Czasami mam wrażenie, że ostatnio wszyscy przesadnie dbają o zdrowie.

– Santini pali jak smok, jeśli cię to interesuje.

– To ostatnia osoba, z którą chciałbym dzielić tę przyjemność.

Bart spojrzała na niego zdziwiona.

– Jest trochę szorstki w obejściu, ale sprawia wrażenie dobrego policjanta. Masz coś do niego?

– W zeszłym roku zamknął mnie w kiblu, grożąc, że mnie ukatrupi.

– O, nieźle. Złożyłeś skargę?

– Nie, ale Colomba skopała go po twarzy. Czuję się usatysfakcjonowany.

Bart zaśmiała się, ale szybko spoważniała.

– Co u niej?

– Jest wykończona.

– Nie zasługuje na takie traktowanie... – Bart ze złością wrzuciła niedopałek do kosza. – Zamachowiec był pod wpływem narkotyków. Jego zachowanie stało się nieprzewidywalne, a więc wszystkie działania podjęte przez Colombę są usprawiedliwione.

– Jakie substancje znalazłaś?

– Szybciej wymieniałabym ci te, których nie znalazłam... W jego organizmie były ślady THC, alkoholu, psylocyny i psylocybiny. Znasz je?

– Organiczne związki chemiczne występujące w grzybach halucynogennych. Naćpał się i potem założył sobie ładunek wybuchowy? Prawdziwy idiota.

Bart wyglądała na nieco zakłopotaną.

Oczywiście Dante natychmiast to zauważył i zapytał:

– O co chodzi?

– Badania krwi oraz metabolity wykazały, że grzyby wprowadzono do organizmu na kilka godzin przed śmiercią.

– W jakiej formie?

– Jak zwykle jesteś bardzo dokładny. Niestety, nie wiem.

– Jak to?

– Nie znalazłam żadnych śladów w żołądku denata.

– Może je palił albo wypił wywar... – zasugerował Dante, który w młodości próbował tego typu substancji z zadowalającym skutkiem.

– Znalazłabym pozostałości po napoju lub ślady dymu w gardle, a tymczasem nic.

– To znaczy, że ktoś podał mu narkotyki wbrew jego woli.

Bart wzniosła oczy ku niebu.

– No jasne, znowu dałam się nabrać – spojrzała Dantemu w oczy. – Wcale nie chodzi ci o Colombę. Masz swoją teorię na temat zamachu i chcesz ją sprawdzić.

– Zapewniam cię, że obie kwestie są równie ważne.

Bart pokręciła głową.

– Ale ze mnie idiotka. Niech ci nie przyjdzie do głowy rozpowiadać, że przekazałam ci poufne informacje, bo inaczej przywiążę cię do stołu i zrobię ci sekcję, zobaczysz!

– Przestań. Nigdy nie ujawniam moich źródeł.

– Nie jestem twoim źródłem!

– Teraz możesz mi już spokojnie powiedzieć całą resztę. Jakies ślady anestetyków?

– Nie – burknęła Bart.

– Na ciele denata znalazłaś rany lub ślady nakłuć?
– Miał pełno zadrapań i siniaków, ale nie zauważyłam śladów iniekcji podskórnych. Na karku jest ogromny siniak, który powstał kilka godzin przed śmiercią w wyniku uderzenia.

– Na wysokości którego kręgu?

– Drugiego, na poziomie obrotnika.

– Tradycyjne ciosy karate wymierzane są właśnie w to miejsce w celu unieruchomienia lub zabicia przeciwnika. Shuto... haito... – powiedział Dante, wymachując rękami w powietrzu.

Bart nie zwróciła specjalnej uwagi na jego występy.

– Od kiedy to jesteś ekspertem sztuk walki?

– Nigdy nie byłem, ale oglądam kanał Discovery.

– Jasne. To może w jakimś innym programie wyjaśnią ci, że tego typu obrzęki powstają również na skutek upadku, pod wpływem ciężaru przenoszonych na plecach przedmiotów, a nawet mogą być konsekwencją uprawiania gimnastyki.

– Sprawdź jeszcze raz, Bart. Teraz już wiesz, na co powinnaś zwrócić uwagę, więc może znajdziesz coś, co ci wcześniej umknęło.

– Nic mi nie umknęło – odpowiedziała urażona. – Płacą mi właśnie za to, żeby nic mi nie umykało.

Dante zrozumiał, że popełnił kolejny błąd.

– Przepraszam, źle się wyraziłem. – Wycofał się tak pospiesznie, że nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. – Ale bardzo cię proszę, sprawdź jeszcze raz. Mogłabyś pobrać próbki z ran i obrzęków, żeby sprawdzić, czy psylocybina i psylocyna właśnie w ten sposób nie dostały się do organizmu.

– To niemożliwe.

– Wystarczy, że znajdziesz ślady tych substancji w najbliższym zadrapaniu, i będzie jasne, że ktoś mu je podał. Będziemy mieli dowód, rozumiesz?

– Powiedziałam już, że nie mogę. Zamknęłam sprawę. Przed twoją wizytą spotkałam się z sędzią śledczym i przekazałam mu zwłoki, które ze względów bezpieczeństwa zostały przewiezione do kostnicy wojskowej.

– O czyje bezpieczeństwo chodzi?

Bart westchnęła tak żałośnie, jakby miało jej pęknąć serce.

– Skończyłeś?

– Jeszcze nie. Znalazłaś ślady kleju na skórze denata?

– Skąd wiesz? – zdziwiła się kobieta. – Tak, na rękach. To normalne, skoro związała taśmą swojego współnika.

– Nie, bo używał rękawiczek. Ktoś związał również jego.

– Kto?

– Jeszcze nie wiem. – Dante zapalił ostatniego papierosa z paczki. – Masz jakieś dodatkowe informacje, które mogłyby mi pomóc? Na przykład ślady na ubraniu...

– Ja się tym nie zajmuję. Wiem tylko to, co mi przekazują w celu porównania. Jedynym elementem nie pochodzącym z jego mieszkania i z lokalu współnika jest pył z cementu, jakiego używa się w mieszance budowlanej, bez śladów materiałów uszczelniających i farby.

– Prace remontowe...

– Wszędzie mógł się ubrudzić. Podobne ślady miał również na włosach. – Bart spojrzała na zegarek. – Muszę już iść, inaczej spóźnię się na pociąg. Na szczęście wznowiono ruch.

Dante ujął jej dłoń w swoje.

– Dziękuję. I przepraszam, że cię w to wplątałem.

– Nie rób teraz słodkich oczu, lizusie – powiedziała udobruchana kobieta. Przecież nie mogła winić Dantego za to, że jest sobą. – Odezwij się od czasu do czasu. I pamiętaj, że jesteś zaproszony na moją wegetariańską lazanię, kiedy przyjedziesz na północ.

Dante kiwnął głową na zgodę.

– Nie omieszkam. Dziękuję ci, Bart.

– Nie rób nic, czego byś później żałował.

– To się raczej nie uda.

– No to nie rób nic, czego ja mogłabym potem żałować.

Dante odczekał, aż kobieta oddali się na tyle, że nie będzie w stanie go słyszeć, i zadzwonił do Albertiego.

ALBERTI SIEDZIAŁ W GARAŻU w kącie zarezerwowanym dla sztuki, jedynej, jaka jego zdaniem zasługiwała na uznanie: muzyki. Za pomocą konsoli MIDI podłączonej do komputera komponował swoje największe dzieło zadedykowane ofiarom zamachu. Kawalek miał już nawet tytuł: *Za dziesięć dwunasta*, była to godzina przyjazdu fatalnego pociągu na stację Termini. Na początku słyhać gitarę basową, która zgodnie z zamysłem kompozytora miała nawiązywać do ruchu lokomotywy, ale cały utwór przypominał raczej macarenę.

Włączona w komórce wibracja spowodowała, że telefon spadł na klawiaturę.

– Czy coś się stało, panie Torre? – zapytał zaniepokojony policjant.

– Nie, po prostu dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień, zabieram cię na wycieczkę.

– Gdzie?

– Założę się, że nie zgadniesz. Przyjedź po mnie i kup mi po drodze paczkę papierosów.

Alberti zabrał go swoim samochodem z dzielnicy Verano i nie dziwiąc się zbytnio, ruszył w stronę Malavoglia, gdy tymczasem Dante opowiadał mu o tym, czego szuka. Zabezpieczony taśmą plac z fontanną patrolowali policjanci, więc zaparkowali nieco dalej.

– Możesz wprowadzić mnie do środka? – zapytał Dante.

– Chyba przecenia pan moje możliwości – odpowiedział Alberti.

– Dobra, musimy sobie jakoś poradzić.

Dante wyobraził sobie dwie postaci wychodzące z budynku i wsiadające do zaparkowanego na ulicy samochodu. Mężczyzna był nieprzytomny, więc nie stawiał oporu. Żarówki na korytarzu były przepalone, więc w ciemnościach nikt nie miał prawa ich dostrzec, pod warunkiem że kobieta anioł miała dość siły, by przenieść Mustę do samochodu. Co prawda chłopak nie ważył więcej niż sześćdziesiąt pięć kilogramów, ale i tak potrzeba było sporo siły do wykonania tego zadania.

– Przyjmijmy, że zaparkowali tam, gdzie teraz stoi radiowóz – powiedział Dante, wskazując miejsce nieopodal. – Którą drogę byś wybrał, gdyby zależało ci, żeby nikt cię nie zobaczył?

– Chodźmy się rozejrzeć.

Podeszli aż do taśmy zabezpieczającej miejsce zdarzenia i zajęli się obserwacją ulic prowadzących na plac. Jedna była ślepą uliczką, zamkniętą wysokim murem, a druga – szeroką aleją, która prowadziła do obwodnicy.

– Ja wybrałbym aleję – oświadczył Alberti.

– Zła odpowiedź. Na skrzyżowaniu jest kamera. – Dante wskazał na sygnalizację świetlną znajdującą się mniej więcej trzysta metrów od sklepu.

– No tak, jasne... – Alberti podrapał się po podbródku, rozglądając się po okolicy. – Po drugiej stronie jest bankomat z monitoringiem i ślepa uliczka. Nie można opuścić placu niezauważonym. Być może tajemniczy anioł po prostu tego nie zauważył.

– Wątpię. – Dante był pewien, że ktoś, kto przygotował tak precyzyjny plan, nie mógł popełnić podstawowych błędów.

– Chyba że nigdzie go nie zabrała. Kobieta podała mu narkotyki w mieszkaniu współnika i tam go zostawiła, a Musta sam udał się na miejsce akcji, kiedy nieco otrzeźwiał.

Dante pokręcił głową.

– Od czasu, gdy Musta opuścił swoją dzielnicę, do naszego przybycia tutaj minęła ponad godzina. To za mało czasu, aby podać mu narkotyki i przygotować do samobójczej misji. Nie, zabrała go w jakieś spokojniejsze miejsce.

Ruszyli w kierunku skrzyżowania. Jakies dwieście metrów od sklepu kończyły się zabudowania, a chodnik biegł dalej wzdłuż nieużytków.

– Co powiesz na tę możliwość?

Alberti przyjrzał się krytycznie krawężnikowi.

– Trochę za wysoki, ale samochód z napędem na cztery koła powinien sobie poradzić.

Dante poświecił sobie komórką.

– Sprawdźmy, dokąd zaprowadzi nas ta droga.

– Pójdę do samochodu po latarkę – zaproponował Alberti i przypomniał sobie ostatnią sytuację, kiedy wypowiedział te słowa. Wtedy nie skończyło się to dobrze.

Z włączoną latarką, która oświetlała im drogę aż po horyzont, Dante i Alberti ruszyli przez chaszczę. Po ostatnich deszczach ziemia była miękka i wilgotna, a dodatkowo musieli uważać na rowy i jeżyny. Po pięciu minutach ucichły dźwięki za ich plecami i spacer stał się niemal przyjemny. Na ziemi zauważyli ślady opon i opakowania po prezerwatywach, co świadczyło, że miejsce jest uczęszczane. Po kwadransie ich buty pokrywało błoto, ale udało im się dotrzeć do drogi wojewódzkiej, przy której za ogrodzeniem stały dwa bloki w stanie surowym. Wstępu na teren budowy broniła zardzewiała brama, a spora ilość butelek i śmieci po drugiej stronie świadczyła, że prace zostały przerwane już jakiś czas temu.

– Mówią na nie Dinozaury – powiedział Alberti. – Firma budowlana ogłosiła bankructwo i zostawili je na pastwę losu.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Moja ciotka mieszka w tej okolicy.

– Słodki jesteś! Założę się, że piecze ci ciasto co niedzielę.

Dante pochylił się nad kłódką przy grubym łańcuchu owiniętym wokół bramy. Wyglądała na starą, ale dziurka od klucza nie była zardzewiała. Dante wyjął z kieszeni kawałek drutu, zgiął go i włożył do zamka.

Alberti chciał go powstrzymać.

– Panie Torre, wie pan, że zawsze staram się panu pomagać, ale to jest wtargnięcie na teren prywatny.

Dante się uśmiechnął.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś?

– Bo potrzebuje pan uzbrojonego współnika.

Touché, pomyślał Dante.

– To prawda, ale dlaczego wybrałem właśnie ciebie? Zaraz ci powiem. Bo chcesz zrobić wrażenie na Colombie. Masz nadzieję, że zauważy, jaki jesteś dobry. Teraz możesz to udowodnić.

Pokonany Alberti pochylił głowę.

– Wcielony diabeł z pana.

– Potem każę ci podpisać cyrograf.

Dante przywołał na twarz ironiczny grymas i otworzył kłódkę.

BRAMA UCHYLIŁA SIĘ bez przeszkód, wpuszczając Dantego i Albertiego na teren budowy. Na środku placu na gołej ziemi wznosiły się szkielety dwóch budynków, wokół których walały się worki z cementem i porzucone narzędzia. W oczy rzuciła im się zwłaszcza pozbawiona koła taczka.

Drzwi jednego z budynków były otwarte na oścież i wewnątrz widać było schody bez poręczy. Natomiast wejście do drugiego bloku zostało szczelnie zabite deskami.

– Pewnie nie znajdziesz żadnych istotnych śladów, ale jeśli kobieta próbowała je usunąć, będzie to widać. Sprawdź, gdzie cię zaprowadzą.

– Ej, chwileczkę. Dlaczego ja? – oburzył się policjant.

Dante wyjął mu telefon z kieszeni i z ulgą stwierdził, że był to najnowszy model. Ściągnął program Snapchat i zainstalował aplikację na urządzeniu, wyjaśniając jednocześnie swoje motywy.

– Jeśli wejdę tam w ciemnościach, to już po mnie. Poza tym to ty masz pistolet.

– Sądzi pan, że ktoś tam jest?

– Nie, ale nigdy nic nie wiadomo.

Dante wykonał połączenie wideo, aby sprawdzić, czy wszystko działa, po czym włożył Albertiemu komórkę do kieszonki koszuli w taki sposób, żeby obiektyw znajdował się na zewnątrz. Na swoim telefonie skontrolował jakość obrazu.

– Będę cię obserwował. Uważaj tylko, żeby nie zakryć obiektywu.

– Nie wiem, czego mam szukać.

– Dowiesz się, jak to zobaczysz. Uważaj, gdzie stawiasz stopy.

Alberti wyjął broń, celując przed siebie i świecąc sobie latarką, jak go nauczono na szkoleniu. Przekroczył próg ze świadomością, że robi głupstwo. Dinozaur śmierział kurzem i zgnilizną, a światło latarki rzucało na podłogę długi cień.

– *Ground control to Major Tom*^[11]. Proszę o odpowiedź – głos Dantego dobiegał z kieszonki koszuli Albertiego.

– Jestem – zgłosił się policjant, pokonując pierwszy bieg schodów. – Na razie nie zauważyłem nic podejrzanego.

– Ślady butów?

Alberti pochylił się, kierując snop światła na podłogę, która pokryta była odciskami stóp.

– Ile dusza zapragnie.

– Jeśli nasza nieznajoma kogoś ciągnęła, ślady powinny się wyróżniać. Na przykład położyła ciało, jak tylko weszła na górę.

Alberti obejrzał dokładnie pierwszy podest, ale nie zauważył nic podejrzanego. Znajdowało się tam czworo drzwi bez żadnych zabezpieczeń, a za nimi widział mieszkania w stanie surowym. Na podłogach zalegały śmieci, zostały również ślady po palonych ogniskach.

– Nie widzę nic szczególnego.

– Wejdz wyżej. Pierwsze piętro należy od razu wykluczyć, bo znajduje się zbyt blisko głównego wejścia, i kiedy się zorientujesz, że ktoś nadchodzi, najczęściej jest już za późno na ucieczkę.

– Kim jest, według pana, ta tajemnicza kobieta? Pod warunkiem, że naprawdę istnieje.

– Wiem tylko, że nie należy do ISIS, jak utrzymują twoi przełożeni.

Alberti wszedł wyżej. Drugie piętro pokrywały wulgarne napisy i graffiti, na podłodze leżały ludzkie odchody. W jednym z mieszkań znajdował się czarny z brudu materac, a obok świeczka i stos gazet.

– Ktoś tu mieszka – powiedział Alberti.

– Wejdz i sprawdź, a nuż znajdziemy naocznego świadka...

Policjant wykonał polecenie, oddychając przez usta i uważnie stawiając stopy na podłodze. Odkrył, że pokryte kurzem gazety pochodzą sprzed dwóch lat.

– Wygląda na to, że lokator wyprowadził się jakiś czas temu – zauważył Dante. – Proszę cię, wejdz jeszcze wyżej.

Na trzecim piętrze wszystkie wejścia były zabite deskami, a przed jednym z nich kot skubał na pół żywą mysz. Alberti krzyknął, zanim zorientował się, o co chodzi, a Dante wybuchnął śmiechem, siedząc wygodnie na taczce.

– Już niewiele brakuje. Zobacz, czy któraś z desek jest poluzowana.

Alberti sprawdził, ale były umocowane za pomocą pokrzywionych i zardzewiałych gwoździ.

– Wygląda na to, że nie.

– Następne piętro, następna niespodzianka.

Alberti wchodził po skrzypiących schodach i powoli poddawał się mrocznej atmosferze panującej w budynku. Wyobraził sobie kobietę, która według Dantego porwała Mustę, jako czarownicę siedzącą na wielkiej pajęczynie w oczekiwaniu na kolejne ofiary. Ręka, w której trzymał pistolet, lekko zadrżała i żeby zaczerpnąć powietrza, musiał oprzeć się o okno na korytarzu prowadzącym na czwarte piętro.

– Panie Torre... w ten sposób zejdzie nam cała noc.

– Masz rację – zgodził się Dante. – Poczekaj chwilę, mam pomysł.

Wstał z taczki i okrążywszy budynek, stanął na jego tyłach, naprzeciwko chaszczki, przez które przeszli, zanim dotarli na plac budowy. Drzewa zasłaniały drogę przed wzrokiem ciekawskich osób.

– Wybierz wejście skierowane na wschód.

– Gdzie jest wschód?

Dante cierpliwie udzielał wskazówek, aż Alberti znalazł się w mieszkaniu podobnym do poprzedniego. Ściany z betonu wyznaczały granice między dwiema sypialniami i kuchnią połączoną z salonem. Zakurzona podłoga, sterty gazet, puste puszki, materace, pajęczyny. Jednak tym razem...

Coś poczuł.

– Tutaj – rzekł bez namysłu.

– Co znalazłeś?

– Nie wiem. Ale... mam przeczucie.

– Świetnie, brzuch jest doskonałym doradcą. Pokaż mi, proszę, całe pomieszczenie.

Alberti obracał się wkoło, stojąc na środku pokoju, i w trakcie drugiego okrążenia zrozumiał, co jego mózg zarejestrował, ale nie przekazał tego do świadomości. Otóż w porównaniu z niższymi piętrami nieprzyjemny zapach był tutaj mniej intensywny.

Dante przyjrzał się obrazowi, którego jakość pozostawiała wiele do życzenia. Dokładnie na środku pokoju stała betonowa kolumna podtrzymująca sufit, nie było natomiast ścianek działowych oddzielających kuchnię od salonu. Całość wyglądała bardzo obiecująco.

– Zrób zbliżenie na kolumnę.

Alberti podszedł do słupa i ogarnęło go dziwne uczucie. Dopiero po paru sekundach po raz kolejny zdał sobie sprawę, co go zdziwiło.

– Ona jest czysta – powiedział. – To znaczy, jeden bok zdaje się bielszy niż pozostałe. Może to tylko złudzenie...

– Czujesz jakiś zapach?

Alberti zbliżył nos do kolumny.

– Amoniak lub wybielacz.

– Czyli żadnych śladów organicznych. Ale może jednak coś zostało. Zbierz trochę kłębów kurzu i rzuć na nią.

Na całe szczęście Alberti miał lateksowe rękawiczki na dłoniach i nie musiał bezpośrednio dotykać brudnych powierzchni. Za trzecim razem mechaty pył przykleił się do kolumny, tworząc poziomą smugę o szerokości kilku centymetrów. Zdziwiony policjant skierował na nią latarkę.

– Widzi pan?

– Taśma klejąca.

– Po co?

– Dobry sposób, żeby kogoś związać. Na ciele Musty znaleziono właśnie ślady taśmy klejącej.

Alberti ponownie przyjrzał się kolumnie, która w ciemnościach zdawała się nieprzyjemnie przypominać pał tortur.

– On tu był...

– Tak.

– Może powinniśmy zadzwonić po techników...

– Nie znajdą nic więcej, a tymczasem ona się dowie, że wpadliśmy na jej trop.

– A jeśli chodzi tylko o wytwór naszej wyobraźni – powiedział ostrożnie Alberti. – Przecież mogą być również inne wyjaśnienia.

– Właśnie to powiedzieliby twoi przełożeni. Dam ci bezpłatną radę, nie bądź nigdy taki jak oni.

– Nie sądzę, żebym miał tyle szczęścia. Jest pan pewien, że znajdujemy się we właściwym miejscu?

– Podejdź do okna po lewej stronie.

Alberti bez słowa wykonał polecenie.

– Co widzisz?

– Drzewa... i plac. Widać stąd nawet koguty na radiowozach.

– Tacy jak ona lubią obserwować wszystko z ukrycia i kontrolować terytorium.

– Kim są ci, których ma pan na myśli?

Na twarzy Dantego pojawił się złośliwy grymas, chociaż Alberti nie mógł go zobaczyć.

– To drapieżnicy.

COLOMBA WRÓCIŁA DO domu spacerkiem, chociaż to nie najtrafniejsze określenie w przypadku kogoś, kto jest tak wyczerpany, że ledwie patrzy na oczy, a zarazem tak zdenerwowany, że ma świadomość, iż nie zaśnie. Dodatkowo uszczęśliwił ją telefon od matki, która skarżyła się, że Colomba od kilku dni się do niej nie odzywa.

– Zajmowałam się sprawą zamachu na pociąg – wyjaśniła rozdrażniona Colomba. – Wiesz, o czym mówię? Ofiary śmiertelne, terroryści...

– A co ty masz z tym wspólnego?

– Jestem policjantką.

– Policja nie zajmuje się terroryzmem.

– Kto ci to powiedział?

– Wszyscy wiedzą, że to należy do kompetencji służb specjalnych – obruszyła się matka. – Nie musisz zasłaniać się pracą, jak nie chcesz ze mną rozmawiać. Przepraszam, że czasami ci przeszkadzam. Niestety, jeszcze żyję.

O *mój Boże*, pomyślała Colomba, wysłuchując przez następnych dziesięć minut matczynych oskarżeń zmieszanych ze łzami. W końcu musiała się poddać i zgodzić na wspólny obiad w najbliższych dniach. Kiedy się wreszcie rozłączyła, była tak zmęczona, że usiadła przy stoliku w barze na placu Weneckim, naprzeciw słynnych schodów. Barista przyglądał się jej podejrzliwie, dopóki nie wyjęła portfela i nie zamówiła cappuccino. *Muszę naprawdę okropnie wyglądać*, pomyślała. Spojrzała w lustro wiszące za kontuarem, a ono potwierdziło jej przypuszczenia. Ze skołtunionymi włosami i w wymiętym ubraniu wyglądała jak kloszardka. Jak zwykle w telewizorze pokazywano wiadomości, chociaż tym razem ich ton był nieco bardziej optymistyczny – jakby udało się uniknąć poważnego niebezpieczeństwa. Pokazano zdjęcia Faouziego i Youssefa, a wśród klientów rozległy się oklaski na wieść, że obaj terroryści zostali zabici.

Wystąpił również premier, zapewniając rodaków, że sytuacja jest pod kontrolą: została zlikwidowana komórka terrorystyczna, ciągle jeszcze

poszukiwani są wspólnicy, ale najgorsze już minęło. A wszystko dzięki zaangażowaniu sił bezpieczeństwa.

Gówno prawda z tymi siłami bezpieczeństwa, pomyślała Colomba, pijąc cappuccino ze sporą ilością pianki. Najważniejsze, że niebezpieczeństwo minęło.

Kiedy wreszcie dotarła do swojego mieszkania, minęła już dziesiąta wieczorem. Z przyzwyczajenia zaczęła wchodzić po schodach i będąc na ostatnim półpiętrze, usłyszała niepokojący szelest. Na moment przeniosła się w myślach do meczetu i sięgnęła po broń, której teraz nie miała. Na szczęście mężczyzna w kurtce motocyklisty miał znajomą twarz.

– Enrico?

Podskoczył, bo Colomba podeszła tak cicho, że wcale tego nie zauważył. Miał trzydzieści dziewięć lat i uśmiech świadczący o poczuciu własnej wartości.

– Przestraszyłaś mnie...

– Nie zrobiłam tego specjalnie... – usprawiedliwiła się Colomba, próbując wrócić do rzeczywistości.

– Powiedziano mi, że zostałam zwolniona, ale nie odpowiadasz na telefon. – Enrico miał wielu przyjaciół na komendzie, których zresztą poznał dzięki Colombie. – Przyjechałem tu zaraz po pracy. Bardzo się o ciebie martwię.

– Zepsuła mi się komórka – wyjaśniła.

Nagle przypomniała sobie, jak wygląda, i poczuła się nieswojo. Enrico ją objął, a ona się nie odsunęła. W tej chwili bardzo tego potrzebowała.

– Muszę otworzyć – powiedziała znad jego ramienia.

– Jasne, przepraszam.

Zaprosiła go do środka.

– Napijesz się czegoś?

Mężczyzna zdjął kurtkę. Pod spodem miał marynarkę i krawat.

– Mam pomysł. Ja przygotuję ci coś do jedzenia, a ty weź prysznic, bo wyglądasz jak ten przyjaciel Charliego Browna, który zawsze pojawia się w otoczeniu chmury kurzu.

Colomba się zaśmiała.

– W szafkach nie znajdziesz zbyt wiele.

– Potrafię robić cuda, nawet mając jedną puszkę, pamiętasz?

Colomba miała ciągle jeszcze wiele miłych wspomnień związanych z ich narzeczeństwem i w tym momencie nie mogła sobie przypomnieć nic, co ją w nim denerwowało. Zgodziła się więc i kiedy pół godziny później wyszła z łazienki w czystej koszulce i w dresowych spodniach, zastała w kuchni stół nakryty nowym obrusem, który kupiła rok wcześniej i schowała na dobre do szuflady. Na środku stała butelka czerwonego wina. Enrico napełnił jej kieliszek i Colomba zaczęła powoli sączyć trunka.

– Skąd się wzięło wino?

– Przyniosłem. Usiądź, wszystko już gotowe.

Wziął patelnię, z której unosił się przyjemny zapach, i wrócił do stołu.

– Makaron z tuńczykiem. Zużyłem wszystkie pootwierane paczki, żeby wyszły dwie porcje. Obawiam się, że niektóre były przeterminowane, ale nie sprawdzałem, żeby nie zapeszyć...

Enrico nałożył makaron na talerze, po czym usiadł naprzeciw Colomby. Przypomniały im się improwizowane kolacje z czasów, kiedy byli razem. Colomba nadziała na widelec rurki zmieszane ze spiralkami, które jakimś cudem się nie rozgotowały.

– Dobrze – powiedziała zanim poczuła smak, ale się nie pomyliła.

Nie było to co prawda danie, które można by włączyć do menu luksusowej restauracji, ale smakowało, zwłaszcza po dwudziestu czterech godzinach przymusowego postu. Bolały ją nawet gruczoły ślinowe.

– Powiedzieli mi, że to ty zatrzymałaś zamachowca, który chciał wysadzić w powietrze tę żydowską firmę – zaczął Enrico.

– Mniej więcej.

– Najpierw pociąg, a teraz to... Chcesz, żeby nakręcili film o twoich wyczynach? – zapytał z uśmiechem.

– Kto by chciał coś takiego oglądać?

– Na przykład ja – zapewnił i dolał jej wina.

– Wystarczy, już zaczyna mi się kręcić w głowie.

– Nie przejmuj się. Powiedz lepiej, czy jesteś zadowolona?

Colomba pokręciła głową.

– Jakie słowo ma przeciwstawne znaczenie do słowa „zadowolona”?

– Niezadowolona.

– To nie jest właściwe określenie. Powiedziałabym raczej, że jestem bardzo wkurzona, ale na pewno nie zadowolona.

– Jak to? Przecież zatrzymałaś dwóch terrorystów – zdziwił się Enrico.

– To dopiero początek.

Colomba odsunęła prawie pełny talerz.

– Przepraszam, nie jestem głodna, ale makaron jest pyszny.

– Napij się przynajmniej wina, to dobry sposób na zły humor – powiedział i ponownie napełnił jej kieliszek.

– Chcesz mnie upić?

– Jeśli poczujesz się wtedy lepiej, to jak najbardziej. – Enrico również odsunął talerz. – Brakowało mi ciebie.

– Naprawdę?

Mężczyzna wziął ją za rękę.

– No pewnie. Przecież wróciłem, nie?

– Tak, teraz jesteś, ale kiedy naprawdę cię potrzebowałam, to cię nie było.

– Starałem się, tylko... Chcesz usłyszeć prawdę? – zapytał poważnym tonem. – Nie wiedziałem, jak się zachować. Ty byłaś przerażona, ale ja także, tylko że bałem się o tym mówić, bo to ty otarłaś się o śmierć. Dlatego uciekłem, a kiedy zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem... było już za późno.

Pod wpływem wina policzki Colomby ładnie się zaróżowiły, a dłoń, którą trzymał Enrico, stała się gorąca. Jak gdyby ten uścisk zapalił iskrę, która objęła najpierw ramię, a potem przeniosła się w okolice żołądka.

– Ja też za tobą tęskniłam. – Nie udało jej się zatrzymać tych słów.

– Naprawdę? – zapytał Enrico, wstając, by po chwili znaleźć się za jej plecami.

– Tak.

Colomba uniosła głowę, a Enrico pocałował ją, pieszcząc jednocześnie jej piersi. Po chwili jego dłonie znalazły się jeszcze niżej. Colomba wygięła

się, pozwalając, by jego palce trafiły do środka. Mężczyzna odwrócił ją ku sobie i uniósł, nie przestając dotykać. Colomba rozpięła suwak jego spodni.

Całując się i pieszcząc, przeszli przez korytarz i dotarli do sypialni. W pośpiechu zrzucili ubrania i Enrico opadł na nią, a ona chwyciła jego członek, żeby przyspieszyć penetrację.

– Tak bardzo cię pragnę – powiedział Enrico, poruszając się powoli. – Nie wiem, jak mogłem tak długo wytrzymać bez ciebie.

Colomba oplótła go nogami, ściskając mocno z mieszaniną pożądania i złości. Poczowała wypełniającą ciało przyjemność, która z każdą chwilą przybierała na sile. Zawsze potrzebowała trochę czasu, żeby osiągnąć orgazm, i nigdy nie była zwolenniczką szybkich numerków, ale tym razem czuła, że niewiele jej brakuje, ponieważ potrzebowała rozkoszy, która pozwoliłaby jej na chwilę zapomnieć o otaczającym świecie.

– Powiedz mi, że za mną tęskniłeś.

– Bardzo za tobą tęskniłem – wyszeptał jej do ucha. – Próbowałem o tobie zapomnieć, ale nie mogłem.

– Ale nie przeszkadzało ci to w relacjach z innymi kobietami – powiedziała, poruszając szybciej biodrami.

– Przygody bez znaczenia. Zero. Nic – wyrzucił z siebie i pocałował ją tak mocno, że zabrakło jej tchu.

Colomba poczuła jego smak zmieszany z winem.

Wino.

W tym momencie przez ciało Colomby przebiegł zimny dreszcz. Powstał w głowie, ale natychmiast ogarnął ją całą, gasząc pożądanie. Wyswobodziła się z objęć Enrica.

– Przestań.

Ale on zamiast się wycofać, poruszał się w niej coraz szybciej.

– Pozwól mi skończyć – powiedział.

Colomba podkurczyła nogi i uderzyła go kolanami w klatkę piersiową tak mocno, że znalazł się na podłodze. Wydał jej się teraz po prostu śmieszny.

– Zwariowałaś? – oburzył się, podnosząc się niezdarnie. Przy upadku uderzył się w kość krzyżową. – Przecież mogłaś mi złamać kręgosłup!

– Szkoda, że mi się nie udało – powiedziała, po czym wstała i sięgnęła po szlafrok, który zostawiła w sypialni przed dwoma dniami.

– Powiesz mi przynajmniej, co takiego zrobiłem?

– Wino.

– Wino?

– Tak bardzo się o mnie martwiłeś, że przyleciałeś jak na skrzydłach, co? – powiedziała z ironią. – Ale po drodze nie zapomniałeś kupić wina, bo wiedziałeś, jak to się skończy. Zaplanowałeś to sobie.

– Co w tym złego?

– Wykorzystałeś mnie, gnoju.

– Ty jesteś nienormalna! – W głosie Enrica słychać było oburzenie. – A potem oskarżasz mnie, że od ciebie uciekłem! Sama mnie do siebie zniechęcasz tym swoim głupim zachowaniem!

– Teraz naprawdę to zrobię. Wynoś się! – krzyknęła Colomba, popychając go w stronę drzwi.

Mężczyzna próbował włożyć spodnie, podskakując przy tym niezgrabnie.

– Daj mi się chociaż ubrać, do cholery!

– Ubierzesz się na korytarzu. Wynoś się, ale już! – Wypchnęła go na półpiętro i zamknęła drzwi.

– Telefon – zawołał z korytarza Enrico.

– Co?

– Zostawiłem komórkę, żeby się naładowała.

Colomba chwyciła aparat, otworzyła drzwi i rzuciła nim w ubierającego się jeszcze mężczyznę. Przekręciła zamek i usiadła w swoim ulubionym fotelu, żeby się wypłakać.

Mogłaś dać spokój, pomyślała. Niezłe bzykanko i do widzenia. Niestety, nigdy nie umiała postępować w ten sposób, nie potrafiła oddzielić głowy od ciała. Zawsze była nieufna w stosunku do ludzi i świata. Zaczęła się histerycznie śmiać, po czym wyczerpana padła na łóżko i zasnęła niespokojnym snem. Otworzyła oczy o siódmej rano, bo uderzył ją dziwny zapach. Przez chwilę zdawało jej się, że jest w pociągu albo w paryskiej

restauracji. W końcu zdała sobie sprawę, że nie czuje zapachu spalenizny ani krwi, lecz coś znacznie łżejszego – woń świeżo zaparzonej kawy.

Kawy i papierosów.

Rozbudzona już zupełnie wyskoczyła z łóżka, owijając się szczelnie szlafrokiem. Poczwała chłód, bo okno w salonie było otwarte na oścież. Ktoś rozsunał firanki i podniósł żaluzje. Otworzył również drzwi wejściowe, a przeciąg rozrzucił po podłodze stosik rachunków z konsoli stojącej w przedpokoju. Mimo że był już jasny dzień, wszystkie światła w mieszkaniu zostały zapalone. Dante kręcił się po kuchni i przygotowywał w garnku coś, co swoim kolorem i konsystencją przypominało smołę. Miał na sobie czarną obcisłą koszulkę i džinsy w tym samym kolorze. Clippersy zastąpił glanami ozdobionymi ćwiekami, które pasowały do zawieszzonego na uchwycie lodówki wisiora.

– Cześć, CC.

Dodał do mikstury szczyptę soli, po czym wyłączył gaz i się odwrócił, trzymając garnek w okaleczonej ręce. Rękawiczki używał jako łapki chroniącej przed oparzeniem. Colomba zauważyła, że miał zaczerwienione oczy, co świadczyło o bezsennej nocy.

– Twoja kawiarka była w okropnym stanie i musiałem ją wyrzucić. Zrobiłem kawę po turecku, też ma swoje walory. Oczywiście ziarna przyniosłem, bo ten zapleśniały proszek, który masz w szafce, nadaje się jedynie jako trutka na myszy.

– Co tu robisz?

– Poza kawą? Chciałem się przekonać, jak się czujesz. A przy okazji umyłem naczynia. Nie wiedziałem, że umiesz gotować. Masz dwie czyste filiżanki?

Zaskoczona Colomba wskazała mu szafkę.

– Tam...

Dante odstawił garnek na stół i zaczął oglądać filiżanki pod światło.

– Twoje wyobrażenie o czystości...

– Jak wszedłeś do mieszkania? – przerwała mu Colomba. – Jeśli wyważyłeś drzwi, to przysięgam, że cię uduszę.

– Mam klucze, sama mi je dałaś, nie pamiętasz?

– Miałeś ich użyć tylko w ostateczności!

– To jest ostateczność. No już, pij.

Colomba wypła łyk kawy, która była tak gęsta, że można ją było kroić nożem.

– Paskudna.

– Trzeba się przyzwyczać.

Colomba postawiła pełną filiżankę na stole.

– Powiesz mi, co się stało?

– Wiem, kim jest kobieta, którą ścigamy.

Ja nikogo nie ścigam, pomyślała Colomba. Z niewiadomych powodów nie była w stanie wypowiedzieć tych słów. Zamiast tego usłyszała własny głos:

– Kim ona jest?

– Nazywa się Giltiné.

– Co to za imię?

– Litewskie. Musta miał rację, to naprawdę anioł. – Dante uśmiechnął się smutno znad filiżanki. – Tylko że bardzo specyficzny: anioł śmierci.

ROZDZIAŁ III
Oops!... I did it again

Wcześniej – 1986

MAKSIM UCIEKŁ RAZEM ze wszystkimi. To znaczy z tymi, którym udało się przeżyć. Szedł przez mniej więcej pięćset kilometrów, aż do Briańska, prawie natychmiast zostawiając z tyłu kolegów w mundurach oraz cywili, którzy próbowali się do niego przyłączyć. Ostatniego musiał postraszyć kamieniem, żeby się wreszcie odczepił. Był to młody chłopak, który całkiem niedawno zaciągnął się do wojska.

– Jak zaraz nie znikniesz, to ci łeb rozwalę – zagroził i wcale nie żartował.

Zdecydował się na dezercję i zdawał sobie sprawę, że znacznie lepiej poradzi sobie sam niż w towarzystwie. Chłopak uciekł, a Maksim był pewien, że dostrzegł łzy w jego oczach, ale nie dał się wziąć na litość. Gdyby miał miękkie serce, nie pracowałby w tym parszywym miejscu. Został wybrany z jakiegoś konkretnego powodu, chociaż przełożeni nigdy mu go nie wyjawili. A teraz miał ich gdzieś, mogli spierdalać w podskokach. Po drodze ukradł suszące się cywilne ubrania, potem jedzenie, a pewnego razu nawet pieniądze, włamawszy się nocą do jakiegoś mieszkania. Nigdy nie odważył się jednak poprosić nikogo o pomoc czy o podwiezienie.

Kiedy nieznanymi próbowali go zagadnąć, odwracał głowę i podążał w swoim kierunku. Tak się szczęśliwie składało, że w Briańsku miał dalszego kuzyna, którego nie widział od czasów dzieciństwa, ale w końcu łączyły ich więzy krwi i kuzyn przyjął go pod swój dach, opatrzył rany i nappełnił żołądek. Kiedy zapytał, co się wydarzyło, Maksim wcisnął mu historyjkę, że został wyrzucony dyscyplinarnie z wojska, bo dał się nakryć na służbie pod wpływem alkoholu. Od tego czasu radził sobie, jak umiał, i miał kłopoty z prawem. Nic poważnego, ale wolał nie spotkać na swej drodze zbyt gorliwego omona^[12]. Maksim uznał za niezły żart to, że chcąc ukryć prawdę, wymyślił, że poszukuje go milicja, ale kuzyn uwierzył w tę wersję bez zadawania dalszych pytań. A potem rozwój wydarzeń sprawił, że wszyscy mieli poważniejsze problemy, na przykład jak zdobyć coś do jedzenia.

Poza tym kuzyn również nie był święty i czasami wykonywał drobne prace na zlecenie lokalnego Wora w Zakonie^[13], który w zamian za trochę rubli obiecanych przez Maksima załatwił mu fałszywe dokumenty, niezbędne do swobodnego

poruszania się po kraju. Mimo że były to ostatnie lata świetności Związku Radzieckiego, ciągle potrzebny był wewnętrzny paszport, aby przemieszczać się z jednego miasta do drugiego, a Maksim zamierzał oddalić się jeszcze bardziej od swojego poprzedniego życia, które wracało często w koszmarnych snach. Kiedy więc dostał dokument, wyruszył bezzwłocznie w środku nocy w ukradzionym kuzynowi samochodzie. Porzucił go około stu kilometrów przed Moskwą, gdzie dotarł autostopem w ciężarówce z ziemniakami.

Poczuł się nieco pewniej, chociaż nie miał pojęcia, jak uda mu się związać koniec z końcem. Może zatrudni się jako kucharz w jednej z rządowych restauracji albo jako przewodnik turystyczny. Do tej pory znajomość angielskiego nie na wiele mu się przydała, ale przecież Gorbaczow obiecał, że gospodarka ruszy z kopyta, nie?

Pierwszą noc spędził w pokoju wynajętym za ostatnie pieniądze od pewnej staruszki w dzielnicy Zagorodny. Wykąpał się porządnie, zjadł kolację wliczoną w cenę i rzucił się na świeżo postane łóżko, zasypiając mocno po raz pierwszy od dłuższego czasu. Po przebudzeniu okazało się, że była to zarazem jego ostatnia spokojna noc, bo w pokoju zastał dwóch wstrętnych facetów, którzy wyglądali na gliniarzy. Byli ochroniarzami jeszcze paskudniejszego typka, którego Maksim miał nadzieję nigdy więcej nie spotkać. Nazywał się Bięły, nikt nie znał jego imienia, stopnia ani kwalifikacji, a wcześniej był dyrektorem Puszeki.

Maksim wyskoczył z łóżka i podjął próbę ucieczki przez okno w majtkach, a uczynił to raczej, bo tak nakazywał mu honor, a nie z nadzieją na powodzenie akcji. Jak było do przewidzenia, dwa osiłki chwyciły go, obaliły na podłogę i zaczęły kopać aż do chwili, gdy Bięły kazał im przestać.

– No dobra – odezwał się Maksim. – To co niby miałem robić? Czekać, aż mnie ukatrupią?

– Sądziłem, że zadaniem twoim i twoich kolegów było utrzymywanie porządku i bezpieczeństwa w zakładzie. Czyżbym się mylił? – powiedział Bięły, zapalając papierosa z papierowym filtrem, których używali już tylko prawdziwi tradycjonałści.

– Miałem bronić obiektu przed ludźmi z zewnątrz i dbać, aby więźniowie nie uciekali. A przecież nie to się wydarzyło. Może pan podjąłby inną decyzję na moim miejscu, ale ja nie jestem taki mądry.

Biely przysunął krzesło do miejsca, gdzie leżący na podłodze Maksim masował sobie obolałe ciało, po czym usiadł.

– A właśnie, że jesteś – powiedział. – Twój współczynnik inteligencji jest więcej niż średni, dobrze radzisz sobie w sytuacjach kryzysowych i świetnie improwujesz. Udowodniłeś to w Afganistanie. Nie masz też skrupułów, co jest dodatkowym atutem. Spośród wszystkich strażników, którzy uciekli, ty poradziłeś sobie najlepiej. Przynajmniej nie ukryłeś się w domu rodziców.

Maksim przypomniał sobie chłopaka, którego przepędził kamieniem. Tylko on mógł być tak głupi, by szukać schronienia w rodzinnym domu.

– I co teraz ze mną zrobicie?

– Ciągle jeszcze brakuje siedemdziesięciu pięciu osób, zarówno personelu, jak i więźniów. Niektórych z nich będzie bardzo trudno znaleźć, zwłaszcza w tych niespokojnych czasach. A przyszłość – wzruszył ramionami – jest niepewna, biorąc pod uwagę nowe pomysły, które pojawiły się w kręgach władzy. Potrzebuję psa gończego, który dołączy do mojego stada, psa, który rozumie, jaka jest wartość ściganej ofiary. Jak myślisz, nadajesz się?

Maksim kilka razy oglądał po angielsku film pod tytułem Ojciec chrzestny, więc dobrze wiedział, co to jest oferta, której nie można odrzucić. Zgodził się, a gliniarze nie dali mu nawet czasu, żeby mógł się odlać, i załadowali go do czarnego służbowego wozu. Na siedzeniu znalazł dokumenty oznaczone pieczęcią z napisem „Ścisłe tajne”. W środku znajdowało się zdjęcie trzynastoletniej dziewczynki. Pomyślał, że w sumie ma szczęście i bez większych problemów sprowadzi ją z powrotem do owczarni.

Mylił się.

Bardzo się mylił.

COLOMBA POSZŁA SIĘ ubrać i przy okazji uporządkować nieco myśli. To drugie nie bardzo jej się udało i po chwili wróciła do kuchni z nadzieją, że Dante zniknął. Tymczasem on cały czas tam był ze swoją okropną kawą i opowieściami o litewskich duchach.

– Nareszcie – powitał ją. – Mówiłem ci właśnie o Giltiné. Imię pochodzi od czasownika oznaczającego w starym dialekcie indoeuropejskim „kłuć”. Zgodnie z tradycją przedstawiana jest jako stara kobieta lub piękna dziewczyna z ogonem skorpiona w miejscu języka. Czczono ją na przełomie dziesiątego i jedenastego wieku, a wyznawcy ofiarowali jej w darze czarne koguty lub żółte kwiaty.

– Naprawdę sądzisz, że po mieście krąży zjawa i zabija ludzi? – zapytała Colomba, nie ukrywając niechęci.

Dante popatrzył na nią karcącym wzrokiem.

– Nie wierzę w istnienie zaświatów, CC. Życie na ziemi jest już samo w sobie wystarczająco skomplikowane. Uważam jedynie, że mamy do czynienia z kobietą, która używa tego imienia i przejawia skłonności do korzystania z narkotyków pochodzenia naturalnego.

– Cyjanek to nie narkotyk.

– Ale psylocybina tak. A Musta został nią nafaszerowany po same uszy.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Colomba.

– Bart mi powiedziała. Zrobiła to dla ciebie. Jest przekonana, że jeśli coś znajdziemy, to będziesz mogła wrócić do pracy.

Oczy Colomby zaczęły rzucać błyskawice. Zacisnęła pięści.

– Wynoś się stąd! I to zaraz!

Dante uniósł w górę ręce i postąpił krok w tył, zrozumiałwszy, że policjantka nie żartuje.

– Wysłuchaj mnie chociaż do końca. Nie mam pewności, że to Giltiné wprowadziła mu narkotyki do organizmu. Może Musta sam się naszpikował grzybami halucynogennymi, chociaż nie miał po tym śladów ani w gardle, ani w żołądku.

Colomba ruszyła w jego stronę i Dante salwował się, robiąc unik w bok.

– Znalazłem miejsce, gdzie Giltiné trzymała Mustę w oczekiwaniu, aż narkotyki zacznie działać – wyrzucił z siebie w pośpiechu. – Nieźle, co?

Colomba zatrzymała się, bo ogarnęło ją złe przeczucie.

– Jak je znalazłeś?

– Pokręciliśmy się z Albertim po okolicy.

Colomba odwróciła się i poszła do salonu, gdzie padła ciężko na ulubiony fotel, a Dante podążył za nią ze swoim starym, ręcznym młynkiem do kawy, który – gdy się go używało – hałasował jak zatkana pralka.

– Alberti dostanie ode mnie niezły ochrzan. Z tobą to nie ma sensu – powiedziała ponuro.

– Zostaw go w spokoju. Bardzo nam pomógł.

– Nam???

Dante opowiedział o wyprawie do Dinozaurów, a ona słuchała z mieszaniną zdziwienia i przerażenia. Brakowało jeszcze tylko włamania!

– Musta przed śmiercią był święcie przekonany, że miał do czynienia z prawdziwą Giltiné i dlatego nazywał ją aniołem.

Colomba skupiła się na regulacji oddechu, jakby właśnie przygotowywała się do oddania precyzyjnego strzału z karabinu.

– Skąd Musta znał jej imię?

Nie chciała wracać myślami do tego chłopaka, a zwłaszcza do momentu jego śmierci. Kiedy jego głowa eksplodowała, Colomba usłyszała dźwięk pękających przejrzałych owoców, a na twarzy poczuła ciepłą krew.

– Sama mu powiedziała, a on się zorientował, o kogo chodzi, bo grał z Youssefem w *World of Warcraft*. Giltiné jest tam jedną z bohaterek, nieco odmienną od tradycyjnej wersji.

– Ilu bohaterów pojawia się w tej grze?

– Nie wiem dokładnie, chyba setki. Dlaczego pytasz?

– Skąd wiesz, że miał na myśli właśnie Giltiné, a nie kogoś innego?

– Bo Giltiné zabija nie po raz pierwszy. Poczekaj chwilę. – Dante pobiegł do kuchni po torbę, z której wyjął plik kartek. Zaczął je rozkładać na podłodze, jak to miał w zwyczaju, gdy próbował uporządkować nadmiar informacji. – Na początku nie wiedziałem, w co ręce włożyć. Szukałem

czegoś, co połączy rytuały i narkotyki, zabójstwa, zamachy... Aż tu nagle eureka! Znalazłem właściwy klucz. – Położył jedną z kartek pod drzwiami, po czym kontynuował po drugiej stronie pokoju. – Pożar w berlińskim klubie o nazwie Absynthe, mieszczącym się przy Friedrichstraße. – Podniósł kolejną kartkę. – Sierpień, dwa lata temu, około szóstej rano. Siedem ofiar śmiertelnych łącznie z właścicielem. We krwi denatów znaleziono ślady psylocybiny. Jeden z klientów przed śmiercią zdołał zeznać, że został wepchnięty w płomień przez kobietę, która powiedziała, że ma na imię Giltiné. Gdyby twoi koledzy nieco wolniej naciskali spust, Musta z pewnością mógłby potwierdzić to imię.

Colomba przypomniała sobie zamglony wzrok Musty. Chwilę potem chłopak już nie żył. Bum!

– Mam tu także informacje o innych wypadkach – ciągnął Dante, rozkładając kolejne kartki z coraz smutniejszym uśmiechem. – Półtora roku temu u wybrzeży greckiej wyspy Zakintos jacht prywatnego armatora uderzył w skałę i zatonął. Na pokładzie znajdowało się łącznie dwanaście osób; byli to zarówno członkowie załogi, jak i pasażerowie. Awaria silnika spowodowała pożar, który rozprzestrzenił się natychmiast w zębie. Akcja ratunkowa nie przyniosła pozytywnych rezultatów, nikt nie ocalał, chociaż większość osób doskonale pływała, a poza tym wszyscy mieli do dyspozycji kamizelki ratunkowe oraz ponton. We krwi sternika znaleziono ślady psylocybiny oraz sporyszu.

– Również tam była tajemnicza kobieta? – zapytała Colomba.

– Wszystko na to wskazuje. Jej ciało nie zostało odnalezione i nie udało się ustalić jej tożsamości. Ale pojawia się w zeznaniach aż trzech świadków. Dziwne, nie sądzisz? – Dante zawiesił zdjęcie z gazety na klamce drzwi balkonowych. – To „Aftonbladet”, najpopularniejszy szwedzki dziennik. Sztokholm, najstarsza część dzielnicy Gamla Stan, trzy lata temu. Ciężarówka transportująca produkty spożywcze wjechała w tłum, który brał udział w imprezie na wolnym powietrzu. Dziesięć ofiar śmiertelnych. Kierowca popełnił samobójstwo. Zanim pojawiła się policja, podciął sobie gardło scyzorykiem. Na pewno się domyślasz, że był pod

wpływem psylocybiny i psylocyny, tak samo jak Musta. Rodzina i przyjaciele zgodnie potwierdzili, że nigdy wcześniej nie brał narkotyków.

– Niech zgadnę, w samochodzie była kobieta? – zapytała Colomba z nutą ironii w głosie.

– Nie, ale jakąś poderwał, bo pochwalił się tym w ostatnim esemesie do kumpla, ciesząc się na szybki numer. A tymczasem następnego dnia pod wpływem narkotyków zamordował kilka osób.

– Skąd możesz wiedzieć, co ludziom chodzi po głowie?

– Zwykle nie mam z tym problemów. I wszystko wskazuje na to, że Giltiné też nie. Ale idźmy dalej. – Potrząsnął kolejną kartką, a potem ułożył ją w szeregu, który zdawał się nie mieć końca. – Walencja, Hiszpania. Napad z bronią w rękę. Cztery lata temu. Zginęli: ojciec, matka, portier i dwoje dzieci. Włamywacz popełnił samobójstwo, rzucając się z okna, kiedy usłyszał syreny policyjne. Był pod wpływem sporyszu. Jego narzeczona była przekonana, że spotykał się z inną kobietą, która nie została jednak zidentyfikowana.

Colomba zaczęła się gubić w natłoku informacji.

– Dante... zwolnij trochę, do cholery. Mam już mętlik w głowie.

Ale on jej nie usłyszał.

– Marsylia, przeszło trzy lata temu. Wybuch gazu spowodował zawalenie się budynku mieszkalnego. Dwadzieścia ofiar śmiertelnych. Na chwilę przed katastrofą sąsiedzi zauważyli wychodzącą z budynku kobietę. Oczywiście właściciele mieszkania, z którego ulatniał się gaz, byli nafaszerowani LSD. Poza tym...

Colomba zerwała się na równe nogi i krzyknęła na cały głos:

– Dante! Siadaj!

Mężczyzna zatrzymał się w trakcie umieszczania na podłodze kolejnej kartki.

– Co się stało, CC?

– Siadaj, powiedziałam! – Popchnęła go na fotel, na którym jeszcze przed chwilą siedziała. – Uspokój się! Oddychaj głęboko! Oddychaj.

Dante posłuchał.

– Co się stało? – powtórzył.

– Za chwilę padniesz. Czy ty w ogóle spałeś ubiegłej nocy?

– Nie, ale...

Colomba poszła do kuchni i napełniła szklanke zimną wodą. Wróciła do salonu i podała ją przyjacielowi.

– Napij się.

– Daj spokój, nie traktuj mnie, jakbym był upośledzony.

– Pij!

Dante wykonał polecenie.

– Widzisz związki, które nie istnieją – powiedziała Colomba.

Mężczyzna złapał ją za ramię zdrową ręką, a Colomba poczuła, że jego dłoń jest gorąca.

– Żartujesz sobie? Nie rozumiesz, że schemat jest zawsze taki sam? – zapytał oburzony.

– Tylko ty jeden dostrzegasz ten schemat. Ludzie bardzo często popełniają przestępstwa pod wpływem narkotyków.

– Tak, ale najczęściej są to alkohol i kokaina, a nie grzyby halucynogenne.

– I tu się mylisz. W niektórych częściach świata łatwiej o grzyby niż o działkę koki. A tak w ogóle, to skąd pochodzą twoje informacje? – Colomba wyrwała mu plik i zobaczyła, że w większości były to wydruki ze stron internetowych o dziwnie brzmiących nazwach. Na jednej widniał nawet symbol zamaskowanego diabła z trójzębem. – Masz też coś na temat rozpylanych przez samoloty substancji chemicznych albo kosmitów?

– Twój sarkazm jest nie na miejscu.

– Chciałabym zobaczyć zdjęcia autorów tych stron. Założę się, że większość z nich to grubasy, które mieszkają z mamusią i od rana do wieczora walą konia – nie dawała za wygraną Colomba.

Dante wzniósł oczy ku niebu.

– Jak się postarasz, to umiesz być naprawdę nieznośna. Przecież wiesz, że przez wiele lat zajmowałem się analizą i katalogowaniem zamachowców! Uwierz mi, wiem, kiedy trafiam na prawdziwe informacje. Poza tym znalazłem również wzmianki w lokalnych gazetach.

– Już sobie wyobrażam, co to musiały być za szmatławce...

– Postaraj się poszerzyć nieco swoje horyzonty – zdenerwował się Dante. – Myślisz, że chodzi o zwykły zbieg okoliczności?

– Nie, moim zdaniem to wszystko stek bzdur. Wymieszałeś ze sobą jabłka i gruszki, twierdząc, że to sensowna teoria. Skupmy się na motywach działania tej kobiety albo raczej potwora. Możesz mi je wyjaśnić?

Dante zawahał się na chwilę.

– Sądzę, że ktoś za nią stoi. Przypomina mi płatnego zabójcę, jednego z tych najdroższych, którzy pozostają na usługach potężnych organizacji międzynarodowych.

– Mówisz poważnie?

– Mam też drugą hipotezę. Popelnia zbrodnie rytualne, może naprawdę wierzy, że jest aniołem śmierci.

– Jak seryjny morderca?

– No właśnie.

Colomba zaczęła wyliczać na palcach.

– Po pierwsze, kobiety w tej roli to naprawdę rzadkość. Po drugie, większość z nich to ograniczeni sadyści. Miałam okazję zetknąć się z kilkoma i wcale nie są tak atrakcyjni, jak na filmach. Jeśli się myją, to już wielki sukces. Po trzecie, nie istnieje seryjny morderca, który nie lubi przyglądać się śmierci swoich ofiar, a twoja Giltiné w większości przypadków znika w kulminacyjnym momencie. Wreszcie po czwarte, działania seryjnych morderców nie są zbyt skomplikowane. Podrzuniają ci gardło, a potem bezczeszczą zwłoki albo zabierają sobie na pamiątkę jakiś kawałek, jak Mostro di Firenze^[14].

Dante poczuł suchość w ustach.

– W porządku, nie musisz się rozwodzić nad szczegółami. Jednak pomijając niejasne motywy, cała reszta się zgadza.

– Skoro tak twierdzisz, to daj mi jakiś konkretne dowody.

– Naszym zadaniem jest je znaleźć. Na razie wersja oficjalna nie do końca cię przekonuje i podejrzewasz, że anioł naprawdę istnieje.

No pewnie, że tak, pomyślała Colomba. I właśnie dlatego powinnam się trzymać od tej sprawy jak najdalej.

– Przecież wiesz, że zostałam zawieszona. Jeśli teraz zaangażuję się w prywatne śledztwo, to mogę się raz na zawsze pożegnać z myślą o powrocie do pracy.

– Tak byłoby dla ciebie najlepiej! Jesteś zbyt inteligentna i w policji tylko się marnujesz.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to pozwól, że sama będę o tym decydowała! Ty nie rozumiesz, co to znaczy mieć normalne życie.

– To nie moja wina, wiesz? – powiedział Dante z goryczą, po czym zniknął w kuchni.

Po chwili Colomba usłyszała szcęknięcie zapalniczki. *Wyślij go do domu*, pomyślała. *I przestań wreszcie myśleć o tej sprawie*. Ale kiedy poziom adrenaliny jej się obniżył i nieco się uspokoiła, poszła do niego do kuchni. Dante stał przy otwartym oknie i palił papierosa, obserwując chmury – były w kolorze indygo.

– Wezwałeś już pielęgniarzy z kaftanem bezpieczeństwa? – zapytał, nie odwracając się do niej.

– Jeszcze nie. Zrób mi, proszę, przyzwoitej kawy.

– Poza moją jest tylko rozpuszczalna. Wszystko można o tym proszku powiedzieć poza tym, że jest przyzwoity – mruknął Dante.

– Mnie smakuje.

Mężczyzna postawił na gazie garnek z wodą, nie odwracając się do Colomby.

– Wiem, że nie myślę jak gliniarz, i dlatego nie udało mi się ciebie przekonać – powiedział.

– Nie znam nikogo, kto rozumowałby w podobny sposób.

– Masz rację. – Tym razem uśmiech na twarzy Dantego zupełnie nie przypominał jego zwykłego, ironicznego grymasu. – Ale bycie ekscentrykiem ma też swoje dobre strony. Jeśli jesteś jak ptak latający w stadzie, nigdy nie poznasz smaku swobodnego lotu, bo widzisz jedynie tyłek tego, kto znajduje się przed tobą. Problem w tym, że kiedy opowiadasz o tym, co udało ci się zobaczyć, nikt nie jest skłonny ci uwierzyć.

Dante nalał gorącej wody do kubka Colomby i zamieszał granulki, aby się rozpuściły. Potem podał jej kawę.

Colomba piła małymi łykami. Przyznała w duchu, że napój jest okropny, ale i tak wołała go od poprzedniej zawiesiny.

– Dante... nawet jeśli masz rację... to nie wiem, jak się zabrać do ścigania ducha.

– Wielka szkoda, CC, bo jeśli nic nie zrobimy, to ona znowu zabije. Nie potrafię tylko przewidzieć, jak i kiedy.

GILTINÉ SŁYSZAŁA ŚPIEW umarłych. Zdarzało się to jedynie, kiedy była na pełnym morzu: wtedy budziły się dusze pogrzebane na dnie. A ona słuchała, wpatrując się w ciemną toń i rozpoznając poszczególne osoby, do których należały głosy. Byli wśród nich marynarze i emigranci, ofiary i mordercy, mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy, a każde z nich miało do opowiedzenia historię, którą Giltiné zapamięta i przekaże potomności, aby uczcić w ten sposób ich pamięć. To jest jej obowiązek, a jednocześnie przywilej.

Dopiero po wschodzie słońca, kiedy śpiew ustał, Giltiné mogła nieco odpocząć. Włączyła automatycznego pilota i położyła się na koi. Miała do dyspozycji dwunastometrową łódź Grand Sturdy wyposażoną w trzy dwuosobowe kabiny i autonomię na ponad tysiąc pięćset pięćdziesiąt mil. Giltiné wypłynęła z portu w Civitavecchia tej samej nocy, kiedy Musta został zastrzelony, i od tej pory zmierzała do celu, trzymając się w odległości około sześciu mil od brzegu. Na szczęście morze było spokojne, a wiatr sprzyjający.

Zostały jej do pokonania jeszcze trzy mile, ale ruch stawał się coraz intensywniejszy. Widać było łodzie zmierzające do portu i z niego wypływające, wielkie promy płynące powoli i burzące spokojną taflę wody oraz rybackie kutry. Brakowało jedynie jachtów, których właściciele o tej porze roku wybierali cieplejsze akweny. Zmienił się również zapach. Dominowała intensywna woń słonej wody i wodorostów, zmieszana z zapachem jedzenia i codziennego życia.

Giltiné wyłączyła silniki, zarzuciła kotwicę i zeszła pod pokład, do kabiny służącej za garderobę. Na łóżku małżeńskim przykrytym jedynie materacem leżała skórzana walizka od Louisa Vuittona, a w rogu – pozostałe, ułożone jedna na drugiej w oczekiwaniu na rozpakowanie. Na komodzie stał metalowy kuferek z uchwytem o boku długości około pół metra, przypominający sprzęt używany przez profesjonalnych charakteryzatorów. Giltiné otworzyła wieko. W środku znajdowały się liczne słoiczki z różnokolorowymi kremami, pędzelki i gąbki, a także

sterylne bandaże, skalpele, butelki z wodą utlenioną i strzykawki. Giltiné zdjęła ubranie, po czym skalpelem przecięła bandaże zakrywające jej ręce i nogi. Gdy tylko powietrze przedostało się pod bandaże, kobieta poczuła ból, który nasilał się wraz z odsłanianiem skóry.

Ale ona zdawała się nie zwracać na to uwagi.

Giltiné musiała zmieniać opatrunki przynajmniej raz dziennie, żeby się umyć i posmarować skórę maścią. Zwykle unikała przyglądania się własnemu ciału, ale tym razem nie zdołała tego uniknąć. Jak przypuszczała, zakażenie się rozwijało i rany były już tak głębokie, że prześwitywała przez nie biel kości. Spotęgował się również nieprzyjemny zapach zgnilizny.

Giltiné przemyła ciało środkiem do dezynfekcji i owinęła je czystymi bandażami. Z leżącej na łóżku walizki wyjęła kilka pojemników zawierających przypominającą błoto substancję o cielistej barwie w różnych odcieniach, od bladego do opalonego. Sięgnęła po jedną z ciemniejszych, nabrała na palec grudkę wielkości orzecha i zmieszała z utrwalaczem, po czym pokryła maścią każdy centymetr skóry nieobwiązanej bandażem. Rany zniknęły pod imitacją opalenizny, a ból nieco złagodniał, chociaż nie zniknął całkowicie. Ból towarzyszył jej przez cały czas.

Kiedy charakteryzacja wyschła, Giltiné założyła sportową bieliznę i cytrynową sukienkę Gucciego, ozdobioną na brzegach kwiatowymi motywami, a na koniec również matujące rajstopy.

Teraz została najtrudniejsza faza przygotowań. Giltiné usiadła na brzegu łóżka i odpięła zacisk maski znajdujący się na karku, a kiedy światło słoneczne padło na jej policzki, zacisnęła zęby. Nie patrzyła, ale słyszała, jak pęcherze pęcznieją i pękają z cichym trzaskiem, przypominającym skwierczenie masła na patelni. Pokryła równomiernie twarz i szyję białym podkładem, eliminując w ten sposób nieprzyjemne odgłosy, a potem nałożyła substancję brązującą. Wykonała staranny makijaż i z dwa razy większego metalowego kuferka wyjęła blond perukę z fryzurą na pazia oraz zielone szkła kontaktowe. Dopiero wtedy przejrzała się w lustro, podziwiając obcą kobietę, w którą się przeistoczyła. Efekt był identyczny

z tym, co można było zobaczyć na uśmiechniętych zdjęciach w dokumentach wystawionych na francuskie nazwisko Sandrine Poupin, lekarki chirurga pracującej dla szwajcarskiej organizacji humanitarnej, istniejącej co prawda tylko na papierze, ale za to posiadającej siedzibę i konto w banku, na które Giltiné przelała część swoich funduszy. Ta organizacja pozarządowa była również właścicielem łodzi, którą Giltiné tu przyплыła. Jacht był darem ofiarowanym przez greckiego armatora na misje humanitarne. A to, że poprzedni właściciel utonął rok wcześniej, było oczywiście przykrym zbiegiem okoliczności.

Giltiné ponownie sprawdziła makijaż, po czym stanęła za sterem i wprowadziła łódź do portu, dobijając do mola i podając przez radio swoją pozycję. Żadnej ze spotkanych osób, wliczając w to również funkcjonariuszy straży nadbrzeżnej, którzy weszli na pokład, aby sprawdzić dokumenty i skontrolować, czy na jachcie nie ma nielegalnych imigrantów, nie przyszło do głowy, że pod kapeluszem z szerokim rondem i za przeciwsłonecznymi okularami kryje się ktoś zupełnie inny niż przedstawicielka organizacji pozarządowej przybywająca z wizytą do jednego z najcudowniejszych miejsc na świecie.

Do Wenecji.

PO PRZYGOTOWANIU KAWY Dante stracił resztki energii. Chwiał się na nogach i bełkotał coś niezrozumiale, jakby przesadził z tabletkami i kroplami, tymczasem był po prostu wykończony. Colomba obiecała, że pozwoli mu palić, i tym sposobem zdołała przekonać go, by położył się na kanapie. Po kilku minutach wyjęła niedopałek z jego zwisającej, okaleczonej dłoni, ale Dante jeszcze nie spał i wymamrotał z zamkniętymi oczami:

– Co to za facet, z którym jadłaś wczoraj kolację?

– Skąd wiesz, że to był facet, a nie kobieta?

– Krótkie, ciemne włosy, żadnych śladów szminki czy podkładu na serwetkach, butelka wina... – wyliczał Dante.

Colombie zachciało się śmiać.

– Czy ty nigdy nie przestaniesz wściubiać nosa w nie swoje sprawy?

– Nie robię tego specjalnie.

– Niezłe wytłumaczenie. Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, to był Enrico.

– Enrico świnia?

Colomba przypomniała sobie, że bardzo często skarżyła się Dantemu na byłego narzeczonego.

– Ten sam.

– Przynajmniej nie został na noc. Jest jeszcze dla ciebie jakaś szansa – powiedział Dante słabym głosem, a po chwili już cicho chrapał.

Colomba okryła go kocem, bo przez otwarte okno do pokoju wpadało wilgotne powietrze, i zdjęła mu glany. Obie skarpetki były dziurawe i mocno ją to zdziwiło, ponieważ Dante bardzo dbał o swoją garderobę, chociaż wyglądał, jakby właśnie opuścił jakiś londyński klub z lat osiemdziesiątych. Potem zauważyła, że kołnierzyk jego koszuli jest sprany. *Co się z tobą dzieje, mężczyzno z silosu?* – pomyślała.

Poruszając się na palcach, zarzuciła na ramię plecak służący jej jako torebka i wyszła z mieszkania. Pół godziny później była na piazza del Popolo. W barze Rosati kupiła kanapkę z krewetkami i majonezem i zjadła

ją, siedząc na podeście pomnika z egipskimi napisami. Tego przedpołudnia na placu panował niewielki ruch. Mężczyzna wypożyczający elektryczne deskorolki stał na skraju placu i paląc papierosa, cierpliwie czekał na klientów. Długi wąż białych taksówek wygrzewał się bez ruchu w bladym słonecznym blasku.

Colomba zmusiła się do działania. Wyrzuciła resztki kanapki do przepelnionego kosza na śmieci i szybkim krokiem pokonała ostatnie metry dzielące ją od kancelarii adwokata Minutilla. Mieściła się ona w wytwornej historycznej kamienicy, która jak wszystko w Rzymie wymagała odnowienia. Dotyczyło to zwłaszcza otoczonej metalową siatką zabytkowej windy, która skrzypiała przeraźliwie, pokonując powoli kolejne piętra.

Otworzyła jej Emanuela, sekretarka w wieku Colomby z kolczykiem w nosie.

– Caselli, miło panią widzieć! Jest pani umówiona?

– Nie, ale mam nadzieję, że mecenas znajdzie dla mnie chwilę.

– Zaraz go zawiadomię. Proszę usiąść, za chwilę podam pani kawę. Od razu uprzedzam, że nie jest taka dobra jak ta, którą pija pan Torre.

Colomba się uśmiechnęła. Emanuela zawsze umiała wprowadzić ją w dobry humor.

– Dziękuję, ale dzisiaj zdążyłam już przesadzić z kawą – powiedziała.

Usiadła w poczekalni, a po dziesięciu minutach wyszedł do niej mężczyzna przypominający Jeremy'ego Ironsa sprzed dwudziestu lat i uścisnął jej dłoń.

– *Dottoressa Caselli*. Bardzo proszę – przywitał się Minutillo i zaprosił ją do gabinetu z meblami z ciemnego drewna, wypełnionego kodeksami i książkami o tematyce prawniczej. Usiadł za biurkiem z orzecha i gestem wskazał jej krzesło.

– W czym mogę pomóc?

– Musimy porozmawiać o Dantem – zaczęła Colomba, stawiając na szczerłość.

– O co konkretnie chodzi?

– Chciałabym się dowiedzieć, co się z nim dzieje?

– Nie rozumiem, co ma pani na myśli – oświadczył Minutillo, skrywając emocje.

– Mecenasiu... czy moglibyśmy pominąć tę część rozmowy, w której udaje pan, że nie wie, o co chodzi?

Mężczyzna nie odpowiedział, przyglądając się jej z wyrzutem.

– No dobrze, jak pan chce. A więc... łyka tabletki, jakby to były cukierki, albo wciąga proszki, bo szybciej działają, i odwiedza mnie w domu o siódmej rano. Dawniej musiałam siłą wyciągać go z hotelu, a i tak nie zawsze mi się udawało.

– Ciekawe... – Adwokat nie zmienił tonu.

– Wie pan, że wjechał radiowozem do lokalu, taranując żaluzję? Mógł się zabić.

– Przejęła się pani?

– Oczywiście. Przecież jest moim przyjacielem.

– Przez kilka miesięcy nie raczyła pani nawet do niego zadzwonić. Dziwnie pani rozumie przyjaźń, *dottoressa*.

Colomba czuła, że się czerwieni, a z najdalszego zakamarka jej mózgu wyłoniło się nagle wstydlive wspomnienie pewnego wieczoru, kilka tygodni po kłótni z Dantem. Zobaczyła go wtedy, jak udając roztargnienie, chodzi w tę i z powrotem po ulicy, przy której mieści się siedziba prokuratury. Zakłopotana, przyglądała mu się zza okna w biurze, bo zrozumiała, że Dante liczy na przypadkowe spotkanie. Przypominał zakochanego nastolatka, który krąży pod domem dziewczyny z nadzieją, że na nią wpadnie. *Zadzwoń do niego po powrocie do domu*, pomyślała, wiedząc z góry, że tego nie zrobi, i wstydząc się wygodnego kłamstwa. Teraz, kiedy zdała sobie sprawę, że zrobiła wszystko, aby wyrzucić ten epizod z pamięci, poczuła się okropnie.

– Byłam bardzo zajęta – próbowała się usprawiedliwić.

– Dante też. Robił wszystko, żeby przeżyć – powiedział Minutillo. – Naprawdę potrzebował wtedy pani pomocy. A teraz muszę panią przeprosić. Mam klienta.

Adwokat wstał, ale Colomba nie ruszyła się z miejsca.

– Ma pan rację. Zachowałam się paskudnie, ale teraz jestem tutaj.

Mężczyzna spojrzął jej w oczy, po czym podjął decyzję i wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

– Dlaczego Dante przyszedł do pani dziś rano? – zapytał.

– Bo jest przekonany, że za zamachem na pociąg stoi kobieta, która krąży po świecie i morduje niewinnych ludzi.

– A pani chce się dowiedzieć, czy można mu ufać.

– Ja mu ufam. Tylko nie wiem, czy powinnam wierzyć we wszystko, co opowiada.

– Mógłbym pani powiedzieć, że wszystko u niego w porządku.

– To nie w pańskim stylu, mecenasie.

Minutillo zrobił zniechęconą minę.

– Cztery miesiące temu miał kryzys.

Colomba poczuła dreszcz.

– To znaczy?

– Zabarykadował się w pokoju hotelowym i nie wpuszczał nawet kelnera. Był przekonany, że ktoś go śledzi, tak samo jak w czasach Ojca.

– Przecież Ojciec nie żyje.

– Tak, ale żyje brat Dantego.

O kurwa, pomyślała Colomba. *A więc to jest prawdziwy problem.*

– Ciągle jeszcze ma obsesję na jego punkcie – powiedziała ponurym głosem.

– Dante wierzy, że on istnieje i go kontroluje. W tamtym czasie przestał sypiać i zupełnie o sobie nie dbał. Chciał być gotowy na wypadek, gdyby brat znalazł się w pobliżu.

– Jak udało mu się z tego wyjść? Bo chociaż teraz też z nim nie najlepiej, to jednak to jeszcze nie kryzys.

– Znaleźliśmy klinikę nad jeziorem Como, jedną z tych, które zapewniają dyskrecję. Na szczęście Dante zrozumiał, że sytuacja jest poważna i zgodził się spędzić tam kilka tygodni. Spał w namiocie w ogrodzie.

– Nie miałam pojęcia – powiedziała Colomba ze ściśniętym sercem.

– Kiedy lekarze ustalili wreszcie dawki lekarstw – ciągnął Minutillo, nie zwracając uwagi na jej słowa – Dante zaczął powoli wracać do normy.

Przypuszczam, że teraz leczy się na własną rękę, ale psychiatra, który go prowadził, stanowczo polecił mu, aby unikał angażowania się w sprawy z udziałem ofiar śmiertelnych. Przynajmniej przez jakiś czas. A Dante zdecydował się posłuchać jego rady w obawie, żeby nie wpędzić klientów w kłopoty.

– To dlatego wygłasza wykłady na uniwersytecie?

– Próbuje wyrobić sobie nazwisko jako ekspert w dziedzinie kultury popularnej i folkloru, bo zna się na tym jak mało kto. Obecnie dochody nie wystarczają mu na utrzymanie poprzedniego standardu życia, ale to dopiero początek.

– Na szczęście nie musi płacić za pokój w hotelu – zauważyła Colomba.

– Tak, pokój ma za darmo, ale nie dodatkowe usługi, które sporo kosztują. Wydatki opiewają już na pokaźną sumę. Biorąc pod uwagę jego sytuację, zastanawiam się, czy nie zasugerować mu powrotu do dawnego mieszkania na San Lorenzo. W końcu prędzej czy później będzie musiał to zrobić.

– A Valle nie mógłby mu pomóc?

– Dante jest zbyt dumny, by prosić ojczyzna o pomoc. Uparł się, że zapłaci za klinikę z własnej kieszeni, i w ten sposób pozbył się ostatnich oszczędności. – Minutillo się skrzywił, wyrażając ubolewanie. – Ostatnio czuł się dość dobrze. Po tym, jak zrezygnował z zajmowania się sprawami kryminalnymi, stał się o wiele spokojniejszy. Był aktywny, rzeczowy, miał dobry humor i postępował rozsądnie, oczywiście jak na jego możliwości.

– A potem pojawiłam się ja... – szepnęła Colomba – i wpędziłam go w kłopoty.

– Być może. – Minutillo się uśmiechnął. – Ale jest i drugie wyjaśnienie: pani wróciła, a on zaczął znowu logicznie myśleć. Wybór należy do pani.

COLOMBA OPUŚCIŁA KANCELARIĘ z ogromnym poczuciem winy i jeszcze większymi wątpliwościami. Jak zawsze, kiedy wpadała w depresję i czuła się zagubiona, pomagał jej wysiłek fizyczny.

Siłownia, do której uczęszczała, znajdowała się niedaleko, w dzielnicy Prati, ulubionym miejscu notariuszy i filmowców. Colomba zawsze miała

w szafce czysty dres. Dotarła tam w kilka minut i się przebrała, ale nie skorzystała z sali fitness, w której panował zbyt wielki tłok z powodu kłębiących się aktoreczek i modelek. Wyszła na zewnątrz i pobiegła wzdłuż viale Mazzini. Minęła posąg wielkiego konia z brązu, stojący przed siedzibą telewizji publicznej RAI, oraz Neptuna, który ozdabia fontannę u wylotu ulicy, a potem zeszła na nadbrzeże wąskimi kamiennymi schodkami, na których panował nieprzyjemny zapach.

Wzdłuż Tybru, mimo że na tej właśnie wysokości utworzono nową ścieżkę rowerową, biegano wielu amatorów joggingu i Colomba ruszyła za nimi w stronę centrum, utrzymując spokojny rytm, aby się rozgrzać. Kiedy ścieżka się skończyła, zastąpiła ją nierówna betonowa nawierzchnia i błoto. Colomba miała wrażenie, że znajduje się w mieście opuszczonym przez mieszkańców po wojnie atomowej. Po lewej stronie stały zniszczone barki pełne śmieci, a po prawej w regularnych odstępach widać było wąskie korytarze zamknięte kratami, na których umieszczono napisy: zakaz wstępu. Prowadziły do klubów kajakarskich, których główne wejścia znajdowały się na biegnącej górą ulicy. Większość z nich była opuszczona i zrujnowana, a mury z betonu pokrywały graffiti i wulgarne napisy.

Colomba przyspieszyła, aż osiągnęła swoje zwykłe tempo, skupiając się na pracy mięśni i regularnym biciu serca. Powoli obraz Dantego zamkniętego w klinice z biało-czarnych filmów grozy zaczął się zacierać, a w końcu całkiem zniknął z jej świadomości.

Ale spokój nie trwał długo. Wystarczyło, że jej wzrok natrafił na jakiś przedmiot, by przywołać z pamięci bolesne epizody. Kiedy nadepnęła na stary but, przypomniało jej się, jak Dante rzucił swoim clipperem, wybijając okno w sali szpitalnej, gdzie ją położono, i uratował jej życie. Zardzewiały widelec skojarzył jej się ze wspólnymi kolacjami w hotelu Impero, na które teraz Dante nie mógł sobie pozwolić. Kupa piasku na terenie budowy zakończonej przed trzema laty przywołała obraz niemal zasypanej przyczepy, w której znalazła przyjaciela. Wyczerpani i ranni, ale żywi, objęli się wtedy z radością, szczęśliwi, że udało im się wymknąć prześladowcy, który nie ustawał w wysiłkach, by ich zabić.

Colomba jeszcze przyspieszyła. Wróciła na ulicę przez podziemne przejście, omijając ludzkie odchody i dwie mewy zajęte walką o truchło myszy, po czym ruszyła w tę samą stronę, z której przybiegła. Przy moście Risorgimento ponownie zeszła na nadbrzeże i powtórzyła poszczególne etapy: ścieżka rowerowa, beton, przejście podziemne. Pod wpływem zmęczenia obrazy w jej głowie stały się chaotyczne i zmieniały ze zdwojoną szybkością. Dante podskakujący w jej mieszkaniu, potem jego zakrwawiona twarz przed zniszczoną żaluzją sklepu, w którym mieszkał Youssef. Wreszcie jego głos opowiadający o aniołach i seryjnych mordercach.

Colomba przyspieszyła ponownie, po raz drugi zbiegając po zrujnowanych schodkach używanych jako pisuar. Bok, w którym utkwily kiedyś naboje, i złamana szczeka pulsowały miarowo. Miała wrażenie, że płuca chcą wessać kosmiczną pustkę, serce waliło jak młotem, stopy uderzały o ziemię niczym salwy z karabinu maszynowego. Musiała się zatrzymać; zgięta wpół, sapała jak jakaś staruszka. Właśnie w tym stanie doznała *satori* i zrozumiała, że wściekłość i niechęć... są wynikiem strachu. Bała się tego, co może się wydarzyć. Bo w towarzystwie Dantego działy się dziwne rzeczy. Najczęściej przerażające. A ona nie była pewna, czy zdoła stawić czoła kolejnemu potworowi.

Kiedy wróciła na siłownię, wytarła dokładnie buty i zaczęła boksować worek, nie zwracając uwagi na kobietę na lat machine rozprawiającą o nowym prawie banicji i karze śmierci. A potem wróciła do domu z obolałymi nogami i lekkim sercem kogoś, kto właśnie podjął bardzo trudną decyzję.

Straciła dobry humor zaraz po przekroczeniu progu mieszkania. Dante siedział na kanapie w salonie i palił wymiętego papierosa o ostrym zapachu.

– Do reszty ci odbiło! – krzyknęła, trzaskając drzwiami. – Palisz skręta w moim domu?

– A to rzeczywiście tragedia – powiedział Dante, zaciągając się ponownie.

Trzymał skręta w zdrowej dłoni i wdychał dym w sposób, jaki Colomba widziała u starych ćpunów. Wyrwała mu papierosa i zgasiła w popielniczce.

– Gdzie kupiłeś narkotyki?

Dante zaśmiał się ironicznie.

– Jakie narkotyki? To marycha, mamó. I wcale jej nie kupiłem. Znalazłem w mieszkaniu Musty.

– Chłopcy mówili, że wyrzuciłeś paczkę przez okno.

– Tak, wyrzuciłem paczkę, ale nie zawartość.

Colomba wyciągnęła rękę.

– Dawaj.

– To na własny użytek – bronił się mężczyzna, ale kiedy dostrzegł w jej oczach szmaragdowe trupie czaszki, wyjął z kieszeni paczuszkę zawiniętą w folię.

Colomba opróżniła zawartość do muszli klozetowej, wyrzuciła też niedopałki z popielniczki, po czym rozpyliła w mieszkaniu dezodorant o okropnym sosnowym zapachu, podarowany przez matkę, która twierdziła, że czuć w jej mieszkaniu rzadkim sprzątaniami. Używając dezodorantu, przypomniła sobie o obiecany matce obiedzie i całkiem straciła humor.

– Ale się czepiasz – powiedział Dante, obserwując jej wysiłki. – Chciałbym ci przypomnieć, że *Cannabis* są mniej szkodliwe niż alkohol.

– A ja ci przypominam, że alkohol jest legalny, a marihuana nie. – Powąchała swoje ubranie. – Masz pojęcie, co się stanie, jeśli komuś wpadnie do głowy, żeby zrobić mi test antynarkotykowy?

– Przecież ty nie paliłaś.

– Istnieje coś takiego jak bierne palenie.

– Daj spokój, CC.

– A właśnie, że tak! Poza tym w moczu THC zostaje przez czterdzieści dni.

– No to muszę się przerzucić na kokainę, bo ślady po niej utrzymują się tylko przez pięć dni.

Colomba stanęła przed nim z groźną miną.

– Tylko spróbuj!

– Żartuję. Nigdy nie potrzebowałem środków pobudzających.

– Wiem, wystarczają ci uspokajające. I pobyt w klinice.

Dante spuścił wzrok.

– No jasne, rozmawiałaś z Robertem.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Bo nigdy mi nie wierzysz. Co byś zrobiła na moim miejscu? – zapytał zawstydzony niczym małe dziecko.

– Patrz mi w oczy!

Dante podniósł wzrok.

– Przecież dobrze się znamy. Miałam okazję się przekonać, do czego jesteś zdolny.

– I uciekłaś.

– Nie od ciebie, Dante. Obawiałam się tego, co jeszcze mogło się wydarzyć. – Znalezienie odpowiednich słów nie było łatwe. W końcu Colomba usiadła obok niego na kanapie. – Zanim się poznaliśmy, moje życie toczyło się zgodnie z ustalonym porządkiem. Wiedziałam, co mam robić. A teraz każdy krok to wielka niewiadoma.

– Zawsze tak było, po prostu nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

– Być może, ale to bez znaczenia. Sam widziałeś, że jak tylko zbaczam z utartych torów, wpadam w panikę. Wiesz, jak to jest, kiedy nie możesz oddychać? Za każdym razem czuję się, jakbym umierała. A w dodatku mam przywidzenia.

Dante należał do tej wybranej grupy ludzi, którzy milczą, gdy nie mają nic do powiedzenia, chociaż bardzo rzadko się zdarzało, żeby nie miał nic do powiedzenia. Teraz nie odezwał się ani słowem, pozwalając mówić Colombie.

– Żadnych tajemnic – usłyszał. – Muszę ci bezgranicznie ufać, mieć świadomość, że niczego przede mną nie ukrywasz. Żadnej półprawdy i ukrywania niewygodnych faktów.

– Okej – zgodził się Dante, który nie pamiętał, kiedy ostatni raz był taki szczęśliwy. – I żadnych dezercji. Muszę mieć pewność, że nie zostawisz mnie w połowie drogi.

Colomba potwierdziła skinieniem głowy.

– Masz moje słowo. Jesteś moim przyjacielem i bardzo mi na tobie zależy. Przykro mi, że odniosłeś inne wrażenie.

Dante wyciągnął się na kanapie z rękami za głowę.

– Nigdy naprawdę tak nie myślałem. Wierzysz mi w sprawie Giltiné?

– Jestem skłonna sprawdzić. Ale jeśli nie znajdziemy żadnego przekonującego dowodu, zgodzisz się z tym, co postanowię, zapomnisz o całej sprawie i wrócimy do normalnego życia.

– A jak coś znajdziemy?

– Wtedy prześlemy informacje Interpolowi lub kolegom z oddziałów antyterrorystycznych.

Dante przez chwilę wazył jej słowa, po czym uroczyście podał Colombie prawą rękę. Oboje nie byli pewni, czy bardziej chce im się śmiać, czy płakać, ale oczywiście zachowali powagę.

Z CANAL GRANDE DOBIEGAŁ cichy szept zmarłych, ale Giltiné nie zważała na ich skargi. Nie było to łatwe i miała poczucie winy, że ich lekceważy. Marzyła o mieszkaniu położonym z dala od wody, ale potrzebowała drogiego apartamentu gwarantującego anonimowość, a tego typu lokum ma odpowiedni widok wliczony w cenę.

Po południu, zaraz po przybyciu na miejsce, usunęła resztki makijażu i opatrzyła rany. Dzień był na tyle gorący i wilgotny, że charakterystyka wytrzymała krócej niż zwykle. Zanim dotarła na calle Sant'Antonio, zauważyła, że skóra na ramieniu traci opalony kolor, odsłaniając rany, a przewoźnik przygląda się jej podejrzliwie. Czyżby się domyślił, z kim ma do czynienia? Gdyby tak było, musiałaby się go pozbyć w wynajętym mieszkaniu – dwieście metrów kwadratowych, ogromny taras i wyrafinowane meble w stylu weneckim – a potem porzucić ciało i zmienić apartament oraz tożsamość. Jednak byłby to spory problem, ponieważ w planach Giltiné czas odgrywał kluczową rolę.

Giltiné okryła ramię szalem, na którym natychmiast pojawiła się cuchnąca plama, a tymczasem taksówkarz postawił walizki w gabinecie z oknem wykuszowym i bez słowa opuścił mieszkanie. Przez okno widziała, jak spogląda z ulicy w kierunku apartamentu. Sprawiał wrażenie niezdecydowanego, podobnie jak ona. Była już o krok od celu i nie chciała wszystkiego zaprzepaścić.

KIEDY WYBIŁA PÓŁNOC, szept dusz topielców przybrał na sile. Giltiné włączyła radio podłączone do wzmacniacza Bang & Olufsen, przypominającego kształtem statek kosmiczny, i wybrała pusty kanał, pozwalając, by szum biały zawładnął jej mózgiem. Stała z otwartymi ramionami, naga, nie licząc bandaży, aż poczuła, jak rozpływa się w otaczających ją dźwiękach. Zmieniła się w niematerialny byt pozbawiony ciała. Ocknęła się na podłodze, kiedy jej serce zaczęło ponownie bić, a skóra parzyła pod wpływem kontaktu z lodowatym marmurem. Uwolnwszy się od natarczywych głosów, z jasnym, świeżym umysłem podeszła do

leżącego na stole laptopa. Połączyła się z Internetem przy użyciu bezprzewodowego łącza, wykorzystwała amerykański VPN, który skasował dane dotyczące jej położenia i używanej sieci, po czym przywołała swoje awatary.

Giltiné miała ich setki i teraz przesuwaly się po ekranie w rozmaitych czatach, na stronach web, w poczcie elektronicznej – aplikacje te pojawiały się i znikaly jak bańki mydlane za jednym kliknięciem myszy. Awatary to zarówno mężczyźni, jak i kobiety, starzy i młodzi, atrakcyjni i paskudni, przyjmowały różne narodowości. Niektóre odwiedzały strony dla samotnych szukających miłości, inne te z ofertą jednorazowego seksu lub zawodowych prostytutek. Jeszcze inne udzielały się na rozmaitych forach, od kulinarnych poczynając, a na sportowych kończąc. Niektóre umierały śmiercią naturalną, kiedy spełniły swoje zadanie lub nie udało im się osaczyć wybranej ofiary.

Za pomocą awatarów Giltiné manipulowała ludźmi z godną pozazdroszczenia zręcznością. Przeskakiwała od jednego konta do drugiego, prowadziła rozmowy na czatach, udzielała rad, opowiadała o fantazjach seksualnych i przepowiadała przyszłość. Na stronie odwiedzanej przez pedofili była sześćdziesięciolatkiem i wymieniała zdjęcia, na czarnym rynku na nowym Jedwabnym Szlaku kupowała broń i sprzedawała narkotyki, na Messengerze udawała przyjaciółkę dziewczynki z problemami w nauce oraz seksowną studentkę szukającą dojrzałego, dobrze sytuowanego sponsora. W dungeonach wcieliła się w rolę *money mistress* dla francuskiego brokera i dla niemieckiego lekarza, była niewolnicą jakiegoś Japończyka i suką sodomity. Na Facebooku żartowała, kłóciła się, uwodziła, wysyłała zabawne filmiki i gify. Wszędzie oferowała pomoc i przysługi, umiała słuchać zwierzeń i pocieszać, zapewniała wsparcie potrzebującym. W zależności od sytuacji dodawała otuchy lub prosiła o zrozumienie, dowcipkowała i się wygłupiała.

Właśnie miała na celowniku trzy potencjalne ofiary, którym poświęciła trochę czasu na czacie, zamiast poprzestać na jednym, bezpośrednim komunikacie i przenieść się gdzie indziej. Pierwszą był pięćdziesięcioletni prawiczek szukający kobiety, która go zrozumie i pomoże mu w inicjacji.

Drugą – trzydziestolatek namiętnie grający w pokera online, którego hazard doprowadził do utraty mieszkania. Natomiast trzecia ofiara, prostytutka, nie potrafiła rzucić brutalnego narzeczonego, który bił ją bez opamiętania. Giltiné знаła lekarstwo na ich problemy, ale godziła się je udostępnić dopiero po wypełnieniu przez nich zadania. A jeśli w międzyczasie udałoby się im samodzielnie pokonać kłopoty, ich miejsce zajęliby kolejni. Giltiné zarzucała sieci w każdym kraju i w każdym mieście, gdzie był dostęp do Internetu.

Pracowała aż do świtu. W zależności od strefy czasowej życzyła dobrej nocy lub miłego dnia, udzieliła szybkiej konsultacji masturbującemu się facetowi, wysłała zdjęcie żywego kota i martwego staruszka, wreszcie przeciągnęła się, aż plasnęły przyklepione do krzesła bandaże, zostawiając po sobie wilgotne ślady. Zamknęła wszystkie czaty prócz jednego. Zdobycz już od kilku dni trzepotała się na haczyku, nie mogąc się doczekać, kiedy będzie mogła zaspokoić tę, którą uważała za doskonałe wcielenie swoich erotycznych marzeń. Giltiné wysłała długą, elokwentną wiadomość, do której dołączyła krótki filmik przedstawiający realną scenę gwałtu nagrałą za pomocą telefonu komórkowego. Wiedziała, że ofiara doceni ten gest.

Już niedługo przyjdzie czas, aby pchnąć ją do akcji. Otworzyła jedną z walizek i sięgnęła tam, gdzie znajdowało się drugie dno. Nadeszła chwila, żeby naostrzyć broń.

NASTĘPNEGO RANKA COLOMBA wsiadła do pamiętającego lepsze czasy fiata punto i pojechała po Dantego do hotelu Impero. Weszła do apartamentu, używając karty magnetycznej, którą dostała od niego przeszło rok temu. Zdziwiła się, bo minęło sporo czasu, a w środku nic się nie zmieniło. Zapach kawy, czujnik dymu zalepiony taśmą klejącą, dziesięć kawałków drewna starannie ułożonych przed kominkiem przez obsługę, kartki, książki, laptop i tablety porozrzucone dookoła, nawet na dywanach, wielkie, białe kanapy i okna bez firanek wychodzące na skąpany w deszczu Rzym.

Naprzeciwno wejścia znajdowały się drzwi prowadzące do pokoju Dantego z czarnymi meblami i ogromnym okrągłym łóżkiem, a po prawej był mniejszy, ale wygodny pokój gościnny, w którym Colomba swego czasu często sypiała.

Przy jednej ze ścian stał rząd pudeł i paczek. Były to „kapsuły czasu”, które Dante gromadził, a potem selekcjonował i umieszczał w wynajętym, wypełnionym po brzegi garażu. W pudełkach znajdowały się przedmioty pochodzące z lat, które Dante spędził w odosobnieniu, odcięty od świata. Przechowywał i analizował nawet programy telewizyjne okropnej jakości, mając nadzieję na zrozumienie ducha czasów, w których nie mógł uczestniczyć. Colomba zajrzała do jednej z otwartych paczek i zobaczyła tam obrzydliwy pas z gigantyczną pozłacaną klamrą w kształcie liter EL.

– Co to za gównno? – zapytała.

– Cenny egzemplarz, który z wielkim wysiłkiem udało mi się zdobyć – zawołał Dante z łazienki, gdzie właśnie kończył się golić. Zarost miał jasny i rzadki, więc robił to nie częściej niż dwa razy w tygodniu. – F trzysta dwa Cult El Charro. Marzenie wszystkich chłopców z dobrych domów w latach osiemdziesiątych.

– Zostały ponumerowane?

– Żartujesz? – Dante wyszedł z łazienki owinięty ręcznikiem. – To ważna pozostałość po znacznie weselszej epoce, niezwykle ceniona przez kolekcjonerów.

Colomba przyglądała się przyjacielowi krytycznym wzrokiem.

– Czemu jesteś taki chudy? Mógłbyś pójść do dietetyka, żeby pomógł ci trochę przytyć.

– Próbują nakłonić mnie do jedzenia zwierząt albo straszą skutkami lekarstw, które przyjmuję. – Otworzył pojemnik i połknął dwie tabletki. – A potem przepisują mi następne – dodał, wskazując na buteleczkę.

– To z kliniki?

– *Yup*.

– Jak zniosłeś pobyt?

Dante wzruszył ramionami.

– Nie najlepiej. Irytują mnie ludzie, którzy uważają, że wiedzą więcej na temat mojej psychiki niż ja sam.

– Ty też nie jesteś łatwym pacjentem.

– Wiem... na szczęście w końcu udało nam się osiągnąć kompromis. Dali mi pigułki, które mnie całkiem nie otepiają...

– A ty przestałeś myśleć o swoim potencjalnym bracie.

Dante potrząsnął głową i krople wody z mokrych włosów spadły na ścianę.

– Kompromis zakłada, że staram się myśleć mniej i nie popadać w obsesję. Chyba rzeczywiście trochę przesadziłem, chociaż jeśli chodzi o ostatnie dni przed hospitalizacją, to muszę przyznać, że mam mętlik w głowie.

– Może powinieneś zdecydować się na stałe leczenie.

– Nie odrzucam takiej możliwości. – Dante zniknął za kontuarem swojego baru w nadziei, że tym sposobem uniknie dalszych pytań i uda mu się zmienić temat. – Nie widziałaś jeszcze mojej nowej aparatury. Jestem z niej bardzo dumny.

Colomba wychyliła się i obok ekspresu, którego Dante nie pozwalał nikomu dotykać, zobaczyła stalowy kurek wystający z blatu. Przy nim ciekłokrystaliczny przyrząd do pomiaru ciśnienia i temperatury.

– Co to jest?

– Top Brewer. – Dante uruchomił przycisk lekkim muśnięciem, a z wnętrza szafki dał się słyszeć dźwięk uruchamiającego się młynka. –

Normalne ekspresy przepuszczają wrzątek przez filtr. Ten zaś jest wyposażony w pustą komorę, która zasysa wodę.

Z kranu wypłynął strumień kawy jasnego koloru i wypełnił filiżankę. Dante podał ją Colombie.

– Spróbuj.

Kobieta piła ostrożnie, małymi łykami, gdy tymczasem on niecierpliwie czekał na jej reakcję.

– Przypomina rozwodnioną mokkę – powiedziała w końcu Colomba.

– Uważaj, co mówisz! Pijesz indonezyjską Sulawesi Toarco Toraja – oświadczył Dante z udawanym oburzeniem. – Nuta cytryny i wanilii, drzewny posmak...

– Zmielone w twojej maszynie za milion dolarów... Wszystko jasne. Gdyby tak dodać odrobinę mleka...

– Po moim trupie.

Dante przygotował kawę również dla siebie i usiadł na kanapie, a Colomba siadła naprzeciwko niego. Pomyślała, że nie należy się dziwić, iż przyjaciel jest bez grosza przy duszy, skoro trwoni kasę na głupoty.

– Od czego zaczynamy? – zapytał Dante. – W końcu to ty jesteś policjantką, chociaż w zawieszaniu.

– Od firmy CRT – powiedziała Colomba. – Jeśli Giltiné istnieje...

– Przestań za każdym razem się asekurować, przecież nikt nas nie słyszy.

– No dobra. Skoro Giltiné wybrała właśnie to miejsce, musiała mieć ku temu powód. W przeciwnym razie posłałaby Mustę gdzieś, gdzie łatwiej dotrzeć, a wybuch uczyniłby więcej szkody.

– Jaka jest tępa wersja oficjalna?

– Musta nienawidził właściciela, bo ten był Żydem. Poznał go, pracując jako dostawca.

– To by się zgadzało, gdyby Musta był terrorystą. A nie był. – Dante przygryzł rękawiczkę, którą miał na okaleczonej dłoni. – Fajnie byłoby porozmawiać z pracownikami firmy, ale to chyba niemożliwe bez twojej legitymacji policyjnej. Mogę znaleźć kogoś, kto przygotuje ci fałszywkę. Chcesz?

– A wiesz, że się obejdę? Znam jedną osobę, która na pewno rozpozna mnie, nie pytając o odznakę.

SEKRETARKA PRACUJĄCA W FIRMIE CRT mieszkała w peryferyjnej dzielnicy Labaro, na osiedlu tanich domków jednorodzinnych powstałym na terenach po upadających gospodarstwach rolnych. Wokoło ciągle jeszcze przeważały pola, ale mimo to dotarcie tam w godzinach popołudniowego szczytu i przy silnym wietrze, który przesuwiał po ulicach czarne worki ze śmieciami, wcale nie należało do przyjemności. Colomba bardzo żałowała, że nie może skorzystać z syreny i policyjnego lizaka.

Kiedy dotarli z Dantem na miejsce, wiatr wzmógł się jeszcze bardziej, wzbijając wirujące tumany kurzu i zeschniętych liści. Marta Bellucci otworzyła im drzwi na bosaka, w koszulce i dżinsach. Wyglądała na niewyspaną, nie zrobiła sobie makijażu, a kosmyki tłustych włosów opadały jej na ramiona po obu stronach bladej twarzy. Colomba pamiętała ją, jak w wysokich szpilkach uciekała przed Mustą, i teraz pomyślała, że ma przed sobą matkę tamtej kobiety.

Marta jednak natychmiast ją rozpoznała.

– Aaa, jest pani policjantką – powiedział z niechęcią. – Castelli, jeśli dobrze pamiętam?

– Caselli – sprostowała Colomba, zdziwiona chłodnym przyjęciem. – Jak się pani czuje?

– Świetnie, nie widać? – Poprawiła niesforny kosmyk. – Przepraszam, że nie zdążyłam pójść do fryzjera – dodała z sarkazmem.

– Czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać? Najlepiej na zewnątrz, jeśli to pani nie przeszkadza.

Kobieta się odwróciła i w głębi salonu Colomba dostrzegła mniej więcej pięcioletniego chłopczyka oglądającego telewizję.

– Mama zaraz wróci, dobrze? – powiedziała i zamknęła drzwi.

Podeszły do zaparkowanego przed domem samochodu, w którym czekał Dante. Ubrany był jak zwykle na czarno, ale tym razem wybrał garnitur od Armaniego o bardzo szerokim kroju ramion, który wyglądał, jakby pochodził z jego kolekcji „kapsuł czasu”.

– To pani kolega? – zapytała Bellucci.

– Coś w tym rodzaju – wywinęła się od odpowiedzi Colomba.

Dante uniósł zdrową rękę w geście pozdrowienia, ale kobieta nie zareagowała.

– Dobrze, tylko pospieszmy się, bo muszę przygotować dziecku coś do zjedzenia. Chodzi o zamach, prawda?

– Tak. Wiem, że sędzia śledczy oraz moi koledzy już panią przesłuchiwali, ale jeśli pani pozwoli, chciałabym jeszcze wyjaśnić kilka kwestii – powiedziała Colomba, dając w ten sposób do zrozumienia, że spotkanie wynika z oficjalnej procedury śledczej, chociaż nie użyła takich słów.

– Proszę pytać.

– Czy to był pierwszy raz, kiedy zostaliście z panem Cohenem w biurze po godzinach?

– Dlaczego was to tak interesuje? – zdenerwowała się kobieta.

– Musimy ustalić, jak zamach został przygotowany, proszę pani.

– Czasami się zdarzało.

– Także w dniach poprzedzających zamach?

– Nie.

– Przepraszam, że nalegam, ale muszę wiedzieć, z jaką regularnością?

– Mniej więcej dwa razy w miesiącu – odpowiedziała niechętnie Bellucci.

– Czy pani zdaniem pan Cohen miał ostatnio jakieś problemy?

– Oprócz tych w pracy? Nie.

– Nikt mu nie groził? Nie dostawał dziwnych wiadomości? A może ktoś próbował się włamać do siedziby firmy przed zamachem?

Kobieta pokręciła głową.

– Nie. Nawet jak będzie mi pani zadawała tego typu pytania do jutra, to i tak do niczego nie dojdziemy. Dopóki ten śmierdzący Arab nie pojawił się u nas z... – głos jej się załamał – z bombą, wszystko toczyło się jak zwykle. Będą musieli zmienić wykładzinę, bo nie można usunąć śladów krwi – wyszeptała, patrząc w dal.

– Nie sądzi pani, że któryś z pracowników mógłby nam powiedzieć coś więcej? Na przykład ktoś, z kim pan Cohen się przyjaźnił?

– Nie mam pojęcia. Popytajcie.

– Czy mogłaby nas pani skontaktować z odpowiednimi osobami?

– Dlaczego ja? Bo o mało co nie zginęłam?

– To chyba dostateczny powód – powiedziała Colomba, którą zaczynało drażnić zachowanie Marty.

– Jestem wdzięczna za to, co pani dla mnie zrobiła. – Ton głosu kobiety zaprzeczał wypowiedzianym słowom. – Nie mam jednak zamiaru nikomu w niczym pomagać. I tak mam już dość kłopotów. Mogę wracać do domu?

Colomba, wyraźnie zniechęcona, rzuciła Dantemu spojrzenie, ale on tego nie zauważył, bo przyglądał się kobiecie jak zaczarowany. Czytał jej w myślach.

– Od jak dawna byliście kochankami? – zapytał bez uprzedzenia.

Marta Bellucci poczerwieniała i otworzyła usta, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Proszę nam wybaczyć... – wtrąciła się Colomba.

Kobieta niespodziewanie zaczęła płakać.

– Idźcie do diabła – mruknęła. – Wy oboje i ci, którzy was przysłali.

Zakryła twarz dłońmi, a przerażony Dante gestem poprosił Colombę, żeby coś zrobiła.

– Przykro mi z powodu pani straty – powiedziała policjantka, uśmiechając się współczująco. – Ale staramy się znaleźć winnych.

– Przecież zamachowiec został zastrzelony, sama pani widziała. Czego jeszcze chcecie? Całkiem zniszczyć mi życie?

– Czy pan Cohen był związany jeszcze z jakąś kobietą? – zapytał nieśmiało Dante zza pleców Colomby.

– I według pana właśnie mnie by się zwierzał? Ale to raczej niemożliwe – dodała z pogardliwym uśmiechem. – Kiedy się spotykaliśmy, był nerwowy, bał się, że żona go przyłapie. Miał obsesję na tym punkcie. – Marta oparła się plecami o samochód. – Ale przecież nie mogło mu przyjść do głowy, że właśnie kiedy będziemy razem, do biura wtargnie jakiś

szaleniec i go zabije. Po tym nieszczęściu wszyscy domyślili się, co nas łączyło. Mój mąż również.

– Biorąc pod uwagę rozwój wypadków... – zaczęła zaskoczona wyznaniem Colomba.

– Biorąc pod uwagę rozwój wypadków, po prostu mnie zostawił. Nawet nie wiem, gdzie się przeprowadził. Porzucił mnie z małym dzieckiem, mając w dupie to, że o mało co nie zginęłam. Gównu go to obchodzi – dodała ze złością.

– Kiedy postanowiliście, że spędzicie razem tamten wieczór? – ciągnęła Colomba.

– Giordano zaproponował mi to rano, kiedy dowiedział się, że żony nie będzie.

– A co to za różnica, skoro i tak spotykaliście się w biurze?

– Po powrocie do domu przed spotkaniem z żoną chciał wziąć prysznic. Obawiał się, że może poczuć mój zapach i inne tego typu pierdoły. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Wszyscy w firmie uważają mnie teraz za kurwę, przez którą zginął szef. W związku z tym nie mam zamiaru się z nimi kontaktować. A następnym razem niech się pani nie wtrąca. Lepiej by było, gdyby pozwoliła mi pani zginąć w zamachu.

Kobieta wróciła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Fajną masz pracę – powiedział Dante. – Ofiary zawsze tak reagują?

– Daj spokój. Sprawdźmy, czy chłopcy będą nam mogli powiedzieć coś użytecznego.

ODPRAWĘ ZORGANIZOWANO U DANTEGO, gdzie Trzej Muszkieterowie dotarli o dwudziestej, po zakończeniu służby. Colomba czekała na nich w holu hotelu i razem poszli na ostatnie piętro. Alberti, który był już kiedyś w apartamencie Dante, zachowywał się jak domownik, podczas gdy dwaj pozostali rozglądali się dookoła z podziwem.

– Tu pewnie kibel jest większy niż całe moje mieszkanie – powiedział Guarneri.

Zdenerwowany Dante przyjął ich w salonie w marynarce i pod krawatem.

– Miło was widzieć, rozgoście się, proszę – powiedział, próbując ukryć skrępowanie.

Nie lubił, kiedy obcy kręcili mu się po domu, zwłaszcza w większej liczbie, i pootwierał wszystkie okna. Wskazał im kanapę, nalegając, aby usiedli właśnie tam.

– Jeżeli chcecie skorzystać z łazienki, to znajduje się w pokoju dla gości. W mojej części jest... bałagan.

– Miałbym ochotę na małe przeszukanko – powiedział Esposito.

– Chyba zacznę krzyczeć – ostrzegł Dante.

– Spokojnie, geniuszu, tylko żartowałem.

Trzej Muszkieterowie rozsiedli się wygodnie, a Esposito zdjął nawet buty.

– Przede wszystkim dziękuję, że przyszliście – zaczęła nieco zakłopotana Colomba. – Nie macie takiego obowiązku, bo nie jestem już waszą przełożoną.

– Chwilowo – zauważył Alberti.

– Moje szanse na powrót do pracy można porównać do wygranej w totka, ale dziękuję za wsparcie. Zamówiłam kanapki i piwo, mam nadzieję, że będą wam smakowały. Poczekamy, aż je przyniosą, a potem zaczniemy.

Słyszając to, Dante zbladł i odciągnął ją na bok.

– Nie wiem, czy przyniosą, bo chyba wyczerpałem kredyt.

– Może będziemy mieli szczęście.

– Znam tę minę. Co przede mną ukrywasz?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i wszedł kelner, pchając przed sobą metalowy wózek, na którym stały przykryte talerze z zimnymi przekąskami, takimi jak focaccia, kanapki i bułeczki, którymi można by nakarmić oddział żołnierzy. Trzej Muszkieterowie rzucili się na jedzenie. Kelner, wychodząc, wręczył Dantemu kopertę, na której ręcznie wykaligrafowano jego nazwisko.

– Od dyrekcji – powiedział.

Dante wziął kopertę i zaczął obracać w zdrowej ręce.

– No tak, nakaz eksmisji... A to chyba ostatni posiłek skazańca. – Popatrzył na Colombę. – Nie, coś jest nie tak. Jesteś zbyt spokojna.

Otworzył kopertę i znalazł zapłacony rachunek za wszystkie usługi z poprzednich miesięcy. Kwota była tak wysoka, że mógłby sobie za nią kupić nowy samochód.

– To twoja sprawka? Jak to zrobiłaś? – zapytał oszołomiony.

– Wystarczył jeden telefon do twojego ojczyma.

– O kurwa – wrzasnął Dante, a Trzej Muszkieterowie przerwali jedzenie, ale po chwili zaczęli mlaskać jeszcze głośniej. – Nie chcę od niego żadnych pieniędzy! – wyrzucił z siebie.

– Ty nie, ale ja tak. Uregulował rachunek swoją kartą kredytową i będzie to robił przez kolejne dwa miesiące. Potem musisz sam o siebie zadbać.

Dante nie odpowiedział, wpatrując się z ponurą miną w czubki butów.

– Nie zrobiłam tego, by wyświadczyć ci przysługę – ciągnęła Colomba. – Skoro mamy razem prowadzić śledztwo w sprawie Giltiné, nie chcę, żebyś się martwił o pieniądze, jasne?

– Przecież umawialiśmy się, że będziemy ze sobą szczerzy – zaoponował Dante, próbując utrzymać oburzony ton.

– A ja właśnie powiedziałam ci prawdę – oświadczyła Colomba z triumfującym uśmiechem.

Potem podeszła do stolika, złapała dwie kanapki z łososiem i padła na kanapę stojącą naprzeciwko tej, którą zajmowali policjanci.

– To, o czym będziemy teraz rozmawiać, musi zostać między nami, bo inaczej ja pogrążę się jeszcze bardziej, ale i wy będziecie mieli kłopoty.

– Wszystko jasne – powiedział Guarneri. – Raz na wozie, raz pod wozem. Takie życie. Dziś pochwała, jutro zawieszenie.

– Nikt nas nie zawiesi – powiedział Esposito, rzucając w kolegę oliwką. – Przestań krakać.

– *Dottoressa*, czego dokładnie szukamy? – zapytał Alberti.

– Dante i ja podejrzewamy, że Musta i Youssef mieli wspólnika lub raczej zleceniodawcę, ale sędzia śledczy nie chce wziąć takiej hipotezy pod uwagę. – Takie przedstawienie sprawy po części odpowiadało prawdzie i pozwalało Colombie ograniczyć poczucie winy. – A ja chciałabym to mimo wszystko sprawdzić.

– Chodzi o kobietę, która zabrała Mustę do Dinozaurów? – zapytał Alberti.

Esposito i Guarneri popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

– A co to znowu za historia? – zapytał pierwszy z nich.

– Pan Torre poprosił mnie o pomoc, kiedy wy byliście na służbie – wyjąkał, zdając sobie sprawę z popełnionej gafy.

– I nic nam nie powiedziałaś? Judasz! – zawołał Guarneri.

– Ej, chłopaki, nie gniewajcie się... – zaczął się usprawiedliwiać, a jego piegi na purpurowej twarzy stały się jeszcze wyraźniejsze.

– Alberti dobrze zrobił, zachowując dyskrecję. – Colomba wybawiła kolegę z opresji. – Oczywiście nie mamy dowodów na istnienie tej kobiety, a nasze podejrzenia nabrałyby konkretnych kształtów, gdybyśmy odkryli, że zamach na CRT nie był przypadkowy.

– A co to ma ze sobą wspólnego? – zapytał Esposito.

– To wskazywałoby na istnienie scenariusza, którego ci dwaj idioci sami nigdy by nie wymyślili – wyjaśnił Dante. – Zwłaszcza że zakładał, iż będą musieli zginąć.

– Antyterrorysty i służby specjalne już szukają tych, którzy dostarczyli im gaz – powiedział Guarneri – tylko że nikt nie wspominał o żadnej kobiecie.

– Mamy nadzieję, że szybko znajdą winnych. W tym czasie chcemy z Dantem pozbyć się naszych wątpliwości. Jest jeszcze coś nowego? – zapytała Colomba.

– Niewiele poza tym, co podano do publicznej wiadomości – powiedział Guarneri. – Na swojej oficjalnej stronie ISIS przyznało się do zamachu na siedzibę CRT. Napisali tam, że ci dwaj byli ich żołnierzami i przysięgali wierność Państwu Islamskiemu.

– A brat Musty został zwolniony z aresztu. Nie postawiono mu żadnych zarzutów – uzupełnił Alberti.

– To dobra wiadomość – ucieszył się Dante, który zajął fotel stojący z boku. – Co będzie ze zwłokami Musty?

– Na razie nic, ciągle jeszcze pozostają w dyspozycji prokuratury – odpowiedział Guarneri.

– Wszyscy *vucumprà*^[15] z jego ojczyzny już szykują się do drogi na pogrzeb – rzucił Esposito z ironią.

– Włochy były jego ojczyzną – sprostował poirytowany Dante.

– Dość tego, chłopaki – uciszyła ich Colomba, przetykając ostatni kęs kanapki. – Znaleźliście coś przydatnego w CRT?

– Zero – powiedział Guarneri. – Służby wszystko zgarnęły. A Santini opieprzył mnie, gdy zajrzałem do rejestrów sądowych.

– I co tam znalazłeś?

– Nic. Wszyscy pracownicy są czyści, a Cohen miał nawet poświadczenie bezpieczeństwa. Dokument wydano cztery lata temu i ciągle jeszcze jest ważny.

– Co to takiego? – zapytał Dante zza kontuaru, gdzie przygotowywał sobie Moscow Mule. Ciągle jeszcze był obrażony z powodu opłaconego przez ojczyzna rachunku i nikomu nie zaproponował drinka.

– Pozwolenie wydawane na podstawie ustawy o ochronie informacji niejawnych – wyjaśnił Alberti. – To znaczy, że Cohen miał dostęp do danych objętych klauzulą tajności.

– Na przykład trzeba mieć takie pozwolenie, jak się tworzy koszary – dodał Guarneri.

– Przecież CRT nie produkowała sprzętu wojskowego – zdziwił się Dante. – To była jedna z pierwszych rzeczy, jaką sprawdziłem.

– Poświadczenie bezpieczeństwa jest potrzebne również w przypadku cywilnej infrastruktury, jeśli uznawana jest za zagrożoną. A w związku z zagrożeniem terrorystycznym lista obiektów ostatnio się wydłużyła.

– To też sprawdziłem – wyjaśnił Dante.

– Trzeba mieć taki dokument w rezerwie, kiedy współpracuje się z firmą, która z kolei ma coś wspólnego z obiektem narażonym na ryzyko – powiedział Guarneri.

Dante rzucił się do pierwszego laptopa, który znalazł się w jego zasięgu, i zaczął gorączkowo przeglądać listę klientów CRT zamieszczoną na stronie firmy.

– Cztery lata temu? – upewnił się Dante.

– Tak, panie Torre – odpowiedział Alberti.

– Ramy czasowe są bardzo użyteczne... O, jest! Cztery lata temu CRT zaczęła dostarczać komponenty firmie Brem/Korr – dodał po chwili. – A teraz zgadnijcie, kogo zaopatruje ten producent? – Popatrzył na zebranych, ale nikt nie kwapił się z odpowiedzią. – Koleje państwowe.

– Jakich elementów dostarcza Brem/Korr? – zapytała Colomba.

– Coś takiego! – Dante obrócił laptopa, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Na ekranie widniało zdjęcie rurki w kształcie litery Y, a pod spodem znajdowały się dane techniczne.

– Muszę poszukać szczegółowych informacji, żeby dowiedzieć się, do czego to służy.

– Nie trzeba, ja już wiem – wyduśla Colomba z zapartym tchem.

Widziała podobną fotografię w czasie zebrania na stacji Termini.

– To element składowy klimatyzacji w pociągach. Właśnie do takiej rurki podłączono butlę z cyjankiem.

DWAJ MUSZKIETEROWIE, GUARNERI i Alberti, bardzo się przejęli odkryciem i mówili jeden przez drugiego.

– Zależało im na precyzji? – zapytał Guarneri. – Wyobrażacie sobie ten plan? Najpierw znaleźli kogoś, kto przekazał im dane techniczne pociągu, a potem go załatwili... Chyba łatwiej byłoby umieścić bombę pod siedzeniem?

– Na widoku? – sprzeciwił się Alberti. – Ktoś tam przecież sprząta. A tak mieli pewność, że się uda.

– Niezdrowo się podniecacie z powodu jednej rurki – powiedział z niechęcią Esposito.

– No coś ty... nie sądzisz, że to ważny ślad? – dopytywał Guarneri.

Esposito wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Jak tylko CRT pojawiło się w kręgu podejrzeń, z każdą chwilą stawał się bardziej ponury i rozdrażniony. Dante od razu zauważył tę zmianę humoru i już chciał zapytać o powód, ale Colomba powstrzymała go gestem. Ona lepiej wiedziała, jak traktować swoich podwładnych.

– Dobra, chłopaki – powiedziała, wstając – zrobiło się późno. Kanapki i piwo się skończyły, więc możemy iść spać. Jeszcze raz dziękuję za spotkanie.

Odprowadziła kolegów do drzwi.

– Kiedy poinformuje pani grupę do zadań specjalnych o naszym odkryciu? – zapytał Alberti, zatrzymując się na progu.

– Niczego nie odkryliśmy, Alberti. Formułujemy tylko różne hipotezy, jasne?

– Tak, *dottoressa*.

– Nareszcie sensowne postawienie sprawy – mruknął Esposito.

Colomba zagroziła mu drogę.

– Możesz na chwilę zostać? – zapytała.

– Przyjechałem z Albertim... – zawahał się zaskoczony policjant.

– Zamówię panu taksówkę. Właśnie się dowiedziałem, że mam nowe fundusze – powiedział Dante, który wyrósł przed nimi jak spod ziemi. –

Mam też coś mocniejszego niż piwo.

Esposito westchnął.

– Zobaczymy się jutro – rzucił w stronę stojących na korytarzu kolegów i zamknął drzwi. – Co takiego zrobiłem?

– Najpierw drink. Może być na bazie wódki? – zapytał Dante.

– A jeśli nie wódka, to co?

– Wódka.

– W porządku.

– Usiądź, proszę – powiedziała Colomba.

Esposito wrócił na kanapę, a po chwili dołączył do niego Dante z dwoma Moscow Mule – jednego przygotował dla siebie – w dużych koktajlowych kieliszkach. Tymczasem Colomba wzięła z lodówki dietetyczną colę z nadzieją, że uda jej się szybciej strawić pochłoniętą wcześniej sporą ilość kanapek.

– Co to jest? – zainteresował się Esposito, wskazując na zielone plasterki w kieliszku. – Cukinia?

– Nie, ogórek. Spokojnie, będzie panu smakowało – zapewnił Dante, siadając naprzeciwko. – Nasza rozmowa zostanie między nami. Przecież jesteśmy po tej samej stronie, nie?

– Jeśli chodzi o nas obu, to nie sędzę.

– Nie mogę zmusić cię do powiedzenia tego, czego nie chcesz, Esposito – powiedziała Colomba. – Ale widać wyraźnie, że ta sprawa z wtyczką w CRT bardzo cię zdenerwowała i chciałabym się dowiedzieć dlaczego. Chyba mam prawo, skoro omal nie przyplaciłam tego życiem.

– A może woli pan, żebym spróbował zgadnąć? – włączył się Dante. – Zwykle kiedy ktoś dotyka ust lub twarzy, oznacza to, że ukrywa jakiś sekret, którego nie może zdradzić lub dysponuje informacjami, których nie powinien wyjawiać, mimo że chciałby. W czasie naszego spotkania dotykał pan twarzy częściej niż zazwyczaj.

Esposito popatrzył najpierw na Dantego, a potem na Colombę.

– Ładna z was para, wiecie? Z całym szacunkiem, *dottoressa*. – Pociągnął łyk. – To jest lepsze, niż myślałem... – wypił kolejny łyk i podjął decyzję. –

W porządku. Znałem Waltera Camprianiego. Strażnika, któremu ta świnka poderżnęła gardło.

– Był policjantem? – zapytał Dante.

– Tak. Kilka lat temu patrolowaliśmy razem ulice. On lubił tę pracę i przez piętnaście lat nawet nie pomyślał, żeby ją zmienić. Nie tak jak te pingwiny, które po miesiącu w radiowozie uważają, że nadają się do wydziału śledczego.

– Dlaczego się zwolnił? – zapytała Colomba, próbując usunąć z głowy obraz Camprianiego leżącego na korytarzu w czerwonej kałuży.

– Zmusili go. Krążyły pogłoski, że bierze łapówki od handlarzy narkotyków w zamian za informacje o nalotach. Od tych naprawdę ustawionych, nie od frajerów z ulicy. Przełożeni woleli załatwić sprawę po cichu, bez udziału sądu.

– Naprawdę brał kasę? – dopytywał się Dante.

– Ja nigdy niczego nie zauważyłem.

– Aaa, skoro tak... – W głosie Dantego pobrzmiwał wyraźny sarkazm.

– Nie widziałem i nie zmienię zdania, nawet gdyby sam Ojciec Niebieski mnie o to pytał – powtórzył policjant ze złością. – On nie żyje, do cholery! Trochę szacunku!

– Ale teraz naszły cię wątpliwości – zauważyła chłodno Colomba. Nie poważała kolegów, którzy przyjmowali łapówki, obojętnie, czy byli żywi, czy martwi.

Esposito przyglądał się własnym dłoniom.

– Nie najlepiej mu się wiodło. W ostatnich latach czasem spotykałem go gdzieś przez przypadek. Była żona zabierała mu połowę pensji, a drugą część przejmowała Kubanka, z którą się związał.

– Czy strażnicy pracują na stałe zmiany? – zwrócił się Dante do Colomby.

– Z reguły tak.

– Musta musiał zabić strażnika, żeby ten nie zaczął sypać. Cała reszta to skutki uboczne – zawyrokował Dante.

– Nie możesz być tego pewny, Geniuszu – obruszył się Esposito.

– I właśnie dlatego pojedziemy teraz odwiedzić wdowę – powiedziała Colomba. – Może zechce porozmawiać ze starym przyjacielem męża.

Z HOTELU, W KTÓRYM MIESZKAŁ Dante, do dzielnicy Monti można dotrzeć spacerem w dwadzieścia minut, ale Colomba nie miała ochoty wlec się tam w towarzystwie naburmuszonego Esposita. Pojechali więc samochodem, chociaż Dante zmusił ją, aby prowadziła jeszcze wolniej niż zwykle, bo jego termometr wewnętrzny zbliżał się do stanu alarmowego.

Mieszkanie strażnika znajdowało się w budynku u zbiegu dwóch ulic, co w centrum Rzymu nie jest niczym niezwykłym. Budynki komunalne stały tu w bezpośrednim sąsiedztwie luksusowych kamienic. Czynnówka Camprianiego znajdowała się tuż obok hali targowej i była w fatalnym stanie. Wejście tarasowały zaparkowane na chodniku samochody oraz ogrodzenie budowy, które blokowało wjazd na jedną z bocznych ulic. Dante zerknął na ciemny dziedziniec i łuszczące się mury.

– Poczekam na was na zewnątrz – powiedział.

– Okej – zgodziła się Colomba.

– Włącz komórkę, chciałbym się przysłuchiwać rozmowie. Albo jeszcze lepiej wideo.

– Zapomnij.

Weszli na czwarte piętro. Otworzyła im kobieta przed czterdziestką, o ciemnej karnacji, z zaczerwienionymi od płaczu oczami. Miała na imię Yoani i przez ostatnie dziesięć lat była towarzyszką życia Camprianiego. Zataczała się wyraźnie i Colomba pomyślała, że jest pod wpływem środków uspokajających lub alkoholu, a zapewne i jednego, i drugiego. W małym mieszkaniu pełno było wiązanek i wieńców, a na ścianie w korytarzu wisiało zdjęcie denata oświetlone mizerną świeczką elektryczną. Pracując w wydziale zabójstw, Colomba często miała do czynienia z ludźmi w żałobie, ale jakoś nie potrafiła się do tego przyzwyczaić. Wyobrażała sobie życie w tych mieszkaniach, gdzie wszystko na zawsze się zmieniło.

Mimo że Yoani była nieco zamroczona, wydawało się, że pierwszy etap cierpienia ma już za sobą. Objęła Esposita, a on próbował ją niezdarnie pocieszać, po czym zaprowadził do kuchni, posadził przy stole i powiedział, że musi z nią porozmawiać.

– Posłuchaj, nie denerwuj się, bo to nic ważnego. Przykro nam, że zawracamy ci głowę w takim momencie, ale sprawdzamy przebieg zamachu i w jaki sposób zginął Walter. Chcielibyśmy zapytać...

– To z powodu tej kobiety, prawda? – przerwała Yoani zachrypniętym głosem. Dobrze mówiła po włosku, miała tylko bardzo silny latynoamerykański akcent. – Od początku wiedziałam, że ma z tym coś wspólnego.

Esposito odwrócił się i popatrzył na przelożoną.

– O jakiej kobiecie pani mówi? – zapytała Colomba.

Yoani nie odpowiedziała.

– Pomóż nam, Yo – powiedział Esposito, biorąc ją za rękę. – Obiecuję, że wszystko zostanie między nami.

– Nikogo nie obchodzi, co ma do powiedzenia kubańska dziwka – powiedziała ze smutkiem, patrząc przed siebie.

– Już z kimś o tym rozmawiałaś?

– Tak, z tą grubaską z prokuratury.

Spinelli, pomyślała Colomba, nie dziwiąc się zbyt.

– I co pani powiedziała?

Yoani wytarła nos i po chwili ciągnęła dalej.

– Wszyscy są przekonani, że byłam z Walterem, bo mnie utrzymywał, ale to nieprawda. Ja go naprawdę kochałam. I byłam o niego zazdrosna.

Opowiedziała o ostatnim okresie ich wspólnego życia, zaznaczając, że zauważyła, jak powoli popada w depresję. Po ukończeniu sześćdziesiątego roku życia czuł się stary i pozbawiony perspektyw, często bywał apatyczny i nie miał ochoty na seks. Tymczasem w ciągu dwóch tygodni poprzedzających tragedię stał się na powrót mężczyzną, w którym zakochała się piętnaście lat wcześniej na Kubie, gdzie – podkreśliła – pracowała jako nauczycielka w szkole podstawowej, a nie jako *jinetera*^[16].

– Moja matka powtarzała, że jeśli mężczyzna nagle jest szczęśliwy i pełen życia, to znaczy, że uprawia seks z nową kobietą. On zaprzeczał, ale i tak mu nie wierzyłam.

Zaczęła go śledzić i pewnego razu zobaczyła, jak wsiada do wielkiego czarnego dżipa, za kierownicą którego siedziała kobieta. Colomba

domyśliła się z opisu, że chodzi o hummera.

– Jak ona wyglądała? Mogłaby ją pani opisać? – zapytała Colomba, starając się, aby w jej głosie nie dało się wyczuć zniecierpliwienia. Przecież mogło chodzić o zwykły zbieg okoliczności, być może Campriani naprawdę miał kochankę.

– Miała bardzo mocny makijaż i takie jasne włosy, że wyglądały na sztuczne. Chyba niezbyt wysoka, ale tego nie jestem pewna, bo siedziała w samochodzie.

– Wiek?

– Trzydzieści, czterdzieści lat... Trudno powiedzieć, biorąc pod uwagę warstwę pudru, a poza tym stałam dość daleko. Ale jednego jestem pewna – Yoani zawahała się na chwilę – to była okrutna kobieta.

– Skąd wiesz, Yo? – zapytał Esposito.

– Poznałam po uśmiechu – kobieta znowu patrzyła w dal. – Zawsze myślałam, że jak przyłapię Waltera z inną, to pobiję ich oboje. A wtedy się przestraszyłam i stałam za rogiem jak głupia.

Colomba upierała się w myślach, że chodzi o zwykły przypadek, ale z każdym słowem Yoani czuła, że oszukuje samą siebie.

– Czy rozmawiała pani o tym z panem Camprianim po jego powrocie do domu?

– Tak. Zapewnił mnie, że chodzi o jakąś dodatkową robotę i nie mam powodów do niepokoju. A potem... – spojrzała na Colombę oczami pełnymi łez. – A potem kochaliśmy się po raz ostatni.

Colombie zaschło w gardle i zanim zadała kolejne pytanie, odezwała się jej komórka. Numer prywatny. Kiedy odebrała, usłyszała w słuchawce znajomy głos.

To był Leo.

– Posłuchaj uważnie i nie mów nikomu, że do ciebie dzwoniłem – powiedział na wstępie komandos. – Powinnaś natychmiast opuścić to miejsce. Już po ciebie jadą.

COLOMBA POSTANOWIŁA NIE tracić czasu. Wysłała wiadomość przy użyciu aplikacji Snapchat, po czym zawołała Esposita.

– Musimy się zbierać – rzuciła.

Słyszając ton jej głosu, policjant zerwał się na równe nogi.

– Co się stało?

– Później ci powiem – powiedziała, podchodząc do Yoani. – Jeśli ktoś będzie nas szukał, proszę nie mówić, że nas pani widziała. I niech pani nie wspomina nikomu o kobiecie w czarnym samochodzie. To bardzo ważne. Zrobi to pani dla mnie?

Kobieta popatrzyła na Esposita, szukając w jego oczach aprobaty, a policjant skinął głową.

– Mam rację? Ta kobieta ma coś wspólnego ze śmiercią Waltera? – zapytała Yoani.

– Sądzę, że tak – odpowiedziała Colomba, która zachowywała się, jakby siedziała na szpilkach. – Ale jeśli opowie pani o tym policji, nie będę mogła jej dalej szukać.

Yoani pokiwała powoli głową.

– Dobrze.

– I niech pani nie rozmawia o tym przez telefon – zawołała Colomba, stojąc już w drzwiach.

Kiedy znaleźli się na ulicy, po samochodzie nie było już śladu i Colomba podziękowała w myślach Dantemu za to, że wykonał jej polecenie. Biegiem pokonali z Espositem zamkniętą dla ruchu ulicę i dotarli na pobliski plac Zingari, gdzie grupa około pięćdziesięciu młodych ludzi rozmawiała, paląc skręty.

Przed kim my właściwie uciekamy? – pomyślała. W odpowiedzi radiowóz z włączonym kogutem skręcił z piskiem opon w sąsiednią ulicę, a za nim natychmiast pojawił się następny. Z okna wystawał lizak karabinierów. Na twarzy Esposita malowało się wyraźne zdziwienie.

– Kuzyni? To dlatego musieliśmy uciekać? – zapytał, dysząc ciężko.

– Na to wygląda – odpowiedziała Colomba, która zaczynała rozumieć powagę sytuacji. – Rozmawiając z Yoani, wdepnęliśmy w gówno.

– I to wielkie, jak widać!

Jakby na potwierdzenie jego słów na końcu ulicy, którą przed chwilą przeszli, pojawiło się dwóch gliniarzy po cywilnemu. Zmierzali w kierunku placu, torując sobie drogę łokciami.

– Spadamy stąd – zarządziła Colomba.

Oboje w swojej policyjnej karierze śledzili dostatecznie wielu podejrzanych, aby wiedzieć, jak nie rzucać się w oczy, więc oddalili się, krążąc po zaułkach i wąskich uliczkach, aż wreszcie znaleźli się w okolicach Forum Romanum. Tam Colomba wyjęła baterię z komórki i poprosiła Esposito, żeby zrobił to samo.

– Myśli pani, że będą nas szukać w domu? – zapytał, kiedy wykonał polecenie.

– Nie mam pojęcia. Może lepiej, żebyś przenocował dzisiaj gdzie indziej.

– Moja żona będzie zachwycona...

– Przykro mi. Jak się czegoś dowiem, od razu cię zawiadomię. Wiesz już, u kogo się zatrzymasz?

Esposito przytaknął i podał jej numer telefonu przyjaciela, a ona powtórzyła, żeby dobrze zapamiętać.

– Czy szuka pani właśnie tej kobiety, o której wspomniała Yoani? To przez nią całe to zamieszanie?

– Prawdopodobnie – odpowiedziała wymijająco, bo ciągle jeszcze nie mogła do końca zaakceptować tej możliwości. – Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mogła.

Pożegnali się i Colomba udała się na poszukiwania budki telefonicznej. W końcu udało jej się znaleźć działający aparat, chociaż słuchawka śmierdziała winem, a przezroczyście ściany pokrywały rozmaite napisy i graffiti.

Dante zdążył już wrócić do hotelu.

– Co się stało? – Był tak zdenerwowany, że połykał sylaby.

– O mało nas nie nakryli, Dante.

– Ludzie w mundurach czy bez?

– W mundurach.

– Powinienem się przygotować na nieprzyjemnych gości? – zapytał łamiącym się głosem.

– Nie wiem, ale na wszelki wypadek zawiadom adwokata.

– W porządku, chociaż ma dzisiaj degustację wina i wścieknie się, jeśli zepsuję mu wieczór – zawahał się na moment. – CC... nie chciałbym, żebyś się sama kręciła po mieście.

– Nic mi nie będzie. Niedługo znowu zadzwonię.

Odłożyła słuchawkę, czując, że nadrabia miną, po czym wyjęła z portfela wizytówkę Lea i zadzwoniła.

– To ja – powiedziała.

Leo nie pozwolił jej dokończyć, podał jej tylko adres lokalu w dzielnicy San Lorenzo – La Mucca Brilla. Colomba знаła ten pub, bo znajdował się niedaleko dawnego mieszkania Dantego. Latem właściciele otwierali werandę na wolnym powietrzu i Dante czuł się tam w miarę dobrze.

Dotarła do celu około pierwszej w nocy, kiedy w lokalu była już tylko starsza para i grupa młodzieży. Leo siedział przy jednym ze stolików i ze swego miejsca mógł swobodnie obserwować wejście. Miał na sobie białą koszulkę i jasną marynarkę, podkreślającą jego atletyczną budowę ciała. Kiedy zobaczył Colombę, wstał i się uśmiechnął. Sprawiał wrażenie rozluźnionego, a przynajmniej o wiele spokojniejszego niż ona.

– Dla mnie to samo – powiedziała Colomba, wskazując na piwo.

Mężczyzna skinął na kelnera, który błyskawicznie uwinął się z zamówieniem. Colomba jednym haustem opróżniła pół kufla.

– Jestem poszukiwana?

– Nie.

– Całe szczęście – odetchnęła z ulgą – no to powiedz mi wreszcie, o co chodzi.

– Za bardzo interesujesz się zamachem.

– Niczym się nie interesuję.

– Colombo... grupa do zadań specjalnych odkryła, że byłeś u sekretarki z CRT, a dzisiaj wieczorem u kobiety Camprianiego. Obie są jeszcze pod

obserwacją. Nie pomyślałaś o tym?

– Właściwie tak, ale nie spodziewałam się, że tak szybko zareagują. Kto wydał rozkaz, żeby mnie zatrzymać?

– Di Marco z agencji wojskowej. Chciał przyłapać cię na gorącym uczynku i dać nauczkę.

Colomba bardzo dobrze znała tego oficera. To właśnie on był głównym oponentem Dantego, kiedy ten wskazywał na związki Ojca z tajnymi służbami. Zresztą niechęć była obustronna.

– Ma przeciwko mnie jakieś dowody?

– Naprawdę sądzisz, że się tym przejmuję w sytuacji, kiedy trwa śledztwo w sprawie ataku terrorystycznego? Mogliby zabrać cię bezpośrednio z mieszkania, ale wtedy nadużycie byłoby zbyt wyraźne. W końcu jesteś w połowie bohaterką.

– Pół bohaterka, pół idiotka – mruknęła Colomba. – Jak się o wszystkim dowiedziałeś w tak krótkim czasie?

– W oddziale byli dwaj moi żołnierze. Śledzili cię na placu.

– Pozwolili mi uciec?

– Mogę ci tylko powiedzieć, że oni też cię lubią.

– Tak jak ty? – wyrwało się Colombie i zaraz tego pożałowała.

– Przecież jestem tutaj, nie? – powiedział Leo z uśmiechem.

– Możesz mieć i inne powody. Na przykład zauważyłeś, że ta cała sprawa z odpowiedzialnością ISIS jest trochę naciągana.

Leo oparł się wygodnie na krześle i popatrzył jej w oczy.

– Ktoś ci już powiedział, że jesteś uparta?

– I ciekawska? Jasne, nawet przed chwilą.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Tajne służby kierują się ściśle określonymi regułami i nie rozpowiadają na prawo i lewo, jakie są powody ich działań – powiedział po chwili poważnie. – Wykonuję rozkazy i nie zajmuję się śledztwem, tylko bezpieczeństwem i aresztowaniem...

– Czuję, że jest jakieś ale...

– Wszyscy bardzo się spieszą, żeby zamknąć tę sprawę. Może chodzi po prostu o demonstrację skuteczności. Ale jeśli istnieje niebezpieczeństwo,

że ktoś może ponownie podłożyć gdzieś bombę, to wolałbym o tym wiedzieć.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Na razie odwiedziłam tylko pewną wdowę.

Na twarzy mężczyzny pojawił się smutny grymas.

– Ryzykuję dla ciebie zwolnieniem, a ty mi nie ufasz.

Colomba w milczeniu dopiła piwo.

– Dziękuję za pomoc. Mówię poważnie – dodała wreszcie, nie patrząc mu w oczy.

– Okej. Pójdę zapłacić.

Właśnie wstawał, gdy Colomba chwyciła go za rękę. Nie zaplanowała tego gestu i nie przewidziała, że on się pochyli i wszystko skończy się namiętym pocałunkiem.

– Przypuszczam, że nie ma szans, żebyśmy zakończyli ten wieczór w innym miejscu? – szepnął zachrypniętym głosem, kiedy się od siebie odsunęli.

– Mam twój numer.

– A ja twój – powiedział z bezczelnym uśmiechem.

– Od kiedy?

– Miałem go już, zanim sama mi go dałaś. Muszą być jakieś korzyści z przynależności do grupy do zadań specjalnych, nie?

Colomba poczekała, aż Leo zapłaci i wyjdzie, a potem przeszła pod opuszczoną do połowy żaluzją i włączyła komórkę. Najpierw zadzwoniła do Esposito, który bardzo się ucieszył, a później do Dantego.

– Jesteś na wolności? – zapytał, przeciągając poszczególne słowa, i Colomba zrozumiała, że wziął końską dawkę jakiegoś specyfiku.

– W więzieniu zabierają ci komórkę. Zaraz będę u ciebie po samochód.

– Dobra. Wejdz na górę, mam ci coś do powiedzenia – dodał na zwolnionych obrotach.

– Co odkryłeś?

– Nic. Wymyśliłem tylko, że nasza Giltiné jest o wiele dokładniejsza, niż nam się wydaje. I muszę udać się w krótką podróż, żeby to sprawdzić.

GILTINÉ OPRÓŻNIŁA JEDNĄ z półek regału, po czym oczyściła dokładnie powierzchnię, usuwając nawet najmniejszy pyłek kurzu. W chirurgicznych rękawiczkach na bandażach zdezynfekowała igłę nad płomieniem turystycznej kuchenki i umieściła zarodniki na dziesięciu sterylnych szkiełkach laboratoryjnych, które natychmiast zabezpieczyła. Każde szkiełko było podwójne, jak nadziewane ciasteczko, a w środku znajdowała się cienka warstwa agar-agaru. Zarodniki należały do gatunku *Psilocybe mexicana*, grzyba uznawanego przez Azteków za dar Xochipilli, księcia kwiatów, boga miłości. Agar zaś był żyzną glebą pod uprawę.

Produkcja magicznych grzybów była dość skomplikowana. Wystarczało minimalne zanieczyszczenie, aby zniszczyć uprawę, a kiedy już zarodniki zakwitły wewnątrz szkiełek, należało je przenieść do sterylnych słoiczków wypełnionych mieszanką mąki, ryżu i wermikulitu – ilastego minerału używanego jako podłoże w terrariach – i czekać, aż wyrosną. Cały proces zajmował dwa tygodnie i wiązał się z niezliczonymi komplikacjami, ale zarodniki miały tę przewagę, że można je było łatwo ukryć, a psy szukające narkotyków i bomb nie miały szans na ich wykrycie. Były doskonałą przenośną bronią, mimo że nie zabijały ofiary, a jedynie osłabiały jej siłę woli i sprawiały, że stawała się niezwykle podatna na manipulacje.

Giltiné nadzorowała równocześnie drugą hodowlę. Był to ergot, grzyb rozwijający się w sporyszu i wywołujący zatrucia lub niesamowite sny. Po destylacji służy do produkcji LSD, ale w pierwotnej formie jest śmiertelny. Po przyjęciu wywołuje nie tylko halucynacje, ale również gangrenę i konwulsje. Ma także dodatkową zaletę, a mianowicie jest bardzo odporny na wysoką temperaturę, co w średniowieczu odczuły na własnej skórze tysiące osób porażone ogniem Świętego Antoniego po spożyciu skażonego chleba. Giltiné umiała produkować i inne trucizny, na przykład na bazie pestek owoców, z których pozyskiwała esencje, a nawet z niektórych owadów rozmnażających się łatwo w niewoli. Trzymała je teraz w małym

terrarium obok zarodników, ale miała nadzieję, że w Wenecji nie będą jej potrzebne. A potem... może już nie będzie żadnego potem.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Giltiné słyszała kroki na klatce schodowej, jeszcze zanim gość nacisnął dzwonek, a teraz podeszła bezszelestnie do drzwi i zajrzała przez judasza. Na korytarzu stał przewoźnik.

– O co chodzi? – zapytała, siląc się na francuski akcent. Nie mogła mu otworzyć, bo nie nałożyła jeszcze makijażu.

– Pani Poupin? To ja, Pennelli.

– Tak, słucham.

– Zapomniałem prosić o podpisanie rachunku dla agencji. To potrwa tylko chwilę.

Mężczyzna zbliżył kartkę do judasza, a Giltiné przyjrzała jej się dokładnie. Rachunek wyglądał na autentyczny i prawdopodobnie taki był. Ale taksówkarz bezczelnie kłamał.

– Chwileczkę – powiedziała – właśnie wyszłam spod prysznic.

Pobiegła do pokoju, owinęła się szlafrokiem i nałożyła perukę. Nie miała czasu na charakteryzację, więc sięgnęła po maseczkę z alg. Kiedy nałożyła ją na twarz, poczuła okropny ból, ale osiągnęła pożądany efekt. Na dłoniach miała jeszcze lateksowe rękawiczki i postanowiła je wykorzystać. Czasami kosmetyczki ich używają i Pennelli powinien uwierzyć, że służyły do dokładniejszego rozprowadzenia maseczki. Do kieszeni szlafroka włożyła skalpel. Na wszelki wypadek.

Kiedy otworzyła, mężczyzna rozejrzał się dookoła z uniesioną hardo głową właściciela obchodzącego swe włości.

– Robi się pani na bóstwo – zauważył, przyglądając się jej uważnie.

Za tymi na pozór neutralnymi słowami Giltiné wyczuła źle skrywaną wrogość. Udała jednak, że niczego nie dostrzega.

– Proszę o rachunek do podpisania – powiedziała.

– Najpierw chciałbym zobaczyć pani dokumenty. Najlepiej paszport.

Giltiné przechyliła na bok głowę i spojrzała mu w oczy. Nie można było dostrzec wyrazu jej twarzy, ukrytej pod maseczką.

– A po co?

– Wie pani, czym się zajmowałem, zanim zostałem taksówkarzem?

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Niech pani spróbuje chociaż zgadnąć – ciągnął mężczyzna, rozpierając się wygodnie na kanapie.

– Był pan wojskowym. Albo policjantem – powiedziała Giltiné, myśląc równocześnie, że najlepszym rozwiązaniem byłoby pokroić go na kawałki i spuścić w muszli klozetowej. Mogłaby też użyć profesjonalnej maszynki do mięsa, ponieważ zależało jej na czasie. Niestety, ryzyko było zbyt duże. Giltiné nie miała pewności, czy Pennelli nie poinformował już kogoś o swoich zamiarach, i musiała liczyć się z wizytą jego kolegów lub policji, a to przeszkodziłoby jej w wykonaniu zadania. – I lubił pan tę pracę.

Pennelli nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Ja pierdołę, ale ma pani sokole oko. Ale ja też nieźle sobie radzę. Pracowałem jako celnik na granicy i kontrolowałem podróżnych, którzy chcieli dostać się do Włoch. Niektórzy posługiwali się fałszywymi dokumentami, a mnie zawsze udawało się ich namierzyć. Koledzy mówili, że jestem czarodziejem. Nawet jeśli paszport nie wzbudzał podejrzeń, zawsze wyczuwałem, kiedy ktoś ukrywał prawdziwą tożsamość. – Zwilżył wargi językiem i dodał: – Tak jak pani.

Pennelli nieco przesadził, opowiadając o własnych zasługach, chociaż nie za bardzo. Uważano, że doskonale radzi sobie w rozpoznawaniu twarzy, miał ku temu wrodzony dar. Pamiętał twarze poszukiwanych osób i bezbłędnie je rozpoznawał nawet w perukach i ze sztucznymi wąsami. Tylko że nikt nie uznawał go za czarodzieja, co najwyżej za podłą świnię. Kiedy został przyłapany na wykradaniu z walizek podróżnych wartościowych przedmiotów, żaden z kolegów specjalnie się nie zdziwił.

– W pani dokumentach, które dostałem w agencji, jest coś dziwnego. Jeszcze nie wiem dokładnie co, ale jeśli się postaram, mogę to odkryć.

Giltiné milczała.

– Może jest pani terrorystką, która chce podłożyć bombę na placu Świętego Marka, bo ja wiem?

– Nie jestem terrorystką.

Mężczyzna śledził ją spod przymkniętych powiek.

– Może i nie, ale coś pani ukrywa. Chce pani poznać moją opinię? Uważam, że przed czymś pani ucieka. Na przykład zrobiła pani jakieś głupstwo w swoim kraju albo zostawiła pani brutalnego męża.

Giltiné uznała, że facet naprawdę nieźle sobie radzi.

– Czego pan chce? – zapytała.

Słyszając te słowa, taksówkarz uśmiechnął się szeroko. Ucieszył się, że kobieta nawet nie próbuje zaprzeczać. Przynajmniej wszystko pójdzie gładko.

– Co mi pani proponuje? I niech pani nie próbuje mnie przekupić szybkim numerkiem, bo nie mam ochoty na obciążanie. *Przynajmniej na razie.*

– Pieniądze?

– Ile?

– Nie mam przy sobie większej gotówki. Poza tym jest mi potrzebna.

– Ile?

– Dziesięć tysięcy.

– Powiedzmy, dwadzieścia. Nauczyłem się, że nigdy nie należy się zgadzać na pierwszą ofertę.

Giltiné pozwoliła, żeby upłynęło trochę czasu, zanim się zgodziła. Gdyby przystała na jego propozycję od razu, mężczyzna mógłby nabrać podejrzeń.

– Przyjdę za dwa dni. Nie przewiduję zmiany terminu.

– W porządku.

Pennelli podniósł się z kanapy i parsknął z pogardą. Przechodząc obok kobiety, wyciągnął rękę, żeby poklepać ją po tyłku.

– Gdyby mi pani od razu dała napiwek, oszczędziłaby pani sobie kłopotów.

Giltiné złapała go za przegub, zanim zdołał zrealizować swój zamiar. Mężczyzna próbował się wyrwać, ale okazało się to trudniejsze, niż przypuszczał. Palce kobiety ścisnęły jego dłoń z taką siłą, że tamowały przepływ krwi.

– Proszę mnie nie dotykać – powiedziała i zwolniła uścisk.

– Parszywa zdzira – rzucił przez próg Pennelli.

Giltiné pobiegła do łazienki i pospiesznie zmyła z twarzy maseczkę. Chciała jak najszybciej pozbyć się tej paskudnej, ściągającej skórę warstwy. Potem, już w swojej zwykłej masce, usiadła przy komputerze i zaczęła szukać informacji na temat taksówkarza. Postanowiła, że w najbliższych dniach złoży mu wizytę.

POCIĄG INTERCITY WJechał na stację w Mediolanie o godzinie trzynastej, a podróż wcale nie upłynęła Colombie spokojnie. Kupiła bilet w drugiej klasie, ale i tak cały czas widziała wokół siebie zwłoki pasażerów z luksusowego przedziału pierwszej klasy. Nie mogła usiedzieć na miejscu i poszła tam, żeby zobaczyć czworo pasażerów pochylonych nad komórkami i tabletami, jakby kilka dni temu zupełnie nic się nie stało. Pomyślała, że być może jest to dobry sposób: życie biegnie swoim torem i nie należy przejmować się na zapas problemami, które mogą się pojawić. Próbowwała się odprężyć przez resztę podróży, która miała trwać około trzech godzin, ale kiedy z wagonu restauracyjnego dobiegł zapach przypalonego tosta, zerwała się przerażona i pobiegła sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Ponure myśli rozproszył nieco telefon od Santiniego, na który nie odpowiedziała, i w konsekwencji dostała wiadomość nagrany na sekretarkę, ale i wtedy odsłuchiwała tylko dwa pierwsze słowa wypowiedziane ze złością podniesionym głosem: „Caselli, kurwa...”. Tymczasem Leo wysłał jej uśmiechniętego emotikona, wprawiając ją w lepszy humor. Zamiast odpowiedzieć mu w ten sam sposób, wysłała link do ściągnięcia aplikacji Snapchat. Nie chciała tracić z nim kontaktu i zdecydowała, że lepiej skorzystać z wojennej techniki Dantego. Nie miała co prawda pewności, czy służby specjalne podsłuchują jej rozmowy, uznając, że nawet taki matoł jak Di Marco nie powinien sądzić, że maczała palce w zamachu, ale tak naprawdę to miała mętlik w głowie.

Dworzec główny mieścił się w imponującym dwupiętrowym budynku pozostałym po epoce faszyzmu. Ozdabiały go kamienne gargulce, z których tryskała deszczówka. Colomba zeszła głównymi schodami i znalazła się na placu, na którym królował posąg ogromnego jabłka otoczony namiotami Czerwonego Krzyża. Wszędzie kręciły się grupki emigrantów o przestraszonych oczach. Deszcz zacinał coraz mocniej, ale w tym momencie pojawiła się Bart z parasolem w jednej ręce i smyczą z dwoma labradorami w drugiej. Psy były przemoczone do suchej nitki, ale

Colomba nie była w stanie odmówić im pieszczot, bo od czasu, kiedy zabiła dobermana, który ją zaatakował, czuła się winna wobec całego psiego rodu.

– Cześć! Przepraszam za spóźnienie – powiedziała z uśmiechem Bart, ciągnąc za smycz. – Zaparkowałam kilometr dalej, bo przed stacją nie można znaleźć miejsca, same zakazy i roboty drogowe. Potrzywasz mi parasol?

Colomba wzięła go, a Bart ujęła ją pod ramię i poprowadziła wzdłuż via Settembrini do volkswagena kombi, w którym śmierdziało psami, a na fotelach pełno było sierści.

– Przepraszam, muszę tu posprzątać – powiedziała Bart.

– Nie przejmuj się, dobrze, że nie widziałas mojego – odpowiedziała Colomba, myśląc, że to też część kary. – Już dość dawno nie byłam w Mediolanie – dodała, przyglądając się nowym wieżowcom powstałym przy okazji Expo. – Pogoda jak zwykle paskudna, ale miasto się zmieniło.

– Nie daj się zwieść błyszczącym światłom. ‘Ndrangeta^[17] działa tu prętniej niż w Kalabrii. A ja wiem o tym najlepiej, bo jak coś idzie nie tak, to zawsze ktoś ląduje na moim stole.

– Co za przyjemne zajęcie – zaśmiała się Colomba.

– Najlepszy zawód na świecie.

Bart mieszkała w dawnej fabryce przekształconej na apartamenty typu loft oraz undergroundowe lokale, takie jak studia tatuażu czy herbaciarnie. Budynek przypominał miasto w mieście, a średnia wieku mieszkańców i klientów wynosiła dwadzieścia lat. Bart lubiła to miejsce, bo psy mogły tu biegać swobodnie, a ona nie musiała wyłączać radia nawet w środku nocy, bo głośna muzyka nikomu nie przeszkadzała. Od czasu do czasu sąsiedzi organizowali szalone imprezy i Bart zmieniała się w pogotowie ratunkowe, pomagając tym, którzy przesadzili z ketaminą lub innymi syntetycznymi narkotykami.

Apartament Bart mieścił się na dwóch poziomach i urządzono go z wyrafinowanym gustem i fantazją. Przy wejściu wisiał wielki hamak, a w całym mieszkaniu pełno było pamiątek z licznych podróży służbowych. Kobieta mieszkała sama i często jeździła po świecie, bo różne laboratoria zwracały się do niej z prośbą o pomoc w analizie starych kości. Poza tym

doskonale gotowała i na cześć Colomby przyrządziła ogromną porcję zapiekanego makaronu, na który policjantka rzuciła się jak sęp na padlinę. W towarzystwie Dantego musiała zadowalać się daniami wegetariańskimi, a sos na bazie mięsa mielonego przygotowany przez Bart był naprawdę wyśmienity.

Przy piwie zaczęły rozmawiać na zwykłe, niezwiązane z pracą tematy i Colomba uświadomiła sobie, że nie zna większości filmów i książek, które w ostatnich latach odniosły sukces.

– Żyjesz jak pustelnik. Poza pracą świata nie widzisz – powiedziała Bart, przygotowując kawę.

Colomba uśmieła się na kolorowej pufie w salonie z przeświadczeniem, że po obiedzie przytyła co najmniej dwa kilogramy.

– Ostatnio nawet nie pracuję – zauważyła ze smutkiem.

– Na jak długo cię zawiesili?

– Obawiam się, że na zawsze.

– Nie mów tak! – oburzyła się Bart. – Jesteś superglina, najlepszą, jaką znam.

Colomba pokręciła głową.

– Po katastrofie już prawie złożyłam dymisję, miałam ją tylko podpisać, ale Rovere przekonał mnie, żebym odłożyła decyzję na później. A potem Curcio zachęcił mnie do powrotu.

– A teraz zostawił cię samą.

– Zrobił, co mógł. To ja popełniłam błąd – przyznała Colomba.

Nie umiała obwinać szefa o całą tę sytuację, bo wiedziała, co oznacza kierownicza funkcja w policji.

– Według mnie wykonałaś dobrą robotę – powiedziała Bart, wróciwszy do salonu z tacką, na której ustawiła kawiarkę, dwie filiżanki i talerzyk z czekoladkami w kształcie kocich języczków. – Zobaczysz, że wszystko się ułoży.

Colomba wzięła czekoladkę i ugryzła kawałek.

– Mam do ciebie prośbę.

– A ja myślałam, że to zwykła wizyta towarzyska! – zawołała, udając rozczarowanie.

- Bo tak jest, uwierz mi! Ale...
- Dobrze, dobrze, żartowałam. Mów, o co chodzi.
- Podczas zebrania w Rzymie powiedziałaś, że zamachowcy popełnili błąd, podłączając butlę z gazem. Jesteś tego pewna?
- Zabili dziewięć osób, a nie sto dziesięć, jeśli to nie pomyłka... – zdziwiła się Bart. – Gaz rozprzestrzenił się przez system klimatyzacyjny tylko w jednym wagonie.
- A może zrobili to celowo?
- Bart spoważniała w okamgnieniu.
- To nie jest tylko przypuszczenie, zgadza się?
- Przyjmijmy jednak, że tak. Kiedy będziesz zeznawać, przynajmniej nie będziesz musiała kłamać. Powiedzmy, że chodzi o babskie pogaduszki.
- Bart odłożyła filizankę.
- Dante jest w to wplątany? Teraz rozumiem, skąd te pytania w kostnicy!
- Nic o tym nie wiem.
- Będę się o ciebie martwić.
- Niepotrzebnie.
- Przecież to normalne. Ty się nie martwisz o przyjaciół? – Bart westchnęła, a potem wyjaśniła: – Śmiertelna dawka cyjanku to mniej więcej pięćset miligramów na metr sześcienny powietrza. W zbiorniku nie było wystarczającej ilości na cały pociąg.
- Im większa przestrzeń, tym słabsze działanie – powiedziała Colomba.
- Właśnie. Stężenie byłoby coraz mniejsze w kolejnych wagonach, a w tych na końcu lub na początku składu, w zależności od kierunku przepływu skażonego powietrza, pasażerowie ryzykowaliby jedynie zatruciem.
- Dlaczego nie przygotowali większego zbiornika?
- Bart szybko wykonała w myślach konieczne obliczenia.
- Musiałby być co najmniej dziesięć razy większy, a za płytą nie ma tyle miejsca. Ale jeśli podłączyliby pojemnik inaczej, to z pewnością zginęłoby więcej osób, a pozostałe poważnie odczułyby skutki zatrucia.
- Możesz podać konkretne liczby?

Bart pokręciła głową.

– Na razie nie. Istnieją modele obliczeniowe kalkulujące rozprzestrzenianie się gazu w zamkniętych pomieszczeniach, jeśli chcesz, mogę to dokładniej zbadać. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że pociąg nie był hermetycznie zamknięty, a więc część gazu ulotniła się przez drzwi i okna.

– Jak rozumiem, część pasażerów na pewno by się uratowała? – powiedziała Colomba, czując zimno w brzuchu, jakby właśnie połknęła bryłę lodu.

– Tak na oko więcej niż połowa.

Colomba zadrżała z zimna i wyraźnie pobladła na twarzy.

Bart oczywiście musiała to zauważyć.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak, przepraszam, że cię męczę. To z ciekawości. Jasne, że popełnili błąd.

Bart zmrużyła oczy.

– Jak nie chcesz mi powiedzieć prawdy, to nie mów. Ale przestań wciskać mi taki kit, okej?

Colomba spuściła wzrok. Spędziły razem jeszcze ze dwie godziny, ale przyjemna atmosfera gdzieś się bezpowrotnie ulotniła. W końcu Colomba zamówiła taksówkę i pożegnała przyjaciółkę. Siedząc w samochodzie, pomachała jej ręką, ale Bart stojąca w deszczu przy dawnej bramie fabrycznej nie zareagowała. Policjantka chciała odłożyć pocucie winy tam, gdzie znajdowały się już inne, ale odkryła, że nie ma wolnego miejsca.

Po przybyciu na dworzec znalazła pustą ławkę w pobliżu ruchomych schodów i czekając na pociąg, wysłała wiadomość do Dantego. On oddzwonił natychmiast, z niecierpliwością domagając się wieści.

– Nie mam pewności, że twoje przypuszczenia są trafne – zaczęła Colomba, nie zważając na zimno, które przeniosło się teraz do płuc. – Jest jednak duże prawdopodobieństwo, że nasz anioł działa z premedytacją i specjalnie podłączył zbiornik z gazem w taki sposób, by zabić tylko pasażerów z luksusowego wagonu. Może nienawidzi bogaczy.

– Nie ona jedna, jeśli mam być szczery. Ale mam inne zdanie na ten temat. Uważam, że chciała ukryć swój prawdziwy powód – stwierdził Dante.

Właśnie w tym momencie Colomba przypomniała sobie starą książkę, którą czytała w ulubionym fotelu, kiedy była na zwolnieniu po paryskiej katastrofie. Były to *Przygody ojca Browna* i chociaż zawsze starała się unikać powieści detektywistycznych, tym razem całkowicie pochłonęły ją opowieści wiejskiego wikarego, który rozwiązywał zagadki kryminalne przy wykorzystaniu metody analitycznego rozumowania.

W jednym z opowiadań oficer morduje swojego kolegę, wyszczerbiając przy okazji szablę. Aby ukryć zbrodnię, wysłała więc swój regiment na pewną rzeź, wszyscy giną i w ten sposób nikt nie podejrzewa wcześniejszego morderstwa. Ojciec Brown rozwiązał zagadkę za pomocą metafory, która dla Colomby miała teraz smak potwornej prawdy. *Gdzie mędrzec ukryłby liść? W lesie. Jeśli nie byłoby w pobliżu żadnego lasu, to sam by go stworzył. A jeśli chciałby ukryć martwy liść, stworzyłby martwy las. Jeśli więc chciałby ukryć trupa, wykorzystalby miejsce pełne trupów.*

– Giltiné przygotowała swoje pole trupów – szepnęła.

Chociaż Dante nie wiedział, do czego odnosi się ostatnie zdanie, w lot zrozumiał, co przyjaciółka ma na myśli.

– Jej celem był tylko jeden z pasażerów i ukryła go wśród ofiar, wymyślając fikcyjny powód zamachu, a potem eliminując wszystkich zamieszanych w przygotowania i realizację ataku. Masz pojęcie, jaką tytaniczną pracę wykonała ta kobieta? Pomyśl tylko o strategii, którą wcieliła w życie.

– Zaczynasz ją podziwiać? Jeśli tak, to natychmiast przestań – zdenerwowała się Colomba.

– Podziwiam jej inteligencję, a nie metody i cele. I zastanawiam się, jaki jest powód tej zabawy w ciuciubabkę? Przed kim ta kobieta się ukrywa? Bo na pewno nie przed policją ani służbami specjalnymi.

– Skąd wiesz?

– Bo powołując się na ISIS, dobrze wiedziała, że postawi w stan gotowości wszystkie państwowe służby bezpieczeństwa. Gdyby chciała

tego uniknąć, upozorowałyby wypadek jak w Grecji czy w Niemczech.

– Według ciebie wypadek wyklucza dokładne śledztwo?

– W tym przypadku nie. Ona jest przekonana, że tym razem nie może tego uniknąć. Nie znamy tylko powodów, które nią kierują. Chyba że postanowiła zorganizować coś na tyle bulwersującego, by uśpić czujność swojego wroga, kimkolwiek on jest. Może to być na przykład ISIS.

– Jest jeszcze jedno wyjaśnienie, Dante. Nikt jej nie zagraża, ona jest po prostu szalona – powiedziała Colomba bez przekonania.

– Mam nadzieję, CC. Pragnąłbym, żeby tak było. Bo za nic w świecie nie chciałbym spotkać tego, kto jest w stanie przestraszyć anioła śmierci.

FRANCESCO NIE KOCHAŁ swojej matki. Utrzymywał to w tajemnicy przez wiele lat, chociaż sytuacja drażniła go jak zepsuty ząb. Kiedy był dzieckiem, matka była dla niego, podobnie jak prawie dla wszystkich ludzi, bytem idealnym, źródłem szczęścia i radości. Z wiekiem zaczął jednak dostrzegać u niej wiele wad ukrytych pod wyrafinowanym sposobem mówienia i eleganckimi ubraniami.

W czasie pogrzebu w mediolańskiej katedrze, w którym udział wzięli przedstawiciele władzy, orkiestra karabinierów i tłum nieznanomych ciągnący się za trumną, Francesco nie uronił ani jednej łzy. Aby ukryć obojętność, założył ciemne okulary i z godnością wziął na siebie zadanie najstarszego syna, ściskając dłonie i obejmując krewnych, którzy dodawali mu otuchy, podczas gdy on czuł jedynie pustkę. Zepsuty ząb został usunięty, a on bezustannie przesuwał językiem po pustym miejscu, nie czując wcale bólu, ale ulgę zmieszaną z poczuciem winy. Przywitał się również z kilkoma klientami agencji, którzy przy składaniu kondolencji nie zapomnieli o tym, aby ustawić się odpowiednio do kamery z wystudiowaną miną.

Francesco gardził nimi, podobnie jak gardził słabością swego brata Tankreda, który pojawił się na ceremonii tak nafaszerowany środkami uspokajającymi, że ledwo trzymał się na nogach. Matka poświęciła życie na zajmowanie się stadem idiotów, traciła energię i inteligencję na to, by prezentowali się jak najlepiej.

Zastanawiał się, jak ona mogła z nimi wytrzymać, a nieoczekiwana odpowiedź otworzyła mu oczy. Znosiła ich, ponieważ była taka sama jak oni, powierzchowna i fałszywa. Może właśnie dlatego opuścił dom zaraz po skończeniu studiów z ekonomii, chociaż zajęcia, którymi się do tej pory parał, nie zaspokajały jego oczekiwań i czasami z niechęcią musiał prosić rodzinę o pomoc.

Teraz nadszedł wreszcie czas, by zamknąć pewien rozdział. Po pogrzebie udał się prosto do siedziby agencji matki po dokumenty, żeby przekazać je księgowemu i dopełnić formalności związanych z przejęciem

firmy. Biuro znajdowało się na dziesiątym piętrze jednego z bliźniaczych wieżowców nazywanych Pionowym Lasem, które zbudowano w nowym centrum biznesowym w Mediolanie powstałym przy okazji Expo. Nazwa wzięła się stąd, że na tarasach posadzono ponad dwa tysiące drzew z zamiarem połączenia ekologii i rozpasanego luksusu. Wyglądało to jak swego rodzaju architektoniczny oksymoron. Tylko nieliczni uprzywilejowani mogli tu mieszkać lub pracować. Przede wszystkim bankierzy z zagranicy i kilku uznanych artystów. Był wśród nich również znany raper, który w swoich tekstach nawoływał do buntu przeciw panującemu porządkowi społecznemu.

Wszedł do biura, otworzywszy drzwi kluczami, które oddali mu na policji. Było to przestronne *open space* z meblami w delikatnych, pastelowych kolorach i kolekcją dzieł współczesnych artystów. Jedyne dwa biurka ukryte dyskretnie za murkiem świadczyły, że jest to miejsce pracy, a nie zwykły salon. Jedno z nich należało do jego matki. Na błyszczącym hebanowym blacie leżały okulary do czytania, których zapomniała, wybierając się do Rzymu, oraz zapasowa ładowarka do telefonu. Stało tam też stare rodzinne zdjęcie, na którym wszyscy wyglądali na podejrzenie szczęśliwych. Zrobili je niedługo przed tym, jak ojciec siadł za kierownicą pod wpływem alkoholu i rozbił się na obwodnicy, w miejscu, gdzie teraz leżał bukiet sztucznych kwiatów.

Dziura w dziąśle powiększyła się, odsłaniając kość, a Francesco poczuł wreszcie ból. Usiadł i wziął do ręki fotografię w srebrnej ramce, aby przyrzeć się jej z bliska. Matka miała na sobie błękitną sukienkę i cienki sznur pereł. Położyła dłoń na ramieniu małego Francesca w instynktownym opiekuńczym geście. Wydało mu się, że ciągle jeszcze czuje ciężar i ciepło jej dotyku, przyjemność kontaktu z matką.

Dziura w dziąśle powiększyła się jeszcze bardziej, a ból stał się nie do zniesienia. W tym momencie Francesco zrozumiał lekcję, którą wcześniej czy później wszyscy musimy odrobić. Nie można bezboleśnie przerwać ogniwa łączącego nas z osobą, która wydała nas na świat. Możemy próbować uciec przed bólem, ale on i tak prędzej czy później nas dopadnie i rzuci na ziemię.

Francesco wytarł nos chusteczką higieniczną, zebrał siły i otworzył mały sejf w ścianie, gdzie przechowywane były dokumenty. Kilka miesięcy wcześniej matka podała mu kombinację pod koniec jednego z rodzinnych obiadów, w którym przez przypadek uczestniczył.

– Dlaczego ja? – zdenerwował się wtedy. – Podaj numer Tankredowi, to on lata za tobą jak mały piesek.

– Ty jesteś starszy – odpowiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu, którego zresztą bardzo rzadko używała.

Wprowadził kombinację i otworzył sejf, w którym były dwie półki. Na górnej znajdowały się pliki banknotów i skoroszyty, dolną wypełniały koperty. Jego uwagę przyciągnęła ta w kremowym kolorze. Szorstki w dotyku luksusowy papier wyraźnie odróżniał ją od zwykłych kopert zawierających kontrakty. W miejscu przeznaczonym na znaczek widniał odcisnięty znak wodny przedstawiający stylizowany most i małe, okrągłe twarzyczki wychylające się zza balustrady. Koperta była zabezpieczona lakiem do pieczęci i zaadresowana słowami: DLA FRANCESCA – DO RĄK WŁASNYCH.

Obracał ją w dłoniach z niecierpliwością. Co takiego mogła zawierać? Testament? Był przekonany, że matka go nie zostawiła. A jeśli zawiera jakąś nieprzyjemną niespodziankę? Na przykład informację, że zarządzanie firmą przechodzi w ręce jego niewydarzonego braciszka?

Miał teraz okazję, żeby temu zaradzić. Sięgnął po znajdujący się w pojemniku na długopisy nożyk do papieru i rozciął kopertę, po czym wyjął ze środka dwie białe złożone kartki, chroniące nośnik pamięci USB. Włożył go do portu komputera stojącego na biurku. Pendrive zawierał tylko jeden plik o nazwie COW (co, do cholery, ma z tym wspólnego krowa?), a kiedy kliknął, aby go otworzyć, uruchomił się program diagnostyczny, który zakończył się komunikatem: *Przed otwarciem plików z danymi należy wyłączyć wi-fi oraz kablowe łącze internetowe. Należy również odłączyć wszystkie zewnętrzne twarde dyski.*

Francesco z niedowierzaniem przeczytał informacje po raz drugi. Co to ma znaczyć? System zabezpieczający? Jakie interesy prowadziła jego matka, że zdecydowała się na tak wysoki poziom bezpieczeństwa?

Zaskoczony wypełnił wszystkie instrukcje. Wtedy program zażądał, aby przyłożył kciuk do czytnika optycznego podłączonego do klawiatury, a serce Francesca zaczęło walić jak oszalałe. O co tu, kurwa, chodzi?

Po raz kolejny wykonał polecenie i jego odcisk palca został zaakceptowany, bo na ekranie pojawiło się wreszcie około dziesięciu plików. Otworzył pierwszy i ukazały się numery i daty. Zaczął czytać, potem z narastającym zdumieniem przeszedł do kolejnego. Zauważył, że dokumenty po zamknięciu same się kasują i wracają na pendrive'a. Do północy przeczytał wszystko i poczuł ból w karku spowodowany długim siedzeniem w tej samej pozycji. Wstał z krzesła, odsunął elektryczne rolety i obserwował oświetlone miasto, próbując otrząsnąć się z szoku i zdziwienia.

Ostatni plik, który otworzył, zawierał jedynie numer telefonu i krótką wiadomość, którą matka napisała do niego kilka dni przed tym, jak podała mu kombinację liczb do sejf.

Mój drogi Francesco, jeśli wszystko dokładnie przeczytałeś, wiesz, jaka jest stawka w tej grze. Teraz musisz zdecydować.

Jeśli nie chcesz więcej słyszeć o całej sprawie, proszę Cię, żebyś zniszczył pendrive'a i z nikim o tym nie rozmawiał. Nawet z bratem i z narzeczoną. Tankred nie nadaje się do prowadzenia rodzinnych interesów, a ktoś, kto nie potrafi trzymać języka za zębami, mógłby zaszkodzić drogim mi osobom. Jak sądzę, doskonale rozumiesz, że lepiej temu zapobiec. Jeśli natomiast zechcesz włączyć się do gry, musisz jedynie wybrać podany numer i przedstawić się temu, kto odbierze.

Wiem, że wybór nie jest łatwy i chciałabym być przy Tobie w tym trudnym momencie. Ale jeśli otworzyłeś sejf i czytasz ten list, to oznacza, że mogę jedynie życzyć Ci szczęścia.

*Kocham Cię
Mama*

Po przeczytaniu tych słów Francesco wpadł w szal.

– Jak możesz prosić mnie o coś takiego? Jak możesz!?! – krzyczał w pustym pokoju.

Potem wrócił do kontemplacji nocnej panoramy Mediolanu i powoli się uspokajał, bo o tej porze miasto wydawało się niemal piękne. Z wysokości dziesiątego piętra widział nawet połyskujący złotem posąg Matki Boskiej.

Złoto. Piękny kolor. Jeśli podejmie się realizacji planu, który przygotowała dla niego matka – świeć Panie nad jej duszą – będzie to kolor jego przyszłego życia. Pożegna się natychmiast z firmą import-eksport, w której za głodową pensję zajmuje się relacjami z Bliskim Wschodem, i z durnymi kolegami, niepotrafiącymi spojrzeć dalej niż czubek własnego nosa. Odprawi również narzeczoną, którą już dawno się znudził, a tolerował jedynie dlatego, że pochodziła z doskonale sytuowanej rodziny. Teraz nie będzie jej już potrzebował.

Wrócił za biurko i wybrał numer.

Głos po drugiej stronie wyjaśnił mu, co ma robić.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ IV
Psycho Killer

Wcześniej – 2006

W STYCZNIU COSTA DEL Sol nie jest już tak zjawiskowe jak latem, ale morze w Marbelli ma kolor tak intensywny, że aż bolą oczy. Po obu stronach nadmorskiego pasażu rosną palmy. W pobliżu jednego z kąpielisk stoi grupka mężczyzn w kurtkach, udając, że podziwia widoki. Przed nimi na plaży w długich szeregach ciągną się cementowe podstawy parasoli. Tylko jeden, biało-żółty, jest teraz otwarty. Pod parasolem na leżakach z uniesionymi oparciami siedzą dwaj mężczyźni i rozmawiają, nie patrząc na siebie.

Pierwszy ma na imię Sasza i ciało spasionego kulturysty. Jest ubrany w czerwoną bluzę z napisem España i nie ma butów, bo lubi czuć między palcami zimny piasek. Na stoliku pod parasolem leżą dwie komórki wysadzone drogimi kamieniami, z których usunięto baterie.

Drugi mężczyzna to Maksim. Lata spędzone na polowaniach odznaczyły się na jego twarzy. Ma zapadnięte policzki, ostre rysy i matowe, zmęczone oczy.

– Wybaczone ci, Sasza – mówi.

Sasza, mimo hiszpańskiego obywatelstwa, które otrzymał po zawarciu małżeństwa, nadal jest do szpiku kości Rosjaninem. I dobrze wie, że Moskwa nigdy nie daje prezentów.

– Czego chcę w zamian?

– Żebyś dalej robił to, co zacząłeś.

– Tylko że razem z nimi. Wszystko jasne.

Od kiedy Sasza został zmuszony do opuszczenia swojego kraju, zajmuje się transformacją oblicza południa Hiszpanii. Nowe hotele, luksusowe kurorty, dyskoteki tworzone za pomocą spółek offshore zarejestrowanych na Cyprze, w Panamie i na Wyspach Dziewiczych. Kąpielisko, na którym się teraz znajdują, również należy do jednego z jego holdingów. Każdego roku setki milionów euro z przemytu narkotyków oraz haraczy zmienia się w nieruchomości i rozrywkę, a prawie cała ta suma przechodzi przez jego ręce.

Maksim zaciera dłonie, które są lodowate, chociaż temperatura oscyluje w granicach siedemnastu stopni.

– W zamian gwarantuję ci spokój.

– Nie potrzebuję ochrony.

– Sprawdzają cię, Sasza. Lepiej, żebyś mógł liczyć na ich przyjaźń.

W ostatnich tygodniach Saszę męczył powracający koszmar. Śnił mu się powalony byk, w innej wersji zwierzę zamykano w klatce i kastrowano. Teraz rozumiał przyczynę: sny zawsze zapowiadają prawdziwe zdarzenia.

– Wyjadę do innego kraju – powiedział.

– Gdzie chcesz jechać? W każdym europejskim kraju czekają cię aresztowanie i ekstradycja. W Ameryce nie masz czego szukać. A wielka matka Rosja przyjmie cię z otwartymi ramionami. Pod warunkiem, że zostaniesz tutaj do czasu, gdy załatwimy wszystkie sprawy.

Kiedy Maksim wspomniał o matce Rosji, w jego głosie dało się wyczuć wyraźną ironię.

– A jeśli wcześniej wsadzą mnie za kratki? – Ryk zarzynanego byka z kosmaru ciągle rozbrzmiewał w jego głowie.

– Masz jeszcze rok, może dwa. To wystarczająco dużo czasu, żeby przenieść pieniądze z kont spalonych spółek na te, które ci wskażę.

Sasza nie pyta go, skąd zna wszystkie szczegóły tajnego śledztwa. W środowisku kryminalnym Maksim jest swego rodzaju legendą. Niektórzy twierdzą, że służył w oddziałach specjalnych Armii Radzieckiej, inni – że w KGB, a potem w FSB, Federalnej Służbie Bezpieczeństwa. Z pewnością można powiedzieć o nim tylko tyle, że w każdym miejscu, które odwiedza, ktoś źle kończy. Ale Sasza może być spokojny, ponieważ dzisiaj myśliwy trzyma w ręku gałązkę oliwną.

– A co potem?

– Wrócisz do domu.

Dom.

Sasza oczami wyobraźni widzi spacerujące aleją Liteyny dziewczyny w krótkich spódniczkach i na wysokich obcasach, mimo że na ulicach leży śnieg. Widzi chłopców z odkrytymi głowami, w ich włosach połyskują kryształki lodu.

– To tym się teraz zajmujesz? Sprowadzasz do domu synów marnotrawnych?

Maksim się uśmiecha, bo rozmówca niemalże trafił w sedno.

– W zamian za drobną przysługę.

– To znaczy?

– Muta^[18]. Przyjechałem po nią.

Kulturysta robi zdziwioną minę, chociaż wcale nie powinien. Muta nie jest legendą, jak Maksim, tylko dlatego, że zabiła większość osób, z którymi się zetknęła.

– Ona nie pracuje dla mnie.

– Nie na stałe, wiem. Ale korzystałaś z jej usług przy różnych okazjach. Również w Hiszpanii. Chcę, żebyś pomógł mi ją sprowadzić do domu.

Z twarzy kulturysty opada granitowa maska. Przyzwyczaił się do Muty, jak się przyzwyczajają do naładowanej broni w kieszeni.

– Chodzi o Puskę, prawda?

Na dźwięk tego słowa Maksim sztywnieje. Nikt go już nie używa, nawet on sam, nawet Biły.

– Co wiesz o Puszce?

– Poszperałem co nieco. Krążą na ten temat różne plotki. Jedna z nich głosi, że dziewczyna uciekła właśnie stamtąd. I być może ty też.

Maksim nie odpowiedział i kulturysta zrozumiał, że stąpa po bardzo grząskim gruncie. Co prawda na ulicy ma swoich ludzi i wcześniej zdarzyło mu się już kogoś zamordować gołymi rękami, ale Maksim to jedna wielka niewiadoma. Lepiej go nie drażnić.

– Nic pewnego nie udało mi się ustalić. Wiem tylko, że chodzi o jakieś miejsce – wyjaśnił.

– Paskudne miejsce – potwierdził Maksim, myśląc o swoim pięćsetkilometrowym marszu, który miał go zaprowadzić na wolność. I o kolejnych tysiącach kilometrów pokonanych w ciągu ostatnich lat na pokładach wojskowych i cywilnych samolotów, aby przynieść kość swojemu panu. Niezależnie od pokonanej drogi cień Puski nigdy go nie opuścił.

– To dlatego Muta jest taka, jaka jest – zauważył kulturysta.

– Już dawno przestałem się nad tym zastanawiać. I tobie radzę to samo, Sasza.

Maksim po raz pierwszy zwraca się do niego po imieniu i kulturysta rozumie, że rozmowa dobiegła końca. Kiedyś złodzieje mieli swój kodeks honorowy. Najważniejsza reguła zabraniała takim jak Maksim robienia interesów z ludźmi pokroju Saszy. Ale dawne czasy bezpowrotnie minęły, a stare zasady pokrył kurz. Sasza wykorzysta mocodawców Maksima przeciwko swoim wrogom, a Maksim wykorzysta Saszę, żeby chronić interesy swoich zwierzchników.

Decyzja została podjęta.

Kulturysta zwraca smutne oczy w stronę morza, po tym jak drugi mężczyzna wyczytał z nich odpowiedź, po którą przyszedł.

MUTA LEŻY NA piasku dwieście metrów dalej i obserwuje całą scenę przez lornetkę udoskonaloną w ten sposób, by szkła nie odbijały się w blasku słońca. Ma około trzydziestu lat i stalowe mięśnie, jest niewysoka, ale szeroka w ramionach i prawie wcale nie przypomina dziewczynki, która podczas pobytu w Puszcze ani razu nie zapłakała. Nosi krótko obcięte włosy, a jej skóra jej zaczerwieniona od wiatru.

Ochroniarze jej nie zauważyli, ale za to ona doskonale ich widzi, dostrzega także, jak zmienia się wyraz twarzy Saszy. I rozumie, że została sprzedana.

Wie, że musi uciekać.

CORAZ BARDZIEJ ZDENERWOWANA Colomba z plecakiem na ramieniu stała niedaleko wejścia na stację metra Re w Rzymie, kiedy coupé w kolorze patelni zaparkował niezdarnie kilka metrów od niej. Najpierw pomyślała, że karoserii przydałaby się wizyta u lakiernika, ale po chwili zdała sobie sprawę, że dziwny odcień wynika z braku koloru, wyjąwszy dwie zielone boczne podłużnice. Dopiero kiedy dwoje drzwi otworzyło się automatycznie jak skrzydła mewy, rozpoznała model. Był to DeLorean DMC prosto z *Powrotu do przyszłości*, w swojej oryginalnej wersji z nierdzewnej stali. Za kierownicą siedział oczywiście Dante.

– Wskakuj na pokład, Marty McFly! – zawołał. Był ubrany jak poszukiwacz skarbów w żałobie, brakowało mu jedynie kapelusza safari.

Colomba nie ruszyła się z miejsca. Dopiero w tej chwili zrozumiała, dlaczego Dante nalegał, że weźmie swój samochód, zamiast wynająć jakiś na mieście.

– Odstaw go do garażu. Nie mam zamiaru się ośmieszać.

– Wszyscy będą ci zazdrościć. Na świecie zostało jeszcze tylko dwadzieścia tysięcy jeżdżących egzemplarzy. A ja posiadam jeden z nich.

– Trzymasz go w swoich kapsułach czasu?

– Jak się domyśliłaś?

– Intuicja. – Colomba obeszła samochód dookoła, przyglądając się mu krytycznie.

– Wszystko zgodne z obowiązującym prawem, pani władzo – zapewnił Dante. – Światła ksenonowe, nowe stereo, klimatyzacja, pasy bezpieczeństwa. Zainstalowałem też automatyczne otwieranie drzwi. I opcję zasilania gazem Gpl.

– Kupiłeś taki model, żeby go potem modyfikować?

– Masz pojęcie, ile on pali?

Dante otworzył bagażnik, a Colomba wrzuciła plecak i zamknęła klapę. Potem podeszła do drzwi od strony kierowcy.

– Przesuń się.

– Co??? – oburzył się Dante.

– Pociąg ci nie odpowiada, o samolocie tym bardziej nie ma mowy, więc musiałam się zgodzić na podróż do Niemiec twoim samochodem. Ale widziałam, jak parkujesz. Przesuwaj się, ale już!

Dante zrobił to, mrużąc coś pod nosem, a Colomba usiadła za kierownicą. Wrażenie było całkiem przyjemne, chociaż nie ceniła zbyt wiele automatycznej skrzyni biegów. Nacisnęła gaz i samochód wyrwał się do przodu.

– Nieźle – powiedziała. – Ile wyciąga?

– Za dużo – odpowiedział Dante, który zrobił się blady jak trup.

ZANIM WJECHALI NA autostradę, zatrzymali się na stacji benzynowej, gdzie czekał na nich Alberti, udając, że myje przednią szybę samochodu. Dante poszedł zatankować do pełna, a Colomba zbliżyła się do policjanta.

– Wow – zawołał. – Wraca pani do przeszłości?

– Z Dantem zdarza mi się to niemal codziennie.

– W takim wozie niełatwo wam będzie przemknąć niezauważalnie, ale sam też chętnie bym się przejechał.

– Innym razem. Jakieś nowe informacje na temat ofiar z pociągu?

– Staramy się, na ile to możliwe, ale na razie nie mam nic do przekazania.

– Dobra. My z Dantem wyjeżdżamy na kilka dni.

– Gdzie jedziecie?

– Do Niemiec. Jeśli Giltiné naprawdę istnieje, to może właśnie ona stoi za zamachem w Berlinie sprzed dwóch lat. Może uda nam się znaleźć coś użytecznego.

Colomba już wcześniej poinformowała Trzech Muszkieterów o podejrzaniach Dantego i w tej sytuacji ukrywanie szczegółów nie miało sensu. I tak tkwili w tym po uszy.

– A jak nic pani nie znajdzie?

– Taką mam właśnie nadzieję. Ale tam przynajmniej Spinelli i grupa do zadań specjalnych nie będą mi stawać na drodze.

Pięgi na twarzy Albertiego znacznie się uwydatniły.

– Szefowie są naprawdę wściekli, *dottoressa* – zaczął niepewnie. – Santini opierdolił Esposita z góry na dół za to, że poszedł z panią do wdowy po strażniku.

– Wiem. Do mnie też dzwonił kilkanaście razy.

Colomba odebrała jedynie telefon od dziwnie oficjalnego i oschłego Curcia, którego zapewniła, że wyjeżdża na długie wakacje. Oczywiście nie powiedziała, gdzie się wybiera.

Położyła dłoń na ramieniu policjanta.

– Massimo, przecież wiesz, dlaczego wzięłam cię do oddziału, chociaż nie byłeś jeszcze gotowy?

– Nie byłem gotowy? – zapytał ze zdziwieniem.

– Daj spokój, nie każ mi tego powtarzać.

Alberti spuścił głowę, czerwieniąc się jak burak.

– Bo mam do ciebie zaufanie – ciągnęła Colomba. – Esposito już nie pamięta, co to znaczy być dobrym policjantem, a Guarneri... sama nie wiem, może powinien częściej się pieprzyć. Natomiast jestem pewna, że ty zawsze będziesz próbował postępować uczciwie.

– A czy jest pani pewna, że warto kontynuować to śledztwo?

– Tak. Przynajmniej do czasu, gdy nie stwierdzimy ponad wszelką wątpliwość, że się mylimy i że chodzi jedynie o niezwykle ciąg zbiegów okoliczności. Nie będziemy używać komórek, a więc żadnych rozmów ani esemesów. Gdybyś miał coś pilnego do przekazania, napisz maila. Ale lepiej, żebyśmy się wcale nie kontaktowali. Nie wiem, kto może nas podsłuchiwać lub czytać wiadomości.

– Chyba powinniśmy być po tej samej stronie?

– Chyba tak. – *Tylko jakoś trudno mi w to wierzyć*, dodała w myślach.

Nagle, pod wpływem impulsu, podała mu wizytówkę Lea, którą ciągle miała przy sobie, chociaż numer знаła już na pamięć. Poprzedniej nocy przez dwie godziny wymieniała z nim wiadomości jak jakaś nastolatka. Wysłała mu także zdjęcie i zaraz tego pożałowała. Za późno.

– Jak będziesz miał kłopoty albo uznasz, że grupa do zadań specjalnych wzięła cię na celownik, możesz zadzwonić do mojego znajomego. To zastępca komendanta z oddziału antyterrorystycznego. Nazywa się

Bonaccorso i był z nami w meczecie. Rozmawiałam z nim wtedy, może pamiętasz?

– W typie Jasona Stathama z włosami?

– Jeśli twój Jason jest dobrze zbudowany i ma bezczelną minę, to masz rację. Nie wiem, czy będzie mógł ci pomóc, ale na razie nic więcej nie mogę zrobić. Kontaktuj się z nim na Snapchacie.

– Okej, chociaż mam nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby. – Alberti schował wizytówkę do kieszeni i podał Colombie CD w małej reklamówce. – Zrobiłem dla pani składankę na podróż.

– Twoje kompozycje?

– Tak, nowe kawałki.

– O, jak miło! Dziękuję – powiedziała z nadzieją, że zabrzmiało to szczerze.

Pożegnała się szybko i zniknęła w wehikule.

– Co to jest? – zapytał Dante, patrząc na płytę, którą Colomba rzuciła mu na kolana.

– Ostatnie dzieło Albertiego – powiedziała, z trudem starając się zachować powagę.

Dante otworzył okno i za pierwszym zakrętem rzucił płytą jak dyskiem, trafiając do pojemnika na śmieci.

– Wielka szkoda, ale była źle skopiowana.

Potem podłączył nośnik MP3 do radia i puścił na cały regulator *The Power of Love*, wywołując zaniepokojenie przechodniów. Colomba zawstydziała się, jakby siedziała w skradzionym samochodzie, i natychmiast ściszyła muzykę, zastanawiając się, czy nie wyrzucić przez okno także Dantego. Podczas podróży słuchali muzyki vintage i rozmawiali na temat Giltiné i jej przestępczej działalności, ale żadna z hipotez nie wydawała się prawdopodobna.

– Przyjmijmy, że jej celem są konkretne osoby i że wszystkie masakry służą temu, by ukryć właściwą ofiarę – powiedziała Colomba. – Pytanie brzmi: W jaki sposób wybiera swoje cele?

– Może ktoś jej płaci?

– Miałam do czynienia z kilerami, Dante. Pracowali dla mafii i zabijali swoje ofiary, strzelając do nich pod domem z kałasznikowa. A jeśli nie chcieli zostawiać śladów, to rozpuszczali ciała w kwasie.

– Są też płatni mordercy na wyższym poziomie.

– Na przykład Carlos zwany Szakalem? Ten, który oferował swe usługi ludziom, którzy płacili najwięcej? Tylko że on wcale nie dbał o dyskrecję. Wprost przeciwnie. Poza tym wyobraź sobie, że musisz zlikwidować przeciwnika lub niewygodnego świadka. Chciałbyś czekać miesiącami, aż Giltiné znajdzie idealnego kozła ofiarnego i go zmanipuluje?

– Masz rację, to się nie opłaca.

– No i trzeba wziąć pod uwagę kwestię miejsca. Kiler pracujący na obcym terenie łatwiej może popełnić błąd. Są jeszcze media. Większość mafiosów nie zawaha się co prawda zorganizować rzezi, jeśli to konieczne, ale wiedzą, że w takiej sytuacji muszą liczyć się z natychmiastową reakcją ze strony państwowych sił bezpieczeństwa.

– Zostają więc powody osobiste. Ona musi mieć jakiś własny cel, dla którego gotowa jest wszystko zaryzykować.

– Naprawdę uważasz, że działa sama? A może ma współników, chociaż nie udało nam się jeszcze trafić na ich ślad?

– Analizując jej ruchy i to, jak planuje swoje akcje, widzę tylko jedną rękę, którą kieruje cierpliwy i niezwykle precyzyjny umysł. Nic nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi i zawsze udaje jej się znaleźć słabe punkty u przeciwników.

– Potwór. A ty mówisz o niej w taki sposób, jakbyś ją podziwiał.

– CC, ona mnie przeraża i boję się, co jeszcze może zrobić. A najbardziej obawiam się jej przeciwnika, który może być jeszcze gorszy.

Colomba poczuła dreszcz, bo sama też myślała podobnie i podgłośniła piosenkę *In the Air Tonight* Phila Collinsa. Chociaż był to jeden z jej ulubionych kawałków, to tym razem nie zdołała się zrelaksować. Wiedziała, że szukanie w Berlinie śladów Giltiné dwa lata po pożarze lokalu było dość ryzykownym ruchem, ale jaki miała wybór? Przeszukiwać dno morskie u wybrzeży Grecji lub zlokalizować bar w Sztokholmie, w którym jakiś mężczyzna prawdopodobnie poderwał Giltiné? Albo dalej

interesować się śledztwem w sprawie zamachu w pociągu, wiedząc, że sama jest pod specjalnym nadzorem? W Berlinie znali przynajmniej miejsce, w którym Giltiné się pojawiła, pod warunkiem, że można ufać stronie internetowej pod nazwą Der brave Inspektor – Odważny Detektyw – gdzie na home page’u wyświetla się zdjęcie siedemdziesięcioletniego Jima Morrisona.

– POINFORMOWAŁEM DZIENNIKARZA O NASZYM przyjeździe – powiedział Dante, gdy na jego prośbę zatrzymali się na trzecim z kolei parkingu, żeby rozprostować nogi. Nawet we własnym aucie po kilkudziesięciu kilometrach Dante zaczynał zachowywać się, jakby ukąsiła go tarantula. Wiercił się, drapał, prychał i nie mógł spokojnie usiedzieć na miejscu. W końcu otwierał okno i wystawiał głowę na zewnątrz.

– Masz na myśli tego masturbującego się kolesia? – uściśliła Colomba, po czym zatopiła zęby w kawałku zimnej, tłustej pizzy.

Dante wzniósł oczy ku niebu.

– Mogłabyś nie szydzić z naszego jedyne go miejscowego kontaktu?

– Najpierw musimy sprawdzić, czy się w ogóle na coś przyda.

– On wcale nie jest taki niewydarzony, jak myślisz. W Niemczech jest znaną osobą w kręgach zainteresowanych zagadkami kryminalnymi, a jego książki dobrze się sprzedają. Poza tym mówi po angielsku. Ucieszył się na nasze spotkanie, chociaż nie podałem mu nawet powodu. Mamy się spotkać jutro wieczorem przed kawiarnią Starbucks w Sony Center.

– Świetnie! Zawsze chciałam spróbować ich kawy.

– Mówisz tak, żeby mnie wkurzyć, co? – Dante zgasił kolejnego papierosa. – Mogę cię zmienić za kierownicą, jeśli chcesz. Na autostradzie nie trzeba parkować.

– Czego się dzisiaj nałykałeś?

– Tylko benzodiazepiny i modafinilu.

– Alkohol?

– W dozwolonej ilości.

Colomba pokręciła głową.

– Czasami zastanawiam się, jak udało ci się przeżyć tak długo.

– Staram się trzymać z daleka od złego towarzystwa – odpowiedział Dante z typowym dla siebie grymasem.

GIUDECCA JEST ARCHIPELAGIEM wysepek położonych na południe od historycznego centrum Wenecji. W linii prostej z placu św. Marka to zaledwie dwa kroki, ale żeby na nie dotrzeć, trzeba przepłynąć kanał o tej samej nazwie i dlatego dociera tam znacznie mniej turystów. Mieszkanie Roberta Pennellego znajdowało się w dzielnicy Santa Croce, niedaleko *ponte degli Scalzi*, i należało do typu mieszkań nazwanego *porta sola*, co w lokalnej nomenklaturze oznacza lokal z osobnym wejściem i małym ogródkiem, w którym latem spożywa się posiłki. Pennelli mieszkał tam z Darią, puszystą brunetką, którą nazywał narzeczoną, kiedy był w dobrym humorze. Łatwo sobie wyobrazić, jak ją nazywał, kiedy miał podły humor, a zdarzało mu się to dość często. W Mestre miał też żonę i dwoje dzieci, z którymi spotykał się raz w tygodniu.

Daria sprzątała właśnie jadalnię, a mężczyzna wyszedł zapalić papierosa, rozmyślając o kobiecie, która twierdziła, że nazywa się Sandrine Poupin. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, szantażując ją i żądając pieniędzy w zamian za swoje milczenie. Może należało po prostu zadzwonić na policję? Miał pewność, że nie jest terrorystką. Kiedy sprawdzał paszporty, wyczuwał terrorystów instynktownie, a przynajmniej tak mu się wydawało. Ale nie przekonywało go również twierdzenie, że chodzi o kogoś, kto się ukrywa. Wcale nie sprawiała wrażenia, że łatwo ją przestraszyć. No i jeszcze ten ciężki makijaż, bez którego nie wychodziła z domu, jakby chciała ukryć coś więcej niż tylko tożsamość.

Może jest chora? To by wyjaśniało wiele rzeczy, przede wszystkim jej dziwne zachowanie. Może cierpi na jakąś poważną chorobę skóry i przyjechała do Wenecji, żeby leczyć się u jednego z tych specjalistów, u których zwykła wizyta pociągała za sobą zaciągnięcie kredytu. A to z kolei stało w sprzeczności z fałszywymi dokumentami.

Daria wyjrzała na zewnątrz.

– Jakaś kobieta do ciebie – powiedziała tonem kogoś, kto podejrzewa zdradę.

Pinnelli nienawidził jej zwyczaju kontrolowania go i wsadzania nosa w jego sprawę. Daria podejrzewała, że chodzi do łóżka ze wszystkimi swoimi klientkami, a przecież odkąd byli ze sobą, to zdarzyło się tylko dwa razy, a ona nie miała żadnych szans, żeby wykryć jego skoki w bok. Po prostu miała pstro w głowie, ot co.

– O tej godzinie? – Zdenerwował się. – Kto to jest?

– A skąd mam wiedzieć? – Daria wróciła do jadalni, a mężczyzna skierował się do drzwi, myśląc, że znajdzie tam jedną z koleżanek z pracy lub stałą klientkę, która pilnie potrzebuje jego usług.

Tymczasem na progu stała fałszywa Sandrine w zapiętym po samą szyję płaszczu przeciwdeszczowym, umalowana jak ulicznica. Krew uderzyła mu do głowy.

– Co pani tu robi? – zapytał i ruszył z zamiarem wyrzucenia jej za drzwi.

Tymczasem nie zdążył jej nawet dotknąć, bo kobieta uderzyła go w kark jakimś twardym przedmiotem i Pennelli padł na podłogę jak ćwierć wołu, niezdolny nawet do poruszania nogami.

Giltiné ominęła go i bezszelestnie przeszła do jadalni, gdzie Daria kończyła sprzątanie. Chwyciła ją od tyłu za szyję i ścisnęła mocno, blokując przepływ krwi. Kobieta już po chwili straciła przytomność. Giltiné ułożyła ją na podłodze i wróciła do przedpokoju po Pennellego, który z wysiłkiem usiłował się podnieść. Po raz drugi uderzyła go w to samo miejsce kongiem i tym razem mężczyzna zemdlał. Kongo to mała drewniana pałka, mieszcząca się w dłoni, zakończona dwoma dyskami wystającymi na zewnątrz. Nie sposób uznać tego przedmiotu za broń, zwłaszcza jeśli służy jako rączka do szczotki. Kiedy jednak ktoś potrafi go używać, może łamać kości i blokować kluczowe dla przepływu krwi punkty. Giltiné opanowała tę sztukę do perfekcji.

Zaciągnęła Pennellego do jadalni, po czym związała oboje grubą taśmą klejącą do pakowania, zakneblowała im usta skarpetkami i zakleiła taśmą. Na koniec oparła ich o kanapę w pozycji siedzącej, tak aby mogli ją widzieć. Obie ofiary otworzyły oczy niemal równocześnie, przyglądając się jej z rosnącym przerażeniem, podczas gdy zdejmowała płaszcz i spodnie,

ukazując owinięte poplamionymi bandażami ciało. Spokojny wieczór zmienił się horror jak z filmów, w których potwór z anielską twarzą zakrada się do domu, by po chwili odsłonić swą prawdziwą naturę. A prawdziwą naturą kobiety znajdującej się teraz w ich mieszkaniu była mumia cuchnąca środkami odkażającymi.

– Teraz wiesz, kim naprawdę jestem – powiedziała do mężczyzny i poszła do kuchni. Wróciła z nożem do czyszczenia ryb i turystyczną maszynką, której od dawna nikt nie używał.

Była gotowa do pracy.

DANTE I COLOMBA PRZEKROCZYLI granicę z Austrią o dwudziestej drugiej i postanowili zatrzymać się na noc w okolicach Innsbrucku, w jednym z typowych tyrolskich pensjonatów z drewnianym dachem i balkonami ozdobionymi fioletowymi pelargoniami. To właśnie balkony przekonały Dantego, który pomimo częstych postojów odczuwał niewygodę podróży, a jednak nie mógł się zdecydować na nocleg w zamkniętym pokoju. Ostatnie kilometry pokonał z głową wystawioną przez okno, nie zważając na chłód, a Colomba nakryła go również, jak wciągał nosem zmiażdżoną na proszek pigułkę, która uspokoiła go na jakieś dwie godziny.

Kolację zjedli na zewnętrznym tarasie restauracji, zamawiając sznycel po wiedeńsku z ziemniakami w sosie grzybowym. Dante ograniczył się oczywiście jedynie do ziemniaków. W pokoju Colomba zajęła łóżko małżeńskie z niewygodnymi jednoosobowymi kołdrami. Zanim się położyła, wyjęła z plecaka pistolet i załadowała magazynek.

Dante przyglądał się jej z balkonu. Z trudem przeniósł tam rozkładany fotel, na którym zamierzał się przespać, i owinięty kocami palił jednego papierosa za drugim.

– Nie odebrali ci broni? – zapytał w końcu.

– Służbową tak. A ta jest prywatna. Pamiętasz?

Podniosła pistolet, żeby Dante mógł się lepiej przyjrzeć przez przymknięte okno balkonowe. Była to beretta compact, podobna do służbowej, ale trochę krótsza i obsługiwana przez amunicję o mniejszej sile rażenia. Colomba dostała ją od Roverego i kiedy trzymała ją w dłoni, miała wrażenie, że przenosi się w czasie.

– Dla mnie wszystkie są jednakowe. Z jednej strony ktoś pociąga za spust, a z drugiej ktoś krwawi.

– Ten pistolet ocalił ci dupę, mnie zresztą też. Trochę szacunku!

– Dałaś mu jakieś imię tak jak bohaterowie *Gry o tron* swoim mieczom?

– Nic nie wiesz, Johnie Snow.

– Znasz ten serial? – zdziwił się Dante.

– Zapomniałeś już, że przez dwa miesiące leżałam w szpitalu? Musiałam jakoś wypełnić czas – odpowiedziała lekkim tonem.

Tak naprawdę serial jej się podobał i oglądała go dalej, kiedy tylko miała czas, chociaż nie zawsze pamiętała wszystkie układy, związki i pokrewieństwa. W pamięci utkwiała jej jedynie kobieta ze smokami, która pieprzyła się z najprzystojniejszymi bohaterami.

– A broń nie ma imienia. W naszych czasach to już nie działa. Jeszcze jakieś wątpliwości?

– Nie, jestem tylko zaskoczony, że kiedy policjant zostaje zawieszony, to zostawiają mu prywatną broń.

– A czemu nie, skoro nie został skazany za jakieś poważne przestępstwo? – oburzyła się Colomba.

– Bo całkiem możliwe, że popełni przestępstwo, właśnie używając tej prywatnej broni. – Dante się skrzywił, połykając dwie tabletki o różnych kształtach i kolorach, które popił wódką z barku. – Czasami zastanawiam się, jak rodzaj ludzki przetrwał aż do naszych czasów.

Colomba położyła pistolet na szafce nocnej obok pożółkłego egzemplarza *Nowego wspaniałego świata* Aldousa Huxleya, który właśnie czytała, po czym zgasiła światło.

– Śpij i nie myśl za dużo – powiedziała.

Rozebrała się i w samej bieliźnie wsunęła pod kołdrę.

Dante dobrze widział w ciemnościach, a tym razem sprzyjało mu również zewnętrzne oświetlenie. Wiedział, że powinien się odwrócić, ale nie potrafił się do tego zmusić. Wystarczyło wyciągnąć rękę przez uchylone drzwi balkonowe i mógłby jej nawet dotknąć. Oczywiście tego już nie zrobił i cieszył się, że Colomba go w tej chwili nie widzi, bo jego emocje były wyraźnie widoczne nawet dla kogoś, kto nie był ekspertem w analizowaniu mimiki i mowy ciała.

Zmieniasz się w maniaka.

W towarzystwie Colomby zawsze zachowywał się tak, jakby oboje byli pozbawieni płci, bo uważał, że tak będzie najlepiej, chociaż kosztowało go to немало wysiłku. Nigdy nie odważył się nawet na nieśmiałe zaloty w przekonaniu, że ona nie jest nim zainteresowana. Poza tym obawiał się,

że ich przyjaźń mogłaby na tym ucierpieć. Była to wymówka, której używają dziewczyny na całym świecie wobec niechcianych adoratorów, chociaż nie zawsze intencja jest fałszywa. Czasami rzeczywiście przyjaźń się kończy.

Od jakiegoś czasu, a konkretnie od ponownego spotkania przy okazji zamachu na pociąg, do fizycznego pożądania dołączyło łaskotanie w żołądku, którego Dante nie odważył się nazwać po imieniu. Ale z całą pewnością nie była to przyjaźń.

Mężczyzna przewrócił się na drugi bok na swoim rozkładanym fotelu i zapalił ostatniego papierosa. *Ale pasztet. Jakbym już i tak nie miał dość kłopotów.*

Zwrócił myśli ku innej kobiecie, która nawiedzała go w snach w znacznie mniej przyjemny sposób niż Colomba, i zasnął, wyobrażając sobie wiedźmę z niebieskim językiem.

Nie mógł wiedzieć, że potwór zabiera się właśnie do pracy.

GILTINÉ WIEDZIAŁA, ŻE nadmierny ból może doprowadzić człowieka do obłądzenia i dlatego dozowała płomień. Stosowała przypiekanie na przemian z podduszaniem i uciskaniem, uważając, by nie połamać kości. Pennelli kilka razy tracił przytomność, ale nie zmienił swojej wersji. Twierdził, że z nikim o niej nie rozmawiał i nikomu ani słowem nie wspomniał o swoich podejrzeniach.

– Nie opłacało mi się – powiedział, łkając i powstrzymując odruch wymiotny, kiedy na chwilę wyjęła mu skarpetkę z ust. Po chwili zakneblowała go ponownie i skierowała rozgrzany płomień palnika pod jego lewą pachę. Mężczyzna wygiął się w łuk, wydając z siebie niemy krzyk.

Wierzyła mu? Tak, na dziewięćdziesiąt procent. Nawet na dziewięćdziesiąt dziewięć. Gdyby był zatwardziałym kryminalistą lub członkiem oddziałów specjalnych, kłamałby, wierząc, że zostanie uwolniony albo przynajmniej pomszczony przez kolegów. Ale Pennelli był słaby i mówił prawdę w nadziei, że uniknie dalszych tortur.

Giltiné odwróciła się do kobiety, która była jedynie uboczną ofiarą operacji. W jej pracy nie dało się ich uniknąć, czasami były wręcz konieczne. Ale z reguły wszystko, nawet ofiary, było dokładnie zaplanowane i przewidziane, gdy tymczasem nieuchronna śmierć Pennellego i jego kobiety stanowiła wynik lekkomyślności. Zerwał się wiatr i z zewnątrz dobiegł szum wody, a wraz z nim odezwały się głosy.

Nie teraz, błagała w myślach Giltiné, ale zmarli rozgniewali się z powodu jej niewybaczalnego błędu. Słyszała, jak zawodzą coraz głośniejsze. Wreszcie zasłoniła sobie uszy i włączyła telewizor, wyrrywając antenę. Obraz zniknął, a ekran odbiornika zaczął migać odcieniami szarości i nieprzyjemnie brzęczeć. Włączyła dźwięk na cały regulator.

Biały, elektryzujący szum.

Oczyszczenie.

Pustka.

Przeszywający dźwięk wyrwał z omdlenia Pennellego i sprawił, że również Daria otworzyła oczy. Twarz miała pobrudzoną tuszem do rzęs

zmieszanym z krwią. Rozbiła sobie nos, uderzając o podłogę podczas desperackiej próby pozbycia się knebla, a potem, przekonana, że to niemożliwe, leżała spokojnie i się modliła, żeby cały ten koszmar jak najszybciej dobiegł końca. Słyszała jęki swojego mężczyzny i czuła okropny zapach smażonego mięsa. Gdy potwór w plastikowej masce go torturował, jęki stawały się wyraźniejsze i częstsze, a w końcu zamieniały się w przeciągłe rżenie. Słyszała również jego rozpaczliwe błagania, gdy potwór wyjmował mu knebel z ust, a on prosił, proponował i próbował przekonać oprawczynię, żeby, „na litość boską”, przestała. Daria leżała z zamkniętymi oczami, ale i tak doskonale wiedziała, co się obok niej dzieje. Chciała, żeby potwór zatkał jej również uszy, próbowała nawet o to poprosić, ale z jej ust wydobyło się jedynie ciche stęknienie.

Teraz obie ofiary obserwowały Giltiné w ekstazie, stojącą na środku pokoju na czubkach palców i z rozłożonymi ramionami. Wyglądała, jakby zaraz miała dostać ataku padaczki. Zobaczyli, jak osuwa się na kolana i zasłania sobie uszy przerażającymi dłońmi owiniętymi w bandaż.

Daria uznała, że to jej jedyna szansa. Przetoczyła się po dywanie na korytarz i zaczęła się czołgać w kierunku wyjścia. Gdyby udało jej się tam dotrzeć i otworzyć drzwi, może ktoś by ją dostrzegł. Postanowiła, że rzuci się do kanału, żeby tylko nie wpaść z powrotem w ręce potwora. Nie zdołała pokonać nawet połowy drogi dzielącej ją od drzwi, gdy Giltiné chwyciła ją za kostkę i przyciągnęła z powrotem, chociaż Daria zapierała się z całych sił łokciami, kolanami, a nawet podbródkiem. Jedynym rezultatem tego oporu był wybity siekacz.

Kiedy znalazły się znowu w salonie, Giltiné podniosła ją i delikatnie wzięła w ramiona, nie zważając na rozpaczliwe szamotanie swojej ofiary. Potem przyłożyła jej nóż do czyszczenia ryb do szyi i jednym pewnym ruchem podcięła gardło.

Pennelli ujrzał, jak ostrze zagłębia się w ciało, znacząc profil podbródka, a rana otwiera się jak drugie usta. Zobaczył to, czego żaden człowiek nie życzyłby sobie oglądać: wnętrze ciała kobiety, z którą spał, uprawiał seks, jadł i się klócił. Kiedy nóż przeciął tchawicę, z gardła dobiegł odgłos przypominający beknięcie, a mężczyzna zobaczył mięśnie, kręgi

szyjne i podstawę języka. Krew trysnęła na dywan szerokim strumieniem, kiedy Daria uderzała złączonymi taśmą klejącą nogami o podłogę jak syrena wyrzucona na brzeg uderza ogonem. Syrena miotała się coraz słabiej, aż wreszcie Giltiné pozwoliła jej opaść na podłogę i pochyliła się nad mężczyzną. Pennelli miał wzrok szaleńca, w którym mieszały się złość, przerażenie i cierpienie, a siła tych uczuć była tak ogromna, że mogłaby zniszczyć cały świat, gdyby tylko był w stanie ją wykorzystać.

Niestety, potwór nie dał mu takiej możliwości.

DANTE OBUDZIŁ SIĘ o świcie cały zdrętwiały i dopiero po godzinie zdołał wejść do pokoju, żeby wziąć prysznic. W łazience otworzył okno na oścież, sprawiając, że temperatura w pomieszczeniu przypominała epokę lodowcową. Colomba zwymyślała go i umyła sobie tylko zęby, po czym zeszła na śniadanie do hotelowej restauracji. Dante spożył posiłek w samochodzie przy otwartych drzwiach. Przygotował sobie kawę w elektrycznej maszynce, którą podłączył do wtyczki na zapalniczkę.

Zabrał ze sobą puszkę Black Ivory, która wyparła z jego serca Kopi Luwak, chociaż oba gatunki mają ze sobą sporo wspólnego. Kopi produkowano na bazie ziaren na wpół przetrawionych przez cywety, a ziarna kawy Black wydobywano z odchodów słoni żyjących w rezerwacie. Dante musiał zmielić ziarna przed wyjazdem, co uważał za grzech śmiertelny, i teraz starał się jak najrzadziej otwierać puszkę, żeby mieszanka nie straciła aromatu. Czy to z winy wody, czy rzadko używanej kawiarki, dość powiedzieć, że napój nie miał smaku, do jakiego Dante był przyzwyczajony. Owocowe i kwiatowe aromaty były co prawda intensywne, ale za to nuta zwierzęca prawie całkiem zniknęła. Mimo to wypił cztery filiżanki, zagryzając owsianymi ciasteczkami.

Colomba dołączyła do niego, ale najpierw spałaszowała okazałą porcję jajecznicy z kielbasą, i teraz z ironią patrzyła, jak przyjaciel niezdarnie zgarnia okruszki.

– Wyglądasz jak żebrak – powiedziała.

– Twój żebrak zapłacił za hotel gotówką – odciął się z gniewem.

– Skoro byłeś na skraju bankructwa, to skąd masz pieniądze? Nie zrozum mnie źle, absolutnie nie zamierzam się skarżyć.

Colomba usiadła za kierownicą i naciskając odpowiedni przycisk, zamknęła drzwi, na co grupka obserwujących samochód dzieci zareagowała oklaskami. *Powrót do przyszłości* cieszył się uznaniem również wśród młodego pokolenia.

– Dogadałem się z konsjerżem. Wypłaca mi gotówkę i zapisuje ją na konto mojego ojczyma, zatrzymując sobie dwadzieścia procent napiwku –

wyjaśnił Dante, uśmiechając się krzywo.

Colomba przekręciła kluczyk w stacyjce, a zimny silnik wyrzucił przez rurę wydechową kłęby niespalonego gazu.

– To nielegalne i niesprawiedliwe.

– Chyba możesz mi to wybaczyć, biorąc pod uwagę obecną sytuację. Co zrobimy po spotkaniu z dziennikarzem?

– Cały czas poruszamy się po omacku, Dante. Pamiętaj, że mam nadzieję, iż się mylimy.

– Twój upór budzi we mnie czułość.

Dotarli do Berlina około dziewiętnastej. Colombę bolały już plecy, a ponadto nie chciała podjeżdżać takim oryginalnym samochodem na miejsce spotkania. Zaparkowali w pobliżu dworca głównego i przeszli pieszo przez drewniany most na Sprewie, a potem skierowali się nadbrzeżem do centrum.

Colomba była już kilka razy w Niemczech w związku z pracą, a dziesięć lat wcześniej zawitała również na chwilę do Berlina na spotkanie z niemieckimi kolegami. Dopiero teraz, nie zważając na skrzypiące kółka walizki Dantego, poddała się czarowi tego miasta, które w nocy – z wieżowcami reprezentującymi różne style architektoniczne łączące historię ze współczesnością – przypominało europejską wersję Nowego Jorku. Dla urodzonej i wychowanej w Rzymie Włoszki taka czysta i uporządkowana metropolia była niczym miraż.

Natomiast Dante nie mógł podziwiać miasta; szedł ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w chodnik. Wyruszył w podróż podekscytowany obietnicą przygody, ale jego entuzjazm bardzo szybko zmienił się w obawę, a w ciągu ostatnich godzin w dręczący niepokój. Znalazł się z dala od znanych miejsc i każdy krok wymagał nie lada wysiłku, a w każdym ciemnym zaułku dostrzegał niebezpieczeństwo. Również Giltiné przestała być abstrakcyjnym bytem, zdawało mu się, że w otaczającym go powietrzu unosi się chemiczna woń cytrusów, którą zostawiała wszędzie tam, gdzie się pojawiła.

– Wszystko w porządku? – zapytała Colomba zaskoczona jego milczeniem.

Dante przytaknął bez przekonania.

Sony Center to kompleks budynków przy Potsdamer Platz składający się z siedmiu wieżowców, nad którymi góruje kolorowa kopuła przypominająca namiot cyrkowy, ale w zamierzeniach będąca reprodukcją góry Fudzi.

Wzdłuż wewnętrznego obwodu Sony Plaza mieściły się sklepy, restauracje i piwiarnie z ogródkami wypełnionymi po brzegi klientami, jak na sobotni wieczór przystało. Między lokalami dostrzegli zielony szyld Starbucksa.

– To tutaj – powiedziała Colomba, po czym zatrzymała się, bo Dante stał jak wryty na chodniku ulicy Bellevuestraße. – Co ci jest?

– Muszę trochę odpocząć – skłamał. – Zmęczył mnie ten spacer.

– Jesteś w lepszej formie niż ja. Co się stało?

– Nie dam rady – wskazał na tłum.

– Zobacz, tam nie ma ścian, a sufit jest wysoki. I otwarty – dodała Colomba, pokazując stalowe pręty tworzące stelaż kopuły.

Dantemu konstrukcja jawiła się jako wielka pułapka na myszy. Jakaś część jego mózgu upierała się, że jak tylko postawi tam stopę, to namiot spadnie mu na głowę i go przygniecie. Co prawda nie była to racjonalna część jego mózgu, ale w tej chwili nie robiło to żadnej różnicy.

– Przykro mi.

Colomba westchnęła głęboko i spojrzała na zegarek. Byli umówieni na dwudziestą i nie mieli czasu na dyskusje.

– Jak wygląda nasz masturbator?

– Nie mam pojęcia. To on miał mnie rozpoznać. Widział jakieś moje zdjęcie – powiedział Dante z ponurą miną.

Colombie zrobiło się żal przyjaciela i poklepała go po ramieniu.

– To nie twoja wina, Dante. Tylko się stąd nie ruszaj, bo bez komórki nie mam szans, żeby cię znaleźć w tym tłumie.

Jej współczujące spojrzenie sprawiło, że Dante poczuł się jeszcze bardziej upokorzony.

– Okej. Jak mi się uda, to zaraz do ciebie dołączę – obiecał bez większego przekonania.

Colomba wmieszała się w tłum, a on przesunął się kilka metrów do przodu, żeby nie stracić jej z oczu. Stanął przed ścianą wieżowca, który zaprojektował słynny architekt Renzo Piano; na ogromnym ekranie mieniły się kolorowe fraktale i wyświetlano reklamę sportowego samochodu. Auto stało zresztą zaparkowane na podwyższeniu pod telebimem, a kilka hostess w mundurkach i białych rękawiczkach kręciło się dookoła. Kiedy Dante podszedł bliżej, na ekranie pojawił się obraz jego powiększonej, zmęczonej twarzy, którą uchwyciła ukryta kamera działająca na fotokomórkę.

Wpatrując się w tablicę reklamową, Dante stracił poczucie rzeczywistości.

Najpierw skoncentrował się na ruchu w tle, tam gdzie za jego plecami zgromadził się niewielki tłum. Lekkie falowanie przyciągnęło jego uwagę, ale nie udało mu się rozpoznać szczegółów. Utkwił mu jednak w pamięci fragment z obrzeża przedstawiający mężczyznę w granatowej kurtce, który szybko się odwraca, opuszczając na czoło daszek kolorowej bejsbolowej czapki. Dante podświadomie przyjął do wiadomości, że mężczyzna chowa się przed kamerą. Pojawienie się na ekranie było dla niego nieprzyjemną niespodzianką, bo nie chciał się ujawniać.

Nie chciał, żeby Dante go zobaczył.

Całe to zdarzenie spowodowało, że Dante poczuł się tak, jakby został uderzony młotem, i w jednej chwili zniknęły efekty kilkumiesięcznej terapii, szczytne cele i zdrowy rozsądek.

Colomba wyszła ze Starbucksa z frappuccino w ręce – właśnie odkryła, że napój jest zimny, a nie gorący, o czym była do tej pory przekonana – i spojrzała w stronę grupki osób, które próbowały zwrócić na siebie uwagę przechodzącego policjanta. Ludzie zgromadzili się wokół porzuconego przedmiotu w obawie, że mają do czynienia z bombą. Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że tajemniczy obiekt to walizka jej przyjaciela.

A Dante zniknął.

COLOMBA PORZUCIŁA KUBEK z kawą, chwyciła *trolley* i krzycząc *przepraszam* na przemian po włosku i po angielsku, ruszyła biegiem przez plac. Kiedy znalazła się na Bellevuestraße, w oddali dostrzegła plecy Dantego, który galopował, wymachując w powietrzu ramionami jak marionetka.

Pobiegła za nim, ale obciążona bagażem początkowo nie mogła zmniejszyć dystansu. Odpychała mijanych przechodniów, narażając się na protesty i zainteresowanie ze strony tych, którzy podejrzewali jakąś poważną aferę. Tymczasem Dante gnał przed siebie, nie zważając na jej nawoływania.

Colomba zebrała wszystkie siły – gdyby wśród dyscyplin olimpijskich był bieg z walizką, miałaby szansę na zajęcie jednego z czołowych miejsc – i zbliżyła się znacznie do przyjaciela, który bez wyraźnego powodu przebiegał z jednej strony ulicy na drugą, blokując ruch samochodowy.

Skrecając w boczną ulicę, wzdłuż której wznosiły się pozostałości po murze, Dante wpadł na jakąś parę i runął na ziemię.

Colomba zostawiła walizkę na chodniku i przebiegła sprintem ostatnie sto metrów, podczas gdy on po chwili zamroczenia zaczął skakać niczym gumowa piłka. Colomba dopadła go od tyłu i chwyciła w pasie.

– Proszę cię, Dante, uspokój się! To ja. Co się stało?

Mężczyzna nie odpowiedział i zaczął się wyrwać, jakby wcale jej nie rozpoznał. Colomba miała wrażenie, że złapała dzikiego kota, który drapie i gryzie, patrząc w dal błędnym wzrokiem. Podcięła mu nogi i obaliła na chodnik, po czym usiadła na nim okrakiem, żeby go całkiem obezwładnić.

– Dante! Już dobrze! Uspokój się! – powiedziała, dysząc ciężko.

Dziewczyna i chłopak, których Dante stratował, zapytali po angielsku, czy mogą jakoś pomóc. Colomba powiedziała im, że jej brat cierpi na epilepsję, ale ona wie, co robić. Nalegali przez chwilę, żeby wezwać pogotowie i dopiero kiedy Colomba ponownie zapewniła, że sytuacja jest pod kontrolą, zajęli się swoimi sprawami. Nie chciała narażać się na kontrolę policji, bo w plecaku miała pistolet, którego nie zgłosiła po przekroczeniu granicy.

– Przepraszam cię, Dante – powiedziała i uderzyła go w twarz.

Dopiero wtedy przestał się miotać i zaczął głośno oddychać przez otwarte usta, a w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Colomba powstrzymała się od wymierzenia mu kolejnego policzka i po chwili Dante wypowiedział jej imię.

– Masz zamiar nadal uciekać?

– Co? Nie... – wybełkotał.

– Świetnie! – zawołała Colomba i wstała z niewygodnej pozycji. Była zlana potem.

Dante powoli usiadł na chodniku i pokręcił głową.

– O kurwa – zaklął, próbując bez rezultatu zapiąć kurtkę, która rozerwała mu się z przodu przy guzikach. – O kurwa – powtórzył.

– Daj rękę, pomogę ci – powiedziała Colomba, wyciągając dłoń, a on chwycił ją jak stary sercowiec w duszny dzień. Nadal patrzył na nią niewidzącym wzrokiem.

Colomba pomogła mu wstać i wsparła go ramieniem, obawiając się, że nie zdoła samodzielnie utrzymać się na nogach. Dante się zachwiał, ale nie upadł.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Nie za dobrze – powiedział, sięgając po paczkę z papierosami, która niestety zgniotła się podczas szamotaniny. Zrezygnowany, włożył ją z powrotem do kieszeni.

– Powiesz mi, co się stało? Przestraszyłam się.

Dante powoli wracał do siebie, odzyskując zdolność logicznego myślenia. Przypomniawszy sobie ostatnie zdarzenia i zawstydzony, a potem zdenerwowany na samego siebie.

– Nic – bąknął.

– Dante, pamiętasz, że obiecywaliśmy sobie nie ściemniać?

– Widziałem... – zawahał się na chwilę. – Zdawało mi się, że widziałem...

– Kogo? Giltiné?

Dante westchnął głęboko.

– Mojego brata. Zobaczyłem go w tłumie... i pobiegłem za nim.

Pierwsza myśl, która przyszła Colombie do głowy, brzmiała: *Wiedziałam, że nie powinnam mu ufać.* Ale zaraz potem pojawiła się kolejna: *To wszystko moja wina.*

– Okej. Teraz znajdziemy jakiś hotel, żeby się przespać, a jutro wracamy do domu.

– Nie, CC, proszę cię.

– Jak to nie? Zdajesz sobie sprawę, co ci się właśnie przydarzyło?

– Zwyczajny wypadek. To naprawdę nic poważnego.

– Nic poważnego!?! Następnym razem możesz na przykład wpaść pod tramwaj! Albo przejedziesz kogoś tym swoim wehikułem czasu! Najchętniej zaraz wsadziłabym cię do pociągu, gdybym się nie bała, że twój stan jeszcze się pogorszy.

– Błagam cię, nie możesz teraz zrezygnować z mojego powodu. Przecież jesteśmy już tak blisko.

W tym momencie zauważyli, że przygląda im się facet koło pięćdziesiątki, łysy i w okularach. Miał chyba ze dwa metry wzrostu i ogromny brzuch. Ciągnął za sobą walizkę, którą Colomba porzuciła, biegnąc za Dantem.

– Czy to wasz bagaż? – zapytał po angielsku.

– Tak – potwierdziła Colomba, odbierając *trolley*. – Dziękuję.

Mężczyzna nie ruszył się z miejsca.

– Powiedziałam: dziękuję – powtórzyła Colomba poirytowanym tonem. – Dante, jak się mówi po angielsku spierdalaj?

– Rozumiem trochę wasz piękny język – powiedział łysy z wysiłkiem. – Mogę pani przetłumaczyć na niemiecki. Co prawda nie znam tego słowa, ale zrozumiałem sens. – Zaśmiał się głośno i przechodząc ponownie na angielski, wyciągnął rękę do Dantego. – Ścigam was od placu. Nazywam się Andreas Huber, jestem dziennikarzem z „Inspektora”. Bardzo mi miło pana poznać.

Dante, który miał czerwone policzki po uderzeniach Colomby, rozerwaną kurtkę i pobrudzone błotem spodnie, pomyślał, że właśnie sięgnął dna.

USIEDLI NA ZEWNĄTRZ w prowadzonym przez Turków barze w pobliżu Checkpoint Charlie. Była to replika przejścia, a dwaj aktorzy przebrani za amerykańskiego i radzieckiego celnika stali po przeciwnych stronach sztucznej granicy. Zdjęcie z nimi kosztowało dwa euro.

Dante skulił się na krześle, owijając się swoją postrzępioną kurtką w stylu Duran Duran. Na szczęście w barze mieli papierosy i palił jednego za drugim, otwierając usta jedynie po to, aby zamówić zimną wódkę i przetłumaczyć Colombie jakieś trudniejsze wyrażenie, bo jego angielski był bez porównania lepszy.

Andreas wcale nie przypominał onanisty z wyobrażeń Colomby i nie mieszkał z matką. Wydawał się zadowolony z życia, zwłaszcza jeśli chodzi o jego podstawowe aspekty: jedzenie, picie i podrywanie wszystkich istot płci żeńskiej. Od razu spróbował swoich sztuczek z jedną z kelnerek. Mówił po angielsku z silnym niemieckim akcentem i wyjaśnił im, że przez dziesięć lat pracował jak dziennikarz, prowadząc kronikę wypadków i przestępstw, a teraz zajmuje się prawie wyłącznie tajemnicami i legendami. Jego przewodnik po sekretach Berlina bardzo dobrze się sprzedawał, podobnie zresztą jak książka o paranormalnych aspektach zimnej wojny – opowiadał w niej, jak CIA i KGB walczyły ze sobą, wykorzystując telepatię i teleportację. Współpracował z wieloma gazetami i magazynami, często występował również jako ekspert w programach telewizyjnych.

– Ja też nie wierzę we wszystko, co opisuję – powiedział, wychylając drugie litrowe piwo. – Staram się tylko nie zajmować wyraźnego stanowiska i niczego nie zmyślam. Przytaczam autentyczne dokumenty i wyniki badań historyków. To prawda, że niektórzy z nich są nieco nawiedzeni. – Zaśmiał się rubasznie. – Berlin jest pełen tajemniczych historii, to miasto prawdziwych szpiegów, a nie tylko filmowa fikcja. Wiecie, ilu byłych ludzi Stasi, informatorów i współpracowników ciągle jeszcze chodzi tu po ulicach?

Colomba i Dante pokręcili głowami.

– Dwadzieścia tysięcy. I większość z nich mieszka w Berlinie. To niewyczerpane źródło informacji. Ale wy również... – spojrzał na nich jak na wspaniałe dzieło sztuki. – W mojej kolejnej książce chciałbym opisać wasze zmagania z Ojcem oraz przymusowy pobyt pana Torrego w silosie. Zapoznałem się z wszystkim, czego dokonaliście. Jeśli potrzebujecie szczerego współnika, który pomoże wam w walce ze złem, wystarczy jedno słowo. Obiecuję, że zaraz przejdę na dietę. – Zaśmiał się ponownie na cały głos.

Colomba również się uśmiechnęła.

– Pomyślmy o tym, panie Huber, ale na razie potrzebujemy jedynie informacji dotyczących jednej ze spraw, którą zajmował się pan na swoim blogu.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Andreas. Czy możemy przejść na ty?

– Oczywiście.

– O jaką sprawę wam chodzi?

– Pożar w Absynthe.

Andreas aż uniósł brwi ze zdziwienia.

– To było wieki temu.

– Dwa lata.

– Obawiam się, że nie zbadalem dogłębnie tego zdarzenia. Co konkretnie chcecie wiedzieć?

Colomba zerknęła na Dantego, który siedział nieruchomo z papierosem zwisającym z ust i wpatrywał się w swój kieliszek, jakby się zastanawiał, co zawiera.

– Jesteś tu? – zapytała.

Dante skinął głową, nie odrywając wzroku od kieliszka. Nie mogła liczyć na jego pomoc.

– Wszystko, co może nam pan powiedzieć poza tym, co już mogliśmy przeczytać na blogu – powiedziała Colomba.

Andreas pokręcił głową.

– Nie wiem nic więcej. W ciągu ostatnich dwóch lat nie pojawiły się w tej sprawie żadne nowe fakty. Pożar miał miejsce w sierpniu, jeśli dobrze

pamiętam, i w śledztwie ustalono, że przyczyną było zwarcie instalacji elektrycznej.

– Ofiary były pod wpływem narkotyków, prawda?

– Tak, grzybki halucynogenne. Krążyły pogłoski, że właściciel lokalu zajmował się dilerką, ale ponieważ zginął w pożarze, to śledczy nie drążyli tego wątku. Jeśli chodzi o mnie, to najbardziej zainteresowała mnie historia tego faceta, który widział anioła śmierci. Chciałem to wykorzystać w książce.

– Giltiné.

– No właśnie... Giltiné. Najciekawszy element całej układanki. Czy mógłby mnie pan poczęstować papierosem, panie Torre? Nie powinienem palić ze względu na serce, ale jeden od czasu do czasu nie zaszkodzi.

Dante podał mu paczkę ze wzrokiem wbitym w stolik, a Huber mrugnął porozumiewawczo do Colomby. Przeczytał wszystko na temat Dantego i wiedział, czego może się spodziewać.

– Mogę wykonywać moją pracę jedynie dlatego, że znam wielu ludzi w odpowiednich miejscach: strażaków, pielęgniarzy, policjantów, którzy opowiadają mi o różnych dziwnych wypadkach – ciągnął Andreas. – Jeden z pielęgniarzy wspomniał mi dwa lata temu o człowieku ocalałym z pożaru lokalu. Plotka głosi, że ten nieszczęśnik zobaczył w płomieniach Giltiné, która chciała zabrać go ze sobą do piekła. Pochodzący z Litwy pielęgniarz wyjaśnił mi, kim ona jest, i bardzo mnie to zaciekało. Poprosiłem przyjaciela, aby zawiadomił mnie, kiedy ofiara odzyska przytomność, ale niestety, nie było mi dane z nim porozmawiać. Mężczyzna zmarł niedługo potem bez odzyskania świadomości.

– Czy opisał tę kobietę? – zapytała Colomba.

Andreas pokręcił głową.

– Nie. Powiedział zaledwie kilka słów.

– Znalazł pan o nim jakieś informacje?

– Próbowałem, ale nie miał przy sobie dokumentów, jego twarz została zniekształcona w wyniku oparzeń, w bazie nie było jego odcisków palców i żaden ze świadków nie widział go w klubie przed pożarem. – Andreas

rozłożył ramiona. – Wszystko wskazuje na to, że jedyna osoba, która widziała zjawę, sama jest duchem.

DANTE RZUCIŁ Z GNIEWEM zapalniczkę na stół jak dziecko znudzone oczekiwaniem na koniec spotkania dorosłych.

– Dziękuję panu za pomoc, Andreasie. Dante jest zmęczony podróżą i musimy znaleźć jakiś odpowiedni hotel – powiedziała Colomba.

– Mam dla was pokój! – zawołał Andreas. – I jeśli się zgodzicie, to będziemy sąsiadami.

Wyjaśnił, że na stałe mieszka w Monako, a obecnie przebywa w Berlinie w związku z cyklem konferencji na temat jego ostatniej książki o Stasi. I jest gościem stowarzyszenia kulturalnego Literarisches Colloquium, które zapewnia pisarzom zakwaterowanie i śniadania.

– Powiedziałem im, że jesteście moimi przyjaciółmi i z przyjemnością udostępnię wam pokój.

Colomba się zawahała. Andreas był sympatyczny, ale bardzo gadatliwy i natrętny, więc nie była pewna, czy warto, żeby się przy nich plątał. Ale tym razem Dante ją uprzedził.

– Z balkonem? – zapytał.

– Mniej więcej – odpowiedział Andreas.

A potem wyjaśnił, że zamiast balkonu jest tam gabinet z ogromnym oknem na całą ścianę, które wychodzi na park. Widać przez nie również pobliskie jezioro. Colombie tak się spodobał opis tego miejsca, że odrzuciła wszystkie wątpliwości i przyjęła zaproszenie.

Dzielnica Wannsee znajduje się dwanaście kilometrów od centrum Berlina i można tam dotrzeć metrem, ale Colomba i Dante musieli wrócić po zaparkowany przy dworcu samochód i przyjechali na miejsce dopiero późną nocą. Zanim wysiedli, policjantka złapała Dantego za ramię.

– Weź się w garść – powiedziała.

– Daj mi spokój...

– Dante, jesteśmy tu tylko dlatego, że mnie o to prosiłeś. Szkoda, że w trakcie spotkania z twoim fanem udawałeś śniętą rybę. I ostrzegam cię, że jeśli dalej będziesz się za mną włókił jak Rain Man, to natychmiast załaduję cię do auta i wracamy do domu.

– Nie spodziewałem się, że dopadnie mnie kryzys, CC – wyjaśnił osowiały Dante.

– Ale ja cię nie zostawiłam. Cały czas jestem przy tobie, widzisz?

– Może powinnaś czym prędzej uciekać.

Colomba poklepała go mocno po plecach.

– Przestań wreszcie! Nie wszystkie klepki masz w porządku, ale jesteś jak ten zegar z dowcipu, pamiętasz? Od czasu do czasu wskazujesz dokładną godzinę.

– Wcale nie czasami, tylko dwa razy w ciągu dnia. Jak już musisz używać metafory, to rób to precyzyjnie.

– O, znowu zaczynasz być taki upierdliwy jak zwykle, a to znaczy, że czujesz się już lepiej. Wsiadaj!

Odblokowała drzwi, które otworzyły się z hałasem i przstraszyły wielkiego, tłustego kota spacerującego pod pobliskim dębem. Zaparkowali na dziedzińcu willi o gotyckich kształtach odbijających się w blasku księżyca. Budynek ozdabiały iglice, a do wejścia prowadził kamienny ganek z trzema łukami zamkniętymi werandą, która prowadziła do przestronnej sali na parterze, gdzie odbywały się spotkania literackie. Przy jednym ze stolików ustawionych na werandzie czekał na nich Huber z kluczami do pokoju i trzema butelkami piwa.

– No to strzemiennego! – przywitał ich na cały głos.

Colomba uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Ja mam na dzisiaj dość piwa, dziękuję.

– A ja się napiję – powiedział Dante i unikając karcącego wzroku Colomby, stuknął się butelką z dziennikarzem. – Dziękuję za pomoc. Dzisiaj nie byłem... w zbyt dobrej formie.

– Proszę się nie przejmować. Genialni ludzie mają swoje prawa. Da pan radę pokonać dwa piętra po schodach?

Dante zrobił kilka głębokich wdechów.

– Jasne – oświadczył z entuzjazmem, którego brakowało mu w ciągu ostatnich godzin.

Opierając się na ramieniu Colomby, pokonał biegiem schody na wdechu i z zamkniętymi oczami. Kiedy policjantka uznała, że Dante jest

bezpieczny, zeszła na dół po walizki, podczas gdy Andreas wchodził powoli na górę, stękając od czasu do czasu. Drewniane schody skrzypiały złowieszczo pod jego ciężarem, a w powietrzu unosił się zapach jedzenia i starych książek.

Mały apartament, który dla nich przeznaczono, składał się ze wspomnianego już gabinetu z przeszkloną ścianą i jednoosobowym łóżkiem oraz małżeńskiej sypialni z łazienką. Był tam również bezprzewodowy Internet i na tę wiadomość Dante uśmiechnął się lekko po raz pierwszy od dłuższego czasu, bo zamierzał popracować wreszcie na swoim tablecie.

Andreas poinformował ich jeszcze, że na parterze znajduje się wspólna kuchnia i jeśli są głodni, to mogą skorzystać z jego zapasów umieszczonych w lodówce lub zrobić zakupy w pobliskim supermarkecie, który jest otwarty również w nocy.

– Dziękujemy, ale jesteśmy bardzo zmęczeni – powiedziała Colomba, podczas gdy Dante otwierał po kolei wszystkie okna w gabinecie. – Wspomniał pan, że nikt nie zgłosił się po ciało nieznanego, który zmarł w szpitalu, prawda? Czy to znaczy, że ciągle jeszcze jest w miejskiej kostnicy?

– Nie. Po kilku miesiącach odbył się pogrzeb, smutna ceremonia, w której nie uczestniczyłem.

Potem Andreas pożegnał się, życząc im dobrej nocy i wyszedł z pokoju, a Colomba wróciła do Dantego, który siedział na łóżku bez koszuli i palił papierosa.

– Nie widziałeś tego wielkiego zakazu palenia?

– Przecież otworzyłem wszystkie okna.

– No właśnie, zimno jak diabli.

Colomba wyjrzała na zewnątrz, gdzie w oddali wiatr marszczył tafle jeziora, oświetloną żółtymi i czerwonymi lampami umieszczonymi na molo. Natomiast w parku, pod oknem, stały stoliki i krzesła z ażurowego żelaza.

– Całkiem tu fajnie. Czemu nie zajmiesz się pisaniem, żebyśmy mogli podróżować po świecie na cudzy koszt?

Dante się skrzywił.

– Obawiam się, że nie mają tu prawdziwego alkoholu. Jak myślisz?

– Andreas powiedział, że na dole jest bar, ale otwierają go tylko w czasie konferencji.

– Wystarczy mi wsuwka do włosów.

– I moja zgoda, której ci stanowczo odmawiam. Czy to w ogóle możliwe, żeby ten niezidentyfikowany facet był celem Giltiné?

– Według mnie nie. Nie przekonuje mnie również to, że tak szybko zgodzili się go pochować. Ciągle jeszcze trzymają kości Róży Luksemburg w kostnicy, a jego szczątki zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Kogo masz na myśli? Przecież niedawno twierdziłeś, że twoja przyjaciółka działa w pojedynkę.

– Tak, ale to nie znaczy, że nie korzysta z usług pomocników, kiedy tego potrzebuje. Zadzwoń do Bart i poproś ją, żeby skontaktowała się ze swoimi kolegami w Berlinie i spróbowała się czegoś dowiedzieć.

– Jeśli poproszę ją o kolejną przysługę, zażąda w zamian mojego pierwородnego.

Dante otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Chcesz mieć dzieci?

– Mam macicę i lubię dzieci. Czemu nie, ale pod warunkiem, że znajdę właściwego mężczyznę.

– Nasze życie nie sprzyja zakładaniu rodziny.

Colomba usiadła obok niego.

– Dante, to nie jest prawdziwe życie. To tymczasowe zajęcie, które wykonujemy z niejasnych dla mnie powodów. A kiedy wszystko się skończy, wrócimy do normalności.

– Może dla ciebie to nie jest prawdziwe życie – powiedział Dante ze smutkiem. – Mogę iść pierwszy pod prysznic?

– Jasne. Jestem taka padnięta, że jutro się wykąpię.

– To niezbyt higieniczne.

– I kto to mówi? Kupujesz lekarstwa w Internecie i wciągasz proszki przez nos...

Colomba wskoczyła do łóżka i kiedy Dante wyszedł z łazienki owinięty szczelnie szlafrokiem, zastał ją śpiącą smacznie w otoczeniu pustych opakowań po snickersach i przy włączonym telewizorze z programem informacyjnym. Dante wyłączył odbiornik i poszedł do gabinetu z przeświadczeniem, że tej nocy i tak nie zaśnie. Kiedy przez zamknięte drzwi, dzielące ich pokoje, usłyszał chrapanie przyjaciółki, wyszedł przez okno i wykorzystując parapety i gargulce jako oparcie, zsunął się na dół. Ta droga była dla niego łatwiejsza niż wąskie i duszne schody, a poza tym znajdowali się zaledwie kilka metrów nad ziemią.

W SZWAJCARSKIEJ KLINICE, NIE tej ostatniej, ale jednej z poprzednich, w której spędził prawie pięć lat po ucieczce z silosu, Dante wspinał się o wiele wyżej i po znacznie gładszych powierzchniach. Musiał jedynie pamiętać, by nie patrzeć w dół, bo cierpiał na lęk wysokości. Kiedy znalazł się na otoczonym drzewami dziedzińcu, od razu zbadał drzwi do baru i z zadowoleniem odkrył, że nie zostały wyposażone w żaden system alarmowy. Otworzył je za pomocą zwykłego drutu. Za kontuarem znalazł prawie pełną butelkę wódki. Alkohol miał temperaturę pokojową i nie był przedniej marki, ale i tak lepsze to niż likiery czy niemieckie wina, które stały obok. Przełał zawartość do koktajlowego kieliszka i usiadł przy jednym ze stolików na zewnątrz. Przedtem zamknął jednak dokładnie drzwi i zostawił na ladzie dwadzieścia euro za samoobsługę.

Sączył wódkę, próbując nie zwracać uwagi na jej podły smak, i tak doczekał świtu. Przyglądał się powierzchni jeziora, w której odbijały się pierwsze promienie wschodzącego słońca, i słuchał krakania kruków kryjących się wśród drzew. Właśnie w tej okolicy, w podobnej willi należącej do oficera SS Reinharda Heydricha, podjęto decyzję o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”. Obecnie działa tam muzeum, mające przypominać o Holokauście wszystkim tym, którzy podważają jego istnienie.

Po drugiej stronie jeziora był już Berlin Wschodni i przed upadkiem muru nie można się było tam legalnie przeprowadzić. Zaledwie kilka kilometrów dalej znajdował się słynny Most Szpiegów, na którym

Amerykanie i Rosjanie wymieniali więźniów. Dante chciałby go zobaczyć i zastanawiał się, czy uda mu się przekonać Colombę, aby zorganizować krótki wypad. *Prawdopodobnie zgodzi się spełnić moją zachciankę, pomyślał z goryczą. Może kupi mi nawet watę cukrową, jak będę grzeczny.*

Most w Wannsee przywiódł mu na myśl ten, który łączył dwa brzegi Padu i dwa regiony, Lombardię i Emilię Romanię. Jedno z niewielu wspomnień, które Dante zachował z dzieciństwa, zanim został uwięziony w silosie, odnosiło się właśnie do świeżo pomalowanego do połowy mostu. Pracę przerwano na granicy obu prowincji w oczekiwaniu, że druga strona dokończy projekt. Taki obraz wyrył mu się w głowie, chociaż nie pamiętał, z kim miał okazję oglądać ten most. Zresztą całkiem możliwe, że było to tylko jedno ze sztucznych wspomnień, które wszczepił mu Ojciec.

Najokropniejsza w jego stanie była świadomość braku pewności, czy wspomnienia, które miał, są prawdziwe. Czasami czuł się jak duch pośród żywych, przezroczysty i delikatny jak bibułka, i nie było nic dziwnego w tym, że rzucił się w wir poszukiwań brata, który prawdopodobnie wcale nie istnieje. Czuł potrzebę znalezienia namiastki własnej historii, zakorzenienia. Przypomniawszy mu się *black out*, którego doświadczył na Potsdamer Platz, poczucie pilnej konieczności, potrzeba pogoni za znikającym w tłumie mężczyzną. Czy rzeczywiście wybrał ten sam kierunek, w którym podążył domniemany brat? W tamtej chwili był o tym przekonany, ale teraz wszystko mu się plątało.

Przysnął na siedząco z niedopałkiem między palcami i o wpół do siódmej obudził się obolały i pokryty rosą. Za jego plecami pokojówka pchała wózek z wiktuałami do wspólnej jadalni.

W jasno oświetlonym pomieszczeniu znajdował się długi, drewniany stół specjalnie umieszczony naprzeciwko ogromnych okien, aby goście mogli rozkoszować się widokiem jeziora. Ściany w jadalni, jak zresztą we wszystkich ogólnodostępnych salach tego osobliwego miejsca, były wypełnione książkami i Dante próbował zrozumieć, czy Colloquium jest biblioteką z aneksem hotelowym, czy też odwrotnie.

Gdy Dante rozprostowywał kości i otrzepywał spodnie z popiołu, przy jednym ze stolików usiedli dwaj mężczyźni, którzy właśnie zeszli na

śniadanie. Ponieważ obaj nieznajomi przyglądali mu się z ciekawością, pomyślał, że powinien się przedstawić. Tym sposobem dowiedział się, że ma przyjemność z poetą z Egiptu oraz z tłumaczem z Irlandii, a po chwili dołączyły do nich poetka z Niemiec i pisarka z Liechtensteinu. Towarzystwo było tak różnorodne i interesujące, że Dante szybko wciągnął się w rozmowę na temat włoskiej kuchni, a nawet wygłosił krótki wykład dotyczący różnych typów kawy i sposobów ich rozróżniania, który zakończył obietnicą degustacji. W trakcie spotkania zdecydowanie poprawił mu się humor.

– Czym się pan dokładnie zajmuje? – zapytała pisarka z Liechtensteinu.

– Z reguły trupami lub porwaniami.

– Aha, rozumiem. Píše pan kryminały – zinterpretowała to po swojemu kobieta.

Dante nie sprostował pomyłki i spokojnie smarował chleb miodem, patrząc z obrzydzeniem na małe mortadelki królujące na talerzach. Colomba, która pojawiła się w jadalni kwadrans później, nie miała żadnych skrupułów i od razu wzięła jedną kielbaskę.

– Myślałam, że jeszcze śpisz. Chodziłam na palcach, żeby cię nie obudzić.

– Wstałem dość wcześnie.

– Jeśli się nie mylę, to czuć od ciebie wódkę? – Popatrzyła na niego podejrzliwie. – Piłeś przez całą noc, zgadza się?

– W pewnym momencie naprawdę zasnąłem.

– Nie przypuszczałam, że zdecydujesz się chodzić po ciemku po schodach.

– Nie korzystałem ze schodów.

Colomba podniosła ręce do góry.

– Nie chcę wiedzieć nic więcej. Nie mam zamiaru się denerwować – powiedziała spokojnie i zajęła się kolejną mortadelką wielkości kciuka.

– Wiesz, z czego robią te kielbaski? Nie licząc biednych świnek?

– Mam to gdzieś – bąknęła z pełnymi ustami. – Dzwoniłam do Bart.

– Ze stacjonarnego?

– Wiem, że według ciebie wszyscy policjanci to debile, ale użyłam Skype'a na twoim tablecie.

– Okej, to w miarę bezpieczny sposób.

– Następnym razem wyślę gołębia, chociaż obawiam się, że te ptaszyska go ukatrupią. – Miała na myśli kruki, które w małych stadach krążyły nad ich głowami. – Podała mi namiary na jednego berlińczyka, z którym możemy pogadać. Musiałam jej powiedzieć, co robimy, ale poprosiłam, żeby z nikim o tym nie rozmawiała.

Rozmowa z przyjaciółką wcale nie była łatwa i Colomba obiecała jej w końcu, że po powrocie wszystko dokładnie opowie.

– W porządku – przytaknął Dante.

– A teraz zrób mi przyjemność i idź na górę. Weź prysznic, ubierz się i przestań udawać zombi. No, już, ruszaj się!

Dante skoczył na równe nogi.

– Tak jest, generale!

BART SKONTAKTOWAŁA ICH z profesorem anatomopatologii, który pracował dla niemieckiego odpowiednika instytutu Labanof. Był jej przyjacielem i często gościła go u siebie. Nazywał się Harry Klein, tak samo jak zastępca inspektora Derrika ze słynnego serialu i Dante od razu zauważył tę zbieżność. Profesor był niskim, szczupłym sześćdziesięcioletkiem z rozwidloną brodą. Spotkali się z nim w szpitalu uniwersyteckim Charité niedaleko Mitte i poszli do jednego z barów wegetariańskich znajdującego się kilka kroków od kampusu, który mieścił się w budynkach z czerwonej cegły. O tej porze było tam niewielu studentów i z łatwością znaleźli wolny stolik.

– Bart powiedziała mi, że prowadzicie sprawę związaną z wypadkiem sprzed dwóch lat. Jeśli się nie mylę, chodzi o pożar w dyskotecce, tak? – powiedział Klein. Mówił nie tylko po angielsku, ale znał również podstawy włoskiego i starał się tłumaczyć terminy, których Colomba nie rozumiała.

– Tak, chociaż chciałabym sprecyzować, że to nic oficjalnego.

– Nie musisz być bardziej papieska niż sam papież – mruknął Dante po włosku, przerywając na chwilę degustację ekstraktu z rzepy.

– Nie przeprowadzałem tej autopsji osobiście – ciągnął Klein – ale miała miejsce na moim oddziale, więc mogłem zapoznać się z dokumentacją. Co was interesuje?

– Przede wszystkim przyczyna śmierci. Nie wiemy nic poza tym, co napisano w gazetach – wyjaśniła Colomba.

– Prawie wszystkie ofiary miały oparzenia trzeciego lub czwartego stopnia, ale zanim ciała uległy zwęgleniu, wszyscy zmarli na skutek niedotlenienia spowodowanego obrzękiem lub wstrząsu hipowolemicznego.

– To typowe przyczyny zgonu podczas pożaru, prawda?

– Tak. Ciała nosiły również ślady rozległych obrażeń spowodowanych przez spadające elementy konstrukcji budynku.

– Czy dopuszcza pan możliwość, że zginęli jeszcze przed pożarem? – zapytał Dante.

Profesor miał w smartfonie kopie poszczególnych badań autopsyjnych i przeglądał je szybko dla pewności, chociaż już znał odpowiedź.

– Raczej nie. Wszyscy mieli popiół w oskrzelach, a więc oddychali w czasie pożaru. Autopsja wykazała również zatory tłuszczowe w naczyniach płucnych.

Widząc niepewne spojrzenie Colomby, wyjaśnił, że chodzi o tłuszcz obecny w organizmie, który po rozpuszczeniu pod wpływem wysokiej temperatury przenika do krwi. A jeśli krew krąży, to znaczy, że człowiek żyje.

– Niemniej jednak ofiary mogły doświadczyć poważnych urazów, które ograniczyły zdolność reakcji. Na przykład uderzenia w głowę, podduszanie, blokada komórek nerwowych.

Klein westchnął.

– Powodem waszego nieoficjalnego śledztwa jest podejrzenie zabójstwa, które kryje się pod maską wypadku?

Colomba czekała na to pytanie. Chciała nawet wymyślić sobie jakieś wyjaśnienie, ale nic wiarygodnego nie przyszło jej do głowy.

– Niestety, tak. Ale na razie to tylko hipoteza.

– Hipoteza musi się na czymś opierać.

– Nie mamy żadnych dowodów, które moglibyśmy przedstawić w sądzie. Mam nadzieję, że Bart za nas poręczyła.

Mężczyzna pociągnął się za brodę.

– Tak. Powiedziała mi też, że niezależnie od powodów, które wami kierują, warto wam pomóc, nawet jeśli wciśnięcie mi stek kłamstw.

– Tylko tak żartowała – zawstydziała się Colomba.

Klein westchnął po raz kolejny.

– Jak już wspomniałem, większość ciał była poważnie nadpalona, stwierdzono również złamania *perimortem* i *postmortem*, za które odpowiedzialne były spadające cegły. Niełatwo zidentyfikować znaki agresji fizycznej na podstawie analizy tkanki kostnej, a już zupełnie nie sposób tego dokonać na podstawie badań tkanek miękkich, chyba że byłyby to głębokie cięcia zadane białą bronią.

– To znaczy, że nie może pan całkowicie wykluczyć agresji fizycznej.

– Za to jestem pewien, że nie było ran charakterystycznych dla samoobrony. A to oznacza, że atak musiał być na tyle szybki i skoordynowany, że żadna z ofiar nie zdążyła zareagować. Kto byłby zdolny dokonać czegoś takiego w płonącym budynku i bez popełnienia najmniejszego błędu? Kogo podejrzewacie?

– Nikogo konkretnego – skłamała Colomba.

– No i mamy zapowiedziane bzdury... – powiedział Klein.

– We krwi denatów wykryto substancje odurzające. Może to one spowolniły reakcje? – włączył się Dante.

– Zgodnie z waszą hipotezą narkotyki zostały przyjęte nieświadomie? W jaki sposób? Przez pokropienie?

Ponieważ posługiwali się angielskim, który dla wszystkich był językiem obcym, Dante i Colomba nie mieli pewności, czy Klein żartuje, czy mówi serio.

– Czy na ciele ofiar zauważyliście ślady świadczące o uzależnieniu od narkotyków?

– Nie, ale mogli zażywać je sporadycznie.

– Chciałam jeszcze zapytać o mężczyznę, którego tożsamości nie udało się ustalić. Czy i w tym przypadku autopsja nie wykazała niczego wyjątkowego? Ten człowiek nie zmarł w lokalu, lecz później w szpitalu, stąd moje przypuszczenie – wtrąciła się Colomba.

– Jedyna różnica to wiek, bo wspomniany mężczyzna był znacznie starszy od innych ofiar. Miał około siedemdziesięciu lat. Poza tym cierpiał na zaawansowaną marskość wątroby i był niedożywiony.

– Był w ciężkim stanie?

– W fatalnym. Na podstawie analizy jego wątroby ustaliliśmy, że miał przed sobą nie więcej niż dwa miesiące życia.

Dante podskoczył na krześle, bo zrozumiał, że odkrył właśnie kolejny element układanki, który musi dopasować do całości. Jeśli profesor mówi prawdę, to Giltiné zorganizowała zamach i zamordowała wielu ludzi, aby zlikwidować umierającego człowieka.

W CIĄGU DNIA ULEGLI namowom Andreasa, który zaprosił ich na obiad do specjalizującej się w przygotowywaniu zup restauracji na Tauentzienstraße obok centrum handlowego KaDeWe, gdzie w bardziej sprzyjających okolicznościach Colomba chętnie zrobiłaby zakupy. Dziennikarz pomógł im zrekonstruować listę ofiar wraz z numerami telefonów członków rodzin. Kiedy zostali sami, Dante i Colomba wybrali z nich siostrę właściciela lokalu Brigitte Keller i postanowili się z nią skontaktować. Zadzwonili z budki telefonicznej; odebrał jej ojciec, który wyjaśnił, że córka zmieniła adres, a on nie ma zamiaru podawać go nieznanym. Poradził im, żeby poszukali jej w miejscu pracy, jeśli im naprawdę zależy. Słyszając łamiący się głos mężczyzny, który próbował wydukać kilka słów po angielsku, Colomba przestała nalegać i zapisała sobie adres.

Brigitte pracowała jako baristka w klubie Automatik na Kreuzbergu, dzielnicy, która w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych stanowiła centrum artystyczne i undergroundowe stolicy i również obecnie była odwiedzana, zwłaszcza przez młodych ludzi. W przewodnikach turystycznych Automatik od wielu sezonów plasował się niezmiennie na czele listy polecanych lokali.

Dante poszedł tam z Colombą tylko po to, by na widok kolejki złożonej co najmniej ze stu osób oczekujących na kontrolę jak najszybciej dać drapaka. Podczas weekendu niektóre kluby, w tym Automatik, był otwarte bez przerwy, tak że klienci mogli wejść w piątek i wyjść w poniedziałek, jeśli mieli na to ochotę, a goście płynęli stałym, nieprzerwanym strumieniem. Dostępu do wejścia bronił mężczyzna ubrany jak członek Hells Angels, który na pozór przypadkowo wybierał szczęśliwców godnych przestąpić próg lokalu. Colomba zauważyła, że odesłał z niczym chłopaka w boa ze strusich piór, a także dziewczynę w sukni wieczorowej i butach na wysokich obcasach, a potem pozwolił wejść Colombie, skinąwszy nieznacznie głową. Przez chwilę czuła się dumna ze swojej białej koszulki

widocznej spod kurtki. A potem pomyślała, czy to aby nie zasługa dorodnych piersi.

Przeszła przez krótki korytarz z tak niskim sklepieniem, że sam jego widok przytłoczyłby Dantego, i dotarła do wielkiej sali na parterze, która była pozostałością po browarze zastawioną sprzętami z odzysku i zniszczonymi okrągłymi stolikami z metalu. Po bokach znajdowały się drzwi prowadzące na wyższe piętra, gdzie mieściły się trzy parkiety taneczne, oraz do sutereny z pomieszczeniami zwanymi *dark room*, w których goście uprawiali seks grupowy lub wymieniali się partnerami na chybił trafił. Colomba miała nadzieję, że nie znajdzie się przez pomyłkę w jednym z takich pokoi, chociaż, szczerze mówiąc, i pozostałe sale nie za bardzo przypadły jej do gustu. W klubie przebywało około tysiąca osób i więcej niż połowa z nich była pod wpływem jakiegoś narkotyku. Jeśli chodzi o garderobę, to dominowały ekstrawaganckie dzinsy oraz kompletna nagość w połączeniu z obuwem sportowym, ale zdawało się, że nikt z obecnych nie zwraca na to uwagi. W ciemnych zakamarkach pary hetero i homo wymieniały czułości, które w innych miejscach uznano by za obrazę moralności. Nie brakowało również trójkątów.

Jedynym pozytywnym elementem tej atmosfery był całkowity brak agresji. Colomba nie zauważyła tutaj tego specyficznego napięcia charakterystycznego dla włoskich dyskotek, w których grupki młodych mężczyzn rozgrzanych alkoholem były gotowe do bójki z najbardziej błahych powodów. No i nikt nie próbował jej podrywać przy użyciu wyświechtanych frazesów. Pod tym względem punkt dla Niemiec.

W sali na pierwszym piętrze wmieszała się w tańczący tłum składający się z trzystu, czterystu osób zarówno nagich, jak i ubranych. Didżej grzmocił klientów muzyką techno, a Colomba czuła się, jakby ktoś walił ją pięścią w żołądek. Rozpychając się łokciami, dotarła wreszcie do lady barowej, za którą przy kasie stał chłopak w skórzanej kamizelce założonej na goły tors. Zawołała do niego po angielsku, że szuka Brigitte. Po chwili pojawiła się przed nią dziewczyna z różowymi, wygolonymi po jednej stronie głowy włosami, tatuażami na ramionach i kolczykiem na wardze.

– Słucham, o co chodzi? – powiedziała.

– Możesz mi poświęcić dziesięć minut? Przyjechałam tu specjalnie z Rzymu. Możemy porozmawiać w jakimś spokojniejszym miejscu?

Zaskoczona dziewczyna wymieniła kilka słów po niemiecku ze swoim kolegą, po czym przez drzwi na zaplecze poprowadziła Colombę na podwórze, gdzie muzyka docierała jedynie w postaci stłumionego pogłosu. Policjantka przedstawiła się i od razu przeszła do rzeczy.

– Muszę zadać ci kilka pytań dotyczących Absynthe. I twojego brata. Przykro mi, bo zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie bolesny temat.

Brigitte przez chwilę milczała, a potem pragnąc zyskać na czasie, zaczęła przechodzącego chłopaka, żeby wyłudzić papierosa.

– Dlaczego cię to tak interesuje?

– Bo chcę się przekonać, czy naprawdę chodzi o wypadek – wyjaśniła Colomba bez owijania w bawełnę.

Brigitte otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– A dlaczego myślisz, że nie?

– Właśnie staram się to ustalić.

– W tym pożarze zginął mój brat. Nie próbuj mnie zbyć.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło, ale naprawdę jestem tu, by poznać prawdę. Mogę ci tylko powiedzieć, że mój przyjaciel podejrzewa, że to był zamach. Niestety, nie mamy dowodów.

– A dlaczego chcesz to udowodnić? Jesteś dziennikarką?

– Nie.

Brigitte spojrzała na nią podejrzliwie.

– No dobrze, pytaj, o co chcesz, ale pospiesz się, bo muszę wracać do pracy.

– Jesteś przekonana, że to był wypadek, czy masz jakieś wątpliwości?

– Nie miałam powodów, żeby się nad tym zastanawiać. Instalacja elektryczna była stara i Gun myślał o przeprowadzeniu remontu.

– Miał wrogów?

– Z tego co wiem, to nie.

– Często zostawał w lokalu na noc?

– W weekendy zamykał bardzo późno. Pozostałe ofiary to byli stali klienci, również moi znajomi... spokojni ludzie.

Brigitte popatrzyła w dal i Colomba odczekała chwilę, udając, że nie widzi jej łez.

– Chyba jednak nie wszyscy – powiedziała wreszcie. – Bo nie ustalono tożsamości mężczyzny, który zmarł w szpitalu.

Dziewczyna się skrzywiła.

– To prawda.

– Wiesz, jak on się nazywał?

– Nie. Policja przesłuchiwała wszystkich krewnych ofiar oraz innych stałych klientów, ale niczego nie odkryli. Pewnie jakiś przypadkowy gość. Może turysta? – powiedziała Brigitte.

– Hotele zgłaszają zaginięcia turystów, a policja nie otrzymała żadnych sygnałów. Poza tym to był alkoholik w ostatnim stadium choroby. Zostało mu kilka miesięcy życia.

– Nie wiedziałam o tym. Ale i tak nikt mi nie przychodzi na myśl.

– A może twój brat rozprawdzał grzybki w dyskotekach? On albo któryś z gości?

– W klubie nie sprzedawano narkotyków – oświadczyła oburzona Brigitte.

– Znaleziono ślady we krwi wszystkich ofiar, również u twojego brata. To jeden z dowodów, który może potwierdzić tezę o zamachu.

Brigitte ponownie się zawahała.

– Czy ty na pewno nie jesteś dziennikarką? Albo gliną?

– Chcę być z tobą szczerą. Kiedyś byłam policjantką, ale teraz już nie.

– Co zrobiłaś?

– Zadajesz za dużo pytań.

Brigitte uśmiechnęła się po raz pierwszy i nagle wydała się Colombie znacznie młodsza, jakby była nastolatką. Ale już po chwili dziewczyna spoważniała.

– Jednego jestem pewna. Gun próbował różnych rzeczy, ale nie był narkomanem ani handlarzem. Nie pozwoliłby nikomu rozprawdzać towaru w klubie.

– No to jak byś to wyjaśniła?

– Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie ktoś pomieszał próbki w laboratorium... – głos jej się urwał i zamilkła na chwilę. – Chciałam, żeby powtórzyli badania, ale sędzia postanowił zamknąć całą sprawę i nie miałam siły się sprzeciwić.

– Naprawdę bardzo mi przykro.

Brigitte wzruszyła ramionami.

– Na dowód tego, że mój brat naprawdę dbał o dobre imię lokalu, mogę ci jeszcze powiedzieć, że zamierzał zainstalować monitoring, żeby nikt nie mógł po kryjomu sprzedawać prochów. Szkoda, że nie zdążył, bo wtedy pozbyłabyś się swoich wątpliwości.

Colomba przytaknęła, bo to rzeczywiście mogłoby zmienić perspektywę.

– Chciałam jeszcze zapytać, czy twój brat był z kimś związany?

– Na stałe nie.

– A może poznał jakąś kobietę na krótko przed pożarem?

– Jak prowadzisz dyskotekę, to ciągle nadarzają się okazje. Naprawdę myślisz, że to nie był wypadek? Bo ja do tej pory wcale się nad tym nie zastanawiałam, a teraz przychodzą mi do głowy różne myśli...

– Przysięgam, że nie wiem nic więcej poza tym, co ci powiedziałam.

– Daj mi znać, jeśli coś odkryjesz. Gun był porządnym człowiekiem. Nie zasłużył na taką śmierć. Zresztą pozostali też nie.

– Obiecuję – powiedziała Colomba z nadzieją, że będzie mogła dotrzymać słowa, chociaż ostatnio miała z tym poważne problemy.

Brigitte pokiwała głową i na chwilę pogрузzyła się we własnych myślach.

– Nie pamiętam żadnej nowej kobiety. I nie skarżył się na nachalne adoratorki, jeśli to masz na myśli. Ale teraz już naprawdę muszę wracać do pracy.

– Przepraszam, że zabieram ci czas. Ostatnie pytanie. Wiesz, kto miał instalować kamery?

– Nie. Brat powiedział mi, że znalazł kogoś, kto zrobi to za przystępną cenę, ale nic więcej nie wiem.

Colomba zostawiła jej numer do Colloquium.

– Zatrzymam się tu jeszcze na kilka dni. Jeśli uda ci się odkryć, o kogo chodzi, chętnie z nim porozmawiam.

Dziewczyna schowała wizytówkę i tym razem uśmiechnęła się znacznie swobodniej.

– W porządku. Jeśli chciałabyś wrócić do klubu, to podaj przy wejściu moje nazwisko, a postaram się, żebyś nie musiała stać w kolejce, okej? Chętnie zaproszę cię na drinka.

Colomba podziękowała, zastanawiając się, co się kryje za tą propozycją. Niezależnie od intencji dziewczyny ona stała zdecydowanie po drugiej stronie barykady i nie mogła się doczekać, kiedy wróci do Włoch i dokończy zawieszoną sprawę z muskularnym policjantem.

Znudzony Dante czekał na nią, krążąc po ulicy. Razem dołączyli do Andreasa, który czekał na nich w całodobowej hinduskiej restauracji, bo się uparł, że muszą spróbować tutejszej kuchni. Usiedli w letnim ogródku, a obsługa dała im nawet koce, aby mogli się okryć. Andreas był tu stałym gościem, traktowanym niemalże jak członek rodziny, ponieważ odwiedzał restaurację za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do Berlina. Dante zamówił górę warzyw tandoori i piwo Meera, Colomba pikantnego kurczaka w aromatycznych przyprawach, a Andreas po trochu wszystkiego, co znalazł w karcie.

– Jak tam postępy w śledztwie? – zapytał dziennikarz.

– Utknęliśmy w martwym punkcie – odpowiedział Dante.

– Andreasie, jeśli dobrze pamiętam, to nie rozmawiał pan osobiście z niezidentyfikowaną mężczyzną, prawda? – zagadnęła Colomba.

– Nie, inaczej bym wam powiedział. Te informacje przekazał mi znajomy ze szpitala.

– Ma pan pewność, że to wiadomości z pierwszej ręki?

Na twarzy Andreasa pojawił się grymas wyrażający wątpliwość.

– Tak utrzymywał mój informator, chociaż... Udało wam się czegoś dowiedzieć?

– Tylko tego, że znalazł się w klubie przypadkowo. Nie był stałym bywalcem. Autopsja wykazała fatalny stan zdrowia, a to właśnie on najdłużej utrzymał się przy życiu – wyjaśniła Colomba.

– Może został specjalnie wyszkolony do przetrwania w trudnych warunkach – powiedział Andreas, żując powoli *cheese naan*.

– Znasz szkolenie, które pozwala wytrzymać próbę ognia?

– Program neurolingwistyczny – rzucił Andreas. – Szkolono w ten sposób agentów KGB. Zabierano ich na pustynię i za pomocą sugestii przekonywano ich, że odczuwają chłód. Nawet nie podejrzewamy, do czego zdolny jest ludzki umysł.

– Jestem przekonana, że istnieje inne wytłumaczenie – powiedziała sceptycznie Colomba.

– Może ten facet rzeczywiście był kiedyś szpiegiem? – ożywił się Dante. – Ma pan jakieś kontakty wśród byłych pracowników Stasi? Mógłby pan trochę popytać?

– Kontakty? Nawet pan sobie nie wyobraża, ilu z nich chciało mi wcisnąć swoje wspomnienia! Musiałem im tłumaczyć, że to ja jestem tym, który sprzedaje. – Zaśmiał się głośno, po czym zaczął opowiadać anegdoty z czasów NRD.

Dante słuchał z zachwytem, a Colomba nudziła się śmiertelnie. Andreas ciągnął swoje opowiadanie także w drodze powrotnej. Wreszcie taksówka zatrzymała się przed budynkiem Colloquium, gdzie akurat odbywało się przyjęcie urodzinowe. Często się zdarzało, że wynajmowano willę, kiedy nie było w planie żadnej konferencji, a zarobione pieniądze przeznaczano na bieżące wydatki.

Colomba wyczuła, że dwaj spiskowcy przyłączą się do balujących i będą dalej snuć swoje mroczne teorie, tymczasem ona chciała jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju i dokończyć lekturę książki. Niestety, już na schodach poczuła, że coś jest nie w porządku.

WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ od dziwnego poczucia lekkości i euforii, które Colomba początkowo uznała za skutek wypitego alkoholu, oraz zmęczenia po dniu pełnym wrażeń.

Pokonanie schodów okazało się trudniejsze, niż przypuszczała, i musiała oprzeć się o ścianę, śmiejąc się jak głupi do sera. Dobry humor nie opuszczał jej również w pokoju, gdzie niedługo potem pojawił się Dante w podobnym stanie.

– Nie możemy tyle pić – powiedziała Colomba, prowokując kolejny wybuch śmiechu.

Dante rzucił się na stojące w gabinecie łóżko i zdawało mu się, że znajduje się na tratwie kołyszącej się na falach. Z ogrodu dobiegały dźwięki piosenki *Mamma mia* i przez drzwi łączące oba pokoje zaczął uświadamiać przyjaciółkę, że Abba to największy przekręt medialny w historii muzyki.

– Wszyscy są przekonani, że było ich czworo – zawołał. – Dwie wokalistki, facet z gitarą i ten, który gra na pianinie. A kto gra na perkusji? I na basie? W rzeczywistości było ich co najmniej sześcioro albo i więcej! Żądam sprawiedliwości dla dwóch nieznanym!

Z drugiego pokoju dobiegł rżący śmiech Colomby, gdy tymczasem Dante poczuł, że jego łóżko wiruje w tak szybkim tempie, że wytwarza kolorowe błyskawice. Po omacku sięgnął po stojącą na podłodze butelkę z wodą, ale podniesienie jej do ust zajęło mu całą wieczność. *Czas się wydłuża, chyba wpadłem w czarną dziurę.* Woda w jego ustach mieniła się odcieniami smaków, które odpowiadały poszczególnym składnikom mineralnym wchodzącym w jej skład. Dante porządkował je zgodnie z układem pierwiastków, dodając kilka nowych, co do których miał pewność, że wkrótce zostaną odkryte. Tymczasem sufit przeobrażał się powoli w pikselowy obraz przypominający starą grę komputerową. W tym momencie Dante zrozumiał, co się dzieje.

Jestem na haju.

Ta myśl spowodowała, że proces przyspieszył. Sufit zniknął i odsłonił nocne niebo, po którym toczył się ogromny księżyc, by po chwili ponownie

zamknąć się nad jego głową, tym razem w postaci belek z silosu. Z tą różnicą, że nie były one z drzewa, lecz w postaci neonów w kolorach zielonym i czerwonym, które pulsowały w rytm muzyki dobiegającej z dziedzińca.

Co dziwne, wcale się nie bał. Za każdym razem, gdy czuł narastający niepokój, starał się nad nim zapanować, skupiając się na krążących wokół niego myślach, które zmieniały się w dymki z komiksów i ulatniały przez nos i uszy. Wiedział, jak się zachować, bo miał świadomość swojego stanu. To był *trip*, podróż, w którą wyruszył pod wpływem LSD. Tylko że tym razem rezultat okazał się znacznie silniejszy, niż kiedy przyjął narkotyk świadomie, mając nadzieję, że w ten sposób zdoła odblokować ukryte głęboko wspomnienia. To, co przydarzyło mu się teraz, było jak... jak kawa w porównaniu z nitrocelulozą.

Porównanie nie miało najmniejszego sensu, ale słowo „nitroceluloza” samo cisnęło mu się na usta.

Ni-tro-ce-lu-lo-za.

Celuloza azotanowa.

Azot celulozowy.

Wiedział, że nie może zamknąć oczu, bo wtedy halucynacje opanują go całkowicie, gdy tymczasem nie powinien w żadnym razie tracić kontaktu z rzeczywistością. Nie był w stanie podnieść się z łóżka, więc przekręcił się na bok i spadł na podłogę. Próbował doczołgać się do walizki, co wcale nie było łatwe, gdyż jego ciało zmieniało się właśnie w galaretę.

W sąsiednim pokoju Colomba przestała się śmiać. W przeciwieństwie do Dantego nie miała doświadczenia z narkotykami, nie próbowała nawet marihuany. Jedyne halucynacje, jakie ją męczyły, wiązały się z atakami paniki, ale miała świadomość, że pojawiające się wtedy cienie tak naprawdę nie istnieją.

Tymczasem teraz narkotyk oszukiwał receptory zmysłów, igrając z jej percepcją, i obrazy stawały się coraz bardziej realne: łańcuchy zwisające z sufitu, zgrzyt metalowych narzędzi, stół operacyjny, który zastąpił stojące w sypialni łóżko. Kwas lizergowy zawładnął całkowicie jej świadomością, narzucając fałszywe przekonanie o prawdziwości

pojawiających się obrazów. Nie przebywała już w Niemczech, lecz w swojej prywatnej wersji Nowego Świata, gdzie ludzie od urodzenia byli przygotowywani do odgrywania ściśle określonych ról w społeczeństwie. Ona została przeznaczona na stanowisko oficera policji, ale w trakcie przygotowań coś poszło nie tak, jak trzeba. Dlatego odesłano ją z powrotem do Warsztatu, aby usunąć usterki. A to niezwykle bolesna procedura.

Drzwi do pokoju otworzyły się powoli, a Colomba zaczęła dygotać ze strachu. Nadszedł nieprzyjemny moment, w którym mechanik miał usunąć z jej głowy uszkodzone elementy, które sprawiały, że była smutna i pozbawiona pewności siebie. I oto pojawiła się olbrzymia, zdeformowana postać, bardziej przypominająca niedźwiedzia niż człowieka. Zbliżając się do niej, potwór z czerwonymi oczami parskał i chrząkał. W rękę dzierzył metalowy przedmiot błyszczący tak intensywnie, że musiała przymknąć oczy.

Kiedy mechanik się nad nią pochylił, nie zdołała się nawet poruszyć. Miała tylko nadzieję, że szybko wykona swoje zadanie. Przez moment narzędzie odsłoniło przed nią swoją prawdziwą naturę. Był to nóż kuchenny, a trzymająca go dłoń należała niewątpliwie do człowieka. Ale było już za późno i Colomba postanowiła ze spokojem przyjąć to, co miało za chwilę nastąpić.

Mechanik uniósł broń i w tym samym momencie jakaś postać poruszająca się zbyt szybko, aby Colomba mogła ją rozpoznać, rzuciła się na oprawcę, wytwarzając mieniące się linie kinetyczne. Mechanik wraz z nowo przybyłym zniknęli w tumanie kurzu rodem z kreskówek i przetaczali się po podłodze, wydając przy tym dziwne odgłosy. W końcu do jej łóżka podpełzł cień mężczyzny, wydłużając się, jakby był z gumy.

Colomba krzyknęła, kuląc się na posłaniu, ale usłyszała głos Dantego, który szeptał jej do ucha słowa otuchy.

– Niedługo wszystko minie, nie przejmuj się. Pij – powiedział.

Wlał jej do ust jakiś gorzki płyn, który z trudem przełknęła, po czym objął ją mocno i kołysał aż do czasu, gdy całkiem się uspokoiła. Colomba

położyła się w pozycji płodowej, a Dante przywarł do jej pleców i przez cały czas szeptał słowa pocieszenia.

W czasie kolejnych dwóch godzin Colomba czuła się tak, jakby śniła na jawie, i dopiero potem zaczęła powoli wracać do rzeczywistości. Dotarło do niej wreszcie, że podano jej narkotyki, i z każdą chwilą była coraz mniej podekscytowana, a coraz bardziej zamroczone. W końcu udało jej się skupić wzrok na Dancem i rozpoznać jego twarz, chociaż ciągle jeszcze sporadycznie otaczały ją kolorowe aureole. Zauważyła, że przyjaciel ma dużego siniaka pod prawym okiem i ślady krwi na kołnierzyku koszuli.

– Cześć – odezwał się.

– Cześć... czuję się... – Colomba nie była w stanie zbudować zdania.

– Wiem, że trudno to opisać. Ale teraz, jak już wróciłaś na ziemię, muszę cię ostrzec, że mamy problem do rozwiązania.

Colomba podążyła wzrokiem za Dancem i zobaczyła leżącego na podłodze Andreasa z rozbitą głową.

NA SZCZĘŚCIE ANDREAS żył i nie odniósł nawet poważniejszych obrażeń. Dante znienacka uderzył go w potylicę mosiężną podstawką nocnej lampki i cios rozciął mu skórę oraz pozbawił przytomności. Mężczyzna zdążył jednak zdzielić Dantego mocnym sierpowym w twarz. Dopiero kiedy padł na podłogę i stracił świadomość, Dante założył mu kajdanki, które znalazł przy Colombie, chociaż z trudem udało mu się je zacisnąć na potężnych przegubach przeciwnika. Potem wlał mu do ust pół butelki środka uspokajającego i teraz Andreas spał jak noworodek po makowym mleku.

Colomba zupełnie już otrzeźwiała, ale czuła się jeszcze dziwnie. Chociaż była dopiero czwarta nad ranem, sen uleciał na dobre, a ponadto rozróżnianie kolorów ciągle jeszcze sprawiało jej kłopoty. Spoglądając przez okno na ciemne jezioro majaczące w oddali, dostrzegła wijące się tęczowe światło.

– Czy narkotyki zawsze tak działają? – zapytała Dantego, sącząc przygotowaną przez niego kawę.

– Każdy z nas reaguje inaczej. Wbrew pozorom nie mam dużego doświadczenia w tych sprawach, chociaż kilka razy miałem okazję spróbować.

Colomba piła kawę i po raz pierwszy powstrzymała się od krytyki. Może dlatego, że posmak, który czuła w ustach, był zdecydowanie bardziej przykry.

– Jak można się czymś takim faszerować... – urwała, gdyż zdała sobie sprawę, że pośrednio krytykuje osobę, która właśnie ocaliła jej życie, więc zaraz dodała: – Sama nigdy bym sobie nie poradziła. Dziękuję, że się mną zająłeś. Bardzo tego potrzebowałam.

– Ja też – zapewnił Dante, dziękując w duchu, że w panujących ciemnościach nie widać jego czerwonych uszu. Nie zamierzał tłumaczyć przyjaciółce, że obejmując ją, ostatnią godzinę spędził na przekonywaniu pewnej części swego ciała, aby zachowywała się przyzwoicie.

– Jak ci się udało tak szybko zareagować? – zapytała Colomba.

– Kiedy wiesz, co się z tobą dzieje, łatwiej ci podjąć odpowiednie działania – odpowiedział Dante z radością, że udało im się zmienić temat. – Od razu wziąłem chloropromazynę, to te fiołki, które podałem też tobie do wypicia. To doskonałe antidotum na halucynacje.

– Kim ty jesteś? Batmanem? Nosisz wszystko przy pasku od spodni?

Dante się zawstydził i zakaszał, aby ukryć zmieszanie.

– Nie. Mam ją przepisaną.

Colomba nie skomentowała i Dante wyjaśnił:

– Podają to schizofrenikom i maniakom depresyjnym, którym już nic innego nie pomaga. Wszystko wskazuje na to, że należę do jednej z tych kategorii. Powinienem brać lek codziennie, ale robię to tylko w razie konieczności, tak jak wczoraj.

– To dlatego byłeś taki osowiały?

– Tak. Ale zanim wziąłem kolejną dawkę, miałem jeszcze trochę tej substancji w organizmie i to mnie uratowało. Co zrobimy z Andreasem? Jak podejrzewam, nie można nawet pomarzyć, żeby pokroić go na kawałki i wrzucić do jeziora?

Colomba mocno się skrzywiła i Dante zauważył w jej oczach zielone błyskawice. Była to jeszcze reakcja po narkotykach, ale tak prawdopodobna, że poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach.

– Wszystko zależy od jego odpowiedzi – wycedziła Colomba przez zaciśnięte zęby.

POSADZILI ANDREASA ZAKUTEGO w kajdanki na łóżku Dantego i w ciągu pół godziny mężczyzna odzyskał przytomność.

– Dajcie mi trochę wody – poprosił słabym głosem.

Dante przyłożył mu butelkę do ust. Miał ochotę walnąć go z całej siły w zęby, ale połączony efekt narkotyków i leków osłabił jego agresję do minimum.

Colomba pomachała Andreasowi przed nosem nożem kuchennym.

– Do czego chciałeś go użyć?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Do niczego. Usłyszałem dziwny hałas i chciałem sprawdzić, co się dzieje. A on mnie zaatakował. Zachowywał się, jakby był naćpany.

– Myślisz, że ktoś ci uwierzy?

– Myślę, że wszyscy mi uwierzą.

Dante przyglądał mu się z niepokojem.

– Kłamiesz. Ale muszę przyznać, że robisz to nadzwyczaj dobrze.

Pozwolisz mi na mały eksperyment, CC?

– Oczywiście.

Dante chwycił nóż i przyłożył ostrze do prawego policzka Andreasa.

– Co byś powiedział, gdybym wydułbał ci oko? W końcu masz dwa.

– Nie zrobisz tego.

– Przecież mnie nie znasz. Możesz się mylić.

– Czym byłoby życie bez odrobiny ryzyka?

Dante przyjrzał mu się uważnie, po czym opadł na krzesło, kładąc nóż na biurku.

– Zawsze taki byłeś? Mordowałeś zwierzątka w dzieciństwie? Torturowałeś koleżanki z piaskownicy?

Andreas nie odpowiedział, ale w jego oczach pojawił się niepokojący błysk.

– Naprawdę sądziłeś, że ci się upiecze? – zapytała Colomba.

– LSD wywołuje dziwne reakcje. Zwłaszcza u osób, które łążą w nocy po murach – powiedział, jakby nie miał nic konkretnego na myśli. – A tak... widziałem cię.

– Morderstwo i samobójstwo – domyśliła się Colomba.

– Dobrze wiesz, że nie możesz tego udowodnić. Znowu się wygłupisz. Ale w końcu jesteś przyzwyczajona do porażek, co? Inaczej nie prowadzałybyś się z kimś takim jak Torre.

Colomba postanowiła nie dać mu satysfakcji i zachowała zimną krew.

– Przestań, to nie jest przedstawienie jednego aktora. Dlaczego chciałeś nas zabić?

Andreas się uśmiechnął. Zęby miał ubrudzone krwią i był to dość makabryczny widok.

– Naprawdę myślisz, że to ja podejmuję decyzje? – zapytał z pogardą w głosie.

ANDREASA NIC NIE obchodziły ofiary z klubu Absynthe. „Zero, zip, zilch, nada” – jak mawiał Joker z kreskówki. Nie było w tym zresztą nic dziwnego, bo niewiele rzeczy miało dla niego znaczenie, a ograniczały się do tego, co mógł włożyć do ust, i do tego, gdzie mógł wcisnąć swojego ptaszka. Aby zadowolić te dwie najcenniejsze części ciała, Andreas potrzebował oczywiście pieniędzy. Chcąc dobrze zarabiać, w pierwszych latach dziennikarskiej kariery zajmował się tym, czego wielu jego kolegów nie miało odwagi się podjąć. Przeprowadzał wywiady z ludźmi, którzy dopiero co stracili kogoś bliskiego, lub z kobietami, które przeżyły gwałt. Rozmawiał z pedofilem na temat jego erotycznych doznań, szantażował zbyt powściągliwych świadków, wymieniał informacje z różnego typu kryminalistami.

Andreas rozumiał różnicę między tym, co dobre i złe, sprawiedliwe i podłe, ale nie czuł potrzeby dostosowania się do obowiązujących powszechnie zasad moralności, podobnie jak nie interesowały go miłość czy posiadanie przyjaciół. Był na tyle wykształcony, że wiedział, iż – podobnie jak Harry Lee Oswald czy Ted Bundy – cierpi na chorobę, którą psychiatrzy określali mianem antyspołecznego zaburzenia osobowości. Niemniej jednak uznawał morderstwo za narzędzie, którego należy używać z rozważą, tak jak w przypadku jego wiekowych rodziców, kiedy zaczęli za bardzo interesować się jego życiem. Musiał kontrolować również skłonność do agresji. Wcześniej, kiedy nikt go nie znał, mógł działać bardziej swobodnie, ale odkąd jego twarz zaczęła pojawiać się w telewizji w związku z wykonywaną pracą, ryzyko stało się zbyt duże. Przeszukiwał stare archiwa, wynajdywał ukrywających się przed światem ufologów i satanistów, a jeśli nie chcieli współpracować, zawsze znalazł sposób, by ich przekonać. Andreas miał nosa do ciekawych tematów.

Tak jak ten z udziałem Giltiné. W przeciwieństwie do tego, co opowiedział Colombie, Andreas poszedł do szpitala i próbował wyciągnąć informacje od poparzonego mężczyzny, skłaniając wcześniej swego znajomego pielęgniarkę, aby wykonał zastrzyk pobudzający. Poza

imieniem Giltiné usłyszał kilka słów po rosyjsku, z których zrozumiał tylko jedno, „biały”, ale bez kontekstu nic mu ono nie mówiło. Już miał przed oczami wspaniałą historię. Nieznany mężczyzna mówiący po rosyjsku zamordowany przez tajemniczą kobietę. Nie mógł mu się trafić lepszy temat. Pomyślał, że to materiał nawet na całą książkę, nie tylko na kilka artykułów. Wiedział, że jeśli dołoży do tego kilka plotek z okresu NRD, to miliony będą gotowe zapłacić jak za ciekłe złoto. I było mu zupełnie obojętne, czy opisane rewelacje okażą się prawdziwe, czy nie. „Zero, zip, zilch, nada”. W drodze do domu rozkoszował się już zaplanowanym tekstem, odczuwając przy tym niemalże fizyczną przyjemność, a kiedy dotarł na miejsce, zastał tam właśnie ją.

– GILTINÉ? – ZAPYTAŁA COLOMBA, która ciągle jeszcze miała sucho w ustach.

– Giltiné – potwierdził Andreas. – Nie wiem, jakie zwidy mieliście pod wpływem narkotyków, ale mogę was zapewnić, że ona jest o wiele bardziej przerażająca.

– Widziałeś ją? – zniecierpliwiał się Dante.

– Miała gumową maskę na twarzy. Dobrze dopasowaną, podobną do tych, które zakładają poparzonym, tylko że zakrywała jej również usta. Ramiona miała szczelnie owinięte bandażami. Co do reszty, to mogę dodać, że była średniej budowy.

– Odniosła rany w pożarze? – naciskała Colomba.

– Też się nad tym zastanawiałem, ale to było zaledwie dwa tygodnie po wypadku i gdyby doznała tak rozległych oparzeń, powinna była leżeć w łóżku. I nie poruszałyby się tak zwinnie.

Kiedy Andreas ją zobaczył, chciał się bronić i pobiegł w stronę biurka, gdzie w szufladzie trzymał maczugę. Zabandażowana kobieta wyprzedziła go, a on nawet nie zauważył, jak tego dokonała. Wyglądało to na magiczną sztuczkę iluzjonisty, który sprawia, że asystentka znika. Mrugasz oczami ze zdumienia, a ona pojawia się nagle po drugiej stronie sceny z bukietem róż. Różnica była taka, że Giltiné trzymała w ręce nóż myśliwski z ząbkowanym ostrzem w stylu Rambo i obracała go między palcami z szybkością błyskawicy.

– Ostrzegła mnie, że jeśli zrobię jeszcze jeden krok, to mnie zabije, a potem poinformowała, co muszę zrobić, żeby pozostać przy życiu.

– Zapomnieć o tej historii – podpowiedziała Colomba. – Dlaczego nie skasowałeś fragmentu na swoim blogu?

– Zabroniła mi. Powiedziała, że ktoś mógłby nabrać podejrzeń, że to ona maczała w tym palce.

– Kto?

– Nie sprecyzowała. Może cierpi na manię prześladowczą?

Dante i Colomba wymienili porozumiewawcze spojrzenia, ponieważ oboje pomyśleli o tajemniczym wrogu, którego tak bardzo obawia się Giltiné.

– Na koniec kazała mi mieć oczy i uszy otwarte i powiadomić ją natychmiast, gdy tylko ktoś zacznie zadawać podejrzane pytania.

– Możesz nas z nią skontaktować? – zapytała Colomba.

– Tak.

– Jak?

– Przez maila. Ale nie rób sobie nadziei, że dowiesz się czegoś konkretnego, bo to niemożliwe. Konto należy do administratora strony na temat wędkarstwa sportowego, która została uruchomiona na podstawie fałszywych danych.

– Sprawdziłeś to?

– Zachowałem konieczną ostrożność. I nie drążyłem dalej.

– Ile dostałeś za szpiegowanie i przekazywanie informacji? – zapytał Dante.

– Uważasz, że życie to niewystarczająca rekompensata?

– Nie na dłuższą metę i nie dla kogoś takiego jak ty.

Andreas zaśmiał się głośno, plując krwią.

– Daj mi fajkę, może powiem wam całą resztę.

Dante włożył mu papierosa do ust i zapalił.

– Wiesz o tym, że igrasz z ogniem, prawda?

– A ty wiesz, jak bardzo mnie to obchodzi, prawda? – powiedział z szyderczą miną. – Po upadku muru w tajemniczy sposób zniknęła większość dokumentów z archiwów Stasi: nazwiska informatorów

i agentów, nagrania i kompromitujące materiały na temat szpiegowanych osób. Nie mam pojęcia, w jaki sposób Giltiné je zdobyła.

Opowiedział, że miała przy sobie nośnik pamięci USB i pozwoliła mu pobeżnie przejrzeć zawartość plików. Udało mu się zapamiętać zaledwie kilka nazwisk.

– Później je sprawdziłem, były autentyczne. Nieco na tym zarobiłem. – Wzruszył ramionami. – Obiecała, że dostanę całe archiwum w nagrodę za oddaną we właściwym czasie przysługę.

– Chodziło o nas?

– Wszystko na to wskazuje. Niestety, nie udało się i teraz już nigdy nie zobaczę reszty dokumentacji.

– Co jeszcze wiesz o Giltiné? – zapytała Colomba.

– Dobrze sobie radzi z nożem i z narkotykami. To ona dostarczyła mi LSD. – Andreas przeciągnął się, aż łóżko zaskrzypiało. – Powiedziałem wam mniej więcej wszystko. A teraz zdejmijcie mi kajdanki, bo muszę się przespać.

– Sądzisz, że pozwolimy ci tak po prostu odejść? – zapytała szczerze zdziwiona Colomba.

– A czemu by nie? Giltiné poleciła mi was zlikwidować, a ja nie wykonałem zadania. Jak myślicie, co mi zrobi, gdy mnie ponownie odwiedzi? – Andreas mrugnął porozumiewawczo do policjantki. – Stoimy po tej samej stronie barykady. Nie mogę się doczekać, kiedy pozbędziecie się tej zdziury.

PRZEWOŹNIK STYKAŁ SIĘ W Swojej pracy z różnymi rodzajami turystów, również z tymi, którzy dawali mu spore napiwki za to, by udawał, że nie widzi, jak w ciemnościach uprawiają seks na łódce. Dzielił klientów na trzy kategorie. Byli zatem entuzjaści piszczący i śmiejący się z byle powodu i do tej grupy należeli przede wszystkim Amerykanie w średnim wieku. Następnie ci, którzy cały czas robili sobie selfie i sprawiali wrażenie, jakby niezupełnie wiedzieli, gdzie się znajdują. W trzeciej grupie dominowali Niemcy, którzy zdawali się znać doskonale historię Wenecji i ani na chwilę nie zamykali ust. Niemniej jednak wszyscy milkli w zachwycie, wznosząc w górę oczy w obliczu wspaniałości Molino Stucky czy kościoła pod wezwaniem Świętej Eufemii. Ogromne wrażenie robił na nich także rozszerzający się kanał Giudecca, gdy przeciwległy brzeg znikał w gęstej mgle. Na wysokości wyspy San Giorgio osiągał szerokość czterystu pięćdziesięciu metrów, zmieniając się niemalże w słone jezioro, ale nie była to trasa turystyczna, którą normalnie pokonują wypełnione turystami motorówki. Nie przez przypadek właśnie tamtędy podpływały do miasta ogromne statki wycieczkowe, które przypominały kąpiącego się w wannie wieloryba. Mężczyzna był pewien, że prędzej czy później te morskie potwory zniszczą Wenecję, i liczył na to, że będzie mógł wtedy zobaczyć miny tych wszystkich, którzy twierdzą, że nie istnieje najmniejsze niebezpieczeństwo.

Kobieta siedząca teraz spokojnie w łodzi nie należała do żadnej ze znanych mu kategorii. Stopy w skórzanych kozakach oparła mocno o dno gondoli i patrzyła w dal. Miała około czterdziestu lat, bardzo mocny makijaż i fular na włosach. Nie podziwiała wschodu słońca, które pojawiło się na horyzoncie w czasie przeprawy, nie robiła zdjęć i nie podtrzymywała rozmowy. Mężczyzna opowiedział jej o Święcie Odkupiciela i procesji łodzi, które w trzecią niedzielę lipca wypełniały lagunę, lecz jedyną odpowiedzią, jaką od niej otrzymał, było odbicie promieni słonecznych w okularach, kiedy odwróciła głowę w jego stronę jak ptak zainteresowany nową, nieznaną odmianą robaka. A potem zajęła się obserwacją wody,

potrząsając od czasu do czasu głową, jakby przeszkadzał jej jakiś niezidentyfikowany hałas. Najwyraźniej cierpiała na chorobę morską.

Tymczasem Giltiné rozmyślała o Berlinie i o mężczyźnie, któremu zleciła pozbycie się problemu. Zastanawiała się, czy sobie poradził. Wśród rybek wpadających w jej sieci były takie, które miały większą wartość od pozostałych. Prawdziwe rekiny, których nie trzeba szantażować ani specjalnie zachęcać do działania. Wystarczyło ich zainspirować. Miała ich pełny basen i czasami rzucała im jakiś smaczny kąsek, aby się nie zniechęciły.

Taksówka wodna minęła Most Westchnień, zawieszony pomiędzy asymetrycznymi budynkami, i Giltiné zajęła się obserwacją łodzi straży pożarnej cumującej niedaleko krzyża. Na końcu widocznej z tego miejsca ulicy można było dostrzec skutki nocnego pożaru, a wiatr niósł zapach spalenizny.

– Znałem tego *tòso* – odezwał się nagle przewoźnik.

Giltiné spojrzała na rufę.

– Toso?

– To znaczy „chłopak” w dialekcie. Dla mnie wszyscy przed pięćdziesiątką to młodzieńcy. Odkręcił gaz i spowodował pożar. On też woził turystów po kanałach.

– Dlaczego to zrobił?

– Nie wiadomo. Ale słyszałem pogłoski... – przerwał na chwilę, licząc na jakąś oznakę zainteresowania, ale kobieta wpatrywała się w niego z kamiennym wyrazem twarzy. – Mówią, że był pedałem. I mu odbiło, bo musiał ukrywać swoje skłonności.

Giltiné siedziała nieporuszona, ale głosy z dna morza pomrukiem wyraziły swoje zadowolenie.

Minionej nocy jej awatary pracowały po godzinach wśród środowisk LGBT, gdzie opowiadały smutną historię geja niezdolnego do akceptacji swoich preferencji. Było jeszcze zbyt wcześnie, aby śledczy uznali samobójstwo za możliwy powód eksplozji, niemniej jednak pogłoska została „udokumentowana”, a odkrycie ciała Darii zamordowanej przy użyciu noża, który Pennelli ciągle jeszcze dzierżył w dłoni, tylko potwierdzi

wiarygodność tej hipotezy. W ten sposób podejrzenie morderstwa i samobójstwa wysunie się na pierwszy plan i wyeliminuje inne hipotezy w śledztwie. Zanim ktoś ustali prawdziwy przebieg zdarzenia, minie kilka tygodni, a wtedy nie będzie to już miało znaczenia.

Nauczona doświadczeniem Giltiné zostawiła przewoźnikowi pokaźny napiwek, po czym wróciła do wynajętego mieszkania, zmieniła bandażę i sprawdziła konto przeznaczone do korespondencji z Andreasem, na które jej awatar otrzymał informację o przybyciu Dantego i Colomby do Berlina. Nie znalazła żadnych nowych wiadomości. Nie było też nic na stronach agencji. Być może jest jeszcze za wcześnie. A może jej rekin nie zdołał wykonać zadania.

Giltiné otworzyła plik z informacjami o Dantem. To on wyprowadził ją z równowagi, pomimo chłopięcego wyglądu i smutnego wyrazu oczu, w których dostrzegła ślady przerażających doświadczeń, będących kiedyś i jej udziałem. Przyglądała mu się długo na filmikach, jak wychodzi z sądu po sprawie dotyczącej śmierci Ojca, i w końcu zrozumiała, że już go kiedyś widziała. Znajdowała się wtedy w Dinozaurze, niedaleko lokalu zajętego nielegalnie przez Youssefa, i czekała, aż przywiązany do kolumny Musta się obudzi. Przez okno dostrzegła wtedy przygarbionego, ubranego na czarno mężczyznę, który prowadził pierwszy oddział. Nie mogła się mylić i nie chodziło o przypadek. To on sprawił, że policja pojawiła się tak szybko.

Najpierw Rzym, później Berlin: Torre szedł wstecz po jej śladach.

Na co dzień Giltiné doskonale kontrolowała swoje emocje i była z natury bardzo spokojna, ale patrząc w orzechowe oczy Dantego, poczuła dziwny niepokój, a zmarli, którzy od zawsze kierowali jej działaniami i popychali ją do przodu, karząc krzykiem i nagradzając ciszą, tym razem nalegali, aby się pospieszyła.

Giltiné postanowiła dać Andreasowi jeszcze trochę czasu. Jeśli w ciągu kilku godzin nie dostanie od niego żadnej wiadomości, będzie musiała sama przystąpić do akcji.

DANTE I COLOMBA zakneblowali Andreasa, stosując ten sam system, co Giltiné. Użyli skarpety Dantego, a potem zakleili mu usta taśmą klejącą. Zostawili go na łóżku w sypialni, natomiast sami wrócili do salonu, żeby się naradzić. Kelnerzy porządkowali ogródek po nocnym przyjęciu, zupełnie nieświadomi tego, co się wydarzyło dwa piętra wyżej.

– Jak myślisz, powiedział nam prawdę? – zapytała Colomba.

– Nie mam pojęcia. To socjopata. Tacy jak on oszukują z niespotykaną łatwością. Mógłby oszukać nawet wykrywacz kłamstw.

– Ty jesteś lepszy niż jakiekolwiek urządzenie.

– W życiu nie dorównałbym Giltiné. Pomyśl tylko, jak zmanipulowała tych baranów, którzy nakręcili wideo, nie wspominając już o strażniku z CRT. No i jeszcze Andreas... Poszła do niego z zamiarem wyeliminowania go z gry, a potem zmieniła zdanie i zleciła mu zadanie do wykonania. Od razu wyczuła, że jest zdolny do morderstwa, zresztą być może to dla niego nie pierwszyzna.

– Jeśli w jego opowiadaniu jest chociaż źdźbło prawdy, to tajemniczy mężczyzna pochodził z Rosji.

– Czuję zapach zimnej wojny.

– Po tych wszystkich latach to chyba mało prawdopodobne, poza tym Giltiné była wtedy dzieckiem. Bardziej zaciekało mnie to, że jest chora albo ranna.

Oszpecona mumia. Colomba wbiła sobie do głowy tę myśl i nie mogła się jej pozbyć.

– Zastanawiam się, jak może się pokazywać między ludźmi w takim stanie.

Dante zapalił papierosa i pomyślał o zapachu pomarańczy, który poczuł na kartonowym pudełku i na rękawiczce znalezionej przy zwłokach Youssefa. To musi mieć związek z lekarstwami Giltiné. Prawdopodobnie chodzi o jakąś maść lub środki antyseptyczne. Gdyby miał pewność, jaki to konkretnie produkt, mógłby się dowiedzieć więcej na jej temat.

– Choroba ma związek z jej działaniami – powiedział. – Tylko że na razie jeszcze nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Może jej też zostało tylko kilka miesięcy życia, tak jak zamordowanemu mężczyźnie? I wcześniej chce wysłać do piekła wszystkich swoich wrogów.

– Czy wśród ofiar katastrofy pociągu był ktoś nieuleczalnie chory?

– Nie. Wydaje mi się, że czytałam coś na temat kobiety, która pracowała jako specjalista w zakresie PR. Rok temu miała operację raka piersi, ale teraz czuła się już dobrze.

– W wagonie nie było też żadnych Rosjan, a to oznacza, że nie mamy konkretnych powodów do podejrzeń. – Dante zgasił papierosa w wypełnionej niedopałkami popielniczce, po czym od razu zapalił kolejnego. – Andreas ma rację, twierdząc, że nie możemy kazać go aresztować? – zapytał, zmieniając temat.

– Chcesz opowiadać na policji, że jakaś kobieta w gumowej masce kazała mu nas zabić?

– Nie, ale nie możemy go wypuścić. Zostaje więc morderstwo i poćwiartowanie ciała. Poczekaj, aż wyjdę, bo nie znoszę widoku krwi.

– Na razie musi zostać z nami. Też mu nie ufam, więc nie możemy pozwolić, żeby łąził po mieście. Poza tym mógłby ostrzec Giltiné o naszych planach.

Nagle zadzwonił stojący na biurku telefon i oboje aż podskoczyli, ponieważ zupełnie nie spodziewali się, że ktoś mógłby tu do nich dzwonić.

– Czyżby usłyszeli hałas i zamierzali sprawdzić, co się dzieje? – zapytał przerażony Dante.

– Nawet nie żartuj.

Colomba podniosła słuchawkę drżącą ręką, ale na szczęście z drugiej strony odezwał się przyjazny głos. Brigitte.

– Obudziłam cię? – zapytała.

Colomba odczekała chwilę i dopiero gdy jej serce przestało walić jak oszałałe, odpowiedziała.

– Nie, nie.

– Przepraszam, ale właśnie skończyłam zmianę w klubie i chciałam z tobą porozmawiać, zanim się położę.

– Świetnie. Masz jakieś nowe informacje?

– Znam nazwisko faceta, który miał zainstalować kamery w lokalu mojego brata. Nazywa się Heinichen. Mój znajomy powiedział mi, że jest emerytem i dorabia sobie w ten sposób. I że prawdopodobnie był tajnym współpracownikiem.

– Stasi? – upewniła się Colomba, gdyż w tej chwili w jej głowie spotkały się dwa neurony, które dotąd poruszały się na zupełnie innych orbitach. – To znaczy, że może mieć powyżej sześćdziesiątki.

– Też mi to przyszło do głowy – powiedziała Brigitte. – Może to on zginął w wyniku ran odniesionych w pożarze? Mój znajomy twierdzi, że nie wyglądał na pijaka, ale według mnie odpowiada portretowi zdesperowanego eksszpiega.

– Masz jego numer?

– Próbowałam do niego zadzwonić, ale nie odbiera. Przyjedź po mnie do klubu, pojedziemy razem do jego domu i raz na zawsze pozbędziemy się wątpliwości.

– To nie jest najlepszy pomysł.

– Pamiętaj, że chodzi o mojego brata, a poza tym nie mówisz po niemiecku, prawda?

– No tak, nie mówię.

Kiedy już się umówiły i Colomba zbierała się do wyjścia, nie ominęła jej wątpliwa przyjemność zaprowadzenia Andreasa do toalety. Przypięła go kajdankami do kaloryfera i pilnowała, stojąc za przymkniętymi drzwiami. Gdy mężczyzna skończył, weszła, mierząc mu w głowę z pistoletu.

– Naprawdę mogłabyś mnie zastrzelić z zimną krwią? – zapytał, patrząc na jej stopy.

Siedział na sedesie z opuszczonymi spodniami, a jego członek przypominał różowy ogonek zwisający z ogromnego brzucha.

– Ubieraj się, no już!

– Gdyby stawką nie było moje życie, chętnie bym się przekonał, co byś zrobiła, gdybym nie posłuchał. – Wstał i wypełnił polecenie. – Możesz mi

zdjąć kajdanki? Chciałbym umyć ręce.

Colomba uwolniła go od kaloryfera, ale spięła mu razem przeguby dłoni.

– Musisz sobie poradzić.

– A jeśli zacznę wzywać pomocy?

– To czemu wcześniej tego nie zrobiłeś? Może i się nie mylisz, że nie mamy przeciwko tobie dowodów, ale na pewno nie zechcesz ryzykować skandalu. W końcu jesteś gwiazdą, nie?

Andreas popatrzył jej w oczy, a Colomba z trudem wytrzymała spojrzenie.

– To nie ma znaczenia. Chodzi o to, że jesteśmy po tej samej stronie i wcześniej czy później zrozumiesz, że mogę ci się przydać.

Umył ręce, a kiedy wyszli z łazienki, poprosił o coś do picia. Dante podał mu szklankę piwa, w którym rozpuścił cztery tabletki halcionu – dawkę mogącą powalić nawet hipopotama.

– Następnym razem użyj czegoś, co ma mniej paskudny smak – zaprotestował Andreas.

Nie minęło nawet pół godziny, a mężczyzna już głośno chrapał. Colomba włożyła kurtkę i sięgnęła po klucze do samochodu.

– Chyba nie chcesz mnie z nim zostawić samego? – zaniepokoił się Dante.

– Sądzisz, że może się obudzić?

– Nie, ale nigdy nic nie wiadomo.

Colomba uśmiechnęła się z przymusem.

– W najgorszym razie bierz nogi za pas.

COLOMBA OPUŚCIŁA WILLE i pojechała deloreanem pod wskazany przez Brigitte adres na Kreuzbergu. Zadzwoiła domofonem i po chwili dziewczyna zeszła na dół, ziewając szeroko. Była ubrana znacznie skromniej niż podczas pracy w klubie Automatik i wyglądała na studentkę. Colomba pomyślała, że być może naprawdę jeszcze się uczy.

– Ale wypasiony samochód. – Brigitte próbowała żartować, aby ukryć stres. – Chociaż nie podejrzewałam cię o taki ekscentryczny gust.

– To auto mojego przyjaciela. Gdzie jedziemy?

– W kierunku Alexanderplatz... – przerwała na chwilę. – Dlaczego chcesz się dowiedzieć, kim on jest?

Colomba nie odpowiedziała.

– Wspominałam ci już, że mój brat zginął w tym pożarze? – powtórzyła z sarkazmem Brigitte.

Wcześniej Colomba zaufała Andreasowi i wyszła na tym jak Zabłocki na mydle. Ale tym razem była pewna, że się nie myli.

– Być może to właśnie on był przyczyną tej całej katastrofy – powiedziała.

Na twarzy dziewczyny pojawiło się przerażenie.

– To znaczy, że mój brat i znajomi znaleźli się w niewłaściwym miejscu?

– Tak.

– Jeszcze wczoraj nie miałaś pewności, że chodzi o zamach. Co się zmieniło? – zapytała drżącym głosem.

– Brigitte... może będzie lepiej, jeśli wrócisz do domu. Porozmawiamy, kiedy dowiem się czegoś konkretnego – powiedziała Colomba, która czuła się niezręcznie. Bardzo trudno jest kogoś pocieszać w obcym języku.

Brigitte mruknęła po niemiecku coś, co wcale nie zabrzmiało jak modlitwa, i otarła łzy.

– Nie ma mowy. Teraz dokończymy rozmowę.

– W porządku. Pamiętasz, pytałam, czy twój brat spotykał się z jakąś nową dziewczyną, a ty zaprzeczyłaś. Tymczasem jest pewna kobieta, która

zacierają ślady i robi wszystko, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Sądzę, że to ona podłożyła ogień w klubie.

– Kim ona jest?

– Wiem tylko, że nazywa się Giltiné, nic więcej. Czy możemy jechać?

Ciągle jeszcze roztrzęsiona Brigitte podała jej adres bloku, gdzie na ósmym piętrze mieszkał człowiek, którego nikt od dawna nie widział. Żaden z sąsiadów nie zwrócił na to uwagi, bo czynsz i rachunki płacono regularnie, a poza tym nikt nie utrzymywał z nim bliższych kontaktów poza zwyczajowym „dzień dobry” i „dobry wieczór”.

Wyszły na zewnątrz i przystanąły przed blokiem. Naprzeciwko w oddali widniała iglica wieży telewizyjnej ze słynną srebrną kulą.

– Co robimy? Idziemy na policję? – zapytała Brigitte. – Przynajmniej zawiadomią rodzinę.

– Krewni mogą poczekać, najważniejsze, żeby znaleźć winnego, który podłożył ogień.

– A może po prostu pojechał na wycieczkę?

– Dowiem się więcej po przeszukaniu mieszkania. Taki mam zamiar. Ale najpierw podrzucę cię na postój taksówek.

– Lepiej zostanę z tobą na wypadek, gdyby ktoś cię zobaczył i zaczął zadawać pytania. Może ci się przydać tłumacz, nie sądzisz?

– Brigitte... to niebezpieczne. I niezgodne z prawem. Nie mogę brać na siebie takiej odpowiedzialności.

– Nie musisz. Jestem pełnoletnia. Nie wiem, dlaczego interesuje cię ten pożar, ale nasze powody są z pewnością różne. A ja uważam, że moje są ważniejsze.

Colomba nie była do końca przekonana, ale przeważył zmysł praktyczny. Brigitte mogła jej się przydać.

– No dobrze, niech ci będzie – powiedziała wreszcie.

Brigitte uśmiechnęła się lekko.

– Pewnie niedługo się obudzę i odkryję, że to był tylko sen.

– To mnie też obudź. A teraz poczekaj tu, bo muszę jechać po mojego współnika.

Colomba wróciła do Colloquium najszybciej, jak mogła, i znalazła Dantego stojącego na progu sypialni. Nerwowo pocierał dłonie, obserwując Andreasa.

– Dzięki Bogu! – zawołał na jej widok. – Co znalazłaś?

– Drzwi, które chciałabym otworzyć, nie robiąc przy tym zamieszania.

– Już idę. Daj mi adres – powiedział Dante, który jak najszybciej chciał opuścić hotel.

– Razem tam pojedziemy.

Mężczyzna wskazał na Andreasa.

– A co z nim? Mam mu podać kolejne pigułki? Może spróbuję dać mu proszek przez nos podczas snu.

– Przeżyje?

– Nie wiadomo.

– W takim razie zabieramy go ze sobą.

ZAWLEKLI ANDREASA DO łazienki i włożyli mu głowę pod strumień lodowatej wody, żeby go obudzić. Nie było to wcale łatwe, zważywszy, że ważył prawie sto pięćdziesiąt kilogramów. Potem przyklepili mu świeży plaster na ranę, zdjęli kajdanki i w stanie połowicznej przytomności sprowadzili go na dół po schodach, ryzykując, że upadnie i złamie sobie kark. Po drodze spotkali kilku gości, ale nikt nie zwrócił uwagi na stan dziennikarza. Wyglądało na to, że byli raczej przyzwyczajeni do takiego widoku. Pewnie dość często widywano go pod wpływem alkoholu. Wsadzili go na tylne siedzenie jego samochodu i pół godziny później zaparkowali na ulicy przed czekającą na nich Brigitte.

– Ile masz samochodów? – zapytała dziewczyna, kiedy Colomba i Dante wysiedli.

– Ten też nie jest mój. Przedstawiam ci Dantego.

– Nazywasz się jak autor *Boskiej komedii*?

– Właśnie tak – powiedział, ściskając jej dłoń i uśmiechając się szczerze po raz pierwszy od dłuższego czasu.

Brigitte była ładną dziewczyną, a różowe włosy sprawiały, że wyglądała jak bohaterka komiksu.

– Kim jest facet śpiący na tylnym siedzeniu? – zainteresowała się dziewczyna.

– Później ci powiem, dobra? Teraz idźcie otworzyć te cholerne drzwi. Poczekam tutaj – powiedziała zdenerwowana Colomba.

Brigitte też była zaniepokojona, ale zaprowadziła Dantego pod drzwi Heinichena, dziwiąc się, że mężczyzna wspina się po schodach z zamkniętymi oczami i poci się przy tym obficie. Wprawdzie mieszanka środków uspokajających obniżyła poziom wewnętrznego termometru Dantego, ale wszystko miało swoje granice.

– Źle się czujesz? – zapytała dziewczyna.

– Tak.

– No to jest nas dwoje.

– Zaraz pewnie poczujesz się jeszcze gorzej – ostrzegł ją Dante, zdejmując skórzaną rękawiczkę.

– Z powodu twojej ręki? Widziałeś kiedyś zwęglone ciało ofiary pożaru?

– Na szczęście nie.

Przy pomocy obu rąk i przy użyciu kilku zakrzywionych drucików Dante mimo fatalnego samopoczucia w ciągu minuty otworzył oba zamki, podczas gdy Brigitte stała na czatach.

– Poczekaj tutaj – powiedział, skończywszy robotę.

– Nie wejdziemy do środka?

– Wyładowały mi się baterie. Zobaczymy się na zewnątrz.

Dante zszedł na dół, pokonując za każdym razem po cztery schody. Droga powrotna zawsze była dla niego łatwiejsza. Wsiadł do samochodu i zastąpił Colombę przy pilnowaniu Andreasa, który właśnie w tej chwili puścił głośnego bąka. *O Boże, teraz chyba odpokutowałem już wszystkie moje winy*, pomyślał, zatykając sobie nos.

Tymczasem Colomba dołączyła do nieco oszołomionej ostatnimi wydarzeniami Brigitte i razem weszły do mieszkania, które było skromne, ale też bardzo czyste. Od razu zrozumiały, że mieszkał tu samotny kawaler, bo umeblowane w najprostszy sposób dwa pokoiki ziały smutkiem. Nie zauważyły żadnego zdjęcia, ale też nie wyczuwało się typowego dla alkoholików ubóstwa. Nie znalazły ani jednej pustej butelki. Pełnej zresztą też nie.

– I co teraz? – zapytała Brigitte.

– Załóż je. – Colomba podała dziewczynie lateksowe rękawiczki, sama też je założyła i zaczęły przeszukiwać mieszkanie.

Podobnie jak jej koledzy z policji, ona też była bardzo szybka i bezwzględna, kiedy sytuacja tego wymagała, i w konsekwencji po pół godzinie w pokojach zapanował kosmiczny chaos. Nie znalazła nic użytecznego aż do chwili, gdy nie usunęła luźnego kafelka w kuchni, za którym znajdowała się niewielka pusta przestrzeń. Kafelek po wewnętrznej stronie nosił ślady po ciemnym oleju i Colomba zabrała go, aby pokazać Dantemu.

– Co on robi? – zapytała Brigitte, widząc, że mężczyzna przesuwa sobie kafelek pod nosem.

– Wącha.

Dante podrapał powierzchnię paznokciem.

– Olej.

– Tyle to i sama zrozumiałam – powiedziała Colomba.

– Teflonowy. Do konserwacji broni.

– Heinichen trzymał w skrytce pistolet.

– I co się z nim stało? W klubie nie miał przy sobie broni, inaczej policja na pewno by ją znalazła. A Giltiné zabrałaby ją tylko po to, aby jej użyć.

– Masz jakiś pomysł?

– Są tylko dwa wyjaśnienia – powiedział Dante. – Albo Heinichen wrócił z zaświetów po swój pistolet, albo wcale do grobu nie trafił, co według mnie jest o wiele bardziej prawdopodobne.

W KOŃCU TAK WYSZŁO, że Brigitte zaprosiła ich do siebie. Miała dwupokojowe mieszkanie z kasetonowymi sufitami i drewnianą podłogą. Meble były w jaskrawych kolorach, a na ścianie wisiała fotografia Flatiron Building oraz plakat z *Rocky Horror Picture Show*. W małym salonie stała też konsola didżeja podłączona do stereo, ponieważ Brigitte poza pracą w barze puszczała również muzykę, chociaż w mniej renomowanych klubach niż Automatik.

Colomba została w mieszkaniu, żeby pilnować Andreasa, który leżał na kanapie skuty kajdankami. W tym samym czasie Dante wrócił do Colloquium po walizki. Przy okazji chciał się również pożegnać z osobami, które poznał w czasie pobytu w willi. Najtrudniej było mu samodzielnie pokonać schody, ale myśl, że wkrótce opuści to miejsce, dodawała mu skrzydeł.

Colomba, jak wcześniej obiecała, opowiedziała Brigitte o Giltiné i o ich podróży z Rzymu do Berlina. Kilkakrotnie rozsądek dziewczyny został wystawiony na poważną próbę i dopiero po skorzystaniu z Internetu uwierzyła w niektóre szczegóły, na przykład z historii porwania Dantego.

– Huber próbował was zabić na rozkaz tej Giltiné, tak? – upewniła się Brigitte.

– No właśnie.

– On jest u nas dość sławny... może przysporzyć mi kłopotów.

– Nie mam zamiaru trzymać go tutaj w nieskończoność. Tylko do czasu, kiedy zdecydujemy, co dalej w sprawie Heinichena. Potem go wypuszczę.

– Wcale nie mówisz jak była policjantka. Przed chwilą twierdziłaś, że jest niebezpieczny.

– Niestety, nie mamy przeciwko niemu żadnych dowodów. Ale jak tylko wrócę do Włoch, postaram się, żeby niemieccy koledzy mieli go na oku. Prędzej czy później coś znajdą.

– Chyba wolałabym go nie spotkać przez przypadek na ulicy – powiedziała Brigitte.

Z pewnością przestraszyłaby się jeszcze bardziej, gdyby wiedziała, że Andreas od ponad pół godziny udawał tylko, że śpi, a tak naprawdę myślał o tym, jak się zemści na osobach, które potraktowały go w tak poniżający sposób. Po powrocie Dantego i Colomby do Włoch niełatwo będzie mu się do nich dobrać, ale ta mała dziwka z różowymi włosami to zupełnie inna para kaloszy. Wie przecież, gdzie mieszka, i szybko znajdzie sposób, żeby ją pewnej nocy odwiedzić.

Dante zadzwonił domofonem i Colomba zeszła na dół, żeby pomóc mu pokonać schody. Kiedy wrócili do mieszkania, Dante od razu zajął mały balkon, paląc jednego papierosa za drugim.

– Ona też jest z nami? – zapytał po włosku. Oczywiście miał na myśli Brigitte, która właśnie brała prysznic.

– Potrzebujemy kogoś, kto zna miasto i nie jest maniakałnym mordercą.

Dante popatrzył jej w oczy.

– A co będzie, jeśli Giltiné się o niej dowie?

– Nikt nie może jej poinformować o naszych zamiarach. Przecież złapaliśmy jej łącznika.

– Pod warunkiem, że ten spaślak był jedyny.

Andreas wybrał ten moment, aby udać, że właśnie się obudził.

– Głowa boli mnie tak bardzo, że chyba mi pęknie – powiedział. – I zaraz narznę takie kupsko, że spowoduję trzęsienie ziemi. – Podniósł w górę dłonie w kajdankach. – Jeszcze wam się nie znudziła zabawa w dozorców?

– Nie. Uważamy, że Heinichen żyje – wyjaśniła Colomba.

– Kto?

– Jeśli nasze podejrzenia są uzasadnione, to tylko upozorował własną śmierć. To by tłumaczyło zawartość protokołu sekcji zwłok. To były zwłoki kogoś innego, a on zniknął.

Andreas zastanowił się przez chwilę.

– To znaczy, że ktoś ze szpitala, do którego trafił po pożarze, pomógł mu zaaranżować całą scenę. Mogę popytać znajomych.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z twoimi przyjaciółmi.

– Znasz kogoś innego, kto mógłby ci pomóc? Sam ci odpowiem: nie znasz nikogo. A to oznacza, że stracisz mnóstwo czasu. Giltiné z pewnością nie będzie czekała bezczynnie, aż zapukasz do jej drzwi.

– Nie ufaj mu, CC – wtrącił się Dante.

– Wcale nie zamierzam, ale ma rację, mówiąc, że czas działa na naszą niekorzyść.

Wyjęła z kieszeni telefon Andreasa i mu podała.

– Zadzwoń.

Mężczyzna uśmiechnął się z pogardą.

– Naprawdę sądzisz, że będę o tym rozmawiał przez telefon? Myślałem, że jesteś inteligentniejsza, policjantko.

– Zorganizuj nam spotkanie.

Andreas wybrał numer pielęgniarza, który pomógł mu wybudzić Heinichena ze śpiączki, i udało mu się przekonać go, aby zechciał porozmawiać z Włochami.

Colomba wyjęła kluczyki od kajdanek i pomachała nimi przed nosem Andreasa.

– Rób to, co ci powiem, i nie próbuj uciekać. W przeciwnym razie wpakuję kulkę w twoje tłuste cielsko. Wyrażam się dostatecznie jasno?

– Jestem po twojej stronie – zapewnił Andreas z kamiennym wyrazem twarzy.

Colomba nawet nie próbowała zrozumieć, co mu chodzi po głowie, bo z jego miny nie można było niczego wyczytać. Zdjęła mężczyźnie kajdanki i włożyła pistolet do kieszeni. Wcale nie była przekonana, że w razie konieczności zdoła go użyć, ale mając broń przy sobie, czuła się bezpieczniejsza.

Dante nie ukrywał wściekłości i odciągnął Colombę na bok, żeby jej powiedzieć, co o tym wszystkim myśli.

– Do kurwy nędzy, czy ty naprawdę nie widzisz, że on tobą manipuluje? – wybuchnął.

– Spokojnie, Dante, nie jestem aż tak naiwna. Jeśli masz jakiś lepszy pomysł, to słucham.

– Na razie jeszcze nie mam.

- Będę go miała na oku. Uważam, że on też chce poznać prawdę.
- Jeśli się mylisz, to uważaj, bo będzie próbował cię skrzywdzić.
- Nie ma szans. Miałam do czynienia z gorszymi typami niż on. Nie przejmuj się, Dante.

Colomba nie miała pewności, czy mówi prawdę, ale sama myśl, którą ubrała w słowa, sprawiała, że poczuła się spokojniejsza. Przynajmniej odrobinę.

SPOTKALI SIĘ W BARZE sieci Que Pasa niedaleko mieszkania Brigitte. Podawano tam tanie drinki i obfite dania kuchni meksykańskiej. Uwolniony z kajdanek Andreas ponownie nałożył na twarz maskę sympatycznego dowcipnisa, który czekał na nich w dniu przyjazdu do Berlina. Jedyne zaczerwienione oczy i plaster przypominały o wydarzeniach poprzedniej nocy. Nie wykonał żadnego groźnego gestu i przetłumaczył na angielski słowa pielęgniarki, szczupłego mężczyzny o mysiej twarzy, który zachowywał się tak, jakby czuł respekt przed otyłym pisarzem. *Boi się, bo wie, z kim ma naprawdę do czynienia*, pomyślała Colomba. Na wszelki wypadek nagrała całą rozmowę na komórkę Andreasa, ale kiedy później Brigitte wysłuchała nagrania, potwierdziła, że Huber wszystko dokładnie przekazał.

Mysi Pyszczek znał wszystkie mroczne tajemnice dotyczące śmierci i cudów, które zdarzały się w szpitalu Świętego Michała, i opowiedział, że w czasie kiedy pochowano Heinichena, z kostnicy zniknęło ciało bezdomnego, który miesiąc wcześniej zginął w swoim baraku na skutek eksplozji kuchenki turystycznej. Całą sprawę zamieciono pod dywan, bo tego typu sytuacje zdarzały się już wcześniej. Zwłoki, o które nikt się nie upominał, trafiały w ręce studentów medycyny lub handlarzy za zgodą grabarzy i pracowników szpitala. Co prawda prawo zabrania handlu ludzkimi szczątkami, ale wystarczy sprawdzić na eBay'u, żeby znaleźć w ofercie czaszki i kości udowe, zamienione czasami nawet w małe dzieła sztuki.

W tym przypadku całe ciało zostało umieszczone w łóżku Heinichena, a ktoś udął, że nie zauważył niczego podejrzanego. Mysi Pyszczek nie wiedział, kto był za to odpowiedzialny.

Tymczasem Harry Klein zadzwonił do willi Colloquium i został przełączony na komórkę Andreasa, bo ten numer zostawiła w hotelu Colomba. Profesor próbował dowiedzieć się, kto wykonał sekcję zwłok fałszywego Heinichena, ale bez rezultatu. Oryginalny akt zgonu i wyniki sekcji w tajemniczy sposób zniknęły, w systemie pozostała jedynie data

śmierci wprowadzona przez któregoś z pracowników spoza personelu medycznego.

Opuścili lokal dopiero wtedy, gdy Andreas skończył trzecią porcję nachos sonora i wypił dwa litry piwa. Po powrocie do mieszkania Brigitte Colomba znalazła owiniętego kocem Dantego, który spał skulony w kącie balkonu. Obudziła przyjaciela, aby przekazać najświeższe wiadomości.

– Czyżby Giltiné naprawdę popełniła błąd? – zastanowił się Dante.

– Twoja rozczarowana mina jest nie na miejscu. Przecież to nie jej kibicujemy. Nie mogę się doczekać, kiedy dobierzemy się do Heinichena, żeby zrozumieć, dlaczego jest dla niej taki ważny.

– A może on nic nie wie... – zauważył siedzący na sofie Andreas i się zaśmiał.

– Zaprosiłaś tłuściocha do rozmowy? – zapytał Dante i się skrzywił.

Colomba wzruszyła ramionami.

– Musimy go pilnować. Na razie zachowuje się przyzwoicie, chociaż to nic nie znaczy. – Wyjęła kajdanki z kieszeni i zaczęła nimi dzwonić. – Wolisz, żebym cię przypięła do rury kanalizacyjnej, czy do kaloryfera?

– Ciągle mi nie ufasz?

– W takim razie ja zdecyduję. Rura wydaje mi się bardziej wytrzymała.

Colomba przepchnęła kanapę do ściany i unieruchomiła Andreeasa.

– Wygodnie ci?

– Nie.

– Świetnie. W systemie rejestracji pacjentów data śmierci przypada dwa dni po pożarze, więc musimy przyjąć, że Heinichen uciekł mniej więcej w tym czasie. W jakim był stanie?

– Tryskał zdrowiem – powiedział Andreas.

– Jak nie przestaniesz się wygłupiać, to nafaszeruję cię końską dawką proszków.

Andreas pokręcił głową.

– Miał oparzenia na całym ciele. Jeśli udało mu się uciec po dwóch dniach pobytu w szpitalu, to twardy z niego sukinsyn.

– Niemożliwe, żeby sam wszystko przygotował – odezwała się po raz pierwszy Brigitte. – Wiem, co mówię. Po śmierci mojego brata dużo

czytałam na temat pożarów. Chciałam się przekonać, czy... – Przerwała na chwilę.

– Czy bardzo cierpiał – dokończył Andreas obojętnym tonem. – Ja ci powiem. Cierpiał. I to bardzo.

Brigitte rzuciła w jego stronę przekleństwo po niemiecku, a on w odpowiedzi tylko się roześmiał.

– Ostatnie ostrzeżenie, Andreas – powiedziała Colomba. – Albo obudzisz się znacznie starszy.

Mężczyzna udał, że zamyka sobie usta na klucz.

– Heinichen potrzebował więc lekarstw i opieki... – zauważył Dante. – Jeśli ten, kto podpisał akt zgonu, pomógł mu też w ucieczce, to powinien wiedzieć, gdzie się ukrywa. Albo przynajmniej dać nam jakieś wskazówki.

– Co masz na myśli?

Dante westchnął. Nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z Andreasem.

– Masz swoje kontakty również w telekomunikacji?

Andreas wykonał ruch, jakby otwierał sobie kluczem usta, po czym wymamrotał:

– Jasne, w przeciwnym razie co byłby ze mnie za dziennikarz.

– Taki z ciebie dziennikarz jak z Landru dżentelmen. Możesz postarać się o... – Przez chwilę szukał w myślach angielskiego odpowiednika określenia „lista połączeń telefonicznych”, a w końcu opisał, o co mu chodzi.

– *Jawohl!* – rzucił Andreas przez zęby.

Dante zwrócił się do Colomby.

– Najpierw sprawdzimy, czy wśród znajomych Heinichena jest jakiś lekarz lub pielęgniarz, który pracuje w szpitalu Świętego Michała. Potem włamiemy się do systemu i znajdziemy nazwisko osoby, która miała dyżur w dniu odpowiadającym dacie śmierci. Jeśli nazwisko się powtórzy, to trafiliśmy w dziesiątkę.

– Ty jesteś niezły, jeśli chodzi o komputery, ale nie do tego stopnia, tak?

– Musimy poprosić o pomoc Santiaga, CC. Wiem, że go nie znosisz, ale...

Colomba wskazała na Andreeasa.

– W porównaniu z nim Santiago to niewinne jagniątko. Dzwon.

PRZEKONANIE SANTIAGA WCALE nie okazało się łatwe, również z powodu samochodu, który Colomba mu skonfiskowała, aby dotrzeć do Tiburtina Valley. Dante przez długi czas musiał prosić znajomego na Skypie o przysługę. Pieniądze nie były wystarczającym argumentem dla człowieka, który kupował i sprzedawał numery kart kredytowych. W końcu jednak znaleźli kompromis.

– Jesteś mi winien kolejną przysługę, a to znaczy, że musisz zrobić, co ci każę.

– Pod warunkiem, że to legalne...

Santiago rozłożył ręce. Znajdował się na swoim tarasie, a za jego plecami dwóch kumpli paliło fajkę wodną: wyglądało to tak, jakby miał na ekranie zawsze to samo zdjęcie.

– A to, co mam zrobić dla ciebie, jest legalne? Nie przejmuj się, mam zaufanych ludzi do specjalnej roboty. Przyjmijmy, że czeka mnie proces i potrzebuję kogoś, kto dostarczy mi alibi...

– Jeśli jesteś niewinny, możesz na mnie liczyć.

– Chcę twój apartament w hotelu na tydzień dla siebie i dla Luny. Konsumpcja wliczona w cenę.

– Wolałbym zostać jednym z twoich dilerów.

– Handluję tylko informacjami, *hermano*^[19]. No więc?

Oczywiście Dante się zgodził, postawił tylko warunek, aby Luna nie próbowała dorobić, korzystając z okazji. Potem zadzwonił do hotelu, aby ustalić warunki, bo zwykle goście, oprócz Colomby, płacili za dodatkowe usługi. *Dzięki, ojcie chrzestny.*

W międzyczasie Colomba udała się do Colloquium w towarzystwie Andreasa, który tego wieczoru prezentował swoją nową książkę. Colomba zabrała też Brigitte, która miała czuwać nad tym, by dziennikarz nie zmieniał ustalonego scenariusza. Kolejne trzy godziny nie były dla policjantki łatwe. Zmęczenie dawało jej się coraz bardziej we znaki, a do tego dochodziło jeszcze obrzydzenie, gdy patrzyła na potencjalnego

mordercę, który królował na wypełnionej po brzegi sali na parterze willi, bawiąc licznie zgromadzoną publiczność. Kiedy poruszał poważniejsze kwestie, takie jak porwania i tortury w byłej NRD, można było usłyszeć nawet bzyczenie muchy, kiedy natomiast zaczynał opowiadać anegdoty, widownia śmiała się do rozpuku. Po zakończeniu wystąpienia na sali rozległy się głośne oklaski, Andreas podpisał kilka książek i wreszcie podszedł do Colomby.

– Podobało się? – zapytał.

– Nie. Idziemy.

– A jeśli wolałbym przespać się tutaj niż na tej waszej wszawej kanapie? Zabronisz mi?

– Tylko spróbuj. Mogę zaraz zacząć opowiadać twoim fanom, jaki jesteś naprawdę. Zobaczymy, czy dalej będą cię uwielbiać.

Andreas wbił w nią wzrok i Colomba po raz kolejny z trudem zmusiła się do wytrzymania jego spojrzenia. Ale tym razem zrozumiała powód. Czowała się, jakby miała przed sobą szklane oczy pluszowej maskotki, za którymi znajduje się tylko pustka. Nie zło, nie niegodziwość, ale bezmierna, ciemna otchłań.

– Czy mogę wziąć przynajmniej czyste ubrania z pokoju? – poprosił Andreas.

– Możesz. Przeszukałam twój pokój, po tym jak Dante cię obezwładnił. Wyrzuciłam maczugę.

– Świetnie – powiedział mężczyzna obojętnym tonem, a Colombie wydało się, że zobaczyła w jego oczach błysk nienawiści.

Kiedy wrócili do mieszkania Brigitte, Colomba przypięła go kajdankami do rury kanalizacyjnej, potem obudziła Dantego, którego znalazła jak zwykle na balkonie.

– Ty pierwszy trzymasz straż.

– Zrobię sobie kawy – powiedział, podłączając elektryczną kawiarkę do kontaktu znajdującego się przy drzwiach balkonowych. Tym gestem dał jasno do zrozumienia, że nie zamierza opuszczać swojego miejsca.

Brigitte przyniosła Colombie poduszkę i koc.

– Jesteś pewna, że będzie ci wygodnie na kanapie? Możesz spać ze mną.

Colomba czekała na tę propozycję i zarazem jej się obawiała. Z jednej strony nie miała ochoty na spędzenie nocy w tym samym pomieszczeniu, co Andreas, z drugiej obawiała się, że Brigitte może przejąć inicjatywę w łóżku. W końcu przeważyło zmęczenie i chęć odpoczynku. Wślizgnęła się do łóżka Brigitte, odwracając się od razu plecami, i przez pierwszy kwadrans zastanawiała się, jak delikatnie zareagować na ewentualne zaloty, aby jej nie obrazić. Nie wiedziała, czy lepiej powiedzieć, że jest zaręczona, czy po prostu wystarczy stwierdzenie, że preferuje mężczyzn. Doświadczenie podpowiadało jej, że drugi argument prowokuje czasami niekończące się próby zmierzające do zmiany decyzji, a zdarza się, że kobiety są w tych sytuacjach bardziej nachalne niż mężczyźni. Jej obawy okazały się niepotrzebne, ponieważ nic się nie wydarzyło ani tej nocy, ani w ciągu dwóch kolejnych. Tyle czasu zajęło im bowiem zdobycie wszystkich możliwych informacji na temat Heinichena, które natychmiast przesłali do Santiaga.

Opróżnili pełną po brzegi skrzynkę pocztową, a dzięki znajomemu Brigitte pracującemu w urzędzie miasta uzyskali wgląd w dokumentację dotyczącą zameldowania. Była tam fotokopia dowodu tożsamości ze zdjęciem około sześćdziesięcioletniego energicznego mężczyzny o ciemnych włosach. Colomba skontaktowała się z Trzema Muszkieterami, aby sprawdzili go w międzynarodowej bazie osób poszukiwanych, ale niestety niczego nie znaleźli.

Stacjonarny telefon w biurze odebrał Guarneri i bardzo się ucieszył, chociaż w jego głosie wyczuwało się również niepokój. Pozostali Muszkieterowie byli w terenie, bo zajmowali się aktualnie sprawą zamordowanego transseksualisty, którego ciało znaleziono w pojemniku na śmieci po trwającym kilka dni strajku pracowników miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania miasta.

– Ciągle jeszcze jesteśmy na cenzurowanym – szepnął, gdy już sprawdził w systemie informacje dla Colomby. – Santini jest przekonany, że wiemy, gdzie pani przebywa, *dottoressa*. I twierdzi, że gdziekolwiek pani jest, na pewno narobi pani kłopotów. Przepraszam, ale to jego słowa.

– Widać dobrze mnie zna. Macie coś nowego w naszej sprawie?

– Cały czas sprawdzamy pasażerów i powody, dla których znaleźli się w tym pociągu. Na razie nie mamy nic podejrzanego. Wszyscy jechali do Rzymu w sprawach zawodowych lub osobistych. To prawda, że zamachowiec mógł dowiedzieć się wcześniej o każdej z planowanych podróży i miał sporo czasu, aby wszystko przygotować.

– Szukajcie powiązań z Rosją.

– Dobrze. A wy odkryliście coś interesującego?

– Na razie trudno powiedzieć – odpowiedziała Colomba, nie chcąc wchodzić w szczegóły.

Kiedy odłożyła telefon, na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. W czasie rozmowy słyszała w tle odgłosy kroków na korytarzu wydziału i głosy kolegów. Poczula, jak bardzo brakuje jej tego miejsca, i pomyślała, że już niedługo wróci do domu.

Jednak po chwili smutna prawda oblała ją jak strumień zimnej wody i uśmiech znikł z twarzy. To prawda, że wróci do Włoch, ale nie do swojego wydziału. Kiedy skończy się dochodzenie, wyślą ją do jakiegoś ciemnego biura na prowincji i każą stawiać pieczętki na pozwoleniach na pobyt. Oczywiście wcale nie zamierzała przyjąć takiej propozycji. Tak czy inaczej, będzie musiała rozstać się na zawsze z wydziałem dochodzeniowo-sledczym. *I to właśnie teraz, kiedy zaczynałam czuć się na swoim miejscu.*

Niezależnie od wspólnych wysiłków w ciągu kolejnych dwóch dni postać Heinichena nadal spowijał mrok tajemnicy. Dowiedzieli się, że przeprowadził się do Berlina cztery lata wcześniej z małego miasteczka w byłej NRD, gdzie pracował jako rzemieślnik. Żadnych informacji na temat jego przeszłości. Listy połączeń były stosunkowo skromne, a numery rzadko powtarzały się częściej niż dwa razy, co wskazywało raczej na kontakty czysto zawodowe. Sprawdzając niektóre numery, przekonali się, że należą do właścicieli sklepów, którzy instalowali najnowsze systemy monitoringu po okazjnych cenach, ale nie znaleźli żadnych użytecznych informacji. Heinichen zdobywał klientów za pomocą marketingu szeptanego i po wykonaniu zadania nie utrzymywał z nimi dalszych kontaktów. Wreszcie żaden z numerów nie należał do lekarza. Natomiast Santiago wykrył konto pocztowe Giltiné używane do kontaktów

z Andreasem. Napisali w jego imieniu wiadomość, przeprasząc za opóźnienie w realizacji zadania, ale Giltiné nie odpowiedziała i Santiago nie mógł iść tym śladem. Kobieta używała anonimowych łączy, a adres przypisany był do konkretnej strony, która znikwała z sieci, jak tylko spełniła swoje zadanie.

Trochę więcej szczęścia mieli przy przeglądaniu wyciągu z konta, ponieważ Heinichen otrzymał dwa tysiące euro od kobiety będącej żoną zastępcy ordynatora szpitala Świętego Michała. Chirurg nazywał się Kevin Ode.

– Ktoś komuś przyprawia rogi – rzucił Andreas, który na znak protestu odmawiał zakładania spodni podczas pobytu w mieszkaniu. Siedział na kanapie w samych slipach i przypominał obrzydliwego Buddę w kajdankach.

– Byli kochankami? – zaniepokoiła się Brigitte.

– Bardziej prawdopodobne, że żona wynajęła Heinichena, aby śledził męża – powiedział Dante, z niechęcią przyznając rację dziennikarzowi. – Wszystko wskazuje na to, że oprócz instalowania kamer nasz człowiek dorabiał sobie także jako prywatny detektyw. A to by potwierdzało, że mamy do czynienia z byłym agentem Stasi.

– Sprawdziłeś listę dyżurów? – zapytała Dantego Colomba.

Santiago włamał się do systemu szpitala, pokonując z łatwością wszystkie zabezpieczenia.

– Nie uwierzysz, ale ordynator miał wtedy dyżur – powiedział Dante, przeglądając wyciąg. – I wyszedł z pracy ponad dwie godziny później, niż powinien.

– Czekał, aż się ściemni – zauważył Andreas.

Colomba przytaknęła.

– Złożymy mu wizytę. Ubieraj się, Andreas! Reguły się nie zmieniły.

– Za pierwszym razem wszystko poszło gładko, ale nie powinnaś kusić losu – zaprotestował Dante.

– Mogę zabrać Brigitte, a spaślaka zostawię z tobą.

Dante pomyślał przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Uważaj na siebie.

– A mam inne wyjście?

Colomba uwolniła dziennikarza i poczekała, aż założy spodnie, po czym udali się do szpitala Świętego Michała w dzielnicy Schöneberg, niedaleko miejsca, z którego John F. Kennedy ogłosił, że jest berlińczykiem. Było późne popołudnie i Colomba zdecydowała, że pojedą metrem, aby zyskać na czasie. Przez całą drogę miała nerwy napięte jak postronki, obawiając się, że Andreas zrobi jakieś głupstwo. Na szczęście w miejscach publicznych jego pole manewru było ograniczone. Kilku pasażerów podeszło do niego, aby się przywitać, a niektórzy poprosili nawet o autograf. Musiał wyszeptać na ucho coś nieprzyzwoitego dziewczynie z włosami obciętymi na jeża, bo ta zaczerwieniła się i szybko odeszła.

Kevin Ode zszedł do znajdującej się na parterze rejestracji wyraźnie poirytowany, że został pilnie wezwany przez głośniki. Miał około pięćdziesiątki, był wysoki i szczupły, nosił okulary w cienkiej pozłacanej oprawie.

– O co chodzi? – zapytał po niemiecku.

Andreas objął go znienacka.

– Pieprzyłeś się z niewłaściwą zdziwą. I pozwoliłeś uciec niewłaściwemu umarłakowi – powiedział mu na ucho, aby nikt poza nimi nie mógł tego usłyszeć.

Mówił po angielsku, zgodnie z umową, a słysząc te słowa, ordynator zbladł. Potem powiedział siostrze przełożonej, że wróci za pięć minut i poprosił gości, aby zeszli na podziemny parking, gdzie stał zaparkowany jego mercedes. Colomba kazała im usiąść z tyłu, a Andreas objął doktora ramieniem. Sama usiadła na przednim siedzeniu.

– Gdzie jest Heinichen? – zapytała.

Ode zyskał na czasie i pomyślał, że najlepszą strategią będzie próba zaprzeczenia wszystkiemu.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie. Czy chodzi o któregoś z moich pacjentów?

– To mężczyzna, którego zastąpił pan zwłokami bezdomnego alkoholika.

– Bez wątpienia nastąpiła jakaś pomyłka.

Wybrana strategia nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Zanim Colomba zdążyła zareagować, Andreas złapał chirurga za lewe ramię i wykręcił. Usłyszała wyraźny trzask i Ode zawył z bólu.

Rozkazała Andreasowi, aby natychmiast go puścił, a ten posłuchał, mrugając do niej porozumiewawczo.

– Ten sadysta zwichnął mi przegub! – zawołał Ode, dodając coś po niemiecku.

Andreas uderzył go w twarz z taką siłą, że strącił mu okulary.

– Mów po angielsku!

– Przestań się nad nim znęcać – upomniała go Colomba.

– Wiem, kim pan jest! – wykrzyknął Ode do Andreasa. – Złożę na pana doniesienie! Oboje traficie do więzienia!

– Skończyłeś? – warknął Andreas, patrząc mu w oczy, i mężczyzna zamilkł.

– Panie doktorze – zaczęła Colomba – świadomie kłamał pan w trakcie śledztwa dotyczącego zamachu. Sfałszował pan kartę pacjenta i pomógł zbiec podejrzanemu. Prawdopodobnie to pan trafi za kratki.

– Jaki zamach? Przecież to był wypadek...

– Jeśli pan nie wierzy, może pan od razu zadzwonić na policję – zablefowała.

– A jeśli wam pomogę?

– To zakończymy sprawę i wszyscy będziemy trzymać język za zębami.

Mężczyzna nie miał innego wyjścia i opowiedział całą historię.

Mniej więcej było tak, jak podejrzewali. Żona ordynatora zleciła Heinichenowi, aby go śledził, ale zanim detektyw zdołał powiadomić ją, że małżonek sypia z pacjentkami i pielęgniarkami, trafił w stanie krytycznym do szpitala. Kiedy odzyskał przytomność, resztkami sił wyjaśnił doktorowi, że jeśli natychmiast nie zniknie, to ktoś go zabije, i poprosił o pomoc w zamian za milczenie. Ode uległ w końcu szantażowi i podrzucił zwłoki bezdomnego, a Heinichena wywiózł ze szpitala na wózku inwalidzkim. Gdyby wiedział, jakie będą tego konsekwencje, to zamiast mu pomagać, udusiłby go poduszką na szpitalnym łóżku.

Przez cztery miesiące chirurg leczył go, jak umiał, w swoim letnim domku w Alpach Bawarskich, ale przez większość czasu ranny przebywał w willi samotnie. Cud sprawił, że bez konieczności przeszczepu Heinichen wyzdrowiał na tyle, by odejść, ale nie poinformował swego gospodarza, dokąd zamierza się udać. W czasie pobytu w górach ani słowem nie wspomniał, kto chciał go zabić i z jakiego powodu.

– Naprawdę nie wie pan, gdzie on teraz przebywa? – zapytał groźnym tonem Andreas.

Nadgarstek doktora spuchł tak bardzo, że przypominał piłkę, a rwący ból nasilał się z każdą chwilą.

– Ostatnio był w Ulm, może ciągle tam jest.

– Skąd pan wie? – zapytała Colomba.

– Heinichen zadzwonił do mnie kilka miesięcy po opuszczeniu mojej willi, ponieważ miał poważne zakażenie, a nie chciał iść do szpitala. Przefaksowałem mu receptę do jednej z aptek w Ulm. Zakażenie wystąpiło na skórze na nogach, więc nie sędzę, aby był w stanie się przemieszczać. A teraz, bardzo proszę, pozwólcie mi odejść. Koledzy muszą zająć się moją ręką.

Andreas ostrym tonem ostrzegł ordynatora, żeby nikomu o niczym nie mówił, i korzystając z chwili nieuwagi Colomby, szepnął mu do ucha, co zrobi, jeśli nie posłucha jego rady. Gdy tylko opuścili teren szpitala, policjantka przycisnęła go do muru budynku. Odniosła wrażenie, że mocuje się z workiem cementu, na szczęście udało się jej go zaskoczyć. W ciemnym zaułku, ukryta przed ciekawskimi spojrzeniami przechodniów, wbiła mu w brzuch lufę pistoletu.

– Następnym razem, kiedy kogoś zaatakujesz, będziesz gorzko żałował, ostrzegam cię!

– Co mi zrobisz? Aresztujesz mnie? – Andreas uśmiechnął się złośliwie.

– Postrzelę cię w nogę i zostawię na ulicy. Nie umrzesz, ale przez jakiś czas będziesz spokojniejszy.

Mężczyzna zrobił minę niewiniątka.

– Nie jestem twoim wrogiem.

– Bzdury! Jesteś przeciwnikiem trzeciej kategorii i nie mam zamiaru tracić na ciebie czasu. Ale jeśli mnie zmusisz, będę musiała się tobą zająć.

W oczach Andreasa ponownie pojawił się metaliczny błysk i przez całą powrotną drogę dziennikarz nie odezwał się ani słowem. Udawał obojętność, ale w środku aż się gotował ze złości. Jak ta policyjna dziwka śmie go tak traktować? Czy ona nie podejrzewa, z kim ma do czynienia? Nie zdaje sobie sprawy, do czego on jest zdolny? Przed oczami pojawiły mu się twarze prostytutek, u których zaspokajał swoje żądze. Wybrał te, w stosunku do których użył siły. Te, które doprowadził do plucia krwią; te, które błagały go, by przestał; te, które zaklinały się, że pójdą na policję, ale w końcu prosiły o wybaczenie i ze łzami w oczach jęczały, żeby zostawił je w spokoju i nigdy więcej nie wracał. Wszystkie one miały teraz twarz Colomby. Nie mógł się doczekać, kiedy przyjdzie czas zemsty. Przecież to on wydaje rozkazy i sieje strach. On, a nie ta śmieszna policjantka, którą widział wijącą się na łóżku w stanie delirium i rozpaczliwie płaczącą. Jej widok spowodował, że członek mu stwardniał i na chwilę stracił kontrolę, a to wystarczyło, aby obezwładnił go ten strach na wróble, jej przyjaciel. Następnym razem nie będzie tracił czasu.

KIEDY WRÓCILI DO mieszkania Brigitte, Colomba przekazała informacje Dantemu, który natychmiast zadzwonił do Santiaga. Haker odpowiedział mu, leżąc w łóżku w apartamencie hotelu Impero. Cała scena przypominała teledysk jakiegoś rapera z półnagim Santiagiem w roli głównej. Mężczyzna przysłonił nieco tors prześcieradłem, ale w taki sposób, aby podkreślić tatuaże i gruby złoty łańcuch, który założył specjalnie na tę okazję. Zupełnie naga Luna przytulała się do niego, śmiejąc się prosto w obiektyw.

– Tu jest wspaniale, *hermano!* – powiedział, sącząc szampana, za którego Dante będzie musiał zapłacić. – Powiedz mi, jak się włącza ekspres do kawy, bo nie mogę sobie z nim poradzić.

– Tylko nie dotykaj mojego ekspresu!

– Dobra, dobra. Zamówię sobie kawę z baru. Czego chcesz?

Dante wyjaśnił mu, o co chodzi. Pomysł był w zasadzie bardzo prosty. Istniała możliwość, że Heinichen miał mieszkanie w Ulm jeszcze przed pożarem, ale było to mało prawdopodobne. Nie ukryłby się w miejscu, które Giltiné mogłaby, nieco poszperawszy, szybko odkryć. Wybrał więc pewnie rozwiązanie prowizoryczne. W mieście było trzydzieści pięć hoteli i kilka pensjonatów. Santiago włamywał się po kolei do systemów informatycznych każdego z nich i ściągnął dane gości z okresu, w którym Heinichen opuścił willę ordynatora. Pozostały jedynie cztery obiekty, gdzie prowadzono jeszcze papierową rejestrację. Na szczęście zbieg nie wybrał żadnego z nich.

Santiago zadzwonił do Dantego w środku nocy i wysłał mu zeskanowaną stronę z paszportu. Zdjęcie było niemalże identyczne z tym z dowodu Heinichena, poza tym, że mężczyzna miał na nim włosy jasnego koloru.

– Nazywa się teraz Franco Chiari i jest obywatelem Szwajcarii. Zameldował się w podanym przez ciebie czasie i zajął pokój numer dwadzieścia osiem.

– A kiedy opuścił hotel?

– A kto powiedział, że go opuścił? Chyba podoba mu się to miejsce, bo ciągle tam siedzi. Jak się pospieszysz, to może jeszcze go tam zastaniesz.

DANTE OBUDZIŁ WSPÓLNICZKI i przekazał im najświeższe informacje. Postanowili wyruszyć do Ulm jak najszybciej, obawiając się, że Heinichen może opuścić miasto. Colomba miała nie lada kłopot. Nie mogła zostawić związanego i nafaszerowanego narkotykami Andreasa w mieszkaniu Brigitte, bo gdyby zdołał się w jakiś sposób uwolnić, z całą pewnością pokrzyżowałby im szyki, a zabranie nieprzewidywalnego więźnia w podróż narażało ich na wielkie ryzyko.

W końcu zdecydowała się na drugie rozwiązanie – wołała mieć go na oku. Rozdzielili się i Colomba wsiadła do samochodu Andreasa, przykuwszy go wcześniej kajdankami do kierownicy. Nie zwracała uwagi na to, czy ktoś ich zauważy, czy nie. Dante miał jechać swoim wehikułem w towarzystwie Brigitte. Dziewczyna była ciekawa, jak ta cała historia się skończy, ale Colomba zgodziła się ją zabrać, przede wszystkim dlatego, że została ich służbową tłumaczką.

Przed wyjazdem na stronie Airbnb znaleźli niewielki domek na obrzeżach miasta, który gwarantował wynajmującym „spokój i dyskrecję”, i zarezerwowali noclegi, używając karty kredytowej Andreasa. Zaplanowali wszystko szczegółowo, licząc, że uda im się spotkać z Chiarim, jak nazywał się teraz Heinichen, i chcieli mieć do dyspozycji zaciszne miejsce, gdzie mogliby porozmawiać. Postanowili nie liczyć na jego hotel, biorąc pod uwagę, że mógł nie wykazywać entuzjazmu do współpracy.

Wyjechali z Berlina wczesnym popołudniem, ale dotarcie do Ulm zajęło im dziewięć godzin z powodu częstych postojów, do których zmuszał ich Dante. On chyba jako jedyny z całej czwórki spędzał przyjemnie czas, ponieważ Brigitte okazała się idealną pasażerką: pełną poczucia humoru i na dodatek zainteresowaną Dantem, co bardzo korzystnie wpływało na jego poczucie własnej wartości.

– Od dawna się znacie z Colombą? – zapytała po drugim postoju.

– Od dwóch lat – odpowiedział. – Od czasu, kiedy jej szef przysłał ją, aby mnie przekonała do współpracy z policją.

– Wcześniej tego nie robiłeś?

– Nigdy nie darzyłem mundurowych zbyt dużą sympatią. Z wzajemnością. Ale Colomba to zupełnie inna sprawa.

– Na początku myślałam, że jesteście parą. Dopiero potem zauważyłam, że śpicie w osobnych pokojach. A może nie chcieliście wprawiać mnie w zakłopotanie?

– Colomba nigdy nie dbała specjalnie o dobre samopoczucie innych osób. Niemniej jednak jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– A ty nie jesteś gejem.

Dante obdarzył ją szelmowskim uśmiechem.

– Nie, ale może dlatego, że jeszcze nie spotkałem odpowiedniego mężczyzny.

– Mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości to się nie zdarzy.

Dantemu do tego stopnia brakowało wprawy w uwodzeniu, że dopiero po chwili zrozumiał aluzję.

– Aha! Ups.

Brigitte uderzyła go lekko w ramię.

– Ups? Ja się deklaruję, a ty masz tylko tyle do powiedzenia?

– To znaczy, że nie jesteś lesbijką?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Colomba jest o tym święcie przekonana.

– Aaa, teraz rozumiem, dlaczego śpi w ubraniu. – Brigitte roześmiała się szczerze po raz pierwszy od dłuższego czasu. – Prawdę mówiąc, kilka razy próbowałam, ale nie bardzo mi się podobało.

Dante zrobił swój charakterystyczny grymas.

– Masz jakieś zdjęcia? Chętnie bym obejrzał.

Dziewczyna uderzyła go mocniej.

– Na razie nie jesteśmy ze sobą aż tak blisko.

– No tak, masz rację.

Brigitte przeszła go wzrokiem.

– I nigdy nie będziemy, prawda?

– Nie mam nic przeciwko wolnej miłości, ale teraz mam wiele spraw na głowie.

– I kogoś innego w sercu.

Dante nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Zapadła chwila ciszy, po czym dziewczyna dodała:

– Powiedziałaś jej?

– Skąd wiesz, że chodzi o Colombę? – zapytał Dante i westchnął głęboko, zrozumiał, że nie ma sensu kłamać. – Zachowuję się jak nastolatek, co?

– Nastolatek by się zatrzymał i rzuciłby się na mnie bez zbędnych ceregieli.

Dante zrobił groźną minę.

– Uważaj, jeszcze zdążę.

– Nie składaj obietnic, których nie jesteś w stanie dotrzymać. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie chcesz jej powiedzieć?

– O nie, bardzo dziękuję. Jej ideał musi umieć zabić krokodyla gołymi rękami, a ja, jak widzisz, nie należę do tej kategorii.

W tym momencie w głowie Dantego pojawił się obraz Colomby, która podaje Albertiemu numer telefonu swojego przyjaciela z oddziałów antyterrorystycznych. Słyszał każde słowo tamtej rozmowy i zauważył, że jej gesty były niepewne i nerwowe, ale wtedy złożył to na karb zbliżającego się wyjazdu do Niemiec. Teraz nagle wszystko nabrało nowego znaczenia. Co ich łączy? Mają romans?

– A ty? Jesteś singielką czy w wolnym związku? – Zmusił się do zadania tego pytania, aby pozbyć się dręczącej go myśli.

– Jestem sama, nie wiem, czy powinnam dodać niestety, czy na szczęście.

Brigitte zobaczyła na drogowskazie nazwę miasta, do którego zmierzali, i zapomniała o miłosnych rozterkach. Zrobiła ponurą minę.

– Co będzie, gdy już znajdziemy Heinichena?

– Porozmawiamy z nim.

– A jak odmówi? Chcecie go pobić albo siłą zmusić do mówienia?

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto stosuje przemoc?

– Nie – powiedziała i położyła mu głowę na ramieniu. – Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza. Nie chciałabym, żebyś miał wyrzuty sumienia, że zdradzasz swoją wielką miłość.

– Jak nie przestaniesz, to zaraz włączam kierunkowskaz...

– Ciii, prześpię się trochę.

Wyglądało na to, że dziewczyna naprawdę zasnęła. *I w tym cały jest ambaras, aby dwoje chciało naraz*, pomyślał Dante. Jego poczucie własnej wartości znacznie się wzmocniło.

W DRUGIM SAMOCHODZIE PANOWAŁA o wiele mniej przyjemna atmosfera.

Colomba odrzucała kolejne próby swojego olbrzymiego kierowcy, mające na celu nawiązanie rozmowy. Wiedziała, że chce ją tylko wy badać i znaleźć jej słabe punkty – tacy jak on zawsze tak robią.

– Jak to jest znaleźć się po drugiej stronie barykady? – zapytał mniej więcej w połowie drogi.

Colomba uparcie milczała.

– Zlituj się! Każesz mi prowadzić w kajdankach, wiesz, jakie to niewygodne! Muszę się trochę rozerwać. Jak się czujesz w roli przestępcy?

– Nie jestem przestępcą.

– No to jak nazwiesz kogoś, kto więzi drugiego człowieka?

– Tylko cię pilnuję.

– Aha, czyli jesteś prokuratorem, sędzią i katem w jednej osobie? To chyba niezbyt legalne nawet w takim zacofanym kraju jak twój.

Colomba powstrzymała się od komentarza, ale poczuła, że ręka, którą oparła na kolbie schowanego w kieszeni pistoletu, zaczęła się pocić.

– Osobiście popieram twoje decyzje – ciągnął Andreas. – Nie zrozum mnie źle. Po prostu staram się działać racjonalnie. Prawo powinno być przestrzegane niezależnie od prywatnych opinii. W przeciwnym razie każdy mógłby łamać normy w imię własnych celów. A ty jesteś przecież policjantką, więc powinnaś stać na straży prawa.

– W moich działaniach nie kieruję się żadnym prywatnym interesem – wyszczała Colomba. – Szukam mordercy.

– Czy oskarżona nie ma nic więcej na swoją obronę? – Tę sentencję Andreas wygłosił tubalnym głosem.

– Zamknij pysk i patrz na drogę – wrzasnęła Colomba, aby zmusić go do milczenia.

A Andreas uśmiechnął się na myśl o małej szczelinie, którą – jak sądził – udało mu się otworzyć w jej duszy, ale w tym przypadku się mylił.

Colomba była w rozterce już od dłuższego czasu i z każdym dniem czuła się coraz gorzej. Ciągłe myślała o tym, na co się zdecydowała. Zaczęła od naginania reguł, a w ostatnich dniach całkiem je podważyła. W systemach prawnych większości państw istnieje pojęcie stanu wyższej konieczności. Ten, kto umiera z głodu na tratwie dryfującej po pełnym morzu i morduje swego towarzysza, żeby go zjeść, nie podlega karze. Nawet jeśli po chwili ratuje go przepływający w pobliżu statek, gdyż to nie było do przewidzenia. Reguła dotyczy tych, którzy na szczytach przecinają linię łączącą ich z kompanami, żeby nie spaść z nimi w przepaść, a także tych, którzy uciekając przed trzęsieniem ziemi, porzucają żony i dzieci. Stan wyższej konieczności.

Czy to prawo obejmuje również kogoś, kto próbuje powstrzymać zamachowca? Jej sumienie było skłonne to zaakceptować, ale w czasie procesu raczej nie mogłaby liczyć na uniewinnienie. Ta niepewność połączona z towarzystwem Andreasa sprawiała, że podróż stała się dla niej bardzo męcząca.

Na miejsce przyjechali nocą, tak jak zaplanowali, i zaparkowali około kilometra od hotelu, który mieścił się w sercu Fischerviertel, rybackiej dzielnicy pełnej kolorowych domków szachulcowych i małych mostów łączących oba brzegi rzeki Blau. Dante kiedyś bardzo chciał zwiedzić to miasto, ale teraz, kiedy był na wojnie, nie wydawało mu się już tak interesujące. Schował ręce do kieszeni, aby ukryć drżenie, i próbował uciszyć wewnętrzny głos, który namawiał go na kolejną tabletkę lub na łyk wódki z podręcznej flaszeczki. Spojrzał ukradkiem na Brigitte, która rozglądała się wokół i wyglądała na zagubioną.

O Boże, jaka ona jest młoda, pomyślał w momencie pełnej świadomości, którą zapewnił wzrastający poziom adrenaliny. Jak mogłem pozwolić, żeby z nami pojechała? Myślał tylko o tym, że jest odpowiedzialny za Brigitte i za Colombę, bo cała ta akcja została podjęta z jego inicjatywy. Świadomość tego tłumiała niepokój związany ze zbliżaniem się do

poszukiwanego mężczyzny. Przecież on jest inwalidą, i to w dodatku niemłodym, może wszystko pójdzie gładko, próbował przekonać samego siebie. Sam w to jednak nie wierzył. I niestety miał rację.

BUDYNEK HOTELOWY BYŁ niewielki i bardzo urokliwy, miał trzy piętra i spadzisty dach. Wykonaną z cegieł i otynkowaną przednią ścianę ozdabiały listwy z czerwonego drewna otaczające okna w tym samym kolorze. Do recepcji prowadził kamienny mostek pokryty bluszczem. Z lustra wody unosiła się lekka mgiełka, a odbijające się w niej światła lamp nadawały otoczeniu marzycielski wygląd.

Umówili się, że Colomba i Andreas wejdą do środka, udając turystów szukających noclegu, natomiast Brigitte i Dante zostaną na zewnątrz po obu stronach budynku. Wszyscy mieli przy sobie krótkofalówki, które kupili po drodze. Wszyscy oprócz Andreasa, który został pozbawiony sprzętu, ponieważ zabawiał się, rzucając mięsem do aparatu.

Dante chciał wejść do środka z Colombą, ale przy drzwiach jego termometr wewnętrzny podskoczył tak wysoko, że hol przekształcił się w grobowiec gotowy go pochłoniąć. Cofnął się kilka kroków i oparł o barierkę, po czym skinął pozostałym, aby szli bez niego. Właśnie wtedy wszystko zaczęło się komplikować.

Gdy Colomba i Andreas przekraczali próg, włączył się alarm przeciwpożarowy, a z jednego z okien na drugim piętrze wypełzła smuga czarnego dymu. Colomba i Andreas zastygli niczym dwa słupy soli, a portier ruszył biegiem w stronę drzwi, zamierzając ich powstrzymać. Podejrzewając, co się zaraz wydarzy, Dante mruknął „nie”, ale Andreas go nie usłyszał i uderzył mężczyznę z byka z taką siłą, że mógłby rozwalić mur. Konsjerż upadł na podłogę jak rażony gromem, a Andreas zasłoniwszy sobie twarz chusteczką, pobiegł w stronę chmury dymu zakrywającej schody. Nie zważając na przerażonych gości, którzy próbowali opuścić hotel, parł naprzód. Colomba, klnąc na czym świat stoi, ruszyła za nim.

– Co się dzieje? – zapytała Brigitte przez krótkofalówkę.

– Nasz milusiński podpalił hotel – odpowiedział Dante. – Na pewno będzie próbował uciec. Uważaj!

– Tu jest całkiem spokojnie. A co z Colombą?

Dante wpatrywał się w hotelowy hol zasłonięty gęstym dymem.

– Weszła z Andreasem do środka.

– *Scheisse.*

Dante obserwował nerwowo uciekających z hotelu gości, próbując zlokalizować Chiariego, w końcu przeniósł wzrok na zatopione w ciemnościach tyły budynku i zauważył, że otwiera się jedno z okien restauracji. Po kilku sekundach ktoś przetoczył się po parapecie i upadł na ziemię. Podniósł się natychmiast i kulejąc wyraźnie, ruszył w stronę rzeki. Dante nabrał pewności, że jest to mężczyzna, którego szukają, i rzucił się w pogoń.

A przynajmniej taki miał zamiar, bo na razie nie był w stanie zrobić kroku. Trząśnięcie i pocie, a dłoń, którą opierał o barierkę, zacisnęła się niczym imadło. „Tylko nie teraz, do jasnej cholery, tylko nie teraz!” – wyszeptał błagalnie, ale dreszcze jeszcze się nasiliły i zalał go lodowaty pot. Chwycił krótkofalówkę i poprosił o pomoc, lecz odpowiedział mu tylko suchy trzask. Znalazł się w jednym z tych koszmarów, w których wszystko rozgrywa się na zwolnionych obrotach i jest zarazem nieuniknione. Mężczyzna zdoła uciec, a on dalej będzie tu stał, jakby zapuścił korzenie. *Znowu się zbłąźnię przed Colombą, pomyślał. Po raz kolejny potwierdzę, że w akcji jestem do niczego.*

I właśnie ta myśl dodała mu sił do działania. Atak paniki zniknął tak samo szybko, jak się pojawił, i Dante pobiegł w stronę ogrodu.

Chiari usłyszał kroki i się odwrócił. W świetle latarni Dante nie widział go zbyt wyraźnie, ale dostrzegł, że ogień obszedł się z nim okrutnie. Miał przed sobą mężczyznę średniego wzrostu i gdyby poprzestać na prawej stronie jego ciała, można by powiedzieć, że chodzi o zadbanego, starszego pana w dobrej formie. Natomiast lewa część prezentowała się zupełnie inaczej. Twarz pokrywały głębokie blizny, włosy nie odrastały, oko niknęło w wąskiej szczelinie, a opadający kącik ust odsłaniał dolne zęby. Pałakowata noga sprawiała, że korpus przechylał się na lewo, a dłoń zamiast palców miała tylko kikuty. Poważniejszym problemem okazała się jednak prawa ręka, w której Chiari trzymał mały rewolwer wymierzony w Dantego.

– Chcemy tylko porozmawiać – wyrzucił z siebie Dante po włosku i okazało się, że mężczyzna zrozumiał.

– Nie mam wam nic do powiedzenia – odpowiedział w tym samym języku, zniekształcając wyrazy z powodu zdeformowanych ust.

– Nie chcesz znaleźć osoby, która spaliła cię żywcem? Nie chcesz się zemścić na Giltiné?

Chiari, czy jak tam się naprawdę nazywał, zawahał się na moment, a Dante dostrzegł w ciemnościach za jego plecami dwie postacie i od razu zrozumiał, że to Colomba i Andreas.

– Pozwól mi odejść albo będę musiał cię zastrzelić.

– Ona cię znajdzie, tak samo jak my cię znaleźliśmy. Ale my możemy ci pomóc.

Dwa cienie były teraz już bardzo blisko. Andreas rzucił się do przodu, ale Colomba podcięła mu nogi, obalając na ziemię.

Hałas zaalarmował Chiariego i sprawił, że mężczyzna odwrócił się na chwilę. Dante tylko na to czekał i skoczył na przeciwnika. Obaj runęli za ziemię, a Dante obiema rękami chwycił go za uzbrojone ramię.

– Tutaj! Mam go! Chodźcie! – wrzeszczał.

Sylwetka Colomby przesłoniła światło latarni, a chwilę potem policjantka kopnęła leżący na ziemi pistolet, usuwając go z zasięgu ręki Chiariego.

– Nie drzyj się, to tylko kulawy starzec.

Colomba była pobrudzona popiołem i miała nadpalone włosy.

– On ma broń.

– Już nie – powiedziała, chowając rewolwer do kieszeni.

Dante wstał, podeszli do niego Andreas i Brigitte. Dziennikarz, podobnie jak Colomba, miał nadpalone ubranie, a łysina połyskiwała w świetle latarni.

– Spadamy stąd, zanim nas zobaczą – powiedział zachrypniętym głosem.

– Do samochodów! – zarządziła Colomba.

Ruszyli biegiem, zostawiając za plecami pożar. Przez jakiś czas kilku gości z hotelu, zauważywszy w ciemnościach oddalającą się grupkę,

podążało ich śladem. Na szczęście wtedy w pobliżu hotelu nastąpił głośny wybuch – prawdopodobnie jakiś samochód wyleciał w powietrze – i przyciągnął uwagę goniących ich ludzi.

– Dlaczego nie odpowiadałaś przez krótkofalówkę? – zwrócił się z wyrzutem Dante do Brigitte.

– Tak naprawdę to ty się w pewnym momencie wyłączyłaś. Słyszałam tylko Colombę.

Dante sprawdził aparat i okazało się, że pod wpływem zdenerwowania przekręcił gałkę dostrajania na inny kanał.

– Chyba się zepsuł – skłamał.

Chiari nie mógł za nimi nadążyć i Colomba zmusiła Andreasa, żeby go poniósł. Dziennikarz wykonał polecenie bez większego wysiłku.

– Myślałem, że się boisz ognia – powiedział.

– Spierdalaj – rzucił Chiari, nie okazując strachu.

Rzucili go na tylne siedzenie auta Andreasa i pojechali do wynajętego domku pięć kilometrów za miastem. Była to wiejska willa otoczona wielkim parkiem, w którym roilo się od kopii posągów greckich bogów. Główna brama otwierała się po wprowadzeniu kodu, a klucze do domku znajdowały się w skrzynce na listy.

Zaparkowali na dziedzińcu i zamknęli bramę. Kiedy Andreas chciał wysiąść z samochodu, Colomba przykuła go kajdankami do kierownicy.

– Masz zamiar mnie tu zostawić?

– Uprzedzałam cię, żebyś trzymał na wodzy swój krewki temperament. Masz szczęście, że nie pozwoliłam ci się spalić w hotelu.

– Chcę usłyszeć, co on ma do powiedzenia – sprzeciwił się Andreas. – Zasłużyłem sobie na to.

– Zasłużyłaś sobie na celę – oświadczyła Colomba, trzaskając drzwiami.

Chciała go ukarać, a zarazem zapobiec temu, by poznał więcej szczegółów całej sprawy. Miała na uwadze dobro śledztwa, na wypadek gdyby musiała go wypuścić.

– Siedź spokojnie, jeśli nie chcesz, żebym do ciebie wróciła.

Colomba dołączyła do przyjaciół, którzy zdążyli już wejść do willi. Andreas był wściekły i przez chwilę klął po niemiecku, ale szybko się

uspokoił. Przynajmniej pozornie. Wiedział, że już niedługo nadejdzie czas zemsty. Przed oczami przesuwały mu się okrutne obrazy we wszystkich możliwych odcieniach czerwieni.

Już niedługo.

Kiedy Colomba zniknęła w domku, wyciągnął się na siedzeniu i otworzył stopą schowek ukryty pod tablicą rozdzielczą.

Dobry dziennikarz zawsze powinien mieć jakiegoś asa w rękawie.

ROZGOŚCILI SIĘ W OGROMNYM holu na parterze willi, gdzie znajdowały się dwa stoły na dziesięć osób oraz salon tak duży, jak całe mieszkanie Colomby. Wychodziło się z niego na wąski korytarz prowadzący do łazienki i na schody, a na górze były jeszcze cztery sypialnie. Więźnia posadzono na kanapie, a on przyglądał się w milczeniu swoim porywaczom. W blasku światła zyrandola w formie wielkiego świecznika obrażenia spowodowane na jego twarzy przez ogień były jeszcze wyraźniejsze.

Brigitte znalazła w szafkach herbatę i czajnik, a Dante wygrzebał skądś nawet butelkę wódki. Alkohol był ciepły, podobnie jak ten w barze Colloquium, ale tym razem wpadł mu w ręce jeden z najlepszych gatunków: Beluga Platinum. Dante usiadł na parapecie okna, przez które wpadało chłodne powietrze, i podał butelkę więźniowi.

– Chcesz?

Mężczyzna najpierw odwrócił wzrok na znak odmowy, ale zaraz zmienił zdanie i skinął głową. Kiedy sięgnął po butelkę, Dante przestraszył się, że zrobił głupstwo. Przecież Chiari mógł użyć jej jako broni. Tymczasem pociągnął tylko kilka małych łyków, potem jeden konkretniejszy i oddał butelkę.

– Od dwóch lat nie piję alkoholu – wyjaśnił po włosku z lekkim wschodnim akcentem.

– Zalecenie lekarza?

Mężczyzna spojrzał na Dantego z pogardą.

– Chciałem mieć jasny umysł, na wypadek gdyby ona wróciła. Ale teraz... – Wzruszył ramionami.

Dante też pociągnął łyk i kiedy poczuł, jak ciepło wywołane alkoholem promieniuje od żołądka, zdał sobie sprawę, że dokonało się niemożliwe. Miał przed sobą kogoś, kto trzymał w ręku klucz do rozwiązania tajemnicy Giltiné. Ten człowiek wiedział, dlaczego poszukiwana przez nich kobieta chodzi po świecie, kosząc ludzkie życia jak duch, którego imię przybrała.

A co będzie, jeśli nie zechce mówić albo zacznie kłamać?

Spróbował odkryć jego myśli, ale postawa i mimika były zbyt zniekształcone przez blizny. Więzień wymierzył w niego zdrowy palec wskazujący.

– Nas też uczyli tej sztuczki. Tylko że staraliśmy się robić to po kryjomu.

– Jakiej sztuczki?

– Rozpoznawania ludzkich myśli na podstawie mimiki i gestów.

– Odbył pan szkolenie wojskowe? Czy może raczej szpiegowskie?

Więzień ponownie wzruszył ramionami.

Do salonu wróciła Colomba z Brigitte, policjantka trzymała w dłoni kubek herbaty. Była głodna jak wilk, ale nie udało jej się znaleźć niczego do jedzenia.

– Brigitte nie mówi po włosku – odezwała się w języku angielskim. – Czy możemy mówić po angielsku? Czy to dla pana problem? – zwróciła się do Chiariego.

– Nie mam wam nic do powiedzenia.

Posługiwał się angielskim niemalże bez obcego akcentu i Colomba pomyślała, że jego niemiecki musi być doskonały. Dante przyznał w duchu z uznaniem, że w szkoleniu, jakie przeszedł Chiari, nauka języków odgrywała ważną rolę.

– Proszę nam przynajmniej podać swoje nazwisko.

– Franco Chiari.

Colomba postawiła krzesło naprzeciw więźnia i usiadła.

– Jakoś panu nie wierzę. Sądzę, że jest tak samo prawdziwe, jak Heinichen i wiele innych.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Jest pan Rosjaninem.

Mężczyzna nie zareagował.

– No dobrze, zobaczymy, czy to pana zainteresuje – ciągnęła Colomba. – Giltiné zamordowała dwanaście osób we Włoszech i sześć w Berlinie, wznecając pożar w klubie Absynthe, z którego zresztą jedynie pan zdołał się uratować. Mój przyjaciel jest przekonany, że zabiła jeszcze wielu innych ludzi na całym świecie.

- Pani przyjaciel ma prawdopodobnie rację – przyznał Chiari.
- Mój przyjaciel twierdzi, że wcale nie zakończyła swojego morderczego procederu.
- To też jest możliwe.
- Jest pan jedynym człowiekiem, który może nam pomóc ją powstrzymać.

Chiari spróbował uśmiechnąć się tą częścią twarzy, której nie oszpecił ogień, lecz wyszedł z tego groteskowy grymas.

- Nigdy nie zdołacie jej powstrzymać.
- Dlaczego nie chce nam pan pomóc po tym wszystkim, co panu zrobiła?
- Bo sobie na to zasłużyłem. To moja wina, że ona ciągle morduje.
- W przeszłości był pan wojskowym lub szpiegiem – włączył się Dante, który zaczynał łączyć ze sobą poszczególne fakty. – Czy zadanie, które pan otrzymał, dotyczyło Giltiné?

- Kiedy dostałem rozkaz, nazywała się zupełnie inaczej.
- Okej. Miał ją pan dopaść, ale się panu nie udało – powiedziała Colomba, starając się zachować spokój, chociaż miała ochotę rzucić się na niego z pięściami.

– A właśnie, że mi się udało. Problem w tym, że wykonałem moją pracę – głos mu się załamał, ale po chwili dodał szeptem: – Znalazłem ją i zrobiłem to, co mi polecono.

– To znaczy? – włączyła się po raz pierwszy do rozmowy Brigitte. – Co jej zrobiłeś?

– Zabiłem ją – oświadczył mężczyzna, który twierdził, że nazywa się Chiari. – I dlatego ona się teraz mści.

ROZDZIAŁ V
Price Tag

Wcześniej – 2010

NOC JEST BEZKSIĘŻYCOWA i cienie wieżowców w Szanghaju odcinają się na tle czarnego nieba. Kobieta spogląda na rozległe zakole rzeki Jangcy, która dwadzieścia pięter niżej toczy swe wody pod oknami hotelowego pokoju. Myśli o lodowatej wodzie w dawnym więzieniu, potem o ciepłym, hiszpańskim morzu. Wtedy nazywali ją Dziewczyną i Niemą. Myśli o czasie, zanim przyjęła nowe imię, jedyne, z którym się identyfikuje.

Katia śpi w ogromnym, zbyt miękkim łóżku w pokoju obok. Leży na brzuchu z rozrzuconymi na poduszce włosami przypominającymi macki krwistoczerwonej meduzy, jedna stopa wystaje jej spod kołdry. Kobieta podchodzi do łóżka i delikatnie odsuwa przykrycie, odsłaniając ciało kochanki. Skóra Katii ma mlecznobiały odcień i zdaje się migotać w świetle osłoniętej abazurem nocnej lampki. Jej ciało jest wiotkie, niemalże pozbawione krągłości.

Przodkowie Katii należeli pewnie do grupy łatwych zdobywczy, a nie drapieżników, myśli Kobieta. Uciekali w las na swoich długich nogach i kryli się w jego gąszczu. Zamiast polować, kradli jedzenie.

W przeciwieństwie do mnie.

Pochyla się nad Katią. Oprócz nieznanego zapachu hotelowego płynu do kąpieli czuje aromat parującego wina i smażonego węgorka, którego jadły w 51 dystrykcie, w małej restauracji wciśniętej pomiędzy galerię sztuki i zakład renowacji antyków. Kiedy Katia nie ćwiczy i nie ma prób, spędza cały wolny czas w dystrykcie. Wraca nocą z błyszczącymi radością oczami, które ciągle odkrywają coś nowego. Katia żyje sztuką i pięknem. Kobieta tego nie rozumie, ale widzi, jaki to ma na nią wpływ. Sama też poniekąd doświadcza tego uroku za jej pośrednictwem. Było tak od samego początku ich znajomości, od kiedy zobaczyła ją na scenie podczas koncertu w Paryżu, jak siedząc przy fortepianie w kręgu światła, uwalnia nuty i podrywa je do lotu. Kiedy posiadała ją tej samej nocy, ciało Katii ciągle jeszcze wibrowało przenikającą ją muzyką, aplauzem publiczności i podnieceniem.

To miała być przygoda na jedną noc, ale od tego czasu są razem, od dwóch lat podróżują po całym świecie. Kobieta została towarzyszką życia artystki, jej wsparciem, osobą niezbędną poza sceną. Wie, że to był błąd, i wielokrotnie

próbowała uciec, ale zawsze wracała. Katia zamieszkała w jej sercu. Z dala od niej Kobieta usycha i umiera.

Wcześniej czy później ona się dowie. Zrozumie, kim naprawdę jestem. I wtedy wszystko się skończy.

Samotna kropla potu toczy się wzdłuż kręgosłupa Katii i zatrzymuje w zagłębieniu tuż nad niemalże płaskimi pośladkami. Kobieta ją zlizuje. Czuje smak życia.

Ma ochotę płakać, ale nie potrafi.

Katia się budzi. Wyciąga rękę i muska twarz Kobiety, zapraszając ją do siebie. Kobieta śledzi ustami żyłę po wewnętrznej stronie ramienia kochanki. Czuje powolne pulsowanie dopasowane do rytmu oddechu. Całują się.

– Miałam dziwny sen – mruczy Katia.

– Sny z reguły są dziwne – mówi Kobieta, której nigdy nic się nie śni. – Opowiedz mi.

– Niewiele pamiętam, wiem tylko, że widziałam Giltiné.

– Kto to jest?

– Wiedźma, o której opowiadała mi babcia. Szła na czele ubranych na biało kobiet ze świecami. Chodziły po ciemnym, opustoszałym mieście, które wyglądało jak po katastrofie. Wszędzie ruiny, zniszczone budynki...

– Jak po wojnie.

– Raczej jak po wybuchu jądrowym... pozbawiona życia pustynia.

– A te kobiety?

– One nie żyją. Giltiné prowadzi je do raju lub do piekła... Ona jest duchem zmarłych. – Katia się przeciąga. – Chodź tu do mnie.

– Nie teraz.

Kobieta wkłada szlafrok i frotowe papcie z logo hotelu.

– Idziesz do sauny? – pyta Katia.

– Tak.

Kobieta chodzi tam zawsze w nocy, kiedy pomieszczenie jest zamknięte i klienci nie mają wstępu. Dała pokąźny napiwek jednemu z pracowników i teraz ma klucz.

Katia opuszcza nogi na podłogę.

– Pójdę z tobą. Nie chcę zostać tu sama.

Bierze szlafrok i wychodzą z pokoju. Jest druga w nocy. Z ogrodowego baru już nie dochodzą śmiechy bawiących się gości. Na korytarzu pachnie gotowanymi warzywami i durianem, owocem, którego Katia nie chce spróbować z powodu przykrego zapachu. Kobieta nie ma z tym problemów. Potrafi zjeść wszystko – zarówno to, co żywe, jak i to, co martwe. To jedna z korzyści jej zawodu.

Schodzą po schodach dla personelu do strefy spa mieszczącej się na najniższym poziomie hotelu. Kobieta nie używa windy, jeśli nie jest to naprawdę konieczne. Spa dysponuje sauną, basenem z zimną wodą i małym, okrągłym zbiornikiem z ciepłą wodą, wyposażonym w urządzenia do hydromasażu. Ściany pomalowane są na ciemnoczerwono, podłogi wyłożono czarnym marmurem, a z głośników płyną nuty preludium d-moll Bacha. Kobieta rozpoznaje rękę Katii. Zastanawia się, czy to zwykły przypadek, czy też dyrekcja hotelu wybrała ten fragment specjalnie po to, by uczcić pianistkę, która następnego wieczoru ma wystąpić w Grand Theatre.

Tylko nieliczne światła są zapalone i obie kobiety, korzystając z półmroku, nago zanurzają się w basenie. Katia rozkoszuje się przyjemnością, która ma posmak zakazanego owocu, natomiast Kobieta tylko na moment przymyka oczy.

Czuje, że coś jest nie tak.

Zauważyła to już przy wejściu do spa, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, o co chodzi. Drzwi szafki, z której w ciągu dnia obsługa wyjmuje ręczniki, są niedomknięte. Podczas ich tygodniowego pobytu w hotelu to się nigdy nie zdarzyło, ponieważ pokojowy porządkuje wszystko około dwudziestej trzeciej, kiedy oficjalnie zamyka się centrum. A tym razem tego nie zrobił.

Kobieta próbuje wyostrzyć wszystkie zmysły do granic możliwości. Szum urządzeń do hydromasażu jest niemożliwym do przeniknięcia całunem, ale oprócz zapachu chloru i środków dezynfekcyjnych wyczuwa woń papierosów oraz czegoś delikatnego i kwaśnego, co kojarzy się z wydzielinami ludzkiego ciała.

Katia otwiera oczy, bo nagle nie czuje obok siebie ciepłej skóry kochanki. Kobieta bezgłośnie wyslizgnęła się z basenu i przykucnęła na brzegu w zwierzęcej pozie szykującego się do ataku drapieżnika. Katia nigdy wcześniej jej takiej nie widziała. Nie rozpoznaje w niej kobiety, z którą przeżyła ostatnie dwa lata, z którą podróżowała po świecie i kochała się w hotelowych pokojach. Od zawsze obowiązywał je niepisany pakt dotyczący przeszłości Kobiety. Nie rozmawiały o tym. Było tak, jakby urodziła się w dniu, w którym się poznały. Ale teraz, widząc

ją w tej pozycji, Katia jest przerażona i zastanawia się, czy nie popełniła błędu. Tymczasem Kobieta porusza się, nie wywołując najmniejszego dźwięku. Stawia stopy na mokrej posadzce, wybierając najciemniejsze części pomieszczenia.

Kobieta zagląda do szafki i to, co widzi, potwierdza jej przypuszczenia. Kwaśny zapach pochodzi z wnętrza pokojowego, który klęczy z rozciętym brzuchem, jakby się modlił do jakiegoś okrutnego bóstwa. Kobieta cofa się i jednym precyzyjnym skokiem spada na dwóch mężczyzn, których obecność wyczuła w ciemnościach.

Katia ciągle jeszcze jest w basenie, skąd widzi poruszające się cienie i słyszy stłumione dźwięki, chociaż nie rozumie, co się wokół niej dzieje. Boi się zawołać Kobieta; boi się, że jej krzyk może spowodować coś strasznego.

Z ciemności przy basenie wyłania się mężczyzna w szarym garniturze, jakie zwykle noszą urzędnicy średniego szczebla. Jego twarz pozbawiona jest emocji, ma jasne oczy.

To Maksim.

Katia pyta, czego chce, a wtedy Maksim chwyta ją za włosy i uderza głową o krawędź basenu. Wybite siekacze wpadają do wody, a Katia w końcu zaczyna krzyczeć.

Cienie w tle poruszają się coraz szybciej, wreszcie z ciemności wyłania się naga postać Kobiety. Na ciele ma ślady krwi. Biegnie w stronę Maksima tak szybko, że mężczyzna nie ma czasu na złożenie się do strzału. Chciał zwabić ją w pułapkę, wykorzystując Katię, ale pomylił się w obliczeniach. Zaledwie raz udaje mu się nacisnąć spust, zanim Kobieta spada na niego, przygniatając go do ściany. Kula wwierca się w czoło Katii, która próbuje się podnieść. Dziewczyna z głuchym pluskiem wpada do wody. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu Kobieta traci na chwilę koncentrację. Maksim, który po walce ma złamane trzy żebra oraz pęknięty kręgosłup, upuszcza pistolet i zatapia w jej plecach nóż myśliwski.

Kobieta wygina się i uderza go łokciem w twarz. Łamie mu szczękę, a mężczyzna puszcza nóż zatopiony w jej ciele. Pada na posadzkę. Kobieta próbuje zablokować mu stopą gardło; krew obficie spływa z rany na plecach. Jest wolniejsza niż zwykle i Maksim stawia wszystko na jedną kartę. Popycha ją. Kobieta traci równowagę i pada na twarz do basenu z zimną wodą. Wykorzystując resztki siły, Maksim zwala się na nią i przypiera do dna. Zmusza się do zachowania

przytomności. Kobieta próbuje uchwycić się krawędzi basenu, ale jej dłonie się ześlizgują, nie znajdując oparcia. Po pięciu minutach jej ciało przestaje się miotać. Kiedy mija szósta, można zauważyć jeszcze lekkie skurcze kończyn i twarzy.

Po dziesięciu minutach wokół panuje niezmacona cisza.

Maksim trzyma ją pod wodą do chwili, kiedy na zewnątrz słyszy osoby mówiące po chińsku. Ucieka. Ociekając wodą, szybkim krokiem oddala się ulicami oświetlonymi sztyldami otwartych klubów i czerwonymi latarniami wabiącymi turystów. Zostawia za sobą długie lata, które minęły od dnia, kiedy przyjął ofertę mężczyzny wzbudzającego strach. Był wtedy młodym chłopcem, ale zestarzał się jak pies na łańcuchu. Nareszcie koniec, myśli. Zerwał wreszcie ostatnią nić łączącą go z przeszłością.

Nie wie jeszcze, że się myli.

Na miejsce zbrodni przybywa policja, nazywana teraz ludowymi siłami milicji obywatelskiej Chin. Funkcjonariusze stwierdzają śmierć słynnej litewskiej pianistki oraz dwóch lokalnych przestępców znanych z powiązań z Triadą.

Ciało Kobiety zniknęło.

MAKSIM, KTÓRY W SWOIM życiu używał nazwisk Heinichen, Chiari i wielu innych, dawno zapomnianych, poprosił o papierosa, a Dante, nie spojrzawszy na niego, rzucił mu paczkę.

– Jak udało jej się uratować? – zapytała Colomba, przerywając przytłaczającą ciszę, która zapadła po wyznaniu Maksima.

– Niska temperatura spowalnia reakcje organizmu – wyszeptał Dante głosem jak zza grobu, bo opisana scena topienia obudziła jego wszystkie dawne fobie. – Znane są przypadki rozbitków, którzy przeżyli pod wodą znacznie dłużej.

– Powinienem był wpakować w nią cały magazynek, ale ledwo trzymałem się na nogach, a poza tym nie sądziłem, że to konieczne.

Maksim dopiero teraz zdał sobie sprawę, że się otworzył przed nieznanymi ludźmi. Po długim okresie całkowitego milczenia uwolnił się od uwierającego go ciężaru w całkiem naturalny sposób. *A niech to wszyscy diabli, już dawno powinienem był to zrobić.*

– Zajęło jej to cztery lata, ale w końcu mnie znalazła. Zrobiłaby to nawet wtedy, gdybym przebywał na końcu świata, a nie w Berlinie. Nawet gdybym był na wieży Eiffla, też by ją podpałiła.

– Zasłużyłeś sobie na to – powiedziała sina ze złości Brigitte. Miała taką minę, jakby zamierzała mu skoczyć do gardła. – To ty jesteś odpowiedzialny za to wszystko, co się później wydarzyło!

– Skąd miał pan pewność, że właśnie tak zareaguje? – zapytał Dante.

– A jak myślicie, czym ona się zajmowała, zanim znalazłem ją w Szanghaju? Pracowała jako kelnerka, co? – rzucił Maksim z pogardą. – Ścigałem ją przez ponad trzydzieści lat, a ona w tym czasie zajmowała się mordowaniem ludzi. Na zlecenie mafii i tych judaszy z FSB, kiedy sami nie chcieli brudzić sobie rąk. Bez żadnej wskazówki nie sposób było wpaść na jej ślad i dlatego zawsze przybywałem za późno. Rosja jest ogromna, a ona pracowała także poza granicami kraju. Kilka razy próbowałem nawet przekupić jakiegoś mafiosa, na którego usługach pozostawała, ale zawsze udawało jej się wymknąć.

– A dlaczego nie ścigał pan jej zaraz po tym, jak się pan dowiedział, że przeżyła? – drążyła Colomba.

– Po powrocie do Moskwy odkryłem, że moje nazwisko znajduje się na liście Potiejewa. Wiecie, o czym mówię?

– Tak – potwierdził Dante, a ponieważ zobaczył zdziwione miny pozostałych, wyjaśnił: – Aleksandr Potiejew był agentem CIA operującym w strukturach wywiadu zagranicznego Rosji. Przekazał Amerykanom nazwiska niektórych tajnych agentów działających w USA. Na przykład Anny Chapman.

– Nie wszystkie nazwiska przeniknęły do prasy, niektóre zostały utajnione – dodał Maksim. – A to oznaczało, że nad głowami tych pechowców zawisło znacznie poważniejsze niebezpieczeństwo niż zwykły proces. Prawdopodobnie dożywocie w jakiejś celi na końcu świata albo nawet bezimienny grób, oczywiście za porozumieniem obu stron.

– A pan należał do tej grupy – stwierdziła Colomba.

– No właśnie. Postanowiłem uciec, mając nadzieję, że tajne służby amerykańskie i rosyjskie nie zdecydują się na polowanie w wielkim stylu na takiego pionka jak ja. Myślałem, że jeśli będę siedział cicho, to wszyscy o mnie zapomną. Niestety, to Giltiné się na mnie uwzięła, a nie tajniacy.

– Jest pan pewien, że kobieta, którą próbował pan zabić w Szanghaju, i Giltiné to jedna i ta sama osoba?

– W klubie miała na sobie ogniotrwały kombinezon i maskę przeciwgazową, ale porusza się w charakterystyczny sposób, którego nie sposób zapomnieć. Widzisz ją w odległości dziesięciu metrów, a po sekundzie już czujesz, jak kopie cię w krocze. – Maksim wbił wzrok w sufit. – A poza tym nie byłem wcale pierwszy na jej liście.

– Kogo ma pan na myśli?

– Moi byli koledzy ginęli jak muchy. W pożarach, pod wodą, spadając ze schodów. Miałem wrażenie, że oglądam film dokumentalny o wypadkach domowych. Ale myślałem wtedy, że to ludzie z tajnych służb czyszczą teren.

– Dlaczego mieliby was eliminować? Co takiego wiedzieliście, co nie powinno nigdy wyjść na jaw?

– Puszka – powiedział Maksim.

– Co to jest?

– Miejsce, gdzie po raz pierwszy spotkałem Giltiné – wyjaśnił i pociągnął łyk wódki. – Więzienie. Najgorsze, jakie kiedykolwiek istniało na świecie.

MAKSIM PRZYLECIAŁ DO Kijowa na pokładzie wojskowego samolotu i wraz z pięcioma innymi komandosami skierowano go do ciężarówki, która ruszyła w noc po ośnieżonych ulicach. Był grudzień, temperatura spadła do piętnastu stopni poniżej zera, jak w Kabulu, ale przynajmniej nie musiał się obawiać, że wdepnie na minę lub dostanie kulkę w plecy.

Zawieziono ich do oddalonej od zamieszkanego terenu bazy wojskowej, położonej w środku lasu. Składała się ona z kilku baraków dla żołnierzy, stołówki oraz dwóch budynków przeznaczonych dla kadry oficerskiej. Za ogrodzeniem z drutu kolczastego, które dzieliło obszar na dwie części, znajdował się sześcian z szarego betonu wysoki na trzy piętra. Budynek ten miał tylko jedno wejście i żadnych okien ani szczelin. Jedynie otwory zapewniające przepływ powietrza. Nikt nie mógł tam wchodzić ani wychodzić bez specjalnego pozwolenia.

– Bez drzwi i okien? To znaczy, że więźniowie nigdy nie oglądali słońca? – zapytała Colomba.

– Nigdy. Nie byłem w środku, ale opowiadano, że w pomieszczeniach jest światło elektryczne, przynajmniej w wyznaczonych godzinach w ciągu dnia. Na nic więcej nie mogli liczyć. Osadzeni pochodzili z różnych więzień z całego Związku Radzieckiego, ale nie wiedzieliśmy, czy chodzi o politycznych, czy też o zwykłych przestępców, ponieważ w ich dokumentach nie było żadnych informacji. No i były tam też dzieci.

Dante, nie wiedząc nawet, jak to się stało, znalazł się dwa kroki od Maksima.

– Jak mogliście trzymać dzieci w takim koszmarnym miejscu?

– Ja o niczym nie decydowałem. Przeznaczono dla nich osobną sekcję. W całej Puszcze było pięciuset więźniów. W tym około pięćdziesięciorga dzieci.

– Czy one też nie mogły opuszczać z budynku?

Maksim nie odpowiedział, a Dante podszedł jeszcze bliżej. Pocił się obficie, a dłonie miał zaciśnięte w pięści.

– Wychodziły na zewnątrz? – powtórzył głosem przypominającym warczenie wściekłego psa.

– Nie, to była podróż w jedną stronę – wyjaśnił Maksim niechętnie, jakby się wstydził.

– Za co dzieci trafiały do tego piekła? – zapytała Brigitte.

– Nie wiem. Również z ich dokumentów usunięto wszystkie informacje. Nie sądzę jednak, aby przeniesiono je z jakiegoś innego więzienia. Były brudne i zabiedzone, nie miały mundurków.

– Puszka to nie jest prawdziwa nazwa tego ośrodka, mam rację? – dopytywał się Dante. – Jak on się nazywał?

– Duga-trzy.

Chociaż Dante domyślał się odpowiedzi, to mimo wszystko jeszcze bardziej się zdenerwował.

– Ale z was sukinsyny. Parszywe skurwiele.

– Możecie nam wyjaśnić, o czym mówicie? – włączyła się Colomba.

– Duga-trzy to jeden z najpilniej strzeżonych sekretów zimnej wojny – wyjaśnił Dante, otwierając i zaciskając miarowo zdrową dłoń. – Chodziło o bazę wojskową znajdującą się w odległości około stu kilometrów od Kijowa, na całkowitym odludziu. Związek Radziecki stanowczo zaprzeczał, że coś takiego w ogóle istnieje, ale NATO zlokalizowało strukturę, ponieważ emitowała sygnały zakłócające częstotliwości radiowe. Hałas przypominał rytmiczne stukanie dziecięcia. Nikt tak naprawdę nie znał przeznaczenia tej bazy. Mówiono, że na jej terenie zainstalowano system obrony przeciwrakietowej lub system HAARP, wywołujący sztuczne trzęsienia ziemi. A tymczasem to był łagier. Byłeś tam do końca, do ostatniego dnia, żołnierzu?

– Tak.

– Czyli do kwietnia osiemdziesiątego szóstego?

Maksim przytaknął.

Colomba próbowała przypomnieć sobie, co się wtedy wydarzyło. Wiedziała, że było to coś ważnego i okropnego, ale nie mogła dopasować konkretnego wydarzenia do daty.

– Kompleks Duga-trzy powstał w pobliżu Prypeci – ciągnął Dante. – Od dwudziestego szóstego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego jest to miasto widmo. Chociaż nie, tak naprawdę to od dwudziestego siódmego, ponieważ pierwszego dnia nikt nie poinformował mieszkańców o zagrożeniu. Dopiero później wysiedlono z tej okolicy około trzystu tysięcy ludzi. Niestety, część z nich została już skażona i wkrótce zmarła na skutek napromieniowania.

Colomba wreszcie przypomniała sobie, o jakim wydarzeniu mowa, ale to Brigitte odezwała się pierwsza.

– Czarnobyl – mruknęła.

Czarnobyl.

Puszka mieściła się niedaleko epicentrum największej katastrofy nuklearnej w historii ludzkości.

ANDREAS MUSIAŁ POZBYĆ się najpierw buta, aby wydobyć przedmiot ze schowka ukrytego pod tablicą rozdzielczą. Było to zadanie dla akrobaty, a nie dla człowieka, którego nogi przypominały raczej pnie drzewa. Dopiero za trzecim razem udało mu się zrzucić na brzuch zawiniętą w materiał paczkę, która zawierała zestaw kluczy i pięć małych wytrychów. Gdyby policja znalazła te narzędzia, mężczyzna nie uniknąłby nieprzyjemnych pytań, ale mimo to ryzykował, bo w przeszłości okazały się niezwykle przydatne.

W dziedzinie eskapologii Andreas nie miał co prawda takiego doświadczenia jak Dante, ale znał podstawy, a pozbycie się kajdanek jest o wiele łatwiejsze, niż się powszechnie uważa. Narzędzie to zostało wymyślone w celu unieruchomienia więźniów znajdujących się pod ścisłym nadzorem, niemających możliwości manewru. Tymczasem Andreas był sam i wykorzystał najbardziej rozpowszechniony sposób: mały metalowy klin. Wsunął go między zęby w kajdankach, po czym ścisnął, boleśnie gniotąc sobie przegub. Klin zablokował mechanizm zamka i kajdanki się otworzyły.

Andreas był wolny. Rozmasował obolały nadgarstek, rozglądając się dookoła. Przez tylną szybę samochodu widział cienie przesuwane za oknami willi.

Nie spuszczać wzroku z budynku, Andreas wsunął rękę do schowka i wyjął drugi ukryty tam przedmiot: czarny plastikowy kastet. Na końcówkach miał zamontowane dwie sterowane przyciskiem elektrody, produkujące wyładowania o sile miliona woltów przy niskim natężeniu. Wystarczało to, żeby unieszkodliwić dużego psa lub zrobić krzywdę człowiekowi. Poważną krzywdę.

Andreas powolutku otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

Z wnętrza dobiegały podniesione głosy. Wszystko wskazywało na to, że jego przeciwnicy zawzięcie o czymś dyskutują. Na samą myśl o tym, że nie może uczestniczyć w przesłuchaniu rzekomego nieboszczyka, zalała go żółć, ale uczucie to osłodziła mu myśl o nadchodzącej zemście. *Nikt nie*

może zabronić Andreasowi udziału w takim spektaklu. Co to, to nie! A ten, kto próbuje, źle skończy. Posuwał się skulony po najślabiej oświetlonych częściach ogrodu. Mimo okazałej tuszy poruszał się zwinnie i cicho.

Obszedł domek dookoła, przyglądając się oknom na piętrze. Były zbyt wysoko, a nie chciał się wspinać, żeby nie narobić hałasu. Idąc dalej, zobaczył na parterze mniejsze okno gilotynowe, które prowadziło do łazienki. Andreas odchylił maksymalnie dolną część i wsunął się w otwór. Jego tyłek okazał się jednak zbyt wielki na ten otwór i mężczyzna zaklinował się w oknie, rozrywając spodnie. Upadając na podłogę, skaleczył się w wargę. Nie zważając na krwawienie, znieruchomiał na chwilę, wstrzymując oddech ze strachu, że ktoś mógł usłyszeć hałas. Ale na korytarzu nikt się nie pojawił, a z salonu dobiegał niczym niezmacony głos Dantego perorującego tym swoim rozdrażnionym tonem, który tak bardzo działał Andreasowi na nerwy.

Mężczyzna podniósł się ostrożnie, ocierając zakrwawione usta. Nic poważnego, zapłacą mu również za to. Zdjął opadające spodnie i usiadł na brzegu wanny, nie mogąc oprzeć się pokusie, aby nacisnąć przycisk kastetu, wywołując wyładowanie elektryczne. Na moment oślepiające światło rozproszyło ciemności.

Już niedługo, pomyślał.

NIE KRYJĄC WZBURZENIA, Dante przemawiał z patosem, grożąc odpowiedzialnym za Czarnobyl okaleczoną ręką.

– Trzydzieści pięć ton paliwa jądrowego skaziło obszar w odległości trzech tysięcy kilometrów, wywołując setki tysięcy zgonów na skutek napromieniowania oraz miliony z powodu raka na całym świecie, chociaż oczywiście prawdziwe dane nigdy nie dotarły do opinii publicznej. I to nie tylko w Związku Radzieckim, ale również w krajach, których rządy wspierały lobby nuklearne. – Wbił wzrok w Maksima. – Jeśli Bóg istnieje, to musi mieć niesamowite poczucie humoru, biorąc pod uwagę, że jeszcze żyjesz.

– Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają – powiedział Maksim. – Jeden ze strażników znał kogoś w centrali i na wieść o katastrofie dostał szału. Próbował oddalić się bez pozwolenia. Wśród personelu wybuchła panika i osadzeni postanowili to wykorzystać. Widziałem, jak wychodzili, chudzi jak szczapy i bladzi jak śmierć, uzbrojeni w kije i broń, którą siłą zabrali strażnikom. Biegli w stronę ogrodzenia. Moi towarzysze zaczęli strzelać, a ja wykorzystując zamieszanie, uciekłem. Po co miałbym ich zabijać? Promieniowanie było tak silne, że wszyscy ryzykowaliśmy chorobą popromienną. Może nawet już byliśmy skażeni. Jednak zanim uciekłem, dostrzegłem dziewczynkę.

– Giltiné – sprecyzował Dante.

– Tak. Była jedyną nieletnią, której udało się zbiec. Pozostałe dzieci zamknięto lub zabito. Mniej więcej trzydzieścioro, ponadto żołnierzy i członków personelu, takich samych dezertersów jak ja. Tylko że ja dostałem szansę na życie. Miałem szukać uciekinierów. Niektórzy z nich okazali się trudnymi przeciwnikami, ale ona była najgorsza.

– Kto pana zwerbował?

– Teoretycznie jeszcze wojsko, ale szef nazywał się Biely. To on zarządzał Puską, był lekarzem wojskowym. Aleksander Biely. – Maksim pomyślał, że to nazwisko ciągle jeszcze budzi w nim strach; bał się tego człowieka nawet bardziej niż Giltiné. – A kiedy umarł... rozkazy nadal

przychodziły. Trudno to wytłumaczyć, ale tacy jak my przypominają ławice ryb. Wiemy, gdzie trzeba iść i co robić, ale nie znamy powodów.

– Oglądałam wideo z Czarnobyla – wtrąciła się Brigitte – i nie widziałam kompleksu przypominającego Puskę.

– Został rozebrany przez oddział „likwidatorów”, ten sam, który zajmował się zabezpieczeniem centrali po wybuchu. W tego typu jednostkach pracowały wtedy tysiące ludzi i większość z nich zmarła na chorobę popromienną. Tak samo jak strażacy, którzy jako pierwsi dotarli na miejsce katastrofy.

– A pan zgodził się ścigać więźniów, którzy próbowali się uratować – zauważył ponuro Dante.

– Ja byłem żołnierzem, a oni mordercami. – Maksim zapalił papierosa. – Biely przekazał mi ich kartoteki do wglądu. To byli seryjni zabójcy. Propaganda nie pozwalała, żeby o nich mówiono, bo *serial killer* to był amerykański problem, nie nasz. A tymczasem w raju robotników też trafiały się takie diabły wcielone.

– A ty kim jesteś? – zapytała Brigitte.

– Teraz już tylko wrakiem człowieka.

– Zapoznał się pan z dossier Giltiné? Kim ona jest? Jak się naprawdę nazywa? – zainteresowała się Colomba.

– Ona była wyjątkiem i chyba na zawsze nim pozostała. Nie została zamknięta w Puszcze, ona się tam urodziła.

– O Jezu.

Colomba myślała, że już dotknęła dna, a tymczasem przyszło jej zejść jeszcze stopień niżej. Dziewczynka, która urodziła się w więzieniu przeznaczonym dla seryjnych morderców i wśród nich dorastała. Czy można się dziwić, że chodzi po świecie i zabija?

Brigitte pobladła tak bardzo, że sama przypominała zjawę.

– To wasza wina, że Giltiné zamordowała mojego brata. Za to wszystko, co jej zrobiliście – krzyknęła Maksimowi w twarz.

– Nie mam zamiaru zaprzeczać, proszę pani.

– Jak udało jej się samej przeżyć na wolności? – kontynuowała przesłuchanie Colomba.

Maksim pociągnął spory łyk wódki i dopiero wtedy odpowiedział:

– Nie mam pojęcia. Od razu zgubiliśmy jej ślad. Myśleliśmy, że nie żyje. Dopiero po wielu latach dostaliśmy informację o kobiecie, która zabija na zlecenie, wybierając najkorzystniejsze oferty, także od FSB. Jak już wcześniej wspominałem, kiedy tylko udawało mi się ją zlokalizować i pojawiałem się na miejscu, jej już tam nie było.

– Jest coś, czego nie rozumiem – powiedział Dante. – Przecież reżim komunistyczny w końcu upadł. Dlaczego tak wam zależało na ujęciu Giltiné? Martwiliście się, że morduje niewinnych ludzi?

– Jasne, że nie. Chodziło o to, że poza mną i Białym tylko ona mogła zacząć opowiadać o Puszcze. A moje zadanie polegało na tym, aby zniszczyć ostatnie dowody na istnienie tego ośrodka.

– Pańscy nowi przełożeni mogli przecież zrzucić odpowiedzialności na poprzednią ekipę, tak jak to zrobili z czystkami Stalina. Po co tracić czas i energię?

Zanim Maksim zdążył odpowiedzieć, na scenę wkroczył Andreas.

A potem nie było już czasu na wyjaśnienia.

TO BRIGITTE WYCIĄGNĘŁA najkrótszą zapałkę, chociaż nawet nie wiedziała, że bierze udział w grze. Po prostu miała dość słuchania o morderstwach, spiskach i tajemnicach wojskowych i poszła do łazienki, żeby przemyć twarz. Myślała o bracie. Przypomniała sobie tamten ranek, kiedy ojciec zadzwonił z wiadomością. Płakał tak rozpaczliwie, że ona, wybudzona nagle ze snu, nie zrozumiała od razu, o czym mówi. Musiała się domyślać. *Absynthe. Gunther.*

Pożar.

Kiedy wreszcie zrozumiała, dostała mdłości. Skurcz był tak silny, że struga na wpeł przetrawionego jedzenia wystrzeliła niczym z tulei ciśnieniowej. Nie mogła ani normalnie oddychać, ani płakać.

Teraz też czuła się podobnie. Cudem trzymała się na nogach, gdy odkryła, że jej brat zginął tylko dlatego, że przypadkiem znalazł się na polu walki ofiary z jej prześladowcami. Kiedy Colomba napomknęła, że pożar mógł być wynikiem celowego podpalenia, Brigitte wpadła w złość, ale też poczuła ślepą nienawiść do nieznanego sprawcy, natomiast teraz odczuwała jedynie litość i obrzydzenie w stosunku do wszystkich zamieszanych w sprawę osób.

Otworzyła drzwi prowadzące na korytarz, zostawiając za sobą zimny, wyrachowany głos Maksima, który świadczył o potwornej obojętności wobec ludzkiej krzywdy. Potem uchyliła drzwi do łazienki, w absolutnych ciemnościach szukając po omacku wyłącznika. Kiedy weszła do środka, drzwi zamknęły się za nią. Pomyślała, że spowodował to przeciąg, bo okno było otwarte. Ale wtedy w słabym świetle padającym z ogrodu dostrzegła postać mężczyzny.

Andreas.

Zanim zdołała krzyknąć, napastnik uderzył ją kastetem w szyję. Brigitte zamachała rękami, łapiąc oddech, a kiedy wyładowanie elektryczne zneutralizowało układ nerwowy, nogi się pod nią ugięły i osunęła się na podłogę. Mężczyzna zaatakował ponownie od tyłu, zakrywając dłonią usta dziewczyny i przykładając urządzenie

obezwładniające do jej boku. Nie zwolnił przycisku, więc przepływ prądu spowodował, że stopy Brigitte zaczęły poruszać się w opętającym tańcu, a oczy latały nerwowo. Nigdy wcześniej nie doświadczyła tak intensywnego bólu, ale nie mogła nawet krzyknąć. Jęczała tylko cicho pod duszącym ją, ogromnym łapskiem Andreasa. Spróbowała go ugryźć, a wtedy on chwycił ją za włosy i uderzył twarzą w lustro z taką siłą, że posypało się szkło. Brigitte poczuła, jak łamie się jej nos.

– Parszywa dziwko – szepnął jej do ucha Andreas, wciskając jej kastet między nogi i uruchamiając urządzenie. – Dobrze ci, co?

Brigitte zapadła w ciemność, myśląc, że umiera.

Kiedy odzyskała przytomność, znajdowała się już w jadalni. Czowała stalowe ramię Andreasa wokół szyi i coś, co wbijało jej się w skórę. Był to odłamek szkła z rozbitego lustra, wielkości kawałka tortu; Andreas przyłożył go do jej szyi tuż nad obojczykiem.

– Jak nie będziecie słuchać, to poderżnę gardło tej małej kurwie – powiedział.

Colomba stała naprzeciwko i mierzyła w nich z pistoletu, przygryzając dolną wargę. Dante znieruchomiał na swoim miejscu przy oknie.

Andreas miał podbródek umazany krwią. Krew ciekła mu też z ręki, w której trzymał kawałek szkła owinięty papierem toaletowym. W samych majtkach wyglądał zarazem strasznie i groteskowo.

– Zostaw ją – odezwała się Colomba. – Albo zginiesz.

– Jeśli jesteś pewna, że mnie zabijesz, to strzelaj! Ale uważaj, bo jeśli chybisz, to nic jej nie uratuje.

Objął Brigitte jeszcze mocniej i dziewczyna z obrzydzeniem poczuła na pośladkach jego twardniejący członek.

– Może przelecę ją, kiedy będzie umierała. Zawsze zastanawiałem się, jakie to uczucie.

Przesunął językiem po jej szyi, a Brigitte otrząsnęła się przerażona.

– Spierdalaj – powiedziała.

Mężczyzna zaczął się o nią ocierać.

– Coraz bardziej mnie podniecasz – wysapał.

Maksim przyglądał mu się z kanapy, mrużąc zdrowe oko.

- Znałem wielu takich zboczeńców jak ty.
- Naprawdę? I jacy oni byli?
- Kiedy ich ostatni raz widziałem, to martwi.

Andreas zarechotał nieprzyjemnie i ponownie zwrócił się do Colomby.

– Szkoda, że te czasy już dawno minęły, co? Masz trzy sekundy, potem zaczynam ciąć.

Colomba przeniosła na moment wzrok na Dantego, który lekko skinął głową. Był pewien, że Andreas spełni groźbę. Colomba położyła pistolet na podłodze i kopnęła go pod stary kredens, tak aby Andreas nie mógł go podnieść.

– I co teraz? – zapytała.

– Teraz się dogadamy – powiedział, ciągle przyciskając kawałek lustra do szyi Brigitte. Z kilku niewielkich ran sączyła się krew. – Szanse na to, że tacy nieudacznicy jak wy zdołają pojmać Giltiné, są tak niewielkie, że nie mam zamiaru brać ich pod uwagę. A to oznacza, że nie mogę jej drażnić, dopóki nie wykończy się z powodu tego świństwa, które ukrywa pod bandażami.

– Jakie masz plany?

– Najchętniej pozbyłbym się ciebie i twojego autystycznego przyjaciela – wyjaśnił Andreas. – Ale to dość skomplikowane. Sądzę, że powinniśmy na koniec razem zrobić coś fajnego, a potem każdy pójdzie swoją drogą.

– Chcesz zabić Maksima? – zapytał Dante.

– I myślisz, że my się na to zgodzimy? – dodała z niedowierzaniem Colomba.

– Z punktu widzenia Andreasa takie rozumowanie jest jak najbardziej logiczne – powiedział Dante. – Wspólny sekret powstrzyma nas przed wydaniem się nawzajem policji. A Giltiné straci powód, żeby się na nas mścić.

– No widzisz, jak chcesz, to umiesz logicznie myśleć – ucieszył się Andreas, mrugając porozumiewawczo.

– Twój plan ma tylko jeden słaby punkt – ciągnął Dante. – Maksim się z nim nie zgadza.

Andreas odwrócił się w stronę mężczyzny, tak jak zaplanował to Dante, a były wojskowy rzucił mu w twarz butelkę z wódką. Szkło rozbiło się w drobny mak. Pomieszany z krwią alkohol dostał się do oczu, piekąc przeraźliwie. Andreas zachwiał się, tracąc na chwilę równowagę. Brigitte natychmiast to wykorzystała, żeby uwolnić się z jego uścisku. Andreas zaś rzucił się na Maksima, wymierzając cios dłonią uzbrojoną w kawałek szkła. Wbił go z całą siłą w gardło przeciwnika. Jego pięść zniknęła w ranie. Kiedy ją wyciągnął, wszyscy usłyszeli bulgot, a z rany trysnęła fontanna krwi, zalewając zarówno ofiarę, jak i napastnika.

Padając na plecy, Maksim ze zdziwieniem zauważył, że nic nie czuje. Żadnego bólu ani nawet zwykłego swędzenia jak na bliznach po oparzeniach. Wydało mu się, że pomieszczenie zalało światło słoneczne, a stojące obok osoby zastygły w ostatnich pozach. Colomba chwyciła krzesło, a Dante biegł z zamkniętymi oczami w stronę Andreasa, który śmiał się rubasznie z szeroko otwartymi ustami.

Światło powoli się rozpraszało, a Maksim wrócił do przeszłości. Teraz nie znajdował się już w willi w Ulm, ale w ogarniętym pożarem klubie Absynthe pod stosem cegieł, które ocaliły mu życie. Chwilę potem przeniósł się do Berlina, gdzie pozbawiony środków do życia krążył po ulicach, wpadając w popłoch za każdym razem, gdy jakiś nieznajomy spojrzał nań z ciekawością. Potem były jeszcze dom publiczny w Szanghaju, Hiszpania, Moskwa, Puszka, Kabul i towarzysze z oddziału, a wreszcie kurs przygotowawczy specnaz.

Ostatni, najbardziej realny obraz pochodził z Kaługi. Maksim zobaczył swego ojca, jak się żegna z nim i jego braćmi, wychodząc do pracy w zakładzie szklarskim, i zrozumiał, co się naprawdę liczy. Spróbował unieść dłoń w geście pozdrowienia, ale nie znalazł ani ręki, ani reszty ciała, ponieważ te przeżycia były ostatnimi iskrami gasnącego umysłu, trwającymi zaledwie ułamek sekundy.

— O KURWA! NIE!

Colomba uderzyła Andreasa krzesłem w plecy, ale nie udało jej się powtórzyć efektu butelki. Mężczyzna walnął ją pięścią w twarz

i policjantka upadła na stół. Dante zaatakował z zamkniętymi oczami i pochyloną głową, a w odpowiedzi dostał w podbródek ostatnią dawkę prądu z kastetu, w którym rozładowała się właśnie bateria. Fiknął koziołka i wylądował na podłodze, przebierając nogami w powietrzu.

Andreas złapał szyjkę butelki, która przetrwała w nienaruszonym stanie, i rzucił się na Colombę, ale Brigitte zdążyła go popchnąć. Zaskoczony grubas stracił równowagę i opadł na czworaka na podłogę. Odłamki szkła wbiły mu się w dłoń i zawył z bólu. Poderwał się, nie tracąc czasu, i łokciem wymierzył Colombie cios w okolice mostka. Łapiąc rozpaczliwie powietrze, przetoczyła się po pełnej szkła podłodze; chciała się usunąć z zasięgu jego rąk. Wtedy Andreas zwrócił się ku Brigitte i przyciągnął ją do siebie. Trzymając dziewczynę za gardło, wyprostował się i odepchnął ją z całych sił.

Brigitte przeleciała przez pokój i uderzyła o krawędź kominka, a ostry ból pleców jak błyskawica przeszył jej ciało, docierając aż do karku. Zwiotczała i osunęła się na kolana, a Andreas rzucił się, żeby ją wykończyć. Na szczęście nie zdążył, bo Dante, czołgając się, w desperacji chwycił go za kostkę obiema rękami. Andreas wyswobodził się gwałtownym ruchem i kopnął natręta w żołądek, odrzucając go kilka metrów od siebie.

Colomba zdołała się podnieść i teraz oboje mierzyli się wzrokiem z przeciwnych stron stołu jak psy, które szykują się do walki. Twarz mężczyzny przypominała krwawą maskę, spod porozrywanego ubrania wylaniało się zwiotczone ciało, a z jego ust wydobywały się przekleństwa i obelgi w ojczystym języku.

– Chodź tu – wysyczała Colomba.

Owinęła pasek od spodni wokół pięści. Jej oczy przybrały kolor intensywnej zieleni i mężczyzna na chwilę stracił odwagę. Potem odwrócił się zniemacka i ruszył biegiem w stronę kredensu. Zapamiętał miejsce, gdzie trafił pistolet. Ponieważ nie sposób było go osiągnąć, gdyż leżał pod samą ścianą, Andreas przewrócił mebel; talerze i szklanki posypały się na podłogę. Wśród kurzu i skorup leżała beretta. Mężczyzna podniósł broń i odwrócił się z triumfującym uśmiechem na ustach.

– I co ty na to, wredna dziwko? – zwrócił się do Colomby.

Policjantka zaczęła powoli przesuwać się tyłem w stronę drzwi wejściowych i wpadła na wieszak z wierzchnimi okryciami. Andreas wymierzył w nią pistolet, który w jego olbrzymim łapsku wyglądał jak zabawka.

– Słyszałem, że jeśli dostanie się kulkę w brzuch, to śmierć jest powolna. A wszystko dlatego, że gówno zaczyna krążyć we krwi.

Dante zdołał podnieść się na kolana i krzyczał, wymachując rękami.

– Andreas! Okej, wygrałeś! Zrobimy, jak chcesz!

– Zamknij się, debil, i poczekaj na swoją kolej. – Mężczyzna oblizał wargi. – No to jak, pierdolona glino, żałujesz, że dałaś mi się we znaki? – Postąpił krok naprzód. – Nie możesz się doczekać, żebym cię przeleciał, co? – Zrobił kolejny krok w stronę przygwożdżonej do ściany Colomby przykrytej kurtkami, które spadły z wieszaka. – Jak sprawisz przyjemność mojemu dorodnemu koniowi, to może potraktuję łagodniej twoich przyjaciół. Co ty na to? Umowa stoi?

– Nie – powiedziała Colomba i nacisnęła spust rewolweru Maksima, tkwiącego cały czas w kieszeni jego kurtki, modląc się, aby ten złom nie eksplodował jej w ręce.

Cztery kule utkwiły w piersi i brzuchu Andreasa, a on uniósł ramiona niczym goryl, po czym padł na wznak, strącając półkę z nad kominka i waląc głową w podłogę.

Brigitte znalazła się pod kawałkami drewna i tynku. Upadła na twarz Andreasa. Denat miał otwarte usta, z których wystawał nabrzmiąły wiśniowy jęzor.

Dziewczyna krzyknęła ze strachu i z obrzydzenia.

O DRUGIEJ NAD RANEM Dante wyszedł z domu i dołączył do Colomby siedzącej na przednim kole deloreana. Brigitte brała prysznic, z nadzieją, że ciepła kąpiel pomoże jej dojść do siebie. Dziewczyna była w szoku i Dante próbował temu zaradzić, pojąc ją koniakiem znalezionym w jednej z szafek. Oparł się o drzwi auta i zapalił papierosa.

– Wszystko w porządku?

– Właśnie zabiłam człowieka, Dante. Nie zadawaj głupich pytań – odpowiedziała Colomba zrezygnowanym głosem.

– To była obrona konieczna.

– Jesteś pewien?

Dante spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Tylko ja wiem, co czułam, naciskając spust. Chciałam go zabić. Chciałam zgasić ten okrutny uśmiezek na jego twarzy, chciałam, żeby zniknął z powierzchni ziemi. A kiedy zginął...

– Poczulaś się jak morderca.

– No właśnie.

– Uwierz mi, nie jesteś zabójcą. No, może technicznie tak, ale jestem pewien, że nie mieliśmy wyjścia. Już wcześniej powinnaś go zlikwidować.

Colomba pokręciła głową i poczuła ból.

– Powinnaś być zostawić to śledztwo kolegom albo przekazać Andreasa niemieckiej policji.

– Dobrze wiesz, że na nic by się to zdało.

– „Ślubuję dochować wierności Republice, przestrzegać Konstytucji i obowiązującego prawa i wykonywać obowiązki służbowe w interesie dobra publicznego” – wyrecytowała Colomba. – Wiesz, co to jest, Dante?

– Najbardziej zwięzły hymn, jaki kiedykolwiek słyszałem.

– To moje ślubowanie, które wygłosiłam, wstępując do policji – powiedziała łamiącym się głosem. – Zawsze starałam się go przestrzegać. Wierzyłam, że ma sens. Potem zaczęłam naginać zasady i łamać prawo. A teraz... – Pokręciła głową i odetchnęła głęboko. – Muszę zgłosić się na policję.

– Gdybyś nie była tak oszołomiona, przypomniabym ci, że Andreas był bardzo znanym pisarzem i nikt nie uwierzy w naszą wersję wydarzeń.

– To co według ciebie powinniśmy zrobić? Zakopać gdzieś ciała?

– Nie, wystarczy ukryć nasz udział w sprawie – zasugerował Dante ostrożnie. – Dom został wynajęty na nazwisko Andreasa, a zastrzeliłaś go z broni Maksima. Mogli się pokłócić, bo Maksim odmówił wyjawienia mu jakiegś złotej tajemnicy Stasi.

– Nie mogę kłamać w sprawie zabójstwa, Dante! – krzyknęła Colomba. – Nie chcę upaść aż tak nisko!

– To jest najlepsze rozwiązanie.

– No pewnie! – Colomba zaczęła bębnić palcami po masce samochodu. – Ciała jeszcze nie ostygły, a ty już dokładnie zaplanowałaś, jak się z tego wykręcić. Interesuje cię tylko to, jak ocalić własną skórę.

– A co, może powinienem skończyć w Puszcze razem z innymi maniakami?

– Nic takiego nie powiedziałam!

– Ale pomyślałaś! – Dante zapalił kolejnego papierosa od niedopałka. – Jeśli skończymy w więzieniu, to kto zatrzyma Giltiné? Nie pomyślałaś o tym?

– Prędzej czy później zrobią to koledzy Maksima.

– Wątpię, żeby jeszcze jacyś zostali. A nawet jeśli... to w ten sposób zniszczą ostatniego naocznego świadka z Puszeki.

– Czy to takie ważne?

– Tak, CC. Giltiné jest nie tylko katem, ale również ofiarą. A ofiary potrzebują, żeby ktoś ich wysłuchał.

Dante zreflektował się, że powiedział za dużo, i zamilkł, a Colomba nie wiedziała, jak przerwać niezręczną ciszę. Stali tak oparci o samochód i wpatrywali się w niebo nad wierzchołkami drzew. W tej okolicy nie było zbyt dużo światła i Droga Mleczna wyraźnie rysowała się na tle granatowego sklepienia. Obserwowali ją oboje, aż nasycili oczy, próbując przy tym zapomnieć o koszmarze, który czekał na nich w willi.

– Musimy usunąć nasze odciski palców i DNA z ciał ofiar – powiedziała Colomba jak we śnie. – W całym domu pełno jest śladów... To niemożliwe.

– Chyba że skorzystamy z metody Giltiné. Posprzątam, a potem wszystko podpalimy. W końcu Maksim już wzniecił pożar w hotelu. Będzie wyglądało na to, że i tu się do tego przymierzał, kiedy Andreas go zaskoczył.

– Chcesz spalić dom należący do Bogu ducha winnego człowieka?

– Właściciel na pewno jest ubezpieczony. Tylko ostatni naiwniak wynajmuje dom przez Internet i nie wykupuje ubezpieczenia. A poza tym, biorąc pod uwagę cały ten koszmar, pożar można przeboleć.

– Jasne, to tylko kolejne przestępstwo... – zauważyła z niesmakiem Colomba.

– Dzięki temu zyskamy na czasie. Ile dni?

Policjantka zastanowiła się przez chwilę.

– Niemieccy funkcjonariusze zaczną śledztwo od rodziny i przyjaciół, potem skupią się na ostatnich kontaktach. We Włoszech nasze nazwiska wzbudziłyby podejrzenia, ale tu wszystko zajmie zdecydowanie więcej czasu. Potem będą musieli zwrócić się do naszych władz... Jak wszystko pójdzie zgodnie z planem, to mamy jakieś dwa tygodnie spokoju. A potem... kto wie, co się wydarzy? Może nigdy nie wpadną na nasz trop?

– Chyba zasługujemy na trochę szczęścia od czasu do czasu?

– A od kiedy uważasz, że na świecie istnieje sprawiedliwość? – Colomba była gotowa do działania. – No już, rusz dupsko.

CZASAMI OGIEŃ KONSERWUJE ślady i nawet po pożarze można znaleźć ocalałe materiały, które zawierają DNA, podobnie jak owady uwięzione w bursztynie. Zanim podłożyli ogień, postanowili zrobić gruntowne porządki. W schowku znaleźli płyny i proszki i podzielili się pracą. Dante zajął się porządkowaniem ogrodu, a Colomba przy pomocy Brigitte zaczęła dokładnie sprzątać poszczególne pomieszczenia. Umyły w wannie zakrwawione odłamki szkła i porozrzuciły je ponownie po podłodze. Kiedy przyszła kolej na zwłoki, Brigitte nie wytrzymała napięcia, dostała mdłości i uciekła na zewnątrz. Colomba umyła ręce Andreasa i usunęła wszystkie ślady organiczne z za jego paznokci, po czym ponownie pobrudziła je krwią, żeby technicy nie zauważyli manipulacji.

Podczas tego nieprzyjemnego zajęcia oczami wyobraźni zobaczyła, jak mężczyzna ożywa, podnosi się i rzuca na nią, próbując udusić. Wrażenie było na tyle realne, że pociągnęło za sobą lekki atak paniki. Andreas się nie poruszył, ale jego cień drżał w świetle żyrandola i Colomba poczuła, że zaczyna jej brakować powietrza. Przygryzła wargę, zacisnęła pięści i wróciła do pracy. To, że w trakcie bójki nie straciła panowania nad sobą, uznała za jedyny pozytywny epizod minionego dnia.

Potem poodkurzały dywan i podłogę, żeby zebrać włosy. Wyjęły worek i umyły filtr, a na koniec włożyły nową torebkę i jeszcze raz uruchomiły odkurzacza. Reszkę koniaku rozlały po podłodze, co miało wyglądać, jakby ktoś przesadził z toastem. Razem z Dantem ułożyli zwłoki w pozycji, która miała uwiarygodnić przyjętą wersję, według której śmiertelnie ugodzony Andreas zdołał jeszcze rozerwać Maksimowi szyję. W dłoń Maksima włożyli stary rewolwer. Porozrzucali kawałki porcelany i szkła, a wraz z nadejściem świtu, mimo że byli wyczerpani i na skraju załamania nerwowego, uznali, że scena wygląda przekonująco.

Pozostawał jeszcze jeden problem, a mianowicie jak po podpaleniu willi zmieścić się w trójkę w dwuosobowym samochodzie, i w końcu zdecydowali, że Colomba zabawi się w kierowcę i odwiezie najpierw Brigitte na dworzec w Augsburgu, mieście położonym najbliżej, oczywiście nie licząc Ulmu.

Dante i Brigitte usiedli na ławce w ogrodzie, starając się nie dotykać niczego rękami. Chcieli pożegnać się spokojnie na osobności. Dante zachowywał się normalnie, chociaż z trudnością panował nad emocjami mimo końskiej dawki benzodiazepiny, którą się nafaszerował. Natomiast Brigitte była wykończona i apatyczna.

– Mam tylko jedną wątpliwość – powiedziała. – Jak Maksim domyślił się, że po niego idziemy?

– Miał radar, a nasze krótkofalówki narobiły trochę hałasu. Wyjaśnił to CC, kiedy prowadziła go do toalety.

– Sztuczki starego szpiega.

– No właśnie.

– Jakie macie teraz plany?

– Wracamy do Włoch. Potem będziemy musieli wyruszyć prawdopodobnie na koniec świata za Giltiné.

– Na początku będzie mi trudno samej. Tylko z tobą i z Colombą mogę rozmawiać o tym, co się wydarzyło. – Odgarnęła tłusty, splątany kosmyk włosów. – Boję się koszmarów. I więzienia.

– Jeśli chodzi o areszt, to możesz być spokojna. Nic cię nie łączy z Maksimem ani Andreasem, a my zaprzeczmy, że kiedykolwiek się spotkaliśmy. Ale lepiej przygotuj usprawiedliwienie dla siniaków na twarzy. Najlepsza będzie awantura z jakimś pijakiem w Automatiku.

– Dobra, coś wymyślę.

– A co do koszmarów... Używasz Snapchata?

– Nie jestem ze średniowiecza.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu ludziom musiałem tłumaczyć, o co chodzi. Znajdziesz mnie pod nazwą Moka sto czterdzieści jeden. Możesz do mnie pisać i dzwonić nawet w środku nocy. Tylko nie używaj innych aplikacji. Jeśli znajdziesz się w tarapatach, daj mi znać, a natychmiast do ciebie przyjadę. *Jak tylko znajdę kogoś, kto mnie podwiezie.*

Dziewczyna skinęła głową.

– Obiecaj, że będziesz mnie informował o postępach w sprawie.

– Daję słowo. Bardzo cię bolą te siniaki?

– Trochę. A czemu pytasz?

Dante pocałował ją i było to zdecydowanie coś więcej niż przyjacielski całus na pożegnanie. W konsekwencji oboje poczuli się znacznie lepiej.

Wreszcie Brigitte wsiadła do deloreana. Jej torba podróżna już leżała w bagażniku. Pięćdziesiąt minut później Colomba zatrzymała się w jednej z bocznych uliczek prowadzących do dworca kolejowego. Nie podjechała pod samo wejście, nie chcąc ryzykować, że ktoś zapamięta oryginalny samochód.

– Przykro mi, że musiałaś przez to przejść – powiedziała na pożegnanie.

– To ja nalegałam, żeby z wami przyjechać. Teraz przynajmniej wiem, dlaczego zginął mój brat. To niewielkie pocieszenie, ale nieco porządkuje moje życie.

Podaly sobie ręce, a potem objęły się i ucałowały w oba policzki.

– Dziękuję za wszystko – dodała Colomba.

– Bardzo cię proszę, dbaj o Dantego – powiedziała na koniec Brigitte.

I zrobiła to takim tonem (ze smutkiem? z przejęciem?), że Colomba mimo przekonania, iż dziewczyna jest lesbijką, poczuła dziwne ukłucie zazdrości. Pozbyła się tego uczucia dopiero na widok pierwszego błysku ognia z domu podpalonego za pomocą benzyny wydobytej z baku samochodu Andreasa. Zostawili butelkę koło ciała Maksima i uciekli do zaparkowanego dwa kilometry dalej DeLoreana. Kiedy się odwrócili się, by zobaczyć swoje dzieło, niebo nad posiadłością zakrywał gęsty, czarny dym.

Obojgu przyszedł na myśl wybuch reaktora jądrowego w Czarnobylu.

FRANCESCO WYLĄDOWAŁ NA lotnisku Marca Polo w Wenecji o godzinie dziesiątej rano, a czekający przy wyjściu ochroniarz w granatowym garniturze zaprowadził go do przycumowanej przy moło motorówki. Na pokładzie w drodze do hotelu La Rosa na Campo San Polo kelner podał mu kieliszek szampana. Budynek znajduje się w centrum miasta obleganego przez turystów. Nieprzebrane tłumy przechodniów zapełniają uliczki i modne sklepy, a mimo to hotel okazał się oazą spokoju wychodzącą na Canal Grande. Francesco przyjął otaczający go luksus z zadowoleniem, nie dziwiąc się nawet na widok butelki szampana Krug w pojemniku z lodem, którą zastał w kajucie. Obok leżała koperta w kolorze kości słoniowej ze znanym mu znakiem wodnym przedstawiającym most. W środku było zaproszenie podpisane akronimem COW.

Otworzywszy okno, wdychał zapach słonej wody i ropy, a zaproszenie, które obracał w palcach, odbijało promienie słońca. Było jak złoty bilet Willy'ego Wonki, gwarantowało wstęp do lepszego świata.

Konsjerż zadzwonił z informacją, że ktoś chce się z nim widzieć, i Francesco zgodził się na przyjęcie gościa. Po chwili stanął twarzą w twarz z około sześćdziesięcioletnim mężczyzną w szarym garniturze, który najpierw zlustrował go od stóp do głów, a dopiero potem wyciągnął rękę na powitanie.

– Nazywam się Mark Rossari – powiedział.

– To pan odpowiedział na mój telefon, prawda?

– Tak. Jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo. Proszę przyjąć kondolencje. Przykro mi z powodu śmierci pańskiej matki. Przez długi czas miałem przyjemność z nią pracować.

– Dziękuję.

Francesco nie do końca wiedział, jak się zachować wobec tego mężczyzny, który był częścią życia jego matki, a o którego istnieniu jeszcze kilka dni wcześniej nie miał zielonego pojęcia.

Rossari usiadł na kanapie, nie czekając na zaproszenie swego gospodarza.

– Chciałbym omówić z panem zasady obowiązujące w trakcie spotkania z fundatorem stowarzyszenia.

– Jakie zasady?

– Mam na myśli reguły dotyczące pańskiego zachowania. – Rossari był spokojny i czujny zarazem, a jego żywe oczy w tym momencie wpatrywały się w Francesca. – Spotkanie odbędzie się po kolacji w ustronnej części budynku, niedostępnej dla gości, którzy nie należą do zarządu. Będzie pan musiał oddać telefony i inne urządzenia elektroniczne moim ludziom i zostanie pan przeszukany.

– W porządku.

– Proszę nie zbliżać się do prezesa ani nie podawać mu ręki. Zabroniony jest jakikolwiek kontakt fizyczny, a próba naruszenia tej zasady spowoduje natychmiastowe przerwanie spotkania i zakończenie pana współpracy ze stowarzyszeniem.

Francesco dotykał nerwowo odstającej skórki przy paznokciu kciuka.

– Jak rozumiem, to spotkanie jest czymś więcej niż zwykłą formalnością? To egzamin, prawda?

– Raczej ocena. Jeśli mogę coś radzić, to proszę odpowiadać szczerze na wszystkie pytania.

– A co się stanie w przypadku, gdy ocena... prezesa będzie negatywna? – zapytał Francesco, który miał wrażenie, że kartka z zaproszeniem straciła swój intensywny blask.

– Poprosimy pana o zachowanie tajemnicy na temat spotkania i wszystkiego, co dotyczy stowarzyszenia.

– O to proszę się nie martwić.

– Absolutnie nie mamy zamiaru się niepokoić – rzekł Rossari, a sposób, w jaki wypowiedział te słowa, sprawił, że Francesco poczuł dreszcz na plecach. – Prezes zaprosił pana na to spotkanie w uznaniu dla działalności pana matki, chcąc w ten sposób podkreślić, jak bardzo jej ufał. W przeciwnym razie pańska kandydatura nie zostałaby nawet wzięta pod uwagę. Proszę o tym pamiętać.

– Tak, oczywiście... niemniej jednak moja matka zginęła tak nagle, że nie zdążyła wprowadzić mnie w arkana swej działalności

w stowarzyszeniu. Po przeczytaniu dokumentów, które mi zostawiła, mam tysiące pytań.

Rossari, który już zbierał się do wyjścia, ponownie rozsiadł się wygodnie na sofie.

– Prezes powie panu wszystko, co powinien pan wiedzieć.

– Dobrze, ale nie chciałbym wyjść na głupca. Mógłby mi pan powiedzieć coś więcej na temat stowarzyszenia i jego działalności? Wtedy czułbym się trochę pewniej. Chyba że uważa pan, że to nieodpowiednie miejsce na takie rozmowy – dodał nerwowo. – Mam na myśli bezpieczeństwo...

– Oczywiście sprawdziliśmy pokój przed pańskim przybyciem – wyjaśnił Rossari zdziwiony, że Francesco mógł mieć co do tego wątpliwości. – Proszę dać mi telefon.

Kiedy Francesco wypełnił polecenie, mężczyzna zamknął aparat w lodówce.

– Teraz zamierza mnie pan przeszukać?

– Nie potrzeba, nie ma pan na sobie mikrofonów. Już na motorówce sprawdziliśmy zarówno pański bagaż, jak i pańską osobę.

Francesco poczuł się urażony. Rozumiał ostrożność, ale to, że został przeszukany bez ostrzeżenia, sprawiało, iż czuł się, jakby naruszono jego nietykalność osobistą.

– Przecież mogłem założyć sobie odpowiedni sprzęt w drodze z motorówki do hotelu – powiedział, próbując sprowokować przeciwnika.

Rossari uśmiechnął się po raz pierwszy od czasu przekroczenia progu pokoju.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo nie ma pan dość odwagi, żeby to zrobić, chociaż jest pan na tyle inteligentny, żeby o tym pomyśleć – wyjaśnił Rossari tonem hydraulika, który informuje, dlaczego odpływ się zatkał.

Francesco miał ochotę odpowiedzieć w ten sam sposób, ale wiedział, że to nie jest najlepszy pomysł, i zrezygnował.

– Może mi pan pomóc czy nie? – powiedział tylko.

Rossari pokiwał głową.

– Co prawda to nie moja działka, ale... Czy mówi panu coś pojęcie „neurologia”?

COLOMBA OBUDZIŁA SIĘ w samochodzie na parkingu w Chiasso niedaleko granicy włoskiej. Chociaż była cała obolała, to czuła się mniej zmęczona, a kiedy spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest prawie południe, zrozumiała powód. Przespała dwie godziny, a nie pół, jak zamierzała, kiedy prosiła Dantego, aby ją obudził. Dostrzegła przyjaciela siedzącego na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Czytał coś na tablecie, a wokoło leżały niedopałki papierosów.

Colomba otworzyła drzwi, które skrzypiąc, uniosły się w górę na automatycznych zawiasach, i wysiadła, aby rozprostować kości. Dante sprawiał wrażenie, jakby całkiem o niej zapomniał, i nie odrywał wzroku od ekranu. Używając połączenia wi-fi, przeglądał strony internetowe.

– Ej! – zwołała Colomba. – Masz ochotę na kawę? Ja muszę skoczyć do toalety.

Dante wskazał jej budkę znajdującą się za plecami, nie odrywając przy tym wzroku od tabletu.

- Tam jest toaleta. A kawę sam ci zrobię.
- Wolałabym jakiś parking z barem.
- Toalety są czyste. Pięć gwiazdek na stronie Trip Advisor.

Colomba nie miała czasu na dyskusję. Kiedy wróciła, Dante zdążył już uruchomić elektryczną maszynkę do kawy, a odgłos bulgotania wskazywał, że napój zaraz będzie gotowy.

– Zrobiłem ci normalną arabikę, żebyś nie marudziła – powiedział z roztargnieniem. Co prawda odłożył tablet na siedzenie, ale jego błędny wzrok świadczył, że ciągle jeszcze myślami jest gdzie indziej. – Jak chcesz, to możemy jechać dalej. Ale ja wolałbym jeszcze trochę poczekać. Nie za dobrze się czuję.

Wyglądał gorzej niż wtedy, gdy musiał przesuwać zwłoki w willi na peryferiach Ulm.

- Co ci jest?
- Najpierw napijmy się kawy, okej? – powiedział drżącym głosem.

Dante wypalił przy okazji kilka papierosów i dopiero po dłuższej chwili zaczął mówić.

– Wiesz, dlaczego Pawłow nie dostał Nobla po raz drugi? – zapytał.

Colomba zupełnie się tego nie spodziewała.

– Zachowujesz się tak z powodu Pawłowa?

– Tak – potwierdził. – Zadałem ci pytanie. Wiesz czy nie?

– Nie pamiętam nawet, że kiedykolwiek dostał Nobla. Wiem tylko, że to ten od psów.

– Tak, ten od psów... – powtórzył zniecierpliwiony Dante. – Iwan Pietrowicz Pawłow. Co wiesz o jego eksperymentach?

– Jak nie przestaniesz, to zarobisz kopa w dupę. Nie jesteśmy w szkole.

– Wiesz coś czy nie?

Colomba zmusiła się do zachowania spokoju.

– Z tego, co pamiętam, to Pawłow włączał dzwonek podczas karmienia psów. I stwierdził, że po jakimś czasie psy śliniły się na sam dźwięk dzwonnka, nawet jeśli nie było jedzenia. Na tej podstawie sformułował teorię odruchów warunkowych. Jest pan zadowolony, profesorze? Zasłużyłam na dobrą ocenę?

– Mnie też tak uczyli – powiedział Dante z goryczą. – Na kursach wieczorowych. Wyobrażałem sobie psy podskakujące radośnie przy pustych miskach. A tymczasem one wcale nie podskakiwały.

– Dlaczego?

– Ponieważ Pawłow w celu pomiaru ilości substancji wydzielanej przez ślinianki chirurgicznie otwierał kanaliki, aby ślina spływała bezpośrednio do pojemników z miarką. Robił im dziurki... – dotknął policzka – w tym miejscu. Był z niego prawdziwy mistrz wiwisekcji.

– Nie rozumiem, jaki to ma związek z naszą sprawą. Przecież minęło już sto lat, nie możemy zgłosić tego do towarzystwa opieki nad zwierzętami.

– Pawłow prowadził swoje doświadczenia nie tylko na psach.

Colomba prychnęła.

– Przestań, Dante, na litość boską...

– To wszystko prawda. Istnieją dokumenty, a nawet stary film pokazywany przez BBC. Ściągnąłem go z sieci, chcesz zobaczyć?

– Nie, dziękuję. Jesteś pewien, że eksperymentował na ludziach?

– Konkretnie na dzieciach.

– Ja pierdolę! – Colomba wreszcie zrozumiała, dlaczego Dante tak się przejął.

– Przekłuiwał im policzki, tworząc sztuczne przetoki. Te dzieci to były sieroty, małe przybłędy... Rozpoczął badania w latach dwudziestych, ale rezultaty nie ujrzały światła dziennego z powodów etycznych i dlatego nici z Nobla w dwudziestym trzecim.

Colomba słuchała teraz bardzo uważnie.

– Czy to ma jakiś związek z Puską?

Dante przytaknął.

– Pawłow zostawił po sobie tomy prac naukowych. Techniki wywoływania odruchów warunkowych stanowiły część szkolenia kosmonautów oraz żołnierzy z oddziałów specjalnych. Stalin był zafascynowany Pawłowem i jego badaniami, pomimo że uczony był zdeklarowanym antykomunistą. W latach siedemdziesiątych ciągle jeszcze uczono tych technik w KUOS. Słyszałaś tę nazwę?

– Nie.

– Była to swego rodzaju akademia dla oficerów KGB i służb specjalnych. Dokładnie nie wiadomo, czego tam uczono, ale chodzą słuchy, że w czasie szkoleń wykorzystywano różne techniki samokontroli. Te najbardziej znane miały na celu zwiększanie odporności na zimno, na ból, na zmęczenie. Na przykład nagi człowiek zanurzony w lodowatej wodzie miał sobie wmówić, że jest mu ciepło. Jeden z instruktorów pobierał nauki w Instytucie Pawłowa w Sankt Petersburgu i zmarł w latach dziewięćdziesiątych jako konsultant KGB i służb specjalnych. Zgadnij, jak się nazywał?

– Biely? – zaryzykowała Colomba, mając nadzieję, że to nieprawda.

– Tak, właśnie on. Szef Maksima, dyrektor sekcji medycznej w Puszcze i ostatni prawdziwy spadkobierca idei tego rzeźnika Pawłowa. W czasie trwania zimnej wojny wszystkie wielkie mocarstwa wydawały furi

pieniędzy na badania mające wyznaczyć ograniczenia ludzkiego ciała i umysłu. Chcieli stworzyć superżołnierza na wzór Kapitana Ameryki z komiksu. W tym przypadku raczej należałoby powiedzieć, że miał to być Kapitan Rosja.

– I w efekcie powstała Giltiné?

– Nie mam pojęcia. Może po prostu nauczyła się pewnych zachowań, obserwując innych więźniów. A może taka się już urodziła. – Dante zapalił kolejnego papierosa. – W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Rosji krążyła popularna opowieść o Czarnej Wołdze.

– Masz na myśli samochód?

– Tak. Używała ich radziecka milicja i kiedy pojawiała się pod domem, nie wróżyło to nic dobrego. W najlepszym razie wycieczkę na Sybir. Czarna Wołga z legendy jeździła nocą po mieście i porywała samotne dzieci. – W oczach Dantego pojawiły się łzy. – Może to wcale nie była bajka.

– To było dawno, Dante.

– Jesteś pewna? To dlaczego Maksim nie zaprzestał działalności po upadku Związku Radzieckiego? W czyim interesie działał?

– Naprawdę myślisz, że ciągle porywają dzieci?

– Sądzę, że ciągle jeszcze dzieje się coś niedobrego, a przeciwnicy Giltiné są tak samo niebezpieczni jak ona albo nawet bardziej.

W tym momencie tablet zasygnalizował przyjęcie nowej wiadomości i musieli na chwilę przerwać dyskusję na temat prawdopodobnych hipotez. Przyszedł mail od Minutilla. Przeczytawszy wiadomość, Dante zbladł.

– Guarneri – zdołał jedynie wyszeptać.

KIEDY DANTE I COLOMBA zmierzali do Ulm, Guarneri spędzał czas ze swoim siedmioletnim synem. Odebrał go ze szkoły i wziął do siebie na całe popołudnie, aby po kolacji odprowadzić chłopca do byłej żony, z którą rozwiódł się trzy lata wcześniej.

Po ich ślubie przyjaciółki panny młodej były przekonane, że mają przed sobą parę jak z seriali rodzinnych nadawanych w porze obiadu, dyskutującą w czasie bezsennych nocy o śledztwach i oglądającą zdjęcia zamordowanych. Niestety, codzienne życie okazało się o wiele bardziej prozaiczne. Kariera Guarneriego w policji utknęła w martwym punkcie, a on wkrótce zaczął wracać z pracy rozdrażniony i w złym humorze. I chociaż początkowo rola żony porucznika Colombo wydawała się Martinie zajmująca, to po jakimś czasie stwierdziła, że ma do czynienia raczej z bohaterem serialu *The Office*, co było znacznie mniej pociągające. I pewnego dnia Guarneri zastał zamknięte drzwi do ich wspólnego mieszkania.

Potem dochodziło między nimi do sprzeczek, a nawet poważniejszych kłótni, które nie napawały ich dumą, ale z czasem wzajemne relacje stały się niemalże przyjacielskie.

Odprowadzając syna, Guarneri liczył więc na przyjemną rozmowę przy kawie, a może nawet na godzinkę w małżeńskim łóżku, pod warunkiem, że dobrze rozegra zbliżającą się partię. Ale kiedy otworzył drzwi własnym kluczem, zobaczył byłą żonę leżącą na kanapie w salonie. Spała tak mocno, że nie zareagowała nawet na poszturchiwania. Zaniepokojony Guarneri zaprowadził syna do jego pokoju i zmusił do położenia się do łóżka. Potem wrócił do salonu z zamiarem wezwania pogotowia. Nie zdołał tego zrobić, bo zastał tam nieznaną osobę. Zrozumiał, że była w pokoju już wcześniej, tylko on jej nie zauważył, bo poruszała się wzdłuż ścian bezszelestnie jak cień. I była niezwykle szybka. Kiedy stanęła naprzeciw niego, zauważył, że ma do czynienia z ubraną na czarno kobietą średniego wzrostu, której twarz zakrywa gumowa maska.

Sięgnął po służbową broń.

BUUUM.

Paolino, który wolał, żeby nazywano go Pao, tak jak faceta malującego pingwiny na murach, obudził się nagle, a w uszach dudniło mu echo wystrzału. Wydawało mu się, że we śnie usłyszał głośny hałas, który go obudził. Popatrzył na wielki, granatowy budzik z odblaskowymi wskazówkami, który stał na nocnej szafce, i uświadomił sobie, że spał nie dłużej niż godzinę. Wytężył słuch, chcąc wyłapać dźwięk telewizora, ale w mieszkaniu panowała niczym niezmacona cisza. Tata chyba już sobie poszedł, w przeciwnym razie byłoby słycać krzyki lub śmiech. Ostatnio częściej z pokoju rodziców dochodził śmiech i Pao zaczął się nieśmiało ludzić, że mama i tata znowu zamieszkają razem. Niewiele pamiętał z czasów, kiedy miał pełną rodzinę, ale były to połączone wspomnienia jak z reklamy świątecznych ciast. Był jeszcze za mały, żeby rozumieć, czym jest tęsknota, a mimo to odczuwał ją za czymś, czego nawet nie pamiętał. Podniósł się z łóżka, żeby pójść do kuchni i napić się wody, ale kiedy otworzył drzwi, zobaczył przed sobą obcą kobietę.

Stała w progu i nie miała twarzy.

Pao nie sikał w majtki, odkąd skończył dwa lata, ale widok był tak przerażający, że teraz ciepły strumień moczu spływał mu po nodze.

Potwór. Zjawa.

Chłopczyk skulił się na podłodze i zaczął płakać, zakrywając sobie uszy rękami.

Poczuł lekki dotyk na głowie.

– Nie bój się – powiedziała kobieta bez twarzy. – Nic ci nie zrobię.

Mówiła jak robot, co przypominało głos komendanta Data z filmu *Star Trek*. Pao przestał płakać i otarł nos rękawem piżamy, ale nie odważył się otworzyć oczu.

– Kim jesteś?

– Nikim.

– Dlaczego nie masz twarzy?

– Mam, popatrz uważnie.

Pao zrobił tak jak wtedy, gdy oglądał straszne filmy. Powolutku uniósł powieki, w każdej chwili gotowy, aby je z powrotem zamknąć. Kobieta ciągle stała w tym samym miejscu, ale teraz na jej gładkiej twarzy widniał szeroki, czerwony uśmiech, przypominający emotikona, a świeża farba kapłała na podłogę.

– Widzisz? Czy teraz też się mnie boisz?

Pao przyjrzał się jej uważnie. Kiedy kobieta kreśliła sobie uśmiech, jedna kropla spadła na policzek pod lewym okiem i teraz przypominała chłopcu klauna ze starego filmu. Zachciało mu się śmiać. Teraz był już pewien, że to tylko sen. Jeden z tych strasznych, z których budził się z krzykiem. Ale już niedługo się skończy.

– Gdzie jest moja mama?

– Śpi – odpowiedziała kobieta z kapiącym uśmiechem. – I twój tata też. A ty poczekaś w swoim pokoju, aż ktoś po ciebie przyjdzie, jasne?

– Dlaczego?

Kobieta przyklękła, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Mam dla ciebie specjalne zadanie. Zrobisz to, o co cię poproszę, prawda? To bardzo ważne.

– Ty mi się tylko śnisz?

– Tak, to tylko sen. Ale musisz zachowywać się tak, jakby wszystko działało się naprawdę.

– A jak nie zechcę?

Kobieta bez twarzy starła rękawem czerwony uśmiech i narysowała nowy, tym razem skierowany w dół.

– Wtedy będę bardzo smutna. I każdej nocy będę do ciebie wracała. Czy naprawdę tego chcesz?

Pao poczuł, że znowu chce mu się sikać.

– Nie – powiedział tak cicho, że sam miał wątpliwości, czy naprawdę wydał z siebie jakiś dźwięk.

– Świetnie – Glitiné pochyliła się nad dzieckiem. – A teraz otwórz buzię – rozkazała.

TRZY MINUTY PO przeczytaniu wiadomości od Minutilla Colomba przekroczyła granicę Włoch, zatrzymała się, żeby zatankować do pełna, i przez resztę drogi nie zdejmowała nogi z gazu, nie zwracając najmniejszej uwagi na ograniczenia prędkości, fotoradary ani patrole drogówki. W końcu jeden z nich zmusił ją do zjechania na pobocze i zatrzymania pojazdu, ale zaczęła krzyczeć na policjanta, aż wreszcie skontaktował się z sekcją wydziału zabójstw, skąd dostał rozkaz, aby eskortować ich prosto do Rzymu. Kiedy ruszyli za radiowozem, delorean szybko osiągnął maksymalną prędkość dwustu kilometrów na godzinę, hucząc tak, jakby naprawdę miał zamiar wrócić do przeszłości. Dante nie protestował. Wziął podwójną dawkę ze swoich magicznych fiolek i zapadł w stan odrętwienia, z którego otrząsnął się dopiero, gdy zaparkowali przed hotelem Impero. Colomba wypchnęła go z samochodu i Dante zatoczył się na chodniku.

– Ruszaj się – powiedziała i były to pierwsze słowa, które do niego skierowała, po tym jak przeczytali maila od adwokata.

Dante posłuchał, chociaż nogi miał jak z waty. Jeden z portierów zauważył, że delorean blokuje wejście, i wybiegł na ulicę, a Colomba rzuciła mu kluczyk, prosząc o odprowadzenie auta na parking, po czym pociągnęła przyjaciela w stronę holu.

– Chodź.

– Teraz dam sobie radę sam – zaprotestował Dante.

– Nie ma mowy.

Zaprowadziła go po schodach do apartamentu, a kiedy znaleźli się przy drzwiach, wyjęła pistolet z kieszeni.

– Odsuń się.

– Naprawdę sądzisz...

– Odsuń się!

Kiedy Dante wykonał rozkaz, Colomba odblokowała zamek przy użyciu karty magnetycznej i otworzyła drzwi. Płuca skurczyły jej się do rozmiarów pięści, oddychała płytko i czuła drapanie w gardle. Wpadła do środka,

trzymając broń w obu dłoniach, i zatrzymała się na widok panującego w pokoju bałaganu. Wszędzie leżały porzucane ubrania, a na wykładzinie poniewierały się puste butelki po szampanie Cristal, talerzyk z resztkami koki i pozwijane rolki pieniędzy.

Z sypialni wyszedł całkiem nagi Santiago z nożem sprężynowym w ręce.

– A co wy tu, kurwa, robicie?

Dante i Colomba spojrzeli po sobie. Zupełnie zapomnieli o umowie z hakerem. Na szczęście hotel dysponował wolnym apartamentem i Dante zdołał wyprosić klucze, przenosząc tam część rzeczy, a przede wszystkim swój sprzęt elektroniczny. W tym czasie zdenerwowany Santiago zamknął się w sypialni, wściekły z powodu barbarzyńskiego wtargnięcia na jego teren.

Colomba sprawdziła nowy apartament, różniący się od poprzedniego jedynie kolorystyką niektórych mebli, po czym zasunęła wszystkie żaluzje.

– Nie wychodź z pokoju, dopóki nie wrócę. Nie zamawiaj też jedzenia z restauracji, jasne?

– Mogę zapalić światło?

– Możesz, ale nie odsuwaj żaluzji. Jak nie będziesz mógł wytrzymać, to weź następną dawkę leku – powiedziała pośpiesznie.

Apartament pogrążony był w półcieniu, a twarz Colomby oświetlał jedynie słaby snop światła.

– Naprawdę uważasz, że Giltiné może się tu pojawić? – zapytał Dante.

– Ona albo jakiś inny szaleniec w typie Andreasa. Nie wiadomo. Uważaj także na personel.

– Przecież znam ich od dwóch lat!

– A ilu ludzi znało Andreasa jako nieszkodliwego pisarza opowiadającego tajemnicze historie? – Colomba wyjęła zza pasa pistolet i odblokowała magazynek. – Zobacz, ma dwa bezpieczniki. Jeden zwalnia się za pomocą tych dwóch cyngli...

– CC, wiem, że zabrzmiało to dziwnie w moich ustach, ale powinnaś się uspokoić.

– Musisz umieć się bronić, kiedy mnie nie będzie.

– Wyobrażasz sobie mnie z bronią w ręku? Mnie?

Colomba się zawahała, podczas gdy słowa przyjaciela torowały drogę przez chmurę niepokoju i bólu, która ją szczelnie otaczała.

– No dobra, jak chcesz – powiedziała, chowając broń do kabury.

– Na pewno nie chcesz, żebym ci towarzyszył?

Colomba spróbowała odmówić najgrzeczniej, jak potrafiła, ale nie do końca jej się to udało.

– To sprawa dla służb mundurowych. Nie gniewaj się, Dante.

Wezwała taksówkę i pojechała do mieszkania byłej żony Guarneriego na lewym brzegu Tybru, w dzielnicy Ostiense. Budynek był otoczony, a na ulicy stało dziesięć radiowozów karabinierów z włączonymi kogutami. W pobliżu parkowało też kilka samochodów policyjnych, ale Colomba zrozumiała od razu, że śledztwo prowadzi „kuzyni”, policjanci zaś tłoczyli się na schodach zaniedbanej kamienicy z lat sześćdziesiątych aż do drzwi mieszkania Guarnerich. Przepychali się, żeby lepiej widzieć, i kłócili się z karabinierami, którzy chcieli się ich pozbyć. Na czele grupy stali Alberti i Esposito, który był o krok od pobicia strzegącego wejścia karabiniera. Kiedy zobaczyli Colombę, ruszyli biegiem w jej stronę, torując sobie drogę łokciami.

– Musimy porozmawiać, *dottoressa* – wyrzucił z siebie Esposito, stając naprzeciw policjantki.

– Nie teraz.

Esposito nie ruszył się z miejsca.

– Jestem zmuszony nalegać. Kiedy?

– Dziś wieczorem. U Dantego – powiedziała Colomba i bez pardonowo ominąwszy kolegę, stanęła przed wartownikiem.

– Nazywam się Caselli. Muszę się zobaczyć z zastępcą prokuratora Trevesem.

Policja drogowa już zdążyła przekazać wiadomość o tym, że Colomba przyjedzie, i karabinier wpuścił ją do mieszkania.

Technicy kryminalni od kilku godzin pracowali na miejscu i na podłodze w salonie roiło się od kartek z numerami. Martina leżała na kanapie, a korpus i szyję miała pokrytą ranami kłutymi. Jej bluzka była

w strzępach. Kobieta nosiła ślady cięć na policzkach i na rękach, co świadczyło, że próbowała się bronić. Wszędzie było pełno krwi: na sofie, na ścianie, a nawet na suficie. Spora kałuża uformowała się na podłodze w pobliżu ciała Guarneriego, który leżał na plecach, ciągle jeszcze trzymając w prawej dłoni służbowy pistolet. Nad uchem miał dziurę po kuli, a obok znajdował się nóż kuchenny pobrudzony krwią i fragmentami kości.

Chociaż Colomba nigdy nie widziała sceny zabójstwa i samobójstwa, która by tak doskonale odzwierciedlała podręcznikowe ilustracje, to nawet przez chwilę nie uwierzyła w taką wersję wypadków. Chodzący po świecie potwór był gotowy na wszystko, żeby wypełnić swoją misję i zemścić się na tych, którzy go więzili i torturowali.

Na tych, którzy go stworzyli.

Zbliżył się do niej przystojny czterdziestolatek ze zgaszonym papierosem w ustach. Na butach miał przezroczyste ochraniacze.

– Pani komisarz Caselli? – zapytał, wkładając papierosa do kieszonki w marynarce. – Jestem zastępcą prokuratora. – Wyciągnął rękę na powitanie.

– Przepraszam za zwłokę – mruknęła Colomba, koncentrując się na tym, żeby nie zacząć krzyczeć.

Treves zauważył jej konsternację.

– Może przejdziemy do drugiego pokoju? Co pani na to? – zaproponował.

Kiwnęła potakująco głową, nie mogąc wydusić słowa, i poszli do sypialni. Łóżko było starannie posłane, Martina nie zdążyła z niego skorzystać. Podobnie zresztą jak jej były małżonek.

– Była pani jego przełożoną, zanim została pani zawieszona – zaczął Treves, przymknąwszy drzwi. – Wiedziała pani, że ich problemy małżeńskie są aż tak poważne?

– Nie. Nie miałam o tym pojęcia.

– Czy podejrzewa pani, że wydarzyło się tu coś innego niż to, co na pierwszy rzut oka wydaje się oczywiste?

– Technicy znaleźli jakieś obce ślady?

Treves uśmiechnął się przepaszająco.

– Nie, na razie nie. A pani coś zauważyła?

Colomba zrozumiała, że prokurator jej nie ufa. Biorąc pod uwagę niedawne zawieszenie, było to zresztą do przewidzenia. Jak mogła spodziewać się czegoś innego?

– Widziałam miejsce zbrodni tylko przez chwilę. Nie sądzę, żebym była w stanie zbadać je dokładnie, dopóki ciało mojego kolegi będzie leżało na podłodze.

Treves się z nią zgodził.

– Jakie były pani relacje z rodziną Guarnerich?

– Znałam jedynie inspektora. Rozwiódł się o wiele wcześniej, zanim zaczęliśmy razem pracować.

– Ale zna pani jego syna Paola, prawda?

Colomba zrozumiała, że to kluczowe pytanie, nie wiedziała jeszcze tylko dlaczego.

– Pewnego razu przyszedł na komendę. Czy coś mu się stało? – Colomba poczuła, jak serce zaczyna jej szybciej bić.

– Zamknięto go z zewnątrz w jego pokoju. Znaleźli go dziadkowie, kiedy przyszli sprawdzić, dlaczego nikt nie odbiera telefonu. Nic mu nie jest poza tym, że nie otwiera ust. Nie mówi, nie pije, nie je, a kiedy lekarz chciał mu zbadać gardło, mały niemalże wpadł w histerię. Doktor chciał mu podać środki uspokajające, ale poprosiłem, aby poczekał, aż pani przyjedzie.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– Chłopczyk nie mówi, ale pisze.

Prokurator podał Colombie kartkę w kratkę wyrwaną z zeszytu. Dziecinnym pismem wykaligrafowano tam kilkakrotnie jej imię oraz słowa: pomocy i proszę opatrzone licznymi wykrzyknikami. Colomba miała wrażenie, że słyszy krzyk dziecka, i poczuła dreszcz przerażenia.

– Czy może pani to wyjaśnić? – zapytał Treves.

Colomba zachowała zimną krew.

– Nie. A pan?

– W takim razie sprawdźmy, czy Paolo coś pani powie. Albo przynajmniej dowiemy się, dlaczego nalega, żeby się z panią spotkać.

Przepychając się przez tłum policjantów, wyszli na klatkę schodową i udali się dwa piętra wyżej, gdzie było mieszkanie dziadków. Paolino zwany Pao siedział przy stole kuchennym nad kubkiem mleka, którego nawet nie tknął. Wspierał siną twarzyczkę na zaciśniętych pięściach, a oczy miał pełne łez. Colomba pomyślała, że nie tylko cierpi po stracie rodziców, ale wypełnia zadanie godne Atlasa.

– Nic nie je – powiedziała zmartwiona babcia.

– Proszę spróbować z nim porozmawiać – zwrócił się Treves do Colomby.

Zakłopotana policjantka podeszła do dziecka i pochyliła się, aby spojrzeć mu w twarz. Pao podniósł wzrok, jego źrenice przypominały czarne punkciki, zęby miał mocno zaciśnięte.

– Cześć Paolino. Nazywam się Colomba Caselli. Chciałeś się ze mną spotkać?

Ogromne napięcie znikło z twarzy chłopca, ustępując miejsca niewypowiedzianej uldze. Paolo zarzucił jej ręce na szyję i przytulił się mocno. Zaraz potem odepchnął ją jednak z całych sił zarówno rękami, jak i nogami i wydał z siebie okrzyk zgrozy.

Colomba straciła równowagę i usiadła na podłodze, podczas gdy coś twardego i przebierającego nogami przetoczyło się jej po plecach i pobiegło szybko w stronę dywanu. Zanim stworzenie zdołało się ukryć, Treves rzucił w nie książką telefoniczną, leżącą na kredensie. Potem oboje z Colombą skoczyli całym ciężarem na grube tomisko i krzycząc, zaczęli deptać z całych sił.

Kiedy wreszcie odważyli się zajrzeć pod spód, znaleźli to, co Pao przez cały dzień trzymał w ustach, modląc się, aby prawidłowo wypełnić powierzone mu zadanie. Całą noc przesiedział na łóżku, nie mogąc ani płakać, ani przetykać.

Żyjątko jeszcze się ruszało, chociaż trzycentymetrowe ciało było niemalże całkowicie zmasakrowane.

Był to żółty skorpion.

SKORPION NALEŻAŁ DO gatunku *Death stalker*, a jad z jego ogona jest w stanie zabić lub wpędzić człowieka w poważną chorobę. Poza tym charakteryzuje go specyficzna właściwość: nieruchomieje w ciemnościach, zwłaszcza gdy zamknie się go w ciepłym i wilgotnym miejscu, takim jak na przykład usta. Kiedy Pao wypluł go, szok związany ze zmianą otoczenia tylko rozwścieczył pajęczaka. Gdyby Colomba nie upadła na podłogę, zwierzę zatopiłoby kryjące się w ogonie żądło w jej skórze. A tak musnęło jedynie haftkę biustonosza, nie czyniąc żadnej szkody.

Przez kolejną godzinę panował zamęt nie z tej ziemi. Pao wypił trzy szklanki mleka, co raz wybuchając histerycznym płaczem, i wreszcie opowiedział o kobiecie bez twarzy. Prokurator oczywiście uznał ją za wytwór koszmarnego snu dziecka, a Colomba nie zrobiła nic, aby przekonać go do zmiany zdania. Chłopiec twierdził, że to właśnie kobieta bez twarzy kazała mu napisać na kartce imię Colomby. *No jasne, jakżeby inaczej!* Należało jeszcze co prawda wyjaśnić, co robił w mieszkaniu afrykański skorpion, ale to było już zadanie dla służb celnych.

Colomba właśnie dziękowała w myślach za to, że cudem udało jej się wyjść z opresji, gdy pojawił się Santini. Na zapadniętych policzkach miał biały zarost i wyglądał, jakby spał w ubraniu.

Wyszli razem z budynku i Colomba zaczęła przygotowywać się do starcia. Santini szedł jednak obok niej w milczeniu aż do najbliższego baru. Wyrzucił od stolika jakąś parę, machnąwszy im przed nosem odznaką, po czym zajął miejsce i zaprosił Colombę, żeby zrobiła to samo. Zamówił grappę dla obojga.

– Nie lubię grappy – powiedziała Colomba.

– Trudno. Dzisiaj się ze mną napijesz – oświadczył Santini i podniósł swój kieliszek. – Za Alfonsa, który miał pecha i trafił do twojego oddziału.

Colomba pociągnęła łyk wódki i natychmiast poczuła aromatyczny płyn w nozdrzach.

– Znałeś go?

– Zanim trafiłem do SIC, pracowałem z nim w wydziale do spraw zabójstw. Nie był orłem, ale na pewno nie zasłużył na taką śmierć. Został zamordowany, mam rację? A wszystko dlatego, że ciągnęłaś śledztwo w sprawie zamachu i jego też w to wplątałaś.

– Zamordowano go, bo dobrze wypełniał swoje obowiązki. Tylko dlatego.

Santini zamówił drugą kolejkę.

– Znowu kłócimy się o zasady – powiedział po chwili. – Bo według ciebie nasza praca polega na tym, że naprawiamy szkody wyrządzone przez różnych dewiantów, a ja uważam, że zajmujemy się czymś zupełnie innym.

Uderzył pustym kieliszkiem w stół i dopiero wtedy Colomba zrozumiała, że jest pijany. Pijany w sztok. Wcześniej tego nie zauważyła, bo Santini świetnie się kamuflował. Nie bełkotał i nawet się nie zataczał.

– A tymczasem my i karabinierzy trzymamy w ryzach nasz kraj, Caselli. Nie pozwalamy, żeby zmienił się w jeszcze większy burdel. Czy jesteśmy doskonali? Nie. Oszukujemy, kłamiemy i kradniemy tak jak wszyscy inni, ale stanowimy barierę przed tym, co najgorsze. Tylko że ty... przestałaś w to wierzyć. Straciłaś wiarę.

– Gdybyś wiedział, co się kryje za morderstwem naszego kolegi...

– Nie. Już to przerabialiśmy. Posłuchałem cię i zniszczyłem sobie karierę, nie wspominając o nodze. Tym razem nie chcę nic wiedzieć. – Zbyt mocno potrząsnął głową. – Może masz rację, może twoje śledztwo ocali świat przed katastrofą... Obiecuję ci, że nie będę ci przeszkadzał. Ja wolę nic nie wiedzieć, jestem w tym dobry. Ale jeśli znowu wciągniesz w swoje machinacje kogoś z wydziału, to przysięgam na Boga, że ci nie daruję. – Utkwił w niej oczy nabiegłe krwią. – Wiesz, że mogę ci zaszkodzić, Caselli.

– Czy Curcio się z tobą zgadza?

– On nic nie wie! – Zarechotał po pijacku. – A przynajmniej udaje, że nie wie. Nie rozmawia na pewne tematy. W przeciwieństwie do ciebie Curcio doskonale zdaje sobie sprawę, gdzie jest jego miejsce.

– Chyba będzie lepiej, jak pójdiesz spać.

– To ty lepiej już idź i zostaw mnie w spokoju – odpowiedział, zamawiając kolejny kieliszek grappy.

Tym razem Colomba posłuchała. Kiedy dotarła do hotelu, odkryła, że Dante zniknął, zostawiwszy jej wiadomość, żeby się nie martwiła.

Oczywiście bardzo się zaniepokoiła, ale gdyby wiedziała, gdzie poszedł, to z pewnością wpadłaby w panikę.

WIĘZIENIE REBIBBIA SKŁADA SIĘ z czterech zakładów, o czym wiedzą z pewnością i osadzeni, i strażnicy. Na terenie kompleksu mieszczą się cztery jednostki, a więźniów dzieli się według następujących kryteriów: płeć, wiek i rodzaj popełnionego przestępstwa. Zaraz po przekroczeniu bramy widać boisko do piłki nożnej, które znajduje się w odległości około stu metrów od budynków. Właśnie tam w całkowitych ciemnościach oddział policji więziennej w pełnym uzbrojeniu przyprowadził zakutego w kajdanki Niemca.

Minął już przeszło rok od jego aresztowania, ale włoskie władze ciągle jeszcze nie odkryły, czy skazany naprawdę pochodzi z Niemiec. Informacje na jego temat ograniczały się do tego, że był ostatnim z żyjących współników Ojca, a przynajmniej z grupy, która współpracowała z nim w latach siedemdziesiątych, że miał około sześćdziesięciu lat i w przeszłości odniósł liczne rany, zadane zarówno bronią białą, jak i palną.

To było absolutnie wszystko. W żadnej bazie danych nie znaleziono jego odcisków palców ani DNA. Nie zgłosił się nikt z rodziny, nie było żadnych dokumentów świadczących o tym, że Niemiec gdzieś pracował lub odbywał służbę wojskową. W czasie procesu pierwszej instancji nie otworzył ust, nie przyznał się ani nie odrzucił przedstawionych mu zarzutów, wśród których były porwania i zabójstwo z premedytacją. Z mrocznej przeszłości prowadzącym śledztwo wyłonił się mur składający się z fałszywych tożsamości.

Niemiec pozostał jedną wielką tajemnicą.

Strażnicy posadzili go na plastikowym krześle przy siatce ogrodzenia i przypięli kajdankami do słupa. Tylko współwięźniowie nie czuli strachu przed Niemcem. Mężczyzna nigdy nie wszczynał kłótni, ale po trzeciej bójce, która skończyła się poważnymi obrażeniami napastników, został umieszczony w osobnej celi, chociaż nic nie wskazywało na to, by jakoś specjalnie cierpiał z tego powodu. Ci, którzy przez jakiś czas mieli okazję

dzielić z nim celę, opowiadali, że czuli się tak, jakby mieszkali z duchem, który wbija ci wzrok w plecy, gdy się tylko odwrócisz.

Strażnicy ruszyli na drugą stronę boiska, gdzie stanęli w szyku bojowym, i dopiero wtedy przez bramę weszła grupa policjantów w cywilu. Wśród nich znajdował się wyraźnie zaniepokojony Dante.

– Czy udało się ustalić jego prawdziwą tożsamość? – zapytał po cichu policjanta po prawej stronie, młodego chłopaka o pyzatej twarzy.

– Nie. Wiemy teraz tyle samo, co w dniu aresztowania. Pan zna go chyba najlepiej.

– Spotkałem go zaledwie trzy razy w życiu – powiedział Dante. *Nie licząc koszmarów.*

Dante podszedł powoli do wolnego krzesła, a Niemiec nie spuszczał z niego oczu. Opadł ciężko na stołek i pochylił nisko głowę. Zamarł na chwilę w takiej pozycji.

– Wszystko w porządku, panie Torre? – zapytał młody policjant.

– Tak, tak. Proszę, zróbcie tak, jak się umawialiśmy.

– Jest pan pewien?

Dante wskazał na Niemca, nie podnosząc głowy.

– Gdyby chciał mi urwać głowę, już dawno by to zrobił.

– Ma pan trzydzieści minut – powiedział policjant i skinął na kolegów. Po chwili wszyscy zniknęli w ciemnościach.

Dante odetchnął głęboko. Postanowił nie odurzać się benzodiazepiną przed tym spotkaniem, ale teraz zaczynał żałować swojej decyzji. Znajdował się w więzieniu i miał przed sobą potwora z czasów dzieciństwa, którego wspomnienie dręczyło go przez większość życia.

– Możemy porozmawiać tylko w ten sposób – zwrócił się do Niemca. – Nie mam pojęcia, czy szpieguje nas teraz jakiś satelita albo dron z mikrofonem, ale zapewniam cię, że wszystko, co mi powiesz, zostanie między nami.

Niemiec uśmiechnął się krzywo.

– Nawet swojej przyjaciółce policjantce nic nie powiesz? – odezwał się opanowanym głosem.

Chociaż zdarzyło się już wcześniej, że więzień przemówił, było to na tyle rzadkie wydarzenie, że stojący po drugiej stronie boiska strażnicy zaczęli poszturchiwać się łokciami, chociaż z tej odległości nie mogli rozróżnić poszczególnych słów.

– Jak ci to obiecuję, powiesz mi, kim jestem?

– Nie gadaj głupstw.

– Czy naprawdę mam brata?

– Dobrze wiesz, że nigdy ci tego nie powiem. Po co przyszedłeś?

– Giltiné.

– To imię nic mi nie mówi.

– To kobieta, która morduje, używając LSD i psylocybiny.

Niemiec milczał, nie zmieniając wyrazu twarzy. Dante miał jeszcze większe kłopoty z odczytaniem jego emocji niż w przypadku Maksima.

– Urodziła się na Ukrainie w miejscu zwanym Puszka. Najpierw pracowała jako kiler dla rosyjskiej mafii, a potem wycofała się i skupiła na życiu prywatnym aż do czasu, gdy zamordowano jej kochankę.

Niemiec ciągle przypominał posąg, a mimo to Dante miał pewność, że z uwagą słucha jego słów.

– Nie wiem, dla kogo pracował Ojciec, ale widzę podobieństwa między tym, co przydarzyło się mnie i Giltiné, chociaż żyliśmy po przeciwnych stronach żelaznej kurtyny. Jestem pewien, że ty coś wiesz. Przecież musiałeś zbierać informacje o działaniach konkurencji, nie?

Mężczyzna odrzucił głowę do tyłu i zaczął rechotać, a dźwięk, który z siebie wydawał, przypominał trzeszczenie zardzewiałych zawiasów. Prawdopodobnie śmiał się po raz pierwszy od wielu lat.

– Dobrze zrobiłem, pozostawiając cię przy życiu. Jesteś zabawny.

– A niby dlaczego pozwoliłeś mi przeżyć?

– Mówi się o przywiązaniu ofiar do prześladowców. To działa również w drugą stronę. Dostałem rozkaz, żeby cię zabić, ale nie byłem w stanie go wykonać.

Dante pokręcił głową, siedząc naprzeciw Niemca z zamkniętymi oczami.

– Długo na to czekałem, wiesz? – wyszeptał. – Chciałem usłyszeć od ciebie coś takiego. – Niespodziewanie otworzył oczy. – Tylko że kiedy tak myślałem, byłem dzieckiem. Teraz dorosłem i dobrze wiem, czym dla ciebie byłem. Pracą do wykonania. I wiem, że to Ojciec kazał ci umożliwić mi ucieczkę. Twoje próby manipulacji na nic się zdadzą.

Uśmiech Niemca zastąpił drwiący grymas.

– Zmieniłeś się w prawdziwego mężczyznę – powiedział z ironią. – Nawet gdybym coś wiedział, to skąd ci przyszło do głowy, że ci powiem?

– Bo w żaden sposób nie może ci to zaszkodzić. Poza tym jesteś zadowolony z mojej wizyty. Pewnie musisz się tu bardzo nudzić...

– Skoro już wiesz o Puszce, to wiesz wystarczająco dużo.

– O, nie. Chciałbym się zorientować, co się wydarzyło później, po upadku komunizmu. Co się stało z agentami twojego pokroju?

– Przejął nas wolny rynek – powiedział Niemiec.

– To znaczy, że Puszka została sprzedana temu, kto zaoferował najwięcej?

– Nic nowego.

– Ale komu potrzebni są seryjni zabójcy w świecie, w którym wojny toczy się za pomocą dronów?

– Nikomu. Jesteś pewien, że taki był cel działania Puszeki? Może kobieta, o której mówisz, to był tylko wypadek przy pracy? Gdyby było ich więcej, to byśmy o tym wiedzieli, nie sądzisz?

Dante przyjrzał mu się dokładnie, ale i tym razem niczego nie odkrył.

– Po co utworzono Puskę?

– Miło było się spotkać.

Z oddali odezwał się telefon, imitując bicie dzwonów. Był to stoper, który pyzaty policjant ustawił w swojej komórce.

– Panie Torre, czas minął – odezwał się z ciemności.

Dante pomachał zdrową ręką, nie mogąc wyjść z podziwu dla czujności Niemca.

– Okej, jeszcze minutę – powiedział.

Niemiec potwierdził tylko to, co Dante już wcześniej wiedział, ale idąc na spotkanie, właściwie na nic więcej nie liczył.

– Daj mi papierosa – poprosił Niemiec.

Dante instynktownie podał mu paczkę, a Niemiec, zamiast ją wziąć, chwycił wolną ręką jego przegub i przyciągnął do siebie. Ich twarze niemalże się dotykały.

– Już po raz drugi daruję ci życie. Zapamiętaj to sobie – szepnął.

Dante na chwilę stał się znowu dzieckiem i krzyknął przeraźliwie, a potem zaczął się rozpaczliwie szarpać. W końcu Niemiec uwolnił jego dłoń i Dante zatoczył się, prawie padając na ziemię.

Natychmiast przybiegli strażnicy więzienni i policjanci. Ponownie skuli więźniowi ręce i pociągnęli w stronę budynku. Kiedy byli przy bramie prowadzącej na dziedziniec, Niemiec odwrócił się w stronę Dantego otoczonego przez uzbrojonych strażników.

– Uważaj, w co się pakujesz, chłopcze – powiedział. – Bo ktoś może się pogniewać.

Wartownicy popchnęli go do środka.

DANTEGO WYPROWADZONO TĄ samą drogą, którą wszedł na teren zakładu karnego, to znaczy przez bramę dla samochodów opancerzonych, która wychodziła prosto na ulicę. Czuł się tak, jakby miał za chwilę eksplodować, chociaż jednocześnie był zupełnie wyczerpany. Obecność Niemca pozbawiła go energii, jakby jego były prześladowca dysponował siłą małej czarnej dziury wysysającej energię. Trząsł się z zimna i chciało mu się pić. Najlepiej, żeby podano mu coś w dużym kieliszku – jak mawiał jego przybrany ojciec. *W bardzo dużym kieliszku.*

Za bramą stał czarny dżip, a obok niego dwóch policjantów i pułkownik Di Marco w swoim dyżurnym granatowym garniturze.

– To całe zamieszanie ma też pozytywny aspekt. Po raz ostatni mógł pan prosić o tego typu przysługę.

Wypowiedziawszy te słowa, pułkownik podał mu dwie kartki maszynopisu pokryte różnymi pieczętkami oraz pióro, które wyjął z kieszonki w marynarce.

Dante oparł się o bramę i zaczął przeglądać dokumenty.

– Zgodnie z umową w zamian za zgodę na rozmowę ze skazanym podpisze pan oświadczenie, w którym stwierdza pan, że nie dysponuje informacjami na temat zamachu w pociągu Mediolan – Rzym, śmierci dwóch terrorystów, a także jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, które groziło bądź grozi naszemu państwu w przeszłości, obecnie i w przyszłości. Jeśli pan kłamie, narazi się pan na oskarżenie o szpiegostwo i wystawienie na niebezpieczeństwo systemu obronności kraju.

Dante nie przerywał czytania tekstu. Wolałby mieć teraz przy sobie Minutilla, ale nie chciał angażować go w tę sprawę.

– Myślałem, że nie potrzebujecie usprawiedliwienia, żeby kogoś aresztować – powiedział w końcu.

– Żyjemy w demokratycznym państwie. Ale dzięki tym kartkom poczuje się pan tak, jakby był pan w Korei Północnej.

Dante przywołał na twarz swój typowy grymas, który wyszedł mu nieco krzywo.

– A co pan zrobi, jeśli odmówię podpisania dokumentów? Dzięki pańskiej pomocy udało mi się już porozmawiać z Niemcem.

– Będę musiał pana zatrzymać w oczekiwaniu na instrukcje od moich przełożonych. – Pułkownik wskazał więzienie znajdujące się za plecami Dantego. – Chce pan spróbować?

Dante szybko podpisał obie kopie, a pułkownik schował je do teczki.

– Teraz, jak już podpisałem, chciałbym pana o coś zapytać.

– Nie ma mowy.

– Mimo to spróbuję. Jest pan wzorcowym przykładem faszystowskiej świni, ale nie jest pan głupcem. Doskonale pan wie, że w sprawie zamachu na pociąg jest wiele niejasności. Nie jest pan zainteresowany ich wyjaśnieniem, bo nie należy to do pańskich obowiązków albo już pan wie, co się za tym kryje?

– Gdyby te wątpliwości naprawdę istniały, zrobiłbym wszystko, czego wymagałoby dobro mojej ojczyzny. Nie sądzę, żeby pan mógł to zrozumieć.

Po tych słowach Di Marco ruszył bez pożegnania w stronę samochodu. Jego ludzie też wsiedli i auto oddaliło się z piskiem opon.

Dante wyjął komórkę, żeby zamówić taksówkę, gdy nagle w ciemnościach odezwał się męski głos.

– Może pana podwieźć?

– To pan był w budynku firmy CRT, kiedy mnie aresztowano. Należy pan do oddziałów antyterrorystycznych, prawda?

– Ma pan doskonale rozwinięty zmysł obserwacji, biorąc pod uwagę, że miałem kominiarkę na twarzy. Nazywam się Leonardo Bonaccorso. Jestem przyjacielem Colomby.

– Tak mi się wydawało. Co pan tu robi?

– Proponuję, że podwiozę pana do centrum. Moi ludzie pana eskortowali, więc bez problemu dowiedziałem się, gdzie pan przebywa. Czy spotkanie z Niemcem na coś się przydało?

– Nie. I chyba jednak zamówię taksówkę.

– Szkoda, bo zmierzamy w to samo miejsce. Do pańskiego hotelu.

– Po co pan tam idzie?

Leo się uśmiechnął, a Dante już wiedział, że go nie lubi. I to bardzo.

– Colomba zwołała walne zebranie w pańskim pokoju. Myślę, że chce raz na zawsze rozprawić się z Giltiné.

GILTINÉ SZŁA ULICĄ Sant'Antonio w ciemnościach, które rozpraszało jedynie światło kilku pobliskich latarni. Z tyłu zostawiła połyskujące wody Canal Grande, a przed sobą miała plac, który za dnia zmieniał się w targ. Teraz pozostał po nim jedynie zapach gnijących owoców i warzyw zalegających w skrzynkach. Giltiné ledwo go czuła, ponieważ nakładała się nań intensywna woń jej własnego ciała oraz pokrywających je kremów i maści. Wszystko wskazywało na to, że wilgotny klimat Wenecji przyspiesza postępy choroby. A może spowodowała to niedawna podróż pociągiem do Rzymu, która miała zapobiec, by coś – (*by Dante Torre*) – nie przeszkodziło jej w realizacji drobiazgowo przygotowanego planu. Regularnie monitorowała linię telefoniczną i kiedy usłyszała, jak włoski policjant dzwoni do syna (na szczęście niewłaściwego) zamordowanej kobiety, zrozumiała, że podstawy, na których oparła swą grę, zaczynają się chwiać. Wyjechała natychmiast, ponaglana niepokojem oraz płynnymi głosami zmarłych i odbijającym je echem. W drodze powrotnej, osłabiona bólem i zmęczeniem, dusząc się pod woskową maską, która paliła jak kwas jej rany na twarzy, po raz pierwszy w życiu zadała sobie pytanie. Czyżby zabijając go, popełniła błąd? Czy w ten sposób przestraszyła i opóźniła pościg nowych myśliwych podążających jej tropem, tak jak wcześniej przestraszyła, opóźniła i w końcu zlikwidowała tych, którzy ścigali ją przez ponad dwadzieścia lat i którzy uczynili z niej to, czym była dzisiaj? A może sprawiła tylko, że stali się jeszcze bardziej wściekli i bezwzględni?

Już w pociągu połączyła się z serwerem przez komórkę i wypuściła rekiny z basenu, rozdzielając zadania, cele do realizacji oraz nagrody. Nie miała pojęcia, ile z nich odpowie na wezwanie. Były nieprzewidywalne, a będą musiały działać bez jej bezpośrednich wskazówek. Kolejna niewiadoma i kolejne ryzyko dla kogoś takiego jak ona; kogoś, kto dorastał, planując każdy ruch, kto się zestarzał, czekając cierpliwie na odpowiedni moment, jak róża jerychońska czeka na wodę. Teraz, kiedy szła opustoszałymi ulicami, przypominając cień wśród cieni, wcześniejsze pytania znikwały jedno po drugim. Przygotowywała się do wykonania

ostatniego zadania, które zakończy cały misterny plan. Ostatni krok w kierunku spokoju, którego nigdy nie zaznała.

Giltiné dotarła do muru odgradzającego hotel od ulicy. Przeskoczyła zręcznie do ogrodu, wyłączyła kamerę monitoringu i przez tylne drzwi weszła do budynku. Po schodach dostała się na czwarte piętro i metalową blaszką otworzyła zamek magnetyczny w drzwiach do apartamentu mieszczącego się na końcu korytarza. Poruszała się bezszelestnie. Weszła do pokoju i odłożyła torbę, którą miała przewieszoną przez ramię. Cały czas uważała, by nie czynić najmniejszego hałasu. Na wpół pijany mężczyzna śpiący w łóżku wyłożonym poduszkami cały czas oddychał miarowo. Giltiné po ciemku przeszukała pokój i używając jedynie niezwykle wrażliwych opuszków palców, znalazła pluskwę, o której istnieniu była przekonana, po czym zneutralizowała ją bez wyłączania. Pochyliła się nad mężczyznę i zakryła mu dłonią usta. Natychmiast otworzył oczy, nie rozumiejąc, co się dzieje. W ciemnościach nie był w stanie rozpoznać napastnika.

– Mam dla ciebie zadanie – powiedziała Giltiné.

Francesco mógł jedynie pokiwać głową na znak zgody.

ZEBRANIE ODBYWAJĄCE SIĘ w zastępczym apartamencie Dantego było znacznie mniej wesołe od poprzedniego i prawie żaden z uczestników nie miał apetytu. Colomba przedstawiła Leo dwóm ocalałym Muszkieterom, a ci przed podaniem mu ręki poderwali się z miejsc z uwagi na różnicę w stopniach. Leo jako jedyny zdawał się nie czuć skrępowania i zrobił sobie kawę z ekspresu, który Dante kazał przenieść z poprzednio zajmowanego pokoju. Wściekł się na widok komandosa i jego sposobu bycia, a wskazując go palcem, wycedził przez zaciśnięte zęby w stronę Colomby:

– Po co go zaprosiłaś?

– Bo może nam pomóc.

– Należy do oddziałów antyterrorystycznych – odezwał się Alberti. – I jest w grupie do zadań specjalnych. Z całym szacunkiem, panie komisarzu.

– Chwilowo jestem na urlopie – wyjaśnił Leo, sącząc kawę. – Naprawdę doskonała – dodał.

– Niech pan nie próbuje mnie udobruchać – rzucił Dante, któremu nie podobały się ukradkowe spojrzenia wymieniane między komandosem a Colombą. – Mogłaś mnie uprzedzić o nowej osobie w grupie.

– To nie jest najlepszy moment na fochy, Dante. Nie zapominaj, że Giltiné dopiero co zamordowała jednego z nas.

– Jest pani pewna, że to sprawka Giltiné? – zapytał Alberti.

Colomba opowiedziała im o skorpionie. Dwaj Muszkieterowie pobledli, a Dante z trudem opanował mdłości.

– Giltiné chciała nam przekazać jednoznaczny wiadomość.

– Założyła, że nawet jeśli uda ci się ujść z życiem – powiedział Dante, czując w ustach kwaśny posmak – to zrozumiesz wreszcie, komu nadepnęłaś na odcisk.

– I się wycofam.

– Ale dlaczego wysłała ostrzeżenie dopiero teraz? – zapytał Esposito.

– Z powodu tego, co odkryliśmy w czasie pobytu w Niemczech.

Colomba na zmianę z Dantem opowiedzieli o Maksimie, dając zebrany do zrozumienia, że po rozmowie z nimi mężczyzna oddalił się cały i zdrowy, a potem w miarę możliwości odpowiedzieli na wszystkie pytania. Esposito przyjął historię z niedowierzaniem, Alberti wyglądał na przerażonego. Tylko Leo był opanowany, być może dlatego, że Colomba już wcześniej przekazała mu niektóre wiadomości na Snapchacie. Był pierwszą osobą, z którą się skontaktowała po włączeniu komórki. Oczywiście poza mamą, ciągle czekającą na nią z obiadem.

– Giltiné czuje się osaczona – stwierdził w końcu Alberti.

– A to oznacza, że jest we Włoszech – powiedział Dante.

Wszyscy obecni odwrócili się w jego stronę.

– Jesteś pewien?

– Najlepszym dowodem jest to, że zamordowała jednego z nas. Gdyby działała w innej części świata, nie traciłaby na to czasu.

Dante przeprosił komandosa i zajął jego miejsce przy maszynie do kawy, żeby zrobić sobie espresso.

– Uważa pan, że zatrzymała się we Włoszech po zamachu na pociąg? – zapytał Leo.

– Tak, a poza tym wszystko wskazuje na to, że czas ją goni. Po tym jak Maksim próbował ją zlikwidować w Szanghaju, zaczęła mordować osoby związane z Puską, ale poszczególne wypadki dzieliły miesiące. Mogłaby zatem zniknąć i pojawić się za rok, tak jak robiła w przeszłości.

– Macie pewność, że mordowała już wcześniej?

– Pewność... – Dante wzruszył ramionami. – To zależy, kogo pan pyta, mnie czy Colombę. Zachowując ostrożność, powiedziałbym, że mamy przynajmniej trzy inne zamachy: w Grecji, Szwecji i Francji. Ten w Grecji jest stosunkowo świeżej daty. Ale między nim a katastrofą w pociągu minęło sporo czasu.

– Przygotowywała się – szepnął Alberti.

– Właśnie. Chciałabym jeszcze wiedzieć, dlaczego wybrała Guarneriego. Czym się zajmował przed śmiercią? – zapytała Colomba.

– Tak jak nam pani poleciła, szukaliśmy związków między ofiarami zamachu na pociąg a Rosją. I znaleźliśmy. Z początku wyglądało to na

zwykły zbieg okoliczności, ale po tym, co nam opowiedzieliście... – Alberti zawahał się na chwilę, a potem dodał: – Dzieci z Czarnobyła.

Colomba poczuła zimny dreszcz na plecach.

– Co za dzieci?

Alberti wyjaśnił, że po wybuchu elektrowni pojawiły się na całym świecie liczne stowarzyszenia, które zajmowały się organizowaniem dla dzieci ze skażonych terenów pobytów zdrowotnych w krajach, do których chmura radioaktywna nie dotarła.

– W samych Włoszech jeszcze dzisiaj jest ich z pięćdziesięcioro.

– Pamiętam, że moja siostra też przyjęła jedno dziecko – powiedział Esposito – ale po miesiącu wróciło do domu.

– Przez Włochy przewinęło się ich około sześćdziesięciu tysięcy – dodał Alberti.

– Kiedy? – zainteresowała się Colomba. – Bo teraz to już chyba są dorośli ludzie.

– Tak, ale organizacje humanitarne ciągle zajmują się dziećmi z tamtych terenów. Uważam, że to bardzo szczytny cel.

– No jasne – potwierdził Dante, który w czasach, kiedy dysponował gotówką, wspierał kilka organizacji typu Lekarze bez Granic i Save the Children. – A gdzie najłatwiej ukryć ziarno kawy, jeśli nie w prażalni?

– Nie przedrzeźniaj ojca Browna – próbowała zażartować Colomba.

Chciała rozładować nieco napiętą sytuację, zwłaszcza że obecność Leo wprawiała ją w zakłopotanie. Obawiała się, że mężczyzna nie uzna jej za dość interesującą.

– Wypracowałem własny styl. Co łączy ofiary zamachu z pociągu z dziećmi z Czarnobyła?

– Był wśród nich jakiś lekarz, jeśli się nie mylę... może pracował dla Puszeki? – zaczęła Colomba.

– Paola Vetri – przerwał jej Esposito.

– Rzeczniczka prasowa VIP-ów? Tego bym się nie spodziewał – oświadczył Dante.

– Dbala o medialny wizerunek stowarzyszenia Care of the World, co znaczy „dbamy o świat” albo coś w tym stylu – tłumaczył Esposito. – To

europajska organizacja, która jako jedna z pierwszych zainteresowała się Czarnobylem. Przewinęło się przez nią ponad tysiąc dzieci z Białorusi.

– Do jakich krajów, poza Włochami, trafiły?

– Większość pojechała do Grecji.

– Po zatopieniu greckiego jachtu Giltiné zniknęła na półtora roku. Może coś wtedy odkryła? – zasugerował Dante.

– Na przykład kto stoi za tymi, którzy chcieli ją zabić – powiedziała Colomba.

– Najpierw zlikwidowała strażników, potem Maksima, aż wreszcie zabrała się za szefów.

– Musimy zdobyć pełną listę ofiar wypadku w Grecji – zdecydowała Colomba. – Co sugerujecie?

Leo podniósł rękę.

– Interpol?

– Znasz tam kogoś?

– Na pęczki. Przecież koordynuję operacje na międzynarodową skalę.

– Można im ufać? – zapytał poważnie Dante.

– Niektórym tak – odpowiedział komandos z uśmiechem.

Wykonał kilka telefonów i po mniej więcej dwudziestu minutach wiedzieli, że żona zmarłego armatora była Ukrainką i jednym z członków założycieli greckiej sekcji COW.

Wiadomość zawisła w powietrzu i wywołała ogromny szok. Wszyscy obecni mieli wrażenie, że jest tak realna, że można jej dotknąć. Jako pierwszy przerwał milczenie Dante, pytając drżącym głosem:

– Naprawdę ich znaleźliśmy?

Colomba pomyślała o tym, co się zaczęło na dworcu Termini pewnej chłodnej wrześniowej nocy. O tym, kim wtedy była i kim się stała. O tym, co zrozumiała. W rzeczywistości minęło zaledwie kilka tygodni, a zdawało się jej, jakby to miało miejsce w innym życiu. Może zresztą naprawdę tak było.

– Tak, znaleźliśmy ich. A teraz musimy zrobić wszystko, żeby Giltiné ich nie dopadła.

NADCHODZĄCY ŚWIT UWIDOCZNIŁ sylwetkę Giltiné na tle hotelowego okna. Miała na sobie maskę, jedyny jasny punkt w ciemnym pokoju. Francesco leżał w łóżku i czuł się tak błogo, jak w czasach dzieciństwa – w jeden z tych wakacyjnych poranków, kiedy budził się późno i rozkoszował swoim nagim ciałem w oczekiwaniu na długi, słoneczny i leniwy dzień, pozbawiony zmartwień i obowiązków.

Podrapał się lubieżnie po jądrach.

– Jak masz na imię, bo zapomniałem?

– Giltiné.

– Jakoś tak dziwnie. Jesteś Rosjanką czy coś takiego?

– Coś takiego – odpowiedziała, wpatrując się w wodę, która opowiadała jej swoje historie.

– Zabiłaś moją matkę.

Wypowiadając to zdanie, Francesco zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Powinien być co najmniej wkurzony, nieprawdaż? Ale jak mógłby się gniewać na swoją nową przyjaciółkę? Poza tym matka była dla niego w tej chwili jedynie odległym, abstrakcyjnym pojęciem.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Żeby cię tutaj sprowadzić. Na spotkanie z pewną osobą.

– Z prezesem?

– Tak.

– A jeśli on się nie pojawi?

– Nie sądzę. Obiecał to twojej matce. Wiesz, dlaczego ona wciągnęła cię w tę sprawę?

– Nie.

– Kiedy zachorowała na raka, obawiała się, że to już koniec, i wyznaczyła cię na swojego następcę.

Francesco się przeciągnął.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Słucham głosów zmarłych.

– Jesteś wariatką?

Giltiné odwróciła się i popatrzała na niego.

– Nie. Nie to jest moim problemem.

– A co?

Kobieta nie odpowiedziała.

Francesco ponownie się przeciągnął.

– Mogę wstać czy będziesz się gniewać?

– Możesz. Tylko nie wychodź z apartamentu i do nikogo nie dzwoń.

– No jasne.

Za kogo ona go ma! Przecież już wcześniej mu wyjaśniła, jakie są reguły. A poza tym trzeba dotrzymywać obietnic złożonych przyjaciołom. Poszedł do łazienki, bo nie mógł już dłużej utrzymać moczu i przy okazji przejrzał się w lustrze. Źrenice miał tak rozszerzone, że zajęły miejsce tęczęwek, i miał wrażenie, że jego czaszka jest przezroczysta i może zobaczyć wszystko, co jest w środku. To złudzenie tak go ubawiło, że wrócił do pokoju i z radością rzucił się na łóżko.

– Kto umieścił mikrofon w moim pokoju?

– Rossari.

– Od razu mi się nie spodobał. Czy on jest szpiegiem?

– Najemnikiem.

– To lepiej czy gorzej?

– Szpiegdy przynajmniej w coś wierzą.

– No to ja jestem najemnikiem. Nie mogę przypomnieć sobie nawet jednej rzeczy, na której by mi naprawdę zależało.

– Ja też kiedyś taka byłam.

– I co się stało?

Giltiné nie odpowiedziała, tylko skinęła na niego zabandażowaną ręką.

– Chodź tu.

Mężczyzna posłuchał i zbliżył się, idąc po chmurze. Wszystko zdawało mu się takie piękne, nawet wykładzina pod stopami.

– Uklęknij i oprzyj podbródek na moich kolanach.

Wykonał polecenie i poczuł pod czarnymi, obcisłymi dżinsami Giltiné coś lepkiego i śmierdzącego jak jakaś substancja chemiczna.

– Na co jesteś chora?

– Na chorobę, która zabija wszystkie inne. Nie ruszaj się teraz i popatrz w górę.

Kiedy zrobił, co mu kazała, Giltiné przytrzymała mu powiekę prawego oka opuszkami palców.

– Nic nie poczujesz – powiedziała. – Muszę podać ci jeszcze jedną dawkę. Nie ruszaj się – powtórzyła.

Następnie wbiła cieniutką igłę nałożoną na strzykawkę w jego gałkę oczną.

Błyskawica uderzyła w głowę Francesca i wszystko znikło.

CIAŁA GUARNERIEGO I JEGO byłej żony umieszczono w kostnicy szpitala Gemelli, gdzie miały czekać na sekcję, ponieważ w przypadku nienaturalnej śmierci wymagają tego przepisy prawa. Wykorzystując chwilowe zawieszenie broni z Santinim, Colomba poprosiła o pozwolenie na oględziny, a kiedy je uzyskała, wczesnym rankiem udała się z Dantem do kostnicy. Santini absolutnie nie uwierzył Colombie, która powiedziała, że chcą w spokoju pożegnać się z dwojgiem przyjaciół, nie czekając, aż ich ciała zostaną wystawione w trumnach w domu żałobnym. Policjant zaprowadził ich na miejsce i został na korytarzu, gdzie mimo zakazu zapalił papierosa. Pod tym względem obaj z Dantem byli nad wyraz zgodni.

Nafaszerowany benzodiazepiną Dante minął drzwi wejściowe, udając, że ich nie zauważa, a następnie przemykał szarym korytarzem, który z jego perspektywy wił się niczym wąż. Wszystko dlatego, że pomimo przyjętej dawki leków był na granicy paniki, a jego wewnętrzny termometr wskazywał ósmy poziom zagrożenia. Jedynie dzięki temu, że Colomba prowadziła go cierpliwie pod ramię, udało mu się przejść pięćdziesiąt metrów dzielących wejście od sali autopsyjnej. Posuwali się do przodu krok po kroku i zajęło im to tylko piętnaście minut, co było nie lada wyczynem, biorąc pod uwagę częste zmiany kierunku. Wystarczał niespodziewany hałas, trzaśnięcie drzwiami, a Dante podskakiwał nerwowo i cofał się w stronę wejścia.

W końcu dotarł do pozbawionego okien pomieszczenia oświetlonego jarzeniówkami, gdzie salowy przesunął dwa łóżka na kółkach, na których spoczywały ciała przypięte pasami. Zwłoki dopiero co zostały wyjęte z chłodni. Kiedy mężczyzna wykonał swoje zadanie, zostawił Dantego samego, bo Colomba zatrzymała się na progu. Już wcześniej, na miejscu zbrodni, dość się naoglądała ciał kolegi i jego żony. Dante założył lateksowe rękawiczki i niepewnym krokiem ruszył w stronę zwłok. Mimo traumatycznej przeszłości wcale nie potrafił zachować zimnej krwi, stając twarzą w twarz ze śmiercią. Chociaż nie udało mu się pokonać swoich fobii

siłą woli, to przynajmniej – kiedy to było konieczne – starał się zmusić do wykonywania nieprzyjemnych zadań. Uważał, że ta cecha odróżnia osoby cierpiące na chorobliwe obsesje od zwykłych tchórzy.

Ciała spoczywały w szarych workach z ceraty wyposażonych w zamki, jakimi zamyka się śpiwory, i Dante, zbliżywszy się do większego, najpierw odpiął niezdarnie pas, a potem zajął się workiem. Zadawał sobie makabryczne pytanie, czy jest jednorazowy, czy też używa się go ponownie po pozbyciu się zawartości.

Ze środka zaczął dolatywać nieprzyjemny zapach. Nie była to jeszcze woń świadcząca o rozkładzie, ale Dante zetknął się z nią już niejedyn raz – tak pachnie śmierć zadana ze szczególnym okrucieństwem: mieszanina krwi, wymiocin, trzewi i nie do końca przetrawionego jedzenia. Kiedy odsłonił twarz i tułów Guarneriego, jego termometr wewnętrzny osiągnął apogeum i usłyszał dzwonek alarmowy. Na chwilę stracił czucie w nogach i uniknął upadku jedynie dlatego, że przytomnie chwycił za metalowe uchwyty łóżka. Odczekał dwie minuty i kiedy poczuł, że krew ponownie zaczyna krążyć mu w żyłach, pochylił się nad policjantem. W odległości kilku centymetrów od sianej skóry nieboszczyka zrobił coś zupełnie nieoczekiwanego: zamknął oczy i głęboko wciągnął powietrze.

W TYM SAMYM CZASIE Santini podszedł do Colomby.

– Gdzie są Esposito i Alberti? – zapytał.

– W domu. Muszą się przespać. Poprosiłam ich jedynie o wykonanie zmundnej pracy biurowej i nie zamierzam już więcej angażować ich w tę sprawę.

Wspominając o pracy biurowej, Colomba miała na myśli zbieranie informacji na temat COW. Procedura polegała na przeglądaniu oficjalnej dokumentacji stowarzyszenia przy wykorzystaniu dwóch źródeł na wielkie I – Internetu i Interpolu – a zakończyła się dopiero o siódmej rano. Wcześniej odkryli, że COW składa się z wielu często półamatorskich stowarzyszeń, pomagających dzieciom z okolic Czarnobyli. Organizacja miała na koncie wiele akcji charytatywnych, a jej działalność obejmowała rozmaite sektory, od instalacji źródeł wody pitnej w szpitalach do udziału

w programach badawczych, sympozjach, międzynarodowych zespołach prowadzących prace nad szczepionkami. Miała też dość pokaźny fundusz sięgający dwóch miliardów euro, które pochodziły w dużej mierze z prywatnych dotacji agencji finansowych oraz spółek z całego świata. Nazwa jednej z organizacji sprawiła, że Dante aż podskoczył na krześle, ponieważ oprócz wydawania pieniędzy na dobroczynność posiadała akcje spółki będącej właścicielką Executive Outcomes.

– Wiecie, co to jest EO, prawda? – zapytał wtedy Dante.

Jedyną osobą, która miała jakąś wiedzę na ten temat, był Leo, i Dante udał, że nie usłyszał, chociaż komandos siedział naprzeciw niego. Dziwnym trafem Leo zawsze siadał na tej samej kanapie co Colomba.

– Okej. Wyobraźcie sobie najemników, którzy chcą przekształcić się w legalną, to nieco naciągane określenie z mojego punktu widzenia, grupę do interwencji na obszarach ogarniętych konfliktami zbrojnymi – wyjaśnił, przyjmując aktorską pozę.

– Masz na myśli *contractors*? – upewniła się Colomba.

– Teraz tak ich określamy. Kiedy zaczynali, byli nowością porównywalną z premierą iPhone'a. Ich szefem był rasista z Afryki Południowej, który utworzył swój oddział, werbując na początku lat dziewięćdziesiątych wojskowych. Oficerowie byli biali, a żołnierze i mięso armatnie czarne, zgodnie ze światopoglądem przywódców.

– Kto ich wynajmował?

– Executive Outcomes powołano po upadku muru berlińskiego, kiedy armie dwóch wrogich bloków zaczęły wycofywać się z kontrolowanych przez siebie terytoriów, pozostawiając lokalne grupy bez żadnej kontroli. Wtedy pojawiali się *contractors*, żeby zapewnić bezpieczeństwo kopalniom przejętym przez jakąś spółkę lub zlikwidować rebeliantów, którzy chcieli przejąć złoża ropy.

– Jak to możliwe, by taka działalność była legalna? – zapytał Esposito.

– Tak uważali i nadal uważają ci, którzy przejęli EO, wykorzystując argument, że zatrudniają ich rządy uznawane przez ONZ. Chociaż pieniądze i tak pochodzą od prywatnych spółek.

– Jakoś trudno uwierzyć, że ludzie tego pokroju finansują stowarzyszenia charytatywne – powiedział Alberti.

– We władzach organizacji zasiadają też inni. Na przykład pewna międzynarodowa spółka, która ma w radzie nadzorczej byłego afrykańskiego żołnierza i która posiada prywatne więzienie w Ameryce i Australii i zarządza nimi. I wcale nie chodzi tu o mało znaczące przedsięwzięcia, biorąc pod uwagę, że organizacja ta zatrudnia około piętnastu tysięcy pracowników.

– Myślisz, że to oni kierowali Puską? – zapytał Leo, zwracając się do Dantego per ty, bo tak w pewnym momencie zdecydowała Colomba.

– Puską zarządzali członkowie radzieckich oddziałów specjalnych i nie mogliby tak szybko na początku lat dziewięćdziesiątych przeniknąć na amerykański rynek. Bardziej prawdopodobne, że chodzi o klientów – wyjaśnił Dante.

– Kupują dzieci?

– Dzieci i wszystkich tych, których sowiecki reżim włączył do największego eksperymentu, jaki kiedykolwiek przeprowadzono na świecie. Ćwiczą na nich techniki przesłuchań, więziono w celu modyfikowania osobowości, niszczone wolną wolę, uczono przetrwania w ekstremalnych warunkach. – Dante chciał zapalić sobie papierosa, ale ręka drżała mu tak mocno, że musiał skorzystać z pomocy Albertiego. – Naprawdę sądzicie, że nie ma chętnych na taki towar?

COLOMBA NIE OPOWIEDZIAŁA tego Santiniemu, pozostawiając mu wybór, czy zechce się dowiedzieć, czy nie. Doskonale go rozumiała, bo jeszcze dwa lata temu prawdopodobnie postąpiłaby tak samo. Miała na myśli czasy sprzed katastrofy i sprzed poznania Dantego. Zwłaszcza sprzed poznania Dantego.

W tym czasie jej przyjaciel z całych sił powstrzymywał odruch wymiotny, próbując wyczuć pod wyziewami martwego ciała chemiczną woń cytrusów, którą ciągle pamiętał. Bez skutku. Być może kontakt z Giltiné był jedynie przelotny, a ona miała na sobie rękawiczki. A może włoki poddane zostały zbyt dogłębnym badaniom. Zbliżył do siebie poły

worka i zaczął przesuwac zamek, który na nieszczęście zablokował się w połowie drogi. Zamiast ponowić próbę, Dante włożył sobie do ust gumę nikotynową i skoncentrował się na drugim cielem.

– Skończyłeś? – zapytała stojąca w drzwiach Colomba.

– Niestety, nie.

– Możesz sobie wachać, ale niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby się z nimi pieprzyć – odezwał się Santini.

Dante nie zauważył, że policjant stoi w drzwiach, i teraz odwrócił się zaskoczony. Po głowie, jak w automacie do gry, krążyło mu około pięćdziesięciu możliwych odpowiedzi, ale postanowił z nich zrezygnować, bo wszystkie były obrzydliwie seksistowskie i nie na miejscu. Poza tym wiedział, że matka Santiniego nie żyje, i nie chciał jej do tego mieszać.

– Tu leży twój kolega. Trochę szacunku!

Santini odwrócił się i pokuśtykał korytarzem w stronę wyjścia.

– Róbcie, co chcecie – mruknął. – Ja wykonałem zadanie.

– Co za charakterek – powiedział Dante, puchnąc z odniesionego zwycięstwa.

Kiedy jednak otworzył drugi worek, jego poczucie własnej wartości sflaczało jak przekłuty balon.

Zdawało się, że była żona Guarneriego zginęła pod kołami pociągu. Giltiné zadała jej niezliczone rany nożem, skupiając się przede wszystkim na twarzy, oczach, szyi i brzuchu i symulując wściekłość mężczyzny, który chce oszpecić ofiarę swoich obsesji, jak to się często zdarza, gdy kobieta ginie z ręki partnera. Dante starał się nie zważać na miękkie, różowe trzewia wylewające się z ran i głęboko wciągnął powietrze. Natychmiast poczuł, jak żołądek przewraca mu się do góry nogami i pobiegł do zlewu, żeby zwymiotować. Colomba podeszła bliżej i go podtrzymała.

– Jak tam? Chcesz wyjść na zewnątrz?

– Ani myślę. Za dużo wysiłku włożyłem w to, żeby tu wejść.

Dante wrócił do ciała i powachał ponownie, próbując oddzielić pomieszane zapachy. Pod mieszaniną płynów fizjologicznych wyczuł wreszcie to, co wcześniej odnalazł na cielem Youssefa. Woń ta wryła mu się

w pamięć w połączeniu z obrazem bandaży Giltiné, skrywających jej tajemnicze rany. Co to może być? Jakaś maść? Środek odkażający?

Dante do tego stopnia pogrążył się we własnych myślach, próbując pobudzić pamięć, że nie zauważył, jak Colomba, ciągnąc i popychając, prowadzi go do wyjścia. Zatrzymali się w pobliżu dwóch pracowników zakładu pogrzebowego, którzy układali umyte zwłoki z pełnym makijażem w otwartej trumnie. Właśnie wtedy Dante poczuł znajomy, silny zapach cytrusów, wzbogacony kwiatowymi i chemicznymi nutami, i wyrwawszy się Colombie, podbiegł do trumny. Widząc, jak pochyła się nad ciałem, grabarze stanęli jak wryci.

– Czy to jakiś krewny? – zapytał jeden z nich.

Colomba rzuciła się w stronę przyjaciela, obawiając się, że dopadł go atak paniki, podobnie jak w Berlinie. Tymczasem Dante wcale nie zamierzał uciekać, tylko zbliżył się do mężczyzn i chwyciwszy jednego z nich za ramię, zapytał:

– Powiedz mi, czego użyłeś do makijażu.

– Puść mnie!

– Czym wysmarowałeś twarz nieboszczyka?

Colomba wkroczyła do akcji i rozdzieliła ich, mówiąc, że jest z policji. Na szczęście powiedziała to tak stanowczym głosem, że grabarze uwierzyli jej, nie żądając okazania legitymacji.

– Dante, co się z tobą dzieje? Dobrze się czujesz?

– Świetnie. Ty ich zapytaj, czego używają.

Dante przesunął palcem po policzku zmarłego, ścierając wosk i odsłaniając fragment białej skóry.

– Zwariowałeś? – rzucił z oburzeniem drugi z mężczyzn, chwytając Dantego za przegub.

Dante wyrwał dłoń.

– Przepraszam. Za bardzo się przejąłem.

– Tak, proszę mu wybaczyć. I odpowiedzieć na pytanie – włączyła się Colomba, walcząc równocześnie z zakłopotaniem i ciekawością.

– Taką mamy procedurę. To specjalna technika balsamowania. Używamy profesjonalnych kosmetyków.

– Dla nieboszczyków?

– No jasne, nie widzi pan? Czy możemy już iść, pani komisarz? Czekają na nas z pogrzebem.

– Tak, tak. Jeszcze raz przepraszam.

Colomba pociągnęła za sobą Dantego, który ciągle jeszcze wyglądał tak, jakby śnił na jawie.

– Co takiego ważnego odkryłeś?

– Syndrom Cotarda – odpowiedział z zamkniętymi oczami.

A potem milczał aż do chwili, gdy skończył trzecią kawę.

KIEDY FRANCESCO ODZYSKAŁ kontakt ze światem, była już prawie pora obiadu. Giltiné zamknęła okiennice i zaczęła się rozbierać. Po chwili stała przed nim jedynie w masce i bandażach, na których widniały czarne plamy.

– Co robisz? – zapytał Francesco, któremu wszystko wydawało się miękkie i błyszczące.

Wrażenie błogostanu stawało się powoli nużące jak spowolniony orgazm.

– Muszę opatrzyć rany.

– Jesteś już dość opatrzona. Kim ty jesteś? Mumią? – Roześmiał się serdecznie.

Był w takim stanie, że nic tak naprawdę nie miało znaczenia.

Giltiné pochyliła się nad swoją torbą i wyjęła pojemniki z kremami i balsamami. Sięgnęła również po czyste bandaże i blokujące klipsy. Przecięła skalpelem opatrunek na lewym przegubie i zaczęła zrywać gazę razem z kawałkami strzępiącej się skóry. Z ran nie popłynęła krew, ale kobieta poczuła, jak ogarnia ją nagła słabość, i przerwała zajęcie, dysząc ciężko.

Francesco zauważył jej bezsilność i wyskoczył z łóżka, żeby jej pomóc.

– Ja się tym zajmę.

Giltiné odepchnęła go, a wysiłek sprawił, że się zachwiała.

– Nie.

– Dlaczego nie? Przecież jesteśmy przyjaciółmi. – Poczul się dziwnie, wypowiadając te słowa na głos, ale tego dnia chciał dzielić się swoimi uczuciami z całym światem. – Poza tym przeszedłem kurs pierwszej pomocy, kiedy należałem do skautów. Moja mama posyłała mnie na zbiórki. Czy to nie cudowne? – Francesco odsunął rękę Giltiné i chwycił porozcinane bandaże. – Boli cię?

– Nie.

Mężczyzna spojrział na odsłonięty kawałek ręki, którą pokrywała jakaś błotnista substancja śmierdząca jak gnijące kwiaty. Przynajmniej tak mu

się zdawało. Był jeszcze w stanie oszołomienia i nie miał pewności, czy to, co widzi, jest zgodne z rzeczywistością.

– Wygląda na to, że bandaż jest luźny. Mogę go oderwać?

Giltiné odwróciła w jego stronę twarz ukrytą pod maską. Oczy widniejące w szczelinach patrzyły nieufnie, przypominając źrenice dzikiego zwierzęcia. Powoli pokiwała głową.

– Tylko nie dotykaj ran.

– W porządku.

Francesco pociągnął zdecydowanie i bandaż opadł, pociągając za sobą resztki skóry i duże kawałki martwego ciała. Giltiné spojrzała na gołe ścięgna i niemalże czarną kość. Zapach był tak ostry, że zaczęły jej łzawić oczy.

Francesco przyglądał się wszystkiemu z niedowierzaniem. Pomijając cuchnącą maść, ramię Giltiné wydawało się całkiem zdrowe. Kiedy pomógł jej pozbyć się reszty opatrunków, zobaczył przed sobą drobną kobietę z wygolonym wżórkim łonowym i licznymi bliznami na całym ciele, ale bez żadnej widocznej rany.

COLOMBA I DANTE WRÓCILI do zastępczego apartamentu, w którym dominowało barowe powietrze przesycone smrodem piwa i papierosów, ponieważ Leo i Muszkietierowie obozowali tu przez całą noc. Pokojówki trzymały się z daleka, bo Dante zapomniał zdjąć z klamki wywieszkę z napisem: „Nie przeszkadzać”. Pokój, w którym zamelinował się Santiago, musiał być w oplakany stanie, bo znaleźli pod drzwiami zawiadomienie o konieczności pokrycia wydatków związanych z wymianą przypalonej sofy.

– Czy on uważa się za Pete’a Doherty’ego? – mruknął Dante, mnąc kartkę. Czekał, aż czwarte espresso będzie gotowe.

Colomba w milczeniu sięgnęła do lodówki po colę. Nie mogła przestać myśleć o Giltiné i o informacjach, które znalazła w Internecie na temat syndromu Cotarda.

– Trafiliśmy na ślad zombi – szepnęła.

– To tylko jej urojenia. – Dante sprawdził, czy czujnik dymu jest szczelnie zaklejony taśmą, po czym zapalił papierosa. – Lekarze ciągle jeszcze nie znają przyczyn tego zaburzenia, ale wygląda na to, że ma ono związek z uszkodzeniami mózgu. Chory żyje w przekonaniu, że jest martwy, a czasami nawet uważa, że jego ciało ulega rozkładowi. Wyobraża sobie, że jego organy wewnętrzne powoli zanikają, że nie musi jeść ani pić. Sama radość. Jeśli nie decyduje się na leczenie, to w końcu naprawdę umiera.

– A ten zapach, który tak cię poruszył?

– To jakiś produkt, który opóźnia gnicie, tak jak podkład na twarzy nieboszczyka, którego przygotowawali do pogrzebu. Używają ich w balsamowaniu zwłok, żeby upiększyć denata i nadać mu przyjemniejszy wygląd. Według mnie Giltiné korzysta z tych kosmetyków, bo chce udawać zdrową. Chociaż oczywiście wcale nie ma takiej potrzeby. Aaa... jeśli umrę pierwszy, pamiętaj, że mają mnie skremować.

– Co mam zrobić z twoimi prochami?

– Postaraj się, żeby spoczęły w Muzeum Watykańskim. Za życia nigdy nie udało mi się go zwiedzić. Za dużo ludzi.

Colomba przypomniała sobie opis Giltiné podany przez Andreasa.

– To znaczy, że pod jej bandażami nie kryją się żadne rany ani oparzenia?

Dante wzruszył ramionami.

– Sądzę, że nie. Chociaż pewnie skóra trochę ją swędzi, skoro ciągle smaruje się tymi wszystkimi świństwami.

– Jak myślisz, od kiedy uważa się za martwą?

– Być może od czasu, gdy Maksim zostawił ją w lodowatej wodzie w hotelowym basenie? On był przekonany, że ją zabił, a ona przyjęła, że to prawda. Może brak tlenu spowodował uszkodzenie mózgu i pojawienie się objawów choroby. Musimy zapytać Bart, czy to prawdopodobne.

– Giltiné chce wyrównać wszystkie rachunki, zanim całkiem się rozpadnie...

Dante pokiwał smętnie głową.

– Żal mi jej.

– A mnie nie. Zabiła zbyt wielu niewinnych ludzi.

Colomba usiadła na sofie, która była taka sama, jak ta w ich pierwotnym apartamencie, a mimo to pod wpływem autosugestii wydawała jej się mniej wygodna. Jednak Leo kilka razy przysnął właśnie na tej kanapie i przeszło jej przez myśl, że kiedy spał, był całkiem niczego sobie.

Zaraz potem pomyślała jednak, że zachowuje się jak idiotka. Przecież dopiero co wyszła z kostnicy, w której spoczywało ciało jej podwładnego. To nie jest pora na flirty.

– Wiemy teraz, kim ona jest, i wiemy, kogo morduje. Zastanówmy się, kim będzie następna ofiara.

Colomba wzięła plik zadrukowanych kartek, które Muszkieterowie zostawili w pokoju, zanim zostali odsunięci od sprawy. Poinformowała ich o tym dopiero po wyjściu Leo. Nie przyjęli dobrze tej wiadomości, ale byli zbyt zmęczeni i smutni z powodu śmierci kolegi, aby protestować. Colomba obiecała, że będzie ich informować o postępach w śledztwie,

choć wcale nie zamierzała dotrzymać słowa. Powie im wszystko dopiero wtedy, gdy będzie po sprawie. Oczywiście pod warunkiem, że uda im się zakończyć śledztwo.

– Delegatury COW znajdują się na całym świecie. We Włoszech mamy trzy siedziby, a w całej Europie kolejnych dwadzieścia – powiedziała, przeglądając stronę, nad którą ślęczeli z kolegami do rana.

– Zacznijmy od naszego kraju.

– Wśród członków nie widzę nikogo, kto pasowałby do profilu. We władzach zasiada dziewięćdziesięciolatek z Afryki Południowej, John van Toder, oraz Amerykanka o włoskich korzeniach mieszkająca w Bostonie. Nazywa się Susannah Ferrante i jest mniej więcej w tym samym wieku. Skarbnik jest Anglikiem, no i była jeszcze pani Vetri, która zajmowała się promocją i kontaktami z prasą, dopóki nie zginęła w katastrofie pociągu.

– Jacyś Rosjanie albo Ukraińcy?

– Nie. Po śmierci Vetri Giltiné powinna wziąć na celownik kogoś z pozostałych. Chyba że według niej szefem jest ktoś inny, kto nie figuruje na oficjalnych listach.

Dante westchnął.

– Zawsze możemy ich ostrzec. Wystarczy jeden telefon i możemy wszcząć alarm. Na pewno odwołają wszystkie zaplanowane imprezy i zabarykadują się w swoich domach. Musimy tylko okazać się wystarczająco wiarygodni, ale jestem pewien, że jeśli dotrzemy do ludzi ze szczytów władzy w COW, to ktoś przypomni sobie o dziewczynie, która uciekła z Puszki.

– Tak, pomyślałam o tym – przyznała niechętnie Colomba – ale zastanawiam się, czy nie wywołałoby to jeszcze poważniejszych konsekwencji. Ilu Maksimów pozostaje ciągle na ich usługach?

– Nawet jeśli obecnie ich nie zatrudniają, to biorąc pod uwagę kontakty z agencjami *contractors*, nie będą mieli żadnych trudności ze zwerbowaniem nowych.

– Poza tym nie wiemy, jakie plany ma Giltiné. Jeśli podłożyła bombę w jakimś budynku, to może i tak wysadzić go w powietrze. A potem dalej będzie chodzić po świecie i likwidować przypadkowe osoby.

– Ona nie działa przypadkowo.

– Sam powiedziałeś, że jest szalona. Najlepiej gdyby udało nam się ją zatrzymać. A to oznacza, że mamy tylko jedną szansę – podała przyjacielowi kartki. – Wybieraj!

Dante nawet nie drgnął.

– Czy w najbliższych dniach COW organizuje we Włoszech jakieś imprezy lub spotkania?

– Aż dziesięć – odpowiedziała Colomba, próbując powstrzymać opadające ze zmęczenia powieki. – I to w tym tygodniu, bo właśnie jest rocznica powstania stowarzyszenia. Spróbuj wytypować najbardziej prawdopodobne wydarzenie.

– Jeszcze jedno pytanie. Możesz sprawdzić, czy ktoś z rodziny Vetri będzie brał udział w którejś uroczystości? Na przykład na pokładzie samolotu?

– Co masz na myśli?

– Niewykluczone, że śmierć pani Vetri wcale nie była celem samym w sobie. Może posłużyła do uruchomienia dalszych wypadków? Przypomnij sobie, jak sprytnie Giltiné wykorzystwała ISIS, żeby się ukryć. W przeszłości zawsze pozorowała wypadki i próbowała zrzucić winę na przestępczość zorganizowaną.

– To wszystko sprawia wrażenie, jakby chodziło o ostatnią akcję i końcową zagrywkę – zauważyła Colomba.

– Nie mam pojęcia, co przygotowują członkowie COW. Może będzie to zamknięta ceremonia pogrzebowa w kapturach w stylu *Eyes Wilde Shut*? Giltiné mogłaby się wtedy łatwo wmieszać w tłum zaproszonych gości.

– Uważasz, że zaprosili też członków rodziny zmarłej na gościnne występy?

– Właśnie tak.

Colomba zastanowiła się przez chwilę.

– Jeśli któryś z nich zameldował się w hotelu i widnieje w systemie, a ja zdołam wymusić przysługę...

– Wierzę w ciebie.

Colomba nie chciała prosić o pomoc Muszkieterów, po tym jak odsunęła ich od sprawy. Nie pozostało jej więc nic innego, jak skontaktować się z Leo. Przeniosła się na taras i obudziła go, dzwoniąc przez Snapchata. Dwadzieścia minut później otrzymała oczekiwaną odpowiedź, a po godzinie wszyscy troje siedzieli już w pociągu do Wenecji. Planowali dojechać na miejsce godzinę przed rozpoczęciem przyjęcia dobroczynnego na cześć zmarłej.

FRANCESCO VETRI LEŻAŁ na podłodze w pozycji płodowej i miał na sobie jedynie slipki. Był całkiem świadomy, ale nie widział powodu, aby się ruszać z miejsca, bo fascynujące wzory na tapecie zupełnie pochłaniały jego uwagę. A przecież w rodzinnym domu nie zwracał najmniejszej uwagi na wiekowe buchary zdobiące salon. Dobrze widział tylko prawym okiem, ponieważ Giltiné z większą niż zwykle brutalnością zrobiła mu kolejny zastrzyk w lewą gałkę.

Tymczasem kobieta kończyła makijaż. Robiła to bardzo precyzyjnie, chociaż czuła, jak skóra parzy ją pod grubą warstwą beżowego wosku używanego do zakrywania blizn u osób po wypadkach. Na spodnią warstwę nałożyła następnie klasyczny makijaż, używając zwykłych kosmetyków. Na koniec narysowała sobie brwi i przyprószyła powieki cieniem w kolorze szampana, który miał podkreślać szarą barwę jej oczu. Pomalowała też usta szarą szminką, o ton ciemniejszą od koloru jej oczu. Potem przejrzała się w lustrze, zastanawiając się, czy jej więzień w stanie delirium widzi to samo, co ona.

Komplementy Francesca, który utrzymywał, że jest piękna, wprawiały ją w zakłopotanie, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że są wynikiem mieszanki meskaliny i psylocybiny. Podała mu więc kolejną dawkę jedynie po to, aby milczał. Impulsywne działania były co prawda zupełnie obce jej naturze, ale zbliżał się nieunikniony koniec i w związku z tym stawała się coraz bardziej niespokojna. Od dawna żyła na kredyt, a wierzyciele niecierpliwili się, aby odebrać należność. Słyszała ich szepty w skrzypiących meblach i w szeleszczących zasłonach. Ich krzyki dobiegały z głębi poruszanych motorówkami fal, mieszały się z pogwizdywaniem parowców.

Założyła szmaragdowe kolczyki należące do kobiety, po której zostało jej tylko wspomnienie zapachu skóry oraz wydobywanych z fortepianu nut. Poczowała, jak wibrują w naładowanym elektrycznością powietrzu, jakby za chwilę gdzieś w pobliżu miał uderzyć piorun. Giltiné wiedziała, że niedługo nadejdzie absolutna ciemność, a ona zapadnie się w nicość.

Partia, którą rozpoczęła pewnej nocy w Szanghaju, wychodząc z lodowatej wody, teraz dobiegała końca.

Ostatnie figury zajmowały pozycje na szachownicy.

ZAŁOŻYCIEL FUNDACJI JOHN van Toder przybył właśnie do Wenecji. Deklarowany wiek: osiemdziesiąt dziewięć lat. Był wysoki i trzymał się prosto, postawą przypominając żelazną sztangę. Miał białe włosy i karnację w kolorze starego skórzanego paska. Poruszał się żwawo, sprawiając wrażenie, jakby liczył sobie co najmniej dwadzieścia lat mniej. Właśnie schodził po schodkach prywatnego samolotu, którym przyleciał z Kapsztadu. Chociaż miał białą skórę, nie był rasistą, jak można było wyczytać z jego biografii, ponieważ przeprowadził się do Republiki Południowej Afryki dopiero po upadku apartheidu, przebywając wcześniej na dobrowolnym wygnaniu na Zachodzie. Podróżował w towarzystwie swoich osobistych ochroniarzy, ponieważ dysponował olbrzymim majątkiem, który zgromadził dzięki trafionym inwestycjom w sektorze handlu nieruchomościami na południu Hiszpanii, a następnie w branży farmaceutycznej i ubezpieczeniowej. Miał na sobie garnitur z alpaki i biały kapelusz typu panama. Po dokonaniu formalności związanych z kontrolą graniczną wsiadł do luksusowej motorówki, którą eskortowała łódź włoskiej policji państwowej.

NA MIEJSCE DOTARŁY również rekiny, które Giltiné wypuściła z basenu. Nie wszystkie. Trzy wycofały się w ostatniej chwili, budząc się na czas z bezsensownego odurzenia, które wabiło je w nieznane rejony. Jeden został zatrzymany na lotnisku w Wiedniu, próbując wejść na pokład samolotu z rewolwerem domowej roboty, a drugi w Barcelonie, gdzie rozpoznano w nim mordercę transseksualisty. Do Wenecji przybyły więc jedynie cztery najbardziej zdeterminowane rekiny, które okazały się na tyle inteligentne, by nie dać się rozpoznać i nie przewozić broni w bagażu podręcznym. Dwaj mężczyźni byli Włochami, jeden pochodził z Francji, a ostatni z Grecji.

Przybywszy na miejsce zbiórki w pobliżu Mostu Westchnień, spotkali się z piątym członkiem grupy, który pracował jako kelner w jednej z pizzerii na placu św. Marka. To właśnie on zaprowadził ich do

mieszkania używanego przez Giltiné, wykorzystując instrukcje, które mu wysłała w załączniku do ostatniego *snuff movie*. Otworzyli drzwi kluczem ukrytym na framudze i weszli do środka. Grek, który był fetyszystą, natychmiast zaczął grzebać w koszu na bieliznę, a pozostali usiedli przy stole w kuchni. Znaleźli tam plastikową torbę zawierającą pięćset tysięcy euro w gotówce, kilka dobrej jakości noży do krojenia, w oryginalnych opakowaniach, oraz wełniane kominiarki i grube lateksowe rękawiczki. W notatce z poleceniami przeczytali, że pieniądze przeznaczone są do równego podziału, oczywiście po wykonaniu zadania i pod warunkiem, że uda im się przeżyć. Po opuszczeniu łazienki fetyszysta zaproponował, aby od razu podzielili pieniądze i uciekli, ale na jego nieszczęście do grupy dołączył szósty uczestnik. Był to sześćdziesięcioletni mężczyzna posługujący się chorwackim paszportem, chociaż tak naprawdę urodził się i wychował w Związku Radzieckim. Nie przedstawiając się nikomu, chwycił za nóż i zatopił go w ciele fetyszysty, uważając, by nie pobrudzić się krwią. Zaraz potem zginął również kelner, który chciał uciec, gdy się zorientował, że udział w *snuff movie* nie jest taki zabawny jak oglądanie nagrań na ekranie smartfona. Nowo przybyły jednym ciosem powalił go na ziemię, po czym skierował palec w stronę pozostałych i zapytał po angielsku:

– Potrzebujecie pisemnego zaproszenia?

Trzej mężczyźni rzucili się na kelnera. Jeden zatkał mu usta, a dwaj na zmianę go kopali i zadawali ciosy pięściami. Wykończył go sześćdziesięciolatek, stawiając mu stopę na gardle i przenosząc ciężar ciała na nogę.

– Następny, który zechce sprzeciwić się instrukcjom, skończy w taki sam sposób. A teraz usiądźcie i poczekajcie, aż nadejdzie wyznaczona godzina.

Posłuchali bez słowa sprzeciwu. Nowo przybyły obserwował ich jak pies pasterski powierzone mu stado, ale taka też była jego rola. Giltiné poprosiła o pomoc jedyne go człowieka, którego darzyła zaufaniem, chociaż nie widziała go od ponad dwudziestu lat. To on opatrywał jej rany w Puszcze, a w pierwszych dniach po ucieczce uczył, jak zachowywać się na

wolności. Podał jej kiedyś swoje imię, ale w głowie Giltiné już na zawsze został Policjantem.

POMIMO ŻE GILTINÉ zrobiła wszystko, aby temu zapobiec, również Colomba, Leo, i Dante zbliżali się do celu. Siedzieli w przedziale drugiej klasy w ekspresie z Rzymu do Wenecji. Dante zajmował dwa siedzenia z nosem przylepionym do szyby i pogrążony był w głębokim letargu po zażyciu swojego lekarstwa, bez którego nie mógłby nawet wsiąść do pociągu. Teraz też marzył jedynie o tym, aby rozpuścić się w powietrzu i przeniknąć przez szybę.

Colomba i Leo ulokowali się naprzeciwko i przebierali nogami z niecierpliwości, aż w końcu przenieśli się do wagonu barowego w środku składu, gdzie zamówili cappuccino i wafelki.

– Jak myślisz, co zaplanowała nasza przyjaciółka? – zapytał Leo.

– Nie mam pojęcia. Poza tym obawiam się także potencjalnych ofiar – odpowiedziała Colomba, kreśląc w powietrzu znak cudzysłowu. – Nie mamy nic na COW, nie toczy się przeciwko nim żadna sprawa w sądzie, nawet dziennikarze nie piszą nic na temat ich podejrzanej działalności. Organizacja pozuje na południowoafrykański odpowiednik fundacji Gatesa. Ale jeśli tylko dziesiąta część tego, co mówi Dante, jest prawdą, to mamy do czynienia z przestępcami albo, dosadniej mówiąc, ze zbrodniarzami wojennymi.

Leo podniósł plastikowy kubek i precyzyjnym rzutem umieścił go w koszu na śmieci.

– Dlaczego „jeśli”? Nie wierzysz mi?

– Musisz zrozumieć jedno, Leo. Dante miota się ciągle pomiędzy dwoma światami, tym rzeczywistym i swoim własnym. Kiedy mówi o mordercach i oszustach, wierzę mu. Kiedy zaczyna opowiadać o spiskach, wierzę pod warunkiem, że sprawdzę. W pozostałych sprawach sama nie wiem, co myśleć.

– Czy to dotyczy również jego porwania? – zapytał zaciekawiony Leo.

– Przedstawił niepodważalne dowody w sprawie Ojca i jego powiązań. Natomiast jeśli chodzi o eksperymenty programu MKULTRA i zimną

wojnę... nie wiem, co powiedzieć. Wbił sobie do głowy, że musi znaleźć brata, który mu wszystko wyjaśni. Próbuję mu uświadomić, że istnieje jedna szansa na miliard, że odkryje prawdę, ale on ma na tym punkcie obsesję.

Colomba popatrzyła na komandosa i zmieniła temat.

– Właściwie to ty powinieneś mi wyjaśnić, jak to możliwe, że Di Marco i jego współpracownicy nigdy nie słyszeli o Giltiné ani o Puszce. Dlaczego podejrzana działalność COW nigdy nie znalazła się na celowniku? Jak to możliwe, że przez te wszystkie lata nie zbierano informacji na ich temat. Nie było żadnych poszlak lub pogłosek, które należało sprawdzić?

Leo dał jej znak, aby przenieśli się na korytarz.

– Międzynarodowe organizacje działające w sektorze bezpieczeństwa są bardzo pilnie strzeżone i trudno je kontrolować. Współpracują najczęściej ze sprzymierzonymi państwami lub oferują swe usługi w rejonach objętych wojną. Myślisz, że nigdy nie miałem kontaktu z *contractors*? Zdarza się to za każdym razem, gdy zjawia się z wizytą jakiś zagraniczny miliarder i musimy z nimi współpracować. COW jest powiązany z którąś z takich organizacji, a ta z kolei ma dobre układy z nami.

– I dlatego służby specjalne nie mogą ingerować?

– Co nie oznacza, że się zmartwią, jeśli zostanie zlikwidowana. Jeśli to prawda, że Puszka została sprzedana na licytacji, to na pewno nie kupił jej włoski rząd.

– Giltiné wykonuje brudną robotę dla służb specjalnych... – szepnęła Colomba. – Jak jej się uda, to dobrze, a jak nie, to nikt nie poniesie odpowiedzialności.

Leo wzruszył ramionami.

– To tylko przypuszczenie, ale ja na ich miejscu właśnie tak bym zrobił.

– Naprawdę?

– Świat jest w stanie wojny, Colombo, i każdy walczy, jak umie. A niewinne ofiary zawsze były i będą. Czasami naprawdę nie można ich uniknąć, żeby zapobiec jeszcze gorszym masakrom. Jak wtedy, gdy trzeba

strzelić w głowę jakiemuś chłopakowi w obawie, żeby nie wysadził się w powietrze.

– To ty zabiłeś Mustę – domyśliła się Colomba.

– Nie chcę o tym mówić. Mam nadzieję, że rozumiesz.

– Tak. Nie rozumiem tylko, dlaczego tu jesteś, skoro rozumiesz w taki sposób. W dodatku ryzykujesz, że się ciebie pozbędą tak samo jak mnie.

– I tak jestem już w wieku, kiedy kończy się karierę w oddziałach antyterrorystycznych. Niedługo odsuną mnie od udziału w akcjach.

– Nie zbywaj mnie, tylko powiedz prawdę.

– Prawda jest zbyt kompromitująca – powiedział Leo z szelmowskim uśmiechem.

Colomba wymierzyła w niego palec wskazujący.

– Mów, draniu! – dodała z uśmiechem.

– Nie chciałem zostawić cię samej.

Colomba rzuciła okiem do przedziału, żeby sprawdzić, czy Dante nadal śpi przyklejony do szyby niczym małż. Potem pogłaskała Leo po twarzy, a on przycisnął ją do ściany i pocałował. Przyciągnęła go mocno ku sobie, łaknąc kontaktu z ciałem mężczyzny, i poczuła, że on też jej pragnie.

– Szkoda, że nie ma tu wagonu sypialnego – szepnęła mu do ucha.

– Ale za tobą są drzwi.

Prowadziły do toalety i Colomba po omacku nacisnęła klamkę, pozwalając, by Leo wepchnął ją do środka. Kiedy zamknął drzwi, ona sięgnęła do paska jego spodni i zaczęła go niecierpliwie rozpinać. Obciążone kaburą z bronią spodnie opadły na podłogę. Colomba przykucnęła i wzięła jego członka do ust, ale on usunął się niemal natychmiast w obawie, że straci kontrolę, po czym odwrócił Colombę w stronę umywalki, ściągając jej niecierpliwie dżinsy. Kiedy w nią wszedł, zamknęła oczy i przestała się zastanawiać, co jest przyzwoite, a co nie, pozwalając, by jej ciało zharmonizowało się z ruchami Leo. Sytuacja i pożądanie sprawiły, że stosunek nie trwał długo, a ponieważ nie używali żadnego zabezpieczenia, Leo uważał, by wycofać się na czas. Wkrótce potem i Colomba szczytowała, co spowodowały jego palce. Zakryła sobie usta dłonią, żeby stłumić krzyk. To był jej pierwszy prawdziwy orgazm od

trzech lat, przynajmniej taki, który mogła dzielić z mężczyzną z krwi i kości.

Leo podciągnął spodnie, a potem pomógł jej wytrzeć się papierowymi ręcznikami. Colomba ubrała się szybko i przemyła twarz zimną wodą.

– Bardzo to po mnie widać? – zapytała, spoglądając w lustro.

– Oj, tak – odpowiedział, patrząc na nią wilgotnym wzrokiem.

Uchylili drzwi, żeby sprawdzić, czy nikogo nie ma na korytarzu, po czym wymknęli się szybko z toalety i wrócili na swoje miejsca. Dante ciągle jeszcze był pod wpływem uspokajających substancji chemicznych, niemniej jednak zauważył ich powrót, a świadoma część jego mózgu zarejestrowała bez najmniejszej wątpliwości, co się właśnie wydarzyło. Nie chciał patrzeć na zaczerwienioną i szczęśliwą twarz Colomby, bo pierwszy raz, odkąd się poznali, widział ją w stanie podobnej euforii. Zamknął oczy z przeświadczeniem, że właśnie bezpowrotnie stracił przyjaciółkę.

BUDYNEK POD WEZWANIEM Matki Boskiej Miłosierdzia w Wenecji jest unikatowym zabytkiem w skali światowej. Od czternastego wieku był siedzibą zakonu, a po drugiej wojnie światowej aż do lat siedemdziesiątych lokalna drużyna rozgrywała tam mecze koszykówki na oczach kibiców ściśniętych między boiskiem a wielkimi, arkadowymi oknami. COW wynajął salę na przyjęcie w odnowionym niedawno budynku nie tylko z powodów estetycznych, ale przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo. Wolno stojący gmach miał tylko dwa wejścia, przy czym do drugiego prowadziły szerokie zewnętrzne schody z metalu.

Około dwudziestej wokół budynku i na placu kościoła pod tym samym wezwaniem widać było ożywiony ruch zapowiadający galę. Goście w smokingach i sukniach wieczorowych przesuwali się powoli w uporządkowanych kolejkach. Przy wejściach i na moście około dwudziestu strażników kontrolowało wchodzących, a przy moło stały dwie lanie: jedna policyjna, a druga należąca do karabinierów. Po wstępnej kontroli goście byli sprawdzani przy użyciu wykrywacza metali oraz sniffera, identyfikującego ładunki wybuchowe, po czym mogli przejść do salonu ozdobionego freskami. Kamienne kolumny podtrzymywały kasetonowy sufit, a szerokie schody prowadziły na mieszczącą się na pierwszym piętrze galerię. Mogli tam wchodzić jedynie pracownicy obsługi, a za barierką informującą o zakazie wstępu stali trzej ochroniarze z nieodłącznymi słuchawkami w uszach i dziwnymi wypukłościami na kurtkach.

Publiczność niższej rangi kłębiła się na placu, gdzie kiedyś było boisko do koszykówki. Żeński kwartet smyczkowy grał utwory Brahmsa i Haydna i można sobie było zrobić selfie z przedstawicielami lokalnych władz oraz gwiazdami telewizji, które pojawiły się, by uczcić Paolę Vetri. Wielkie zdjęcie z jej twarzą wisiało nad stołem z nadziewanymi pasztecikami.

O dziewiątej przez most przeszedł syn zmarłej z pijackim uśmiechem na ustach. Nosił ciemne okulary, które ukrywały przekrwione lewe oko. Miał na sobie smoking od Armaniego. Trzymająca go pod ramię Giltiné

ubrana była w jasnozieloną sukienkę od Chanel i żakiet tego samego koloru. Ponieważ suknia była na pół przezroczysta, kobieta miała makijaż pokrywający nawet stopy, tkwiące w czerwonych pantoflach marki Louboutin. Czarna fryzura na pazia nadawała jej niemalże dziewczęcy wygląd.

Zdawała się całkiem bezbronna.

Przy kontroli podała nazwisko, które Francesco kazał umieścić na liście w miejscu przeznaczonym dla osoby towarzyszącej, podczas gdy mężczyzna próbował opanować rozbawienie i nie zdemaskować jej gry. Mark Rossari wyszedł po nich i razem pokonali ostatni odcinek prowadzący do wejścia. Ochroniarz przypomniał zdecydowanym głosem, że na górne piętro Francesco musi udać się bez osoby towarzyszącej, wypowiadając to określenie z wyraźną pogardą. Miał w dokumentach zdjęcie narzeczonej Francesca, a ta kobieta nawet nie była do niej podobna.

Giltiné skinęła potakująco głową. Miała własny plan. Główną rolę grał w nim mężczyzna w lotniczej kurtce stojący w tłumie gapiów po drugiej stronie kanału. Na moment ich spojrzenia się skrzyżowały i Policjant rozpoznał Dziewczynę, która w roku upadku muru zostawiła mu na stole pożegnalną kartkę i wystarczającą ilość pieniędzy, aby mógł zmienić tożsamość.

W liście napisanym z brutalną szczerością osoby, która nigdy nie nauczyła się kłamać, wyjaśniła, że wyrusza w podróż i nie może zabrać zbyt ciężkiego bagażu, a więc dla niego nie ma, niestety, miejsca. Policjant nie zdziwił się specjalnie takim obrotem sprawy, chociaż w duchu liczył na nieco inne pożegnanie, które wyjaśniłoby mu, co tak naprawdę Dziewczyna czuła do niego w czasie wspólnie przeżytych miesięcy, gdy próbowali wymyślić swoje życie na wolności. Miał wrażenie, jakby mieszkał z dzikim kotem, który pojawił się znikąd, wygłodniały i poraniony, pozwalał się karmić i opatrywać sobie rany, ale pewnego dnia zniknął tak samo niespodziewanie, jak się pojawił, ruszając w ślad za nowymi przygodami i nową miłością. Dopiero po kilku dniach Policjant znalazł mały obrazek narysowany węglem i przedstawiający dorosłego

mężczyznę i małą dziewczynkę idących pod wiatr. Dziewczynka spoglądała na mężczyznę z uśmiechem i trzymała go za rękę.

Teraz znajdująca się po drugiej stronie mostu Giltiné nie dała po sobie poznać, że go rozpoznała, ale zanim poddała się kontroli za pomocą wykrywacza metali, odwróciła się na chwilę i uniosła lewą dłoń, a Policjant natychmiast zrozumiał umówiony znak.

Pięć minut.

KIEDY POCIĄG WJEŹDŹAŁ na stację Santa Lucia, środki uspokajające przestały działać i Dante wyrwał się w stronę wyjścia. Tymczasem Leo otrzymał informację telefoniczną ze swojej sekcji, ponieważ przed wyjazdem poprosił o przekazywanie mu wiadomości o ewentualnych wypadkach śmiertelnych, gdyby do takich doszło w Wenecji. Dowiedział się, że w wiosce turystycznej w dzielnicy Sestiere Cannaregio właśnie znaleziono dwa trupy.

Dante przed wyjazdem zapoznał się z mapą Wenecji i teraz prowadził ich pewnie przez uliczki i mosty starego miasta. Zresztą wołał iść przodem, by nie patrzeć w oczy swoim towarzyszom podróży. Na szczęście w żyłach krążyły mu jeszcze pozostałości leków, zapobiegające atakom paniki za każdym razem, gdy grupy zachwyconych turystów zastępowały mu drogę. Na ulicy Sant'Antonio pełno było gapiów i funkcjonariuszy w mundurach, przygotowano również stanowisko pierwszej pomocy. Przy pomoście cumowały policyjne motorówki z włączonymi światłami sygnalizacyjnymi. Tylko Leo miał przy sobie legitymację, więc to on poszedł porozmawiać z miejscowymi kolegami.

Dante stanął w przejściu prowadzącym do wylotu ulicy, gdzie znajdowała się wmurowana w ścianę kapliczka, i próbował opanować nerwy, paląc jednego papierosa za drugim.

– Jak nie wróci za minutę, to go tu zostawimy – burknął.

– Jak nie wróci za minutę, to do niego zadzwonię.

– Szkoda czasu.

– Przykro mi, że go nie lubisz.

– W całym życiu z mundurowych udało mi się polubić jedynie ciebie i Albertiego, bo ciągle mi się wydaje, że on nie jest prawdziwym policjantem – odpowiedział szorstko Dante. – Jeśli zdarzy mi się to ponownie, to z pewnością nie w przypadku twojego przyjaciela, który zbyt szybko naciska spust. Idziemy.

Colomba zrozumiała, że ich przygoda w pociągu nie umknęła uwadze Dantego, który wcale nie przyjął jej obojętnie. Zaczęła się zastanawiać, czy

wynikało to z obawy, że ucierpi na tym ich przyjaźń. Widząc jednak w jego zachowaniu udawaną dumę, zrozumiała, że sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Tylko że teraz nie mieli czasu, żeby o tym porozmawiać.

– Potrzebujemy jego pomocy, jasne? – ucięła krótko Colomba.

Dante miał na końcu języka odpowiedź, komu i po co Leo jest potrzebny, ale nawet nie zdążył się zawstydzić swoich myśli, bo antyterrorysta pojawił się obok.

– Podwójne morderstwo. Przynajmniej trzech napastników. Jedna z ofiar ma na ciele tatuaże przedstawiające karty do pokera. Może chodzi o niespłacone długi? Przynajmniej mamy pewność, że to nie sprawka Giltiné.

– Tak, osobiście nie miała z tym nic wspólnego – zaznaczył Dante.

– Wiadomo coś więcej o ofiarach?

– Jeden pracował w tutejszej pizzerii, drugi to grecki turysta. Nic więcej nie wiem

– Miejmy nadzieję, że to rzeczywiście oni byli ostatecznym celem Giltiné i jest już po sprawie – powiedział Dante.

– O, nie, Dante. Mam nadzieję, że tak nie jest – oświadczyła Colomba. – Liczę na to, że Giltiné ciągle się tu kręci, i tym razem nie mam zamiaru pozwolić, żeby ta zabandażowana dziwka mi się wymknęła.

GILTINÉ NIGDY WCZEŚNIEJ – to znaczy, od kiedy zaczęła dostrzegać na swoim ciele rany – nie miała na sobie tak cienkiej warstwy bandażu i cierpiała tak bardzo, że z trudem udawało się jej utrzymać uśmiech na mocno umalowanej twarzy. W końcu Rossari odciągnął Francesca od stołu ze słodkościami i poprowadził na górne piętro. Ochroniarz chyba podejrzewał, że Francesco może uzbroić się w plastikowy widelec, za pomocą którego się opychał, ponieważ kazał go jeszcze raz sprawdzić snifferem i przeszukać. Zabrano mu komórkę i zapalniczkę, a potem zaprowadzono do pokoju, którego ściany wykonane zostały z matowego szkła, a meble świadczyły o upodobaniu do luksusu. Za biurkiem siedział starzec o białych włosach i żółtej rogówce, popijając herbatę z filiżanki. Był to John van Toder, założyciel organizacji.

– Paola kazała ci się uczyć angielskiego? – zapytał w tym właśnie języku.

– *Oh, yes.*

– A więc rozumiesz, że masz usiąść na tym krześle?

Francesco pokiwał głową i po chwili dotarło do niego, że powinien wykonać polecenie. Usiadł po drugiej stronie biurka.

– Miło mi pana poznać – powiedział i dodał bezmyślnie – co za wspaniałe przyjęcie.

POLICJANT UMIEŚCIŁ TOREBKĘ z pieniędzmi w niszy w murze i przyjrzał się trzem ocalałym członkom grupy. Byli to dwaj Włosi, przypominający Flipa i Flapa, oraz Francuz o ostrych rysach twarzy. Do wykonania powierzonego im przez Giltiné zadania mieli stawić się w strojach wieczorowych i wszyscy trzej zrobili, co mogli, chociaż nie wyglądali zbyt wiarygodnie. Gruby Włoch wypożyczył ubranie, które przypominało smoking, odpowiedni na bal karnawałowy, a szczupły miał na sobie komplet prosto z renomowanego zakładu krawieckiego. Francuz natomiast założył kurtkę motocyklisty, bo uważał, że to najbardziej elegancki strój na świecie. Można by wątpić w jego inteligencję, gdyby nie dowód, jakiego dostarczył, mordując i zjadając swego współlokatora.

Mężczyźni się rozdzielili. Flip i Flap wybrali zewnętrzne schody, a Francuz ruszył w stronę głównego wejścia. I to właśnie on zaczął, bo szybko znudził się oczekiwaniem w kolejce. Wyjął z kieszeni kurtki nóż i zaczął zadawać na oślep ciosy stojącym przed nim osobom. Trafił w szyję młodego rudawego blondyna, który padł na kolana, i ugodził w twarz dziewczynę ubraną jak Lady Gaga podczas ostatniej gali rozdania nagród MTV. Ludzie zaczęli krzyczeć i przepychać się, a on wywijał nożem, siejąc strach.

STARZEC Z NIEPOKOJEM OBSERWOWAŁ Francesca. Nie rozumiał, dlaczego nie zdejmuje ciemnych okularów, a poza tym wydawał mu się jakiś nieswój, ale wiedział, że Rossari dokładnie go sprawdził, a w dokumentach nie było informacji o uzależnieniu od narkotyków. A mimo to młody

mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby nic do niego nie docierało. John van Toder westchnął.

– Twoja matka pracowała ze mną od samego początku i dzięki niej z łatwością udawało nam się przerzucać towar przez twój kraj. Mam względem niej dług wdzięczności, a poza tym podpisaliśmy umowę notarialną i zbyt dużo by mnie kosztowało, gdybym chciał ją zerwać. Dlatego powierzmy ci zadania administracyjne. Będziesz mógł nadal korzystać z mediolańskiego biura oraz z pozostałych nieruchomości. Sedno działań naszej organizacji poznasz dopiero wtedy, gdy będziesz gotowy, o ile to kiedykolwiek nastąpi. Będziemy ci płacić tak samo, jak twojej matce, w dywidendach jednej z naszych spółek.

– Okej.

– To wszystko?

– Podoba mi się biuro w Mediolanie. Jest fajne.

Van Toder przyglądał mu się z coraz większym niepokojem.

– Jeśli masz jakieś pytania, to teraz możesz je zadać.

Wieki temu Francesco miał setki wątpliwości co do pracy COW, ale teraz nie był w stanie niczego sobie przypomnieć. Czuł się tak, jak podczas ważnego egzaminu, ale nie było w nim strachu, jedynie znudzenie. Marzył o tym, by wrócić na przyjęcie do swojej przyjaciółki Giltiné, którą uważał za najpiękniejszą kobietę na świecie. Nie chcąc jednak robić wrażenia nieuprzejmego, o co zresztą bardzo prosiła go przyjaciółka, skupił się i wydusił wreszcie pytanie:

– Czym wy się tak naprawdę zajmujecie? Teraz wiem, że wasze stowarzyszenie ma górę kasy i jest właścicielem wszystkiego, co miałem odziedziczyć. No i sprzedajecie dzieci.

Prezes aż podskoczył na krześle. Potem pochylił się nad biurkiem i uderzył Francesca w twarz, zrzucając ciemne okulary. Chwycił go za poły ubrania i przyciągnął do siebie, aby sprawdzić źrenice.

– Kto podał ci narkotyki? – zapytał w końcu.

TYMCZASEM DWAJ WŁOSI W KOMINIARKACH zostali zatrzymani w połowie schodów przez dwóch ochroniarzy. Grubas skoczył jednemu ze strażników

do gardła i potoczył się razem z nim w dół, a chudzielec wysunął z rękawa nóż z ostrzem służącym do oddzielania mięsa od kości i wymierzył w twarz drugiego.

Zaskoczył go i zyskał na tyle dużą przewagę, że mógłby poderżnąć mu gardło lub wykluć oko, gdyby się nie zawahał. Marzył o tej chwili od wielu miesięcy, od czasu, gdy Giltiné skontaktowała się z nim na czacie, podsyłając mu sceny gwałtów i przemocy, ale w kluczowym momencie odkrył w sobie zahamowania, których istnienia nawet nie podejrzewał. Ochroniarz skorzystał z okazji i wyrwał mu nóż, a potem obalił na ziemię i obezwładnił, wykręcając ramię. Wtedy w pobliżu rozległ się strzał z broni palnej i strażnik padł na plecy na stopnie schodów. Szczupły Włoch podniósł wzrok i zobaczył swojego kompana biegnącego szybko po schodach z zakrwawioną twarzą i w porozrywany smokingu.

– Mam pistolet – krzyczał z radością, strzelając w stronę zbiegających w panice ludzi.

GOŚCIE BAWIĄCY SIĘ w środku nie mieli pojęcia o tym, co dzieje się na placu. Głośna muzyka i rozmowy zagłuszały odgłosy z zewnątrz, a szyby w drzwiach wejściowych zasłaniały ciężkie kotary. Wiadomości szybko dotarły jednak do członków ochrony, którzy biegiem ruszyli w stronę wejścia. Właśnie na ten moment czekała Giltiné. Zrzuciła buty i na bosaka podążyła ku schodom. Strażnicy nie spodziewali się ataku nieuzbrojonej kobiety, ale byli zawodowcami i nie wyciągając broni, ruszyli, by ją zatrzymać. Popelnili błąd, chociaż i bez tego nie mieli żadnych szans.

RÓWNIEŻ W PRZESZKLONYM BIURZE na pierwszym piętrze zrobił się tłok, ponieważ do prezesa i jego gościa dołączyli trzej mężczyźni uzbrojeni w karabinki maszynowe oraz Rossari.

– Musimy pana stąd wyprowadzić – powiedział szef ochrony.

Van Toder wskazał na Francesca.

– On wie, co się dzieje.

Rossari uniósł chłopaka w górę i przygwoździł do ściany.

– Kto zorganizował atak? – warknął.

Francesco poczuł, że wcześniejsza euforia prawie całkiem go opuściła. Teraz zastąpiły ją niepokój i konsternacja, to znaczy, wcześniej też był oszołomiony, ale teraz zaczął sobie zdawać sprawę ze swego stanu.

– To chyba dzieło Giltiné – powiedział. – Jest na was zła.

– Kim jest ta Giltiné? – zapytał zaniepokojony Rossari.

Zanim Francesco zdążył odpowiedzieć, metalowy blat biurka uderzył z wielką siłą w szklaną ścianę za jego plecami, a ta rozsypała się na kawałki. Francesco upadł, a zaostrzony fragment szkła wbił mu się głęboko w kark między drugim a trzecim kręgiem. Syn Paoli Vetri poczuł to, czego doświadczyło przed nim wielu skazańców ginących na szubienicy: dziwne zamknięcie we własnej głowie. Zielony cień przeskoczył nad nim, wpadając do pokoju, a potem poruszał się z taką szybkością, że Francesco gasnącym wzrokiem nie był w stanie za nim nadążyć. Brakowało mu powietrza i chociaż próbował oddychać, to nie miał już płuc, a chwilę później po prostu przestał istnieć.

Ranna, rozczochrana Giltiné w podartej sukience stała teraz przed Johnem van Toderem. Kula trafiła ją w prawy bok i na ubraniu pojawiła się czerwona plama. Między nimi leżały ciała trzech ochroniarzy. Rossari wyładował na korytarzu i dawał jeszcze słabe oznaki życia.

– To ty jesteś Dziewczyną, prawda? – powiedział prezes po rosyjsku, przyglądając jej się, jakby była drogocennym przedmiotem. – Maksim nie zdołał cię zabić. Nie mógł tego dokonać. Bo jesteś wyjątkowa.

Giltiné już uniosła w górę nóż, który wyrwała na schodach jednemu z ochroniarzy, ale usłyszawszy głos mężczyzny, padła na kolana. Drżała na całym ciele i zdawała się teraz całkiem bezbronna. Wyglądała jak grzesznik, który słyszy głos Boga w dniu sądu ostatecznego; jak pies, któremu pan wydaje rozkazy. W jednej chwili zniknęły głosy zmarłych wypełniające jej głowę, a ona utraciła kontrolę i wolną wolę. Znowu była dwuletnią dziewczynką, którą oderwano od matczynej piersi i zaniesiono do ambulatorium, gdzie mężczyzna rządzący życiem i śmiercią wszystkich więźniów po raz pierwszy przypiął ją pasami do szpitalnego łóżka.

Van Toder wcale nie przeprowadził się do Republiki Południowej Afryki po upadku apartheidu. Van Toder narodził się ponownie w dniu

rozpadu Związku Radzieckiego, kiedy pewien naukowiec postanowił zmienić obiekty swoich badań w cenny towar przystający do nowych czasów, które niosły ze sobą nowe wojny i zapowiadały potrzebę nowych narzędzi kontroli.

Mężczyzna stojący naprzeciw Giltiné nazywał się Aleksander Biely i był następcą Pawłowa, pracownikiem więzienia, który stworzył dla niej piekło na odludziu na Ukrainie, trwające aż do dnia, gdy zniszczył je radioaktywny wybuch.

NA PLACU PRZED salonem, w którym odbywało się przyjęcie, zapanował chaos. Francuz, wymachując nożem, zdołał utorować sobie drogę, a pomogły mu w tym również strzały, które ściągnęły uwagę ochrony i karabinierów na zewnętrzne schody. Teraz jedynie trzy osoby w cywilu dzieliły go od głównego wejścia.

Oblizując krew na wargach, Francuz ruszył biegiem w ich kierunku z nożem wyciągniętym do przodu jak bagnet. Colomba, Dante i Leo, którzy właśnie wyszli z uliczki za budynkiem, zobaczyli go w akcji.

– Giltiné wysłała swoich kompanów w teren – powiedział przerażony Dante.

Wśród tłumu było sporo rannych, a kilka osób skoczyło do kanału, salwując się ucieczką.

Colomba i Leo wyjęli broń, krzycząc do Francuza, aby się zatrzymał, ale mężczyzna w odpowiedzi potrząsnął jedynie nożem jak dzidą i pędził dalej w obranym wcześniej kierunku. Strzelili niemal jednocześnie. Seria z pistoletu Leo trafiła prosto w brzuch napastnika, który przeleciał przez balustradę i spadł do zacumowanej na kanale łódki. Francuz pomyślał, że nigdy w życiu tak dobrze się nie bawił, i była to jego ostatnia refleksja w życiu.

Potem Leo pokazał legitymację, żeby utorować sobie przejście wśród ochroniarzy, a Colomba podążała za nim, ogłuszona jeszcze echem wystrzałów i krzykiem przerażonych ludzi. Powaga sytuacji zdawała się ją przerastać i pomyślała ze strachem, że nie zdoła stawić jej czoła. Leo pomógł jej pokonać zbliżający się atak paniki, biorąc ją po prostu za rękę.

– Jesteś ze mną? – zapytał, patrząc jej w oczy. – Kazałbym ci poczekać na zewnątrz, ale nie wiem, czy sam sobie poradzę.

Colomba pokiwała głową i się uśmiechnęła.

– Nie zostawię cię – oświadczyła, podążając za nim.

Dante próbował do nich dołączyć, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zanim zdołał przekroczyć próg. Za dużo ludzi, zamknięte pomieszczenie, głośne krzyki. Część jego świadomości, decydująca

w takich przypadkach za niego, kazała mu pozostać na zewnątrz i Dante, złorzeczając samemu sobie, patrzył, jak Colomba i Leo znikają w chaosie panującym w salonie. Kierując się krzykiem, na schodach prowadzących na piętro znaleźli trzy trupy zamordowane gołymi rękami. Ciały były zmasakrowane, a kości zmiażdżone.

– Ona tu jest – powiedziała Colomba.

Grupa gości zdołała przerwać kordon ochrony i gwałtownie odepchnęła Dantego, zmuszając go do wycofania się na most. Dopiero tam, chwyciwszy się balustrady, popatrzył na zewnętrzne schody budynku, gdzie w krzyżowy ogień policji i ochroniarzy zostali wzięci dwaj mężczyźni. Szczuplejszy wpadł do wody i po chwili jego ciało wypłynęło, unosząc się na powierzchni, a drugi upadł podziurawiony dziesiątkami kul.

Obserwując uciekający tłum, Dante dostrzegł nagle mężczyznę przedzierającego się w przeciwnym kierunku. Miał na sobie lotniczą kurtkę z futrzanym kołnierzem, zbyt ciepłą jak na tę porę roku. Dante ostrożnie ruszył w jego stronę.

BIĘŁY Z TRUDEM PRZYKŁĘKNAŁ, próbując skłonić swoje stare kości do wysiłku, i wziął nóż upuszczony przez Giltiné. Podniósł się, korzystając z oparcia, jakiego użyła mu pozostająca na czworakach kobieta.

– Co ci jest? Czy to mój głos tak na ciebie działa? Gdybym o tym wiedział, nie zwlekałbym tak długo, mój mały aniele śmierci.

Ujął nóż w obie dłonie i opuścił go na Giltiné, zatapiając broń w jej lewym boku. Wygięła się, wyjąc z bólu. Ciągle jeszcze nie była w stanie się ruszać, dręczona koszmarem wyładowań elektrycznych połączonych z bólem. Bięły zadał kolejny cios i tym razem ostrze przeszło przez żebra i przekłuło płuco. Giltiné ponownie próbowała krzyknąć, ale z jej ust wydobył się tylko żałosny jęk przypominający kwilenie dziecka. Bięły po raz trzeci uniósł w górę nóż trzęsącymi się, artretycznymi rękami, kiedy usłyszał trzask deptanego szkła i zamarł w bezruchu. Colomba i Leo dotarli aż do gabinetu i teraz mierzyli do niego z pistoletów.

– Stój! – zawołała Colomba. – Rzuć nóż!

Biely wykonał polecenie.

– Ta kobieta próbowała mnie zabić – powiedział po angielsku. – Musiałem się bronić.

Colomba pomyślała, że skulona na podłodze i pokryta krwią Giltiné w modnej sukience, z której zostały tylko strzępy, nie ma w sobie nic z bezlitosnego zabójcy, którego ściga od trzech tygodni. I jak zwykle Dante miał rację co do jej stanu zdrowia. Pod rozmazanym makijażem, poza świeżymi ranami, na jej ciele nie było śladów oparzeń czy choroby skóry. Podeszła, aby zakuć ją w kajdanki.

DANTE SZEDŁ ZA podejrzanym mężczyzną, trzymając się w bezpiecznej odległości i zastanawiał się, co powinien zrobić. Nagle nieznajomy zatrzymał się i odwrócił w jego stronę. Zaczął mu się uporczywie przyglądać i wtedy Dante zrozumiał, że został rozpoznany.

Przygotował się do ucieczki na wypadek, gdyby przeciwnik chciał go zaatakować, chociaż jego postawa wyraźnie wskazywała, że nie ma takiego zamiaru. Stali naprzeciw siebie w odległości kilku metrów i byli jedynymi ludźmi w promieniu pięciuset metrów, którzy nie uciekali i nie krzyczeli.

– Dante Torre – odezwał się po włosku mężczyzna w kurtce. Miał silny wschodni akcent.

– Skąd mnie znasz?

– Dziewczyna mi o tobie powiedziała. – Nie do końca była to prawda, bo nie zamienił z nią ani słowa, ale w instrukcjach dotyczących zadania, które mu powierzyła, był również link do artykułu o człowieku z silosu. – Ostrzegła mnie, że jesteś niebezpieczny. I chyba miała rację, skoro dotarłeś aż tutaj.

– Czy Dziewczyna to Giltiné? – zapytał Dante.

– Nigdy nie powiedziała mi, jak się nazywa.

– Nie wyjdzie z tego żywa, wiesz o tym, prawda?

– Takie były plany. Nikt nie miał się uratować, ci dwaj idioci też nie – powiedział, wskazując ciała Włochów otoczone przez policjantów i ochroniarzy. – Ale mogę przecież mieć nadzieję, nie?

Dante przyglądał mu się badawczo.

– Ty też byłeś w Puszcze – stwierdził w końcu.

– A kogo to interesuje?

– Mnie.

– To znaczy, że jesteś wariatem. Puszka już nie istnieje, ale z naszą pomocą utworzono nowe struktury podobne do tamtego więzienia. Całkowita izolacja i mikroskopijne cele. – Wzruszył ramionami. – Ja przynajmniej miałem z kim porozmawiać, kiedy nie byłem... – Dotknął głowy, nie mogąc sobie przypomnieć właściwego słowa. – Dawali nam lekarstwa.

– Masz na myśli Dziewczynę?

– Ona nigdy zbyt dużo nie mówiła.

– Chodź ze mną na policję i powiedz wszystko, co wiesz. Pomyśl o swoich towarzyszach. W ten sposób będziesz mógł uczcić ich pamięć.

– To nie moje zadanie – powiedział mężczyzna zwany kiedyś Policjantem, po czym zeskoczył na plac Misericordia. Dante patrzył, jak biegnie w stronę kordonu policyjnego i dopiero wtedy odgadł jego zamiary. Zaczął wymachiwać rękami, aby zwrócić na siebie uwagę.

– Zatrzymajcie go! Strzelajcie! On ma bombę!

Niestety, Policjant znalazł się już w pobliżu swoich włoskich kolegów i lewą ręką nacisnął przycisk. Ukryty pod kurtką ładunek eksplodował, zmiatając z powierzchni ziemi wszystko, co znajdowało się w promieniu pięćdziesięciu metrów: policjantów, cywili i wszelkie obiekty. Funkcjonariusze wylecieli w powietrze jak szmaciane kukły, przeszklone ściany budynku rozsypały się w drobny mak, schody oderwały się od muru w kilku punktach i wygięły z metalowym trzaskiem, opadając w stronę wody.

Fala uderzenia rzuciła na podłogę oszalałych ze strachu gości znajdujących się w salonie oraz zniszczyła doszczętnie gabinet na pierwszym piętrze, kończąc dzieło rozpoczęte przez Giltiné. Leo i Colomba poszybowali w powietrzu i wylądowali w odległości kilku metrów, a kawałek tynku, który oderwał się od sufitu, spadł prosto na nich. Biely wpadł na biurko i zemdlął z bólu, łamiąc sobie miednicę.

Giltiné podniosła się z podłogi.

CAŁKOWICIE OGŁUSZONY DANTE, który cudem nie doznał żadnych obrażeń, pobiegł na plac Misericordia, gdzie zastał widok jak z najgorszych koszmarów. Co najmniej tuzin policjantów, karabinierów i przechodniów zginął w wybuchu, a dziesiątki osób odniosło rany. Wszędzie było pełno krwi i strzępów ciał. W powietrzu unosiły się pył i dym. Krążył oszołomiony wśród ciał i gruzów, a tymczasem na miejsce przybywali kolejni funkcjonariusze oraz ratownicy medyczni. Skierował się w stronę zewnętrznych schodów, modląc się w duchu, by nie zarwały się pod jego ciężarem.

COLOMBA OCKNĘŁA SIĘ pierwsza i odrzuciła przygniatające ją fragmenty tynku, po czym odwróciła się do Lea i zaczęła nim potrząsać, aż otworzył oczy.

Giltiné chwiejnym krokiem podeszła do biurka, na którym opierał się Bieły, i podniosła upuszczony przez starca nóż. Nie było to łatwe, bo narzędzie cały czas wyslizgiwało się jej z zakrwawionej dłoni. Kiedy wreszcie udało jej się uchwycić broń, na progu stanął pokryty sadzą i kurzem Dante.

– Nie rób tego – powiedział.

Giltiné nie mogła go słyszeć, ponieważ w jej głowie znowu rozbrzmiewały krzyki zmarłych. Nóż ponownie wypadł jej z ręki, a ona pochyliła się, by go podnieść. Dante, prosząc o pomoc boga szaleńców, ruszył biegiem w jej stronę, a Colomba zbliżała się od tyłu. Giltiné podniosła wzrok i widząc Dantego, uśmiechnęła się, po czym skierowała broń w stronę Biełego, który z przerażeniem wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

Zanim Dante i Colomba zdołali się do niej zbliżyć, Leo wpakował zawartość magazynka w jej plecy. Giltiné z uśmiechem na ustach upadła na podłogę i zamarła w bezruchu. Nie czuła już ciężaru własnego ciała ani bólu, który od dawna jej towarzyszył. Wśród głosów, które były teraz czułe i przyjemne, rozpoznała te należące do Policjanta i do Robotnika z fabryki butów, a potem kolejny, ciepły i delikatny. Był to głos kobiety, która

ukazała jej piękno muzyki i przyjemność zasypiania w ramionach drugiego człowieka.

Połączyła się z kochanką.

COLOMBA POCHYLIŁA SIĘ nad Giltiné, aby stwierdzić zgon, a wściekły Dante zaatakował Leo.

– Dlaczego to zrobiłeś? Przecież nie było takiej potrzeby!

Leo wymienił magazynek i podszedł do Colomby.

– Nie żyje?

– Tak.

O mój Boże, jaka ona jest krucha, pomyślała Colomba. Waży nie więcej niż czterdzieści kilogramów.

– Co to był za wybuch, Dante?

– Stary przyjaciel Giltiné próbował umożliwić jej ucieczkę.

– I prawie mu się udało – powiedział Leo, podnosząc nóż, który porzuciła Giltiné.

– Leo, uważaj! Nie dotykaj dowodów! – zawołała Colomba.

– Co ze mnie za oferma!

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, sprawił, że Dante poczuł zimny dreszcz na plecach.

– Nie dotykaj jej! – krzyknął.

Ale było już za późno, ponieważ Leo wbił nóż w brzuch Colomby i pociągnął, otwierając ranę.

Colomba poczuła, jak jej żołądek zalewa fala zimna, i upadła na kolana, upuszczając pistolet. Złapała się rękami za brzuch, a krew ciekła jej przez palce. Widziała, jak Leo precyzyjnym ciosem powala Dantego na podłogę, a potem pochyła się nad Białym. Starzec popatrzył na niego z przerażeniem, ale nie był w stanie się poruszyć z powodu przeszywającego bólu w miednicy.

– Daruj mi życie, a będziesz bogaty – podjął ostatnią, desperacką próbę.

– Do swidania – odpowiedział Leo, po czym podciął mu gardło z taką obojętnością, z jaką kroi się tort.

Dante próbował doczołgać się do leżącej w pozycji płodowej Colomby, wokół której utworzyła się czerwona kałuża.

– CC – wyszeptał ze łzami w oczach – nie ruszaj się. Zaraz opatrę ci ranę. Zaraz...

Leo chwycił go i unióś w górę.

– Musimy już iść.

Dante poczuł, że jego termometr wewnętrzny przekracza dziesiątkę, setkę i tysiąc, a twarz Leo staje się ciemną plamą na obrzeżach ogromnego ekranu w Berlinie. Potem przypomniał sobie przechodnia, na widok którego kilka miesięcy wcześniej dostał ataku paniki i wylądował w szwajcarskiej klinice.

– To ty – wymamrotał.

– Brawo, braciszku – potwierdził Leo i ścisnął mu gardło tak mocno, że po chwili Dante stracił przytomność. Zarzucił go sobie na plecy.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła Colomba, była dłoń Dantego, którą wyciągał do niej znad ramienia Leo. Chciała mu powiedzieć, że go ocali, że miał rację i że już nigdy nic ich nie rozdzieli, ale słowa pozostały jedynie w jej głowie.

Kiedy ratownicy medyczni robili wszystko, by ocalić Colombie życie, Leo i Dante byli już daleko i nikt nie zauważył, w którą stronę się odali.

Policja przez tydzień zbierała informacje, by ostatecznie ustalić, że ktoś taki jak Leo Bonaccorso nigdy nie istniał.

POSŁOWIE

Zmieniłem nieco nazwy niektórych oddziałów włoskiej policji i wojska, aby móc opisać ich funkcjonowanie, oraz pozwoliłem sobie na pewną dowolność, jeśli chodzi o umiejscowienie ich siedzib, koszar, a także niektóre adresy.

To samo dotyczy technicznych aspektów wyposażenia pociągów. Opisany przeze mnie system klimatyzacji składów na trasie Rzym – Mediolan jest inny niż w rzeczywistości.

Również Puszka to wymysł mojej fantazji, chociaż wiele przytoczonych w powieści informacji jest, niestety, prawdziwych. Mam tu na myśli na przykład dane dotyczące ofiar śmiertelnych wybuchu reaktora jądrowego w Czarnobylu.

Więcej informacji można znaleźć w następujących publikacjach i na stronach internetowych.

PAWŁOW

Y.P. Frolov, *Introduzione a Pavlov e la sua scuola*, Giunti Barbera, Firenze 1977.

L. Traetta, *Il cane di Pavlov*, Progedit, Bari 2006.

E. Asratian, *I. Pavlov, Sa vie et son oeuvre*, Editions en langues étrangères, Moscou 1953.

I.P. Pavlov, *I riflessi condizionati*, Bollati Boringhieri, Torino 2011.

<https://snob.ru/selected/entry/109466>

SŁUŻBY SPECJALNE W ZWIĄZKU RADZIECKIM

<https://aurorasito.wordpress.com/?s=kgb>

<http://www.voxeurop.eu/it/content/article/3006271-il-kgb-e-ancora-tra-noi>

ROSYJSKA MAFIA

<https://it.wikipedia.org/wiki/Organizacija>

http://www.eastonline.it/public/upload/str_ait/522_it.pdf

http://www.corriere.it/esteri/08_ottobre_01/mafia_russa_cartelli_messicani_48ba1c2a-8fc5-11dd-83b2-00144f02aabc.shtml

DUGA-3

<http://www.nogeoingegneria.com/tecnologie/nucleare/il-disastro-di-chernobyl-le-verita-nascoste/>

https://en.wikipedia.org/wiki/Duga_radar

Niektórzy twierdzą, że to wszystko bzdury, niech Czytelnicy sami osądzą.

Chciałbym podziękować zespołowi z wydawnictwa Mondadori: moim wydawcom Carlowi Carabbie oraz Marilenie Rossi, redaktor Alessandrze Maffiolini, która cierpliwie i z poczuciem humoru pomagała mi każdego dnia, nawet w niedziele i święta. Dziękuję również szefowej zespołu redakcyjnego Fabioli Riboni.

Wyrazy wdzięczności dla mojej menedżer Laury Grandi, która zachęcała mnie do dalszej pracy i podtrzymywała na duchu zawsze wtedy, gdy tego potrzebowałem.

Dziękuję mojemu najbliższemu przyjacielowi i trenerowi Pierowi Frabettiemu, który był przy mnie od pierwszej do ostatniej strony. Nigdy nie miałem równie oddanego czytelnika.

Chciałbym również podziękować mojej żonie, Oldze Buneevej, która nie tylko wytrwale znosiła moje nastroje, lecz także pomagała mi docierać do rzadkich dokumentów umożliwiających mi zapoznanie się z tajemnicami Związku Radzieckiego w czasie zimnej wojny oraz sekretami działania mafii i tworzyła ze mną niezwykle złożone schematy.

Dziękuję Julii Buneyevej za torty (wierzcie mi, że się bardzo przydają).

I wreszcie dziękuję wszystkim Czytelnikom za wspólnie spędzony czas.

PRZYPISY

[1] Tytuł używany we Włoszech w odniesieniu do osób, które posiadają dyplom uniwersytecki, nawet ten I stopnia, czyli licencjat (studia 3-letnie). Forma męska to *dottore*. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] NBC – jednostka do identyfikacji i zabezpieczania śladów w przestępstwach z użyciem broni jądrowej, biologicznej i chemicznej.

[3] Oddziały antyterrorystyczne szybkiego reagowania wchodzące w skład włoskiej policji finansowej. Nazwa pochodzi oczywiście od nakrycia głowy.

[4] Jedna z głównych arterii Rzymu, biegnąca przez centrum miasta i łącząca plac Wenecki z placem Ludowym.

[5] *Halal* (arab.) – to, co nakazane, dozwolone zgodnie z islamskim prawem.

[6] podtapianie (ang.)

[7] brat (hiszp.)

[8] Nie dziękuję, przyjacielu (hiszp.)

[9] Jasne? Zrozumiano? (hiszp.)

[10] raport, sprawozdanie z akcji (ang.)

[11] Ziemia do majora Toma (ang.)

[12] OMON, Oddział Mobilny Specjalnego Przeznaczenia – rosyjska, a wcześniej radziecka jednostka sił specjalnych.

[13] Ojciec chrzestny w rosyjskiej mafii.

[14] Potwór z Florencji – tak we włoskich mediach określano autora lub autorów ośmiu podwójnych zabójstw, których dokonano w okolicach miasta w latach 1968–1985.

[15] Pogardliwe określenie ulicznych sprzedawców pochodzących z Afryki, obecnie używane również w odniesieniu do wszystkich nielegalnych emigrantów.

[16] Z hiszpańskiego, dosłownie „amazonka”, tutaj w kontekście seksualnym „prostyutka”.

[17] Włoska organizacja przestępcza o charakterze mafijnym wywodząca się z Kalabrii. Nazwa pochodzi z języka greckiego i oznacza

„męstwo”, „szlachetność”.

[18] Pseudonim, dosłowne znaczenie: „niema”.

[19] brat (hiszp.)

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I. Midnight Special

Rozdział II. Back on the Chain Gang

Rozdział III. Oops! I did it again

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział IV. Psycho Killer

Rozdział V. Price Tag

Posłowie

Przypisy